

ŚWIATOWY BESTSELLER

ANNE
JACOBS

W STRONĘ
PRZYSZŁOŚCI

Prószyński i S-ka

ANNE
JACOBS

W STRONĘ
PRZYSZŁOŚCI

Przełożyła
Ewelina Twardoch-Raś

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

DAS ERBE DER TUCHVILLA

Copyright © 2015 by Blanvalet Verlag,
a division of Verlagsgruppe Random House GmbH,

München, Germany

All rights reserved

Projekt okładki

Mariusz Banachowicz

Ilustracja na okładce

Mariusz Banachowicz

© sashalaguna/[Shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Redaktor prowadzący

Joanna Maciuk

Redakcja

Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta

Maciej Korbaśiński

ISBN 978-83-8123-713-0

Warszawa 2018

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Gintrowskiego 28

www.proszynski.pl

Wrzesień 1923

Leo się śpieszył. Zbiegając po schodach, odpychał pierwszoklasistów i przebijał się przez grupki plotkujących ze sobą dziewcząt. Musiał się jednak nagle zatrzymać, bo ktoś z tyłu złapał go za tornister.

– Zawsze zgodnie z właściwą kolejnością – powiedział szyderczo Willi Abele. – Wszyscy krwio pijcy oraz nasi żydowski kumple do tyłu.

Miał na myśli jego ojca. I Waltera, jego najlepszego i jedyne przyjaciela. Ten jednak był dzisiaj chory i sam nie mógł się bronić.

– Puść, bo zaraz oberwiesz – ostrzegł go.

– No już, kłapouchu... Spróbuj tylko...

Leo usiłował się uwolnić, ale Willi trzymał go w żelaznym uścisku. Z prawa i lewa przewalał się koło nich tłum uczniów, którzy pędzili na dół, na szkolne podwórze, a stamtąd na ulicę przy Rote Torwall. Leo udało się wyciągnąć swojego przeciwnika na dziedziniec, zanim pękły szelki od tornistra. Musiał się potem szybko odwrócić i zabrać to, co wypadło, w przeciwnym razie Willi dorwałby się do jego książek i zeszytów.

– Melzer – szcudło – walec do psich kup! – drwił Willi, próbując otworzyć klapę tornistra Lea.

Leo poczerwieniał. Znał dobrze to przezwisko. Dzieci z dzielnicy robotniczej chętnie obrzucały go takimi obrzydliwościami. Dlatego że był lepiej ubrany, a Julius czasami odwoził go samochodem do szkoły. Willi od Abelów był o głowę wyższy od Lea i dwa lata od niego starszy. Ale teraz to się nie liczyło. Potężny kopniak w kolano i chłopak zawył, a potem rzucił zdobycz. Leo mógł wreszcie postawić odzyskany plecak na ziemi, ale po chwili Willi znów się na niego rzucił. Obaj upadli. Ciosy spadały na Lea jeden po drugim, jego kurtka została rozdarta, słyszał, jak jego przeciwnik dyszy, ale nie poddawał się, walcząc z silniejszym od siebie.

– Co tu się dzieje? Abele! Melzer! Rozejść się!

Prawdziwe okazało się powiedzenie, że pierwsi będą ostatnimi, gdyż Willi, który leżał na swoim przeciwniku, pierwszy poczuł karzącą rękę nauczyciela Urbana. Natomiast Leo został jedynie przywołany do porządku i postawiony na nogi. Krew lejąca się mu z nosa uchroniła go przed spoliczkowaniem.

W milczeniu i z zaciśniętymi zębami obaj chłopcy słuchali nagany nauczyciela. Znacznie gorsze były jednak złośliwe uśmieszki i szepty innych uczniów, którzy utworzyli ciasny krąg gapiów wokół awanturników. Stały tam przede wszystkim dziewczęta.

- Ale go sponiewierał...
- Tylko tchórz bije młodszych...
- Dobrze mu tak, temu Leo, zarozumialcowi.
- Ale Willi Abele to przecież łajdak!

Przemowa nauczyciela Urbana zupełnie ich nie obeszła. Przecież zawsze mówił to samo. Leo wyciągnął chusteczkę z kieszeni, żeby wydmuchać nos, i zauważył przy tym, że ma oberwany kawałek poły marynarki. Gdy wycierał twarz, dostrzegł wlepione współczujące spojrzenia dziewcząt i było to dla niego niewypowiedzianie bolesne. Willi mruknął, że Melzer mu się „nadstawił”, i został za to ukarany przez nauczyciela kolejnym policzkiem. No, dobrze już.

- A teraz podajcie sobie rękę.

Znali ten rytuał, który musiał nastąpić po każdej bójce, a który niczego nie zmieniał. Mimo to przyjęli upomnienie i obiecali natychmiast się pogodzić. Okrutnie doświadczona niemiecka ojczyzna potrzebowała teraz zrównoważonych i pracowitych młodych ludzi, a nie jakichś awanturników!

- Natychmiast do domu!

To było jak wybawienie. Leo zarzucił na ramię sponiewierany plecak i najchętniej by stąd wybiegł, nie mogło to jednak w żadnym wypadku sprawiać wrażenia, że ucieka przed swoim rywalem, więc miarowym krokiem szedł do bramy. Dopiero gdy do niej doszedł, zaczął biec. Przystanął na chwilę na Remboldstraße i spojrzał z odrazą na wielki budynek z czerwonej cegły. Dlaczego musiał chodzić do tej głupiej szkoły podstawowej przy Roten Torwall? Tata opowiadał, że on od razu poszedł do Gimnazjum Świętego Stefana. Do klasy przygotowawczej. Uczęszczali tam wyłącznie chłopcy z dobrych rodzin, którzy mogli nosić kolorowe czapki. Nie było tam dziewcząt. Republika chciała jednak, żeby wszystkie dzieci najpierw chodziły do szkoły podstawowej. Republika była jedną wielką bzdurą. Wszyscy na nią pomstowali, szczególnie babcia. Mawiała często, że za cesarza wszystko było o wiele lepsze.

Znowu wydmuchał nos w chusteczkę i okazało się na szczęście, że krew przestała lecieć. Teraz w drogę, one z pewnością już czekają. Trzeba przejść

pod górę obok Świętego Ulryka i Afry, kilka uliczek do Milchbergu i potem już na Maximilianstraße.

Przystanął nagle jak oczarowany. Muzyka fortepianowa. Ktoś grał utwór, który on znał. Oczy Lea powędrowały w stronę szarych gipsowych ścian kamienicy. Melodia niosła się z drugiego piętra, tam było otwarte jedno z okiennych skrzydeł. Niczego wprawdzie nie mógł zobaczyć, bo przeszkadzała mu powieszona w oknie zasłona z białego tiulu, ktokolwiek jednak grał na pianinie, robił to wspaniale. Gdzie słyszał wcześniej tę muzykę? Może na jednym z koncertów, na które zabierała go często mama? To było piękne i jednocześnie smutne. A teraz, gdy wybrzmiały kolejne akordy – wręcz majestatyczne. Mógłby stać godzinami i słuchać, ale pianista przerwał grę i zaczął ćwiczyć pasażę. Powtarzał je raz za razem, ale było to dość nużące.

– O, tutaj jest!

Leo się wzdrygnął. To był z pewnością jasny, przenikliwy głos Henny. Aha – wyszły mu naprzeciw. Miały szczęście, mógł przecież wybrać inną ulicę. Ręka w rękę szły teraz ku niemu skrajem chodnika, Dodo z fruującymi blond warkoczykami, Henny w różowej, codziennej sukience, którą uszyła dla niej mama. Przy jej tornistrze dyndała gąbka, bo Henny w tym roku rozpoczęła szkołę i na razie uczyła się pisać na tabliczkach łupkowych.

– Co tak stoisz i gapisz się jak sroka w gnat? – spytała Dodo, gdy stanęła przed nim zdyszana.

– Czekaliśmy na ciebie ze sto lat! – powiedziała Henny z wyrzutem.

– Sto lat? Dawno już byłabyś martwa!

Henny nie znosiła sprzeciwu. Słyszała zawsze tylko to, co jej odpowiadało.

– Następnym razem wrócimy bez ciebie.

Leo wzruszył ramionami i zerknął ostrożnie na Dodo, ale siostra tym razem nie wzięła go w obronę. Cała trójka wiedziała, że Leo odprowadza je tylko dlatego, że tego życzy sobie babcia. Jej zdaniem dwie kilkuletnie dziewczynki nie mogły poruszać się po mieście bez towarzysza, nie w tych niespokojnych czasach. Dlatego Leo codziennie miał przykazywane, że zaraz po szkole musi biec do Świętej Anny i przyprowadzać siostrę i kuzynkę bezpiecznie do posiadłości.

– Jak ty wyglądasz? – Dodo dostrzegła teraz obszarpany rękaw. A także krew, która poplamiała kołnierzyk Lea.

– Ja? Dlaczego?

– Znowu się biłeś, Leo!

– Fuj! Czy to krew? – Henny dotknęła palcem wskazującym kołnierzyk jego koszuli. Trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy czerwone kropki wydały się jej obrzydliwe czy ekscytujące. Leo odsunął jej rękę.

– Zostaw to. Chodźmy już.

Dodo wciąż jednak bacznie mu się przyglądała, zmrużyła oczy i zacisnęła wargi.

– Znowu Willi Abele, co?

Przytaknął ponuro.

– Gdybym tylko ja tam była! Najpierw wyszarpałabym go za włosy, a potem... opluła!

Powiedziała to zdecydowanie i dwukrotnie pokiwała głową. Leo był wzruszony, ale jednocześnie było to dla niego również bolesne. Dodo była jego siostrą, była odważna i zawsze stała u jego boku. Ale była tylko dziewczyną.

– Chodź już wreszcie! – krzyknęła Henny, dla której temat bójki już dawno się wyczerpał. – Muszę jeszcze iść do Merkle!

Można tam było dojść okrężną drogą, lecz dzisiaj nie mieli na to czasu.

– Nie dzisiaj. Jesteśmy już spóźnieni.

– Mama dała mi dodatkowe pieniądze, żebym kupiła kawę.

Henny zawsze lubiła chodzić naokoło. Leo postanowił, że będzie bardzo uważał na to, żeby nie wpaść więcej w tę jej pułapkę. Nie było to jednak łatwe, bo Henny zawsze wynajdywała jakieś racjonalnie brzmiące powody. Tak jak dzisiaj, żeby kupić kawę.

– Mama powiedziała, że bez kawy nie może żyć!

– Chcesz, żebyśmy się spóźnili na obiad?

– A chcesz, żeby moja mama umarła? – zapytała Henny oburzona.

Znowu to samo. Poszli na Karolinenstraße, gdzie pani Merkle w małym sklepiku oferowała „kawę, konfitury i herbatę”. Nie każdego stać było na te przysmaki, Leo wiedział, że wielu jego szkolnych kolegów dostawało na obiad tylko talerz jęczmiennej zupy, a do szkoły nie zabierali drugiego śniadania. Było mu wielokrotnie przykro z tego powodu i kilka razy dzielił

się swoimi kanapkami z kiełbasą pasztetową z wątróbką. Najczęściej z Walterem Ginsbergiem, swoim najlepszym przyjacielem. Jego mama też miała sklep, z tyłu na Karlstraße, sprzedawała nuty i instrumenty muzyczne. Ale sprzedaż nie szła dobrze. Ojciec Waltera poległ w Rosji. Z powodu inflacji wszystko stawało się coraz droższe i – jak mówiła mama – pieniądze nie były już nic warte. Wczoraj kucharka, pani Brunnenmayer, narzekała, że za funt chleba musiała zapłacić trzydzieści tysięcy marek. Leo umiał już liczyć do tysiąca. To było trzydzieści razy tyle co tysiąc. Dobrze, że od wojny nie było już monet, tylko niemal wyłącznie banknoty, bo Brunnenmayer musiałaby wynająć wóz z końmi.

– Patrzcie no, dom porcelany Müllera został zamknięty – powiedziała Dodo i wskazała na okno wystawowe zasłonięte gazetami. – Babcia będzie smutna. To tutaj zawsze kupowała nową filiżankę do kawy, gdy któraś się stłukła.

W tym czasie nie było to już niczym niezwykłym. Wiele sklepów w Augsburgu zamykano, a w witrynach tych, które jeszcze były otwarte, widać było jedynie stare, niechodliwe towary. Tata powiedział ostatnio przy obiedzie, że ci oszuści nie wystawiają dobrych produktów w oczekiwaniu na lepsze czasy.

– Zobacz, Dodo. Tańczące niedźwiedzie!

Leo patrzył z pogardą, jak dziewczyny przytknęły nosy do witryny piekarni. Kleiste tańczące niedźwiedzie z czerwonej i zielonej galaretki owocowej jego nie zachwycały.

– Kup wreszcie tę kawę, Henny – ofuknął ją. – Merkle jest tam.

Zatrzymał się nagle, bo obok małego sklepu pani Merkle znajdował się też zakład hydrauliczny Hugo Abelego. Należał do rodziców Wilhelma. Williego, tego łobuza. Czy był już w domu? Leo zrobił kilka kroków i spojrzał na drugą stronę ulicy, na witrynę zakładu. Nie wystawiono zbyt wielu rzeczy; zaledwie kilka węży i zaworów wodnych leżało przy szybie sklepu. Z tyłu widać było muszlę z białej, matowej porcelany. Zasłonił oczy przed ukośnie padającymi wrześnieowymi promieniami słońca i spostrzegł, że ten szlachetny przedmiot miał niebieski znak firmy i był bardzo zakurzony.

– Chcesz może kupić sedes? – zapytała Dodo, która poszła za nim.

– Niiieeee.

Dodo również wyteżyła wzrok i wykrzywiła twarz.

– To jest sklep rodziców Williego, zgadza się?

– Hmm...

– Willi tam jest?

– Może tam być. Musi im pomagać.

Rodzeństwo spojrzało na siebie. W szaroniebieskich oczach Dodo pojawił się dziwny błysk.

– Idę tam.

– Po co? – zapytał zaniepokojony.

– Zapytać, ile kosztuje sedes.

Leo potrząsnął głową.

– Nie potrzebujemy sedesu.

Dodo przechodziła już jednak przez ulicę, a chwilę później zabrzmiał dzwonek, oznajmujący, że ktoś wchodzi do sklepu. Dodo zniknęła za drzwiami wejściowymi.

– Co ona robi? – zapytała Henny, trzymając przed nosem Leo papierową torebkę pełną talarków z lukrecji i tańczących niedźwiedzi.

Aha, znaczy, że na kawę pozostało niewiele pieniędzy. Wziął lukrecjowy talarek i nie spuszczał wzroku ze sklepu hydraulicznego.

– Poszła zapytać o muszlę klozetową.

Henny spojrzała na niego oburzona, potem wzięła zielonego niedźwiedzia z papierowej torebki i włożyła go do buzi.

– Pewnie myślisz, że jestem głupia – wycedziła urażona.

– To sama ją zapytaj.

Otworzyły się drzwi do sklepu i zobaczyli Dodo, która dygnęła uprzejmie i wyszła na ulicę. Musiała przez chwilę poczekać, bo przejeżdżała właśnie furmanka, a potem podeszła do nich.

– Tata Williego jest w sklepie. Taki wielki z siwymi wąsami. Wygląda śmiesznie, jakby chciał kogoś pożreć.

– A Willi?

Dodo się uśmiechnęła. Willi siedział z tyłu i sortował śrubki do małych pudełeczek. Podeszła do niego i pokazała mu język.

– Był pewnie wściekły. Ale jego tata był w pobliżu, więc nie mógł nic powiedzieć. A muszla kosztuje dwieście milionów marek. To cena

preferencyjna.

– Dwieście marek? – zapytała Henny. – To bardzo drogo za tak brzydką rzecz.

– Dwieście milionów marek – poprawiła ją Dodo.

Żadne z nich nie potrafiło do tyłu liczyć. Henny zmarszczyła brwi i zamyślona spojrzała na okno wystawowe, w którego szybie odbijały się teraz jaskrawo promienie słońca.

– Ja też zapytam...

– Nie, lepiej zostań tutaj... Henny! – Leo chciał ją chwycić za rękę, ale zwinnie mu się wywinęła, mijając dwie starsze kobiety. Został na miejscu, zde gustowany, i patrzył, jak Henny o blond lokach i w różowej codziennej sukience znika za drzwiami sklepu.

– Tak, obie oszalałyście! – warknął do Dodo.

Trzymając się za ręce, przeszli przez ulicę, by zajrzeć przez witrynę do środka. Faktycznie, tata Williego miał siwe wąsy i naprawdę wyglądał śmiesznie. A może miał też zapalenie oczu? Willi siedział z tyłu za stołem, na którym było ustawionych pełno dużych i małych pudełek. Widzieli tylko jego głowę i ramiona.

– Mama mnie przysłała – zaświergotała Henny i posłała panu Abelemu swój najpiękniejszy uśmiech.

– A jak się nazywa twoja mama?

Henny znów się uśmiechnęła. Po czym zupełnie zignorowała pytanie.

– Moja mama chciałaby wiedzieć, ile kosztuje sedes...

– Ten w witrynie sklepowej? Trzysta pięćdziesiąt milionów. Mam ci zapisać tę cenę?

– Byłoby bardzo miło z pana strony.

Gdy pan Abele szukał kartki, Henny odwróciła się gwałtownie do Williego. Nie było widać, co robi, ale oczy Williego były wytrzeszczone jak u ryby. Henny wyszła dumnie ze sklepu ze skrawkiem kartki w ręce i była oburzona, że Dodo i Leo obserwowali ją przez okno wystawowe.

– A to dopiero! – Dodo wyjęła kartkę z ręki Henny. Widniały tam cyfry składające się na liczbę 350 i słowo „milionów”.

– Co za oszust! Przed chwilą jeszcze było dwieście milionów! – powiedział

oburzony Leo.

Wprawdzie sam ledwie potrafił policzyć do tysiąca, ale rozumiał doskonale, że ten człowiek był oszustem.

- Co za łajdak!
- Pójdę tam raz jeszcze – zdecydowała Dodo.
- Lepiej daj spokój – ostrzegł ją Leo.
- Teraz właśnie tym bardziej!

Leo i Henny zostali przed sklepem i zerkali przez szybę. Musieli podejść bardzo blisko i ułożyć obie dłonie przy szybie, żeby zrobić na niej cień, bo odbijające się promienie słoneczne świeciły bardzo intensywnie. Ze środka było słycać energiczny głos Dodo, a potem głęboki bas pana Abelego.

- Czego tutaj znowu chcesz? – zagrział bas.
- Powiedział pan, że muszla kosztuje dwieście milionów.

Wpatrywał się w nią, a Leo wyobrażał sobie, jak mozolnie wprawiają się w ruch koła zębate w mózgu sklepikarza.

- Co niby powiedziałem?
- Powiedział pan: dwieście milionów. Zgadza się, prawda?

Spojrzał na Dodo, następnie na drzwi, a wreszcie w stronę okna wystawowego, gdzie stał sedes z białej porcelany. Dostrzegł tam dwójkę dzieci z nosami przyklejonymi do szyby.

– Wy wstrętne bachory! – wrzasnął zdenerwowany. – Wynocha mi stąd, ale już! Dałem się podejść... Wynocha albo porachuję ci kości!

- A jednak ja mam rację – oświadczyła nieustraszona Dodo.

Potem pośpiesznie zrobiła w tył zwrot, gdyż pan Abele zbliżał się do niej groźnie, a nawet wyciągnął rękę w jej kierunku, żeby złapać ją za warkocze. Tuż przy drzwiach prawdopodobnie by ją złapał, gdyby Leo nie otworzył drzwi z zewnątrz i nie stanął w obronie siostry.

– Banda łobuzów, cholerne bachory! – wrzasnął pan Abele. – Chcecie zrobić ze mnie głupca, co? Zaraz dostaniesz w skórę, ty łobuzie!

Leo się odsunął, ale pan Abele zdążył złapać go za kołnierz kurtki i jego ręka trafiła chłopca w głowę.

- Niech pan nie bije mojego brata! – fuknęła Dodo. – Bo pana opluję!

Faktycznie splunęła i część śliny znalazła się na kurtce mężczyzny, ale większość niestety trafiła na głowę Lea. W tym momencie w sklepie pojawiła się mama Williego, niska, szczupła kobieta z czarnymi włosami. Za nią podszedł też Willi.

– To oni przytrzasnęli mi język, tato! To jest ten Melzer, Leo Melzer. To przez niego nauczyciel dał mi dzisiaj w skórę!

Na dźwięk nazwiska „Melzer” pan Abele zastygł w bezruchu. Leo wrywał się gwałtownie, ale ten nie puszczał jego kołnierza.

– Melzer? Może ten Melzer z fabryki materiałów? – zapytał sklepikarz i odwrócił się do Williego.

– O Boże! – krzyknęła jego żona i zakryła dłońmi usta. – Tylko nie doprowadź do jakiegoś nieszczęścia, Hugo. Zostaw to dziecko w spokoju. Proszę cię!

– Czy ty jesteś Melzer z fabryki materiałów? – warknął do Lea właściciel sklepu.

Chłopiec przytaknął. Wtedy pan Abele puścił kołnierz jego kurtki.

– Nie ma w tym nic dziwnego – mruknął. – Pomyliłem się. Muszla kosztuje trzysta pięćdziesiąt milionów. Możesz to przekazać swojemu tacie.

Leo potarł tył głowy i poprawił kołnierz kurtki. Dodo popatrzyła na wysokiego mężczyznę z niesmakiem.

– U pana – powiedziała wyniośle. – U pana z pewnością nie kupimy żadnego sedesu. Nawet gdyby był ze złota. Chodź, Leo!

Leo był wciąż oszołomiony. Bez żadnego sprzeciwu pozwolił Dodo wziąć się za rękę i poprowadzić ulicą do bramy Jakoba.

– Jeśli on powie tacie... – wyjąkał chłopiec.

– E tam! – uspokoiła go Dodo. – On sam ma stracha.

– A gdzie jest Henny? – zapytał Leo i przystanął.

Odnaleźli Henny w sklepie pani Merkle. Za resztę pieniędzy faktycznie dostała całe ćwierć funta kawy.

– Dlatego, że jesteśmy takimi dobrymi klientami – dodała z promiennym uśmiechem.

2

Marie poderwała się znad swoich rysunków, gdy otworzyły się drzwi.

– Paul! O Boże! Już jest południe? Zupełnie straciłam poczucie czasu.

Podszedł do niej od tyłu, pocałował we włosy i skierował zaciekawiony wzrok na jej szkicownik. Projektowała suknię wieczorową. Bardzo romantyczną. Jak efemeryczny sen – z jedwabiu i tiulu. A to w dzisiejszych czasach...

– Nie powinieneś mi zaglądać przez ramię – ofuknęła go i położyła obie ręce na rysunku, zasłaniając go.

– Dlaczego nie, kochanie? To, co rysujesz, jest wspaniałe. Trochę może... zanadto wymyślne.

Uniosła głowę, a on czule dotknął jej czoła ustami. Minęły już trzy lata, a ona wciąż uważała za największe szczęście, prawdziwy dar, że mogą być razem. Ciągle jeszcze budziła się w nocy, nękana strasznymi snami, że Paul jest na wojnie; wtedy przyciskała się do jego spokojnie leżącego ciała, czuła jego oddech, jego ciepło i zasypiała bez lęku. Wiedziała, że jego dręczyły podobne koszmary, bo chwycił ją za rękę, zanim zasnął, jakby nawet w swoich snach chciał ją mieć przy sobie.

– To są suknie balowe. One mogą być wymyślne. Chcesz zobaczyć kostiumy i spódnice, które zaprojektowałam? Spójrz.

Zdjęła teczkę ze stosu papierów. Od przeprowadzki Elisabeth na Pomorze jej dawny pokój służył Marie za pomieszczenie do pracy, w którym projektowała i szyła taki czy inny element odzieży. Maszynę do szycia wprawiała jednak głównie w ruch, gdy trzeba było coś zacerować oraz naprawić. Paul podziwiał jej kreacje i twierdził, że są niezwykle pomysłowe i świeże. Dziwił się jedynie, dlaczego są takie długie i wąskie. Czy projektowała jedynie dla kobiet przypominających wyglądem tyczki? Marie zachichotała. Była przyzwyczajona do żartów Paula dotyczących jej pracy, wiedziała bowiem, że w gruncie rzeczy jest z niej bardzo dumny.

– Nowoczesna kobieta, mój najdroższy, jest chuda, ma krótkie włosy, płaski biust i wąskie biodra. Maluje usta wyrazistymi kolorami i pali tytoń z lufki.

– Okropność! – jęknął. – Mam nadzieję, że nie traktujesz tej mody jako wzoru dla siebie, Marie. Wystarczy już, że Kitty chodzi cały czas w bobie...

– Och, krótkie włosy na pewno będą mi pasowały.

– Proszę, nie...

Powiedział to z taką żarliwością, że prawie się roześmiała. Nie, ona miała długie włosy, które upinała każdego ranka. Wieczorem jednak, gdy szli do łóżka, Marie siadała przed lustrem i rozpuszczała włosy, a Paul na nią patrzył. Jej najdroższy faktycznie był w pewnych kwestiach nieco staromodny.

– Czy dzieci jeszcze nie wróciły? – zapytała Marie.

Spojrzała na zegar z wahadłem, wiszący na ścianie. Jedna z niewielu rzeczy, które zostawiła Elisabeth. Meble, z sofą i dwoma dywanami włącznie, wywiozła ze sobą.

– Ani dzieci, ani Kitty – odpowiedział Paul z wyrzutem. – W jadalni mama siedzi zupełnie sama i opuszczona w porze obiadowej.

– Och!

Marie zamknęła teczkę i podniosła się pośpiesznie. Alicia, matka Paula, ostatnio ciągle chorowała i skarżyła się, że nikt nie ma dla niej czasu. Nawet dzieci wolą ganiać po parku z dziećmi Auguste, o których wychowanie nikt nie dba. Zwłaszcza dziewczęta stały się już przez to zupełnie „zdziczałe”. Trzeba natychmiast zatrudnić jakąś bonę, żeby zajęła się dziewczynkami w domu, nauczyła je przydatnych rzeczy i czuwała nad rozwojem ich charakterów.

– Poczekaj chwilę, Marie!

Paul zastąpił jej drogę do drzwi i uśmiechnął się zadziornie, jakby szykował jakiś chłopięcy wybryk. Nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Och, jak kochała te jego miny!

– Chcę ci coś powiedzieć, kochana – zaczął. – Tak między nami, bez świadków.

– Ach tak? Tylko między nami? Jakaś tajemnica?

– Żadna tajemnica, Marie. Raczej niespodzianka. Coś, o czym marzyłaś już od dawna...

Mój Boże, pomyślała. O czym to ja tak marzyłam? Przecież jestem bezgranicznie szczęśliwa. Mam wszystko, czego potrzebuję. A przede wszystkim jego. Paula. I dzieci. No dobrze, mamy nadzieję na trzecie dziecko, ale to z pewnością kiedyś się stanie. Spojrzał na nią podekscytowany i poczuł się rozczarowany, że ona jedynie wzruszyła ramionami.

– Nie domyślisz się? No to uważaj. Słowo-podpowiedź: igła.

– Igła. Szycie. Włókno. Naparstek.

– Zimno – zawołał. – Zupełnie zimno. Okno wystawowe.

Gra wydawała się jej zabawna, ale jednocześnie nie mogła pozbyć się niepokoju, bo wiedziała, że na dole czeka na nią Alicia. Poza tym było już słychać głosy dzieci.

– Okno wystawowe. Ceny detaliczne. Bułki... Kielbasy...

– Boże mój! – krzyknął z uśmiechem. – Teraz to już zupełnie pobłądziłaś. Pomogę ci więc jeszcze bardziej: atelier.

Atelier? Teraz zrozumiała! Najświętsza Panienko! Czy to w ogóle było możliwe?

– Atelier? – wyszeptała. – Atelier z ubraniami?

Przytaknął i przyciągnął ją do siebie.

– Właśnie tak, mój skarbie. Prawdziwe nieduże atelier. „Moda damska Marie” – będzie głosił szyld nad drzwiami. Wiem przecież, od jak dawna o tym marzysz.

Miał rację, to było jej wielkie marzenie. Ale prawie o nim zapomniała, gdy Paul powrócił z niewoli i całe życie tak bardzo się zmieniło. Była szczęśliwa i poczuła ulgę, że mogła zrzucić z siebie odpowiedzialność za fabrykę i poświęcić się rodzinie oraz Paulowi. Tak, na początku musiała jeszcze uczestniczyć w rozmowach biznesowych, było to konieczne, żeby wprowadzić Paula w działalność zakładu. Potem Paul w czuły, ale stanowczy sposób dał jej do zrozumienia, że od teraz los fabryki Melzerów będzie leżał w rękach jego i jego partnera Ernsta von Klippsteina. To było zasadne posunięcie, bo czas naglił, a należało podjąć ważne decyzje. Zaczęto remontować maszyny, selfactory zastąpiono przedzarkami pierścieniowymi, które zostały skonstruowane według projektów jej ojca. Resztę pieniędzy, które zainwestował w fabrykę von Klippstein, Paul miał przeznaczyć na zakup kawałka ziemi i dwóch domów na Karolinenstraße.

– Ale co się stało, że teraz jest to możliwe?

– Sklep z porcelaną Müllera zbankrutował. – Paul westchnął, gdyż było mu żal właścicieli, starszego małżeństwa.

Marie wiedziała, że zamknięcie magazynu nie było niczym niezwykłym. Sklep od lat prawie nie przynosił zysku, a galopująca inflacja go dobiła.

– A co będzie z Müllerami?

Paul uniósł ramiona i pozwolił, by opadły w geście rezygnacji. Zgodzi się, by małżeństwo nadal mieszkało na najwyższym piętrze domu. Mimo to nie będzie im łatwo, bo rosnąca niemiłosiernie inflacja sprawi, że pieniądze ze sprzedaży domu szybko się rozejdą.

– Będziemy im pomagać, jak tylko zdołamy, Marie. Pomieszczenia gospodarcze i pokoje na pierwszym piętrze będą jednak należeć do ciebie. Będziesz tam mogła urzeczywistniać wszystkie swoje marzenia.

Była tak wzruszona, że ledwie mogła mówić. Ach, to był wspaniały dowód miłości, jaką ją darzył. Jednocześnie miała wyrzuty sumienia, że będzie budować swoją zawodową przyszłość na nieszczęściu starszego małżeństwa. Pomyślała jednak, że się o nich zatroszczy i być może przyniesie tym dwojgu starszym ludziom odrobinę szczęścia, bo wielu innych, którzy znajdowali się w podobnym położeniu, nie mogło na to liczyć.

– Nie cieszysz się? – Wziął ją w ramiona i patrzył na nią z lekkim rozczarowaniem.

Cóż, przecież ją znał. Nie należała do osób, którym łatwo przychodzi spontaniczne okazywanie uczuć.

– Ależ tak – powiedziała z uśmiechem i przysunęła się do niego jeszcze bardziej. – Potrzebuję tylko więcej czasu... Prawie nie mogę w to uwierzyć... Czy to się dzieje naprawdę?

– Tak jak to, że stoję tutaj.

Chciał ją pocałować, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi i oboje odskoczyli od siebie, jakby ktoś przyłapał ich w dwuznacznej sytuacji.

– Mama! – krzyknęła Dodo z wyrzutem. – Co wy tutaj robicie? Babcia jest bardzo zła, a Julius powiedział, że dłużej już nie będzie podgrzewał zupy.

Leo rzucił przelotne spojrzenie na rodziców i zniknął w łazience. Natomiast Henny pociągnęła za jeden z warkoczyków Dodo.

– Głuptasie – szepnęła. – Oni chcieli się pocałować.

– Tobie nic do tego – odparła Dodo. – To są moi rodzice!

Marie objęła córkę oraz siostrzenicę męża i poprowadziła je przez korytarz do łazienki. Słysząc było dźwięk gongu, którym Julius wytrwale ogłaszał porę obiadu. Kitty wyszła właśnie ze swojego pokoju i jęknęła głośno, że w tym domu nie da się nawet przez pięć minut twórczo popracować, żeby nie przeszkadzało to durne „bim-bam, bim-bam”.

– Henny, kochanie, pokaż ręce. Kleją się. Co to było? Tańczące

niedźwiedzie? Biegnij natychmiast do łazienki i je umyj. A gdzie znów podziewa się Else? Dlaczego nie zajmuje się dziećmi? Och, Paul, promieniejesz, masz uśmiech od ucha do ucha! Niech się uściskam, braciszku!

Marie minęła Paula i Kitty i poszła szybko z Dodo i Henny do łazienki, gdzie Leo stał z niezadowoloną miną przed lustrem i wycierał twarz. Na ich widok zmieszał się.

– Spójrzmy na to, Leo. – Wprawne matczyne oko natychmiast dostrzegło, że kołnierzyk koszuli został schowany do środka. – Idź i włóż czystą koszulę. Szybko. A ty Henny nie musisz przyskać po całej łazience. Dodo, to jest mój ręcznik, twój wisi tam. – Dopiero co rozmyślała o wyrafinowanej czarnej sukni wieczorowej, a teraz całkowicie pochłonęła ją rola matki. Leo znowu się bił! Nie chciała o tym mówić przy Dodo i Henny ani czynić z tego tematu przy stole. Na pewno przeprowadzi jednak z synem rozmowę w cztery oczy. Po dzieciństwie spędzonym w sierocińcu doskonale wiedziała, z jaką brutalnością i złośliwością dzieci potrafią się odnosić do siebie. Ona była wówczas sama jak palec. Jej dzieci nigdy nie powinno to spotkać.

Gdy weszli do jadalni, Paul i Kitty od razu usiedli na swoich miejscach. Paulowi udało się rozproszyć gniew matki. Nie trzeba było wiele, niewinny żart, uwaga pełna czułości – Alicia rozpływała się zawsze, gdy syn okazywał jej miłość. Kitty kiedyś wywierała podobny wpływ na swojego ojca, była jego ulubionym dzieckiem, jego oczkiem w głowie, księżniczką, ale Johanna nie było już wśród nich od ponad czterech lat. Marie miała wrażenie, że ta przesadna ojcowska miłość i uległość nie przygotowały dobrze Kitty do dalszego życia. Bardzo kochała Kitty, ale sądziła, że jej szwagierka już zawsze pozostanie tą rozpuszczoną, kapryśną księżniczką.

– Pomódlmy się więc – powiedziała Alicia uroczyście i wszyscy posłusznie złożyli ręce.

Tylko Kitty przewróciła oczami i wpatrywała się w sufit zdobiony sztukaterią, co Marie – ze względu na dzieci – uznała za niezbyt przykładne zachowanie.

– Panie, dziękujemy Ci za dary, które dzisiaj otrzymaliśmy, pozwól nam cieszyć się tym posiłkiem i nie zapominaj o biednych. Amen.

– Amen – powtórzyły za nią głosy rodziny niczym chór, a słowa Paula były szczególnie głośne.

– Smacznego, moi kochani.

– Tobie życzymy tego samego, mamó.

Wcześniej, gdy jeszcze żył Johann Melzer, nie powtarzano codziennie tego rytuału, ale teraz Alicia upierała się, by zawsze odmawiano modlitwę przed jedzeniem. Ponoć ze względu na dzieci, które potrzebowały poczucia ścisłego porządku, ale Marie dobrze wiedziała, podobnie zresztą jak Paul i Kitty, że Alicia przeniosła ten zwyczaj ze swojego dzieciństwa i teraz dawał on wdowie ukojenie. Od śmierci męża ubierała się na czarno, zupełnie straciła upodobanie do pięknych sukien, biżuterii i wielobarwnych materiałów. Na szczęście wydawało się jednak – mimo nawiedzających ją ataków migreny – że jest w dobrym zdrowiu, ale Marie i tak postanowiła sobie, że będzie bardziej się opiekować swoją teściową.

Julius pojawił się, niosąc zupę w dużej wazie, postawił ją na stole i zaczął nalewać. Od trzech lat był zatrudniony w willi jako kamerdyner, nie zaskarbił sobie jednak takiej sympatii jak Humbert, zarówno u państwa, jak i u służby. Był wcześniej zatrudniony w pewnej arystokratycznej posiadłości w Monachium i odnosił się do pracowników willi z pewną dozą arogancji, co oczywiście nie sprawiało, że lubili go bardziej.

– Znowu kasza. I do tego z rzepą – gderła Henny.

Karcące spojrzenia babci i wujka Paula przyjęła z niewinnym uśmiechem, ale gdy Kitty zmarszczyła groźnie czoło, włożyła łyżkę do zupy i zaczęła jeść.

– Ja miałam na myśli tylko to... – zaczęła mamrotać. – Bo, bo... rzepa zawsze smakuje tak... miękko...

Marie pomyślała, że mała chciała powiedzieć „tak błotniście”, ale z ostrożności nie odezwała się. Kitty jako matka często była nierozważna i zbyt wspaniałomyślna, gdyby była bardziej stanowcza, Henny wiedziałaby, że lepiej być posłuszną. Leo nabierał kaszę na łyżkę raz za razem, ale wydawał się zupełnie pochłonięty myślami. Dodo spoglądała na niego, jakby chciała mu coś powiedzieć, milczała jednak i żuła w zamyśleniu mały kawałek rzepy, który pływał wcześniej w jej zupie.

– Dlaczego Klippi nie przychodzi już na posiłki, Paul? – zapytała Kitty, gdy Julius sprzątał talerze. – Nie smakuje mu już u nas?

Ernst von Klippstein od kilku lat był współnikiem Paula. Dwaj mężczyźni, którzy znali się od dawna, dobrze się ze sobą dogadywali. Paul dbał o produkcję, a Ernst von Klippstein przejął sprawy administracyjne i kadrowe. Marie opowiadała nieraz Paulowi, że von Klippstein w czasie, gdy on leżał ciężko ranny w lazarecie, czynił jej wyznania miłosne.

W międzyczasie straciło to znaczenie i nie zniszczyło wspaniałej nici porozumienia między dwoma mężczyznami.

– Ernst i ja uzgodniliśmy, że gdy ja przychodzę na obiad, on zostaje w fabryce. Za to on będzie wychodził coś zjeść później. To gwarantuje ciągłość pracy w przedsiębiorstwie.

Marie milczała, a Kitty pokiwała głową i powiedziała, że biedny Klippi robi się coraz chudszy i Paul powinien uważać, żeby jego wspólnik kiedyś nie uleciał z wiatrem. Alicia uznała jednak za osobisty afront, że pan von Klippstein nie przychodzi do willi przynajmniej na małą, wieczorną przekąskę.

– Cóż, jest dorosłym mężczyzną i chodzi swoimi drogami, mamó – odparł Paul z uśmiechem. – Nie rozmawialiśmy o tym wprawdzie, ale sądzę, że Ernst myśli poważnie o ponownym założeniu rodziny.

– O nie! – krzyknęła Kitty podekscytowana.

Było jej niezwykle trudno trzymać język za zębami, a musiała to robić, bo Julius wnosił właśnie główne danie. Kluseczki ziemniaczane z kapustą – ulubiona potrawa wszystkich dzieci. Paul także popatrzył na swój talerz z zadowoleniem i powiedział, że Brunnenmayer jest prawdziwą mistrzynią w przygotowywaniu kapusty.

– Jeśli mogę coś dodać, panie Melzer – wtrącił Julius i gwałtownie sapnął, jak to miał w zwyczaju. – Kapustę to ja sam siekałem. A pani Brunnenmayer włożyła ją do garnka...

– Doceniamy to, Juliusie – powiedziała Marie z uśmiechem.

– Bardzo dziękuję, pani Melzer.

Julius miał do Marie szczególną słabość, być może dlatego, że zawsze udawało się jej z powodzeniem rozstrzygać spory między pracownikami willi. Alicia oddała jej zarządzanie domem bardziej niż chętnie, zajmowanie się tymi kwestiami było dla niej niezwykle męczące. Wcześniej to jej kochana Eleonore Schmalzler, dawna gospodyni, troszczyła się o harmonijną współpracę zatrudnionych w willi, ale pani Schmalzler odeszła na zasłużony odpoczynek i mieszkała teraz w swojej ojczyźnie na Pomorzu. Alicia i jej wieloletnia gospodyni regularnie wymieniały listy, ale pani Melzer o niewielu z nich mówiła swojej rodzinie.

– Zaraz pękne – powiedziała Dodo i włożyła ostatnią kluseczkę do buzi.

– A ja już pękłam – przelicytowała ją Henny. – Ale to nic. Mamó, czy mogę

zjeść jeszcze jedną kluseczkę?

Kitty była przeciwna. Henny powinna najpierw zjeść tę porcję kapusty, która była na jej talerzu.

– Ale ja tego nie lubię. Ja lubię tylko kluseczki!

Kitty pokręciła głową i westchnęła, zastanawiając się, dlaczego jej dziecku ciągle się coś nie podoba. Przecież wychowywała ją twardą ręką.

– Oczywiście... – powiedziała łagodnie Marie. – Przynajmniej... w każdym razie...

– Mój Boże, Marie! Nie jestem przecież wyrodną matką! Zostawiam jej swobodę w takiej czy innej sytuacji. Przede wszystkim wieczorami, gdy nie może spać, pozwalam jej się kręcić tu i tam, żeby się zmęczyła. W kwestii słodyczy też jestem wielkoduszna. Ale jeśli chodzi o jedzenie, zawsze jestem dla niej bardzo surowa.

– To prawda – potwierdziła Alicia. – Tylko i wyłącznie wtedy postępujesz jak rozsądna matka, Kitty.

– Mamo – powiedział Paul uspokajająco i chwycił dłoń Kitty, która już chciała się gwałtownie przeciwstawić matce. – Nie kłóćmy się o to kolejny raz. Tylko nie dzisiaj, proszę!

– Nie dzisiaj? – mruknęła Kitty. – A dlaczego właśnie nie dzisiaj, Paul? Czy dzisiaj jest jakiś szczególny dzień? Czy coś mnie ominęło? Czy wy dzisiaj obchodzicie rocznicę, Marie i ty? Ach, nie, ona jest w maju.

– Dzisiaj jest początek nowej ery biznesowej, moi kochani... – powiedział Paul uroczyście i uśmiechnął się do Marie.

Marie nie była zadowolona, że Paul ogłosi ich wspólne przedsięwzięcie przed całą rodziną, ale zrozumiała, że robi to z myślą o niej, więc odwzajemniła jego uśmiech.

– Jesteśmy w przededniu otwarcia atelier z ubraniami, moi drodzy – oznajmił Paul, patrząc z dumą w kierunku twarzy wyrażających zdumienie.

– O nie! – wrzasnęła Kitty. – Marie będzie mieć własne atelier! Oszaleję za chwilę z podniecenia! Ach, Marie, moja najbliższa sercu Marie, ty już od dawna na nie zasługiwałaś. Będziesz projektować piękne kreacje i wszyscy ludzie w Augsburgu będą nosić modele, które ty wymyślisz.

Zeskoczyła z krzesła i rzuciła się Marie na szyję. To była cała Kitty. Spontaniczna, wylewna w okazywaniu radości, nigdy nie przebierała w słowach i wyrzucała z siebie natychmiast wszystko, co myślała czy czuła.

Marie poddała się jej uściskowi, śmiała się z jej ekscytacji i była wzruszona, gdy dostrzegła w oczach Kitty łyzy radości.

– Och, ozdobię wszystkie ściany w twoim atelier, Marie. Będą wyglądać jak w starożytnym Rzymie. Albo może wolisz młodych chłopców z antycznej Grecji? W czasie igrzysk olimpijskich, bo wiesz, oni wtedy nie wkładali ubrań.

– Nie sędzę, żeby to było odpowiednie, Kitty – wtrącił się Paul, marszcząc czoło. – Mimo to uważam, że twój pomysł jest bardzo dobry, siostrzyczko. Przynajmniej niektóre ze ścian powinniśmy ozdobić obrazami, prawda, Marie?

Marie przytaknęła. O Boże, ona pobieżnie widziała to pomieszczenie, właściwie tylko parter załadowany regałami, jeszcze gdy był to sklep Müllerów. Na pierwszym piętrze nie była nigdy. To wszystko dzieje się zdecydowanie zbyt szybko. Teraz nieomal poczuła lęk przed tak wielkim wyzwaniem, które Paul podsunął jej z taką swobodą. A co, jeśli jej projekty się nie spodobają? Jeśli będzie siedzieć dzień po dniu samotnie w studiu i nie pojawi się żaden klient? A teraz również dzieci dały o sobie znać.

– Co to jest atelier, mamó? – zawołał Leo.

– Czy zarobisz tam dobre pieniądze, mamó? – zapytała Dodo.

– A może chciałbyś moją kapustę, wujku Paulu? – wykorzystała okazję Henny.

– Niech ci będzie, mała marudo. Dawaj ją!

Gdy Paul opowiadał, że już wynajął ludzi, żeby uprzątnęli pomieszczenie z rupieci, a potem z Marie wybiorą kolory farb ściennych i tapet u Finkbeinera, Henny z zadowoleniem zajadała resztę kluseczek. Całe pięć sztuk. Ale deser, który składał się z małej porcji kremu waniliowego z odrobiną marynowanej marmolady wiśniowej, nie wzbudził już jednak jej entuzjazmu.

– Jest mi niedobrze – powiedziała, gdy babcia dała sygnał, że mogą już wstać od stołu.

– No proszę – mruknął Leo. – Najadasz się tak, że aż ci niedobrze, a niektóre dzieci nie jedzą nawet obiadu.

– No i? – odpowiedziała Henny, wzruszając ramionami.

– Modliliśmy się przecież, żeby nie zapominać o biednych. – Dodo poparła brata.

Henny spojrzała na nią wielkimi oczami. Wyglądała na naiwną i bezradną, ale w rzeczywistości kontrolowała sytuację, żeby w odpowiednim momencie odzyskać przewagę. Już dawno nauczyła się, że bliźniaki zawsze trzymają ze sobą, również przeciwko niej.

– Ja przez cały czas myślałam o biednych dzieciach, zjadłam nawet za nie kilka kluseczek.

Paul uznał tę odpowiedź za zabawną, Kitty także się uśmiechnęła, jedynie Alicia zmarszczyła czoło.

– Myślę, że Leo niezupełnie się myli – powiedziała Marie cicho, ale z przekonaniem. – Moglibyśmy całkiem sporo zaoszczędzić na jedzeniu. Nie każdego dnia musimy jeść deser.

– Ach, Marie – westchnęła Kitty i objęła ją ramionami. – Jesteś taką kochającą istotą, pewnie chciałabyś jeszcze głodować i oddawać swoje desery biednym. Obawiam się tylko, że nikt i tak się nimi nie nasyci. A teraz chodź, moja kochana, chcę ci pokazać, jakie obrazy sobie wyobrażam na ścianach atelier. Paul, kiedy możemy zrobić pierwsze rozeznanie w terenie? Jeszcze dzisiaj? Nie? To kiedy?

– W najbliższych dniach, Kitty... Ależ ty jesteś niecierpliwa, siostrzyczko!

Marie poszła za Kitty na korytarz, gdzie w gotowości czekała już Else. Jej zadaniem było przypilnowanie dzieci po obiedzie, gdy musiały odrobić prace domowe. Potem miały jeszcze kilka godzin na zabawę. Odwiedziny u kolegów z klasy musiały jednak zapowiedzieć wcześniej i uzyskać na to zgodę ich i swoich matek.

– Odwiedziłbym chętnie Waltera, mamó – poprosił Leo. – Jest chory i nie był dzisiaj w szkole.

Marie przystanęła i zerknęła do jadalni, do której drzwi były wciąż otwarte. Paul za chwilę miał wrócić do fabryki, ale rozmawiał jeszcze z Alicią. Musiała więc zdecydować sama.

– Ale tylko na krótko, Leo. Gdy odrobisz pracę domową, pójdzie z tobą Hanna.

– A nie mogę pójść sam?

Marie pokręciła głową. Wiedziała, że ani Paul, ani Alicia nie pochwaliliby tej decyzji, bo oboje nie cieszyli się zbyt z przyjaźni Lea z Walterem Ginsbergiem. Nie dlatego, że Ginsbergowie byli Żydami, przynajmniej Paul miał do tej kwestii swobodny stosunek. Wielką pasją obu chłopców była

muzyka i Paul obawiał się – co Marie wydawało się zupełnie bezsensowne – że jego syn mógł wpaść na szalony pomysł, by zostać w przyszłości muzykiem.

– No chodź wreszcie, Marie. Na kilka minutek. Muszę zaraz pojechać do kochanej Ertmute w związku z moją wystawą w stowarzyszeniu artystów. Julius? Czy samochód jest gotowy do jazdy? Będę go za chwilę potrzebować.

– Oczywiście, łaskawa pani. Czy mam panią zawieźć?

– Dziękuję, Julius, pojedę sama.

Marie poszła za Kitty do jej pokoju, który siostra Paula przekształciła w pracownię malarską. Zaanektowała też dla siebie dawną sypialnię ojca, na co Alicia zgodziła się dopiero po długotrwałym namyśle. Biedna Kitty nie mogła przecież spać pomiędzy tymi wszystkimi obrazami i w nocy wdychać szkodliwe opary farb.

– Spójrz tutaj, mogłabym ci namalować angielski krajobraz. Albo tutaj: zaśnieżona Moskwa. Nie? No cóż. Ale Paryż, tak, to jest to! Katedra Notre Dame, mosty nad Sekwaną, wieża Eiffla. Nie, jednak nie, to jest naprawdę brzydkie.

Marie przysłuchiwała się tym wytworom wybujałej fantazji Kitty, po czym powiedziała, że wszystko to są wspaniałe pomysły, ale przede wszystkim jej chodzi o to, żeby jak najlepiej prezentować swoje sukienki, więc tło nie powinno być zbyt dominujące.

– Z pewnością masz rację... A co, gdybym ci namalowała gwiaździste niebo? A na ścianach pejzaż we mgle, taki tajemniczy, w pastelowych kolorach?

– Najpierw musimy zobaczyć to pomieszczenie, Kitty.

– No dobrze. Teraz muszę już iść. Skróciłaś mi może tę niebieską spódnicę? Tak? Ach, Marie, jesteś prawdziwym skarbem. Moja złota Marie.

Pocałunki, uściski i Marie, uwolniona od czułego zaangażowania szwagierki, stała znów na korytarzu. Nasłuchiwała, co się działo na dole. Paul był wciąż w jadalni, słyszała jego głos. Jak cudownie, będzie mogła go odprowadzić do drzwi wejściowych i powiedzieć mu po drodze raz jeszcze, jak wielką radość jej sprawił. Był chyba trochę rozczarowany, że nie wybuchnęła od razu radością, i nie powinien zabierać ze sobą tego wrażenia do pracy. Skinęła przyjaźnie Juliusowi, który pośpieszył już na schody dla personelu, żeby wyprowadzić z garażu samochód dla łaskawej pani, i gdy chciała otworzyć szerzej uchylone drzwi do jadalni, zamarła w bezruchu.

– Nie, mamó, nie podzielam twoich obaw – słyszała głos Paula. – Marie ma moje pełne zaufanie.

– Mój drogi Paulu, wiesz, że ja również cenię Marie. Ale niestety, co nie jest jej winą, nie została wychowana jak młoda dama z naszego kręgu społecznego.

– Uważam, że ta uwaga była ogromnie niestosowna, mamó!

– Proszę, Paul. Mówię to tylko dlatego, że niepokoję się o twoje szczęście. Gdy byłeś na polu bitwy, Marie zrobiła dla nas wszystkich wielkie rzeczy. To powinno być docenione. Właśnie dlatego martwię się, że to atelier sprowadzi ją na złą drogę. Marie jest ambitna, jest uzdolniona, ale... nie zapominaj, proszę, kim była jej matka.

– Tego już za wiele! Wybacz, mamó, wysłuchałem twoich zastrzeżeń, nie podzielam ich i nie chcę dłużej o tym dyskutować. Zresztą jestem już teraz potrzebny w fabryce.

Marie usłyszała jego zbliżające się kroki i zrobiła coś, czego się zawstydziała, ale było to najlepsze rozwiązanie w tej sytuacji. Otworzyła bezgłośnie drzwi gabinetu i zniknęła za nimi. Ani Paul, ani Alicia nie powinni wiedzieć, że słyszała ich rozmowę.

3

Sto lat, sto lat i po trzykroć sto lat!

Radosny chór brzmiał nierówno, efekt psuł grzmiący bas Gustava i staropanieński sopran Else, ale Fanny Brunnenmayer i tak była ogromnie wzruszona. Ten śpiew płynął przecież prosto z serc jej przyjaciół.

– Dziękuję... dziękuję...

– Niech ci dzieci los przyniesie, niech ci dzieci los przyniesie... – śpiewał dalej niezłomnie Gustav, aż jego Auguste musiała go uciszyć mocnym kuksańcem w żebra. Spojrzał na nią z wyraźnym grymasem, ale się cieszył, że rozśmieszył przynajmniej Else i Juliusa.

– Życzenie dotyczące dzieci zostawmy lepiej waszej dwójce, Gustavie – powiedziała kucharka Fanny, spoglądając na Auguste, która znów była w ciąży. To czwarte dziecko powinno być jednak ich ostatnim. I tak było im trudno wykarmić pozostałe trzy wiecznie głodne paszczki.

– Ach tak, wystarczy, że powieszę moje spodnie przy łóżku, a moja Auguste już jest w ciąży.

– A czy ktoś chciał o tym wiedzieć tak dokładnie? – skarciła go Else, rumieniąc się.

Fanny Brunnenmayer zupełnie nie zwracała uwagi na te żarty i skinęła na Hanę, żeby podawała kawę. Długi kuchenny stół był świątecznie udekorowany kolorowymi astrami i pomarańczowymi nagietkami. Hanna dała z siebie wszystko i ozdobiła nawet miejsce Brunnenmayer wieńcem z liści dębowych. Jubilatka kończyła dzisiaj sześćdziesiąt lat, wiek godny podziwu, na który kucharka żadną miarą nie wyglądała. Tylko jej włosy, związane mocno w węzeł, które niegdyś były ciemnobrązowe, posiwiały w ostatnich latach, twarz była jednak różowa, okrągła, ze skórą gładką jak nigdy.

Talerze z kanapkami zostały ustawione na stole, później miał być podany tort z prawdziwą śmietaną, z kandyzowanymi wiśniami – specjalność Brunnenmayer. Wszystkie te smakołyki zostały ofiarowane przez właścicieli willi, tak żeby Fanny Brunnenmayer mogła świętować ten szczególny dzień jak należy. Rano, w czerwonym salonie, wzniesiono specjalny toast za zdrowie kucharki, na który zaproszono wszystkich pracowników. Alicia wygłosiła mowę na cześć Fanny Brunnenmayer, podziękowała jej za trzydzieści cztery lata wiernej służby i nazwała ją „godną podziwu

mistrzynią” w swojej sztuce. Kucharka włożyła na tę okazję świąteczną czarną suknię i przypięła do niej broszkę, którą dziesięć lat temu otrzymała od państwa w prezencie. Czowała się w tym ubraniu, do którego noszenia nie przywykła, i podczas oddawania hołdu oraz obdarowywania prezentami bardzo nieswojo. Była więc szczęśliwa, gdy wreszcie mogła przebrać się w swoje codzienne ubranie i w fartuchu znów pojawić się w kuchni. Nie, pokoje państwa nie były dla niej, tam wiecznie się tylko martwiła, żeby nie przewrócić jakiejś wazy lub – co byłoby jeszcze gorsze – nie potknąć się o któryś z dywanów i nie wyłożyć się przy wszystkich jak długa. Tutaj na dole, w pomieszczeniach gospodarczych, czowała się jak w domu, tutaj rządziła niepodzielnie spiżarnią, piwnicą i kuchnią, wierząc, że będzie to robić jeszcze kilka ładnych lat.

– Częstujcie się, moi drodzy! Aż się nie skończy! – powiedziała z uśmiechem i sama sięgnęła po pyszną kanapkę z pasztetową, którą Hanna i Else ozdobiły krojonymi w plasterki korniszonami. Nikt nie kazał sobie powtarzać dwa razy. W ciągu kolejnych kilkunastu minut poza cichym szumem czajnika, stojącego na kuchni, było słycać jedynie siorbnięcie, gdy jeden z obecnych pracowników wziął większy łyk gorącej kawy.

– Ach ta pasztetowa z Pomorza! Poezja! – westchnął lokaj Julius i wytarł usta serwetką, zanim sięgnął po kolejną porcję.

– Ta wędzona kiełbasa też nie jest zła – dodała Hanna. – Jakie to szczęście, że pani von Hagemann ciągle nas zaopatruje w wielkie paczki z jedzeniem!

Else przytaknęła ostrożnie. Mogła gryźć jedynie lewą stroną, bo od kilku dni bolał ją ząb w prawej części szczęki. Nie chciała jednak pójść do dentysty, piekielnie się bała usunięcia zęba i wciąż miała nadzieję, że ból zniknie sam z siebie.

– A czy ona jest szczęśliwa na tym Pomorzu pośród krów i świń – westchnęła Else z powątpiewaniem. – Elisabeth von Hagemann pochodzi przecież z Melzerów, wychowała się tutaj, w Augsburgu.

– A czemu Lisa miałaby nie być szczęśliwa? – Hanna wzruszyła ramionami. – Ma przecież wszystko, czego jej trzeba.

– Oczywiście – wtrąciła się Auguste złośliwie. – Męża i kochanka. Najpewniej bardzo miło spędza czas.

Pod groźnym spojrzeniem, które skierowała na nią kucharka, Auguste opuściła głowę i sięgnęła po ostatnią kanapkę z pasztetową. Julius, który bardzo lubił słycać wszelkich miłosnych historii, mrugnął porozumiewawczo do Hanny, ale ta zachowywała się tak, jakby tego nie

zauważyła. Julius już wielokrotnie nieprzyzwoitymi uwagami próbował wyprowadzić ją z równowagi, ale ona mądrze na to nie reagowała.

– A jak idzie uprawa, Gustavie? – zmieniła temat Brunnenmayer. – Masz dużo zajęcia?

Gustav Bliefert rozpoczął przed dwoma laty pracę na własną rękę – uprawiał niewielki ogródek z warzywami. W dobrym momencie, zanim oszczędności Auguste zupełnie by zjadła inflacja, małżonkowie kupili łąkę niedaleko willi, wyposażyli mały budynek gospodarczy i pozakładali inspekty. Paul Melzer pozwolił ich małej rodzinie nadal mieszkać w domku w ogrodzie, bo przychody na razie nie pozwalały im na wynajęcie jakiegoś mieszkania. Gustav zrobił całkiem niezły interes na sadzonkach młodych warzyw, bo do tej pory większa część mieszkańców Augsburga żyła dzięki plonom pochodzącym z własnych ogródków. Nawet w centrum miasta ludzie wykorzystywali każdy skrawek ziemi, żeby posadzić marchewkę, seler czy kilka główek kapusty.

– Jest raczej spokojnie – powiedział Gustav powściągliwie. – Tylko kwiaty i girlandy na odpust w kościele...

Julius wycodził przez zaciśnięte usta, że każdy interes ogrodniczy potrzebuje dobrego prowadzenia księgowości, a uwaga ta spotkała się z gniewnym spojrzeniem Gustava. Wszyscy wiedzieli, że Gustav nie był człowiekiem zdolnym do zajęć biurowych. Auguste, która była wcześniej pokojówką w willi, również nigdy nie nauczyła się zapisywać prawidłowo wydatków i przychodów. To jednak Auguste troszczyła się o to, żeby w domu były dodatkowe pieniądze, i dlatego trzy razy w tygodniu przez pół dnia pracowała w willi. Nie było jej łatwo, bo musiała wykonywać wszystkie te czynności, które zostawały do zrobienia, również te, które nie należały do obowiązków pokojówki, jak przynoszenie drewna do pieca czy mycie podłogi. Ponieważ jej dziecko miało przyjść na świat w grudniu, już teraz mogła przewidzieć, że zarobki przed świętami Bożego Narodzenia będą marne.

– Co za nędza – powiedziała ponuro. – Dzisiaj chleb kosztuje trzydzieści tysięcy marek, a jutro pewnie sto tysięcy i tylko niebiosa wiedzą, jaką będzie miał cenę w przyszłym tygodniu. Kto chce kupować kwiaty? A potrzebujemy szyb do nowych inspektów. Najlepiej byłoby postawić prawdziwą dużą szklarnię. Ale skąd wziąć na to pieniądze? Nie oszczędzisz w dzisiejszych czasach. Co dzisiaj oszczędzisz, jutro już nic nie jest warte.

Fanny Brunnenmayer przytaknęła ze zrozumieniem i podsunęła w stronę

Gustava talerz z kanapkami. Biedak był głodny. Auguste mogła kilka razy w tygodniu dorwać się do stołu w willi, czasami zabierała także dzbanek mleka albo kucharka dawała jej słoik z jakimiś przetworami. Dla Liesl i dwóch chłopców. Gustav pozostawał w cieniu. Oddawał wszystko dzieciom i sam chodził głodny. Auguste dostrzegła intencję Brunnenmayer, nie podobało się jej jednak, żeby jej mąż miał być karmiony, jakby był zagłodzony. Jeszcze przed kilkoma laty Auguste ogłosiła zdecydowanie, że czasy pracy w charakterze pokojówki i kamerdynera już minęły, niedługo nie będzie już żadnych pracowników w domach bogaczy, dlatego Gustav zwolnił się z willi i otwiera własny interes. Niestety, tymczasem okazało się, że dobrze jednak było być zatrudnionym w willi. Wtedy miało się wypłacane wynagrodzenie i można było żyć bez ciągłych, dokuczliwych obaw o przyszłość.

– Ech, tak wielu teraz wszystko straciło – powiedziała Auguste, starając się zapomnieć o własnych zgryzotach poprzez skierowanie myśli na cudze nieszczęście. – Jeden sklep za drugim zamyka się w Augsburgu. W MAN-ie też pozwalniali ludzi, wojsko nie potrzebuje już broni. I najpierw fundacje, nawet te związane z Kościołem. Ich pieniądze rozplynęły się w bankach... Nie słyszeliście, że sierociniec też zbankrutował?

Nie, ta wiadomość uderzyła wszystkich niczym potężna fala.

– Sierociniec Siedmiu Męczennic? – zapytała Fanny Brunnenmayer z niepokojem. – Muszą go zamknąć? A gdzie pójda te wszystkie biedne stworzenia?

Auguste naląła sobie resztę kawy z dzbanka i dołąła do niej sporą ilość śmietany.

– Tak źle to jeszcze nie jest, Brunnenmayer. Zakonnice ze Świętej Anny dalej poprowadzą sierociniec. Pobożne siostrzyczki będą to robić za Bożą zapłatę. Ale Jordan, ta niedługo znajdzie się na ulicy, bo nie ma już pieniędzy na jej pensję.

Maria Jordan przez długie lata była zatrudniona w willi jako pokojówka, wypowiedziała jednak tę posadę i szczęśliwym zbiegiem okoliczności zaczęła prowadzić Sierociniec Siedmiu Męczennic. Fanny Brunnenmayer nigdy nie była najlepszą przyjaciółką Marii Jordan, przede wszystkim denerwowało ją stawianie kart i ten cały teatrzyk z proroczymi snami byłej pokojówki. Współczuła jej jednak. Maria Jordan nie miała nigdy lekko w życiu, co częściowo wynikało z jej trudnego charakteru, ale przyczyniły się też do tego różne niesprzyjające okoliczności, za które nie ponosiła winy. Jordan była bez

wątpienia waleczną kobietą i tym razem też wybrnie z trudnej sytuacji.

– No to wkrótce będziemy mieć tutaj bardzo miłą wizytę – zadrwiła Else, która nie znosiła Jordan. – I będziemy mogli zerknąć w naszą przyszłość, bo z pewnością przyniesie karty...

Julius zaśmiał się pogardliwie. Takie hokus-pokus, jak je nazywał, zupełnie go nie wzruszało. Uważał to za sprytny sposób, żeby wyciągnąć pieniądze od łatwowiernych głupców.

– Ona mówi prawdę – odezwała się cicho Hanna. – To jest pewne. Pytanie tylko, czy chce się znać tę prawdę. Czy nie jest lepiej, jeśli się jej nie zna.

– Prawda? – Julius odwrócił się w jej stronę z protekcyjnym uśmiechem. – Chyba nie twierdzisz, że ta oszustka może mieć jakiegokolwiek pojęcie, jak będzie wyglądać nasza przyszłość? Tacy jak ona mówią ludziom tylko to, co ci chcą usłyszeć, i wyciągają od nich pieniądze.

Hanna pokręciła głową, ale nic nie odpowiedziała. Kucharka wiedziała jednak bardzo dobrze, o czym myślała. Jordan przepowiedziała Hannie ciemnowłosego kochanka, który przysporzy jej kłopotów. Jedno i drugie się sprawdziło, ale czy to faktycznie przesądzało sprawę?

– Jordan mówi tylko czystą prawdę – krzyknęła Auguste i się roześmiała. – Wszyscy to tutaj wiedzą. Prawda, Else?

Else ze złości nacisnęła na chory ząb i skrzywiła się z bólu.

– Jesteś szczęśliwa tylko wtedy, gdy możesz plotkować o innych, co? – zaatakowała Auguste.

Wszyscy przy stole wiedzieli, że Jordan już trzykrotnie przepowiedziała Else wielką miłość. Do tej pory nie pojawił się jednak żaden książę na białym koniu, a szanse na to na pewno się nie zwiększyły, gdy wybuchła ta nieszczęsna wojna. Młodzi i zdrowi mężczyźni byli w ich kraju rzadkością.

– Wielka miłość! – powiedział Julius lekceważąco i uniósł brwi. – Co to w ogóle jest? Najpierw tacy chcą za siebie umierać, a potem nie potrafią ze sobą żyć.

– Jezu, panie Kronberger! – krzyknęła Auguste i uśmiechnęła się złośliwie, rozglądając się wokół. – Aleś pan to ładnie ujął.

– Baron von Schnitzler, mój dawny pan, starał się wyrażać w ten sposób – odpowiedział Julius, starając się nie okazać irytacji. – Nawiasem mówiąc, droga Auguste, pozwalam ci, jako człowiek skromny, mówić do mnie Julius...

– Patrzcie no... – mruknął Gustav z lekką zazdrością w głosie. – Nasz lokaj dorobił się już reputacji wytrwałego, choć nie do końca skutecznego kobieciarza.

– Pana oczywiście to nie dotyczy, panie Bliefert. Nie jest pan już pracownikiem w willi!

Gustav się zaczerwienił, bo Julius uderzył w jego kolejny słaby punkt. Oczywiście żałował, że tak łatwo zrezygnował z posady. Jego dziadek, który umarł przed rokiem, ostrzegał go: „Melzerowie troszczyli się o nas przez całe moje życie. Nie bądź arogancki i pozostań, kim jesteś”. Ale on posłuchał Auguste i teraz był w tarapatkach.

– Tylko do swoich przyjaciół zwracam się po imieniu – warknął wrogo. – A do nich pan nie należy, panie von Kronberger!

– Dość już! – krzyknęła Fanny Brunnenmayer i uderzyła pięścią w stół. – Dzisiaj są moje urodziny i nie życzę sobie kłótni. Inaczej zjem tort sama!

Hanna również przyznała, że to wielki wstyd, bo w wielki dzień pani Brunnenmayer nikomu są niepotrzebne kłótnie. Nie spojrzała jednak na Gustava, tylko na lokaja Juliusa.

– Masz rację, Hanno – powiedziała Else płaczącym tonem. Trzymała rękę na prawym policzku, bo ból niestety sam z siebie nie chciał minąć. – Gdyby nasza dobra pani Schmalzler była wśród nas, taka rozmowa między pracownikami nigdy by się nie odbyła.

Gustav mruknął pod nosem coś niezrozumiałego, ale szybko się uspokoił, bo Auguste delikatnie pogłaskała go po plecach. Julius uniósł nos wysoko i sapnął parę razy. Nie miał nic złego na myśli i nic nie poradzi, że niektórzy ludzie są nadwrażliwi.

– Gdy tak się was słucha, można pomyśleć, że ta pani Schmalzler naprawdę miała jakąś magiczną moc, co? – Julius uderzył w ironiczny ton, bo irytowało go, że musi wysłuchiwać tych wiecznych opowieści o legendarnej gospodyni.

– Pani Schmalzler traktowała każdego z nas na swój sposób – powiedziała Fanny Brunnenmayer z charakterystyczną dla niej stanowczością. – Była dla nas autorytetem, ale w dobrym znaczeniu. Rozumiesz?

Julius sięgnął po filiżankę z kawą i przyłożył ją do ust, ale gdy zauważył, że jest pusta, odstawił ją na stół.

– Oczywiście – odpowiedział z wymuszoną życzliwością. – Wielka starsza pani. Rozumiem. Może się teraz cieszyć czasem odpoczynku jeszcze przez

wiele lat.

– Wszyscy jej tego życzymy – odpowiedziała Hanna. – Łaskawa pani wciąż dostaje od niej listy. Myślę, że pani Schmalzler dużo myśli o nas wszystkich, o nas z willi. Łaskawa pani przesyła jej coraz to nowe zdjęcia w kopertach. Zdjęcia swoich wnuków.

Auguste, która nigdy nie była wielką przyjaciółką gospodyni, dodała tylko, że pani Schmalzler odeszła na własne życzenie. Jeśli teraz czuła tęsknotę za byciem w posiadłości, może za to winić jedynie siebie.

– A jeśli już przy tym jesteśmy, dostała pani nowy list, pani Brunnenmayer. Z Berlina. A jeśli się nie mylę, były tam także zdjęcia.

Kucharka dobrze wiedziała, do czego zmierza Auguste. Nie chciała jednak rozstawiać fotografii Humberta po całej kuchni, bo przede wszystkim Julius nie byłby w stanie tego zrozumieć. Humbert występował w berlińskim kabarecie w przebraniu kobiety. I jak się wydawało, z wielkimi powodzeniem. Fanny Brunnenmayer wiedziała jednak doskonale, co zrobić, żeby ten drażliwy temat zniknął z za stołu.

– Hanno, przynieś duży nóż i łopatkę do tortu. Else! Nowe talerze! I widelczyki do ciasta. Dzisiaj posilamy się jak zamożni ludzie. Julius, niech pan postawi garnek z wodą na stole, żebym mogła w nim moczyć nóż, gdy będę kroić tort.

Na widok białego, puszystego cudu ze śmietany, który został artystycznie ozdobiony płatkami czekoladowymi oraz rozpylonym napisem „Jubilatka”, wszystkim wrócił dobry nastrój. Wszelkie przykrości i zadry poszły w niepamięć. Julius wyciągnął zapalniczkę – prezent od poprzedniego pracodawcy – i zapalił sześć czerwonych świeczek, które Hanna wetknęła w tort. Jedna na każde dziesięciolecie życia.

– To arcydzieło, pani Brunnenmayer!

– Przeszła pani samą siebie, Brunnenmayer!

– Aż szkoda go jeść!

Fanny Brunnenmayer patrzyła z zadowoleniem na swoją pracę, którą oświetlały uroczyście płonące świece.

– Musi je pani zdmuchnąć! – krzyknęła Hanna. – Wszystkie za jednym razem, inaczej będzie nieszczęście.

Wszyscy się pochylili, żeby obserwować Fanny Brunnenmayer podczas tej ważnej czynności. Kucharka dmuchnęła z takim zapalem, jakby miała do

zgaszenia nie sześć, ale sześćdziesiąt świeczek, i otrzymała za to gromkie brawa. Potem sięgnęła po nóż i zaczęła kroić tort.

– Hanna, dziecko, podaj mi talerz!

– To jest biszkopt – szepnęła Auguste. – I kandyzowane wiśnie. Z likierem wiśniowym. Czujesz to, Gustav? I pokaźna warstwa marmolady.

Nastało nabożne milczenie. Hanna przyniosła dodatkowy dzbanek kawy, który podgrzewał się na piecu. Każdy siedział przed swoim kawałkiem tortu i oddawał się słodkiej rozkoszy. Takie torty pojawiały się tylko na stole państwa, i to wyłącznie wtedy, gdy zapraszano ważnych gości albo przy szczególnych okazjach. Kto miał szczęście, udało mu się zebrać okruchy z paterki albo wylizać potajemnie łyżeczkę od tortu.

– Zupełnie się upiłam tym likierem wiśniowym – zaśmiała się Hanna.

– Jak miło – skomentował Julius z lubieżnym uśmiechem.

Else mogła mieć jedynie połowiczną przyjemność z jedzenia, bo wszystko, co słodkie, potęgowało ból w jej chorym zębie. Mimo to nie potrafiła się oprzeć, gdy kucharka położyła każdemu na talerzu drugi kawałek. Na paterze zostało już tylko sześć częściowo wypalonych świeczek, które Else wytarła i włożyła z powrotem do pudełka. Kto wie, czy instalacja gazowa znowu nie zaszwanuje i nie będą musieli siedzieć w ciemności.

– Minęła już dziesiąta – powiedziała Auguste, zeskrobując resztki ze swojego talerza. – Musimy iść, Liesl co prawda dobrze sobie radzi z chłopcami, ale nie chcę ich zostawiać samych zbyt długo.

Gustav dopił kawę i wstał, żeby wziąć swoją kurtkę i przynieść pelerynę Auguste. Zaczynało się robić zimno. W parku wiatr niósł krople deszczu i rozwiewał na drodze pierwsze jesienne liście.

– Zaczekajcie! – nakazała kucharka. – Zapakowałam coś dla was. Koszyk możesz mi przynieść jutro rano, Auguste.

– Niechaj panią Bóg błogosławi, Brunnenmayer – odparł zawstydzony Gustav. – I pięknie dziękujemy za zaproszenie!

Miał niewielkie trudności z chodzeniem, ale tylko wtedy, gdy zbyt długo siedział. W innych sytuacjach – przynajmniej tak twierdził – chodziło mu się z protezą zupełnie dobrze i blizna go już nie bolała. Jego lewa stopa została pod Verdun. Ale i tak miał wiele szczęścia, bo jego liczni towarzysze zostawili tam i ciało, i życie.

Else też się pożegnała, chciała się wyspać, bo rano musiała wcześniej wstać

i rozpalić w piecu w jadalni.

Hanna i Julius zostali jeszcze przez chwilę przy stole. Wszyscy plotkowali o małym Leo, którego wczoraj Hanna odprowadziła do jego przyjaciela Waltera Ginsberga.

– Grał tam na pianinie – powiedziała Hanna. – Pani Ginsberg ćwiczyła z nim – o rety – ten chłopiec jest taki muzykalny! Jak pięknie potrafi grać. Czegóż takiego nigdy jeszcze nie słyszałam.

– A czy łaskawy pan o tym wie? – zapytał Julius z powątpiewaniem.

Hanna wzruszyła ramionami.

– Nie pytał o to, to i ja mu nie powiedziałam.

– Żeby nie wywołało to niepotrzebnych problemów...

Fanny Brunnenmayer musiała podtrzymywać dłońmi głowę, tak się nagle zrobiła senna. Nic dziwnego. To był długi, męczący dzień, zwłaszcza emocjonalnie, bo musiała przecież wobec wszystkich w czerwonym salonie słuchać mowy pochwalnej na swoją cześć.

– Chcę coś jeszcze pani powiedzieć.

– A nie możesz poczekać z tym do jutra, dziecko? Jestem wykończona.

Hanna się zawahała, ale gdy Brunnenmayer się jej bliżej przyjrzała, zrozumiała, że to, co dziewczyna chciała teraz z siebie wyrzucić, musiało być bardzo ważne.

– No, mówże już!

Julius ziewnął i przysłonił sobie elegancko usta dłonią.

– Może chcesz wyjść za mąż? – zażartował.

Hanna potrząsnęła głową i spojrzała niepewnie na swój pusty talerz. Wzięła się jednak w garść i zrobiła głęboki wdech.

– A więc tak: łaskawa pani chce, żebym pracowała jako szwaczka w jej atelier... Otwarcie ma nastąpić jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

To było jak grom z nieba i Brunnenmayer natychmiast znów się rozbudziła. Hanna zawsze miała specjalne względy u Marie Melzer. Teraz młoda pani chciała z niej zrobić krawcową. A przecież Hanna zupełnie nie potrafiła szyć. Tyle że jeśli pani Melzer coś sobie wbiła do głowy, to tak właśnie musiało być.

– Patrzcie no! – zdziwił się Julius i potrząsnął głową. – A kto będzie

pomagał w kuchni?

Zostawała tylko Auguste. A i ona niebawem przestanie przychodzić.

– To są właśnie nowe czasy, Juliusie – mruknęła Fanny Brunnenmayer. – Teraz państwo sami sobie obierają ziemniaki.

4

Kitty włożyła list do torebki, przeczyta go później. Ostatnio Gérard i tak ciągle pisał to samo. Zawalony był pracą w fabryce jedwabiu, jego matka była chora, a ojciec miał trudny charakter. Siostra w nadchodzących tygodniach po raz drugi zostanie matką. Jak pięknie. A potem wyznania miłosne. Myśli dniami i nocami o swojej zachwycającej Cathérine i jest prawie zdecydowany, żeby w przyszłym roku starać się o jej rękę. Ale to samo obiecywał w zeszłym roku. Nie – wielka namiętność, która ich łączyła, mocno osłabła, Kitty nie czekała już na Gérarda Duchamps.

Podobało jej się swobodne życie, które teraz prowadziła. Nikt za nią o niczym nie decydował, żaden mąż, ojciec, co najwyżej brat Paul próbował się wtrącić od czasu do czasu. Albo mama. Ale nic sobie z tego nie robiła, postępowała, jak chciała. I była zdeterminowana, żeby pomóc swojej bratowej Marie w zyskaniu większej niezależności. Jej zdaniem Marie zamieniła się w bladą kurę domową, odkąd Paul przejął stery w fabryce. Oczywiście wszyscy się ogromnie cieszyli, że ich kochany Paul cały i – poza tą paskudną historią z ramieniem – zdrowy wrócił z tej okropnej wojny. Ale to nie był powód, żeby jej ukochana Marie zmarnowała swoje zdolności. Gdy Kitty sama upadła na samo dno, gdy poległ Alfons i z rozpaczy nie chciała już dalej żyć, to Marie przypomniawszy jej dobitnie o jej talencie. „Dar, który otrzymało się z mlekiem matki, jest zobowiązaniem, któremu nie wolno się przeciwstawiać”, powiedziała jej wtedy Marie. To samo tyczyło się przecież i jej. Była córką malarki, wymyślała rzeczy godne podziwu, przede wszystkim projektowała nieprawdopodobnie wspaniałe suknie. Eleganckie, ekstrawaganckie, skandaliczne albo zupełnie proste – Kitty często ją pytała, czy mogłaby zaprojektować i dla niej również piękne rzeczy.

– Nasza Marie jest artystką, Paul! Nie możesz jej zamknąć w willi! Ona tutaj zwiędnie jak chory kwiat.

Paul na początku się obruszał, twierdząc, że Marie jest szczęśliwa w roli żony i matki. Ale Kitty nie dawała za wygraną i – cóż za niespodzianka – jej wysiłki przyniosły wreszcie zasłużone owoce. Ach, przecież wiedziała, że tak będzie. Marie dostała atelier! Jej Paul był tak wspaniałym mężem, Kitty niemalże żałowała, że sama nie mogła go poślubić.

Dom przy Karolinenstraße robił jednak na razie dość nieprzyjemne wrażenie. Zaraz po śniadaniu namówiła Marie, żeby pojechała z nią do miasta na małe „ogłędziny” tego miejsca, uważając, że jest to znakomity pomysł.

Gdy jednak zobaczyła ślepe okna wystawowe i drzwi wejściowe, które wyglądały, jakby wiele przeszły, pożałowała swojej gwałtownej reakcji i starała się ratować, co jeszcze było do uratowania.

– Co za piękny dom! – krzyknęła i objęła Marie. – Spójrz tylko, są nawet trzy piętra, jeśli liczyć poddasze. I ten dach dwuspadowy na tle niebieskiego nieba – czyż to nie zabawne? Oba okna wystawowe muszą zostać powiększone, w drzwi wejściowe trzeba wprawić szybę. A nad nimi pojawi się złotymi literami: „Studio Mody Marie”.

Marie była znacznie mniej przerażona, niż Kitty się obawiała, że będzie. Uśmiechnęła się w odpowiedzi na te podbudowane ekscytacją przemowy swojej szwagierki i powiedziała, że jest jeszcze wiele do zrobienia, ale sądzi, że udałoby się otworzyć studio jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

– Oczywiście... Zdecydowanie. Na początku grudnia byłoby najlepiej. Tak żeby twoje modele mogły się pojawić na bożonarodzeniowych stołach z prezentami!

Wiedziała jednak doskonale tak jak Marie, że będzie to bardzo trudne... Jeśli inflacja wciąż w takim tempie będzie rosnać, stoliki z prezentami będą zapewne puste. W wielu rodzinach nie działo się dobrze – Henny opowiadała o kolegach ze szkoły, którzy nie jedli w ogóle gorących posiłków i chodzili w dziurawych ubraniach. Kitty spakowała kiedyś znoszone sukienki Henny i poprosiła Hannę, żeby zaniosiła je do sióstr od Świętej Anny. Chciała, żeby rozdały je potrzebującym rodzinom.

– Wejdzmy do środka – powiedziała Marie, która dostała wcześniej klucz od Paula.

– Ale bądź ostrożna. Tam jest okropnie brudno.

Miała rację. Miejsce po dawnym sklepie z porcelaną sprawiało przykre wrażenie. Natychmiast buchnął im w twarz duszny zapach kleju, tektury i pasty, którą dawno temu musiano wcierać w podłogę. Gdy Marie próbowała zapalić światło elektryczne, żarówka przy suficie okazała się przepalona.

– Och... – powiedziała Marie, rozglądając się wokoło. – Trzeba będzie porządnie zakasać rękawy.

Kitty przejechała palcem po jednym ze starych stołów i napisała na kurzu „Studio Mody Marie”. Po czym zachichotała.

– Ech! To wszystko nadaje się wyłącznie na opał, Marie. Spójrz, każdy mebel się chybcze. Ale tamto pomieszczenie z tyłu mogłoby zostać przerobione na sklep. Jest tam więcej pokoi?

Marie otworzyła drzwi i zobaczyły zużyte biurko, krzesła i brudne regały, na których leżały wciąż teczki z dokumentami i kartonowe pudełka.

– Mieli więc biuro. Zobacz, tam jest podłączenie do telefonu. Jak praktycznie, będziesz go potrzebować, Marie. O, są i pajęczyny rozpięte na suficie. Wiszą tu z pewnością od lat. Ciekawe, czy są myszy.

– Prawdopodobnie tak.

Kitty ugryzła się w język. Dlaczego wygadywała te wszystkie głupie rzeczy? Myszy! Oczywiście, że są myszy, ale nie musiała na nie zwracać uwagi Marie.

– Ta kamienica jest dużo większa, niż sądziłam! – powiedziała Marie, odkrywając kolejne pomieszczenia.

Z tyłu domu odkryły ogród zimowy, niesamowicie piękny projekt otoczony konstrukcją z żelaznych, meandrycznych wzorów i szkła. W niektórych miejscach niestety zaprawa cementowa odpadła, a dwa kawałki szyby wypadły z oprawy i leżały potłuczone na ziemi.

– Trzeba natychmiast zacząć działać – powiedziała Marie. – Byłaby wielka szkoda, gdyby ten piękny budynek zupełnie popadł w ruinę.

Kitty wytarła kawałkiem gazety mały okrąg w brudnej szybie i wyjrzała. Ten maleńki ogród zupełnie zarósł chwastami.

– Cóż za dzicz, powinniśmy Gustava...

Kitty zamilkła, bo usłyszała kroki. Obie kobiety spojrzały na siebie pytająco.

– Zamknęłaś drzwi, gdy weszłyśmy, Marie? – zapytała Kitty szeptem.

– Tak sądziłam...

Stały nieruchomo i nasłuchiwały z bijącymi sercami. Kroki stawały się coraz bliższe, ale po chwili niespodziewany gość kichnął i musiał się zatrzymać, żeby wytrzeć nos.

– Pani Melzer? Marie? Jest pani tam? Jestem tutaj.

– Klippi! – krzyknęła Kitty z wyrzutem. – Przestraszył nas pan! Sądziłyśmy, że nadchodzi jakiś podstępny morderca.

Ernst von Klippstein wyglądał na prawdziwie zaskoczonego i stwierdził, że zupełnie nie przewidział takiego efektu.

– Przechodziłem tędy i zobaczyłem, że wchodzą panie do budynku.

Pomyślałem, że może mógłbym w czymś pomóc.

Poparł swoje słowa lekkim ukłonem, nieco wojskowym. Chociaż od kilku lat żył w Augsburgu, Ernst von Klippstein pod wieloma względami zachowywał się jak pruski oficer.

– Cóż – powiedziała Marie z uśmiechem. – Skoro już tu pan jest, może nam pan towarzyszyć, gdy pójdziemy na wyższe piętra. Ale ostrzegam. Gdy tylko Kitty widzi gdzieś pająka, natychmiast mdleje.

– Ja? – krzyknęła Kitty podenerwowana. – Cóż to za bzdury opowiadasz, Marie. Nie boję się ani pajaków, ani os, ani mrówek. Ani nawet komarów. Co najwyżej myszy. Ale tylko wtedy, gdy szybko biegną...

Ernst von Klippstein zapewnił, że jeśli któraś z pań zasłabnie, na pewno weźmie ją w ramiona i zanieśie do willi.

– W takim razie możemy iść na górę – stwierdziła Marie.

Na pierwszym piętrze, gdzie Müllerowie przechowywali towar, wciąż stały puste skrzynie i kartony. Dwa pokoje były czasowo wynajmowane studentom, stały więc tam łóżka i kilka starych mebli. Wszystko to wyglądało przytłaczająco i ponuro. Na drugim piętrze były dwa małe pomieszczenia. W jednym mieszkali państwo Müllerowie, drugie stało puste. Wcześniej mieszkała tam rodzina, która jakiś czas temu się wyprowadziła.

– Lekarz – powiedział von Klippstein. – Przed wojną pracował w szpitalu. W czasie wojny był sanitariuszem i został w Rosji. Jego żona z szycia utrzymywała siebie i dwóch synków. Nie była jednak w stanie płacić czynszu i mieszka teraz gdzieś w starej części miasta.

– Ta przekłeta, bezsensowna wojna – mruknęła Marie i potrząsnęła głową. – Czy Paul zatroszczył się jakoś o tę kobietę?

Von Klippstein zaprzeczył. Tym może zajęli się Müllerowie po sprzedaży domu. W zamyśleniu zeszli schodami na dół i Kitty postanowiła pocieszyć trochę Marie.

– Mój Boże, Marie! Nie rób takiej smutnej miny. Tak już jest w życiu, raz z górki, a raz pod górę... A może chcesz zatrudnić tę kobietę jako szwaczkę? To by pomogło wszystkim, prawda? – Ponura twarz Marie w jednej chwili nieco się rozjaśniła.

– To jest dobry pomysł, Kitty... Tak mogłabym zrobić. Oczywiście pod warunkiem, że ona potrafi dobrze szyć.

– Z pewnością co najmniej tak dobrze jak Hanna.

– Hanna uczy się ode mnie, Kitty. Jestem przekonana, że potrafi znacznie więcej niż myć naczynia i wyrabiać ciasto. Jeśli będzie dobrą krawcową, sama będzie mogła zarabiać na życie.

– Już dobrze, moja kochana, opiekuńcza, troszcząca się o wszystkich ludzi na świecie Marie o złotym sercu. Jeśli o mnie chodzi, Hanna może być wspaniałą krawcową. Ale załóż jej jeszcze złoty naszyjnik na szyi i podaruj jakiś pałac. Księżniczka Hanna spod złotej igły.

– Ach, Kitty!

Paplanie Kitty Marie trochę rozbawiło, podobnie jak Ernsta von Klippsteina. Całej trójce dobrze to zrobiło, ponury nastrój, który ich ogarnął na widok pustych pokoi, nagle się rozwiął. Kitty zaproponowała, żeby na dole w sklepie pokryć białym lakierem dwa nadwątlone zębem czasu drewniane stoły z toczonymi nogami. Efekt murowany.

– Tak w ogóle nie powinniśmy malować ścian na śnieżnobiały kolor, tylko na delikatny kremowy. Rozumiesz, Marie? Tak będzie bardziej elegancko. Kremowy kolor ze złotymi dodatkami będzie wyglądał królewsko. Będziesz mogła wtedy żądać za swoje projekty podwójnej ceny!

– Ach, Kitty – westchnęła Marie, rozglądając się po pustym sklepie nieco bezradnie. – Kto będzie sobie mógł pozwolić w tych ciężkich czasach na kupno nowych ubrań?

– Mógłbym pani wyliczyć takich państwa, którzy mogą sobie pozwolić na całe szafy takich modnych sukien – powiedział z przekonaniem Ernst von Klippstein. – Musi pani uwierzyć w swoje projekty, Marie. Na pewno odniosą sukces.

Czy mówił tak tylko, żeby dodać Marie odwagi? Kitty wiedziała, że biedny Klippi wciąż jest zakochany w jej bratowej, choć dobrze wiedział, że nie powinien sobie robić żadnych nadziei.

– Tylko... Paul włożył tak wiele pieniędzy w to atelier... A jeszcze są potrzebne prace remontowe. Wyposażenie. Materiały. Wynagrodzenie dla krawcowych. Czasami robi mi się słabo, gdy o tym myślę.

Kitty przewróciła oczami. Tak, no i co z tego? Marie w czasie wojny zarządzała fabryką tekstylną Melzerów, prowadziła negocjacje handlowe, zawierała transakcje, nadzorowała produkcję papieru. A teraz boi się otworzyć to maleńkie studio mody?

– Niech mi pani wierzy, Marie – powiedział von Klippstein dobitnie. – Ta inwestycja to najlepsze, co Paul mógł zrobić z pieniędzmi. Inwestowanie to

magiczne słowo w naszych czasach. Kto tylko trzymał pieniądze, już na pewno je stracił.

Marie odpowiedziała mu wdzięcznym spojrzeniem, które Ernst von Klippstein przyjął z radosnym uśmiechem. Kitty przypuszczała, że dobry Klippi cały miesiąc będzie żył tą chwilą.

– Czy mógłbym odwiedzić drogie panie do willi? Czy może mają panie inne plany? Mój samochód stoi przed sklepem.

Von Klippstein od jakiegoś czasu był posiadaczem opla torpedo, używanej limuzyny. Nabył ten samochód ze względów czysto praktycznych, gdyż w przeciwieństwie do Paula nie miał obsesji na punkcie samochodów. Wychował się w posiadłości swoich rodziców i zanim doznał obrażeń na wojnie, był doskonałym jeźdźcem. Teraz musiał odłożyć w kąt buty do jazdy konnej. O tym, że wciąż odczuwał ból przy chodzeniu i siedzeniu, wspominał jednak rzadko. Samochód stanowił najwygodniejszy środek transportu, którym mógł się poruszać po Augsburgu. Marie odmówiła, miała jeszcze kilka spraw do załatwienia i chciała wrócić później tramwajem.

– W takim razie życzę paniom miłego dnia.

Podczas gdy Marie tym razem bardzo dokładnie zamykała drzwi, Kitty obserwowała oddalającego się von Klippsteina. Był to wciąż bardzo przystojny mężczyzna, nieżonaty, współwłaściciel rozwijającej się fabryki tekstyliów, a do tego posiadał także samochód. Spełniał wszystkie kryteria, by można było go nazywać dobrą partią.

– Co właściwie robił Klippi o tej porze w mieście? – zastanawiała się. – Nie powinien teraz siedzieć w swoim paskudnym biurze w fabryce?

Marie oparła się mocno o drzwi, tym razem były dobrze zamknięte.

– Może chciał kupić prezent dla syna? Jakoś niebawem powinien mieć urodziny. Sądzę, że to chyba będą dziewiąte.

– Ach, prawda, jest przecież rozwiedziony, jak ta jego żona miała na imię... Cóż, właściwie to obojętne. Mają syna, który odziedziczy całą posiadłość. Biedny Klippi. Pewnie chciałby zobaczyć, jak jego syn dorasta.

– Adele – powiedziała Marie. – Ma na imię Adele.

– Tak. Adele. Okropna kobieta. Dobrze, że od niej odszedł... O Boże, teraz naprawdę zaczęło padać. A ja nie mam parasola.

Na szczęście zabrała go Marie. Pod czarnym parasolem, który niegdyś należał do Johanna Melzera, poszły obie do sklepu z kawą i konfiturami,

kupiły funt kawy oraz torebkę z kostkami cukru, a potem udały się na przystanek tramwajowy.

– W samochodzie Klippiego byłoby dużo przyjemniej – stwierdziła Kitty ze złością, patrząc na swoje przemoczone buty.

– Na pewno byłoby bardziej sucho – dodała Marie z żalem.

Czekając, aż przyjedzie właściwy tramwaj, postanowiły w końcu wziąć jedną z dorożek, które od jakiegoś czasu znów kursowały w mieście. Nie chciały nabawić się przeziębienia przy tej zimnej pogodzie.

Cały hol wejściowy w willi wypełniał kuszący zapach pieczonego mięsa z cebulą, przyprawionego majerankiem. Brunnenmayer ściągała właśnie garnek z obiadem z pieca. Else była od kilku dni niedysponowana i z niezrozumiałych dla Kitty przyczyn musiała co jakiś czas iść do swojego pokoju na górnym piętrze. W holu stał Julius – zabrał od nich obu mokre płaszcze i kapelusze, a potem przyniósł im suche buty. Mokre obuwie zabrał do pralni, żeby wyschło na rozłożonych gazetach. Potem miał się nimi zająć z pomocą rozmaitych substancji, które znał jedynie on, a które sprawiały, że skóra znów stawała się delikatna i wyglądała jak nowa.

– Łaskawa pani oczekuje pani w czerwonym salonie.

Powiedział to do Marie, ale Kitty, która wiedziała już, o co chodzi, postanowiła wziąć udział w rozmowie. Mama z wiekiem staje się coraz bardziej osobliwa, pomyślała. Fakt, że nadeszły nowe czasy, zupełnie jej nie obchodził, co może nie było takie dziwne, gdy wzięło się pod uwagę, że kochana mama była już dobrze po sześćdziesiątce.

Alicia Melzer czekała na synową, stojąc przy oknie, skąd miała dobry widok na większą część parku. Gdy Kitty weszła do pokoju razem z Marie, Alicia zmarszczyła czoło.

– Henny już o ciebie pytała, Kitty... Może powinnaś do niej zejść...

– Och, myślę, że Hanna się nią zajęła.

Alicia westchnęła zrezygnowana. Nie miała zamiaru tryskać energią, a przy uporze Kitty nawet ona na niewiele by się zdała.

– Mam do pomówienia z Marie.

Kitty usiadła na fotelu i uśmiechnęła się do matki, a Marie z zatroskaną miną zajęła miejsce obok niej. Alicia wybrała sofę.

– Doszły mnie słuchy, że Leo był dwukrotnie z wizytą u Ginsbergów. Dobra znajoma, pani von Sontheim, widziała tam Hannę z chłopcem. Zapytałam

dzisiaj Hannę i przyznała, że towarzyszyła tam Leo. A poza tym, co uważam za szczególnie niepokojące, mój wnuk brał tam lekcje gry na pianinie.

Musiała zrobić przerwę, żeby wziąć głębszy oddech. Ta sprawa wyjątkowo mocno ją zdenerwowała, a od jakiegoś czasu Alicia miała duszności.

– Hanna zrobiła to na moje polecenie, mamó – odpowiedziała Marie cicho, ale stanowczo. – Nie wiedziałam, że Leo uczył się tam gry na pianinie. Szkoda, że zrobił to za naszymi plecami, ale nie uważam, by było coś nagannego w tym, że chce się uczyć grać.

– Wiesz bardzo dobrze, Marie – mówiła Alicia gderliwie – że Paul nie popiera tych jego skłonności. Niedobrze, że nie wspierasz męża w tym względzie.

– To chyba jest sprawa Paula i jego żony Marie, prawda, mamó? – wtrąciła się Kitty. – A gdyby kogoś interesowało moje zdanie, to uważam, że im bardziej będziecie zabraniać chłopcu gry na pianinie, tym bardziej będzie go do niej ciągnęło.

Mina Alicii nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że zdanie Kitty na ten temat zupełnie jej nie interesuje. A skoro Marie stanowczo milczała, pani Melzer przeszła do następnej sprawy.

– Zostało też, jak sądzę, postanowione, że Hanna będzie pracowała poza domem. Mnie nikt o to nie zapytał, ale nie będę już tego roztrząsać. Hanna po początkowych trudnościach zupełnie dobrze sobie radzi jako pomoc kuchenna. Do innych obowiązków też można ją przygotować, nadaje się zwłaszcza do opieki nad dziećmi. Jeśli opuści willę, będzie nam brakowało służby.

– Masz całkowitą rację, mamó – powiedziała krótko Marie. – Uważam, że powinniśmy zatrudnić kogoś do pomocy w kuchni, najlepiej zaufaną osobę, która zajmie się też dziećmi.

– Cieszę się, że się zgadzamy w tej kwestii, Marie – przerwała jej energicznie Alicia, a niezadowolenie malujące się na jej twarzy zastąpił teraz lekki uśmiech.

Odkąd wiosną przestała u nich pracować opiekunka do dzieci, Alicia Melzer próbowała przekonać Marie, że dzieci potrzebują profesjonalnej wychowawczynie, ale jej synowa do tej pory nie widziała takiej potrzeby. Żadne z trójki dzieci – ani Dodo, ani Leo, ani Henny – nie lubiło ostrej opiekunki, więc gdy odeszła, dzieci poczuły się jak uwolnione z łańcucha.

– Jeśli chodzi o pracę w kuchni, mogłabym sobie w tej roli wyobrazić

Gertie – wtrącała się Kitty. – Była kiedyś zatrudniona u Lisy na Bismarckstraße, to bardzo sprytna dziewczyna. Posługiwała chyba też u Kochendorfów, ale nie podobało się jej tam.

– Cóż – odpowiedziała cierpliwie Alicia. – Zwrócimy się raczej do agencji, na szczęście nie brakuje bezrobotnych młodych kobiet.

Kitty przytaknęła przyjaźnie i postanowiła, że przy okazji sprawdzi, gdzie się teraz podziewa Gertie. Nie trzeba wszystkiego pozostawiać przypadkowi. Po chwili na korytarzu rozległ się dźwięk gongu, ogłaszający porę obiadową. Oznaczało to, że Paul wrócił już z fabryki, a Julius jest gotowy do serwowania posiłku. Na korytarzu słychać było szybkie kroki – to Hanna prowadziła dzieci na posiłek.

– Jeśli chodzi o opiekę nad dziećmi – powiedziała Alicia, gdy Marie już się podnosiła, żeby pomóc Hannie – mam na myśli konkretną osobę z najlepszej rodziny, która poza doskonałym wykształceniem przejawia także ogromne zrozumienie dla młodych ludzi.

Kitty zrobiło się słabo, bo pojęcie mamy o dobrym wychowaniu pochodziło przecież z poprzedniego stulecia.

– A kim jest ta nieskazitelna dama?

– Och, znacie ją bardzo dobrze – powiedziała Alicia z zadowoleniem. – Chodzi o Serafinę von Dobern, z domu von Sontheim. Najlepszą przyjaciółkę Lisy.

Alicia zrobiła przy tym minę, jakby właśnie wręczyła im najlepszą niespodziankę świąteczną. Kitty była przerażona. Wszystkie przyjaciółki Lisy były urodzonymi intrygantkami, szczególnie trudną osobą była Serafina. Wcześniej robiła sobie nadzieje co do Paula, a potem poślubiła majora von Doberna, żeby – jak mówiono – zostać „dobrze wyposażoną”. Biedak von Dobern poległ pod Verdun.

– To nie jest dobry pomysł, mammo!

Alicia wyjaśniła, że po śmierci męża – bohatera wojennego – Serafina zmaga się z problemami finansowymi, a jej matka też niestety nie jest w stanie podać jej pomocnej dłoni. Lisa również zwracała w listach uwagę na tragiczną sytuację swojej przyjaciółki. No tak, oczywiście znów Lisa, pomyślała Kitty gniewnie. To do niej podobne. Ściągnie na ich barki tę irytującą kobietę.

– Nie, mammo – zaprotestowała stanowczo. – Ta osoba nawet przez sekundę nie będzie się zajmować moją Henny.

Alicia milczała, ale było oczywiste, że jest odmiennego zdania.

Listopad 1923, Pomorze, okręg Kolberg¹- Körlin

Elisabeth wzdrygnęła się z zimna i starała się jeszcze wyżej podnieść skórzany kołnierz kurtki. Gdyby włożyła futro, nie byłaby taka bezbronna wobec lodowatego wiatru, siedząc na koźle tego staromodnego wehikułu. Znacznie bardziej wolałaby teraz przycupnąć w samochodzie między kolejnymi zakupami, ale ciotka Elvira uważała, że wówczas stałaby się pośmiewiskiem ludzi. Niewiarygodne, że ciotka towarzyszyła jej na koźle, mówiła, śmiała się i silnymi uderzeniami bata kierowała swoją szkapą o imieniu Jossi. W dodatku trzymała cugle bez rękawiczek, a jej palce nie były nawet sztywne z zimna.

– Popatrz no, dziewczyno. – Uniosła podbródek, żeby nabrać pewności, że Elisabeth zobaczy to, o co jej chodziło. – Tam w Gervin, w starym drewnianym kościele, kilka lat temu w noc noworoczną widziano pewną kreaturę. Zakradł się do kościoła, ten złoczyńca. Był cały czarny, a jego twarz była wykrzywiona w okropnym grymasie!

Elisabeth zmrużyła oczy i dostrzegła w oddali domki i stary kościół ze szkieletowymi pruskimi ścianami, znajdujące się w miasteczku Gervin. Jechały z Kolbergu i – na szczęście – nie były już daleko od posiadłości von Maydornów. Było zaledwie tuż po piątej, ale niebo ciężko wisiało nad ziemią. Czuć było nadchodzącą noc.

– Zupełnie czarny? To jak mogli go widzieć w nocy?

Elvira prychnęła. Nie lubiła, gdy wątpiono w jej opowieści o duchach. Traciła rezon, gdy musiała wszystko wyjaśniać. Stawała się wówczas po prostu niemą. Elisabeth nie była jeszcze do końca pewna, czy ciotka wymyślała te historie, żeby zaskoczyć słuchaczy, czy też sama w nie wierzyła.

– Był wtedy księżyc w pełni, Liso. Dobrze go więc widzieli, tę niezwykłą kreaturę. Kulał, a jego lewa stopa nie wyglądała jak u człowieka. To były końskie kopyta...

Elisabeth już miała powiedzieć, że diabeł ma przecież kopyta kozła, ale się powstrzymała. W milczeniu zawiązała mocniej chustę na głowie i przeklinała

wyboistą drogę, na której powóz co rusz podskakiwał, tak że brzęczały szklane butelki, umieszczone z tyłu powozu. Najchętniej schowałaby dłonie do kieszeni kurtki, ale musiała się mocno trzymać obiema rękami siedzenia, żeby nie spaść z kozła.

– Zapomnialiśmy o zapałkach, ciociu!

– Ach, cóż to za pech! – przeklinała pod nosem ciotka Elvira. – Czy nie mówiłam jeszcze dzisiaj rano, że musimy pamiętać o zapałkach? Zostały tylko trzy pudełka, a te szybko zużyjemy.

Elvira gwałtownie ściągnęła lejcami konia, który najwyraźniej już czuł smak karmy, którą niebawem miał dostać, bo biegł coraz szybciej.

– Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby pan Winkler nie zużywał tylu zapałek do lampy olejnej. Czy to normalne, że zdrowy mężczyzna siedzi pół nocy w bibliotece i czyta książki? On jest chyba chory. Nie na ciele, ale na umyśle. I jest taki miły i uprzejmy. Cokolwiek się do niego powie, on się uśmiecha od ucha do ucha.

– Ma dobre maniery.

– On jest takim potakiwaczem. Nie mówi tego, co naprawdę myśli. Trzyma język na wodzy, ale ja i tak wiem, co się tam w nim gotuje!

– Wystarczy już, ciociu...

– Nie chcesz słuchać? Ale ja i tak ci powiem, Liso. Spogląda za tobą ciągle ten mól książkowy o dobrych manierach. Nie chciałabym wiedzieć, o czym marzy w nocy, bo to mogą być bardzo sprośne myśli.

Elisabeth była rozgniewana. Gospodarstwa nie objął nawet cień postępu technicznego, nie było energii elektrycznej ani przyłącza gazowego, wieczorami siedzieli przy starej dobrej lampie naftowej, a zimą chodzili spać z kurami. Dla biednego Sebastiana, który zajmował się w życiu przede wszystkim pisaniem różnego rodzaju dokumentów i traktatów, nie było tutaj odpowiedniej, w miarę prostej pracy, zwłaszcza że miał słaby wzrok. Ach, pisał tak piękne, przydatne strofy przede wszystkim o tutejszym krajobrazie i ludziach mieszkających na Pomorzu Gdańskim. Zbierał też stare wierzenia i legendy, na przykład tę o wodzie wielkanocnej², o jeźdźcu na siwym koniu³, o słomianym niedźwiedziu⁴, o dzikich myśliwych, którzy w zimne listopadowe noce posepnie snują się po lasach i przed którymi lepiej się mieć na baczności. Elisabeth czytała wszystko, co pisał, zaznaczała błędy i niespójności ołówkiem na marginesach kartek i pomagała mu przepisywać poprawiony tekst. Winkler powtarzał jej, że jest dla niego nieocenionym

wsparciem, jego muzą. Światłem, które opromienia ciemne, trudne dni jego życia. Jego aniołem. Tak, tak mówił często.

– Jest pani aniołem, pani von Hagemann. Wspaniałym aniołem, którego zesłały mi niebiosy.

Cóż, tak, ciotka nie do końca była w błędzie. Pan bibliotekarz nie był zbyt odważny. Bał się czasami nawet własnego cienia. Uśmiechał się, wycierał okulary i wyglądał jak zbity pies.

Elisabeth ucieszyła się, gdy przy końcu wyboistej drogi ukazała się posiadłość. To było piękne gospodarstwo, które obejmowało kilkaset hektarów ziemi, a należały do niego również łąki i lasy. Latem budynki były ukryte pośród buków i dębów, teraz, gdy na drzewach nie było już liści, rysowały się między nimi kształty dachówek i murowanych ścian. Z daleka widoczne były wysokie stodoła i budynki gospodarcze, długa obora i budynek pokryty strzechą, w którym mieszkali pracownicy stali i sezonowi. Nieco dalej znajdowała się posiadłość dwupiętrowa z wyższą częścią środkową. W dolnej części fasady, na ceglany murze, piął się bluszcz. Po prawej i lewej stronie drzwi wejściowych rosły krzewy różane, które dawno już przekwitły.

– Riccarda kazała raz jeszcze porządnie napalić. Odkąd jesteście w moich włościach, zużywam dwa razy więcej drewna niż kiedyś. Ale to nic. Cieszę się, że nie muszę już być sama.

Faktycznie z komina przy dachu dworu unosiły się kłęby szarego dymu, które najpewniej pochodziły z kaflowego pieca, stojącego w położonym niżej salonie. Riccarda von Hagemann łatwo marzła, zimą pokojówka musiała wkładać jej do łóżka kilka butelek z ciepłą wodą, w przeciwnym razie nie mogła zasnąć. Przed przyjazdem tutaj Elisabeth martwiła się, że może dochodzić do gwałtownych kłótni między jej teściową i ciotką Elvirą, gdyż obie były zawzięte i uparte. Ku wielkiemu zdziwieniu Elisabeth obie dogadywały się bardzo dobrze. Możliwe, że wynikało to z faktu, że Riccarda od samego początku wytrąciła broń z ręki ciotki Elviry, która miała odważną, śmiałą naturę. W każdym razie obie niemalże bez słowa podzieliły się strefami władzy: Riccarda zajmowała się służbą i kuchnią, Elvira robiła zakupy oraz poświęcała się swojemu zamiłowaniu do koni i psów. Elisabeth wyjaśniono natomiast dobitnie, że odpowiada za budżet domowy oraz organizację większych przyjęć, na które zapraszano gości. Zarządzała także biblioteką, chociaż od trzech lat zajmował się nią bibliotekarz Sebastian Winkler, a ciotka nieraz nazywała jego wynagrodzenie „zbędnym wydatkiem”.

Gdy wreszcie wjechały na szeroki dziedziniec, a smród krowiego gnoju zakręcił Elisabeth w nosie, pośpiesznie podszedł do nich Leschik, żeby wyprząc konie. Stajenny polskiego pochodzenia kulał od dziecka, swego czasu jeden z ogierów przygniótł mu biodra i najpewniej złamał miednicę. Nie przykładano wówczas wielkiej wagi do takich spraw, biodro się zrosło, ale mężczyzna nie przestał kuleć.

– Czy pan już wrócił? – zapytała Elisabeth, która z trudem na zdrętwiałych kończynach wysiadła z powozu.

– Nie, łaskawa pani. Jest wciąż w lesie. Trwa sprzedaż drewna.

Ciotka Elvira pozwoliła Leschikowi pomóc sobie przy zsiadaniu z kozła i nakazała nie dawać dzisiaj Jossi więcej owsa, bo będzie zbyt gruba. Od dzieciństwa konie i psy były dla ciotki Elviry całym światem. Złe języki mawiały, że przyjęła oświadczyny Rudolfa von Maydorna tylko dlatego, że posiadał w swoim gospodarstwie dwadzieścia koni trakeńskich. To było jednakże głupie pomówienie, Elisabeth wiedziała doskonale, że wujek Rudolf i ciotka Elvira bardzo się kochali. Każde na swój sposób.

– Ten twój mąż to dusigrosz – powiedziała do Elisabeth z uśmiechem. – Gdy sobie przypomnę mojego dobrego Rudolfa. On zawsze wysyłał jakiegoś pracownika, żeby kupował drewno...

...który większość otrzymanej kwoty na pewno wkładał do własnej kieszeni, pomyślała Elisabeth. Dlatego w domu nigdy nie było pieniędzy na jakiegokolwiek nowe rzeczy. A gdyby jakieś były, wujek Rudolf natychmiast by je ulokował w porto i burgundzie.

Elisabeth poszła szybko do salonu, w którym znajdował się kaflowy piec i w którym będzie mogła wypić filiżankę gorącej herbaty. W fotelu tuż obok pieca siedział Christian von Hagemann. Miał na sobie wełniany kaftan i filcowe bambosze. Drzemał za gazetą, którą wziął do czytania. Elisabeth delikatnie zestawiła czajniczek z podgrzewacza, nalała sobie herbatę, włożyła cukier i zamieszała. Christian von Hagemann nie lubił, gdy mu zakłócano drzemki. Teść Elisabeth przytył w ostatnich latach kilka kilogramów, co było wynikiem jego upodobania do kalorycznego jedzenia i dobrego wina. Jego ciągłe kłopoty pieniężne minęły, cieszył się życiem na wsi, przekazał kompetencje synowi oraz paniom domu, a sam dbał jedynie o swoje dobre samopoczucie.

Gdy Elisabeth ogrzewała plecy o piec z zielonych kafli i piła ciepłą herbatę, pomyślała, że przed kolacją ma jeszcze czas na krótką wizytę w bibliotece. Riccarda była z pewnością w kuchni, gdzie razem z ciotką Elvirą i kucharką

rozpakowywały zakupy. Były to przyprawy, worek soli, cukier, soda, gliceryna, szuwaks i ocet. Poza tym worek ryżu, suszony groch, czekolada, marcepan, dwie butelki rumu i jedna czerwonego wina. Małą niebieską buteleczkę perfum Elisabeth kupiła u fryzjera i schowała ją do torebki, gdy ciotka Elvira plotkowała z sąsiadką. Perfumy miały ciężki i intensywny zapach, wystarczyło kilka kropli za uszami. Serafina nie miała pieniędzy, więc nie mogła jej prosić nawet o przesłanie ładnej szminki, pudru czy perfum z Augsburga. Kitty czy Marie wołała w to nie mieszać. I tak zbyt dobrze wiedziały, kogo chce uwieść. Mamy także nie.

Zapach był tak intensywny, że uznała go niemalże za ordynarny. Na górze w łazience musiała spróbować zetrzeć go z siebie, by Sebastian nie pomyślał sobie o niej czegoś złego.

Powoli, tak żeby nie obudzić teścia, postawiła filiżankę na stoliku i wyszła z pokoju. Na klatce schodowej było okropnie zimno, powinna była wziąć ze sobą wełnianą chustę. Oczywiście stare, drewniane stopnie schodów skrzypiały przeraźliwie, a dywaniki, które na nich położono w zeszłym roku, nie tłumiły hałasu. Rozgniewała się na myśl, że jej wujek i ciotka ze zwykłej obojętności i niegospodarności tak bardzo zniszczyli ten piękny dom. Nie było tutaj nawet podwójnych okien, zimą, żeby nie było przeciągów, futryny uszczelniano grubym filcowym materiałem i patrzono, jak na szybach zakwitają lodowe kwiaty.

Jedynym luksusem była łazienka, swego czasu wujek Rudolf postarał się, żeby była dobrze zrobiona: wyłożono ją białymi kafelkami, stała w niej wanna na czterech lwich łapkach, umywalka z lustrem oraz muszla klozetowa z prawdziwej porcelany, ze zdejmowaną, drewnianą, ale pomalowaną na biało, pokrywą. Elisabeth zwilżyła ściereczkę i próbowała złagodzić działanie perfum. Bezskutecznie. Zapach stał się jeszcze mocniejszy. Powinna była zaoszczędzić pieniądze, które wydała na ten cuchnący płyn. Wzdychając, poprawiała uczesanie. Pozwoliła włosom odrosnąć i czesała je tak jak kiedyś. Tutaj nawet córki bogatych właścicieli ziemskich nie nosiły krótkich włosów. A Sebastian też nie był przekonany do nowej mody. Jak na zwolennika idei socjalistycznych pod wieloma względami był bardzo staroświecki.

Ostrożnie zapukała w drzwi. Za nic nie chciała, żeby poczuł się jak jej podwładny.

– Sebastian?

– Łaskawa pani, proszę, niech pani wejdzie! Widziałem, jak pani wjeżdżała na dziedziniec ze swoją panią ciotką. Czy zakupy w Kolbergu się udały?

Oczywiście nie napalił w piecu. Siedział przy biurku w swetrze i kurtce, którą nosił w domu, szyję opatulił szalem, ale nie odważył się dołożyć do pieca tylko dlatego, że ostatnio ciotka Elvira narzekała na wysokie zużycie drewna. Gdyby musiał, z pewnością włożyłby również rękawice, żeby ołówek nie wypadł z zeszywniałych palców.

– Zakupy? Tak, tak, tylko zapalek zapomnialiśmy kupić. Ale to nic takiego, można je kupić w Gościnie.

Zamknęła za sobą drzwi i podeszła po cichu do biurka, żeby zajrzeć mu przez ramię i zobaczyć, co robi. Wyprostował plecy i uniósł głowę niczym uczeń, który właśnie został wezwany do odpowiedzi. Kilka razy zdarzyło się jej położyć rękę na jego ramieniu, zupełnie niewinnie i przypadkiem, ale czuła, że jego ciało sztywnieje w odpowiedzi na ten delikatny dotyk. Później już sobie na to nie pozwalała.

– Wciąż kronika Gościna?

– Oczywiście, tak długo, jak mogę to robić bez wglądu w archiwa von Manteuffla. Rozmawiałem z księdzem i był tak wspaniałomyślny, że umożliwił mi wgląd w księgi kościelne.

Od ponad roku Sebastian pracował jako nauczyciel pomocniczy w szkole podstawowej we wsi Gościno. Elisabeth wystarała się dla niego o tę posadę, zarabiał wprawdzie niewiele, ale praca z dziećmi sprawiała mu wiele radości. To był najwyższy czas, żeby bibliotekarz zajął się także czymś innym, bo książki von Maydornów w ciągu kilku miesięcy zostały dokładnie posegregowane, naprawione i ułożone w nowy sposób. Elisabeth bała się, że Sebastian mógłby zrezygnować ze stanowiska, na którym się nie spełniał, ale miała nadzieję, że teraz, gdy pracuje w wyuczonym zawodzie, będzie dalej blisko niej. Oczywiście jej tajemna nadzieja, że może dojść między nimi do bardziej intymnego związku, się nie spełniła. Sebastian unikał zbliżania się do niej, bał się nawet dotknąć jej ręki czy ramienia. Zachowywał się jak mała naiwna dziewczynka, omijał ją, odwracał wzrok i robił się przy tym czerwony. Przez jakiś czas sądziła, że po prostu mu się nie podoba. Nie była przecież Kitty, która każdego mężczyznę owijała sobie wokół palca. Nie była uwodzicielką, niewielu mężczyzn się w niej zakochało, przy czym oczekiwane bogactwo Melzerów też nie było tutaj bez znaczenia. Z pewnością niektórym chodziło o jej bujną górną część ciała, ale z takich adoratorów mogła bez problemu zrezygnować. Chociaż gdyby to Sebastiana interesowało jej ciało, nie miałyby nic przeciwko temu. Ostatnie trzy lata pokazały jej jednak, że niezwykle ją cenił, ale najwyraźniej jej nie pożądał. Ta obojętność była tym trudniejsza, że jej mąż Klaus prawie wcale nie korzystał

ze swoich małżeńskich przywilejów.

– Staram się – powiedział w charakterystyczny dla niego powolny sposób – zamienić to, co skopiowałem z ksiąg kościelnych, w potoczysty tekst...

Z niecierpliwością odwróciła się od biurka i podeszła do pieca, kucnęła przed nim i otworzyła drzwiczki. Od wczorajszego popołudnia z pewnością się w nim nie paliło.

– Co pani zamierza, Elisabeth? Nie jest mi zimno. Proszę z mojego powodu nie rozpalać w piecu.

– Ale mnie jest zimno. Nawet bardzo. Zamarzam tu!

Zabrzmiało to bardziej stanowczo i nieprzyjaźnie, niż zamierzała powiedzieć. Ale zadziało. Usłyszała krzeselko odsuwane od biurka. Sebastian wstał, poczekał chwilę, żeby zobaczyć, co robi, ale gdy zaczęła wkładać drewnienka do pieca, szybko do niej podszedł.

– Niech pani pozwoli mi to zrobić, Elisabeth.

Spojrzała na niego i zrozumiała, że faktycznie przejął się i jest nieco zmieszany. Dobrze. Mówi się przecież, że nadzieja umiera ostatnia.

– Myśli pan, że nie potrafię rozpalić ognia?

Westchnął. Nie, nie to miał na myśli.

– Ale pobrudzi sobie pani ręce.

– To by było straszne! – krzyknęła ironicznie. – Pani w gospodarstwie z pobrudzonymi rękami. A myśli pan, że panu będą pasowały czarne palce? Przy pisaniu byłoby to bardzo niepraktyczne, prawda?

Grzebała dalej w piecu, a on patrzył na to, co robi, krytycznym wzrokiem. Wreszcie poprosiła go o zapalki.

– Chwileczkę.

Pudełeczko leżało w drewnianej skrzynce na jego biurku, najwyraźniej strzegł tego skarbu niczym oka w głowie, bo potrzebował zapalek, żeby rozpalać lampę. Może powinna mu podarować zapalniczkę wuja Rudolfa? Ale ciotka Elvira na pewno miałyby jej to za złe.

– Chętnie bym pani zostawił tę pracę, Elisabeth. Zwłaszcza że mamy jeszcze tylko kilka zapalek.

Zadziwiająco, jak bardzo ufa w jej zdolności praktyczne. Rozgniewana wyciągnęła rękę po pudełko i wepchnęła jeden z kawałków drewna głęboko

do pieca. I wtedy to się stało.

– Auuuu! Cholera!

Coś ostrego ukłuło ją w czubek palca wskazującego. Włożyła krwawiący palec do ust i poczuła gniew. Dlaczego musiało się to stać właśnie teraz?

– Drzazga?

– Nie wiem... Coś jakby ostry gwóźdź.

Spojrzała na czubek palca i zobaczyła, że faktycznie jest tam jakiś czarny punkcik. Kiedy ostrożnie przesunęła po nim palcem, zgrubienie zaboląło. Coś tam było.

– Niech pani mi da obejrzeć, Elisabeth.

Pochylił się, chwycił jej rękę i obrócił tak, żeby dobrze widzieć palec. Przysunął ją bliżej do siebie i zdjął okulary. Patrzcie no, pomyślała. Gdy ja mu kładę rękę na ramieniu, wyobraża sobie, że chcę od niego czegoś niemoralnego. A teraz on trzyma moją rękę i obraca palec. Bo się niby na tym zna.

– Wydaje się, że drzazga utkwiała bardzo głęboko – powiedział niczym ekspert.

Jego oczy bez okularów były znacznie jaśniejsze. W jego wzroku można było dostrzec natomiast to, czego nie było do tej pory: stanowczość. Elisabeth odwróciła wzrok. Wciąż jeszcze mocno trzymał jej rękę. Chociaż sytuacja nie należała do romantycznych, cieszyła się tym dotykiem.

– Musimy wyciągnąć drzazgę, Elisabeth. Bo może nawet wywołać infekcję. Podejdźmy do stołu. Zapalę lampę i przyjrzę się temu dokładniej.

Jak wspaniale. Czują się jak we śnie. Czy ten, który wydawał tak stanowcze polecenia, to faktycznie Sebastian? Podobało się jej to. Jak mogła uwierzyć, że stał się tchórzem? Gdy mówił, co trzeba zrobić, znowu stał przed nią jej dawny mężczyzna.

– Jeśli tak pan uważa... – odpowiedziała posłusznie. – Ale to jedynie mała drzazga.

Poprowadził ją do krzeselka i poprosił, żeby usiadła, bo chciał jak najszybciej zapalić światło i znaleźć igłę.

– Igła?

Uniósł szklany klosz z lampy i spojrzał na Elisabeth. Uśmiechnął się do niej uspokajająco.

– Będę tak ostrożny, jak to tylko możliwe.

O Boże, pomyślała przerażona. On chce dłużyć igłą w moim palcu. Przypomniała się jej opiekunka do dzieci, która w dzieciństwie zrobiła jej to samo. Jak ona wtedy wrzeszczała. Mama nawet przybiegła do pokoju, bo myślała, że coś bardzo złego stało się jej dziecku. Potem, gdy zobaczyła, że chodzi jedynie o drzazgę w palcu, roześmiała się jak kobieta bez serca.

Sebastian odwrócił lampę i zaczął grzebać w szufladzie biurka. Faktycznie znalazł w niej sporą igłę, którą nie wiadomo po co tam trzymał.

– Gotowa? – zapytał.

Najchętniej by teraz uciekła. Mogła mu też powiedzieć, że wolałaby to zrobić sama. Albo żeby chwilę jeszcze poczekał czy też aby pozostawili całą sprawę uzdrawiającej mocy natury. Ale wtedy nie mogłaby się cieszyć jego bliskością i podziwiać tę męską stanowczość. Przytaknęła więc odważnie i wysunęła palec w jego stronę.

– Trochę bliżej do światła... właśnie tak. Niech pani zachowa spokój. Ja pani pomogę, bo jest pani, Elisabeth, zbyt podenerwowana.

Chwycił jej rękę w swoją lewą dłoń, ścisnął ją mocno i odsunął palec wskazujący. Potem przystąpił do tego trudnego zadania. Początkowo lekko tylko łaskotało. Potem ją ukłuł, a ona zacisnęła mocno zęby, żeby nie wydawać z siebie żadnych dźwięków. Poczowała, że jego uścisk staje się coraz mocniejszy, a potem wyciągnął z kieszeni świeżą chusteczkę i wytarł jej kroplę krwi z opuszki palca.

– Zaraz będziemy ją mieć... Jest pani bardzo dzielna, Elisabeth.

Teraz mówi do mnie jak do uczennicy, pomyślała, ale jednocześnie uznała to za urocze. Gdyby tylko przestał tak torturować jej palec. Chociaż, z drugiej strony, było cudownie obserwować go w tej nowej roli troskliwego i stanowczego opiekuna.

– Zrobione!

Wyciągnął w jej stronę igłę, na której było widać niewielkie czarne ciało obce, cienkie jak nitka. Potem delikatnie owinął palec w chusteczkę i puścił jej rękę.

– Bogu dzięki – westchnęła, dotykając zawinięty palec.

Jaka szkoda. To by było na tyle. Może następnym razem powinna sobie złamać nogę?

– Mam nadzieję, że nie zmęczyłem pani za bardzo?

– Nie, zupełnie nie.

Włożył igłę do szuflady i spojrzał na nią z uśmiechem. Czy nie zbladła odrobinę?

– Niektóre dzieci wpadają w okropną panikę, gdy próbuje im się wyciągnąć drzazgę z palca.

– Naprawdę?

– Tak, ostatnio miałem w szkole chłopca, który chciał uciec, tak się bał.

Uśmiechnęła się lekko i potarła palec. Już nie krwawił. Wracała powoli do siebie, odzyskiwała klarowność myśli.

– Bardzo panu dziękuję, Sebastianie – powiedziała serdecznie. – A teraz powinniśmy rozpalić w piecu.

– Jeśli pani nalega.

– Oczywiście, że nalegam. Nikomu nie wyjdzie na dobre, jeśli dostanie pan zapalenia płuc.

Potrząsnął głową z oburzeniem, ale podszedł bez słowa do pieca i wyciągnął cienką gałązkę ze stosu leżącego obok, a następnie zapalił ją od lampy. W ten sposób można oszczędzić zapałki. Gdy ogień obejmował kolejne kawałki drewna, powiedział, że zapalenie płuc w jego przypadku to po prostu niedorzeczność. Jemu nie jest ani trochę zimno.

– I tak ma właśnie zostać, Sebastianie! Będę się o to troszczyć.

Nie zaprotestował. Podszedł do stołu, gdy Elisabeth wciąż stała przy piecu, żeby ogrzać ręce. Kiedy odwróciła się w jego stronę, zobaczyła, że miał już na nosie okulary i był pochłonięty pracą. Spojrzała na niego w zamyśleniu. Był krzepkiej postury, a przy tym nieco ślamazarny, miał szeroką twarz, a oczy fiołkowe. Kochała go. Od trzech lat był tak blisko niej, ale pozostawał niedostępny. Można było zwariować. Ale dzisiaj, dzisiaj dowiedziała się o nim czegoś, czego wcześniej nie zauważyła. Był silny, gdy ona okazywała słabość. Musi wykorzystać tę wiedzę.

[1](#) Obecny Kołobrzeg.

[2](#) Jest to odwołanie do legendy, według której wielkanocna woda przerodziła się później w zwyczaj śmigusa-dyngusa. Woda ta powinna zostać zaczerpnięta o świcie w Wielkanocny Poniedziałek z pobliskiego strumyka lub rzeki (najlepiej, by w pobliżu mieszkała młoda, niezamężna kobieta). Pomagała wówczas zwalczać choroby oczu oraz zapewniała piękną skórę – była symbolem urodzaju.

[3](#) Postać z noweli Theodora Storma z 1888 roku, która opowiada o tajemniczym jeźdźcu spotkanym w lesie przez mężczyznę wracającego od swoich przyjaciół.

[4](#) Dawny zwyczaj związany ze świętami Bożego Narodzenia. Figura niedźwiedzia zrobionego ze

słomy miała odpędzać z domostwa wszelkie zło i nieszczęście.

6

Leo nigdy jeszcze nie widział takiego blasku. Oślepił tak bardzo, że trzeba było mrużyć oczy. Błyszczała szklana zastawa, litery pomalowane na złoto, flakoniki, a także broszki i pierścienie na rękach pań.

– Cofnijcie się, urwisy! Zejdźcie z drogi!

Julius i Hanna roznosili na srebrnych tacach szampana i wino i oferowali je zgromadzonym gościom. Atelier mamy było po brzegi wypełnione gośćmi. Panowie włożyli czarne i szare garnitury, kobiety były ubrane w kolorowe sukienki, miały pantofle na obcasach, a ich jedwabne pończochy błyszczały w świetle.

– To namalowała moja mama – powiedziała Henny i wskazała palcem na zimowy krajobraz, na którym pośród śniegu było widać jedynie kilka domków i wieżyczki z cebulastymi kopułami.

Na drugiej ścianie ciotka Kitty namalowała Amerykę: wieżowce, Indianina przybranego pióropuszem i słynną Statuę Wolności z Nowego Jorku. Słysząc muzykę. Leo przecisnął się między grupą kobiet pijących szampana, bo chciał zobaczyć, jak pani Ginsberg gra na fortepianie. Mama zaangażowała na ten wieczór matkę jego przyjaciela, ale Walter niestety nie mógł przyjść. Na otwarcie atelier mamy mogą przyjść jedynie zaproszeni goście, powiedział tata. Pani Ginsberg siedziała tyłem do gości, bo fortepian stał pod ścianą. Grała etiudę Szopena, trudny utwór, na który palce Lea były wciąż jeszcze za krótkie i za mało wprawne. Gdy umiało się grać tak dobrze jak pani Ginsberg, muzyka brzmiała lekko i pięknie niczym powiew lata.

– Mógłbym odwracać nuty?

– Jeśli chcesz... to oczywiście!

Stanął po lewej stronie, tak jak go nauczyła. Gdy trzeba było odwrócić stronę, złożył czubki palców i sięgnął po górny róg prawej strony z nutami, czekając, aż pani Ginsberg przytaknie. Potem ostrożnie odwracał kartkę. Musiał przede wszystkim uważać na to, żeby trzymać rękę wysoko i nie zasłaniać nut. Chociaż pani Ginsberg i tak grała zazwyczaj z pamięci tak dobrze, że prawie nie potrzebowała nut.

– Dlaczego oni są tacy głośni? – zdenerwował się i odwrócił do gości.

– Cicho, Leo. My jesteśmy tutaj tylko tłem. Ludzie chcą porozmawiać o pięknym studiu mody twojej mamy.

Leo uniósł górną wargę i odwrócił się znowu do fortepianu. Gdyby chcieli tylko rozmawiać, nie potrzebowaliby muzyki, pomyślał. Na to szkoda było pięknej muzyki pani Ginsberg. Znów czekał na moment, żeby odwrócić stronę. Było łatwo śledzić notację, bo podczas gdy jego wzrok podążał za rzędami znaków, mógł słuchać tych pięknych dźwięków. Wiedział dobrze, jak brzmi każda nuta, bo, jak powiedziała pani Ginsberg, miał słuch absolutny. Był tym zaskoczony, bo sądził, że każdy potrafi rozpoznawać dźwięki.

– Podaj mi, proszę, plik z sonatami Schuberta.

Szukał odpowiednich nut w grubej oprawie na stosie, który leżał na krześle obok fortepianu. Bardzo lubił Schuberta. Dwa jego impromptu sam potrafił grać bardzo dobrze. Gdyby mógł ćwiczyć dłużej, ale mama pozwalała mu tylko na pół godziny dziennie. A gdy wracał tata, musiał natychmiast przerywać grę. Słuchał podekscytowany, jak pani Ginsberg zaczynała jedną z sonat – tej jeszcze nie znał. Pierwsze frazy brzmiały jak wędrówka po łąkach i polach. Nie były szczególnie trudne, może też potrafiłby je zagrać. Problemem było to, że jego palce były zbyt krótkie, nie mógł objąć nimi pełnej oktawy. Czasami wyciągał te swoje palce, żeby szybciej rosły, ale niestety nic to nie dawało.

– Leo, mój mały! Dlaczego stoisz przy fortepianie? Nie przeszkadzaj pani Ginsberg.

Skrzywił się, czego na szczęście Serafina von Dobern nie mogła zobaczyć, bo był do niej odwrócony plecami. Nienawidził tej kobiety jak zarazy. Była słodka i podstępna. Niezależnie od tego, czy przychodziła do willi, czy spotykali ją na ulicy, zawsze zachowywała się tak, jakby musiała wychowywać jego i Dodo. A przecież nie miała nic do gadania, była tylko przyjaciółką ich ciotki Lisy.

– Nie przeszkadzam, przewracam tylko nuty – odpowiedział stanowczo.

Niestety, Serafina nie przejęła się zbyt jego wyjaśnieniem. Chwyciła go po prostu za ramiona i poprowadziła pod ścianę na krzesło, żeby na nim usiadł.

– Twój tata nie chce, żeby dzieci plątały się między dorosłymi – oznajmiła Serafina z fałszywym uśmiechem. – Dzieci w takich sytuacjach muszą się zachowywać cicho i nie przeszkadzać.

Serafina była bardzo chuda, a jej skóra przeraźliwie biała. Na policzki nakładała róż, sądząc pewnie, że dzięki temu będzie ładniejsza. Ale w okularach i ze spiczastą brodą wyglądała po prostu jak sowa śnieżna. Teraz kazała mu zostać na krześle i poszła szukać Dodo i Henny. Jeśli chodzi

o Henny, miała pecha, bo dziewczynka stała ze swoją mamą. Serafina dobrze wiedziała, że z cicią Kitty nie ma dużych szans. Biedna Dodo uwiesiła się natomiast na wujku Klippim, który nie miał nic przeciwko temu, żeby Serafina go od niej uwolniła.

– Cóż, siedźcie tutaj grzecznie, wy dwa łobuziaki. Leo, zrób miejsce dla siostry. Dobrze wam będzie na krzesłach, bo wasze pupy są jeszcze małe.

Ale głupio chichotała. Dodo była naprawdę wściekła, przysiadła na krawędzi krzesła i uniosła nos wysoko, jakby miała katar. Gdy Serafina machała ręką na Hannę, Dodo szepnęła do brata:

– Co ona ma do naszych pup? Powinna raczej zadbać o swoją, ta zgryźliwa koza...

– Musiałaby ją mieć – powiedział Leo złośliwie.

Uśmiechnęli się porozumiewawczo i złapali za ręce. Dodo była jego częścią. Potrafiła robić kawały, była bystra i odważna. Gdyby nie było Dodo, czegoś by mu brakowało. Jego druga połowa.

– Dzieci, weźcie sobie przekąski. Z pewnością jesteście głodne.

Ależ wielkoduszna była ta Serafina. Jakby to były jej przekąski. Leo natrafił właśnie na współczujące spojrzenie Hanny, która uśmiechnęła się do niego i opuściła ręce z tacą na tyle nisko, żeby zobaczyć, co na niej trzyma. Hanna była kochana. Podziwiała, że potrafi grać na pianinie. Co za szkoda, że teraz będzie krawcową. Dlaczego to Serafina nie mogłaby być szwaczką?

– Dziękuję, nie lubię takich przekąsek – odpowiedziała rozdrażniona Dodo.
– Chce mi się pić.

Serafina zignorowała życzenie Dodo, odesłała Hannę i powiedziała, że muszą tutaj zostać, na swoich miejscach, bo zaraz odbędzie się pokaz mody. Wszyscy ludzie zaraz usiądą, żeby obejrzeć piękne ubrania, które uszyła ich mama. Sama poszła zjeść kilka przekąsek i poplotkować z babcią Alicią i doktorem Wieslerem. Po drugiej stronie sali pod zimowym rosyjskim krajobrazem stała ciocia Kitty otoczona kręgiem gości. To byli jej przyjaciele ze stowarzyszenia artystów, niektórych z nich Leo znał. Dwóch malarzy oraz grubego pana, który potrafił grać na skrzypcach. Pili szampana i śmiali się na tyle głośno, że inni ludzie odwracali się w ich stronę.

– Tutaj są sami partnerzy biznesowi Paula – usłyszał, jak mówiła ciocia Kitty. – Dyrektorzy banków, adwokaci, ludzie z fabryk i magistratów... Czy ja wiem, kto jeszcze... Przyszli też tutaj honorowi mieszkańcy Augsburga ze swoimi małżonkami i córkami.

– Popatrz tylko na Henny – powiedziała Dodo, pokazując ją podbródkiem. – Ona zjadła już przynajmniej z dziesięć przekąsek. Zawsze kanapeczki z jajkiem i kawiozem.

Leo zmrużył oczy, lepiej wtedy widział. Henny stała przy drzwiach do szwalni i piła resztki szampana, które ktoś zostawił w kieliszku. Jeśli zobaczy to jej mama, będzie musiała natychmiast wrócić do domu. Alkohol był surowo zabroniony dzieciom.

– Głupie otwarcie – mruknęła Dodo. – Nudno tu. I głośno. Uszy już mnie bolą.

Leo był tego samego zdania. W domu mógłby teraz grać na pianinie i nikt by mu nie przeszkadzał. Westchnął głęboko.

– No i co, wy dwoje? Nudno? Zaraz będzie coś ciekawego, Leo. A potem pokażę ci nowe maszyny do szycia. Napędzane ruchem stóp! Wielka rzecz!

Tata pogłaskał bliźniaki po głowach, popatrzył na nich z rozbawieniem i znów poszedł troszczyć się o gości. Leo słyszał, jak rozmawiał z panem Manzingerem o papierach wartościowych. Są one warte bilion papierowych marek. Być może teraz ich wartość zacznie rosnąć i ceny się ustabilizują. Ach nie, powiedział pan Manzinger. On w to nie wierzył. Dopóki Niemcy będą płacić narzucone reparacje wojenne, gospodarka nie stanie na nogi. Ta ich Republika jest niestabilna, ciągle się tylko mówi, że za kilka miesięcy zostanie powołany nowy rząd. Musi przyjść ktoś taki jak Bismarck. Żelazny kanclerz.

– Co to jest żelazny kanclerz? – zapytała Dodo.

– Pewnie ktoś taki jak cynowy żołnierz.

To wszystko było takie ponure. Leo próbował rozpiąć górny guzik koszuli. Za chwilę się udusi w tym ciasnym garniturze, w który wepchnęła go mama. Od dawna jest za mały, ale mama powiedziała: „Jeszcze tylko dzisiaj. Zrób to dla mnie”. Gdyby teraz słychać było jakiś głośny huk, to by znaczyło, że on w końcu pękł.

– Tata pokaże ci dzisiaj nowe maszyny do szycia – powiedziała Dodo z wyrzutem. – Tylko tobie. A ja też bym chciała zobaczyć.

Leo parsknął pogardliwie. Maszyny były mu zupełnie obojętne. A maszyny do szycia to przecież domena kobiet. O wiele ciekawsze było to, co kryło się wewnątrz fortepianu. Widział to raz, gdy stroiciel zdjął przednią pokrywę instrumentu. Widać było struny zrobione z drutu, które były rozciągnięte na metalowej ramie. Były naciągnięte bardzo mocno. Gdy naciskało się pedał,

drewniany młoteczek pokryty filcem uderzał w struny. Fortepian był skomplikowaną maszyną, jak człowiek. Może być smutny lub wesoły, gdy grasz dobrze, cieszy się z tego, a czasami można z nim nawet odlecieć. Walter mówi, że coś takiego dzieje się także ze skrzypcami. Ze wszystkimi instrumentami muzycznymi. Nawet z bębniem. Ale w to Leo nie mógł uwierzyć. Nagle stanęła obok niego Henny, cała czerwona na twarzy i z błyszczącymi oczami.

– Co tak tu sterczycie?

– To przez Serafinę!

– Ona przecież już na was nie patrzy.

Faktycznie, Serafina stała daleko z tyłu, przy amerykańskich drapaczach chmur, z kieliszkiem szampana w ręce i rozmawiała z panem doktorem Grünlingiem. A przy tym chichotała głupio jak zawsze.

– Pokażę wam coś... – Henny pociągnęła Dodo za sukienkę i pobiegła między gośćmi.

Leo nie miał ochoty biec za Henny. Prawdopodobnie chciała jak zwykle pokazać, że jest ważna. No ale przecież oboje umierali tutaj z nudów. Dodo w końcu za nią poszła, Leo także, choć niechętnie.

Henny wślizgnęła się do szwalni. Maszyny do szycia, o których mówił tata, stały w rzędzie pod ścianą, przykryte drewnianymi pudłami. Niedaleko drzwi mama powiesiła dwa duże lustra, a pod nimi postawiła mały stolik z różnymi kobiecymi drobiazgami. Szczotkami do włosów, pudełeczkami ze szminkami i czymś tam jeszcze. Po drugiej stronie stały wieszaki z długimi ramionami, na których wisiały projekty mamy. Nie było ich widać, bo były przykryte szarym materiałem.

– A pod nimi jest taki srebrny ptaszek – szepnęła Henny.

– Pod nimi są ubrania mamy, ty głuptasie – powiedziała Dodo. – Zostaw, nie możemy tego ruszać!

Henny już jednak weszła pod płachtę i szukała między sukienkami srebrnego ptaszka. Stojak zaczął się chwiać, wyglądał teraz jak potwór, który tańczy w miejscu.

– Mam – pisnęła Henny. – To jest błyszczący ptaszek.

Leo i Dodo wsunęli się pod płachtę. Chcieli zobaczyć tego ptaszka, ale chodziło im również o to, żeby chronić projekty mamy przed lepkiemi rękami Henny.

– Gdzie?

– Tutaj. Cały srebrny!

Rzeczywiście na połyskującej na niebiesko tkaninie były wyszyte maleńkie srebrne plamki, które tworzyły kształt ptaszków z rozpostartymi skrzydłami. Leo właśnie chciał złapać Henny za ramię, żeby siłą ją wyciągnąć spod wieszaka, gdy jacyś ludzie weszli do szwalni.

– Szybko, w takiej kolejności, w jakiej powiesiłam rzeczy na wieszaku. Najpierw sukienki na popołudnie. Hanno, ty bierzesz te rzeczy, Gertie pomaga przy sukniach wieczorowych, Kitty wszystko kontroluje. Nikt nie wychodzi, zanim nie dam znaku.

To była mama. O nie, była bardzo zdenerwowana. Co ona tutaj robi? Czy to miał być ten pokaz, o którym mówiła Serafina?

Dodo uczepliła się szarej płachty, Henny kucnęła na podłodze, pewnie myślała, głuptas, że nikt jej nie zauważy. Nic to nie pomoże, zaraz mama znajdzie całą trójkę i da im burę. Tymczasem stało się inaczej. Ktoś podniósł szarą płachtę z ubrań i szybkim ruchem zrzucił z wieszaka. Dodo, Leo i Henny znaleźli się pod materiałem. Nikt ich nie widział, byli jakby schowani pod wielką czapką niewidką. Przez chwilę kucali sztywno na ziemi, potem Dodo musiała kichnąć i Leo myślał, że już po nich. Kobiety w pokoju były jednak zbyt podekscytowane, żeby cokolwiek usłyszeć.

– Spódnice odwróć inaczej... O, tak jest dobrze. Popraw biustonosz, inaczej bluzka będzie źle leżeć. Poczekaj, masz nitkę na twarzy... Ten szew jest krzywy. Nie te brązowe, podniszczone buty. Poczekaj, haczyki są jeszcze otwarte...

Później mamy głos zaczął dobiegać z głównego pomieszczenia w atelier. Opisywała ludziom, jakie ubrania mogą zobaczyć, z jakich materiałów zostały uszyte i na jakie okazje można je włożyć. To, co mówiła, było przerywane okrzykami „och!” czy „ach, jakie piękne!”, lub „och nie, jakie to urocze!”. Pani Ginsberg grała Schuberta i Mozarta, ktoś dostał napadu kaszlu, gdzieś rozbił się kieliszek.

Leo czuł, że zaraz się udusi pod tą płachtą. Potrzebował powietrza, niezależnie od tego, co będzie później. Gdyby umarł, mama nie byłaby przecież zbyt szczęśliwa. Ostrożnie uniósł materiał i zrobił głęboki wdech. Pachniało dziwnie. Nie jak w szwalni mamy w willi. Jakby perfumami. I dusznym powietrzem. Praniem. I jakby... jakby... kobietami.

Musiał nieco odsunąć wieszak z ubraniami, który stał przed nim, żeby

zobaczyć, co się dzieje w pokoju. To było ekscytujące. Dwie młode kobiety stały przed lustrami, widział ich plecy, a w odbiciu lustrzanym widać je było także z przodu. Jedna miała rude włosy. Włożyła bluzkę i spódnicę. Druga miała na sobie kostium kąpielowy, ciemnoniebieski z białymi oblamówkami, a ciotka Kitty założyła jej na głowę błękitny słomiany kapelusz. Młoda kobieta poruszała biodrami i pociągała za wąskie paseczki kostiumu. Druga z nich wkładała teraz biustonosz, a Hanna zapinała go jej na plecach. Chłopcu zakręciło się nieco w głowie. Nigdy wcześniej nie widział kobiety bez ubrania. Tylko dziewczynkę. Do drugiego roku życia byli kąpani z Dodo w tej samej wannie, potem już nie chciał się z nią myć. Ale Dodo nie miała piersi, teraz też nie. A ta kobieta miała. Była piękna.

– Odwróć się do mnie – słyszał, jak mówi ciocia Kitty. – Dobrze. Weź narzutkę, ale jej nie zapinaj. Na końcu przejścia ściągniesz ją, tak żeby wszyscy mogli zobaczyć kostium kąpielowy. No już, idź!

Weszła teraz trzecia młoda kobieta, cała roześmiana. Gdy stanęła na środku pokoju, przestała się śmiać i ściągnęła z siebie zieloną sukienkę. Pończochy też miała z zielonego jedwabiu.

– Niebieska?

– Nie, najpierw liliowa.

Ktoś ściągnął suknię z wieszaka i Leo spojrział w przerażone, szeroko otwarte oczy Hanny. Nie przewidział, że suknie będą zabierane jedna po drugiej, aż w końcu nie będzie miało co go zasłaniać.

– Co się dzieje, Hanno?

– Nic, zupełnie nic. Zakręciło mi się w głowie, czasami mi się to zdarza, gdy się schylam.

Hanna nie potrafiła dobrze kłamać. Wszyscy patrzyli teraz na nią, a ciotka Kitty była w tych kwestiach jeszcze lepsza niż mama.

– Nie! To nie może być prawda! – Ciotka Kitty uniosła obiema rękami jedną z sukienek i ujrzała przerażoną twarz Lea. – Dodo? Henny? – zawołała ze zdziwieniem.

Dodo wygramoliła się spod szarej płachty, Henny bez ruchu kucała wciąż na podłodze.

– Kto was tutaj wpuścił?

To Dodo odpowiedziała, bo Leo był zbyt dezorientowany, a Henny zachowywała się tak, jakby jej nie było.

– Chcieliśmy tylko zobaczyć te piękne ubrania!

Ciocia Kitty nie miała ani czasu, ani cierpliwości, żeby wysłuchiwać tych tłumaczeń. Za nią stała młoda kobieta w kostiumie kąpielowym i kapeluszu. Gertie przyniosła z wieszaka suknię z czarnej koronki i materiału przezroczystego niczym pajęczyna.

– Podaj mi suknię wieczorową, Gertie – powiedziała Kitty. – I zaprowadź dzieci do Juliusa. Ma je natychmiast odwieźć do willi. Henny! Wychodź natychmiast. Wiem, że tam kucasz!

Nagle wszystko potoczyło się bardzo szybko. Gertie przysunęła wieszak, ściągnęła z niego szary materiał, po chwili byli już w biurze, a potem w ogrodzie zimowym, gdzie Julius z zadowoleniem popijał wino z kieliszka i palił cygaro.

– Masz je odwieźć do domu...

Julius ponuro spojrział na trójkę dzieci, które miały wymalowane na twarzach wyrzuty sumienia. Nie był zbyt zadowolony z przydzielonego mu zadania, bo właśnie zrobiło mu się tu bardzo przyjemnie.

– Dla ciebie wciąż „pan Kronberger” – warknął do Gertie.

Postanowiła nieco z niego zadrwić.

– Żeby ci tylko korona z głowy nie spadła.

– Z twojego powodu na pewno nie.

Gertie zostawiła dzieci, a sama poszła do szwalni. Zbliżał się punkt kulminacyjny pokazu, więc na pewno będzie zaraz potrzebna. Julius dopił wino jednym haustem, cygaro wziął ze sobą.

– No to już, młodzi państwo. Przez tylne wyjście, nie przez sklep. Wkładać płaszcze.

Przyniósł im płaszcze i nałożył Henny wełnianą czapkę. Jakimś cudem tym razem się nie sprzeciwiała, a zazwyczaj protestowała ze wszystkich sił. Ten jeden raz wydawała się naprawdę szczerze skruszona. Szli przez ogród, a potem ciemną, wąską uliczką do Karolinenstraße. Potem musieli jeszcze chwilę postać na zimnie, zanim Julius przyprowadził samochód.

– Dla was to już najwyższy czas, co, kijanki? – zapytał, gdy cała trójka cicho i spokojnie usadowiła się na tylnym siedzeniu.

– Ma pan rację – odpowiedziała Dodo.

Leo milczał. Wciąż był pod wrażeniem tego, co zobaczył, i było mu z tym

bardzo źle. Henny wydała z siebie dziwny bulgoczący dźwięk.

– Nie! – wrzasnął Julius. – Tylko nie na tapicerkę! Do jasnej cholery. Nie na tapicerkę!

Wyskoczył z samochodu i otworzył drzwi, aby szybko położyć na skórzanej tapicerce „Augsburger Neueste Nachrichten”. Było już jednak za późno.

– Błę – powiedziała Dodo i się odwróciła.

– Teraz już mi lepiej – westchnęła Henny.

W kuchni w posiadłości Melzerów trwała tradycyjna cosobotnia krzątania. Julius właśnie wycierał stół. Auguste wkładała resztki jedzenia do pojemników i odnosiła je do spiżarni, a Gertie, która od dwóch tygodni zastępowała Hannę, myła naczynia. Hanna też pojawiała się w kuchni, ale przede wszystkim przyuczała się do zawodu krawcowej. Mieszkała wciąż w posiadłości i tutaj jadła posiłki. Teraz siedziała z ponurą miną przy stole, jadła kanapkę z szynką i wpatrywała się w prawy palec wskazujący. Był owinięty bandażem.

– Od razu wiedziałam, że nie jesteś wystarczająco uzdolniona, żeby być krawcową – powiedziała Auguste, przechodząc obok dziewczyny. – Szyć własny palec! Co to w ogóle ma być! Powinnaś się nazywać „Hanna niezdara”.

– Zostaw dziewczynę w spokoju – naskoczyła na nią kucharka, która stała przy stole i kroїła seler, marchewkę i cebulę. Na jutrzejszy wieczór zaproszono na kolację przyjaciół młodego pana z kręgów biznesowych wraz z żonami. Niektóre potrawy już teraz trzeba więc było zacząć przygotowywać. Przede wszystkim należało gotować bulion wołowy, który miał być podawany razem z pierogami. Gotowana wołowina była przeznaczona na gulasz dla personelu, goście mieli otrzymać pieczeń wieprzową z czerwoną kapustą. Farsz trzeba było przygotować już dzisiaj, żeby do jutra dobrze nasycił się przyprawami.

– A co się składa na taki farsz? – zapytała Gertie, stojąc przy zlewie.

– Sama zobaczysz – odburknęła Brunnenmayer, która nie lubiła zdradzać swoich przepisów.

– Mielone z wieprzowiny, tak? I bułka tarta, prawda? I jeszcze sól i pieprz... I pewnie gałka muskatołowa?

– Posiekany ogon jaszczurki, szuwaks i sadza z pieca – rzuciła poirytowana Brunnenmayer.

Julius zapał głośno z radości, a i Auguste to rozśmieszyło, jedynie Hanna była zbyt sfrustrowana, żeby wziąć udział w ogólnej wesołości. Gertie nie tak szybko dała się jednak zbić z tropu. Nie była to jej pierwsza tego typu posada, choć co prawda nigdy wcześniej nie pracowała w tak dużym domu. Melzerowie zatrudniali Juliusa, kucharkę, pokojówkę i pomoc kuchenną. Przed wojną było tutaj jeszcze dwóch ogrodników, dwie młodsze pokojówki

i dwie starsze, a nawet gospodyni. Te błogosławione czasy minęły, ale słyszała, że fabryka coraz lepiej funkcjonuje. Może pomyśla o kolejnych pracownikach. Gertie nie była szczególnie zachwycona, gdy pani Katharina Bräuer zaproponowała jej posadę pomocy kuchennej.

– Nie musisz przecież być pomocą kuchenną na wieki – powiedziała pani Bräuer. – Jeśli będziesz mądra, będziesz awansowała.

Gertie słyszała, że nawet młoda pani Melzer zaczynała w posiadłości jako pomoc kuchenna, co zrobiło na niej duże wrażenie. Oczywiście, nie było teraz w rodzinie Melzerów kawalera, który mógłby się z nią ożenić, ale mogła zostać młodszą pokojówką, a może nawet i tą główną. A może awansowałyby na kucharkę. Musiałyby wtedy chodzić do specjalnej szkoły, żeby zdobyć odpowiednią wiedzę. Samej nie było jej stać na opłacenie szkoły, ale może państwo...

– Dodaje pani kminek, czy tak? I majeranek?

– Majeranek dodaje się do knedli wątrobianych, a nie do farszu z mięsa ze świńskiego brzucha! – wrzasnęła Brunnenmayer i zaraz ugryzła się w język. Pozwoliła się przecież sprowokować tej dziewczynie do wypaplania tajemnicy. – A jeśli teraz nie zamkniesz wreszcie ust, to wyślę cię do piwnicy do sortowania ziemniaków! – dodała gniewnie kucharka.

Auguste, wzdychając, usiadła, bo skończyła pracę na miejscu obok Hanny i stwierdziła, że ma dość. Jej obwód brzucha zrobił się tak ogromny, że spokojnie mogłaby na nim stawiać filiżankę z kawą. Codziennie narzekała, że to dziecko będzie strasznym bachorem, bo jest wielkie i bardzo niespokojne.

– I uderza we mnie. W moje plecy. W nocy w ogóle nie mogę leżeć. Jest lepiej tylko wtedy, gdy Gustav mnie masuje, bo ma takie duże, krzepkie dłonie.

Kucharka położyła na talerzu resztki z kolacji państwa i przesunęła go na środek, żeby każdy mógł skosztować choć kawałek. Wędzona kiełbasa, kiszzone ogórki, chleb maślany, kilka kawałków ciasta ze śliwkami, które jej zdaniem trzeba było zjeść natychmiast.

– Jest jeszcze trochę chałki – powiedziała Brunnenmayer. – Możesz zabrać dla swoich dzieci.

Auguste odłożyła już cztery kawałki ciasta. Teraz mówiła z pełnymi ustami, jak bardzo pracowity jest Gustav. Robi inspekty, bo młody pan podarował mu stare okna z atelier.

– Nikt nie chce wycierać? – zapytała Gertie, stojąc przy zlewie.

Auguste udawała, że nie słyszy. Hanna wstała i wzięła kawałek ciasta.

– A gdzie jest Else? – zastanawiała się.

– Ma wolny dzień – powiedziała Auguste.

– Ale jest już po ósmej.

Auguste zachichotała i powiedziała, że Else ma może swojego ślicznego wielbiciela i tańczy z nim teraz na dworze królewskim albo siedzą w Luli na Königsplatz i oglądają Charliego Chaplina.

– Opowiadasz bzdury, Auguste – krzyknął Julius. – To nie Else!

Był zdania, że kina też wkrótce zamkną. Cóż to bowiem jest ten film? Ożywione obrazy, nic więcej. I jak sztucznie się poruszają ci aktorzy. Nie mogą mówić, są tylko głupie napisy między kadrami. I muzyka fortepianowa... Nie, on wolał iść na rewię, żeby zobaczyć prawdziwych ludzi – na żywo.

– Chce oglądać roznegliżowane dziewczyny – rzuciła kucharka, mieszając zupę bulgoczącą na kuchni.

– Wypraszam sobie, pani Brunnenmayer – obruszył się Julius. – To są artystki.

Auguste parsknęła, Gertie wybuchnęła głośnym śmiechem i nawet Hanna zachichotała.

– Artystki to na pewno. Ale przy okazji nagie.

Julius odrzucił głowę do tyłu i sapnął.

– Jeślibyś chciała, Hanno – powiedział łagodnie. – Jeślibyś chciała, to zaproszę cię kiedyś na taką rewię. Będzie ci się podobało.

Hanna chwyciła talerz i go wytarła.

– Dziękuję, nie – powiedziała uprzejmie. – Wolałabym nie.

Julius skrzywił się i upił łyk herbaty z filiżanki. Był przyzwyczajony do uporu Hanny, ale się nie poddawał. Widocznie sądził, że wytrwałość prowadzi do osiągnięcia celu.

– Jeśli mnie byś zaprosił, tobym nie odmówiła – wtrąciła się Gertie.

Julius nie odpowiedział, ale Auguste rzuciła złośliwie, że Gertie sobie może na to czekać aż do śmierci.

– Nasz Julius wziął sobie teraz na cel małą Hannę – bełkotała dalej. – Ładna

z niej teraz dziewczyna. Głupi ten Grigorij, że tak uciekł. Ale tacy oni są, ci Rosjanie. Nie wiedzą, co jest dobre. Słyszeliście, że reparacje, które musimy im płacić, oni przepijają?

– To są tylko głupie plo... – Hanna przerwała w pół słowa, bo ktoś pukał do drzwi.

– Else – mruknęła kucharka, marszcząc brwi. – Najwyższy czas! Otwórz drzwi, Hanno.

Gdy jednak dziewczyna odsunęła rygiel i otworzyła drzwi, nie stała tam Else, lecz Maria Jordan. Okryła się przed zimnem kraciatą wełnianą chustą i dzierganym szalikiem, a gdy weszła do kuchni, jej twarz była cała czerwona od mrozu.

– Tak, pani dyrektorowa sierocińca – rzuciła ironicznie w jej stronę Auguste. – Zostawiłaś same te swoje dzieci i przysłałaś do starych przyjaciół postawić im karty?

Maria Jordan skrzywiła się. Pozdrowiła wszystkich, zdjęła chustę i rozsypała szal. Julius podszedł do niej, żeby wziąć od niej okrycie i powiesić na haczykach przy drzwiach wejściowych.

– Jaki lodowaty wiatr – powiedziała, rozcierając palce. – Na pewno spadnie śnieg. W następną niedzielę zaczyna się adwent.

Uśmiechnęła się, jakby była długo wyczekiwany gościem, i sama nalała sobie filiżankę herbaty z cukrem i wzięła ostatni kawałek ciasta ze śliwkami.

– Jesteś teraz tutaj pomocą kuchenną, Gertie? – zapytała, przeżuwając ciasto.

– Dopiero drugi tydzień.

Maria Jordan kiwnęła głową i dodała, że wiele dziewcząt pomagających tutaj w kuchni osiągnęło potem znacznie więcej.

– A ty? – zapytała kucharka, która wkładała teraz do dużej fajansowej miski składniki farszu. – Co z tobą teraz będzie, Jordan?

– Ze mną? Och, nie będę narzekać...

– Tak, tak – powiedziała Fanny Brunnenmayer, wsypując sporą garść soli do masy w misie.

Gertie, która myła duży talerz, wyciągała mocno szyję, żeby zobaczyć, jakie przyprawy postawiła przed sobą kucharka. Jak już zdążyła się zorientować, zawartość niebiesko-białych pojemniczków nie zgadzała się z widniejącymi

na nich podpisami.

– A tutaj w domu? – badała grunt Maria Jordan. – To prawda, że zatrudniono nową guwernantkę do dzieci?

– To niestety prawda – odpowiedziała Hanna. – Łaskawa pani, to znaczy starsza pani Melzer, zatrudniła guwernantkę wbrew woli córki i synowej. To jest straszna kobieta. Biedna Dodo skarżyła mi się wczoraj wieczorem.

Maria Jordan piła herbatę małymi łyżkami. Robiła to bardzo elegancko, wysunęła nawet w bok mały palec. Gertie uznała zachowanie byłej pracownicy za bardzo dziwne. Ale powiedziano jej już wcześniej, że Maria Jordan to „szczególna” osoba.

– Czyli dzieci już się na niej poznały – zauważyła Maria Jordan. – Jak się nazywa?

Julius ziewnął przeciągle. Oczy mu się kleiły, prawdopodobnie chciał już pójść do łóżka. Ale skoro Hanna wciąż siedziała w kuchni, on też został na dole.

– Nazywa się Serafina – odpowiedziała Hanna.

Jordan zmarszczyła czoło.

– Może Serafina von Sontheim?

– Nie. Von Dobern. Ponoć jest przyjaciółką Elisabeth von Hagemann.

Maria Jordan przytaknęła. Znała tę kobietę. Z pewnością nie miała łatwego charakteru. Biedne dzieci. Tak, naprawdę było jej ich żal. Gertie zrozumiała, że poza nią i Julusem wszyscy pracownicy poznali już wcześniej Serafinę von Dobern. Zubożała szlachcianka. Koścista i paskudna. Wystający podbródek. Nudna do bólu. Chciała kiedyś zostać panią Melzer.

– No to będzie teraz dużo niezadowolenia – powiedziała Maria Jordan. – Miałam panią Melzer za trochę roztropniejszą. Ale w końcu nie jest już najmłodsza.

Kucharka spróbowała farszu łyżeczką od herbaty, kiwnęła zadowolona i przykryła garnek czystą szmatką.

– Ty! – rzuciła do Gertie. – Zanieś to do spiżarni i porozstawiaj na regale przyprawy. – Sama podeszła do zlewozmywaka, żeby umyć ręce.

– A co tam z waszymi uprawami, Auguste? – zapytała Jordan.

Auguste machnęła ręką. Nie miała ochoty opowiadać o swoich smartwieniach Marii Jordan.

– Teraz, gdy zbliża się zima, nie ma wiele do zrobienia. A wkrótce będę rodzić.

– Oczywiście, oczywiście – odpowiedziała Jordan, patrząc na jej wielki brzuch. – Pewnie przydałyby się wam teraz jakieś dodatkowe dochody. Wkrótce Boże Narodzenie, dziewczynka i chłopcy pewnie chcieliby dostać prezenty.

O prezentach świątecznych Bliefertowie w ogóle nie myśleli. Będą zadowoleni, jeśli na stole świątecznym znajdzie się chociaż skromny posiłek.

– A jakie to dodatkowe dochody masz na myśli? Potrzebujesz kogoś, kto by ci pomógł w stawianiu kart? – zakpiła Auguste.

Maria Jordan uśmiechnęła się i oparła plecami na krześle. Z rękami założonymi na brzuchu wyglądała bardzo protekcyjnie.

– Mam kilka niewielkich prac do wykonania. Malowanie ścian. Kładzenie podłóg. Wymiana rur w piecu...

Wszyscy pracownicy patrzyli teraz na nią z mniejszym lub większym niedowierzaniem. Gertie też nie wiedziała, co o tym myśleć. Czyż nie mówiono, że Maria Jordan była kierowniczką sierocińca i na skutek inflacji straciła posadę?

– Ty? – zapytała Auguste, nie wiedząc, czy się śmiać, czy potraktować to poważnie. – Ty chcesz zlecić takie prace?

– Oczywiście. – Maria Jordan siedziała z władcą miną na krześle i cieszyła się z wrażenia, jakie zrobiły jej słowa.

– I zapłacisz za to?

– Oczywiście, że zapłacę.

– Tak, ale... – jąkała się Auguste i spoglądała bezradnie na Fanny Brunnenmayer. Ta jednak była tak samo zaskoczona jak pozostali.

– Dostałaś jakiś spadek, Jordan? Albo trafiłaś na bogatego kochanka?

Maria Jordan spojrzała na kucharkę z wyrzutem. Za kogóż ona ją miała.

– W dzisiejszych czasach kobieta sama musi się o siebie troszczyć – oznajmiła, patrząc dokoła. – Kto liczy na cudzą pomoc, ten przepadł. – Poczekała, aż szeptki wokół stołu nieco ucichną, i mówiła dalej: – Kupiłam dwa małe domy na Milchbergu i trzeba je wyremontować. Będę je wynajmować.

Auguste opadła szczęka. A Hanna o mało nie upuściła ostatniego talerza,

który właśnie wycierała. Fanny Brunnenmayer rozlała herbatę. A Julius patrzył na Marię Jordan z niekłamanym podziwem.

– Domy? – wyjąkała Fanny Brunnenmayer. – Ty kupiłeś dwa domy? Powiedz no, Jordan, chcesz nas wszystkich nabrać?

Maria Jordan wzruszyła ramionami i powiedziała, że mogą jej wierzyć albo nie, ale nie zmieni to faktów. Gdyby tego nie zrobiła, inflacja zjadłaby szybko jej oszczędności. Zaoszczędziła pewną sumę, bank dał jej kredyt i szybko pozbyła się pieniędzy.

– Rozumiem – odparł Julius z zazdrością. – Kupiła pani te domy okazji, bo właściciele splajtowali. A pożyczki bankowe nie podlegają inflacji. Sprytnie! Moje uszanowanie, panno Jordan.

Był jedynym, który się teraz odezwał, pozostali milczeli. Jordan. Ta przebiegła kobieta. Teraz dokończyła swoje dzieło. Swój dobrobyt budowała najpewniej na niedoli innych. Ale tak to już bywało w tych okropnych czasach.

Auguste pierwsza przerwała milczenie.

– A ile zapłacisz?

– Przyślij do mnie Gustava, na pewno się dogadamy.

– Nie ma mowy – odpowiedziała Auguste. – Cenę ustalisz ze mną. Znam cię, Jordan.

– Jak chcesz, Auguste. Ale musisz wiedzieć, że otwieram też sklep z artykułami spożywczymi. Wziąłabym od was kwiaty i warzywa.

– Sprzedajemy nasze produkty na targu.

– Zajrzyj jutro do mnie. Dwa niewielkie domki przy skrzyżowaniu ulic. Moje nazwisko jest już na drzwiach.

Maria Jordan podniosła się z miejsca i popatrzyła zachęcająco na Juliusa. Gertie ledwie mogła w to uwierzyć, ale zadzierający nosa kamerdyner po chwili przyniósł jej okrycie i szal. Pomógł jej nawet ubrać się i uśmiechał się do niej, jakby była dobrze urodzoną damą. A Maria Jordan była tylko zwolnioną pokojówką, która dorobiła się pieniędzy. Ale tak właśnie już jest w życiu – pieniądze podnoszą status społeczny.

– Życzę raz jeszcze udanego wieczoru – powiedziała Jordan. W jej oczach widać było poczucie triumfu. – Do zobaczenia rano, Auguste.

Julius ją odprowadził i zamknął za nią drzwi wejściowe. Przez chwilę

panowała w kuchni absolutna cisza.

– Przecież to nieprawdopodobne! – zabrzmiał wreszcie głos Fanny Brunnenmayer.

– Znowu bez szwanku spadła z wysokiego konia – mruknęła Auguste pogardliwie. – Delikatesy przy Milchbergu. To niemożliwe! Jordan i sklep spożywczy!

– A dlaczego nie? – zdziwiła się Gertie.

– Ty i tak nic z tego nie rozumiesz, głupia – warknęła Auguste.

– Jest odważna – stwierdziła Gertie. – Będzie teraz szła sama przez ciemny park, a potem do miasta.

Nic sobie nie robiła ze zjadliwego spojrzenia, jakie rzuciła jej Auguste. Nie była Hanną, którą da się łatwo zastraszyć. Na niej ta wredna złoźnica nie będzie sobie ostrzyła zębów.

– Jest już ciemna noc – powiedziała Brunnenmayer. – Już dziewiąta. Gdzie podziewa się ta przekłeta Else?

Auguste wstała z trudem z ławki, narzekając, że spuchły jej nogi. Hanna podeszła do niej, podała jej kurtkę i chustę.

– Co się tak denerwujecie? Pewnie dawno już leży na górze w łóżku i chrapie.

– Ale jak mogłaby tu wejść niezauważona?

W istocie wejście dla służby prowadziło przez kuchnię. Gdyby Else wróciła do domu, musiałyby się natknąć przynajmniej na Fanny Brunnenmayer, która od południa nieprzerwanie stała przy kuchni.

– Idę do domu, Liesl już dawno miała położyć chłopców spać – powiedziała Auguste, wyciągając włosy spod chusty. – Wiatr wieje ze wszystkich stron.

Gertie otworzyła drzwi i czekała, aż zapali sobie świecę w latarni. Wiatr szarpał spódnicą i szalem Auguste, ciężko szła przez podwórko w stronę wąskiej żwirowej dróżki, która prowadziła przez jesienny park do małego domku, w którym mieszkali. Liesl ma dopiero dziesięć lat, myślała Gertie, a już musi zastępować braciom matkę. Biedna dziewczyna. W kuchni została już tylko Brunnenmayer, która uzupełniała naczynie na wodę w piecyku, inni już poszli.

– Dobranoc!

– Śpij dobrze – odpowiedziała kucharka.

Gertie zdążyła wejść zaledwie na trzeci stopień schodów dla służby, gdy wyszła do niej Hanna, a za nią szedł Julius.

– Else jest na górze. Rzęzi tak jakoś dziwnie. Musimy chyba wezwać doktora.

U podnóża schodów stała Brunnenmayer i szczerze przerażona przykładła rękę do ust.

– Wiedziałam! To już trwa od tygodni. Ale nic nie mówiła...

Gertie odsunęła Hannę i Juliusa na bok i poszła na górę. Nieszczególnie lubiła Else, była nieprzystępna i często narzekała. Jeśli jednak naprawdę była chora, trzeba jej pomóc.

– Boli ją ząb – powiedział Julius. – Rano powinna iść do dentysty.

– Jutro jest niedziela. – Gertie usłyszała głos Hanny.

– No to w poniedziałek rano – odparł krótko Julius.

Gertie w pośpiechu dotarła na trzecie piętro. Długi korytarz, wzdłuż którego po prawej i lewej stronie znajdowały się pokoje dla służby, był oświetlony lampą sufitową, która dawała nikłe światło. Było jednak widać, że drzwi do pokoju Else są uchylone.

– Else?

Nie było odpowiedzi, więc Gertie zamasyście otworzyła drzwi. Powietrze w środku było mocno zatechłe, lepiej było nie myśleć, jakie zapachy się tutaj ze sobą mieszały. Gertie znalazła lampę i zapaliła ją. Else leżała w łóżku zagrzebana w poduszki i nie reagowała, słychać było jej szybki i świszczący oddech. Było widać jedynie jej spocone czerwone czoło i zabarwiony niebieskawo, spuchnięty policzek. Gertie patrzyła na ten ciemny obrzęk i robiło się jej coraz bardziej słabo. Jej pięcioletnia siostra zmarła z powodu zakażenia krwi. Zaogniona rana na palcu, nic więcej. Nikt nie wpadł na to, żeby zabrać dziecko do szpitala, kiedy jeszcze nie było na to za późno. Gertie zbiegła po schodach na dół tak szybko, że aż zrobiło jej się słabo.

– Julius!

Stali na dole w kuchni i rozprawiali, czy powinien o tej porze jechać po lekarza. Julius nie odwrócił się nawet do Gertie, był całkowicie zajęty namawianiem Hanny na nocną jazdę samochodem.

– Pojedziemy do doktora Greinera. To przyjaciel rodziny i na pewno przyjedzie.

– A co ja mam do tego? Możesz jechać sam.

– Musisz mi pomóc namówić doktora. Możesz to przecież zrobić, Ha...

– Przestańcie już! – zawołała Gertie. – To jest kwestia życia i śmierci. Musimy jakoś wpakować Else do samochodu i jechać z nią do szpitala.

Julius przewrócił oczami. Co za brednie. A poza tym bez pozwolenia łaskawych państwa oni i tak nie mogą tego zrobić.

– Musimy powiadomić o tym państwa – przyznała Fanny Brunnenmayer. – To łaskawa pani musi zdecydować, co robić.

Hanna wyszła natychmiast z kuchni, Gertie poszła za nią. Korytarz na pierwszym piętrze był zupełnie ciemny, w gabinecie dla panów i ogrodzie zimowym nie było nikogo. Z czerwonego salonu było natomiast słychać ciche głosy, najpewniej młoda pani Melzer rozmawiała ze swoją szwagierką. Hanna zapukała delikatnie, obie czekały niecierpliwie, ale nic się nie wydarzyło. Rozmowa wydawała się bardzo ożywiona, dlatego z pewnością nie usłyszały cichego pukania Hanny.

– Och – wyszeptała Hanna. – Chodzi o nową guwernantkę.

– To nieważne w tej chwili.

Gertie nieproszona otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Na sofie siedziały Marie Melzer i Kitty Bräuer i rozmawiały podniesionym głosem. Kitty Bräuer unosiła rękę. Gdy Gertie pojawiła się w drzwiach, zamarła w bezruchu.

– Gertie? Co ty tutaj robisz o tej porze? – zapytała, okazując zdenerwowanie tym niespodziewanym najściem.

Marie Melzer zrozumiała od razu.

– Czy coś się stało?

Gertie ukloniła się i energicznie przytaknęła.

– Przepraszam, że tak po prostu tutaj weszłam, łaskawa pani, ale Else jest śmiertelnie chora. Myślę, że może mieć zakażenie krwi.

– Och, dobry Boże! – krzyknęła Kitty Bräuer. – Dzisiaj to już nic nie zostanie nam oszczędzone. Jak Else nabawiła się czegoś takiego?

Marie Melzer wyskoczyła z pokoju. Na korytarzu spotkała Hannę, która cierpliwie tam czekała.

– Hanno? Byłaś u niej? Ma gorączkę? Ranę?

Gertie stała przy drzwiach i pomyślała, że łaskawa pani to ją powinna o to

pytać, a nie Hannę. Ale tak to było – pomoc kuchenna się nie liczyła, krawcowa natomiast już tak.

– Gertie powiedziała, że musimy jechać do szpitala, bo inaczej ona umrze.

– Chodź ze mną, Hanno. Zobaczę, co z nią.

Gertie nie została poproszona do towarzystwa, więc została przy drzwiach. Czy Hanna nie oświadczyła dobitnie „Gertie powiedziała...”? Dlaczego więc nie wolno jej było pójść na górę? Teraz Kitty Bräuer również wstała i wyszła na korytarz. Spojrzała gniewnie na Gertie.

– Co za teatryk! Pewnie znowu boli ją ząb. Powinna wreszcie iść do dentysty, ta głupia kobieta. Dlaczego tak tutaj sterczysz? Wracaj do swojego pokoju. Czeka! Stój! Jeśli już tu jesteś, przynieś mi filiżankę herbaty. Tę czarną z Indii. I dwa ciastka nugatowe. Do mojego pokoju, na górę. Tylko już!

– Oczywiście, łaskawa pani.

Ta kobieta miała serce jak kawał drewna. Na górze umiera Else, ale łaskawa pani życzy sobie herbatę z ciastkami. Zdenerwowana Gertie zeszła na dół do kuchni, gdzie czekała na nią kolejna rozgniewana osoba.

– Musisz zawsze wsadzać nos w nie swoje sprawy? – warknął na nią Julius.
– Już prawie ją przekonałem.

– I tak nie mógłbyś jechać autem bez zgody państwa! – odburknęła.

Tego jeszcze brakowało. Ten napalony kozioł chciał wykorzystać okazję, żeby dobrać się do Hanny.

– W nagłej sytuacji, gdy chodzi o śmierć i życie, mogę to zrobić!

Niewiarygodne! Jediną osobą, która jeszcze martwiła się o Else, była kucharka. Fanny Brunnenmayer też pobiegła na górę, a teraz wróciła do kuchni, ciężko dysząc. Młoda pani Melzer jest teraz na górze u Else. Bogu dzięki, Marie Melzer będzie wiedziała, co robić. Gertie uważała, że ona też wiedziała dobrze, jak należy postąpić. Tylko nikt jej nie słuchał.

– Julius! Wyprowadź samochód! – rozległ się energiczny męski głos.

Lokaj się wzdrygnął. Najwyraźniej uznano, że sytuacja jest poważna, skoro wezwano też pana domu.

– Natychmiast, panie Melzer!

Gertie razem z Fanny Brunnenmayer przeszły w pośpiechu na drugą stronę kuchni, gdzie znajdowało się wyjście na korytarz. Zapaliło się światło –

łaskawy pan w ostatnim roku kazał założyć więcej lamp elektrycznych w holu.

– Tam! – jęknęła Fanny Brunnenmayer, pokazując palcem w stronę klatki schodowej dla państwa. – O Boże... o Boże... święta Maryjo... Jezu Chryste...

Gertie z szeroko otwartymi oczami obserwowała, co się dzieje. Łaskawy pan trzymał na rękach nieprzytomną Else i schodził z nią po schodach. Żaden inny pan najpewniej nigdy czegoś takiego nie zrobił. Zawinięto chorą w jej pierzynę, ale wystawały spod niej jej bosa nogi – biedna Else miała mnóstwo odcisków.

– Czy jest już samochód? Przynieś jeszcze koc, Hanno.

Marie Melzer szła obok męża, Hanna pobiegła przodem, żeby otwierać drzwi. Do środka wpadały białe płatki, najwyraźniej zaczął padać śnieg. Fanny Brunnenmayer położyła rękę na ramieniu Gertie i szlochała, wzywając wszystkich świętych.

– Gertie, ona już tutaj nie wróci. Nie wróci.

Gertie poderwała się, żeby przynieść płaszcze i kapelusze dla państwa. Marie Melzer uśmiechnęła się do niej, po czym przewiesiła rzeczy przez ramię i poszła za mężem. Wydawało się, że też chce jechać z nimi do szpitala. Hanna ledwie zdążyła zamknąć za nimi drzwi, a na schodach pojawiła się Kitty Bräuer. Zdezorientowana patrzyła na korytarz, gdzie Hanna i Gertie stały ze szlochającą kucharką.

– Mój Boże! Co za okropność! – krzyknęła. – Gertie! Nie zapomnij o mojej herbacie. Tylko bez ciastek. Straciłam apetyt.

Sytuacja ulegała zmianie. Paul Melzer czuł to wyraźnie, choć wszyscy z jego otoczenia pozostawali sceptyczni. Ale on był pewien, że ma dobrą intuicję, tak jak miał ją jego ojciec. Najgorszy moment upadku gospodarczego po przegranej wojnie właśnie się kończył. Odłożył pismo, które przed chwilą czytał, do teczki i postanowił, że podejmie decyzję jutro po szczerzej rozmowie z Ernstem von Klippsteinem. Oferta ze Stanów Zjednoczonych na dostawę surowej bawełny była do zaakceptowania, ale nie wiadomo było, czy powojenny rynek papierów wartościowych, w którym on sam pokładał tak wielką nadzieję, doprowadzi do ustabilizowania się niemieckiego rynku walutowego. Jeśli niemiecka waluta wciąż będzie tracić w stosunku do dolara, lepiej będzie połączyć zakup bawełny ze zmniejszeniem produkcji materiału z nadrukiem, żeby uniknąć strat.

Zamknął teczkę i przeciągnął się. Siedzenie przy biurku nie wpływało dobrze na jego ramię, stawało się sztywne, gdy dłużej pozostawał bez ruchu. Było to irytujące, ale koniec końców miał bardzo dużo szczęścia, inni wrócili z wojny ze znacznie gorszymi obrażeniami. Nie wspominając już o tych wielu, wielu tysiącach mężczyzn, którzy polegli i leżeli gdzieś bezimiennie w obcej ziemi. Tak, on był szczęściarzem. Nie tylko przeżył, ale mógł znowu wziąć w ramiona ukochaną Marie, zobaczyć swoje dzieci, matkę, siostry... Nie wszyscy powracający z wojny mogli się cieszyć z powrotu, wielu nieszczęśników dowiadywało się, że ich żona czy narzeczona w czasie ich nieobecności znalazła sobie kogoś innego.

Na zewnątrz zapadł już zmrok. Przez okno widać było część oświetlonych hal fabryki Melzerów pod przeszklonymi dachami, tworzącymi formę trójkąta, a za nimi, w niedalekiej odległości również budynki przedzalni oraz inne zabudowania dzielnicy przemysłowej.

Z daleka, w całkowitej ciemności pobłyskiwały światła miasta. To był dobry widok, spokojny i napawający nadzieją. Jego rodzinne miasto, Augsburg, tak często za nim tęsknił w ponurych czasach wojny w Rosji. Ale lepiej będzie już o tym nie myśleć. Po prostu nie przywoływać żadnych wspomnień. To, co widział na froncie, a potem w obozach jenieckich było tak niewyobrażalnie okrutne, że musiał pogrzebać to głęboko w sobie. Kilkakrotnie próbował opowiedzieć coś o tym Marie, ale potem mocno tego żałował, bo przywołane w ten sposób duchy przeszłości gnębiły go później przez kilka kolejnych nocy i nie był w stanie ich przegnać nawet, gdy sięgał po alkohol. One musiały pozostać w całkowitym zapomnieniu, te złowrogie cienie, za drzwiami

zamkniętymi na tysiąc spustów, tak by nigdy już nie zostały przywołane. Tylko dzięki temu będzie mógł dalej żyć, budować swoją przyszłość.

Ponownie otworzył teczkę i zaczął układać stosy dokumentów po prawej i lewej stronie biurka. Po lewej stronie kładł papiery dotyczące nierozwiązanych spraw w kolejności odpowiadającej temu, jak bardzo były pilne. Po prawej segregatory i teczki, do których dzisiaj powinien zajrzeć. Na środku biurka ustawił przybornik z zielonego kamienia, który niegdyś należał do jego ojca. Od ponad trzech lat siedział w biurze swojego taty, przy jego biurku, nawet na tym samym fotelu co on. Minęło zaledwie kilka lat od chwili, gdy dyrektor Johann Melzer dotkliwie upokorzył swojego syna w tym właśnie gabinecie, w obecności pracowników. Paul, kierowany złością, wyjechał wówczas natychmiast do Monachium, gdzie jeszcze wtedy studiował prawo...

To już przeszłość. Miniona bezpowrotnie. Czas sprawił, że nastąpiła teraz zmiana pokoleniowa. Johann Melzer spoczywa w Bogu na cmentarzu Hermana. Paul Melzer zajął jego miejsce, a jego syn Leo, który powinien podążać śladem dziadka i ojca, pobił się właśnie z kolegami w szkole.

Ktoś zapukał do drzwi. Henriette Hoffmann, jedna z dwóch sekretarek, zaglądała przez uchylone drzwi, a w jej okularach odbijało się światło lampy sufitowej.

– Wszystko już zrobione, panie dyrektorze.

– Dobrze, panno Hoffmann. W takim razie kończymy. Proszę powiedzieć panie Lüders, żeby zniosła oba te segregatory z dokumentami do biura pana von Klippsteina.

Znowu zrobiło się późno, zegar ścienny wskazywał siódmą. Będzie musiał kolejny raz wysłuchiwać wyrzutów matki. Mama od wielu lat była strażniczką rutyny wypracowanej w willi, co dotyczyło przede wszystkim rytuałów związanych z rodzinnymi posiłkami. Nie było jej łatwo, gdyż przede wszystkim Kitty nie przywiązywała wagi do punktualności. Do tego doszła teraz praca Marie w jej atelier, z którego często wracała dopiero wieczorem. Ta zmiana także jemu niezbyt się podobała, ale znosił ją dotychczas bez jednej skargi.

– Oczywiście, panie dyrektorze.

– To byłoby dzisiaj na tyle, panno Hoffmann. Czy pan von Klippstein już wyszedł?

Henriette Hoffmann uśmiechnęła się w wymuszony sposób. Oczywiście, że

opuścił już swoje biuro przed kwadransem.

– Pojechał na Karolinenstraße, żeby odebrać pana żonę.

– Dziękuję, panno Hoffmann. Proszę pamiętać o zamknięciu drzwi, gdy będzie pani wychodzić.

Paul zobaczył, że sekretarka się zarumieniła. Dzisiaj rano Paul zauważył bowiem, że drzwi wejściowe nie były zamknięte. Każdy, kto by chciał, mógł wejść do budynku i do poczekalni i biur obu sekretarek. Nikt nie przyznał się do winy, ale można było przypuszczać, że to Klippi był odpowiedzialny za to zaniechanie. W ostatnim czasie jego wspólnik wydawał się mocno zdekoncentrowany, może było prawdą to, co Kitty nieustannie powtarzała, że Ernst von Klippstein szuka sobie żony. Paul włożył płaszcz i kapelusz. Na laskę, którą nosili eleganccy panowie z elitarnych kręgów, jakoś nie mógł się zdecydować. Gdy wychodził, do jego biura przemknęła Otilie Lüders, żeby zabrać zostawione segregatory i zanieść do biura von Klippsteina. W przeciwieństwie do swojego ojca, który zawsze siedział przy biurku niemalże całkowicie zavalonym różnymi dokumentami, Paul nie mógł znieść, gdy leżało na nim coś, co właśnie nie było mu potrzebne.

– Życzę paniom przyjemnego wieczoru!

Prawie zbiegł z klatki schodowej. Odstępy między stopniami znał tak dobrze, że nogi same go niosły. Gdy znalazł się na dole, skontrolował sytuację w halach, zajrzał do przędzalni, w której pracowano na nowych maszynach, i był zadowolony, że wszystko sprawnie działa. Za pół godziny kończyła się ostatnia zmiana. Przed wojną maszyny chodziły w fabryce dzień i noc, ale ten czas dawno minął. Stan zamówień jeszcze nie wzrósł do tak oszałamiających rozmiarów, żeby było to konieczne. Kiedy zmniejszył czas pracy na rannej i środkowej zmianie do ośmiu godzin, zyskał sobie reputację postępowego pracodawcy. Choć niektórzy twierdzili, że wprowadził te zmiany jedynie z obawy przed kolejnymi strajkami, że był tchórzem, który padał na kolana przed socjalistami. Niezależnie od tego jego pracownicy byli zadowoleni, a ich wydajność nie spadła. To się liczyło. Nawet jeśli jego ojciec prawdopodobnie przewracał się teraz w grobie.

– Dobrej nocy, panie dyrektorze!

– Dobranoc, Gruber!

Portier – jak zawsze – wyszedł ze swojej oszklonej budki, żeby pożegnać pana dyrektora. Drugiego tak wiernego pracownika jak Gruber najpewniej nie dałoby się znaleźć na całym świecie. Żył tylko dla fabryki, przychodził pierwszy, wychodził ostatni. Kitty twierdziła nawet, że śpi w portierni, ale to

oczywiście nie była prawda. Gruber znał wszystkich, którzy tutaj wchodzili i którzy stąd wychodzili. Każdego pracownika, nawet tego, który pomagał jedynie co jakiś czas, listonosza, dostawców, partnerów biznesowych – każdego, kto miał jakikolwiek związek z fabryką.

Gdy Paul jechał przez Haagstraße do posiadłości, zastanawiał się, co się za tym kryje, że Ernst odbiera Marie z atelier. Jego przyjaciel uczynił już tak kilkakrotnie, twierdząc, że w tych ponurych i niebezpiecznych czasach Marie nie powinna wracać sama do domu. Marie śmiała się z niego i mówiła, że nie jest jedyną osobą, która jeździ tramwajami. Czy chciałby odwozić do domu również panny Hoffmann i Lüders, które także wracały same w tych złowrogich czasach? Wtedy Ernst zasłaniał się potrzebami starszej pani i stwierdzał, że w ten sposób dba o to, by wszyscy zjawiali się w domu Melzerów punktualnie na kolacji. A poza tym miał też nadzieję, że dzięki temu – jako dżentelmen i niezbędny pomocnik – zostanie zaproszony do stołu. Ale mama niezależnie od okoliczności zapraszała go aż nazbyt chętnie. Cóż, Paul nie miał nic przeciwko temu, Klippi, jak nazywała go Kitty, był wszak wartościowym człowiekiem i miłym towarzyszem.

Gdy Paul wjeżdżał na teren parku, kolejny raz rzuciło mu się w oczy, że lewe skrzydło bramy wisi krzywo na zawiasach. Trzeba będzie odnowić murowany słup, wielkie skrzydła bramy z kutego żelaza na szczęście wyglądały na nienaruszone. Postanowił, że porozmawia z mamą na ten temat, i skierował wzrok na posiadłość oświetloną przez kilka lamp na zewnątrz. Przed wejściem stał wóz konny. Prawdopodobnie sprzedawca wina, u którego zamówił kilka skrzynek białego i czerwonego trunku. Paul się zdenerwował. Wóz nie powinien się zatrzymywać przed głównym wejściem, rolnicy oraz handlarze, którzy dostarczali produkty do willi, mieli przykazane, by podjeżdżać do wejścia dla służby, bo właśnie do tej części budynku były zabierane zamówione produkty. Gdy zbliżył się do podjazdu, ku swojemu wielkiemu zdziwieniu zdał sobie jednak sprawę, że nie był to sprzedawca win. Na furmankę ładowano rozmaite kufry i meble, wyniesione z posiadłości. Zaparkował tuż przed i znalazł się tu w idealnym momencie, żeby powstrzymać Juliusa przed wpakowaniem jasnoniebieskiego, pokrytego jedwabiem taboretu.

– Co to ma być, Juliusie? Przecież to jest stołek z pokoju mojej siostry!

Julius nie zauważył zbliżającego się Paula i zareagował przerażeniem na jego niespodziewaną przemowę. Postawił taboret na dziedzińcu i przez chwilę łapał gwałtownie powietrze. Paul, obserwując lokaja, zdał sobie sprawę, że sytuacja jest dla niego niezbyt komfortowa.

– To się wszystko dzieje z polecenia pana siostry, panie Melzer – powiedział z wyrzutem. – Ja robię tylko to, co mi kazano.

Paul wpatrywał się przez chwilę w Juliusa, a potem zwrócił wzrok na śliczny niebieski taboret pokryty jedwabiem. Czy to ten, który stał przed toaletką Kitty?

– Niech pan wnosi wszystko z powrotem do domu! – przykazał zdziwionemu słudze.

Potem wbiegł szybko po schodach na górę, żeby zmyć głowę Kitty. W korytarzu wpadł na biurko, które właśnie wynosili dwaj młodzi chłopcy.

– Postawić to! Nic więcej nie zostanie stąd wyniesione! – rozkazał gniewnie.

Jeden z chłopców go posłuchał, drugi spojrzął na niego zuchwale.

– My wykonujemy jedynie naszą pracę, drogi panie. Lepiej nie wchodzić nam pan w drogę.

Paul zmusił się, żeby zachować spokój. Znał dobrze tego rodzaju młodych chłystków, niegdyś zatrudniał kilku takich w fabryce i miał z nimi same kłopoty. W wieku siedemnastu lat zostali oni wysłani na wojnę, tam zetknęli się z okrucieństwem, nauczyli się zabijać bez skrpułów, nękać innych, wszystko niszczyć. Teraz nie potrafili się ponownie odnaleźć w ojczyźnie.

– Jestem panem tego domu – powiedział spokojnym, ale zdecydowanym tonem. – Radzę więc wam nie sprzeciwiać się mojej woli. Może to was bowiem sporo kosztować!

W drzwiach prowadzących do części gospodarczej willi stały Brunnenmayer oraz Auguste w bardzo już zaawansowanej ciąży i obie patrzyły z przerażeniem na to, co się działo. Paul kiwnął tylko głową w ich stronę i pobiegł na pierwsze piętro.

– Kitty! Gdzie się ukrywasz?

Żadnej odpowiedzi. Na drugim piętrze, gdzie znajdowały się sypialnie rodziny, widać było meble poprzesuwane tu i tam i dało się słyszeć głośny płacz Henny. Już kierował się do klatki schodowej, gdy z czerwonego salonu wyszła matka.

– Paul! Co za szczęście, że wreszcie jesteś!

Popatrzył na nią badawczo. Czyżby płakała? O nie, znów chyba jakiś rodzinny dramat. Najchętniej zupełnie by się odseparował od tych kobiecych niesnasek.

– Co się stało?

Faktycznie płakała. Trzymała w ręce chusteczkę i wycierała nią oczy.

– Kitty straciła rozum – wyjąkała. – Chce się wyprowadzić z willi i zamieszkać z Henny na Frauentorstraße.

Alicia musiała ponownie wytrzeć potok napływających łez, a Paul zrozumiał, że mamie chodzi nie tyle o córkę, ile o małą wnuczkę. Mama była niebywale przywiązana do całej trójki.

– A z jakiegoż to powodu?

Właściwie mógł sobie oszczędzić zadawania tego pytania, bo dobrze znał odpowiedź. Nowa guwernantka, Serafina von Dobern. Dlaczego mama zatrudniła ją bez uzgodnienia tego z Kitty i Marie? Tak naprawdę mama sama na siebie ściągnęła te kłopoty.

– Błagam cię, Paul – powiedziała. – Idź na górę i przemów siostrze do rozumu. Mnie zupełnie nie chce słuchać!

Nie miał na to ochoty. Zwłaszcza że dobrze znał swoją młodszą siostrę – kiedy powzięła jakiś plan, nikomu nie pozwalała się od niego odwieść. Westchnął głęboko. Dlaczego Marie się tym nie zajmuje? I gdzie jest Ernst, ten tchórz?

– Gdyby Johann żył! – łkała Alicia w chusteczkę. – Wtedy Kitty nie odważyłaby się na coś takiego!

Paul udał, że nie słyszy ostatniego zdania, i poszedł schodami na górę. Tata! On by przede wszystkim nie wpuścił tej całej Serafiny do domu. Ojciec naprawdę nie lubił przyjaciółek Lisy i miał ku temu wszelkie powody. Na korytarzu na drugim piętrze panował rozgardiasz: wyciągnięte z pokoi stały kufry i skrzynie, dziecięce łóżeczko Henny oparte o komodę, a obok niego leżały materac, rozrzucona pościel, nocnik, lalki i duży koń na biegunach.

– Kitty! Czy ty już zupełnie oszalałaś?!

Zamiast siostry w korytarzu zobaczył jednak Marie, która trzymała w rękach stos dziecięcej bielizny. Za nią Paul dostrzegł niewielką postać w sukience, w której rozpoznał Gertie, upychającą ubrania do wielkiego kufra.

– Och, Paul – powiedziała Marie i wrzuciła bieliznę do otwartej skrzyni. – Tak mi przykro. Dzisiaj wszystko się wali.

Potrząsając głową, przeszedł między pudłami i kuframi w stronę pokoju

Kitty.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego pomagasz przy tym irracjonalnym przedsięwzięciu, Marie – powiedział, idąc do niej. – Dlaczego nie próbujesz pośredniczyć? Mama przecież aż wychodzi z siebie!

Marie spojrzała na niego z wyrzutem i od razu pożałował swoich słów. Jakże głupie było z jego strony to obwinianie Marie. Z pewnością niewiele mogła zrobić w tej kwestii. Odpowiedź Marie uświadomiła mu jednak, że dotkliwie się pomylił.

– Bardzo mi przykro, że muszę ci to powiedzieć, Paul – odparła spokojnie. – Mama jest sama sobie winna. Zna przecież Kitty od chwili jej narodzin i powinna dobrze wiedzieć, że w ten sposób niczego z nią nie wygra.

Paul przyjął w milczeniu ten zarzut stawiany jego matce. Alicia uważała, że cała troska o dzieci spada na nią, bo Marie całe dni spędza w swoim studiu. Dlatego zatrudniła guwernantkę, którą darzy pełnym zaufaniem. On sam zgadzał się do pewnego stopnia z tymi argumentami, ale wolał teraz nie mówić o tym Marie.

Kitty siedziała na łóżku, trzymała na kolanach szlochającą Henny i starała się ją uspokoić.

– Moja laleczko...

– Niiieeee! Chcę zostać tuuuutaj!

– Ale mój skarbie. Babcia Gertrude bardzo się cieszy, że przyjedziesz.

– Ja nie luuuubię babciiiii Gertrudeeee!

Kitty podniosła wzrok wyraźnie zdenerwowana i zobaczyła, że w drzwiach stoi Paul. Nie wydawała się zachwycona jego obecnością.

– Ach, Paul! – krzyknęła z udawaną wesołością. – Wyobraź sobie, że to głupie, głupiutkie dziecko nie chce się przeprowadzić na Frauentorstraße. A będzie tam miała dla siebie cały ogród. I może tam zabrać wszystkie swoje zabawki.

Mówiła teraz bardziej do płaczącej Henny niż do swojego brata.

– I kupię jej tam piękny pokoik dla lalek. Z prawdziwymi mebelkami i oświetleniem...

Paul odchrząknął i odważył się zabrać głos. Choć nie liczył, że na coś się to zda.

– Naprawdę chcesz to zrobić mamie, Kitty?

Kitty przewróciła oczami i wykonała energiczny ruch głową z ciemnymi włosami obciętymi na boba.

– Mama jest egoistką, która z zimnym uśmiechem oddała swoje wnuki w ręce tej czarownicy. Ani słowa więcej na temat mamy, Paul. Wiem, o czym mówię. Znam Serafinę aż za dobrze. Nigdy, nigdy, przenigdy nie zostawię mojej słodkiej Henny w jej rękach.

Paul westchnął. Wiedział dobrze, że jest na przegranej pozycji. Ale próbował coś zrobić z miłości do matki i oczywiście żeby utrzymać pokój w domu.

– Dlaczego wy kobiety nie zbierzecie się i razem nie omówicie tej kwestii? Przecież przy dobrej woli wszystkich musi się znaleźć jakieś rozwiązanie. Przecież pani von Dobern to nie jedyna guwernantka w Augsburgu.

Henny najwyraźniej zauważyła, że matka nie poświęca jej już pełnej uwagi, wzięła więc głęboki oddech i znowu uderzyła w lament.

– Henny, moja słodka. Już dobrze. Nie trzeba przecież tak płakać.

Henny jednak nie dawała się uspokoić i zawodziła nieprzerwanie. Kitty zatkała sobie uszy, a Paul odwrócił się i wyszedł na korytarz. Marie starała się wpakować całą górę chusteczek i pasków do jednej z toreb.

– Postawiliśmy się, Paul – powiedziała. – Ale było już za późno. Mama w żadnym razie nie chce zwolnić pani von Sontheim. Och, Paul, boję się, że to wszystko jest moja wina. Zbyt wiele czasu spędzam w atelier i zaniedbuję inne obowiązki.

– Nie, nie, Marie, nie możesz tak myśleć. To tylko kwestia dobrej organizacji. Znajdziemy jakieś rozwiązanie, mój skarbie.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się z ulgą. Przez krótką chwilę ich spojrzenia stopiły się w jedno, a on ośmielił się wziąć ją w ramiona. Jego Marie. Kobieta przy jego boku, z której był tak dumny. Nic nie może stanąć między nimi.

– Tak mi przykro, że wcześniej... – zaczął mówić, ale przerwał.

Z pokoju Kitty słychać było przenikliwy głosik Henny:

– I Dodo... i Leo... I babcia... I moja huśtawka... I Liesl z Maxlem i Hanslem.

– Tam masz babcie Gertrude, a na Boże Narodzenie przyjedzie ciocia Tilly i odwiedzą nas przyjaciele mamy.

- A kupisz mi domek dla lalek?
- Powiedziałam, że pokoik dla lalek, Henny.
- Chcę domek dla lalek. Na górze będą pokoje dla służby. A w salonie będzie czerwony fotel. I jeszcze samochód.
- Pokoik.
- Domek dla lalek! – Henny zawodziła, ale Kitty była nieugięta.
- A jeśli dalej będziesz wrzeszczeć, nie dostaniesz nic!

Chwilę później Kitty pojawiła się na korytarzu ze szlochającą córką na rękach. Najwyraźniej negocjacje zostały zakończone – Henny dostanie pokoik dla lalek, nie cały domek.

– Marie, moja najdroższa Marie. Jadę teraz z tą moją beksą na Frauentorstraße. Dzisiaj wieczorem muszę jednak pojechać na wystawę do stowarzyszenia artystów, nie może mnie zabraknąć, bo wygłaszam mowę laudacyjną. Bądź więc, proszę, tak miła i przypilnuj, żeby wszystko zostało zapakowane i dowiezione, dobrze? Ach, nasz Paul jest teraz strasznie smutny. Nie będziemy się widywać tak często jak kiedyś, ale obiecuję, że będę przychodzić w odwiedziny tak często, jak tylko się da. I pozdrów mamę. Powinna się niedługo uspokoić i nie dostanie na pewno żadnej migreny. Z Henny będzie dobrze, moja mała będzie na Frauentorstraße bardzo szczęśliwa. A, Gertie! Nie zapomnij o kapeluszach z szafy! Jeśli nie będzie dość dużo pudeł na kapelusze, włóż je po prostu do kufra. Kochany Paulu, niech cię uściskam. Zawsze będziesz moim najukochańszym, jedynym Paulem i nic nas nie rozdzieli. Marie, moja najdroższa przyjaciółko, będę jutro wcześniej rano w twoim atelier. Ściskam cię, moja słodka. Weź, proszę, na chwilę Henny na ręce, Paul, żebym mogła przytulić do siebie Marie. Żyj swoim życiem. Żyj dobrze. Nie zapomnij o mnie. Gertie, pamiętaj o błękitnych pantofelkach z komody!

Kitty zrobiła ze swojej słownej tyrady swoisty ochronny kokon – Paul nie był w stanie wtrącić nawet jednego słowa. Z wyrzutem patrzył, jak siostra wychodzi, słyszał, że na dole rozmawia o czymś z Auguste, a potem zamyka za sobą drzwi. Po chwili dał się słyszeć warkot uruchamianego silnika.

- Czy ona jedzie moim samochodem na Frauentorstraße?

Pobiegł do pokoju Kitty, bo tam z okna widać było dziedziniec, i spojrzał w dół. Samochód rzeczywiście jechał w stronę bramy odgradzającej park.

- Uspokój się, Paul – powiedziała Marie, która poszła za nim. – To stary

samochód Klippiego. Podarował jej go.

– Patrzcie no – mruknął Paul. – A przez to najpewniej utraci sympatię mamy.

Marie uśmiechnęła się i powiedziała, że Klippi jest przez mamę tak bardzo hołubiony, że może sobie pozwolić na mały wybryk.

– To taki wspaniałomyślny, pomocny człowiek...

– Z pewnością – burknął Paul.

Choć doskonale o tym wiedział, poczuł nagły gniew na swojego przyjaciela i współnika. Czy Ernst von Klippstein nie miesza się nieustannie w jego rodzinne życie? Nie tylko odbiera Marie z jej atelier, wyrzucając mu w mniej lub bardziej bezpośredni sposób, że niezbyt dobrze chroni swoją młodą żonę, ale teraz bierze stronę Kitty i przeciwstawia się mamie. Kto mógłby mieć jej za złe, że ma inne wyobrażenie na temat wychowania dzieci niż jej córka?

Słychać było dźwięk gongu, zapowiadający porę posiłku.

– Zjedzmy chociaż razem kolację, Marie!

Przytaknęła i dała jeszcze Gertie kilka wskazówek, jak ma sobie dalej radzić z pakowaniem kufrów. Chwyła potem Paula za rękę i poszła z nim przez korytarz. Zanim zeszli na dół, Paul przytulił ją mocno i pocałował w usta. Oboje zachichotali, bo wyglądało to tak, jakby Marie wciąż była pokojówką, a młody pan Melzer potajemnie ją całował w korytarzu.

Pozostali domownicy zajęli już swoje miejsca w jadalni. Wydawało się, że w śmiechu Ernsta von Klippsteina słychać było poczucie winy, mama natomiast była bardzo poważna, ale usiadła dumnie wyprostowana przy stole. Miejsce Kitty zajęła Serafina von Dobern, a po lewej i prawej stronie guwernantki siedziały bliźniaki. Leo nie podniósł wzroku, gdy weszli rodzice, twarz Dodo był zaczerwieniona i opuchnięta, prawdopodobnie była rozgniewana.

– Co się stało? – zapytała Marie, patrząc z niepokojem na córkę.

– Ona mnie uderzyła!

Marie zachowała spokój, ale jej usta drżały ze zdenerwowania. Paul dobrze potrafił rozpoznać ten grymas – była mocno rozgniewana.

– Pani von Dobern – powiedziała powoli pewnym głosem. – Nigdy dotąd nie było konieczne, żeby moje dzieci były bite. I życzę sobie, żeby pani również tego nie robiła.

Serafina von Dobern siedziała tak samo sztywno na swoim krześle jak mama – przypuszczalnie uczono tej postawy w kręgach szlacheckich, uznając ją za element dobrego wychowania. Guwernantka uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Oczywiście, pani Melzer. Bicie nie jest dopuszczalnym środkiem wychowawczym w naszych kręgach. Ale mały policzek z pewnością nie zaszkodził jeszcze żadnemu dziecku.

– Też tak uważam – wtrąciła się mama.

– Jestem innego zdania – odpowiedziała Marie, a jej głos brzmiał niezwykle stanowczo.

Paul czuł się nieswojo podczas wymiany tych zdań. Tata z pewnością wygłosiłby teraz jakieś słowa tonem nieznoszącym sprzeciwu i poradziłby sobie z tym sporem na swój własny sposób. Paul był ciosany z innego drewna, chciał być pośrednikiem. To, co w jego pracy w fabryce wydawało mu się zupełnie proste, tutaj w domu było wręcz niemożliwe do osiągnięcia.

– Oboje są z pewnością żywiołowymi dziećmi, ale nie są niegrzeczne, pani von Dobern – powiedział stanowczo. – Dlatego drakońskie metody są zbędne.

Serafina powiedziała, że to się rozumie samo przez się.

– Dorothea i Leopold to urocze dzieci – odpowiedziała słodkim tonem. – Doskonale się dogadujemy, prawda, mała Dorotheo?

Dodo uniosła nos do góry i spojrzała wrogo na Serafinę.

– Mam na imię Dodo.

9

Już za dwa tygodnie będzie Boże Narodzenie. Leo przyciskał czoło do szyby i wpatrywał się w zimowy krajobraz parku otaczającego posiadłość. Podjazd był niesamowicie zaniedbany: szerokie kałuże i nawet nieuprzątnięte końskie jabłka. Nagie drzewa wyciągały ramiona w stronę szarego nieba, trzeba było długo się w nie wpatrywać, by dostrzec na nich bezczelne kruki. Gdy siedziały nieruchomo, nie dało się ich zobaczyć wśród gałęzi, gdzie robiły sobie kryjówkę.

– Leopold? Uczysz się pilnie? Przychodzę za pięć minut.

Skrzywił się i nieco przestraszył, bo szyba odbijała ten grymas.

– Tak, pani von Dobern.

Dochodziły do niego dźwięki w tonacji C-dur grane na fortepianie. Przy każdym „f” Dodo miała chwilę wahania, gdyż musiała podeprzeć kciuk, żeby przejść znów do „c”. Gdy grała w drugą stronę, ręka czasami trzęsła się jej przy „e”, palce się ześlizgiwały i przerywała grę. Grała te dźwięki najgłośniej, jak potrafiła, słychać było, że robi to z wściekłością. Leo wiedział, że Dodo nienawidzi fortepianu, ale pani von Dobern uważała, że młode damy z dobrych rodzin powinny opanować grę na tym instrumencie przynajmniej w stopniu dostatecznym.

Leo w ogóle się nie cieszył z nadchodzącego Bożego Narodzenia. Nic się nie zmieniło nawet wtedy, gdy tata opowiedział mu o pięknym świerku, który niebawem stanie w głównym holu. Ozdobiony kolorowymi bombkami i gwiazdkami ze słomy. W tym roku będą mogli powiesić na nim własnoręcznie wykonane gwiazdy z błyszczącego papieru. Dla Lea było to zupełnie bez znaczenia, nie miał talentu plastycznego – jego gwiazdy zawsze były krzywe i pomazane klejem. Od kilku tygodni widywał Waltera jedynie w szkole. Potajemne wizyty u Ginsbergów po szkole się skończyły. Dwukrotnie Walter przyniósł mu nuty od swojej mamy – ukrył je w plecaku i przeglądał wieczorem w łóżku. Wyobrażał sobie, jak brzmiałaby ta muzyka. Szło mu to całkiem dobrze, ale znacznie przyjemniej byłoby zagrać te utwory na fortepianie. Niestety, to było zabronione. Pani von Dobern udzielała im lekcji gry na fortepianie i chodziło w nich o uczenie się grania gam i kadencji oraz kręgów kwintowych, a także – jak twierdziła – o wzmocnienie palców. Kadencje lubił grać, a i kręgi kwintowe nie były złe. Ale podłe było to, że zabrała wszystkie jego nuty, bo ponoć były zbyt trudne dla jego małych dłoni. Dodo miała rację, pani von Dobern była złą kobietą. Karcenie dzieci

sprawiła jej przyjemność. I całkowicie owinęła sobie babcię wokół palca. Von Dobern była perfidną kłamczuchą, a babcia tego po prostu nie widziała.

Widać było teraz samochód taty zbliżający się do posiadłości. Gdy wjechał w kałużę, woda rozprysła się wysoko i spadła na chodnik. Znowu zaczęło padać i współpasażer taty wycierał szybę. W tę i z powrotem. W tę i z powrotem. I tak ciągle.

Auto przejechało przez dziedziniec obok rabatek, na których latem rosły kwiaty, i przestało być widoczne. Widziałby coś, gdyby otworzył okno i się przez nie wychylił. „Za pięć minut”. Ale zawsze zostawała dłużej, bo potajemnie paliła papierosy w oknie swojego pokoju. Leo walczył przez chwilę z oknem, bo klamka bardzo ciężko się przekręcała, ale wreszcie puściła i mógł wychylić się na zewnątrz. Aha, zatrzymali się przed wejściem dla służby i z samochodu wysiadły dwie osoby. Jedną był na pewno Julius, druga była zawinięta w koc i nie był w stanie jej rozpoznać. Na pewno jednak była to kobieta, bo spod koca wystawała spódnica. Czy to wreszcie Else wróciła? Długo była w szpitalu. Gertie mówiła, że coś było u niej „na ostrzu noża”. Chyba jednak wyzdrowiała. A mogła umrzeć, tak jak dziadek. Zachował w pamięci tylko jakiś rozmyty jego obraz, ale za to dobrze pamiętał pogrzeb, bo strasznie błyskało i grzmiało. Sądził wtedy, że to dobry Bóg zabierał do siebie dziadka. Był wtedy strasznie naiwny, ale to było bardzo dawno temu. Ponad trzy lata...

– Kto ci na to pozwolił? Wracaj do środka! Na swoje miejsce!

Leo wystraszył się tak bardzo, że prawie wyskoczył z okna. Pani von Dobern chwyciła go za pasek od spodni, wciągnęła do pokoju i złapała za prawe ucho, żeby zrobić z niego uchwyt, za który mogła go przysunąć do siebie. Leo zawył. Okropnie go to zabolowało.

– Nigdy więcej tak nie zrobisz! – wrzasnęła guwernantka. – Powtórz!

Leo zaciskał zęby, ale ona nie puszczała jego ucha.

– Ja chciałem tylko... Ja chciałem...

Nigdy nie pozwoliła dzieciom zabierać głosu.

– Czekam, Leopoldzie!

Najpewniej chciała mu wyrwać ucho, robiło mu się słabo z bólu.

– No i co?

– Nigdy więcej tego nie zrobię – wypowiedział przez zaciśnięte zęby.

– Chcę usłyszeć właściwe zdanie.

Szarpnęła jeszcze mocniej, a jego ucho zaczynało drętwieć i głowa bolała go tak, jakby ktoś wpychał mu długą igłę przez jedno ucho i wyciągał przez drugie.

– Nigdy już nie będę wychylał się przez okno.

Wiedźma w okularach wciąż nie była zadowolona.

– Dlaczego nie?

– Bo mogłem wypaść.

Puściła jego ucho dopiero po tym, gdy raz jeszcze mocno je ścisnęła. Nie czuł małżowiny usznej, wydawało mu się, że po prawej stronie głowy wisi gorąca kula, co najmniej tak wielka jak dynia.

– Zamknij okno, Leopoldzie!

Jej oddech pachniał papierosami. Kiedyś udowodni babci, że ona po kryjomu pali. Kiedyś, gdy będzie nieostrożna i da się przyłapać. Zamknął okno i się odwrócił. Pani von Dobern stała przed jego pulpitem do pisania i sprawdzała zadania z rachunków. Mogła sobie długo to sprawdzać, wszystko było dobrze.

– Napiszesz to jeszcze raz. Twoje pismo jest niechlujne!

Na to by nie wpadł. Ależ ona była głupia. Już dwa razy przeoczyła błędy w obliczeniu Dodo, chodziło jej tylko o to, żeby ładnie pisać cyfry i litery. Lepiej było jednak nie narzekać, bo odbierze mu jego pół godziny gry na pianinie.

– A potem pięćdziesiąt razy napiszesz zdanie: „Nie będę wychylał się przez okno, bo mogę przez nie wypaść”.

Żegnaj, gro na pianinie. Będzie zajęty tym pisaniem z pewnością przez resztę popołudnia. Był wściekły na tę podłą guwernantkę. Na babcię, która dawała się tak łatwo oszukiwać. Na mamę, która ciągle siedziała w tym swoim głupim studiu i już się nimi nie zajmowała. Na ciocię Kitty, która tak po prostu wyprowadziła się z Henny. Na tatę, który nie mógł znieść tego panowania von Dobern, ale jej nie przepędził, na...

– Możesz zaczynać natychmiast.

Usiadł przy pulpicie do pisania, który stał obok tego należącego do Dodo. Tata kupił oba, gdy poszli do szkoły, bo ponoć dla dzieci było zdrowiej, gdy pisały przy pulpicie. Stołek był mocno przymocowany do stolika, żeby nie można się było na nim huścić. Na pulpicie była też półka na ołówki i wgłębienie, w którym znajdował się kałamarz. Ruchomy pulpit dawał się

podnieść do góry, a pod spodem była półka na zeszyty i książki. Wszystko było tak jak w szkole, tylko guwernantka codziennie sprawdzała ten schowek na książki i niczego nie można było w nim ukryć. Na przykład nut. Albo ciasteczek. Kiedyś jakieś znalazła i natychmiast zabrała. Podłożyłby jej tam chętnie pułapkę na myszy, żeby krzyczała, gdyby przytrzasnęła sobie palce. Potem to nawet sto razy mógłby pisać: „Nie mogę wkładać pułapek na myszy na półkę pod pulpitem, bo może przytrzasnąć palce mojej guwernantki”. Zapyta o to jutro Brunnenmayer. Albo Gertie. Auguste przychodziła rzadko, bo była teraz bardzo gruba przez dziecko, które miała w brzuchu. One wszystkie też nie znosiły guwernantki. Zwłaszcza Brunnenmayer. Bruni powiedziała kiedyś, że ta wrzeszcząca koza przysporzy ich domowi wiele nieszczęścia.

– No pomyśl, a co by było, gdybyś zaczął wreszcie pisać, zamiast gapić się w powietrze? – powiedziała pani von Dobern z chłodną ironią.

Uniół pulpit i zaczął szukać „zeszytu do karnych prac domowych”. Był już przynajmniej do połowy zapisany głupimi zdaniami typu: „Nie mogę szeptać do mojej siostry, bo to nieuprzejme”, albo „Nie wolno mi malować nut w moim zeszycie do pisania, bo w nim się tylko pisze, a nie rysuje”. Wszystko było przy tym mocno upstrzone kleksami z atramentu, tak samo jak jego palce. Na początku drugiego roku w szkole byli bardzo z siebie dumni, bo potrafili już pisać nie tylko ołówkiem, lecz nawet piórem i atramentem. Teraz jednak najchętniej zupełnie by zrezygnował z tego całego „kleksowania”.

– Masz na to pół godziny, Leopoldzie. Będę teraz udzielać lekcji gry na fortepianie twojej siostrze, a potem idziemy razem na świeże powietrze.

Zanurzył końcówkę pióra w tuszu i ostrożnie ją obrócił przy krawędzi szklanego naczynia. Potem niechętnie zaczął pisać pierwsze słowa i od razu pierwsze grube kleksy z ciemnoniebieskiego atramentu zaczęły się rozprzestrzeniać na białych kartkach. Mógł bardzo się starać, ale tym głupim piórem po prostu nie dało się porządnie pisać. Klippi niedawno pokazał podczas kolacji swoje wieczne pióro „Waterman”, które zostało przywiezione z Ameryki i miało piórko z prawdziwego złota. Można było nim pisać bez zanurzania stalówki i takie pióro nie robiło kleksów. Tata powiedział jednak, że taki przyrząd jest okropnie drogi i dla jego małych palców zbyt duży i ciężki. Znowu te palce! Dlaczego nie chciały rosnąć!

Po napisaniu drugiego zdania westchnął głęboko i znowu wetknął pióro do kałamarza. Całą rękę miał zeszywniałą od bzdur, które musiał tutaj wypisywać. Z dołu znowu było słycać gamy. Najpierw C-dur, potem a-moll,

G-dur. Dodo oczywiście od razu zawahała się przy czarnym klawiszu z dźwiękiem „fis”. Biedna Dodo, nigdy nie nauczy się dobrze grać na pianinie i wcale tego nie chciała. Dodo marzyła, żeby zostać pilotem. Ale o tym wiedzieli tylko on i mama.

Wytarł rękę ubrudzoną atramentem w ściereczkę i wstał. Właściwie było obojętne, czy napisze te bezsensowne zdania teraz czy po kolacji – pół godziny gry na pianinie i tak już przepadło. Teraz równie dobrze mógł się prześlizgnąć na dół do kuchni i sprawdzić, czy Brunnenmayer upiekła ciasteczka.

Po cichu otworzył drzwi i przebiegł przez korytarz, kierując się do schodów dla służby. Wiedział na pewno, że guwernantka nigdy by się tam nie pojawiła, bo szczyła się, że jako członek rodziny schodzi głównymi schodami. W kuchni też można się było przed nią ukryć, bo rzadko tam zaglądała.

– A oto Leo! – powiedziała Brunnenmayer, gdy pojawił się na dole. – Uciekłeś, chłopcze, od swojej strażniczki? To wchodź szybko.

Jak pięknie tu pachniało! Zachwycony podbiegł do długiego stołu, gdzie kucharka właśnie mieszała kwaśną kapustę z boczkiem i cebulą. Stała tam również Gertie i kroїła ugotowane ziemniaki, a obok niej siedziała Else. Rzeczywiście, to Else była tą osobą, którą wcześniej widział. Zrobiła się jednak blada i pomarszczona, a jej policzek był wciąż trochę spuchnięty, ale mogła już kroїć cebulę.

– Dobrze już z tobą, Else? – zapytał troskliwie.

– Oczywiście, dziękuję, sze pytas, Leo. Jes jusz lepiej.

Spojrzał na nią badawczo, bo nie zrozumiał od razu, co powiedziała. To na pewno dlatego, że brakowało jej kilku zębów. Ale niedługo przecież odrosną. Jemu wypadły już dwa mleczone i pod nimi zaraz wyrosły nowe.

– Wszyscy się cieszymy, że znów z nami jesteś, Else – powiedziała kucharka i kiwnęła głową w jej stronę.

Else obracała cebulę i uśmiechnęła się, nie otwierając ust.

– Chcesz spróbować piernika, mały? – zapytała Gertie z uśmiechem. – Upiekłyśmy je wczoraj już na Boże Narodzenie.

Odłożyła nóż i wytarła palce w fartuch, zanim poszła do spiżarni. Gertie była szczupła i zwinna niczym łasica. Była nawet szybsza od Hanny. I jeszcze chudsza.

– Przynieś też puszkę z ciastkami orzechowymi! – krzyknęła do niej

Brunnenmayer. – Możesz wziąć też kilka dla swojej siostry, Leo.

Gertie wróciła z dwoma dużymi blaszanymi pojemnikami, postawiła je na stole i otworzyła. Buchnął z nich wspaniały zapach bożonarodzeniowych przypraw, wypierając nieprzyjemną woń cebuli, i Leo przełknął ślinę, która napływała mu do ust. Wziął po dwa duże pierniki, gwiazdki i koniki, i cztery ciastka orzechowe. Oprócz orzechów były w nich migdały. I karmel. Gdy się takie gryzło, skorupka cudownie pękała między zębami. W środku ciastko było miękkie i rozkosznie słodkie. Leo szybko włożył swoją porcję do buzi i przełknął, tak żeby znalazła się od razu w żołądku, skąd nikt, nawet pani von Dobern, nie zdoła jej zabrać. Z ciastkami dla Dodo będzie dużo trudniej. Zawinął piernikowego konika i orzechowe słodkości w chusteczkę, ale gwiazdka była zbyt duża i pakunek nie mieścił się w kieszeni spodni.

– Musimy więc nieco obciąć gwiazdkę – zaproponowała Gertie. – Byłoby szkoda, gdyby zjadła ją niewłaściwa osoba.

Kucharka się nie odezwała, odstawiła natomiast miskę z kapustą kiszoną i sięgnęła po naczynie z sałatką ziemniaczaną, którą zaczęła mieszać dwoma dużymi drewnianymi łyżkami. Kto ją znał, mógł po jej ruchach poznać, że była rozgniewana. Leo schował dobrze zapakowane słodkości do kieszeni i zastanawiał się, czy zapytać o pułapkę na myszy. Teraz jednak siedziała tam Else, więc lepiej nie. Else nie można było ufać, bo ona zawsze trzymała z silniejszymi, a pani von Dobern jest przecież oczkiem w głowie babci.

– Czy na kolację będą kielbaski?

– Może tak być – odpowiedziała Gertie tajemniczo.

– Czuję już ich zapach – kombinował dalej Leo.

– No to się nie rozczarujesz, mały!

Do kuchni wszedł Julius. Gdy zobaczył chłopca, szepnął do niego:

– Na górze, na korytarzu, grasuje pewna ryjówka. Uważaj więc, chłopcze, żeby cię nie ugryzła.

Leo zrozumiał natychmiast. Guwernantka zostawiła Dodo w czerwonym salonie i poszła zapalić do swojego pokoju. Teraz trzeba było uważać, żeby nie wpaść prosto na nią.

– To ja już pójdę. Dziękuję za ciasteczka.

Uśmiechnął się do wszystkich, dotykając kieszeni spodni, w której tkwił pakunek, i pobiegł w stronę schodów dla służby.

– Jaka to szkoda – słyszał jeszcze, jak mówi Brunnenmayer. – Wcześniej

wszystkie siedziały sobie w kuchni i mogły się bawić. Liesl, dwaj chłopcy, Henny i bliźnięta. A teraz...

– Kuchnia nie jest miejscem dla dzieci zamożnych państwa – powiedział Julius.

Więcej Leo już nie usłyszał. Tymczasem udało mu się dotrzeć do drzwi prowadzących na korytarz na drugim piętrze i spoglądał przez niewielką szparę, żeby ocenić sytuację. Droga wolna – musiała być w swoim pokoju. Właściwie był to pokój cioci Kitty, ale ona się niestety wyprowadziła i babcia zakwaterowała tam panią von Dobern. Bo guwernantka zawsze powinna być blisko dzieci!

Ostrożnie otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Gdyby miał pecha, pani von Dobern zauważyłaby, że nie ma go w pokoju dziecinnym, i tam właśnie by na niego czekała. Mogłaby coś takiego zrobić z radością. Uwielbiała przyłapywać ludzi wtedy, gdy nie doceniali jej sprytu. Uważała przecież, że jest niezwykle inteligentna. Mimo to zdecydował, że wróci do pokoju dziecinnego. W razie konieczności powie, że musiał nagle wyjść. Stawiał stopy tak ostrożnie, że jego kroki były niemalże niesłyszalne. Tylko na skrzypiące deski w podłodze niewiele mógł poradzić. Niemal mu się udało, trzymał rękę na kłamce, gdy usłyszał za sobą dźwięk otwierających się drzwi.

Pech. Ogromny pech. Odwrócił się i za wszelką cenę starał się nie okazać strapionej miny. Zamarł jednak z zaskoczenia. Pani von Dobern nie wychodziła ze swojego pokoju, ale z sypialni jego rodziców. Leo poczuł bolesne ukłucie w klatce piersiowej. Nie wolno jej było tego robić. Nie miała tam czego szukać, ten pokój był zakazany nawet dla niego i Dodo. Należał do rodziców.

– Co robisz na korytarzu, Leopoldzie? – zapytała surowo guwernantka.

Patrzyła na niego jeszcze surowiej niż zwykle, od razu zauważył, że jej szyja była cała czerwona. Uszy na pewno też, ale nie widział ich, bo przykrywały je włosy. Pani von Dobern wiedziała bardzo dobrze, że została przyłapana. Ta złośliwa wiedźma szpiegowała w sypialni jego rodziców!

– Musiałem wyjść do toalety.

– Idź teraz ubrać się do wyjścia – powiedziała. – Już wołam Dodo, zrobimy sobie przed kolacją piękny zimowy spacer po parku.

Stał wciąż na korytarzu i wpatrywał się w nią. Rozgniewany. Zraniony. Pełen wyrzutów.

– Coś jeszcze? – zapytała, unosząc cienkie brwi.

– Co pani tam robiła?

– Twoja matka prosiła mnie, żebym sprawdziła, czy nie zostawiła czerwonej broszki na nocnym stoliku.

A więc to takie proste. Dorośli są co najmniej tak samo dobrymi kłamcami jak dzieci. Albo nawet lepszymi.

– Nie chcemy niepokoić mamy tą niefortunną historią z oknem, prawda, Leopoldzie?

Uśmiechnęła się do niego. Musiał się jeszcze wiele nauczyć. Dorośli byli nie tylko doskonałymi kłamcami, ale także szantażystami.

Zostawił ją w niepewności. Nie odpowiedział, tylko od razu zbiegł ze schodów. Na dole czekała Gertie z jego brązowymi butami ze skóry i paltem zimowym. Dodo szarpała rozgniewana wełnianą czapkę, którą Gertie naciągała jej na uszy.

– Nienawidzę chodzić na spacer – powiedziała do Lea. – Nienawidzę... Nienawidzę! Nienawidzę!

– Masz! – wyciągnął z kieszeni pakunek w pomiętej chusteczce i podał jej.

Rozpromieniła się. Włożyła ciastko orzechowe do buzi i żuła z radością.

– Idzie już? – mruknęła, wyciągając z chusteczki kawałek piernika.

– Nie. Stoi przed lustrem i się upiększa.

– No to ma dużo do zrobienia.

10

Policzki Elisabeth były rozpalone. Przy świątecznym stole w salonie było nieznośnie gorąco. Możliwe, że wpłynęła też na to ilość wypitego przez nią sznapsa, którym raczyła się przed jedzeniem, w trakcie i po posiłkach. Ciotka Elvira wyjaśniła jej, że to konieczne, bo potrawy są tłuste.

– Za święte Dzieciątko w żłobku! – krzyknął sąsiad Otto von Trantow i uniósł kieliszek z francuskim czerwonym winem.

– Za Dzieciątko!

– Za Zbawiciela, który dzisiaj się urodził!

Elisabeth stuknęła się kieliszkiem z Klausem, panią von Trantow, potem z ciotką Elvirą, panią von Kunkel i wreszcie z Riccardą von Hagemann. Ciemnoczerwony napój opalizował w świetle świec, a wypolerowane przez ciotkę kieliszki do wina wydawały melodyjne dźwięki. Otto von Trantow, właściciel rozległych włości w pobliżu Ramlewa, uśmiechał się porozumiewawczo do Elisabeth znad swojego kieliszka. Odwzajemniła uśmiech i starała się wypić jedynie minimalną ilość burgunda. Próbowwała jakoś się przyzwyczaić do tych pomorskich biesiad. Za każdym razem i tak była śmiertelnie chora następnego dnia.

– Jak na właścicielkę ziemską potrafisz znieść zadziwiająco niewiele, kochanie – stwierdzał bezlitośnie Klaus, gdy wstawała w nocy z łóżka blada i pojękująca, a potem wbiegała do łazienki.

Tym razem tak nie będzie, była ostrożna.

– To prawdziwa noc bożonarodzeniowa, Elviro – powiedziała Corinna von Trantow, postawna kobieta około czterdziestki, która z powodu swoich siwych włosów wyglądała na nieco starszą. – Sople lodu zwisają z dachu, jeden obok drugiego, niczym żołnierze...

Wszyscy spojrzeli w okno, przez które w blasku latarni było widać grube płatki śniegu tańczące w ogrodzie.

Było co najmniej piętnaście stopni poniżej zera, trzeba będzie włożyć psom do bud spore wiązki siana, żeby nie zamarzły. Leschik, potrząsając głową, zauważył, że rozpieszczanie psów nie prowadzi do niczego dobrego. Wilki przeżywają zimę w lasach bez siana czy słomy. Klaus na tyle jednak kochał psy, z którymi chadzał na polowania, że Leschik musiał ustąpić.

Przy końcu stołu, zgodnie z tradycją, siedziała młodzież oraz ci pracownicy,

którzy mieli przywilej świętowania z państwem. Trantowowie przywieźli ze sobą wiekową opiekunkę, pannę von Bodenstedt, która surowym okiem spoglądała na sześcioletnią Mariellę i jej jedenastoletnią siostrę Gudrun. Obok opiekunki, której gorset był ściągnięty tak mocno, że niemal ją dusił, siedział bibliotekarz Sebastian Winkler w brązowej, pocerowanej kurtce, a po obu jego stronach usadzono latorośle państwa Kunkelów – Georga i Jette. Georg Kunkel był znany dość dobrze jako skuteczny w swoich działaniach kobieciarz i nierób. Rzucił studia w Królewcu, a ponieważ jego ojciec był jeszcze bardzo krzepkim mężczyzną, Georg bardziej troszczył się o życiowe przyjemności niż o rodzinne gospodarstwo. Jette, w przeciwieństwie do swojego brata, była nieśmiałą istotą. Miała dwadzieścia sześć lat, więc dawno już była gotowa do zamążpójścia, ale jako że nie wyróżniała się urokiem, dotychczas nie pojawił się poważny kandydat na męża.

Sebastian, który czuł się nieswojo przy ogromnym stole, wdał się w żywą rozmowę o pomorskich tradycjach bożonarodzeniowych i widać było w jego oczach blask oznaczający fascynację tematem. Elisabeth, którą całkowicie zawładnęła gadatliwa pani von Trantow, spoglądała od czasu do czasu na Sebastiana. Podziw, który wywoływał w siedzącej obok niego przy stole kobiecie, bardzo się jej nie podobał. Wiadomo, bibliotekarz o niskim pochodzeniu był dla jej sąsiadów kiepskim kandydatem na zięcia, ale gdyby ta mała zagięła parol na Sebastiana i nikogo innego by nie złowiła...

– Ach! – wykrzyknął Erwin Kunkel. – Pieczona gęś! Cieszę się na nią dzisiaj już od rana. Z kasztanami?

– Z kasztanami i jabłkami – tak jak się należy!

– Wspaniale!

Nie było w tym kraju zwyczaju zatrudniania pracownika, który by podawał jedzenie, pojedyncze półmiski przynosiła na stół młoda dziewczyna z kuchni, a potem, zgodnie ze zwyczajem, pan domu kroił pieczeń, a pani domu nakładała kawałki na talerze. Lisa w żadnym razie nie miała za złe, że ciotka Elvira zabrała jej tę rolę, Klaus jednak spełniał swój obowiązek z wielką przyjemnością. Przy najwyższym skupieniu wszystkich zgromadzonych ostrzył nóż, a następnie oddzielał mięso upieczonego ptaka od kości jak doświadczony chirurg. Cięcie za cięciem, pięknie pachnąca, chrupiąca, bożonarodzeniowa gęś została podzielona na kawałki gotowe, by położyć je na talerzach.

Lisa, która już od kilku lat zrezygnowała ze sztywnego gorsetu i nosiła jedynie jego lekki wariant, odetchnęła głęboko i zastanawiała się, czy nie

byłoby lepiej odpuścić sobie tego dania. Zupa z młodych kacząt, wędzony węgorz, sałatka śledziowa, a potem mięso z udźca jelenia z lanymi kluseczkami i śliwkowym sosem do pieczeni – wszystko to było sporym obciążeniem dla żołądka i figury. Gdy pomyślała, że po tłustej pieczeni z gęsi na stół wjedzie pudding z kwaśnej śmietany i twarogowe kuleczki, zrobiło się jej niedobrze. Jak to możliwe, że ci ludzie byli w stanie pochłaniać tyle tłustego jedzenia? W Augsburgu w czasie świąt Bożego Narodzenia bynajmniej nie głodowano, ale nie było tak niewiarygodnej liczby rozmaitych potraw. Nie pito też nieustannie tyle wódki. Teraz wiedziała doskonale, dlaczego wujek Rudolf obowiązkowo zabierał ze sobą własną butelkę sznapsa, gdy razem z ciotką Elvirą przyjeżdżali w odwiedziny w Boże Narodzenie do Augsburga.

– Za święto Chrystusa! – wykrzyknął Klaus von Hagemann, unosząc kieliszek z wódką.

– Za nasz niemiecki kraj!

– Za cesarza!

– Tak! Za naszego dobrego cesarza Wilhelma! Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Klaus zaskakująco szybko przystosował się do lokalnych warunków. Stał się nieco pełniejszy, nosił najczęściej wysokie buty i spodnie do konnej jazdy oraz wełnianą kurtkę. Dwie operacje w Charité w Berlinie, przeprowadzone przez słynnego lekarza Jacques’a „pięknego nosa” Josepha, przywróciły jego twarzy człowieczy wygląd. Wprawdzie na policzkach i czole wciąż były blizny po poparzeniach, ale miał szczęście, że nie dotknęły one tej części twarzy, w której znajdują się oczy. Włosy na głowie również zaczęły mu powoli odrastać. Przede wszystkim jednak doskonale się odnalazł w roli właściciela ziemskiego. Pozycja ta odpowiadała mu jeszcze bardziej niż zawód oficera, był całe dni poza domem, troszczył się o pola uprawne, łąki i zagrody, negocjował z rolnikami, sąsiadami, sprzedawcami drewna oraz miejscowym urzędem, a wieczorami prowadził księgi rachunkowe.

Elisabeth wiedziała, że przeprowadzka na Pomorze uratowała mu życie. Życie kaleki wojennego, bez jakiegokolwiek perspektywy rozwoju zawodowego, i bycie bezużytecznym nie było w smak Klausowi von Hagemannowi. Prędzej czy później strzeliłby sobie w głowę. Elisabeth to wyczuwała i dlatego złożyła mu propozycję wyjazdu na Pomorze. Jej miłość do Sebastiana Winklera Klaus szybko zauważył, miał w tych sprawach doskonale wyczucie. Zachowywał się mimo to poprawnie, nigdy nie

skomentował ani słowem jej wizyt w bibliotece. Nie przestali być małżeństwem, spali wspólnie w starym, rzeźbionym w drewnie łożu małżeńskim, które niegdyś zajmowali wujek Rudolf i ciotka Elvira. Gdy po drugiej operacji nowo ukształtowany nos Klause wreszcie się zagoił, zaczął się on od czasu do czasu domagać swoich praw małżeńskich. Elisabeth się nie sprzeciwiała – bo dlaczego miałaby to robić? Wciąż był przecież jej mężem, a do tego dobrym i doświadczonym kochankiem. Mężczyzna, do którego tęskniła, nie przejawiał żadnej inicjatywy, żeby ją uwieść. Sebastian Winkler siedział ciągle na górze w bibliotece i pisał kronikę.

– Pieczone udko, Liso? Weź do niego jeszcze dwie kluski. A czerwona kapusta z jabłkami i wędzoną szynką...

Więcej nie usłyszała. Widok pełnego talerza, który podsunęła jej pod nos ciotka Elvira, sprawił, że zrobiło się jej niedobrze. O nie, nie powinna była pić do dna tej szklanki wódki. Uniosła wzrok i uświadomiła sobie, że świątecznie udekorowany stół z płonącymi świecami i błyszczącą szklaną zastawą zaczął jej wirować przed oczami. Widziała jeszcze przed sobą brązową pieczoną gęś, z którą tak dobrze poradził sobie Klaus z pomocą ostrego noża i widelca. Zacisnęła mocno palce na białym obrusie zwisającym ze stołu. Byleby nie zemdleć. I – co byłoby jeszcze gorsze – nie paść prosto na talerz wypełniony jedzeniem.

– Źle się czujesz, Elisabeth? – usłyszała głos teściowej.

– Chyba... chyba potrzebuję trochę świeżego powietrza...

Jej dłonie były zimne jak lód, ale zawroty głowy nieco ustąpiły. Jedno było jednak pewne: jeśli wciąż będzie musiała patrzeć na tę gęś i wdychać jej zapach, coś strasznego stanie się za chwilę z jej żołądkiem.

– Może lepiej wyjdę z tobą, moja kochana? – zaproponowała pani von Trantow, która siedziała obok niej.

W tonie jej głosu było słyhać, że niechętnie opuści swoje miejsce przy stole. Elisabeth machnęła ręką.

– Nie, nie. Proszę sobie nie przerywać jedzenia. Zaraz wrócę.

– Niech się pani napije wódki albo śliwownicy, to wzmacnia żołądek.

– Nie, bardzo dziękuję – odpowiedziała Elisabeth i zrobiła gwałtowny ruch, żeby wyjść z salonu.

Już w korytarzu, w którym panował lekki przeciąg, poczuła się nieco lepiej. Jak przyjemnie było się poruszać, zamiast siedzieć w ścisłości między

jedzącymi i pijącymi sznapsa ludźmi, którzy nie wstawali od świątecznego stołu. Aby uniknąć oparów kuchennych, które docierały aż tutaj, otworzyła drzwi wejściowe i wyszła na zaśnieżone podwórze. Jeden z psów się obudził i zaczął szczekać, gęsi w oborze zaczęły głośno gęgać, ale po chwili wszystkie zwierzęta się uspokoiły. Elisabeth wdychała zimne, czyste zimowe powietrze i czuła, jak mocno bije jej serce. W świetle latarni, które oświetlały wejście od prawej i lewej strony, mogła obserwować nieprzerwany taniec płatków śniegu. Wiatr podrywał śnieżne płaty znad budynków gospodarczych, było widać, jak biaława, lśniąca mgiełka zostaje uniesiona z dachu stodoły i wiruje nad podwórzem. Zimne płatki śniegu osadzały się na jej rozgrzanej twarzy, łaskotały szyję i dekolt, wpadały w jej spięte włosy. Było to niesłychanie piękne i wyzwalające uczucie. Jej żołądek się uspokoił, mdłości minęły. W końcu źle się poczuła przez tych ludzi, którzy tak bardzo działali jej na nerwy. Ale przecież do tutejszych zwyczajów należało zapraszanie sąsiadów w dni świąteczne i składanie im wizyt. Niektórzy z właścicieli ziemskich prowadzili samotne życie, przynajmniej więc w święta powinni byli brać udział w towarzyskich spotkaniach i wydarzeniach kulinarnych.

– Przyzwyczaisz się do tego – powiedziała jej ciotka Elvira z troską.

Tymczasem jednak zwyczaj suto zastawionego stołu, przy którym odbywały się ciągle te same rozmowy o służących i rolnikach i przy którym snuto rozwlekłe opowieści o polowaniach, z roku na rok wydawał się coraz bardziej odpychający. To nie był jej świat. Ale z drugiej strony, gdzie indziej mógłby on być? Miejsce, które było jej przeznaczone na to życie...

Oparła się plecami o jeden ze słupów podtrzymujących dach podcieni i założyła ręce na piersi. Boże Narodzenie w rodzinnej willi – czy to było właśnie to? Ech, bez taty nigdy nie będzie tak jak w czasach jej dzieciństwa. Dzisiaj, w pierwszy dzień świąt, wszyscy na pewno siedzieli w radosnym kręgu w jadalni, na pewno był z nimi Ernst von Klippstein oraz Gertrude Bräuer, teściowa Kitty. I może także jej szwagierka Tilly. Mama pisała, że Tilly właśnie zdała w Monachium fizykę, ważny egzamin częściowy, i zrobiła kolejny krok przybliżający ją do egzaminu państwowego. Tilly była jedną z nielicznych studentek na medycynie, była ambitna i absolutnie zdeterminowana, by zostać lekarką.

Lisa wzięła głęboki oddech. Biedna Tilly, gdzieś w głębi duszy wciąż wierzyła, że doktor Moebius powróci z Rosji. Może studiowała tak zawzięcie dlatego, że to on ją do tego zachęcił? Doktor Ulrich Moebius był miłym człowiekiem. Dobrym lekarzem i życzliwym mężczyzną. Gdy świętowali

Boże Narodzenie w lazarecie, grał tak pięknie na pianinie...

Marie była jedyną osobą, o której można powiedzieć, że jest naprawdę szczęśliwa, myślała ze smutkiem Lisa. Miała swojego ukochanego Paula, słodkie dzieci, a do tego jeszcze teraz atelier, w którym może projektować i sprzedawać ubrania. Właściwie to było niesprawiedliwe, że jedna osoba może mieć tak wiele, podczas gdy inni zostają z pustymi rękami. Tilly miała swoją medycynę, Kitty malutką córeczkę i pasję malarską. A co miała ona? Gdyby chociaż była w ciąży, ale podły los odmówił jej i tego szczęścia.

Lisa poczuła, jak wzrasta w niej dobrze jej znane, okropne uczucie, że źle wyszła na wszystkim w życiu, ale starała się je zignorować. To nie prowadziło przecież do niczego, pogłębiało tylko przygnębienie. A poza tym robiły się jej wtedy brzydkie zmarszczki i wzrok stawał się ponury... Nagle się przestraszyła, bo poruszyły się za nią drzwi wejściowe.

– Przeziębili się pani, Elisabeth.

Sebastian! Stał na progu i trzymał jej płaszcz w taki sposób, że musiała tylko zarzucić go na siebie. W jednej chwili jej ponury nastrój minął. Troszczył się o nią. Specjalnie opuścił miejsce obok Jette Kunkel i zostawił tę swoją nieśmiałą towarzyszkę, żeby przynieść jej, Elisabeth, ciepły płaszcz.

– Och, jak miło z pana strony – powiedziała, pozwalając narzucić sobie ciepłe ubranie na ramiona.

– Cóż, musiałem akurat wyjść i gdy szedłem przez korytarz, zobaczyłem, że stoi pani w tym padającym śniegu.

No tak. Nie było więc tak romantycznie, jak sądziła. Ale nieważne. Było cudownie poczuć jego dłonie na swoich ramionach. Nawet jeśli była to jedynie krótka chwila, bo gdy podał jej płaszcz, od razu cofnął się o krok. Nagle ogarnęła ją rozpacz – czy ona była trędowata? Albo zadżumiona? Mógł przecież choć przez chwilę postać przy niej, popatrzeć na jej kark, musnąć ustami jej nagą skórę... Ale coś takiego Sebastian Winkler robił jedynie w jej marzeniach. Niestety.

– To bardzo nierozsądne z pani strony, Elisabeth. Może pani dostać zapalenia płuc, wychodząc z tak gorącego pomieszczenia na to zimno.

A teraz jeszcze robił jej wykład. Jakby sama o tym nie wiedziała!

– Potrzebowałam świeżego powietrza. Źle się poczułam.

Otuliła się mocniej płaszczem i powiedziała, że wciąż ma niewielkie zawroty głowy. Zdziałało. Mina Sebastiana wyrażała współczucie i troskę.

– Ten nadmiar jedzenia, który się tutaj praktykuje, zdecydowanie nie sprzyja zdrowiu. A do tego alkohol, zwłaszcza ta rosyjska wódka, którą pije się jak wodę. Powinna się pani położyć, Elisabeth. Jeśli pani chce, mogę panią odprowadzić na górę.

Gdyby to Klaus złożył swojej żonie tę propozycję, dalszy przebieg zdarzeń byłby od razu jasny. Sebastian natomiast uprzejmie towarzyszyłby jej w drodze po schodach i pożegnałby ją tuż przed jej sypialnią, życząc jej zdrowia. Tak właśnie by zrobił, a może jednak...

– Tak, sądzę, że to dobre rozwiązanie.

Przerwano im, bo drzwi od salonu właśnie się otworzyły i na korytarz wyszły Jette Kunkel i dziewczęta von Trantowów.

– Och, jak śnieży! – wykrzyknęła Jette. – Czy to nie zachwycające, jak pięknie wiatr unosi płatki śniegu?

– Wiatr prowadzi płatki śniegu pośród zimowego lasu niczym gospodarz – dodała jedenastoletnia Gudrun, jakby recytowała wiersz.

– Taki ktoś nazywa się pasterz, nie gospodarz, droga Gudrun – poprawił ją Sebastian z uśmiechem. – On prowadzi swoje stado, ten wiatr. Dlatego jest pasterzem, nie gospodarzem.

Był nauczycielem z krwi i kości. Rzadko rezygnował z okazji, by kogoś czegoś nauczyć. Ale robił to w serdeczny sposób, pomyślała Elisabeth.

– Tak, zgadza się, pasterz. Pasterz śniegu – odpowiedziała Gudrun i zachichotała. – Chcemy się może przejść? Jest tak pięknie na śniegu.

Jej siostra popukała się palcem w czoło i zapytała, czy Gudi nie upiła się przypadkiem wódką.

– Ależ to jest wspaniały pomysł! – krzyknęła Jette. – Wezmę zaraz płaszcz. I buty. Chodź, Gudi!

Szalona kobieta, pomyślała rozzłoszczona Elisabeth. Nocny spacer po gospodarstwie w samym środku zamieci. Musiało jej wpaść do głowy właśnie coś takiego głupiego. I oczywiście chce w to wciągnąć Sebastiana. Nie odprowadzi już jej więc do sypialni. Cóż, i tak najpewniej do niczego by to nie doprowadziło...

– A co się tutaj dzieje?

Georg Kunkel wyjrzał energicznie przez do połowy otwarte drzwi do salonu. Jego lekko zamglony wzrok sugerował, że wypił już więcej niż wskazaną ilość czerwonego wina.

– One chcą iść na spacer, wariatki – oznajmiła Mariella.

– No proszę. A ty też z nimi idziesz, moja kochana?

Elisabeth już chciała zaprzeczyć, gdy drzwi do salonu otworzyły się na oścież i wyszedł przez nie ojciec Georga, a zaraz za nim ciotka Elvira oraz pani von Trantow.

– Co chcecie robić? Spacer? To wspaniale! – krzyknął Erwin Kunkel. – Ha! Służba! Przynieść pochodnie! Nasze płaszcze! Buty!

Jedynie Leschik wyłonił się z ciemności, pokojówka i kucharka były zajęte w kuchni przyrządzaniem deseru.

– Pochodnie? – ofuknęła go ciotka Elvira. – Chcesz mi spalić stodołę? Weź latarnie, Leschik. Niech Paula i Miene przyniosą paltą i zimowe buty.

W korytarzu zrobiło się zamieszanie, przerzucano okrycia i buty, pani von Trantow usiadła na garnku ze smalcem, dwie szklanki z suszonymi śliwkami, które stały na podłodze, rozbiły się w drobny mak, a guwernantka krzyknęła, że ktoś ją klepnął. Wreszcie Leschik wrócił z latarniami z pralni i całe towarzystwo, śmiejąc się i wrzeszcząc, wypadło na dziedziniec. Psy zaczęły wściekle ujadać, gęsi znów się obudziły, a w stajni zaczął rzeć gniady ogier Kunkla.

– Za mną!

Ciotka Elvira wysforowała się na czoło gromady i trzymała latarnię najwyżej, jak tylko mogła, żeby inni szli za nią w luźnym szeregu. Pani von Trantow wspierała się na mężu, a Erwin Kunkel musiał oprzeć się na swojej żonie Hilde, bo z powodu ogromnej ilości wypitej wódki nie mógł ustać na nogach, a tym bardziej nie był w stanie iść samodzielnie. Elisabeth również przyłączyła się do pochodu, a Sebastian, który początkowo się wahał, postanowił jej towarzyszyć. W domu zostali więc teraz jedynie Christian von Hagemann i jego żona Riccarda, którzy woleli pozostać na swoich miejscach. Christian von Hagemann zdążył już nawet zapaść w błogą drzemkę po jedzeniu.

Lodowaty wiatr nie ułatwiał spaceru, wszyscy wysoko postawili kołnierze palt, a Georg Kunkel żałował, że nie zabrał futrzanej czapki. Zimne powietrze działało jednak na wszystkich trzeźwiąco, śmiechy i wrzaski z czasem ucichły, bo głęboki śnieg sprawiał, że trzeba było uważać, gdzie stawia się stopę. Wyłaniały się przed nimi niewyraźne zarysy budynków, ośnieżone brzozy zamieniały się w bezkształtne zjawy, nocne ptaki, które zostały obudzone przez hałas, unosiły się przez chwilę nad nimi, co sprawiło, że Jette

Kunkel uznała je za święte duchy Bożego Narodzenia. Corinna von Trantow przypomniała też, jak zimno musiało być w szopie, w której zatrzymała się Święta Rodzina.

- Pośród śniegu i lodu – pomyślcie tylko!
- I bez żadnego ogniska. Palce musiały im zamarzać!
- W takiej niedoli przyszedł na świat nasz Jezus Chrystus!

Elisabeth nie widziała w półmroku twarzy Sebastiana, ale wiedziała, że bardzo stara się opanować. Gdyby powiedział, że w Betlejem burze śnieżne i temperatury poniżej zera nie zdarzały się nigdy, zupełnie zniszczyłyby romantyczne wizje snute przez panie.

- Dobrze się pani czuje, Elisabeth? – zapytał zamiast tego.
- Jeszcze nieco niepewnie, ale już jest lepiej.

Cóż, była coraz sprytniejsza. Zaoferował jej ramię, a ona je chwyciła, pozwalając mu się ostrożnie przeprowadzić wokół zaśnieżonej taczki, którą ktoś zostawił na drodze. Ależ on był rozważny. I jak wesoło z nią teraz rozmawiał, inaczej niż na górze, w bibliotece, gdzie ważył każde wypowiedane słowo. Ten spacer w śnieżną noc otworzył drzwi, które dotąd były pieczołowicie przez niego zamykane.

– Jako wyrostek często biegałem nocą przez las... Daleka droga dzieliła naszą wioskę od gimnazjum w mieście. Szło się dwie godziny, a ścieżka powrotna prowadziła pod górę, więc potrzebowałem dodatkowo pół godziny.

– To musiało być naprawdę trudne. Nie miał pan pewnie czasu na odrabianie prac domowych.

Szedł prosto przed siebie i zobaczyła, że uśmiecha się, pograżony w myślach. Pewnie przypominało mu się błogie dzieciństwo, choć nie spędził go w dostatku.

– Zimą brakowało światła. Świece były drogie, a nie było u nas światła elektrycznego. Często siedziałem blisko pieca i starałem się w czerwonej poświacie tłącego się ognia odczytywać cyfry i litery w zeszytach.

Z przodu Georg Kunkel intonował tenorem kolędę *Och, ty wesoła...*⁵. Niektórzy mu wtórowali, ale drugą zwrotkę śpiewano już bardzo cicho, bo prawie nikt nie pamiętał słów. Pani von Trantow narzekała, że nie włożyła wełnianych skarpet i zamarzają jej palce u stóp.

- Latem była jeszcze praca w polu – opowiadał dalej Sebastian, nie

zwracając uwagi na innych. – Wyrywanie chwastów, ścinanie kukurydzy, zbieranie siana, młócenie zboża, karmienie bydła... Gdy miałem dziesięć lat, zanośłem worki z kukurydzą do spichlerza, jako dwunastolatek mogłem orać i bronować. Zajmowałem się też krowami – konie mieli tylko bogaci ludzie.

Swoje wielkie marzenie o zostaniu misjonarzem musiał pogrzebać – rodzice nie mieli pieniędzy na jego naukę. Zaczął więc uczęszczać na kursy nauczycielskie i przez dziesięć kolejnych lat uczył dzieci w Finsterbach koło Norymbergi, a potem wybuchła wojna. Sebastian Winkler należał do pierwszych, którzy zostali powołani.

– Wojna, Elisabeth, wojna nie powinna była się wydarzyć. Wychowywałem ich, uczyłem ich czytać i liczyć, robiłem wszystko, żeby uczynić z nich uczciwych i przyzwoitych ludzi. Razem ze mną powołano siedmiu moich byłych uczniów. Mieli siedemnaście, niecałe osiemnaście lat. Trzech znalazło pracę w fabryce łóżek, dwóch pracowało na pańskich dworach, a jeden z nich dostał się nawet do gimnazjum w Norymberdze. Chciał zostać księdzem, mądry i odważny chłopak...

Przystanął, bo musiał wyciągnąć z kieszeni chustkę. Lisa była głęboko poruszona. Jednocześnie poczuła ogromne pragnienie, żeby utulić go w ramionach. Właściwie dlaczego nie? Zostali nieco z tyłu, było ciemno, nikt nie zobaczy.

– Żaden z nich nie wrócił – powiedział Sebastian, wycierając twarz. – Nawet z tych najmłodszych. Żaden.

Nie mogła się powstrzymać. Powodowana silnym impulsem zarzuciła mu rękę na szyję i przycisnęła jego głowę do swojego biustu, na który padały płatki śniegu.

– Tak bardzo mi przykro, Sebastianie.

Chociaż był zaskoczony, nie okazał tego. Stał spokojnie wśród tańczącego nocnego śniegu. Po kilku sekundach Lisa poczuła jego dłoń, która delikatnie musnęła ją po plecach. Nie poruszyła się, ale drżała przy każdym uderzeniu jego serca, które dobrze wyczuwała, mając nadzieję, że ta chwila będzie trwała wiecznie.

– To nie jest możliwe, Elisabeth – usłyszała jego cichy głos. – Nie jestem mężczyzną, który mógłby zniszczyć czyjeś małżeństwo.

Wreszcie! Przez trzy lata nie zamienili ze sobą na ten temat ani jednego słowa. Ani ona, ani on nie odważyli się podjąć tej kwestii.

– To już nie jest prawdziwe małżeństwo, Sebastianie.

Pogłaskał ją po policzku ręką, którą wyjął z rękawiczki, gdy na niego spojrzała. Mimo padającego śniegu zdjął okulary, a bez nich jego oczy wydawały się jeszcze bardziej dziecinne, jaśniejsze, nieco rozmarzone.

– Jesteś żoną – wyszeptał.

– Nie kocham go, Sebastianie. Kocham ciebie.

Te słowa go obezwładniły. Jego pierwszy pocałunek był ostrożnym, ledwie wyczuwalnym dotknięciem jej ust. Słodki powiew, zapach jego wody po goleniu, jego skóry, zmieszany z zimnymi, lekkimi ukłuciami płatków śniegu. Magia tego niewinnego dotyku była jednak zdradziecka, przerwała wszystkie bariery, przebudziła w obojgu tak długo skrywaną namiętność. Sebastian oprzytomniał pierwszy, położył obie dłonie na policzkach Lisy i odsunął ją delikatnie od siebie.

– Wybacz mi.

Nie odpowiedziała. Stała z zamkniętymi oczami, nie chcąc przyjąć do wiadomości, że to wszystko już się skończyło.

– Będę nosił twoje wyznanie zawsze w swoim sercu, Elisabeth – powiedział wolno, wciąż próbując złapać oddech. – Uczyniłaś mnie nieskończenie szczęśliwym człowiekiem. Teraz już wiesz, jakie są moje uczucia.

Dochodziła powoli do siebie. On ją naprawdę pocałował, pocałował ją. To nie było tylko marzenie. A jak on potrafił całować – Klaus mógłby się od niego uczyć.

– Już wiem? Ja nic nie wiem, Sebastianie. Powiedz mi!

Odsunął się. Sięgnął po rękawiczki, spojrział przed siebie, na śnieżnych wędrowców w oddali, którzy właśnie zrobili sobie małą przerwę i przygotowywali się do powrotu. Słysząc było energiczne nakazy ciotki Elviry, które musiały się jednak odbić niczym echo od Erwina Kunkla, bo wrzeszczał teraz na całe gardło:

– Chcemy mieć znowu naszego dobrego cesarza Wilhelma!

– Spokój już! – zawołała ciotka Elwira. – Idziemy teraz wszyscy wzdłuż ogrodzenia ogrodu. Myślcie o puddingu ze śmietany i twarogowych kuleczkach, które na nas czekają.

– Kuleczki i bollo... bo... wino beaujolais!

Było jasne, że cała grupa będzie wracała do domu tą samą drogą, którą przysła. Każda inna byłaby wyborem nieracjonalnym, bo kolejny raz musieliby wydeptywać ścieżkę w głębokim śniegu.

– Powinniśmy odsunąć się trochę na bok i potem znów dołączyć do reszty. Wtedy nie wywołamy żadnych podejrzeń.

– Nie dałeś mi odpowiedzi, Sebastianie.

– Już ją znasz, Elisabeth.

– Nie, nie znam.

Było za późno, żeby przymuszać tego tchórzliwego mężczyznę do wyznania, które tak bardzo chciała usłyszeć. Zbliżały się do nich migoczące światła latarni, dało się rozpoznać niektóre twarze i słychać było wyraźnie gromki śmiech Otto von Trantowa. Jeszcze głośniej śpiewano pieśń, która wcześniej była intonowana na znaną melodię *Niech zawsze wierność i sprawiedliwość*⁶.

– Cesarz to wspaniały człowiek, on mieszka w Berlinie. A gdyby to nie było tak strasznie daleko, dziś jeszcze bym do niego jechał.

– Dobry Boże – jęknął Sebastian cicho. – Chodźmy, Elisabeth. Zejdźmy im z drogi.

Czekali za ośnieżonym jałowcem, zanim nocni wędrowcy ich miną. Z początkowej euforii zostało niewiele, wszyscy marzli potwornie, obie dziewczyny były tak wyczerpane, że ledwie mogły poruszać nogami. Georg Kunkel zaoferował, że weźmie na barana sześcioletnią Mariellę. Ciotka Elvira wciąż trzymała w górze niemalże już wygasłą latarnię, pozostałe dwie też ledwie się tliły, emitując jedynie delikatną poświatę.

– Kolana mi zmarzły na lód.

– Moje stopy, moje biedne stopy!

– W obecności pań nie mogę powiedzieć, co mnie już prawie zmarzło.

Elisabeth i Sebastian nie mieli większego problemu, żeby niezauważenie dołączyć do grupy, wszyscy skupiali się już wyłącznie na nieodległym ciepłym panującym w salonie. Szczególnie kobiety zastanawiały się, kto u licha wpadł na tak szalony pomysł, żeby wychodzić w środku nocy w szalejącą burzę śnieżną. Wreszcie znaleźli się już bardzo blisko gospodarstwa, psy szczekały, a w oknach dostrzec się dało zapalone światła w salonie.

W blasku ognia z kominka widać było stojącego tam Klause von Hagemanna, który trzymał młodą pokojówkę w ramionach. Dziewczyna była bez bluzki i gorsetu, ale wydawała się nie wstydzić żarliwej czułości swojego pracodawcy. Elisabeth wstrzymała oddech. Czuła, jak Sebastian położył jej rękę na ramieniu, ale było to słabe pocieszenie w tej chwili. Nie mogła

uwierzyć w to, co się tam działo. I nie tylko ona.

– Jasny gwint! – krzyknął Erwin Kunkel.

– Ten to potrafi zmierzać do celu! – mruknął Otto von Trantow z podziwem w głosie.

– Co robi wujek Klaus? – pisnęła Mariella, która z poziomu pleców Georga miała najlepszy widok na salon.

Pośród kobiet zapanowała niezręczna cisza, tylko pani von Trantow syknęła:

– Niewiarygodne! W dzień narodzin Chrystusa!

Gdy pochłonięta sobą para w końcu zauważyła obecność widzów na dziedzińcu, dziewczyna odsunęła się z okrzykiem przerażenia od von Hagemanna i uciekła, zasłaniając biust bluzką. Nikt nie wspomniał o tym incydencie w dalszej części wieczoru, ale Elisabeth cierpiała niewyobrażalnie z powodu skierowanych na nią ciekawskich i współczujących spojrzeń. Z pewnością nie miała prawa robić Klausowi wyrzutów, ale jednak oszukał ją na oczach wszystkich i dotkliwie ją upokorzył. Co gorsza, nie wydawał się czuć z tym źle. Późno w nocy, gdy wszyscy goście rozeszli się do swoich pokojów, a Elisabeth i ciotka Elvira szły schodami na górę, kobieta uznała, że musi pocieszyć siostrzenicę.

– Wiesz co, dziewczyno – powiedziała z uśmiechem. – Coś takiego to cecha właścicieli ziemskich, zapewnia zdrowie psychiczne i fizyczne.

⁵ Po niemiecku *Oh, du fröhliche*.

⁶ Niemiecka pieśń ludowa *Üb immer Treu und Redlichkeit*.

Nadejściu nowego roku w Augsburgu towarzyszyły obfite opady śniegu, ale już w pierwszych dniach stycznia zasypy zupełnie stopniały. Zapanowała dżdżysta pogoda, która sprawiła, że strumienie występowały z brzegów i zalewały łąki w dzielnicy przemysłowej, a na ulicach pojawiły się szerokie kałuże, które w nocy zdradziecko zamarzały. Nad tą szarą, ponurą pustynią wisiały bure, ciężkie chmury, zwiastując dalsze opady.

Paul zrobił zwyczajowy obchód po halach, zamieniając od czasu do czasu kilka słów z pracownikami i ciesząc się z nowych maszyn przędzalniczych, dzięki którym osiągnano zadowalające efekty. Martwiła go jedynie liczba zamówień – dotychczas maszyny nie zostały bowiem w pełni wykorzystane. Niemiecka gospodarka odbudowywała się powoli i pokonując liczne przeszkody, ale bądź co bądź rynek papierów wartościowych wytrzymał próbę. Sukces osłabiały natomiast horrendalnie wysokie reparacje, które musiały płacić Niemcy. Zagłębie Ruhry wciąż było okupowane przez francuskich żołnierzy. Kiedy wreszcie Francuzi zdadzą sobie sprawę, że nie będą mieć żadnego pożytku z osłabionego gospodarczo państwa niemieckiego? I przez to sami sobie mogą zaszkodzić.

W ponurym nastroju wchodził po schodach na górne piętro administracyjnej części fabryki. Dlaczego czuł się tak źle? Interesy szły wcale nie najgorzej, inflacja wydawała się przynajmniej częściowo złagodzona, a pertraktacje z Amerykanami przebiegały pomyślnie. Może to wpływ złej pogody. Albo uporczywego ostatnio bólu gardła, który uparcie ignorował. Na przeziębienie, a tym bardziej na gorączkę, nie mógł sobie teraz pozwolić. Zatrzymał się przed drzwiami poczekalni, żeby zdjąć buty. Nie miał w żadnym razie w zwyczaju podsłuchiwać rozmów sekretarek, ale głosu panny Hoffmann nie dało się tym razem nie słyszeć.

– Jest na tyle uprzejma, że uwzględnia specjalne życzenia... Moja sąsiadka zna panią von Oppermann, która kazała sobie u niej uszyć dwie sukienki i płaszcz.

– Taaak, jeśli ktoś ma na to wystarczające dochody.

– Powinna zaprojektować kilka strojów dla Menotti.

– Tej śpiewaczki? Ach, to chyba jej aktualny kochanek by za to zapłacił. Młody Riedelmeyer, zgadza się?

– Oczywiście. Był podczas każdej jej przymiarki, mówiła moja sąsiadka.

– No patrzcie ją.

Paul energicznie nacisnął klamkę i wszedł do pomieszczenia. W pokoju sekretarek głosy nagle ucichły i zastąpił je dźwięk maszyn do pisania. Niewiarygodne – jego pracownice plotkowały, zamiast wykonywać swoje obowiązki.

– Dzień dobry paniom.

Obie uśmiechnęły się do niego z radosnymi i niewinnymi minami. Henriette Hoffmann podniosła się z krzesła, żeby wziąć od niego płaszcz i kapelusz. Ottilie Lüders zameldowała, że poczta jak zwykle leży na jego biurku, a pan von Klippstein prosi o krótką rozmowę.

– Dziękuję. Dam znać, gdy będę wolny.

Hoffmann natychmiast przygotowała tacę z filiżanką kawy i domowymi herbatnikami, które najpewniej zostały jej ze świąt Bożego Narodzenia, i przyniosła do jego biura. W piecu było napalone. Obie panie wywiązywały się ze swoich obowiązków, więc właściwie nie miał powodu do narzekania. Bo niby dlaczego panny Lüders i Hoffmann nie mogły rozmawiać o atelier Marie? Doskonale wiedział, że Marie odnosiła sukcesy i lista jej klientów stale się wydłużała. Cieszył się z tego, bo spełniły się też jego przewidywania w tym względzie. Był dumny z żony. Naprawdę był. Nie wiedział jednak, że na przymiarkach bywali także mężczyźni. Wydawało mu się to co najmniej dziwne. Prawdopodobnie był to wyjątkowy przypadek, nie warto było w każdym razie poruszać tej kwestii z Marie.

Usiadł na fotelu, przejrzał pocztę, powyciągał ze stosu najważniejsze listy i przygotował rozcinacz z zielonego jadeitu. Zanim przeszedł do lektury pierwszego pisma – z miejskiego urzędu podatkowego – wypił łyk kawy i sięgnął po cynamonową gwiazdkę. Przełykanie było trudne, musiał mieć zapalenie gardła. Herbatnik smakował całkiem dobrze – czyżby Hoffmann rzeczywiście sama go upiekła? Cynamonowy smak przywołał w nim wspomnienia minionych świąt Bożego Narodzenia.

Właściwie było jak zawsze. Świerk tym razem ścinali razem z Gustavem. Pomagał im Julius, a Leo się przyglądał. Chłopak był niestety bardzo nieudolny w tego typu pracach. Dodo razem z Gertie pozbierały gałązki, którymi później zostały udekorowane pokoje. Mała Gertie była całkiem zręczną dziewczyną, jak dobrze, że ją zatrudniono. Czego niestety nie można powiedzieć o Serafinie von Dobern. Ciągle zgłaszała jakieś problemy. Dzieci były krnąbrne, nie stosowały się do jej zaleceń i wykorzystywały każdą okazję, żeby wyprowadzić guwernantkę w pole. Sytuacja była o tyle trudna,

że Serafina była bliską przyjaciółką Lisy i nie można jej było traktować jak zwykłego pracownika. Rozmawiał o tym wielokrotnie z Marie, ale nic to nie dało. Przeciwnie, doprowadziło jedynie do niepotrzebnych kłótni, bo Marie uważała, że należy Serafinę odprawić jak najszybciej.

– Ta kobieta jest zimna jak lód. I nie znosi dzieci. Nie pozwolę w żadnym razie, żeby dłużej karciała Dodo i Lea!

Nie docierało do niej natomiast, że obraża tym mamę i szkodzi jej osłabionemu i tak już zdrowiu. Paul martwił się, że jego żona potrafi być tak niewrażliwa. Wielokrotnie już znajomi mówili mu, że mama wygląda na chorą. Pani Manzinger zaproponowała nawet, że pojedzie z Alicią na kurację do Bad Wildungen. Mama oczywiście odmówiła.

– Na kurację? Paul, nie mogę tak po prostu zostawić willi na kilka tygodni. Kto będzie się zajmował prowadzeniem domu? Dziećmi? Nie i nie – moje miejsce jest tutaj. Nawet jeśli nie zawsze jest mi łatwo!

W czasie Bożego Narodzenia dokładał wszelkich starań, żeby pogodzić ze sobą wszystkie panie. Mamę skutecznie przekonywał, Serafinę traktował z życzliwą przyjaźnią, a o Marie dbał ze szczególną czułością. Lepił z dziećmi w parku bałwana i pozwalał im wspinać się po starych drzewach. I wtedy też zauważył, że Dodo była znacznie zwinniejsza i bardziej nieustraszona niż jej brat. Leo nie reagował entuzjastycznie na możliwość wspinaczki i ukradkiem wrócił do willi, żeby znowu brzdąkać na pianinie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Marie uznawała tę przesadną pasję za nieszkodliwą.

– Ależ Paul, on ma dopiero siedem lat. I chyba nigdy nikomu nie zaszkodziło, że potrafi dobrze grać na pianinie.

Paul wypił kolejny łyk kawy, krzywiąc się z bólu i sięgając energicznie po odłożoną pocztę. Dwa zamówienia, jedno z nich ważne, drugie to jakaś błahostka. Pytania dotyczące wzorów tkanin, oferty na surową bawełnę. Cholernie drogie – kiedy wreszcie spadną ceny? Mimo to musi na nie przystać, klienci powinni otrzymać zamówienia, nawet jeśli marża była bardzo niska. Czasami pracowali wręcz po kosztach. Ale fabryka musiała funkcjonować, a prawnikom należało płacić. Z Bożą pomocą wkrótce zyski się zwiększą.

Sięgnął po kolejną cynamonową gwiazdkę i dopił kawę, która już zrobiła się zimna. Boże Narodzenie. Nie, nie było jak zawsze. Mimo starań nie udało mu się złagodzić napięć panujących w rodzinie, na czym ucierpiały same święta. W Wigilię brakowało mu też bardzo Kitty, która spędzała ten czas

z Gertrude i Tilly w ich domu na Frauentorstraße. W kolejne dni świąteczne spotkali się wszyscy w willi, ale z powodu nieustannych kąśliwych uwag Kitty nie było prawdziwej, szczerzej radości. Na domiar złego w nocy pokłócił się z Marie i nawet już nie wiedział o co. Powód był z pewnością błąh, ale mimo to Paul powiedział rzeczy, które powinien był zachować dla siebie. Było zupełnie zrozumiałe, że Marie wieczorami była zmęczona, pracowała przecież ciężko. Nie, nie był mężem, który by robił z tego powodu wyrzuty, rozumiał to i mógł się kontrolować. Mimo to akurat tego wieczoru rozczarowanie znalazło sobie ujście, zarzucił jej, że kocha go mniej niż kiedyś, a ona odsunęła się od niego i odpychała jego czułe próby intymnego zbliżenia. A do tego zaproponowała, że zamknie atelier, co byłoby oczywiście zupełnie niedorzecznym zagranem. A potem – żeby tego było mało – wyrwało mu się to, co od lat leżało mu na sercu i co było w tej sytuacji bardziej niż niestosowne.

– Zastanawiam się naprawdę poważnie, dlaczego nie mamy więcej dzieci, Marie.

– Nie umiem ci odpowiedzieć na to pytanie.

– Może powinnaś pójść do lekarza?

– Ja?

– A kto inny?

I wtedy jego słodka, czuła żona zarzuciła mu, że faktycznie jest ślepy na jedno oko.

– Powód równie dobrze może leżeć po twojej stronie!

Nic na to nie odpowiedział, odwrócił się, naciągnął pierzynę na ramiona i zgasił nocną lampę. Marie zrobiła to samo. Leżeli cicho na poduszkach i bali się nawet oddychać. Każde miało nadzieję, że to drugie powie coś, co rozwieje to okropne napięcie. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Żadnego słowa, żadnego ostrożnego ruchu ręką, wyrażającego chęć zawarcia pokoju. Dopiero wczesnym rankiem, gdy poczuł śpiącą żonę blisko siebie, jego pożądanie wybuchnęło z taką siłą, że obudził ją czułymi pocałunkami. Pojednanie było cudowne, obiecywali sobie, zaklinając się na wszystkie świętości, że nigdy więcej nie dopuszczą do takiej bezsensownej, głupiej kłótni.

W międzyczasie ból gardła stał się trudny do oszukania, towarzyszyło mu dziwne uczucie w okolicy oskrzeli. Cholera, coś się szykowało poważnego. Przejrzał szybko resztę poczty i powiedział do panny Hoffmann:

– Proszę powiedzieć panu von Klippsteinowi, że teraz mam dla niego czas.

Mógł też po prostu pójść do niego, jak często robił, ale dzisiaj z jakiegoś powodu nie miał na to ochoty.

– I proszę mi przynieść jeszcze jedną kawę. A tak przy okazji – cynamonowe gwiazdki są doskonałe.

Zaczerwieniła się z radości, słysząc tę pochwałę, i powiedziała, że przepis dostała od swojej dobrej znajomej, pani von Oppermann.

– A ona jest zachwyconą klientką pana żony.

To już wiedział, ale mimo to przytaknął życzliwie, żeby nie pomyślała, że zazdrości sukcesu swojej żonie. I żeby zostawiła go w spokoju, kończąc tę paplaninę.

Ernst von Klippstein był jak zwykle doskonale ubrany, szary garnitur, kolorystycznie dobrana kamizelka, a gdy nadchodziła zima, przynosił nawet buty na zmianę, bo nie lubił chodzić w biurze w tych ocieplanych. Miał z obiema sekretarkami znakomite relacje, co najpewniej wynikało też z faktu, że budził w nich matczyne uczucia. Ernst został przywieziony do lazaretu z licznymi odłamkami granatu w brzuchu i cudem przeżył, ale blizny wciąż dawały mu się we znaki.

– Wyglądasz dzisiaj dziwnie blado, stary przyjacielu – powiedział jeszcze w proggu. – Czyżby dopadło cię grasujące po okolicy przeziębienie?

– Mnie? Ależ skąd. Jestem tylko trochę zmęczony...

Ernst kiwnął głową ze zrozumieniem i zajął jeden ze skórzanych foteli. Było to dla niego niełatwe, bo fotel był dość głęboki, ale nie dał tego po sobie poznać. Ernst pozostał pruskim żołnierzem, zachowywał dyscyplinę przede wszystkim w stosunku do siebie samego.

– Tak, pogoda... – powiedział i spojrzał w okno, w którym widać było nisko wiszące chmury. – Styczeń i luty to diabelsko ponure i zimne miesiące.

– Wiadomo.

Paul musiał odkaszlnąć i był szczęśliwy, że akurat teraz Ottilie Lüders weszła z tacą. Oczywiście podała dwie kawy i podwójną porcję wypieków. Obok cynamonowych gwiazdek leżały teraz pierniki i kruche ciastka z migdałami. Ernst sięgnął po kawę – pił czarną bez mleka i cukru. Ciastka zupełnie pominął.

– Chciałbym z tobą porozmawiać o niektórych wydatkach, które według mnie mogłyby zostać zredukowane. Na przykład te na jedzenie w stołówce...

Posiłki w stołówce zostały wprowadzone jeszcze w czasach jego ojca i to Marie była siłą napędową tego przedsięwzięcia. Wcześniej funkcjonowała jedynie jadalnia, w której pracownicy i robotnicy siedzieli wspólnie przy długim stole i jedli przyniesione przez siebie posiłki. Tak, Paul przeznaczał na żywienie pewne sumy i składało się ono teraz z mięsa, ziemniaków i warzyw. Podczas wojny serwowano jedynie rodzaj potrawki z brukwi.

– Wyceniamy je zbyt tanio, Paul. Gdyby każdy płacił dziesięć fenigów więcej, moglibyśmy zaoszczędzić trochę z dotacji.

Fenigi były walutą wewnętrzną, którą – jak w wielu innych fabrykach – wprowadzono z powodu inflacji. Byłoby zbyt trudno płacić za posiłki wciąż jeszcze obowiązującymi banknotami, potrzebne byłyby na to jakieś ogromne kosze. Ten, kto regularnie jadł w stołówce, miał odliczane to od wynagrodzenia. Za to otrzymywał fenigi Melzerów, za które można było kupić napoje, mydło czy tytoń.

– Poczekajmy jeszcze i zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja.

– Zawsze tak mówisz, Paul.

– Moim zdaniem to byłoby wprowadzenie oszczędności nie tam, gdzie trzeba.

Ernst westchnął. I przypomniał, że Paul jest znany jako najhojniejszy przedsiębiorca. Ostatnio pan Gropius z przędzalni wełny czesankowej zapytał Ernsta, czy w fabryce Melzerów mają za dużo pieniędzy.

– No dobrze, zostawmy pracowników w spokoju. Wyliczyłem, że zużycie węgla w biurach w tym okresie grzewczym niemalże zrównało się z ilością węgla spalonego w zeszłym roku. Jeśli ta tendencja się utrzyma, opłaty za węgiel wzrosną co najmniej o jedną trzecią.

A więc siedział sobie ten człowiek w biurze i tracił cenny czas na takie zbędne zabawy z rachunkami. Zmarznięci pracownicy osiągają kiepskie wyniki – nie wszyscy potrafili funkcjonować w takich spartańskich warunkach jak Ernst von Klippstein, który celowo przykazał sekretarkom, żeby w jego biurze paliły umiarkowanie.

– To nie jest czas, żeby oszczędzać, Ernst. To jest czas, żeby inwestować i uzyskiwać dobre wyniki pracy. Musimy nabrać tempa, pokazać, że tkaniny i przędze Melzerów są nie tylko świetnej jakości, ale również tanie...

Doszło do krótkiej wymiany zdań. Ernst był zdania, że wprowadzenie korzystnych cenowo produktów było możliwe tylko dzięki dokładnym kalkulacjom i cięciu kosztów. Paul przekonywał go, że jest różnica między

obniżaniem kosztów a skąpstwem. Przerzucali się argumentami, aż w końcu Ernst postąpił tak, jak to zwykle robił.

– No to zobaczymy – powiedział ponuro. Potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął kopertę. – Prawie zapomniałem. Zamówienie.

Jego zakłopotana mina sprawiła, że Paul stał się czujny. W niezaadresowanej kopercie znajdowała się kartka papieru napisana odręcznie, na której widniało zamówienie Marie na potrzebne jej materiały. Dlaczego przekazała Ernstowi zamówienie? Dlaczego nie jemu, swojemu mężowi? Na przykład dzisiaj rano przy śniadaniu?

– Kiedy Marie ci to dała?

– Wczoraj wieczorem, gdy odbierałem ją z atelier.

– Ach, tak, tak – powiedział Paul i dołożył kartkę do pozostałych zamówień. – Bardzo dziękuję.

Ernst kiwnął głową zadowolony i mógł już właściwie wstać i odejść, ale wciąż siedział w fotelu.

– Niesamowita kobieta z tej twojej żony. Już wtedy ją podziwiałem, gdy razem z twoim ojcem ratowała fabrykę w czasie wojny.

Paul milczał. Oparł się na krzesło i uderzał delikatnie palcami w pokrytą skórą powierzchnię biurka. Na Ernście nie wywarło to jednak oczekiwanego wrażenia.

– Jakie to szczęście, że wy dwoje się odnaleźliście, ty i Marie. Taka kobieta potrzebuje męża, który da jej przestrzeń konieczną do rozwoju. Ograniczony typ by ją z pewnością blokował, podcinał jej skrzydła, upakował w formie, która nie byłaby dla niej odpowiednia.

Czego on właściwie chciał? Paul dalej bębnił palcami, zaczęło go jednak drapać w gardle i musiał zakaszleć. Pojawił się też ból głowy, ale temu była winna ta męcząca rozmowa. Czy dzisiaj wszyscy się zmówili, żeby psuć mu nerwy?

– Ach, no i chciałem powiedzieć – przerwał von Klippsteinowi jego pochwalną mowę – że dzisiaj wieczorem to ja odbiorę swoją żonę z atelier. Mam coś do załatwienia w okolicy, więc będę miał po drodze.

– Ach tak? Cóż, mam tylko nadzieję, że mimo to będę mógł przyjść na kolację.

– Ależ oczywiście. Zawsze nas cieszy twoja obecność...

Rozczarowanie Ernsta ucieszyło Paula, ale zaraz potem młody Melzer poczuł się podle. Dlaczego odbiera przyjacielowi tę nieszkodliwą przyjemność? Nie ma przecież niczego do zrobienia na Karolinenstraße. Powinien dzisiaj po południu jechać zaraz do domu i przedsięwziąć coś, żeby wyleczyć się z tego uciążliwego przeziębienia. Herbata z rumem i do łóżka. Gdy ktoś chorował, Brunnenmayer czekała z herbatą lipową i szmatką nasmarowaną smalcem. Z tego jednak chętnie by zrezygnował. Tak długo, aż jeszcze będzie miał siłę stać na nogach.

– W takim razie nie przeszkadzam dłużej w pracy.

Patrzył, jak von Klippstein z trudem się podnosi z fotela, i poczuł wobec niego jakiś irracjonalnie silny rodzaj współczucia. Pomagać sobie nie pozwalał – stawał się wtedy naprawdę nieprzyjemny. Ból powodowały nie tylko blizny w okolicy brzucha i klatki piersiowej, najpewniej również odłamki, które wciąż tkwiły w jego ciele. Przeżył, ale obrażenia na zawsze naznaczyły jego życie.

Zanim Ernst wyszedł, dopił jeszcze kawę i odstawił filiżankę na tacę. Paul poczuł ulgę, gdy znowu został sam. Wstał, żeby ogrzać zmarznięte ręce przy piecu, włożył do środka kolejne kawałki drewna, ale mimo to miał dreszcze. Z wyrzutami sumienia otworzył szafkę i nalał sobie szklankę whisky. Ojciec pocieszał się alkoholem do końca swoich dni, choć wiedział, że mu szkodzi. Paul nie miał takich potrzeb, mała kolekcja alkoholi była przeznaczona na rozmowy z partnerami biznesowymi, w czasie których jedna szklaneczka niejednokrotnie mogła więcej zdziałać niż cały worek argumentów. Teraz pije z powodów medycznych, pomyślał i wziął solidny łyk. Zaraz potem gwałtownie się wzdrygnął, pilnując, żeby nie jęknąć zbyt głośno, bo whisky paliła gardło niczym ogień piekielny. Coś takiego oznacza wypędzanie diabła Belzebubem! Wypił resztę alkoholu ze szklanki, łzy stanęły mu w oczach. Schował butelkę do szafki. Czuł się wciąż nędznie.

W czasie obiadu starał się ze wszystkich sił stanąć na wysokości zadania, wysłuchiwał cierpliwie skarg guwernantki i uspokajał mamę, gdy Marie stanowczo brała swoje dzieci w obronę. Wspólne jedzenie obiadu, niegdyś moment odpoczynku w czasie całego dnia, w ciągu ostatnich miesięcy stało się pełnym napięcia spotkaniem walczących ze sobą stron. Dzieci również cierpiały z tego powodu, siedziały skulone na swoich miejscach i mówiły jedynie wtedy, gdy się je o coś zapytało. Dzisiaj mama włączyła do tematu rozmów postać Tilly Bräuer. Studentka medycyny przyjechała na Boże Narodzenie do Augsburga i w czasie świąt dużo ze sobą rozmawiały.

– Zrobiła się bardzo chuda, ta biedna dziewczyna – powiedziała mama

z troską. – I bardzo blada. Wcześniej mówiło się o takich dziewczynach, że to „sawantki”. Nic dziwnego, że Klippi nie złożył jej propozycji małżeństwa. Tak, tak, wiem, Marie. Czasy się zmieniły, dzisiaj młode kobiety chcą mieć jakiś zawód, a niektóre sądzą nawet, że powinny studiować na uniwersytetach.

– Ona jest odważną i mądrą młodą kobietą – odparła Marie z przekonaniem.
– Bardzo ją podziwiam. Co w tym złego, że kobieta chce studiować medycynę, by zostać lekarką?

Na ten temat kłócono się już ostro nie raz, więc Alicia pozwoliła sobie jedynie na westchnienie wyrażające niezadowolenie. Serafina poczuła się w obowiązku, żeby wziąć jej stronę.

– A jak taka osoba ma sobie znaleźć męża? – zapytała. – Któremu mężowi będzie się podobało, że jego żona codziennie bada ciała obcych mężczyzn? Wiecie, co mam na myśli...

Jeśli sądziła, że bliźniaki nie zrozumiały jej sugestii, grubo się myliła. Dodo zrobiła wielkie oczy, a uszy Lea mocno poczerwieniały.

– Czy ci mężczyźni muszą się rozbierać do naga? – wyszeptała Dodo.

Leo nie odpowiedział, ale samo wyobrażenie sobie tej sceny było dla niego mocno zawstydzające.

– To, że żona jest badana przez lekarza mężczyznę, nie przeszkadza mężowi, prawda? – skwitowała Marie. – To wszystko jedynie kwestia zwyczaju.

Alicia odchrząknęła.

– Nie chciałabym, żebyśmy poruszali tak nieapetyczne tematy przy stole. Zwłaszcza w obecności dzieci.

Posilali się dalej w milczeniu. Marie spoglądała na zegarek, Serafina mówiła Dodo, jak powinna siedzieć przy stole, a mama popatrywała z niepokojem na Paula, który mocno kaszłał.

– Powinieneś się położyć dzisiaj po południu, Paul.

– Bzdura! – odburknął.

Mama westchnęła i powiedziała, że jest bez wątplenia nieodrodnym synem swojego ojca. Johann też się nie oszczędzał. Marie jako pierwsza wstała od stołu, bo klientka miała przyjść do atelier o czternastej. Przytuliła do siebie bliźniaki, obiecała, że wieczorem im poczyta, i już jej nie było.

- Nie powinienem cię podwieźć, kochanie? – krzyknął, gdy wychodziła.
- Nie ma takiej konieczności, kochany. Pojadę tramwajem.

Paul po obiedzie czuł się wprawdzie zmęczony, ale ból gardła był teraz zdecydowanie słabszy niż rano. Leżenie – tylko tego brakowało. Ofiara złożona z troski mamy. Smarowanie torsu. I szyi. Herbatki z rumianku. Pełny pakiet. A w gorszej wersji jeszcze doktor Stromberger albo stary doktor Greiner. Nie, wolał sam sobie poradzić z tym irytującym niedomaganiem.

W biurze wkrótce się jednak przekonał, że miękkie łóżko i trochę opieki przydałyby mu się niezaprzeczalnie. Zwłaszcza gdy nieprzyjemne dreszcze nękały go naprzemiennie z gwałtownymi uderzeniami gorąca. Gorączka. Znał to straszne, ogarniające całe ciało uczucie jeszcze z dzieciństwa. W czasie wojny przez długi czas leżał z bardzo wysoką temperaturą spowodowaną ranami w obozie jenieckim w Rosji, gdy z trudem wyrwał się ze szponów śmierci. W porównaniu z tamtymi cierpieniami to było jedynie niegroźnym dreszczykiem.

Wykonał kilka ważnych telefonów, około szesnastej zapowiedział się nowy klient. Sigmar Schmidt chciał otworzyć przy Maximilianstraße duży dom towarowy i był zainteresowany zakupem bawełny w kolorowe wzory. Paul zaprowadził go do tkalni, a potem do oddziału, w którym były nadrukowywane materiały. Schmidt był pod dużym wrażeniem, poszli więc do biura Paula, żeby porozmawiać o terminach dostaw i cenach. Był doświadczonego negocjatorem, ten Sigmar Schmidt. Za każdym razem upominał się o dodatkowy rabat, ale Paul przekonywał go, że ceny są i tak korzystne, a jakość bardzo dobra. Wreszcie doszli do porozumienia i Schmidt zamówił kilka bel materiału. Podczas negocjacji Paul trzymał się całkiem nieźle, za to ledwie klient wyszedł z biura, znów poczuł się bardzo słabo i wstrząsały nim dreszcze. Zmusił się, żeby dotrwać w biurze do dziewiętnastej, życzył sekretarkom miłego wieczoru i dowiedział się, że pan von Klippstein był już w drodze do posiadłości.

Na zewnątrz padał lodowaty śnieg z deszczem, więc ucieszył się, gdy wreszcie wsiadł do samochodu. Krótko pozdrowił portiera i pojechał do miasta. Było tuż przed siódmą i miał nadzieję, że Marie jeszcze nie wsiadła do tramwaju. Gdy zatrzymał się przy ulicy przed studium, stwierdził z ulgą, że w środku wciąż jeszcze byli jacyś klienci. W jasno oświetlonym pomieszczeniu znajdowała się, jak udało mu się rozpoznać, elegancko ubrana para. Siedzieli przy małym stoliku i przeglądali katalogi. To byli przecież... Oczywiście! To byli Neffowie, którzy prowadzili duże kino przy Backofenwall. Oni mogli sobie pozwolić na drogie projekty Marie. Z jakim

entuzjazmem przeglądali katalogi! Nic dziwnego, Marie sama zrobiła i pomalowała wszystkie te rysunki.

Paul postanowił, że poczeka w samochodzie i nie będzie jej przeszkadzał. Z własnego doświadczenia wiedział doskonale, jak pojawienie się jakiegoś nieproszonego gościa może być deprymujące w czasie prowadzenia negocjacji handlowych. Odchylił się więc na oparciu, mocniej otulił płaszczem i zaglądał przez szybę do środka atelier. Tam była jego Marie. Była śliczna – w rozkloszowanej spódnicy i luźnym żakiecie wyglądała nowocześnie i swobodnie, a do tego jeszcze te bujne ciemne włosy. Sprawiała wrażenie młodej, delikatnej dziewczyny. A była przecież przedsiębiorczą kobietą sukcesu... Teraz rozmawiała z Neffami, uśmiechała się, gestykulowała – była niesłychanie urocza, ta jego Marie. Właściciel kina wydawał się nią zupełnie zauroczony. Jak niezręcznie się zachowywał. Chciał odsunąć dla niej krzesło i potknął się przy tym o własne nogi. A Marie posłała mu uśmiech wyrażający wdzięczność, zanim usiadła.

Wdzięczność, tak, to właściwe określenie. A może raczej serdeczność? Życzliwość? Tak, to było to. Ale także jakby... czułość.

Wymyślasz to sobie, powiedział do siebie. Przecież nie możesz widzieć z tej odległości, w jaki sposób uśmiecha się do tego faceta. Chodzi przecież o interesy, trzeba dbać o klientów. Zdał sobie jednak sprawę, że go to rozgniewało. Dlaczego uśmiechała się do tego mężczyzny? Przecież on może odebrać jej życzliwość w niewłaściwy sposób i potem ją nachodzić. Ogarnęła go kolejna fala gorąca i chustką wytarł pot z czoła. Jak długo będzie to tam jeszcze trwało? Jest już wpół do ósmej i mama czeka w willi z kolacją. Gdy poczuł się trochę lepiej, wyszedł z samochodu i zdecydowanym krokiem wszedł do atelier. Kiedy otwierał drzwi, zadzwoniły dzwonki znajdujące się nad nimi i Marie oraz jej klienci spojrzeli na Paula zdumieni.

– Życzę miłego wieczoru. Przepraszam, że przeszkodziłem, przejeżdżałem tędy i sądziłem, że trafię na zamknięcie sklepu.

Marie zmarszczyła czoło, a Neffowie przywitali go z wyrozumiałością i zaczęli się prześcigać w pochwałach dla pięknej kolekcji stworzonej przez Marie.

– Mamy tutaj w Augsburgu niezwykle uzdolnioną projektantkę mody. Takie modele równie dobrze mogłyby być wystawione w Paryżu!

– Tylko niech sobie państwo nie przeszkadzają. Zapalę w ogrodzie zimowym cygaro, dobrze mi to zrobi.

– Och, to nie potrwa już długo.

W szwalni Hanna wciąż jeszcze siedziała przy pracy. Biedna dziewczyna nie wyglądała tutaj na szczególnie szczęśliwą. Nie rozumiał, dlaczego Marie koniecznie chciała z niej zrobić krawcową. Ale były to sprawy, do których się nie wtrącał.

– Łaskawy pan... Co za niespodzianka. Ojej, wygląda pan na chorego... – Oderwała się od maszyny do szycia i podbiegła do pieca, na którym gotowała się woda w czajniku. – Przygotuję gorącą herbatę, dobrze panu zrobi.

Nie protestował, bo znowu chwyciły go dreszcze. Na chwiejnych nogach podszedł do pieca i przykucnął przy nim ze szklanką napoju w ręce.

– Paskudnie pana złapało, łaskawy panie. A jeszcze przyjechał pan po żonę. Naprawdę powinien pan przysłać po nią pana von Klippsteina.

Marie zjawiła się po kwadransie, energicznie rzuciła na biurko zapisane kartki, po czym chwyciła szybko płaszcz.

– Cholera – westchnęła. – Znowu tak późno. Biedna mama. Jedźmy już, Paul... Hanno, powyłączaj proszę światła, niech zostanie tylko oświetlenie zewnętrznej witryny.

Sięgnęła po kapelusz wiszący koło lustra, poprawiła włosy i odwróciła się do Paula. Teraz dopiero dostrzegła, jak bardzo źle się czuł.

– Mój Boże, Paul! Powinieneś być posłuchać mamy i położyć się. Teraz pozarażasz nas wszystkich!

Postawił szklankę na piecu i wstał z trudem. Nie, nie rozczulał się nad sobą. Pomyślał jednak, że wcześniej Marie umiała bardziej współczuć.

Marzec 1924

Jak szybko minęła ta niedziela. To powinien być dzień spokojnej refleksji po całym gorączkowym tygodniu, czas dla rodziny, cenne godziny odpoczynku i wolnego czasu. Tymczasem po szybkim śniadaniu trzeba było jechać do kościoła, wysłuchać mszy, a potem porozmawiać chwilę ze znajomymi. Później należało się przebrać do obiadu, teściowa przykładała do tego dużą wagę. Przynajmniej w niedzielę – jak powtarzała często ostatnio – chciała mieć przy sobie odświętnie ubraną rodzinę. W rezultacie posiłek przebiegał w sztywnej atmosferze i przede wszystkim bliźniaki, które aż pękały z chęci mówienia, utraciły swoje prawa. Dzieci powinny milczeć przy stole, to należało do dobrego tonu.

Jak chętnie by się położyła choć na chwilę po jedzeniu! Ale na to nie było czasu. Leo i Dodo zakradli się do jej pokoju i nie miała serca ich odprawić. Siedzieli we trójkę na sofie i Marie słuchała cierpliwie, jakie zmartwienia i złości przyniósł im ostatni tydzień.

– Trzy razy musiałem przepisywać te głupie cyfry, mamó. A wszystko dobrze obliczyłem.

– Dlaczego muszę ciągle nosić tę sukienkę w kwiatki, mamó? Jest za ciasna, nie mogę podnieść rąk do góry.

– Powiedziała, że nie dostaniemy w tym roku zajaczków, bo jesteśmy bardzo niegrzeczni.

– A ja ciągle muszę grać na pianinie. Aż mnie uszy bołą.

Marie skrycie wyrzucała sobie, że niezbyt stanowczo domaga się zwolnienia guwernantki. Ale oznaczałoby to próbę sił z teściową, a tego nie chciała robić ze względu na Paula. Czuła się nieszczęśliwa. Pocieszała, starała się tłumaczyć, składała obietnice. Wzięła Dodo na ręce i głaskała Lea po włosach. Odkąd bliźniaki cztery tygodnie temu skończyły osiem lat, jej syn już nie pozwalał jej się przytulać ani całować. Powiedział, że czuje się wtedy jak małpka. W końcu jest już dużym chłopcem, a nie rozpieszczonym dzieciakiem.

– Później przyjedzie ciocia Kitty na kawę i na pewno przywiezie Henny, więc będziecie się mogli razem pobawić w parku.

Ani Dodo, ani Leo nie zareagowali entuzjastycznie na tę wiadomość.

– Henny chce ciągle nami rządzić.

– A jeśli pani von Dobern z nami pójdzie, to będziemy musieli chodzić tylko po ścieżce, nie będzie nam wolno zbierać gałęzi i rzucać kamieniami.

– A Liesl i Maxl nie będą się mogli z nami bawić, bo pani von Dobern tego nie lubi.

Marie obiecała, że porozmawia z guwernantką. Dzieci potrzebują trochę zabawy, zwłaszcza że na spacer musiały wkładać wysokie buty i płaszcze. Był marzec, ale wiosna jakoś nie chciała zawitać, dwa dni temu znów padał śnieg.

– Pojedziesz z nami na lotnisko, mamó?

Od miesięcy Dodo ją o to prosiła. Chciała zobaczyć samoloty. Fabryka samolotów Rumpler miała swoją siedzibę w pobliżu Haunstetter Straße, a więc w południowej części miasta.

– No nie wiem, Dodo... Słyszałam, że linie lotnicze mają kłopoty. I samoloty nie mogą już latać.

Pośród wielu nakazów aliantów był i ten, który zakazywał lotów niemieckim jednostkom lotniczym. Zabroniono też budowania samolotów. Kąciki ust Dodo opadły i Marie zrozumiała, że jest to wielkie marzenie dziewczynki. Tylko jak ona mogła wpaść na ten szalony pomysł?

– Zobaczymy, kochanie. Może latem. Przy tej pogodzie i tak nie mogłyby się wznieść.

Twarz Dodo od razu pojaśniała.

– Dobrze więc, latem. Obiecujesz? – Znow próbowała wymusić przyrzeczenie na swojej mamie.

– Jeśli tylko będzie można.

Usłyszeli warkot samochodu i Leo rzucił się do okna.

– Ciocia Kitty przyjechała – ogłosił. – Ech, ona jeździ slalomem! Zaraz wjedzie w drzewo. No, jeszcze tym razem się jej udało!

Dodo zsunęła się z kolan Marie i odepchnęła brata od okna.

– Przywiozła ciotkę Gertrude. I Henny. Ją niestety też.

Marie westchnęła. Cóż, teraz to już na pewno nie było nadziei na to, że będzie mogła się zdrzemnąć. Wstała, żeby wydać pracownikom polecenia,

gdyż Alicia miała ostre zapalenie oskrzeli. Skoro w ciągu tygodnia cały ciężar prowadzenia domu spada na nią, to – jak wszystkim ogłosiła – przynajmniej w niedzielę chce sobie zrobić poobiednią drzemkę. Na dole w korytarzu słychać już było wysoki głos Kitty, która mówiła jak zawsze podekscytowana i nie robiąc żadnych przerw; czasami można wręcz było się obawiać, że zapomni złapać oddechu.

Przechodząc korytarzem, Marie zapukała do drzwi guwernantki, żeby poprosić ją o opiekę nad dziećmi, i zeszła na dół.

Julius stał już w wejściu do jadalni w pełnej gotowości, choć wyglądał na osłabionego, bo jego również nie oszczędziła fala przeziębienia, która przetoczyła się przez willę. Hannę i Else też dopadła choroba, podobnie jak biednego Klippiego. Paul musiał przez dwa dni leżeć w łóżku i wyzdrowiał. Von Klippstein natomiast jeszcze nie stanął na nogi.

Marie przez cały tydzień przynosiła mu posiłki do jego mieszkania, aż w końcu wysłała do niego doktora Strombergera. Von Klippstein był tak poruszony tą troską, że w połowie lutego zlecił przesłać jej wielki bukiet białych róż. Musiał na to wydać majątek i Paul potem całymi dniami wymawiał jej tego „rózanego kawalera”. Tak, Paul rzeczywiście wydawał się nieco zazdrosny. Zmienił się, był bardziej drażliwy i przewrażliwiony niż dawniej i robił jej jakieś niedorzeczne wyrzuty. Może wynikało to z tego, że dopiero teraz naprawdę się poznawali. Paul musiał wyjechać na front rok po ślubie i przez kolejne cztery lata byli rozdzieleni. Wtedy żyli wyłącznie pięknymi listami i tęsknotą, nic więc dziwnego, że widzieli w sobie same pozytywne cechy. A teraz przyszła zwykła codzienność: fabryka, dzieci, atelier, rodzina. Wszystko to żądało należnego haraczu, być może oczekiwała tego również ich miłość.

– Powiedz kucharce, że może już przygotowywać kawę. Dla dzieci gorącą czekoladę. Ciasto niech poda dopiero wtedy, gdy wszyscy zasiądą przy stole.

Pobiegła na dół, do holu, gdzie Hanna odbierała od wszystkich płaszcze i kapelusze. Gertie trzymała paczkę zawiniętą w papier pakowy, w której bez wątpienia znajdował się obraz.

– Ach, moja kochana Marie! – krzyknęła Kitty głośno, gdy zauważyła bratową na schodach. – Jak cudownie cię widzieć! Mam dla ciebie niesamowitą wiadomość. Zaniemówisz. Weź ostrożnie ten obraz, Gertie. To jest prezent dla mojego brata, może go zawiesić w biurze. Uch, co za okropna pogoda, stopy mi prawie zamarzły. Marie, moja słodka. Chodź do mojego serca, muszę cię mocno do siebie przytulić!

Ach ta Kitty! Była tak zniewalająca, tak przytłaczająca, tak szalenie serdeczna. Marie zapomniała nawet o zmęczeniu i wdychała drogą perfumy Kitty. Tylko skąd ona miała na nie pieniądze? Cóż, pewnie dostała je w prezencie od jakiegoś adoratora.

– Jak się czuje mamusia? Wciąż zapalenie oskrzeli? Biedactwo. Odkąd tata od nas odszedł, jej dobry czas też minął. To jest prawdziwa miłość, Marie. My obie za tym nie nadążymy. Wierność aż do śmierci... Ach, tak, przywiozłam ze sobą Gertrude. Przywitałaś się już z nią, Marie?

– Jeśli mnie puścisz, zaraz to zrobię!

Gertrude Bräuer, teściowa Kitty, w żadnym razie nie była urażona, że musiała poczekać. Znała dobrze gwałtowną naturę Kitty i – ku wielkiemu zaskoczeniu Alicji – w pełni ją akceptowała. Henny została właśnie rozebrana przez Hannę z płaszcza i szalika i mała natychmiast przejrzała wszystkie kąty w korytarzu, żeby sprawdzić, czy gdzieś tutaj nie ukrył się Leo. Podczas ich ostatniej wizyty schował się za komodą i piszczał jak mysz, bo wiedział doskonale, że Henny panicznie się boi myszy.

– Chodźmy na górę – zaprosiła Marie. – Gertie, biegnij na drugie piętro i obudź łaskawą panią. Tylko bardzo delikatnie, wiesz, jak łatwo ją przestraszyć.

Kitty podała Gertrude ramię i powiedziała, że w żadnym razie nie może sama wchodzić po schodach, bo jeszcze wczoraj leżała w łóżku z bolącym gardłem i kaszlem.

– Zabierz ode mnie ręce, Kitty! Może już byś chciała traktować mnie jak stary niepotrzebny mebel.

– Ach, Trudi! – zaśmiała się Kitty. – Bardzo się cieszę, że mam cię przy sobie, i zatrzymam cię tak długo, jak tylko to będzie możliwe. Jeszcze tak co najmniej sto lat, musisz temu podołać. A gdzie jest mój kochany Paul, Marie? Gdzie zostawiłaś swojego męża? A, tutaj jest!

Paul pojawił się na samej górze schodów i z uśmiechem rozłożył ręce. Kitty puściła Gertrude i z głośnym okrzykiem pobiegła schodami na górę, żeby rzucić się bratu na szyję.

– Kochany Paulu! Tutaj jesteś! Ach, mój kochany, najukochańszy, jedyny brat!

– Kitty – powiedział, uśmiechając się i mocno ją obejmując. – Cudownie mieć cię tutaj w posiadłości. Nawet jeśli właśnie przeszkodziłaś mi w pracy.

– Praca? Dzisiaj jest niedziela, Paul. Jeśli pracujesz w niedziele, stracisz prawą rękę. Tak nam wcześniej zawsze powtarzał kapłan, zapomniałeś o tym?

– Zdziwiał mnie, Kitty, że akurat właśnie to zdanie tak dobrze zapamiętałaś.

Na korytarzu zapanowała spontaniczna wesołość, Marie w podskokach szła obok Kitty, obie się śmiały i kpiły z niego. Paul bronił się jak mógł, ale Marie przypomniała mu, jak bardzo lubił te radosne wymiany zdań. Nagle znów stał się młodym panem, który spoglądał z bezpiecznej odległości na pomoc kuchenną – Marie. Paul Melzer, jedyny syn w rodzinie, który tak często podążał czułym i tęsknym wzrokiem za małą Marie Hofgartner. Który w starej części miasta obronił ją przed rozwścieczonym napastnikiem i w trosce o jej bezpieczeństwo odprowadził ją do samej bramy Jakoba. Ach, dlaczego ten początkowy cudowny stan zakochania nie może trwać wiecznie?

W jadalni Julius nakrył stół z wielką pieczołowitością i ozdobił go nawet fiołkami, które już zakwitły. Guwernantka ubrała dzieci w odświętne stroje i wbiła je nawet w lakierowane buty, które były już na nie za małe. Skrzywioną z bólu twarz Lea zauważyła nawet Kitty.

– Dobry Boże! Leo! Co się stało? Coś cię ugryzło?

Zanim Leo odpowiedział, wtrącił się Paul:

– Skończ już z tą błazenadą, Leo. Nie musisz tutaj odgrywać roli kłowna!

Leo zrobił się czerwony. Marie wiedziała, że chłopiec usilnie stara się zrobić dobre wrażenie na ojcu, ale nie zawsze mu się to udawało. To było coś, co przeszkadzało jej w Paulu. Dlaczego choć trochę nie rozpieszcza syna? Nie czuł, jak bardzo Leo za nim tęskni? Ale Paul chyba uważał, że pochwały szkodzą dzieciom, i był w nich bardzo oszczędny.

– Potem możesz zdjąć buty – powiedziała Marie. – Teraz je nosisz, bo babcia się bardzo ucieszy z tego powodu. Ona je dla was kupiła.

– Tak, mamo.

Guwernantka uśmiechnęła się mdło i powiedziała, że Marie powinna czegoś więcej wymagać od swoich dzieci.

– Życie nie zawsze jest dla nas łagodne, pani Melzer. Dobrze będzie, gdy już w dzieciństwie nauczą się znosić ból bez narzekania.

– Jeśli dalej będziesz mówić w ten sposób, droga Serafino, wyskoczę zaraz przez okno – bezpardonowo przerwała jej Kitty. – Chce pani wychować te małe istotki na męczenników? Nie potrzebujemy już więcej świętych, pani von Dobern. Potrzebujemy odważnych ludzi ze zdrowymi stopami!

Serafina została uratowana od udzielenia odpowiedzi, gdyż do jadalni właśnie weszła Alicia.

– Kitty! – powiedziała i położyła dłoń na czole. – Ależ ty jesteś głośna. Pomyśl, proszę, trochę o tym, że boli mnie głowa.

– Och, mamusiu! – krzyknęła i objęła ją energicznie. – Ból należy przecież znosić bez skargi, to wpaja się do głowy dzieciom w tym domu.

Gdy Alicia spojrzała na nią gniewnie, parsknęła śmiechem jak łobuziak i powiedziała, że to był tylko żart.

– Moja biedna, biedna mama. Tak mi przykro, że znowu dręczy cię ta głupia migrena. Chciałabym zrobić coś, żebyś poczuła się lepiej.

Alicia odsunęła się od niej z uśmiechem i powiedziała, że mogłaby już teraz, gdyby po prostu ciszej mówiła, i usiadła przy stoliku kawowym.

– A gdzie jest moja mała Henny? Moje złote dziecko?

Złote dziecko zdążyło już pobiec na dół do kuchni i wrócić z policzkami umorusanymi czekoladą. Fanny Brunnenmayer uległa urokowi małej diaboliczki i dała jej trzy świeżo upieczone ciasteczka czekoladowe.

– Babciu, ja ciągle tylko o tobie myślę – powiedziała i wyciągnęła ręce do Alicii. – Jaka szkoda, że nie mogę już tu mieszkać.

Tymi słowami Alicia od razu została przekupiona i Henny zajęła miejsce tuż przy swojej kochanej babci. Marie wymieniła spojrzenia z Paulem i wiedziała, że pomyślał dokładnie to samo, co ona. Dzięki swemu urokowi Henny zajdzie bardzo daleko w życiu.

Usiedli do stołu, Julius podawał kawę lub herbatę, pokrojono tort śmietanowy oraz babkę i przyniesiono talerz z ciasteczkami. Kitty opowiadała o nowej wystawie w Monachium, którą właśnie organizowała z dwoma malarzami. Gertrude mówiła, że Tilly przygotowuje się do egzaminów, a Alicia zapytała o pana von Klippsteina.

– Dzwonił do mnie wczoraj – powiedział Paul. – Jutro rano znów będzie w biurze.

– Powinniśmy go byli zaprosić na kawę – powiedziała Alicia z żalem. – To taki wartościowy człowiek.

Serafina usilnie pilnowała, żeby Dodo i Leo nie zostawili najmniejszego okruszka na stole, podczas gdy Henny beztrudno ozdabiała okolicę swojego talerza śmietaną i kleksami z czekolady.

– Czy są jakieś wieści od Elisabeth? – zapytała guwernantka. – Ostatnio niestety rzadko do mnie pisze, co mnie martwi. Lisa to moja najlepsza przyjaciółka.

– To ciekawe, dlaczego pisze do pani tak rzadko – odpowiedziała złośliwie Kitty.

– Do pani na pewno pisze częściej, droga pani Bräuer.

Alicia wypła filiżankę kawy i poprosiła Juliusa, żeby przyniósł na jej biurko stosik listów oraz okulary. No tak, pomyślała Marie. Teraz będzie czytać ostatnie listy od Lisy, które i tak już wszyscy znali. A potem będzie opowiadać znowu o swoim dzieciństwie na Pomorzu. Biedny Leo – jeśli pozwolę mu teraz zmienić buty, babcia na pewno weźmie mu to za złe.

– Moi kochani – krzyknęła Kitty przez stół. – Zanim będziemy się wsłuchiwać w wynurzenia Lisy na temat życia na wsi, chciałabym wam przekazać wspaniałą nowinę. Otrzymałam właśnie list... z Francji!

– Ach, dobry Boże! – westchnęła Alicia. – Ale nie z Lyonu?

– Z Paryża, mamó.

– Z Paryża? Ale najważniejsze, że nie napisał tego ten... ten Francuz.

Kitty zaczęła grzebać w torebeczce. Wyciągnęła z niej kilka buteleczek perfum, srebrną puderniczkę, pęk kluczy z brelokiem, zużyte chusteczki i obok talerza ustawiła także swoją kolekcję szminek, narzekając przy tym, że ta torebka najwyraźniej chowa przed nią na dobre wszystkie najważniejsze rzeczy.

– Tak! No wreszcie jest. List od Gérarda Duchamps'a, który przyszedł do mnie wczoraj rano.

– A więc jednak – szepnęła Alicia.

Paul również zmarszczył czoło, a guwernantka zrobiła zaniepokojoną minę, jakby poczuła się odpowiedzialna za rodzinę Melzerów. Marie zauważyła, że jedynie Gertrude pozostała całkowicie spokojna, jedząc już trzeci kawałek tortu. Wydawało się, że już poznała treść listu.

– „Moja słodka, zachwycająca Kitty, mój namiętny aniele, o którym myślę całe dni i noce...” – zaczęła Kitty, zuchwale wpatrując się w zgromadzonych.

– Proszę, nie przy dzieciach – przerwała jej rozgniewana Alicia.

– Mama ma rację – odezwał się Paul. – To bardziej niż niestosowne, Kitty.

Kitty potrząsnęła głową i oznajmiła, że potrzebuje spokoju, żeby czytać.

– Opuszczę więc pierwszą część i przejdę od razu do najważniejszych rzeczy. A więc: „Ku mojej największej radości w spadku po zmarłym kolekcjonerze sztuki Samuelu Cohn-d’Oré odnalazłem ogromną liczbę obrazów niemieckiej artystki Luise Hofgartner”.

Marie się wzdrygnęła i pomyślała, że na pewno się przesłyszała. Czy Kitty naprawdę wypowiedziała nazwisko Luise Hofgartner?

– Tak jest, Marie – odparła Kitty, dostrzegając zdumienie na twarzy bratowej. – Chodzi o trzydzieści obrazów, które namalowała twoja matka. Ten Cohn-d’Oré był bajecznie bogaty i zbierał wszelkie dzieła sztuki. Jak się wydaje, miał też słabość do Luise Hofgartner albo chodziło o coś jeszcze innego.

Marie spojrzała na Paula. Był tak samo zaskoczony jak ona i uśmiechał się do niej zachwycony. Ogarnęło ją dziwne ciepło. Paul cieszył się tą wiadomością.

– To jest naprawdę wspaniała nowina – powiedział do niej.

– Cóż – dał się słyszeć głos Alicii. – To zależy. Co się stanie z tymi dziełami?

– Będą wystawione na sprzedaż – powiedziała Kitty. – Spadkobiercy pana Cohn-d’Oré są znacznie bardziej zainteresowani dźwięczącymi monetami niż sztuką. Odbędą się więc aukcje.

– Obrazy pójdą pod młotek? – krzyknęła Marie zdenerwowana. – Kiedy? Gdzie?

Kitty zrobiła uspokajający gest w jej stronę i sięgnęła znów po list.

– „Ponieważ założyłem, że Twoja szwagierka będzie zainteresowana nabyciem obrazów swojej matki, przeprowadziłem już wstępne rozmowy ze spadkobiercami. Byliby skłonni oddać zbiór obrazów Hofgartner za przyzwoitą cenę”.

– A co on rozumie przez tę rozsądną cenę? – chciał wiedzieć Paul.

Kitty wzruszyła ramionami. Żadne liczby nie pojawiły się w liście Gérarda, on jest na to zbyt dyskretny.

– Ale mimo to niezły z niego cwaniak. Chce ode mnie wziąć jeszcze dodatkowe pieniądze za zapakowanie wszystkiego i transport, ten łobuz. Najpierw nazywa mnie swoją zachwycającą Kitty i pisze, że marzy o mnie dniami i nocami, a potem wyciąga rękę po pieniądze. Z takim marzycielem to

ja sobie dam spokój.

– Powinnaś to była zrobić na samym początku, droga Kitty – skomentowała sucho Alicia. – Sądzę, że w żadnym razie nie powinniśmy zachęcać tego człowieka, żeby utrzymywał z nami kontakt. Dlatego jestem zdecydowanie przeciwna przyjęciu jakiegokolwiek pomocy od tego typu.

Marie chciała powiedzieć, że jest bardzo wdzięczna panu Duchampsowi, że kazał jej przekazać tę wiadomość. Paul ją jednak uprzedził.

– Jestem innego zdania, mamó. Gérard Duchamps przedstawił nam po prostu propozycję biznesową. Jest oczywiste, że musimy mu zrekompensować wydatki oraz ewentualnie zwrócić koszty prowizji dla pośrednika.

Alicia westchnęła głęboko i znów położyła dłonie na czole.

– Julius! Powiedz Else, żeby mi przyniosła proszek od bólu głowy. Opakowanie leży na moim nocnym stoliku.

Marie poczuła na sobie pytający wzrok Paula, ale nie potrafiła wyrazić tego, co się z nią teraz działo. Wiedziała o życiu i artystycznej twórczości swojej matki tyle co nic. Opowiedziano jej jedynie o ostatnim roku jej życia oraz o tragicznej śmierci. Matka poznała w Paryżu genialnego konstruktora Jacoba Burkarda. Para wzięła ślub kościelny w Augsburgu i zaraz potem Burkard zmarł. Luise została bez środków do życia. Przez chwilę walczyła o byt swój i swojej niedawno narodzonej córki Marie, realizując drobne zlecenia, ale zimą, mieszkając w zimnym mieszkaniu, dostała zapalenia płuc i zmarła w ciągu kilku dni. Mała Marie została oddana do sierocińca.

– Poza tym nie sądzą, żeby te obrazy jakoś nas dotyczyły... – dodała Alicia. – Marie jest teraz w rodzinie Melzerów.

– Co chcesz przez to powiedzieć, mamó? – Kitty rzuciła list na stos drobiazgów, które wyciągnęła wcześniej z torebki, i wpatrywała się w matkę ze złością.

Alicia uniosła filiżankę i spokojnie napiła się kawy, zanim odpowiedziała.

– Zawsze tak łatwo się denerwujesz, Kitty. Powiedziałam tylko, że Marie należy teraz do rodziny.

– Proszę, Kitty – wtrącił się Paul. – Daj spokój, nie warto się o to kłócić.

– Paul ma rację – odezwała się teraz Gertrude.

Marie czuła się bezradna. Oczywiście nie chciała, żeby wybuchła kłótnia, choćby ze względu na Dodo i Lea, którzy śledzili całą rozmowę

z wylęknionymi minami. Z drugiej strony ta wiadomość pozbawiła ją wewnętrznego spokoju. Obrazy, które namalowała jej matka – czy nie był to rodzaj sygnału z przeszłości? Czyż nie mówiły one nieskończenie wiele o jej matce? Wszystko to, czego Luise Hofgartner nie mogła przekazać swojej małej córeczce, jej nadzieje, przekonania i tęsknoty znalazły przecież odzwierciedlenie w jej pracach. Tak, była teraz jedną z Melzerów. Ale była też przede wszystkim córką Luise Hofgartner.

– Co o tym sądzisz, Marie? – krzyknęła Kitty przez stół. – Jeszcze nic nie powiedziałaś. Och, tak dobrze cię rozumiem. Jesteś zupełnie przytłoczona tą wiadomością, prawda? Moja biedna Marie. Jestem całkowicie po twojej stronie. Nigdy nie dopuszczę do tego, żeby te obrazy znalazły się w niewłaściwym rękach.

– Och, Kitty – powiedziała cicho Marie. – Zostawmy to na razie. Paul ma rację, że powinniśmy podejść do tej sprawy spokojnie.

Spokój nie był jednak domeną Kitty. Rozgniewana wrzuciła z powrotem swoje rzeczy do torebki, wepchnęła też do niej list i stwierdziła, że ona i tak już wie, co robić.

– Błagam cię, Kitty. – Alicia rzuciła zaniepokojone spojrzenie w stronę Paula. – Na miłość boską, nie rób nic nierozsądnego. Tym ludziom zależy tylko na pieniądzech, tak wynika z tego listu!

– Pieniądze! – krzyknęła wściekła Kitty. – To jest oczywiście pierwsza rzecz, o której się myśli w tym domu. Żeby tylko pieniądze się nie zmarnowały! I przede wszystkim nie wydać ich na sztukę. Czy wy w ogóle rozumiecie, że bez wkładu pracy i poświęcenia Marie nasza fabryka tekstyliów już by nie istniała?

Tego było już zbyt wiele dla Paula. Rzucił serwetkę na talerz i odwrócił się do Kitty pełen gniewu.

– Co to ma być, Kitty? To przecież bzdura i dobrze o tym wiesz!

– Bzdura? – krzyknęła Kitty. – Och, gdyby tata tutaj z nami siedział, przywołałby cię do porządku, Paul. To Marie naciskała, żebyśmy zaczęli produkcję materiałów z papieru. Tylko dlatego fabryka przetrwała, że tata to w końcu zrozumiał. Ale oczywiście o zasługach mądrych kobiet szybko się zapomina. Typowy mężczyzna – tyle mogę powiedzieć. Zadufany w sobie i niewdzięczny.

– Wystarczy, Kitty – przerwała jej Alicia ostrym tonem. – Nie chcę więcej słyszeć ani słowa na ten temat. A poza tym to bardziej niż niewłaściwe, że

męczysz duszę zmarłego ojca. Zostaw mojego biednego Johanna w spokoju, niech nie przewraca się w grobie!

W jadalni zapadła cisza. Gertrude piła kawę, Paul patrzył ponuro przed siebie, a Kitty prawie zamknęła oczy i, sięgając po ciastko, udawała, że nic się nie stało. Marie znów czuła się bezradna. Gdyby Kitty nie była taka przewrażliwiona. W wielu kwestiach się z nią zgadzała, ale sytuacja była znacznie bardziej skomplikowana.

– Czy możemy wstać? – zapytała Dodo przyciszonym głosem.

– Zapytaj babcię – odpowiedziała guwernantka.

Serafina wysłuchiwała rodzinnej kłótni w milczeniu. Oczywiście nie wypadało jej się wtrącać ani wyrażać własnego zdania. Z pewnością jednak miała coś do powiedzenia.

– Musisz pograć trochę na pianinie, Dodo – powiedziała Alicia. – A jak jest z moją małą Henny? Potrafisz coś nam przedstawić?

– Znam wierszyk – odburknęła Henny.

– W takim razie pozwól nam posłuchać. Julius, możesz podać likier i posprzątać całą resztę. Chodź, moja mała. Jestem bardzo zadowolona twoim wierszykiem.

Marie mogła jedynie podziwiać Alicję za jej postawę. Jak lekko udało się jej powrócić do tradycyjnych zwyczajów niedzielnego popołudnia. Pili likier, plotkowali o rodzinnych sprawach, a dzieci chwaliły się swoimi zdolnościami. Biedna Dodo. Nienawidziła gry na pianinie z całego serca.

Na korytarzu Paul położył rękę na ramieniu Marie.

– Porozmawiamy później, Marie. Głowa do góry – znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Poczuła się rażniej. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Oczywiście, kochany. To wszystko jest trochę za nerwowe.

Pocałował ją w policzek, a potem szli już razem do czerwonego salonu i Marie usiadła na sofie koło Kitty.

– Nie martw się – szepnęła Kitty i ścisnęła jej dłoń. – Jestem z tobą.

Potem usłyszała swoją córkę, która bez wahania zaczęła recytować wiersz. Kitty nigdy go nie słyszała. To Gertrude podsunęła go małej.

– „I zima dręczy jeszcze tak bardzo / Swoimi uporczywymi urodzinami...”.

– Oznakami – poprawiła Gertrude.

– „I rozrzuca śnieg i lód dosłownie wszędzie, / A wiosna i tak przecież nadejdzie”.

Henny miała zdolności aktorskie i recytację ubarwiała energiczną gestykulacją. Słowo „przecież” wymówiła tak dobitnie, że głos odmówił jej posłuszeństwa i musiała odkasznąć. Mimo tego małego uszczerbku na pięknej formie wystąpienia, otrzymała ogromne brawa. Kłaniała się na wszystkie strony, jakby już była artystką na scenie. Dodo podeszła ze śmiertelną pogardą do znienawidzonego instrumentu, usiadła na taborecie i wyciągnęła nuty. Ona również została pochwalona, a komplementy dostały się także guwernantce, która uczyła ją gry. Na koniec Leo zagrał preludium Bacha. Grał bez patrzenia w nuty, z zamkniętymi oczami, całkowicie zatonął w świecie dźwięków. Marie była głęboko poruszona, podobnie jak Kitty i Gertrude.

– To było niesamowite, Leo! – powiedziała Kitty z pełnym przekonaniem. – Kto cię tego nauczył? Bo na pewno nie pani von Dobern...

Uszy Lea poczerwieniały, spojrzał niepewnie na guwernantkę i powiedział, że dostał nuty od swojego nauczyciela, pana Urbana. Marie wiedziała, że kłamie. Było oczywiste, że plik nut z preludiami i fugami pochodził ze zbiorów pani Ginsberg, matki jego przyjaciela Waltera.

– Gdybyś w szkole był tak samo pilny jak przy grze na pianinie, bylibyśmy bardzo zadowoleni – powiedział Paul.

Marie widziała, jak Leo po tych słowach traci animusz, i niewymownie ją to raniło.

– Tak, tato.

– Możecie sobie teraz zrobić krótki spacer – powiedziała pośpiesznie Marie i zwróciła się do Serafiny: – Niech im pani włoży jakieś stare ubrania i pozwoli im trochę się wyhasać.

Henny, co wywołało w niej okropną złość, nie mogła iść z nimi, bo Kitty zdecydowała, że zaraz wyjeżdża. Wydawało się, że zupełnie zapomniała o niedawnej kłótni, uściskała wszystkich z wielką czułością i mówiła przy tym, co tylko jej wpadło do głowy. Z Marie również pożegnała się wylewnie, pocałowała ją w oba policzki, jak zawsze robiły Francuzki, i powiedziała:

– Wszystko będzie dobrze, moja słodka Marie. Będę dla ciebie walczyć, moje ty głupiutkie, strachliwe jagniątko. Będę walczyć jak lwica, która broni swoich małych.

Później, gdy Alicia i dzieci od dawna były już w łózkach, Marie siedziała nad projektem sukni, który miał być gotowy na rano. Nie było jej łatwo, bo w głowie krążyły tysiące myśli. Trzydzieści obrazów. Cały jej świat. Świat jej matki. Musiała zobaczyć te obrazy. Sprawdzić, co jej powiedzą. Odszyfrować wiadomość, która została w nich ukryta. Była tak pochłonięta myślami, że ledwie usłyszała wchodzącego Paula. Wyglądał na zmęczonego, przez kilka godzin siedział w gabinecie i robił ważne wyliczenia. Teraz uśmiechał się do niej czule.

– Jeszcze nie śpisz, kochanie? Wiesz co? Podjąłem decyzję. Kupimy trzy z tych obrazów i powiesimy tutaj w posiadłości. Gdzie, pozostawiam tobie.

Wydawał się bardzo dumny ze znalezienia takiego rozwiązania.

– Trzy obrazy? – spytała niepewnie.

Czy dobrze go zrozumiała? Wzruszył ramionami i odpowiedział, że równie dobrze mogą być cztery. Ale nie więcej. Wybór można zostawić Gérardowi Duchampsowi, który był na miejscu i znał się na sztuce.

– Chodź już, kochanie – powiedział, głaszcząc jej kark. – Pozwól nam zakończyć tę niedzielę w przyjemny sposób. Bardzo za tobą tęsknię...

Nie chciała się kłócić. Była zbyt zmęczona. Zbyt rozczarowana. Poszła za nim i oddała się słodkim podszeptom ciała. Gdy jednak później Paul zapadł w głęboki sen, czuła się, leżąc obok niego, tak samotna jak nigdy w życiu.

13

Widzieliście już? – spytała Else, uśmiechając się radośnie. – Narcyzy zaraz będą kwitnąć. Nawet czerwone tulipany już wykiełkowały!

Śmiech był dla Else, która zawsze wyglądała na zgorzkniałą, zupełnie nowym przeżyciem. Od czasu skomplikowanej operacji zęba pokojówka Else Bogner stała się inną kobietą. Zamiast jak wcześniej wiecznie na coś narzekać i oczekiwać najgorszego, mówiła teraz, jakie to ma szczęście, że jest zatrudniona w willi Melzerów. Była za to niewymownie wdzięczna i każdego dnia cieszyła się tym na nowo.

– Już czas – odparła krótko Fanny Brunnenmayer. – W przyszłym tygodniu Wielkanoc.

Julius wniósł ostatnie talerze i patery z jadalni do kuchni po kolacji, którą państwo jedli na górze. Kazali też poinformować personel, że dzisiaj nie będą już potrzebować ich usług. Co nie znaczyło oczywiście, że mają wolny wieczór. Mogli natomiast nieco spokojniej niż zwykle pójść do kuchni, napić się kawy z mlekiem i zjeść wspólnie kolację.

– Dołączyłaś do grona świętych, Else? – zakpiła Auguste, która pomagała jej dzisiaj przy sprzątaniu i porządkowaniu spiżarni.

Po porodzie, który odbył się w styczniu, Auguste potrzebowała kilku tygodni wolnego, żeby stanąć na nogi. Chłopiec długo się opierał, żeby opuścić ciepłe łono matki, i nawet sądzono, że jest martwy, bo przyszedł na świat zupełnie siny. Ale silny chłopiec doszedł do siebie szybciej niż jego matka.

– Cóż – odpowiedziała Else pogodnie. – Widzę teraz te piękne rzeczy, które daje nam życie. Tak szybko mogą przeminąć, Auguste. Gdy leżałam w klinice i wiercono oraz dźgano mi coś w ustach, krew dosłownie sikała...

– Cicho, idź sobie! – krzyknęła Hanna. – Nie mów o tym, gdy jem kolację.

– I ropa – ciągnęła niewzruszona Else. – Mówię wam, gdybym poczekała jeszcze jeden dzień, byłoby po mnie. Powiedzieli mi tam, że kości już były uszkodzone.

– Wystarczy – powiedziała rozgniewana kucharka i wzięła sobie kromkę chleba. – Czy nie powiedziałaś, że teraz będziesz dostrzegać tylko piękne strony życia?

– Ja mówię to tylko dlatego, żebyście wiedzieli, że nie stymulowałam.

– Czego nie robiłaś? – zapytała Auguste, marszcząc czoło.

Julius parsknął niepohamowanym śmiechem, co wszyscy przy stole uznali za niewłaściwe. Gdy to zauważył, przestał natychmiast i starał się wyjaśnić pomyłkę.

– Mówi się symulować, droga Else.

Else przytaknęła ze zrozumieniem, co Auguste prawie wyprowadziło z równowagi. Dawniej w takiej sytuacji Else zrobiłaby obrażoną minę i w odwecie nie szczędziłaby złośliwych przytyków. Teraz naprawdę była innym człowiekiem. Co to się działo na tym świecie. Julius wstał i przyniósł tacę pełną srebrnych naczyń, dzbanuszek na mleko, cukiernice, solniczki, małe łyżeczki i wiele innych. Postawił tacę na wolnym końcu stołu, położył tam również miękkie chusteczki i liczne buteleczki z różnymi płynami. Nadszedł czas czyszczenia srebra, bo na Wielkanoc mieli przyjechać goście. Julius odpowiadał za to, żeby srebrne naczynia i sztucce lśniły i promieniały w blasku świec.

– Możesz mi pomóc, Else – zarządził. – I ty też, Gertie.

Gertie wepchnęła do ust resztę jedzonej właśnie kiełbasy i przytaknęła ze smutkiem. Było zadziwiające, jak wielkie ilości żywności mogła pochłoniąć, a była przy tym chuda jak nitka.

– Muszę jeszcze pozmywać – oznajmiła.

– Ja mogę pomóc – zaoferowała się Hanna. – Zrobię to chętnie.

Odstawiła talerze, dopiła kawę i usiadła przy drugim końcu stołu. Julius podsunął jej dzbanuszek do mleka, który mocno już szerniał, i powiedział, że musi szczególnie uważać na krawędzie, w załamaniach lubiły się zawsze zbierać jakieś resztki. Hanna przytaknęła ze zrozumieniem i wzięła się do pracy. Julius zdążył już zauważyć, że nie ma żadnych szans u ślicznej, ale odpornej Hanny. Irytowało go to i raniło jego męską dumę, ale w końcu pogodził się z tym i dał jej spokój.

– Tak z własnej woli polerujesz srebro? – zdziwiła się Auguste. – Jesteś teraz krawcową, a nie pomocą kuchenną, Hanno.

Hanna wzruszyła ramionami i energicznie pocierała dzbanuszek. Po chwili Else dołączyła do niej, chwyciła ściereczkę i zabrała się do małych łyżeczek.

– Hanna bardzo lubi to robić, prawda? – powiedziała i uśmiechnęła się.

Dziewczyna przytaknęła. Nie była szczególnie szczęśliwa, gdy Marie Melzer powiedziała, że chce ją wykształcić na krawcową. Ale zaakceptowała

pomysł, zwłaszcza że pani Melzer była dla niej taka dobra. Przekonała się jednak, że szycie to jedna wielka harówka. Cały dzień siedzi się na tym samym stołku i gapi na materiały i na igłę, która tańczy przed jej oczami w górę i w dół. Trzeba uważać, żeby szwy były proste, żeby nie zrobić zbyt małego rąbka, a przy naciskaniu pedału maszyny nie wypaść z rytmu i nie zerwać nici.

– A czy pani Melzer płaci ci za to przyzwoicie? – zapytała Auguste.

– Ja się jeszcze uczę. Mogę tutaj mieszkać i jeść.

Auguste uniosła wysoko brwi i posłała spojrzenie kucharce, która trzymała właśnie blok z kartkami i ołówkę, bo robiła listę zakupów na Wielkanoc. Fanny Brunnenmayer uniosła ramiona – wiedziała co prawda, ile zarabia Hanna, ale skłonnej do plotek Auguste nie chciała o tym powiedzieć. Było to więcej, niż zarabiała pomoc kuchenna, ale dużo mniej, niż dostawała wykwalifikowana krawcowa.

– Jeśli potrzebujesz pieniędzy, mogłabyś popilnować naszych dzieci wieczorami – zaproponowała Auguste. – Dam ci za to parę groszy.

Gertie poskładała talerze, położyła na nich sztucce i włożyła wszystko do zlewu. Z naczynia stojącego na piecu wlała gorącej wody do dzbanka, przelała ją do zlewu i dolała zimnej wody, żeby nie poparzyć sobie rąk. Zmywano mydłem i sodą, deski drewniane co najmniej raz w tygodniu musiały być czyszczone piaskiem.

– Miałabym ochotę zarobić parę groszy – powiedziała do Auguste. – Ale dlaczego wieczorami potrzebujesz kogoś do opieki nad dziećmi?

Auguste powiedziała, że teraz interes rozwija się bardzo dobrze, sprzedają sadzonki jak świeże bułeczki, bo wszyscy chcą zakładać ogrody warzywne. Wieczorami trzeba wykopywać rośliny ze szklarni i wsadzać do doniczek, żeby następnego dnia móc je sprzedać do sklepów albo na targu. Gustav wybudował też obok inspektu małą szopę, którą nazywa swoim „sklepem”, bo obsługuje tam czasami klientów.

– Liesl ma już dziesięć lat, może pomóc. Maxl też jest już samodzielny. Ale Hansl ma dopiero dwa latka, a Fritz cztery miesiące.

Nie było żadnych wątpliwości, że dzieci musiały pomagać w pracach ogrodniczych, gdy tylko były w stanie to robić. Żadnych ciężkich zajęć, to rozumiały, lecz przesadzanie roślin czy wyrywanie chwastów rozumiały się samo przez się. Zazwyczaj byli dumni, że mogą pomagać, bo chcieli pracować razem z tatą.

– Gdyby tylko nie ta głupia stopa... – westchnęła Auguste. – Gustav nie należy do tych, którzy narzekają, ale wieczorami czasami bywa źle.

W bliźnie na kikucie ciągle robił się stan zapalny i wtedy Gustl bardzo cierpiał w czasie chodzenia, a gdy było już zupełnie źle, tracił nadzieję.

– Tylko już żadnych więcej dzieci – powiedział do mnie ostatnio. – Mamy już dość gąb do wyżywienia. I nie wiem, ile jeszcze dam radę pociągnąć.

Poszedł do siostry Hedwig, którą znał jeszcze z czasów, gdy pracowała w urządzonym w willi lazarecie. Wizyta u lekarza dużo kosztowała, ale siostra Hedwig, która była teraz zatrudniona w szpitalu miejskim, powiedziała, że niewiele już da się zrobić. Nie powinien tak dużo chodzić, bo będzie jeszcze gorzej. Dała mu maść, ale wcale mu nie pomogła.

– Sam sobie winien – powiedziała bezlitośnie Fanny Brunnenmayer. – Gustav mógł przecież zostać tutaj na służbie. Pan Melzer zapłacił za lekarza Else i za szpital. Prawda, Else?

Else przytaknęła z zapalem i zapewniła, że do końca życia będzie za to wdzięczna młodemu panu.

– Zniósł cię nawet po schodach do samochodu – przypomniała Gertie znad umywalki.

Else cała poczerwieniała ze wstydu.

– E tam – odparła Auguste rozgniewana. – To się zobaczy. Gdy zarobimy dostatecznie dużo, wtedy zatrudnimy ludzi i Gustl będzie mógł sobie odpocząć. Tak jak to zrobiła Jordan. Co za przebiegła...

– A co ona zrobiła? – chciała wiedzieć Hanna.

– Taaak – odpowiedziała Auguste, złośliwie chichocząc. – Nasza wspianała Maria Jordan sprzedaje luksusową żywność. To znaczy: zleca sprzedawanie.

Julius podsunął dopiero co wypolerowaną cukiernicę do światła i z zadowoleniem odstawił ją na tacę.

– Co masz na myśli, Auguste? – zapytał, biorąc srebrny czajniczek do herbaty, i powąchał go w środku, żeby sprawdzić, czy jest dobrze umyty. – Czy Jordan zatrudnia pracowników?

– Ma młodego mężczyznę.

Hanna zrobiła wielkie oczy. Fanny Brunnenmayer, która skrzętnie robiła listę zakupów, uniosła głowę znad kartki, a Julius odstawił na stół butelkę ze środkiem do czyszczenia srebra. Tylko Else nie zareagowała. Podparła głowę

na ręce i zasnęła w tej niewygodnej pozycji.

– Młodego... młodego mężczyznę? – zapytała kucharka z niedowierzaniem.
– Co masz na myśli, Auguste?

– To, co właśnie powiedziałam – odparła Auguste z uśmiechem.

– Zatrudniła więc sprzedawcę? – drążył Julius. – Cóż, dlaczegoż by nie. Pani Jordan wydaje się sprytną i przedsiębiorczą osobą. I ten młody sprzedawca na pewno zna się na rzeczy.

Zamilkł, ponieważ Auguste wybuchnęła sarkastycznym śmiechem.

– Na pewno zna się na rzeczy – powiedziała, mrugając. – A czego on nie wie, to na pewno ona go nauczy, ta nasza Jordan... Robi wrażenie całkiem pojętego.

Julius zmarszczył brwi, bo fakt, że Maria Jordan nawiązała romans z pracownikiem, krzyżował jego własne plany.

– A jak on wygląda? – pytała zaciekawiona Hanna. – Czy jest młodszy od niej?

– Młodszy? – zachichotała Auguste. – On jest ze dwa razy młodszy. Szczupły chłopak z odstającymi uszami i ogromnymi, niebieskimi jak woda oczami. Dopiero co wyszedł ze szkoły i od razu wpadł do gara tej wiedźmy.

Gertie położyła wytarte do sucha sztućce na stole obok Else i zaczęła wkładać stos talerzy do szafki. Głowa Else niemalże ześlizgnęła się z jej dłoni wprost na rozłożone widelce i noże, ale kobieta w samą porę się ocknęła i zajęła się wkładaniem sztućców do szuflady.

– Widziałam go – powiedziała Gertie, układając talerze w szafce.

– Ty?

– Oczywiście. Kupowałam tam wczoraj kawę i galaretkę figową.

– Ach tak?

Gertie uśmiechnęła się wesoło i zachowywała się tak, jakby nie usłyszała złośliwej uwagi Auguste. Nie znosiła Auguste. Ta kobieta była wredną żmiją i do tego miała niewyparzony język. Maria Jordan też nie przypadła Gertie do gustu, ale na szczęście już dawno odeszła z posiadłości.

– Nazywa się Christian – dodała. – I naprawdę dobrze się na tym zna. To miły, pracowity chłopak, nie wierzę, że coś go łączy z Marią Jordan. Ale coś innego jeszcze jest w tym sklepie zabawne.

– Zabawne? – zapytał Julius, marszcząc czoło. – Cóż, początki są zawsze trudne. Czegóż zawsze brakuje tu i tam.

– Nie, nie – odparła Gertie. – Sklep jest ładnie udekorowany i urządzony, wszystko na swoim miejscu, tak jak się należy. Tylko... są tam drzwi.

Gertie przysunęła sobie krzesło i usiadła z innymi przy stole. Wszyscy patrzyli na nią z zaciekawieni.

– Drzwi? Dlaczego miałyby tam nie być drzwi? – spytała zdezorientowana Fanny Brunnenmayer.

– Więc... – zaczęła niepewnie Gertie. – To jest właśnie zabawne. Bo weszła przez nie pewna dama. Starsza kobieta. Z całą pewnością bardzo bogata, bo na zewnątrz czekał na nią szofer.

Z niedowierzaniem spojrzeli na siebie, tylko Auguste sprawiała wrażenie, jakby już wiedziała.

– Tylny pokój, co?

Gertie przytaknęła. Zapytała Christiana, co znajduje się za tymi drzwiami, a on poczerwieniał i zaczął coś kręcić.

– Powiedział, że tam odbywają się rozmowy.

– No patrzcie ją – mruknęła Fanny Brunnenmayer.

– To było przecież do przewidzenia – skomentowała Auguste.

Również Else sprawiała wrażenie, że ją to nie dziwi, ale milczała. Tylko Hanna i Julius za nic nie mogli zrozumieć, o co chodzi.

– Ona stawia karty, ta przebiegła baba – oznajmiła Auguste. – Tak właśnie sądziłam. Sklep ze smakołykami to tylko przykrywka – w rzeczywistości pracuje jako wróżka w pokoju na tyłach sklepu. Och, ta diablica. Zawsze wiedziałam, że jest kuta na cztery nogi.

– Góruje więc teraz nad nami wszystkimi! – powiedziała Fanny Brunnenmayer i uśmiechnęła się dobrodusznie. – Pewnego dnia będzie bogata jak Fugger⁷ i pół miasta będzie należało do niej!

– Tego jeszcze tylko brakowało – mruknęła Auguste i wstała. – Czas wracać do domu. Gustl na mnie czeka.

– Chcesz wziąć trochę cukrowych ciasteczek dla maluchów? – zapytała kucharka. – Zostało jeszcze trochę z wczoraj.

– Nie, dziękuję. Sama upiekłam.

– To nie zatrzymuję dłużej – powiedziała Fanny Brunnenmayer z ulgą.

Gdy Julius zamknął drzwi za wychodzącą Auguste, Else zdecydowała, że również pójdzie do swojego pokoju. Hanna także zaczęła ziewać. Zostało jej niewiele godzin snu, a od rana znów będzie siedzieć całe godziny przy maszynie do szycia.

– Chciałbym jeszcze coś z wami omówić – odezwał się Julius. – To jest coś, co nie dotyczy Auguste, więc czekałem, aż wyjdzie.

– A co ja mam z tym wspólnego? – zapytała Hanna, która chciała już pójść do łóżka.

– Tylko częściowo...

– No zostań jeszcze chwilę, Hanno – poprosiła kucharka. – A ty, Julius, przechodź szybko do rzeczy i mów krótko o tej twojej hecy. Jesteśmy wszyscy zmęczeni.

Hanna, wzdychając, usiadła znów na krześle i podparła głowę rękami.

– Chodzi o pewne zdarzenia w tym domu, które mi się naprawdę nie podobają – zaczął Julius. – Dotyczą one guwernantki.

Ostatnie zdanie sprawiło, że skupiła się na nim uwaga wszystkich kobiet. Nawet Hanna opanowała zmęczenie.

– Ona nam wszystkim działa na nerwy.

– Mnie wczoraj kazała przynieść z pokoju łaskawej pani jej papier listowy – oznajmiła Gertie.

– A mnie powiedziała, że jestem głupią, niewykształconą dziewczuchą – poskarżyła się Hanna.

Julius słuchał tych narzekań i przytakiwał, jakby nie spodziewał się usłyszeć czegokolwiek innego.

– Ona przywłaszcza sobie władzę, która do niej nie należy – powiedział i rozejrzał się wokół. – Nie jestem w żadnym razie przewrażliwiony, ale jako kamerdyner nie mam obowiązku słuchać poleceń guwernantki. Poza tym wydaje mi się niewłaściwe, że mówi do mnie po imieniu.

– A czego oczekiwaliście? – odparła kucharka. – To przyjaciółka jednej z córek państwa, więc sobie pozwala na więcej. Mnie na pewno nie podskoczy. A gdyby kiedyś wpadła na pomysł, żeby wydawać mi polecenia, z lodowatym wyrazem twarzy odprowadzę ją z kwitkiem.

Nikt w to nie wątpił. Fanny Brunnenmayer miała na tyle silną pozycję

w willi, że nikt nie mógł jej zagrozić.

– Sprawa jest niestety bardziej złożona – dodał Julius. – Łaskawa pani Alicia ostatnio coraz częściej choruje i część swojej władzy oddała guwernantce. Wczoraj na przykład przyszła do mnie ta kobieta i zażądała, żebym ją zawiózł do miasta, bo musi załatwić kilka spraw. A przedwczoraj kontrolowała, w jaki sposób nakrywam stół dla gości. Coś takiego może robić gospodyni domu, nie guwernantka!

– Masz rację – potwierdziła Hanna. – Szkoda, że nie ma tutaj panny Schmalzler, ona dałaby jej do wiwatu!

– Oj, zrobiłaby to. – Kucharka uśmiechnęła się. – Wiadomo, Eleonore Schmalzler szybko zrobiłaby z tym porządek.

Gertie nie poznała legendarnej gospodyni, bardziej więc skupiała się na niepewnej przyszłości niż na starych, dobrych czasach.

– Zgadza się, Julius – powiedziała. – Ta kobieta przykleiła się do pani Alicii Melzer i dlatego na tak wiele sobie pozwala. Nie zauważyliście, że knuje intrygi przeciwko młodej pani Melzer?

– Przeciwko Marie Melzer? – krzyknęła Hanna i otworzyła szeroko oczy.

– Oczywiście! – potwierdziła Gertie. – Ostatnio była wielka kłótnia o obrazy z Francji...

– Zawsze tylko te obrazy! – westchnęła Hanna. – Ileż oni się będą o nie kłócić! Jakby płótna pokryte farbami były tego warte.

– W każdym razie – kontynuowała Gertie, patrząc przy tym na Juliusa – po kłótni guwernantka przyszła do pokoju pani Alicii i długo z nią rozmawiała.

Zawahała się, bo nie chciała przyznać, że podsłuchiwała pod drzwiami. Gdy jednak Julius zachęcił ją odpowiednim gestem, wyrażającym aprobatę, ciągnęła dalej:

– Mówiły o młodej pani Melzer mnóstwo okropnych rzeczy: że nie ma wykształcenia, że jej matka była rozwiązłą osobą, że lepiej by było, gdyby biedny Paul poszukał sobie lepszej żony.

– Kto to mówił? Łaskawa pani? – dopytywała się Fanny Brunnenmayer.

– Było raczej tak – Gertie musiała przez chwilę pomyśleć – że pani von Dobern ją do tego nakłaniała. Wiecie, że całkiem nieźle potrafi to robić. Zaczyna od tego, że przytakuje temu, co powiedziała łaskawa pani. A potem idzie odrobinę dalej. A gdy ryba połyka haczyk, jeszcze dorzuca do ognia. Aż osiągnie to, co sobie zamierzyła.

Julius stwierdził, że Gertie bardzo dobrze opisała ten mechanizm.

– Jeśli tak dalej pójdzie, to zupełnie sobie owinie wokół palca panią Melzer – stwierdził. – Jestem za tym, żeby przestrzegać pewnych reguł. Jest tutaj zatrudniona jako guwernantka i nie może odgrywać roli gospodyni. Państwo powinni wiedzieć, że nie akceptujemy tutaj tej osoby.

– I komu chcesz złożyć tę skargę? – zapytała sceptycznie kucharka. – Może pani Alicji Melzer? Albo Marie Melzer?

– Porozmawiam o tym z łaskawym panem.

Hanna westchnęła głęboko i powiedziała, że życzy mu powodzenia.

– On ma mnóstwo innych kłopotów, biedny łaskawy pan – powiedziała cicho. – Ma kłopoty ze swoim ramieniem. I pokłócił się z panem von Klippsteinem. Ale to nie jest najgorsze.

Wszyscy wiedzieli, co Hanna miała na myśli. Już trzecią noc z rzędu ktoś spał na sofie w pokoju młodej pani Melzer. Musieli więc naprawdę ostro się ze sobą pokłócić.

[Z](#) Chodzi o Jakuba Fuggera, przedsiębiorcę żyjącego na przełomie XV i XVI wieku, uważanego za jednego z najbogatszych ludzi swoich czasów.

Maj 1924

Moja Kochana Liso, która tak daleko od nas, na pięknym Pomorzu, cieszysz się pogodnym życiem na wsi, moja najukochańsza siostrze, za którą tak bardzo tęsknię...

Elisabeth z westchnieniem irytacji położyła dopiero co otwarty list na kolanach. Żaden człowiek na Ziemi poza jej siostrą Kitty nie wymyśliłby tak wylewnego pozdrowienia. Coś musiało się za tym kryć, znała Kitty na tyle dobrze, by to wiedzieć.

Jak Ci się wiedzie? Piszesz tak rzadko, a jeśli już, to co najwyżej do mamy. Paul też już to zauważył i oczywiście również moja ukochana Marie. Jaka szkoda, że Pomorze jest tak daleko od Augsburga, w przeciwnym razie już z tysiąc razy wpadłabym do Ciebie na kawę i na poranne ploteczki...

Tego by mi tylko jeszcze brakowało, myślała Lisa. Jakby już nie miała dość zmartwień. Chwała za to, że Augsburg znajduje się tak daleko od gospodarstwa Maydornów na Pomorzu!

Tutaj w Augsburgu w międzyczasie zaszły się wielkie rzeczy! Wyobraź sobie: mój drogi Gérard odnalazł trzydzieści obrazów namalowanych przez matkę Marie. Pamiętasz oczywiście, że Luise Hofgartner była znaną malarką. Żyła w Paryżu i właśnie tam entuzjastyczny wielbiciel jej talentu, niejaki Samuel Cohn-d'Oré, nabył jej prace. Po jego śmierci zostały one wystawione na sprzedaż i jak się pewnie domyślasz, nie wahałam się, żeby je kupić. Tego rodzaju zbiór niezwykle rzadko pojawia się na rynku sztuki, ma dużą wartość i na pewno opłaca się jako inwestycja.

Ponieważ moje środki są ograniczone, poprosiłam Gérarda, żeby pożyczył mi pieniądze, co on oczywiście uczynił. Daję jednak teraz mojej rodzinie i najbliższym przyjaciołom możliwość nabycia dla siebie części tej kolekcji. Inwestowanie w obrazy jest bardzo opłacalne, gdyż bez wątplenia będą zyskiwać na wartości. Zaplanowaliśmy już wystawy w Augsburgu, Monachium i Paryżu, a przychody z pokazu oczywiście zostaną podzielone między współwłaścicieli kolekcji.

Już od sumy pięciuset marek w papierach wartościowych możesz się przyłączyć. Górnej granicy tej kwoty oczywiście nie ma. Bądź tak miła i przekaz też ten list ciotce Elvirze, ona również należy do kręgu wybrańców,

którym – pod pieczęcią tajności – składam tę propozycję.

Lisa czytała ten fragment dwukrotnie, ale nie była pewna, o co w nim naprawdę chodzi. Wiedziała natomiast jedno: Kitty potrzebowała pieniędzy. Pięćset marek w papierach wartościowych – to była całkiem pokaźna suma. I na co? Wydawało się, że kupiła obrazy niejakej Luise Hofgartner, zmarłej matki Marie.

Do Lisy powróciły nieprzyjemne wspomnienia. Czyż nie mówiono, że tata odwiedzał tę kobietę w starej części miasta? Gorzej jeszcze, jej ojca uczyniono odpowiedzialnym za śmierć Luise Hofgartner. Chciał od niej wydostać plany konstrukcyjne zmarłego Jakoba Burkarda. A gdy odmówiła, postarał się o to, żeby nie mogła już zarobić żadnych pieniędzy. Zmarła na jakąś tam chorobę, bo zimą nie była w stanie ogrzać swojego mieszkania. Biedny tata, musiał tak głęboko w sobie odczuwać tę winę, że prawdopodobnie dlatego dostał ataku serca. Nie, Lisa nie miała najmniejszej ochoty kupować prac tej kobiety. Nawet za pięćset marek. Co właściwie myślała sobie Kitty, że gęsi na Pomorzu znoszą złote jajka?

Przesunęła wzrokiem po dalszej części listu, która zawierała wiele mało istotnych wiadomości. Mama często miewała migreny, Paul zapracowywał się w fabryce, bo interes się rozwijał, Marie szczyliła się już pokaźną listą klientów oczekujących na realizację swoich zamówień. Henny rozpoczęła lekcje gry na fortepianie u pani Ginsberg. Kogo to właściwie interesowało? Lisa złożyła kartki i wsunęła je z powrotem do koperty. Przez okno wpadały do salonu promienie majowego słońca, odbijając się na wypolerowanym miedzianym dzbanku, który stał na kominku, i tworząc jasne punkciki na ciemnej tapecie. Na zewnątrz było słychać stukot końskich kopyt, Joschik wyprowadzał ze stajni tego brązowego konia, Czyngis-chana. Wałach był właśnie siodłany dla Klause, który chciał na nim pojechać, żeby zobaczyć, jak rośnie żyto. Niedawno dzikie świnie wyrządziły spore szkody na polach, te wstrętne szkodniki mnożyły się tej wiosny wyjątkowo intensywnie. Patrzyła, jak jej mąż wspina się na siodło i przejmuje cugle od Joschika. Klaus był wybornym jeźdźcem, chociaż nie nosił już munduru porucznika, tworzył wraz z koniem zgraną jedność. Okropne rany na jego twarzy zagoiły się też na tyle, że choć co prawda nie odzyskał dawnego pięknego wyglądu, jego widok nie budził już przerażenia.

Na razie pozwolił Czyngis-chanowi na powolny stęp, ale na pewno puści go w radosnym galopie, gdy tylko wyjadą z podwórza. Joschik stał wciąż w miejscu, wsparł ręce na biodrach i patrzył w słońce. W posiadłości Maydornów panował kruchy spokój. Klaus prosił o wybaczenie za swoje faux

pas, którego się dopuścił w Boże Narodzenie, twierdził, że to kwestie czysto cielesne, przysięgał na wszystkie świętości, że nie wchodził w grę żaden rodzaj głębszego uczucia. Chcąc udowodnić swoją skrucę, zwolnił natychmiast tamtą dziewczynę, Pauline, i zatrudnił inną. Ciotka Elvira zadbała, żeby następczyni nie dysponowała żadnymi walorami fizycznymi. Zdaniem ciotki było to wystarczające zadośćuczynienie i małżeński mir został przywrócony.

Elisabeth sugerowała Sebastianowi na różne sposoby, jak bardzo była nieszczęśliwa i jak bezwzględnie potrzebowała jego pocieszenia. Reagował w sposób werbalny, mówił, jak bardzo jej współczuje, i zapewniał, że nie jest w stanie zrozumieć, jak mężczyzna może zachować się w tak niegodny sposób. Po wszystkim, co zrobiła dla swojego męża, zdrada była szczytem niewdzięczności.

– Dlaczego pozwala pani na coś takiego, Elisabeth?

– A co, pana zdaniem, mam zrobić?

Westchnął głęboko i stwierdził, że on nie jest kimś, kto powinien udzielać jej rad. Wszelkie jej próby, żeby Sebastian pocieszył ją także cieleśnie, spełzły na niczym. Chociaż była zupełnie pewna, że Sebastian Winkler pożąda jej jak szalony, potrafił nad tą żądzą zapanować. Nawet gdy przyszła do niego późną nocą w neglizju, nie skłoniła tego cnotliwego typu do zrobienia czegokolwiek.

Czego oczekiwał? Że się rozwiedzie? Że zostanie jego żoną? I z czego mieliby niby żyć? Z jego marnej pensji nauczyciela, jeśli otrzyma taką posadę? Och, ona też miała ambitne plany, gdy tata jeszcze żył. Chciała zostać nauczycielką, uczyć wiejskie dzieci i prowadzić skromne życie w ubóstwie. Te marzenia rozwiały się. Tutaj w gospodarstwie była panią i podobało się jej to. A Klaus von Hagemann był wręcz urodzonym posiadaczem ziemskim. Brakowało jej tylko jego – Sebastiana. Jego miłości. I chciała nie tylko słów i spojrzeń. Chciała go poczuć. Całym ciałem. I była pewna, że on też tego chce.

W zamyśleniu spojrzała raz jeszcze na list i znalazła w nim teraz sporo nieścistości. Dlaczego na przykład Marie sama nie kupiła obrazów swojej matki. Musiała przecież dobrze zarabiać w atelier. Bez zgody męża nie mogła pewnie wydać tak dużej kwoty. Nie mogła zarządzać zgodnie ze swoją wolą zarobionymi pieniędzmi, musiała pytać męża. To było bezdyskusyjne. Czy więc Paul odmówił kupienia obrazów? To było całkiem możliwe. Mama robiła w listach tylko drobne uwagi na ten temat, ale wydawało się, że między

jej bratem i jego żoną Marie dochodziło do licznych kłótni. Zwłaszcza odkąd Marie otworzyła atelier. Elisabeth musiała przyznać, że nie była szczególnie smutna z tego powodu. Przeciwnie. Cieszyło ją to. Dlaczego ona miała być jedyną, która cierpiała na skutek nieszczęśliwej miłości? A teraz Paula i Marie, których szczęście do tej pory nie zostało wystawione na próbę, los również nie oszczędzał. Była jeszcze sprawiedliwość na tym świecie.

Humor jej się poprawił. Może powinna włożyć w swoje starania jeszcze więcej uporu, kiedyś wreszcie osiągnie swój cel. Było wczesne popołudnie, a na zewnątrz wymarzona majowa pogoda. Drzewa owocowe kwitły białą i różową, na drzewach lśniła świeża zieleń, a zasiane ziarna wykiełkowały wysoko. Nie mówiąc już o łąkach, trawa sięgała jej prawie do pasa, trzeba będzie najpóźniej z początkiem czerwca zacząć sianokosy.

Ciotka Elvira pojechała z Riccardą von Hagemann do Grosiewa na zakupy. Chciały też odwiedzić Eleonore Schmalzler, która tam mieszkała razem z rodziną swojego brata. Miały wrócić dopiero wieczorem. Christian von Hagemann uzbroidł się w gazetę i poszedł do ogrodu, gdzie najpewniej zasnął na jednym z leżaków. Może więc powinna pójść teraz do biblioteki i namówić Sebastiana na mały spacer? Wzdłuż strumienia na skraju lasu, ścieżką prowadzącą przez łąkę przy starej chatce – tam można by chwilę odpocząć, grzejąc się w słońcu na ławeczce – a potem drogą z powrotem do posiadłości. Trawa była tam wystarczająco wysoka, żeby, jeśli wpadną na pomysł, by sobie usiąść czy może nawet położyć się na ziemi, nikt ich nie zobaczył.

– Spacer? – zapytał, unosząc głowę znad książki.

Myliła się czy faktycznie patrzył na nią z wyrzutem? Nie była pewna.

– Jest przepiękna pogoda. Nie powinien pan ciągle siedzieć tutaj na górze między książkami, Sebastianie.

W istocie wyglądał blado. Czy nie schudł ostatnio? Może się jej tylko wydawało, bo patrzył na nią w ten dziwny sposób?

– Ma pani rację, Elisabeth. Nie powinienem przez cały czas siedzieć wśród tych wszystkich książek.

Mówił wolniej niż zwykle. Miała jednak przeczucie, że wszystko potoczy się teraz błyskawicznie. Znów wydawało się, że jest w jednym z tych niepokojących nastrojów, które go dręczyły ostatnimi czasy.

– Niech pan włoży grubsze buty, droga skrajem lasu jest wciąż mokrawa. Czekam na pana przy bramie.

Uśmiechnęła się do niego zachęcająco i gdy już była przy drzwiach, on

nagle zawołał:

– Elisabeth! Niech pani poczeka, proszę.

Ze złym przeczuciem odwróciła się do niego. Wstał i wygładzał kurtkę, wyglądał, jakby naprawdę chciał wygłosić jakąś mowę.

– O co... o co chodzi?

– Zdecydowałem, że rezygnuję z posady.

Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Stała i patrzyła na niego z niedowierzaniem. Czekwała na jakieś wyjaśnienia, ale on milczał.

– To jest... bardzo zaskakujące.

Więcej nie potrafiła wykrztusić. Powoli docierało do niej, że on odejdzie. Straciła go. Sebastian Winkler nie był mężczyzną, z którym przez długi czas mogła uprawiać tę grę. Chciał ją tylko dla siebie albo wcale.

– Nie było mi łatwo podjąć tę decyzję – powiedział. – Proszę, niech mi pani da jeszcze tydzień. Muszę dokończyć pracę i czekam na wiadomość z Norymbergi, gdzie zameldowałem się u krewnych.

Teraz, gdy przekazał jej swoje postanowienie, wydawało się, że poczuł się znacznie lepiej, zaczął nawet trochę żartować.

– Nie mogłem dłużej patrzeć w lustro, Elisabeth. To, co z niego na mnie spoglądało, to już nie byłem ja. To był pasożyt, kłamca, lizus. Człowiek, który stracił dla siebie wszelki szacunek. Jak mogłem, będąc w takim stanie, oczekiwać, że pani będzie mnie szanować? O nie! Ta decyzja ratuje nie tylko moje życie, ale i moją miłość.

Co on wygadywał? Elisabeth oparła się o futrynę drzwi i czuła, że patrzy w przepastną, ciemną otchłań. Pustkę. Samotność. Dopiero teraz zrozumiała, że jego obecność tutaj, w gospodarstwie Maydornów, była dla niej jak eliksir życia. To kłujące podniecenie, gdy szła do niego do biblioteki. Te fantazje snute w nocy, że on też właśnie się obudził i jej pragnie. Myśli o niej. Te wszystkie rozmowy, spojrzenia, nieśmiały dotyk. Ten raz, jedyny raz, gdy wziął ją w ramiona i pocałował. To było w Boże Narodzenie. A teraz odejdzie. W przyszłym tygodniu będzie stała w tym pomieszczeniu i patrzyła na jego puste krzesło. Na nieużywany już stół, na którym zbierze się kurz.

Wzięła się w garść. Jeśli sądził, że będzie go prosić, żeby został, grubo się mylił. Ona też ma swój honor.

– Cóż – odparła i musiała odchrząknąć. – Jeśli tak pan zdecydował, nie mogę pana zatrzymać siłą. Nawet jeśli ja...

Przerwała, bo patrzył na nią przenikliwym wzrokiem. Liczył na miłosne wyznanie? Właśnie teraz, gdy chciał się stąd wynieść? Czy jego odejście miało to na niej wymusić?

– Nawet jeśli bardzo żałuję, że pana stracę.

Milczeli przez chwilę. To, co niewypowiedziane, zajmowało całą przestrzeń pokoju, oboje to czuli i oboje czekali na zbawienne słowa, ale takie nie padły.

– Bardzo mi przykro – powiedział cicho. – Ale moją pracę tutaj już dawno wykonałem. I nie mogę się godzić na otrzymywanie niezasłużonych pieniędzy.

Przytaknęła. Oczywiście przyznała mu rację. W istocie nie miał tutaj nic więcej do zrobienia.

– Dzieci ze szkoły będą za panem tęsknić.

– Tak, przykro mi z tego powodu.

Ach tak, pomyślała gorzko. Martwił się o smarkaczy, których mógłby czegoś jeszcze nauczyć. Pożegnanie ze mną natomiast mniej go porusza. Dobrze wiedzieć. W takim razie nie będzie musiała go opłakiwać. To był odruch obronny, wiedziała o tym. Oczywiście, że będzie go opłakiwać. Będzie go opłakiwać jak wariatka.

– Tak więc... nie będę już panu więcej przeszkadzać. Powiedział pan, że chce dokończyć swoją pracę.

Zrobił gest, którym mówił, że to już właściwie nieważne. Nie zareagowała.

– Wyliczę dziś wieczorem ostatnią wypłatę dla pana.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Musiała teraz być silna. Nie mogła wrócić i powiedzieć mu, że bez niego nie może żyć. Powoli, ciężko stawiając stopy na schodach, usiadła na chwilę, żeby opanować pierwszą falę paniki. Kiedy stała na kolejnym stopniu, wiedziała, że on słucha jej kroków. Gdy zeszła na dół, na korytarz, drżały jej nogi. Filiżanka kawy – tylko o niej mogła myśleć. Potrzebowała teraz jakiegoś wzmocnienia. Otworzyła drzwi do kuchni i stwierdziła, że nie było w niej ani kucharki, ani jej pomocnicy. Oczywiście – Riccarda von Hagemann wyszła z domu, więc myszy harcowały. Prawdopodobnie poszły do stodoły do polskich pracowników sezonowych. Nie mogły nawet poczekać, aż siano zostanie zebrane. Ach te kobiety.

Dobrze, że na piecu stał blaszany dzbanek z resztką letniej kawy. Nalała ją do filiżanki, dopełniła mlekiem i wsypała solidną porcję cukru. Pfu – ile

fusów, tę kawę równie dobrze można by żuć. Mimo to zadziałała na nią ożywczo.

Usiadła z westchnieniem przy kuchennym piecu i myślała o tym, że zostało jej jeszcze gospodarstwo. I do tego mąż, który od świąt Bożego Narodzenia był dla niej miłym i oddanym życiowym partnerem. Od czasu jego faux pas nie oddawała mu się, ale on mimo to bardzo się starał. Tak, musiała przyznać, że Klaus w czasie całego ich małżeństwa nie był tak czuły. Czy był to znak od losu? Czy nie powinna stać u jego boku jako wierna żona i zapomnieć o tym, że kiedyś wierzyła w wielką miłość?

Spojrzała w zamyśleniu przez okno. Widziała stąd ogródek z ziołami, który był wielką dumą Riccardy. Szczypiorek i ogórecznik lekarski zieleniły się już na grządce, pietruszka była jeszcze nieco nędzna, ale za to kwitły krzaczkę czerwonej porzeczki rosnące wzdłuż ogrodzenia.

– Czy ja to wiem – mówił kobiecie głos z niezbyt dużej odległości. – Mój brat ma przecież podwórze obok...

– Twój brat?

To upewniał się Joschik. Kobieta musiała być kucharka. Oboje siedzieli pod płotem ogrodu i nie zauważyli, że ktoś był w kuchni. Elisabeth niezbyt interesowały wiejskie plotki, ale rozpraszały one przynajmniej chwilowo jej rozpacz.

– Ten starszy Martin. Ożenił się w Malzow trzy lata temu. On mi o tym opowiedział. Jest tam co drugi dzień. Przynosi prezenty, także dla rodziców. Przynosi jej perfumy. I nowe buty. Jedwabne koszule.

– Przecież on kłamie.

– Martin nie kłamie. I Else, jego żona, też widziała, jak jest. Widziała koszule wiszące na sznurku z praniem.

– Zamilcz już może wreszcie.

– Myślisz, że jestem głupia? Ale to i tak się wyda. Najpóźniej, gdy urodzi się dziecko.

Elisabeth poczuła, że jej puls przyśpiesza. Czy nie była już świadkiem podobnej rozmowy? Nie tutaj na Pomorzu, ale kiedyś w willi w Augsburgu?

Usłyszała nagle siarczyste przekleństwo. To zaklął Joschik.

– Dziecko, mówisz? Ale to przecież wyjdzie na jaw...

– Czemu się tak denerwujesz? Żona nie dała mu żadnego, więc to całkiem

normalne, że będzie mieć potomstwo gdzie indziej. To nie byłby pierwszy raz, gdyby to dziecko stało się panem posiadłości.

– Taki to pewnie... krowie spod ogona wyskoczył!

Oboje zachichotali i Joschik dodał, że Paulina jest krzepką kobietą i znacznie bardziej nadaje się na panią gospodarstwa niż ta delikatna paniusia z Augsburga. Ona tylko siedzi na górze u swojego nauczyciela Winklera i na uprawie ziemi zna się tyle, co krowa na rachunkach.

– Dziwne się rzeczy dzieją w tej posiadłości – westchnęła kucharka. – Ale mnie nic do tego. Ja mam swoją pracę i basta!

Coś wylało się obok Elisabeth na wykafelkowaną podłogę, kolorowe naczynie potłukło się na kawałki, a jasnobrązowa kawa zabrudziła jej buty i spódnicę. Dopiero teraz się zorientowała, że kubek wypadł jej z ręki. Doznała nagle uczucia, jakby straciła równowagę, jej mózg był pusty, wszystko wydawało się zimne, lodowate, jakby nagle wróciła zima. Jej ciało było puste w środku. Jakby gdzieś leciała.

Drzwi do kuchni wydawały się same otwierać, korytarz, wejście do domu. Trzy stopnie schodów prowadzące na dziedziniec. Zdumione spojrzenia dwojga ludzi, którzy stali przy ogrodzeniu. Wróble ćwierkały na dachu, zięba pukała w drzewo dziobem, a przy wejściu do stodoły wygrzewał się na słońcu bury, prążkowany kocur, poruszający prawym uchem.

– Łaskawa pani, dobrze się pani czuje?

W istocie, miała wciąż uczucie, że płynie nad ziemią. Jej głowa też była zaskakująco pusta, co jednak nie dawało kucharce prawa do zadawania głupich pytań.

– Dlaczego tutaj sterczysz? Nie masz nic do roboty w kuchni?

Kobieta dygnęła niezgrabnie i mruknęła coś, co brzmiało jak „zaczerpnąć świeżego powietrza”.

– Joschik! Osiodłaj mi klacz.

– Ale Soljanke wzięły wcześniej panie...

– To jakąś inną. No już, już!

Nie pytał o nic więcej i pobiegł, żeby przyprowadzić z pastwiska jakąś klacz. Elisabeth rzadko jeździła, a gdy już to robiła, wybierała delikatne, spokojne zwierzę.

Stała przy płocie do ogrodu i czekała. W jej głowie kotłował się milion

myśli, które zupełnie nią zawładnęły. Chcę to zobaczyć na własne oczy. A jeśli to będzie prawda, wydrapię oczy tej kobiecie. Jedwabne koszule na sznurze z praniem. Trzepoczące nad gnojówką i innymi brudnymi paskudztwami znajdującymi się w gospodarstwie. Powiedziała Malzow. To nie było daleko stąd. Powozem jakieś pół godziny. Jeździec zrobi tę trasę w dziesięć minut, a tak doskonały jeździec jak Klaus... Zorientowała się nagle, że chichocze, i wzięła się w garść. Czy przy tym wszystkim straciła rozum?

– Jest trochę niespokojna – powiedział Joschik. – To tak na wiosnę. Ale poza tym jest bardzo posłuszne, nasza Cora.

Chciał jej pomóc przy wsiadaniu, ale potrząsnęła głową, więc się odsunął. Rudobrzowa Cora nie była tak wysoka jak inne konie, ale i tak Elisabeth z trudem wspięła się na siodło. Dzisiaj nie było to ważne, podobnie jak sceptyczne spojrzenie opiekuna koni. Powinien się z niej śmiać – czemu tak się uparła?

Klacz była bardzo energicznym stworzeniem, musiała więc mocno trzymać wodze, żeby nie gryzła świeżych zielonych gałęzi po prawej i lewej stronie drogi. Elisabeth w końcu zmusiła konia do lekkiego kłusa i jechała ścieżką prowadzącą do Gervin. Stopniowo, gdy nie musiała już kontrolować każdego ruchu zwierzęcia, wróciły do niej męczące myśli. Wciąż zatem ją zdradzał. Śmiał się jej w twarz, pytając, jak się czuje i czy mógłby coś dla niej zrobić, a potem jeździł zabawiać się w łóżku z jakąś chłopką. Jak to teraz wytłumaczy ciotka Elvira? Zachowanie zdrowego ciała i ćwiczenie sprawności fizycznej?

Zachichotała znów. Sprawność fizyczna. Jakie to dziwne, że inne kobiety zachodziły od tego w ciążę. Tylko nie ona. Nie nadawała się na żonę. Bo nie dawała mężczyznom tego, czego chcieli. Nie nadawała się na kochankę, bo nie potrafiła ich uwodzić. Straciła ich obu. Klause i Sebastiana. Tak naprawdę straciła ich dawno temu. A może nigdy ich nie miała? Była brzydka i brakowało jej uroku, brzydka starsza siostra zachwycającej Kitty. Dlaczego Klaus się z nią ożenił? Tylko dlatego, że nie dostał ukochanej Kitty. Dlaczego Sebastian przyjechał do posiadłości na Pomorzu? Tylko dlatego, że chytrze go tutaj sprowadziła. Ach, jeszcze kilka godzin temu poczuła satysfakcję z faktu, że w małżeństwie Paula i Marie nie działa się dobrze. To było podłe i los natychmiast ją za to ukarał.

Klaczka dawno już znowu wypadła z rytmu, a ponieważ kobieta, która na niej jechała, była pogrążona w myślach, Cora zajęła się skubaniem trawy na skraju zielonej łąki. Elisabeth zmusiła ją do powrotu na ścieżkę, a potem

pomyślała, że z pewnością mądrzej byłoby jechać skrótem przez lasek. Tym sposobem dojedzie do wsi Malzow nie drogą, ale polną ścieżką, i łatwiej zaskoczy tam Klausa. Nie będzie trudno znaleźć wsi, musiała tylko pilnować konia. Klaczy nie trzeba było przekonywać, żeby jechała dróżką przez las, z własnej woli przeszła w kłus i zwolniła bieg dopiero na skraju lasu. Tam nie chciała już dalej jechać, bo wąska leśna dróżka wzbudziła w niej grozę.

– No chodź... Nic się przecież nie stanie. Nie bądź taka uparta.

Dwukrotnie próbowała skierować Corę na drogę, a ona dwukrotnie się spłoszyła i odskakiwała na bok, tak że Elisabeth z trudem utrzymała się w siodle. Wtedy zdarzyło się coś, co potrafiła zrozumieć dopiero jakiś czas później. Rudobrzęta strzała pomknęła przez drogę, klacz wpadła w dziką panikę, a jej posiadaczka straciła równowagę. Elisabeth widziała tylko z ogromną szybkością zbliżające się do niej korzenie drzewa, a potem nie czuła żadnego bólu, tylko wstrząs i głuchą ciemność. Gdy odzyskała przytomność, leżała na ziemi, a nad sobą widziała zielone dębowe gałęzie, przez które prześwitywało niebieskie niebo. Wiewiórka, grzebiąca obok w listowiu, które zostało jeszcze po zimie, pobiegła szybko po pniu drzewa i schowała się między gałęziami.

Mój koń!, przebiegło jej przez głowę.

Szybko usiadła i rozejrzała się wokoło, ale rudobrzętej klaczy nigdzie nie było widać. Gałęzie, niebo i pnie drzew zaczęły krążyć wokół niej z oszałamiającą prędkością i musiała się położyć, żeby znowu nie stracić przytomności. To nic takiego, pomyślała. Tylko się przestraszyłam. To zaraz minie, będę mogła wstać i poszukać Cory. Prawdopodobnie stoi gdzieś na łące i napycha brzuch ziołami. Rzeczywiście, atak minął. Tym razem usiadła powoli i ostrożnie, strząsnęła czarnego chrabąszcza z ramienia i chciała wstać, ale narastający ból w lewej kostce sprawił, że znowu musiała usiąść. Teraz zauważyła, że kostka była spuchnięta, prawdopodobnie skręcenie. Albo złamanie. O Boże, co ona miała teraz zrobić!

– Cora! Cora!

Gdzie się podziało to głupie zwierzę? Dlaczego nie została przy niej? Ach, stara, dobra Soljanka, ona na pewno by nie uciekła. Próbowała znowu stanąć na stopie, podpierając się dębową gałęzią, ale gdy tylko postawiła nogę, poczuła piekielny ból. I jak ta kostka napuchła! Nie trzeba się było przyglądać, żeby to dostrzec. Pewnie już nigdy nie wyjmie stopy z tego buta. Pomimo bólu przeszła kilka kroków w stronę łąki, żeby rozejrzeć się za koniem. Nigdzie go nie było. Nagle zdała sobie sprawę, w jak kiepskim

położeniu się znajdowała. Szansa, że ktoś przejedzie tędy choćby przypadkiem, była znikoma. Jeśli będzie miała pecha, spędzi tutaj resztę dnia, a w najgorszym razie całą noc. Nie, tak się nie stanie. W końcu zaczną jej szukać. Ale... myśl, że zostanie tutaj znaleziona przez Joschika albo przez Klausa, wcale się jej nie podobała. Lepiej będzie, jeśli nie zważając na zranioną kostkę, spróbuje wracać do domu. Przecież ranni żołnierze, gdy znajdowali się w kraju wroga, maszerowali dalej niezależnie od bólu i nawet ciężkich obrażeń.

To jednak nie był dobry pomysł. Uszła najwyżej pięćdziesiąt metrów, a ból stał się tak ostry, że łąki i las znów zaczęły wokół niej wirować i, dysząc, upadła na leśną drogę. To się po prostu nie uda. Teraz dopiero kostka naprawdę bolała, wydawało się, jakby nadgorliwy dzieciół wbijał raz za razem dziób w tę okropnie spuchniętą stopę.

Z bólu i rozpaczycy zaczęła płakać. Dlaczego to właśnie ona ma takiego pecha? Czy nie wystarczyło, że nikt nie mógł jej znieść, że jej mąż ją zdradzał, a ten, którego kochała, od niej uciekał? Nie, musiała jeszcze spaść z tej głupiej kobyły i się zranić. Ale się ośmieszyła. Już nawet słyszała, co będą o niej mówić: panusia z Augsburga, która nie potrafi jeździć konno. Wypadła z siodła. Chciała szpiegować swojego męża i wpakowała się przy tym w błoto. Myśląc o szyderczych słowach pracowników, coraz bardziej dała się przytłoczyć rozpaczycy. Wszystko, co na nią spadło w to pechowe popołudnie, wszystkie jej przekreślone nadzieje, rozczarowania, upokorzenia, wszystko to szukało dla siebie ujścia, wstrząsało jej ciałem, pozwalało się głośno i rozpaczliwie wykrzyknąć. Mogła sobie na to pozwolić, bo nikt jej tutaj nie słyszał.

– Elisabeth? Gdzie pani jest? Elisabeth!

Ogromny cień przesunął się przez wysoką trawę. Owady poderwały się do lotu, gdy koń głośno parsknął. Ledwie miała czas, żeby wytrzeć twarz ręką, gdy tuż przed nią pojawił się jak spod ziemi koński pysk. Krzyknęła głośno. Po chwili jeździec zsiadł ze swojej klaczy i klęknął obok niej.

– Och, tak się cieszę! Jest pani ranna? Coś sobie pani złamała?

– Już... już w porządku... To tylko stopa... – skrzywiła się.

Była cała rozgorączkowana od płaczu, a jej oczy i nos okropnie napuchnięte. O Boże, musiała wyglądać strasznie. Co Sebastian tutaj robił?

– Stopa? Ach, widzę już. Na szczęście nie jest złamana.

Dotknął jej kostki, która wydawała się wielka jak średnia dynia.

– Czuje coś pani?

– Nie, zupełnie nic. Tylko gdy na niej stoję.

Nigdy jeszcze nie widziała, by był tak zdenerwowany. Krople potu widniały na jego czole, oddychał ciężko, ale gdy ją zobaczył, uśmiechnął się radośnie i poczuł ulgę.

– Klacz wróciła z pustym siodłem na podwórze... Myślałem, że ze strachu stracę rozum. To moja wina, Elisabeth. Tak bezwzględnie obwieściłem pani swoją decyzję. To było egoistyczne i niegrzeczne z mojej strony. Nie pomyślałem o tym, jak bardzo tym panią skrzywdzę.

Słuchała jego wyznania i kilkakrotnie wycierała ręką twarz. Głupie obrzęki. Kiedy te opuchnięcia wreszcie znikną. Zwłaszcza że on cały czas na nią patrzył.

– Ja... nie wiedziałam, że potrafi pan jeździć konno – mruknęła.

– Ja też nie. W dzieciństwie kilka razy siedziałem na koniu, ale trudno to nazwać jazdą. Niech się pani na mnie oprze, pomogę pani usiąść w siodle.

– Nie jestem lekką kobietką – zażartowała.

– Wiem o tym – odpowiedział z powagą.

Miał zdecydowanie więcej siły, niż mogło się wydawać. Mimo obrażeń z czasów wojny nie miał żadnych problemów, żeby ją podnieść. Gdy włożyła zdrową stopę w strzemień, złapał ją mocno w talii, żeby ją podtrzymać, i pomógł jej, gdy z trudem siadała w siodle, dotykając przy tym tych części jej ciała, na które w normalnych okolicznościach nie ważył się nawet patrzeć. Zaskoczona umościła się w siodle i mruknęła nieśmiało „dziękuję”. Szedł obok niej, prowadząc konia za cugle. Od czasu do czasu odwracał się do niej, pytając, czy wszystko w porządku, czy ją boli i czy wytrzyma, zanim dotrą do gospodarstwa.

– Wszystko w porządku.

– Jest pani bardzo dzielna, Elisabeth. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Niemal zaczęła się z niego śmiać. Był tak szlachetny, tak uczciwy, tak pomocny. Dlaczego miałyby mu powiedzieć, że nie wsiadła na konia z jego powodu, tylko żeby wydrapać oczy kochance swojego męża? To by go rozczarowało. Sebastian wierzył niezachwianie w dobro w człowieku. Może dlatego kochała go tak mocno.

Na dziedzińcu stał już Joschik, żeby pomóc zsiąść z siodła łaskawej pani, a pokojówki krzątały się przy głównym wejściu, Elisabeth słyszała, jak

chichoczą.

– Posadzimy łaskawą panią na krzesło i potem wniesiemy schodami na górę. Jeden mężczyzna z każdego boku i to powinno wystarczyć – komenderował Joschik.

Czy spojrzała na Sebastiana aż tak błagalnie, czy działał po prostu impulsywnie? Kiedy zsiadła z klaczy, podszedł do niej i podał jej ramię. Zrobił to, o nic nie pytając, jakby wszystko było oczywiste.

– Mam nadzieję, że nie jest pani niewygodnie – zapytał nieco zmachany, gdy postawił ją w korytarzu przed wejściem na schody.

– Jest wspaniale... Tylko mam nadzieję, że nie jestem zbyt ciężka.

Przez wiejskie przysmaki bynajmniej nie schudła.

– Absolutnie nie...

Wspinał się z nią powoli po schodach, zatrzymując się na chwilę, żeby odpocząć i złapać oddech. A potem szedł dalej. Oddychał wprawdzie ciężko, ale uśmiechał się i szeptał do niej, że nie musi się martwić. Od wczesnego dzieciństwa przywykł do noszenia ciężarów. Pewnie wciągał wtedy worki z ziemniakami do piwnicy. Nic nie mówiła i cieszyła się, że ją niesie. Ależ był silny. Jaki surowy dla samego siebie. I jak mocno potrafił ją chwycić.

Otworzyła drzwi do swojego pokoju. Nie była to małżeńska sypialnia, której unikała od miesięcy, tylko małe pomieszczenie, które służyło wcześniej za pokój gościnny. Wniósł ją do środka i położył ostrożnie na łóżku.

– Niech pan usiądzie – błagała go. – Musi pan być zupełnie wyczerpany.

Rzeczywiście był. Usiadł na brzegu łóżka, wyciągnął chustkę, zdjął okulary i wytarł twarz z potu.

– Nie sądziłam, że jest pan tak silny.

– Są rzeczy, których pani o mnie nie wie, Elisabeth.

– Cóż – podjęła temat. – Dzisiaj się wiele o panu dowiedziałam.

Natychmiast przepełniło go poczucie winy.

– Dowiedziała się pani, że jestem lekkomyślnym człowiekiem – powiedział skruszony. – Ale przysięgam pani, Elisabeth...

Potrząsnęła głową.

– Sądzę raczej, że zachował się pan jak tchórz.

Mocno go to dotknęło, patrzył na nią przerażony i chciał zaprzeczyć, lecz ona nie pozwoliła mu dojść do słowa.

– Bał się pan, że się pan ośmieszysz, Sebastianie. Strach przed naruszeniem zasad, które już nie mają żadnego znaczenia. Lepiej od tego uciec i zostawić mnie samą w mojej rozpaczce.

Teraz przemawiał już przez nią również gniew. Patrzyła w jego szeroko otwarte oczy, czuła, jak go dotykają jej słowa, i dawała upust swoim uczuciom.

– Czy w ogóle jest pan mężczyzną? Czy jakikolwiek ogień płynie w pana żyłach? Odwaga do wielkich czynów? Ach, nawet nigdy się pan nie odważył mnie... mnie...

Szlochała. O Boże, jak głupio się teraz zachowywała. Ale nie wiedziała już niczego poza tym, że za nim tęskni.

– Czy jestem mężczyzną – wyszeptał, nachylając się do niej – o to mnie pytasz?

Nie odpowiedziała. Zobaczyła tylko, że wstaje i podchodzi do drzwi. Myślała, że chce opuścić pokój, oburzony jej aż nazbyt jasną sugestią. Tymczasem on przekręcił tylko klucz w zamku.

– Zwyciężyłaś, Elisabeth. Jestem mężczyzną, a jeśli rzucasz mi wyzwanie, to ci to udowodnię.

To był najwyraźniej dzień niezwykłych czynów i wydarzeń. Dzień cudów. Elisabeth, która sądziła, że zawsze jest krzywdzona przez los, dzisiaj dostanie to, czego tak bardzo pragnęła. Dostała nawet więcej, niż się spodziewała, bo był urażony jej zwycięstwem i pozwolił jej poczuć swój gniew. Ale było to też cudowne, przeszło przez nią jak burza wczesną wiosną. Okropne przebudzenie nastąpiło dopiero następnego dnia.

15

Oczywiście, że zostało to omówione z panią Melzer! – powiedziała oburzona Kitty.

Serafina von Dobern stała przy wejściu u podnóża schodów i patrzyła na nią chłodno i podejrzliwie. Miała w sobie coś z sowy śnieżnej albo królowej śniegu, pomyślała Kitty. Kobiety o sercu z lodu, która nie chciała oddać małego chłopca. Kto napisał tę historię? Ach, Hans Christian Andersen.

– W takim razie dziwi mnie, że ja nic o tym nie wiem.

– Tego to ja też nie potrafię pani wyjaśnić – odpowiedziała zniecierpliwiona Kitty. – Gertie, sprowadź dzieci na dół. Spędzą popołudnie u mnie. Dam im lekcje rysunku.

Gertie czekała w gotowości w drzwiach kuchennych, teraz przytaknęła tylko i już chciała biec schodami na górę.

– Czekaj, Gertie. Dzieci odrabiają prace domowe, dopóki nie skończą, nie mogę ich puścić.

Kitty wpatrywała się w bladą twarz Serafiny von Dobern. Niewiarygodne, ta kobieta się jej sprzeciwiała. Tutaj w willi, jej domu rodzinnym, myślała, że wprowadzi swoje zasady.

– To, co pani może lub czego pani nie może, jest mi obojętne, droga pani von Dobern – powiedziała Kitty, z trudem nad sobą panując. – Zabieram teraz Lea i Dodo na Frauentorstraße. Gertie, sprowadź dzieci na dół!

Gertie oceniła krótko, kto jest na silniejszej pozycji, i postawiła na panią Kitty Bräuer. Także dlatego, że z całego serca nienawidziła guwernantki. Pobiegnęła szybko na górę.

– Bardzo mi przykro, ale w takiej sytuacji muszę się upewnić. – Pani von Dobern również skierowała się na schody.

Kitty poczekała, aż będzie w połowie kondygnacji, i krzyknęła do niej:

– Z pewnością nie jest to dobry pomysł, żeby zakłócać poobiedni sen mojej matki z powodu takiego drobiazgu!

Guwernantka zatrzymała się i odwróciła do niej. Jej uśmiech wskazywał, że zwycięstwo miała w kieszeni.

– Niech się pani nie martwi, pani Bräuer. Nie będę budzić pani matki. Mam

zamiar zadzwonić do pana Melzera do fabryki.

Chciała zadzwonić do Paula, ta przebiegła kobieta. Oczywiście przypomni mu także, że na Frauentorstraße pani Ginsberg udziela lekcji gry na fortepianie. Resztę Paul sobie dośpiewa. Paul nie był głupi.

– Proszę, niech pani robi to, czego pani nie kazano – powiedziała Kitty z obojętną miną. – Hej! Leo! Dodo! Gdzie jesteście? Henny czeka na was w samochodzie!

– Już idziemy!

Och ten Leo, zbiegał po schodach z nutami pod pachą tuż obok guwernantki. Tylko przytomności umysłu Dodo zawdzięczał, że guwernantka nie wyrwała mu cennych kartek. Dodo wbiegła szybko między panią von Dobern i Lea, a jej brat dzięki temu śmiałym susem pokonał resztę schodów i pobiegł prosto do Kitty.

– Nie jestem gotowa, żeby brać udział w pani intrygach, pani Bräuer – powiedziała z wściekłością. – Pan Melzer nie życzy sobie, żeby Leo brał lekcje gry u pani Ginsberg. To pani wie. Pani zachowanie nie tylko mnie sprawia kłopot, ale zachęca także chłopca do postępowania wbrew woli ojca. Co pani chce przez to osiągnąć?

Kitty musiała przyznać, że Serafina nie była zupełnie w błędzie. Ale dlatego właśnie jeszcze długo nie przyzna jej racji.

– Udzielam dzieciom lekcji rysunku – odparła gniewnie. – To może pani mojemu bratu przekazać, jeśli uważa to pani za konieczne.

Guwernantka ze złości miała teraz czerwone policzki, co znacznie bardziej jej pasowało niż przeraźliwie blada twarz, którą miała zazwyczaj. Uniosła podbródek i powiedziała, że odbierze dzieci za dwie godziny z Frauentorstraße.

– Nie ma potrzeby. Zostaną odebrane.

– Przez kogo?

Tego już było za wiele. Kitty miała ogromną ochotę rzucić w tę irytującą kobietę jednym z tych pięknych wazonów miśnieńskich, które stały na komodzie przed lustrem.

– To nie pani sprawa! – rzuciła krótko Kitty, łapiąc za ręce Lea i Dodo i szybko wychodząc z willi.

– To będzie miało swoje konsekwencje! – krzyknęła za nimi guwernantka.

Kitty milczała, żeby nie niepokoić dzieci, ale gotowała się ze złości. Co za zarozumiała krowa! Typowe – Lisa szczególnie silnie przyciągała do siebie takie sekutnice. Wszystkie jej przyjaciółki takie były. Kiedyś było inaczej, mówiły sobie nawet na ty. Ale to było dawno temu.

– Mamo, jedziesz tak jakoś, że jestem przerażona! – poskarżyła się Henny.

Dzieci siedziały z tyłu, Henny w środku. W lusterku Kitty zobaczyła oburzoną twarz swojej córki, okoloną burzą blond loków. Aniołek to dziecko. W szkole wszyscy chłopcy leżeli u jej stóp. Co skutecznie wykorzystywała jej mała Henny. Mama kiedyś powiedziała, że Kitty robiłaby na jej miejscu to samo. Ech, mama!

– Ona jest czarownicą – usłyszała szept swojej córki.

– Tak, ona nią jest. Prawdziwą złą wiedźmą. Ma przyjemność z tego, że karze dzieci.

To powiedziała Dodo. Ona rzadko owijała w bawełnę. Była małą dzikuską. Wspinała się po drzewach jak chłopcy.

– Znowu mi wczoraj zmiażdżyła ucho – pożalił się Leo.

– Pokaż!

– Nie ma żadnych śladów...

– A mnie uderzyła drewnianą linijką! – szepnęła Dodo. – I zamyka nas w komórce, jeśli jesteśmy niegrzeczni.

– A ona tak może? – jęknęła Henny.

Kitty uznała to traktowanie za alarmujące. Ona sama w dzieciństwie dostawała prztyczka w ucho albo linijką po palcach, ale mama nigdy by nie pozwoliła na to, żeby zamykać dzieci w komórce.

– Ona tak po prostu robi.

– Ona jest wiedźmą.

– A czy potrafi czarować?

– Czarować? Niiieee.

– Szkoda – odpowiedziała rozczarowana Henny. – Wiedźma w operze potrafiła zaczarowywać dzieci. I robiła z nas nawet pierniki.

– Bardzo bym chciał posłuchać opery – rozmarzył się Leo. – Ale mama i tata nas nie zabierają. To prawda, że gra tam wiele instrumentów? A na scenie śpiewają?

Henny musiała kiwnąć głową, bo Kitty nie słyszała odpowiedzi. Wcisnęła hamulce i zatrzymała samochód. Centrum Augsburga znowu było zablokowane przez dorożki i samochody. Jakby tego było mało, za nią trąbił już tramwaj. Najchętniej by wcisnęła klakson, ale i tak musiała czekać. Ale czy miała jakieś pole manewru? Przed jednym ze sklepów stał samochód z przyczepą i dwaj mężczyźni ze stoickim spokojem nosili skrzynie i beczki. Nic dziwnego, że ruch był zablokowany. Kitty wysunęła głowę przez okno samochodu i zaklęła głośno, na co jeden z tragarzy tylko wesoło się do niej uśmiechnął.

– Babcia Gertrude mówiła, że czarownice trzeba wsadzać do pieca – powiedziała Henny na tylnym siedzeniu.

– Tak powiedziała też pani Brunnenmayer. Tylko niestety guwernantka nie zmieści się do pieca – dodała Dodo.

– Nie jest przecież aż tak gruba. Jak się ją trochę popchnie, to się zmieści.

Kitty odwróciła się oburzona i spojrzała surowo na córkę.

– Tego to już za wiele, Henny.

– To był tylko żart, mamó – zachnęła się dziewczynka.

Dodo uśmiechnęła się złośliwie, a Leo otworzył jeden ze swoich zeszytów i wpatrywał się w niego, a gdy teraz spojrzał na Kitty, zrozumiała, że zanurzył się w inny świat. Tak, postępowała właściwie. Ten chłopiec miał ogromny talent muzyczny, tak powiedziała pani Ginsberg. Paul któregoś dnia będzie jej za to wdzięczny.

Samochód wreszcie ruszył, więc mogła jechać na Frauentorstraße. Silnik chodził dobrze, lato dodało samochodowi werwy. Klippi jej go podarował. Tylko jesienią i zimą pojazd trochę mrucał. Zimno i wilgoć dały mu się we znaki, nie był już przecież młodziutkim autem. Kitty mówiła jednak mu same miłe słowa i klepała delikatnie po drewnianej kierownicy. A gdy była zmuszona wysiąść i otworzyć klapę silnika, natychmiast otaczali ją pomocni młodzi mężczyźni. Ach, uwielbiała tego małego gruchota. Wypuściła dzieci przed wejściem do domu i wjechała do garażu, który był tak naprawdę przerobioną chatką w ogrodzie. Gdy wyłączyła silnik, usłyszała muzykę graną na pianinie – aha, pani Ginsberg już u nich była. Leo czekał niecierpliwie pod drzwiami, a Henny i Dodo zniknęły gdzieś w ogrodzie. Jeśli ogrodem można było nazwać tę nietkniętą dzicz, która otaczała dom latem.

– Powoli, Leo – ostrzegła go, otwierając drzwi. – W korytarzu stoją obrazy i nie po to, żebyś po nich biegał.

– Tak, tak.

Trudno byłoby go zatrzymać. Prawie potracił swojego przyjaciela. Co to był za widok: wyrosnięty lew o blond włosach i drobny Walter, który miał głowę spowitą czarnymi lokami i zawsze spoglądał tak smutno. Kitty ze wzruszenia łązy nabiegły do oczu, gdy widziała, jak tych dwóch świetnie się rozumie. Poszli obaj do salonu, usiedli na sofie i otworzyli zeszyty z nutami. Pokazywali palcami poszczególne dźwięki. Śmiali się. Denerwowali się na siebie. Kłócili się przez chwilę i znów byli zgodni. I obaj mieli twarze promieniające szczęściem.

– Mogę tam pójść? – zapytał Leo.

Brzmiało to tak, jakby od tego zależało jego życie. Kitty przytaknęła z uśmiechem i chłopiec poszedł do pokoju obok, gdzie stało pianino. Walter szedł wolno za nim i również zniknął w pokoju muzycznym. Kitty słyszała cichy, spokojny głos pani Ginsberg. Potem ktoś grał preludium Bacha. Równie i z silnymi uderzeniami. Słyszalny był każdy głos, każda linia, każdy ton. Kiedy chłopak to ćwiczył? W domu mógł przecież jedynie przez pół godziny dziennie.

– Tutaj to brzmi znacznie głośniej niż u nas.

Nic dziwnego. Mama poprosiła twórcę fortepianu, żeby wyciszył dźwięki. Z powodu jej bólów głowy. Ach, biedna mama. Gdy Paul, Lisa i ona sama byli dziećmi, miała lepsze nerwy.

– Chcecie się pewnie tutaj powspinać! Henny! Dodo! Za pięć minut macie być w kuchni. W przeciwnym razie sami zjemy cały tort!

To był głos Gertrude. Kitty podeszła do okna i zobaczyła swoją córkę na dachu domku w ogrodzie. Obok niej, po dachowej rynnie chodziła Dodo, próbowała się wspiąć stamtąd, po długiej gałęzi, na stojący obok dąb.

– Zawsze tak jest, gdy Dodo przychodzi – zdenerwowała się Gertrude. – Henny jest takim grzecznym dzieckiem, gdy mam ją tutaj samą.

– Z pewnością jest jagniątkiem – powiedziała Kitty ironicznie.

Gertrude wsparła ręce na biodrach i przyglądała się wyczynom dziewczynek przez otwarte okno. Jej fartuch zdradzał, że robiła tort wiśniowy ze śmietaną i tartą czekoladą. Gertrude za życia swojego męża prowadziła duży dom i – jak to zwykle bywa – kuchnię zostawiła kucharce. Gdy jednak nie było ich stać na zatrudnianie pracowników, odkryła swoją wielką pasję do gotowania i pieczenia. Z różnymi rezultatami.

– Jak one wyglądają! – wrzasnęła, gdy obie dziewczynki stanęły z zaczerwienionymi buziami i rozczochranymi włosami. – Jak to możliwe, że w tej rodzinie dziewczynki wspinają się po drzewach, a chłopcy siedzą spokojnie w pokoju? Jezus Maria, z moją Tilly i biednym Alfonsem było tak samo!

Kitty nie odpowiedziała, po prostu posłała obie dziewczynki do łazienki, kazała im umyć ręce, kolana, ramiona oraz twarze i wyszczotkować włosy.

– Słyszysz, Henny? – powiedziała Dodo z dumą. – To mój brat gra na pianinie. On kiedyś zostanie pianistą.

Henny przekręciła kran i podłożyła ręce pod strumień wody tak, żeby pryskała niemalże na całą wykafelkowaną łazienkę.

– Ja też potrafię dobrze grać na pianinie – pochwaliła się i uniosła nos w geście wyższości. – Pani Ginsberg mówi, że mam talent.

Dodo odsunęła Henny na bok, żeby dostać się do umywalki, i namydliła ręce.

– Talent? Phi! Leo jest geniuszem. To coś zupełnie innego niż talent.

– A kto to jest geniusz?

Tego już Dodo nie wiedziała dokładnie. To ktoś wielki, nieosiągalny...

– Ktoś jak cesarz.

Kitty podała im ręczniki do rąk i kazała chodzić ostrożnie, bo na korytarzu stały zapakowane obrazy oparte o ścianę. Potem poszła na górę do swojego atelier, żeby jeszcze trochę popracować. Przygotowywała cykl krajobrazów, nic szczególnego, pełne kwiatów, kolorowe, z migotliwymi promieniami słońca i delikatnymi gałązkami drzew. Byli na nich spacerujący w grupkach ludzie i kameralne opowieści, które uważny widz mógł powoli odkrywać. Takie scenki sprzedawały się bardzo dobrze, ludzie tęsknili za idyllą, za radosnymi wydarzeniami w promieniach słońca. Kitty nie malowała ich niechętnie, ale nie była też zachwycona taką pracą. Musiała to robić, żeby zarabiać. Musiała się w końcu troszczyć nie tylko o Henny, również Gertrude i Tilly żyły z tego, co ona zarabiała. I była dumna z tego powodu.

Dźwięki pianina połączyły się z głosami obu dziewczynek, słyhać było także karcący głos Gertrude i szum wody płynącej z kranu w łazience. Kitty dobrze się czuła w tym hałasie, wycisnęła farbę na paletę, rzuciła krytyczne spojrzenie na zaczęty już obraz i pomieszała właściwe barwy. Kilka muśnięć pędzla i znów odsunęła się do tyłu, żeby ocenić efekt. Nagle przypomniała

sobie, co niedawno powiedziała Gertrude: z moją Tilly i biednym Alfonsem. Jakie to dziwne – ostatnio bardzo często myślała o mężu. Może dlatego, że od dawna już nie wierzyła w obietnice Gérarda. Inni młodzi panowie, którzy wykorzystywali każdą możliwą okazję, żeby ujawniać jej swoje mniej lub bardziej godne intencje, nic dla niej nie znaczyli. Chodziła na wystawy, do opery, spotykała się z przyjaciółmi u dyrektora Wieslera czy z innymi miłośnikami i kolekcjonerami sztuki, ale zdała sobie sprawę, że coraz bardziej jest tym znudzona. Nie było nikogo, kto tak mocno poruszyłby jej serce jak niegdyś Alfons. I to on wybawiał ją z tarapatów. Kochający, nieco niezdarne chłopak, który poślubił ją mimo skandalu, jaki wywołała, gdy uciekła z Gérardem do Paryża. Taki był z niego dziwny mężczyzna – mądry bankier, twardy biznesmen, a przy tym nieco nieśmiały i kochający mąż. Jak niezręcznie się zachowywał w czasie ich nocy poślubnej – prawie się roześmiała. A potem mówił tak wspaniałe słowa: że był w niej zakochany od wielu lat, że aż nie potrafi pojąć swojego szczęścia teraz, gdy może ją nazywać żoną. Był tak bardzo tym podekscytowany, że zachowywał się tak nieporadnie i śmiesznie... Westchnęła. Nie, w tym życiu z pewnością nie spotka już nikogo, kogo by kochała tak głęboko i szczerze. A jak bardzo cieszył się z narodzin swojej córeczki! Wprost oszalał ze szczęścia. Dlaczego więc los był tak podły? Alfons od początku potępiał tę wojnę. Ale kogo to obchodziło? Musiał iść na front jak inni i nawet nie wiedziała, gdzie i kiedy umarł. Może tak było lepiej. Najgorsze było jednak to, że Henny nawet nie będzie pamiętać swojego ojca.

– Kitty! – krzyknęła Gertrude, stojąc na dole schodów. – Przerwa na kawę i tort! Chodź do nas, czekamy.

– Jeszcze chwilkę.

Zawsze to samo. Ledwie pomieszała farby i już ktoś przeszkadzał jej w pracy. Tak, było cudownie, gdy dom był pełen ludzi. Ale powinni jej pozwolić malować w spokoju. A poza tym wciąż jeszcze było słychać dźwięki pianina z pokoju muzycznego. Zrobiła kilka plamek na płótnie, cienkim pędzelkiem narysowała kontury, odsunęła się i nie była zadowolona z efektu. Pomyślała o obrazach, które zapakowane stały w całym domu. O obrazach Luise Hofgartner. Gérard wysłał je zaraz po otrzymaniu od niej pieniędzy. Pierwszy silny zachwyt tymi pracami sprawił, że rozwiesiła dwadzieścia obrazów i dziesięć rysunków wykonanych sangwiną w całym domu. Był nimi udekorowany salon, pokój muzyczny, korytarz i ogród zimowy. Na ścianach nie było ani kawałka wolnej przestrzeni. Razem z Marie spędziły przy tych obrazach wiele wieczorów i dwie niedziele. Oglądały je, zagłębiały się w nie, zastanawiały się, co sprawiło, że powstały. Jej biedna,

kochana Marie była zupełnie wytrącona z równowagi, płakała, gdyż zobaczyła, że jej matka miała zadatki na wielką artystkę. Marie była w istocie zupełnie obezwładniona, a na Kitty, szczerze mówiąc, te obrazy oddziaływały podobnie. Dłużej niż trzy tygodnie nie była jednak w stanie znieść w swoim domu tej obezwładniającej siły malowideł, więc zdjęła je ze ścian i zapakowała. Stały w korytarzu, bo Marie nie zgodziła się, by je przewieźć do posiadłości Melzerów. Ach, to rzeczywiście było rozczarowujące. Paul, ten najwspanialszy i najlepszy z mężów, jej ukochany brat Paul, sprzeciwił się kupnu więcej niż trzech obrazów. Potem tylko raz przyjechał na pół godziny na Frauentorstraße, rzucił okiem na kolekcję i zdecydował, że pod żadnym pozorem nie chce widzieć tych obrazów w swoim domu. Przede wszystkim sprzeciwił się tym, jego zdaniem, wyzywającym aktom ze względu na obecność dzieci. Nie mówiąc już o mamie i jej gościach. Paul był tego popołudnia wyjątkowo oschły. Kitty miała wrażenie, że w ogóle zachowywał się coraz dziwniej. Czy wynikało to z ciągłej troski o fabrykę? Czy zmieniła go wojna, a potem długi pobyt w obozie dla jeńców? Ale nie, po powrocie z Rosji był tak samo serdeczny jak dawniej. Prawdopodobnie wynikało to z faktu, że przejął fabrykę i teraz był głową rodziny, dyrektorem Melzerem. Uderzyło mu to do głowy i zaczął tak samo przesadzać jak jego tatuś. Ach, jakież to było głupie. I jak bardzo raniło biedną Marie.

– Mamo, chodź wreszcie! Babcia Gertrude nie pokroi tortu, dopóki ciebie z nami nie będzie.

– No już – odpowiedziała i odłożyła pędzel do pojemnika z wodą.

W salonie usiedli teraz Leo i Walter, ale tylko po to, żeby pochłonąć po kawałku tortu i już po chwili biec znów do pianina. Walter przyniósł ze sobą skrzypce i Leo oczywiście chciał spróbować na nich grać. Cóż, powinien to robić stopniowo. Im bardziej pozna instrument, tym lepiej. Kitty była przekonana, że Leo pewnego dnia będzie komponował opery i symfonie. Leo Melzer, znany kompozytor z Augsburga. Nie, lepiej Leopold Melzer. Albo jeszcze inaczej: Leopold von Melzer. To brzmiało dobrze. Przy nazwiskach artystów można było popuścić wodze fantazji. A może będzie też dyrygentem? Paul Leopold von Melzer.

– Tort smakuje jak... – Henny zmarszczyła czoło w zamyśleniu i spojrzała na sufit.

Odpowiedź Dodo nie była tak dyplomatyczna:

– Smakuje sznapsem.

Pani Ginsberg, która siedziała między dwoma chłopcami, potrząsnęła

energicznie głową.

– Tort smakuje wyśmienicie, pani Bräuer. Dodała pani cukier waniliowy?

– Trochę. I do tego sporą ilość wiśniówki. Na lepsze trawienie.

– Ach.

Obaj chłopcy uznali, że to wspaniale, Walter zaczął udawać pijanego, a Leo też próbował, ale nie wychodziło mu to wiarygodnie. Najlepiej udawała Dodo, potrafiła nawet wywołać u siebie prawdziwą czkawkę.

– Ja chciałabym dostać jeszcze jeden kawałek – powiedziała, przerywając słowa czkaniem.

Tylko Henny uważała ten teatrzyk za bezsensowny, odwróciła się do Kitty i przewracała oczami. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi i Dodo zamilkła.

– Pewnie jeden z twoich znajomych, Kitty – powiedziała Gertrude. – Przychodzą i wychodzą, kiedy mają ochotę, ach, artyści.

– Henny, idź otworzyć drzwi.

Nie był to jednak żaden z zakochanych artystów, którzy od czasu do czasu odwiedzali Kitty. Przed drzwiami stała Marie.

– Mój Boże, ale ty nas potrafisz zaskoczyć. – Kitty podeszła, żeby objąć Marie, pocałowała ją w oba policzki i podprowadziła do krzesła. – Przyszłaś w odpowiednim momencie, moja kochana Marie. Gertrude zrobiła tort śmietanowy. Zjedz porządny kawałek, zrobiłaś się w ostatnim czasie okropnie chuda.

Gdy była podekscytowana, wyrzucała z siebie słowa bez przerwy, nie wiedząc nawet czasami, co mówi. W jej głowie powstawała wtedy płatanina myśli przypominająca stado ptaków zamkniętych w klatce, które, gdy ktoś je przestraszył, podrywały się do lotu i uderzały w siebie skrzydłami. W gruncie rzeczy nie była zadowolona z tych niespodziewanych odwiedzin. Oczywiście, że powiedziała Marie o lekcjach rysunku, których chce udzielać bliźniakom. Marie wiedziała też rzecz jasna, że pani Ginsberg uczy Henny grać na pianinie. Nie powiedziała jej jednak, że wszystko to odbywa się w tym samym czasie.

– Bardzo się cieszę, że panią widzę, pani Ginsberg – powiedziała Marie do nauczycielki i wyciągnęła do niej rękę. – Mam nadzieję, że wszystko u pani w porządku. Dzień dobry, Walterze. Jak to dobrze, że możecie się obaj spotkać po szkole.

Wraz z wejściem Marie zniknęła swobodna radość panująca przy stoliku

kawowym. Dzieci siedziały tak, jak je nauczono, używały widelczyków do ciasta i serwetek, uważając, żeby nic nie spadło z talerza. Rozmawiano o letnim upale i o pracach przy budowie nowych hal targowych między Fugger- i Annastraße. Marie zapytała o uczniów, którym udzielała lekcji pani Ginsberg, a Kitty opowiadała o wystawie zorganizowanej przez stowarzyszenie artystów, na której można było zobaczyć prace Slevogta i Schmidta-Rottluffa. Wreszcie pani Ginsberg oznajmiła, że nadszedł czas na lekcję Henny. Po chwili odbyło się idealne przedstawienie. Henny poszła grzecznie z panią Ginsberg do pokoju muzycznego, Dodo powiedziała, że chce pomóc Gertrude przy zmywaniu, a chłopcy zapytali uprzejmie, czy mogą pobawić się jeszcze chwilę w ogrodzie. Marie oczywiście im pozwoliła.

– Kitty – powiedziała Marie z westchnieniem, gdy zostały same. – Co ty wyprawiasz? Paul będzie wściekły.

Niewiarygodne. Zamiast wdzięczności, że wspiera wielki talent jej syna, słyszy teraz jedynie wyrzuty.

– Moja droga Marie – zaczęła gwałtownie Kitty. – Trochę się o ciebie martwię. Wcześniej byłaś taką mądrą dziewczyną, wiedziałaś, czego chcesz, często cię za to podziwiałam. Ale odkąd Paul znowu z nami jest, zamieniasz się coraz wyraźniej w szarą myszkę.

To nie tak, sprzeciwiła się Marie. Jest kobietą biznesu, prowadzi własne atelier, ma wiele ważnych klientek.

– A kto decyduje, co robisz z pieniędzmi, które zarabiasz? – przerwała jej Kitty. – Paul. Uważam, że nie ma prawa tego robić. Powinien decydować o swojej fabryce, ale nie o tobie.

Marie opuściła głowę. Rozmawiały o tym wiele razy, ale taka była rzeczywistość prawna. Paul zostanie zresztą obciążony finansowo, jeśli ona popadnie w długi.

– To jest niesprawiedliwe – mruknęła Kitty.

Mimo to na jakiś czas odłożyła ten temat. Z ciężkim sercem Marie zrezygnowała z kupna obrazów matki, bo Paul tego nie chciał. Kitty wiedziała doskonale, jakie to było dla niej trudne, więc interweniowała. Marie do tej pory nie wiedziała jednak, że to Ernst von Klippstein ofiarował znaczną sumę na zakup. Kitty powiedziała, że zrobili to dobrzy przyjaciele. I że Lisa też coś dorzuciła. Swoją drogą Kitty była niesłychanie zaskoczona, że co prawda późno, ale jednak Lisa podarowała niewielką sumę. Kochana Lisa! Mogła uważać się za szczęściarę, że postanowiła być hojna w tych okolicznościach.

– Dlaczego sądzisz, że powinnaś się wtrącać, Kitty? – jęknęła Marie. – Pani von Dobern udziela Leo lekcji gry na pianinie i to musi wystarczyć. Jest mi już dość ciężko wszystko to ze sobą godzić. Dzieci. Paula. Waszą matkę. I do tego moje studio. Czasami jestem po prostu na skraju wyczerpania. Naprawdę poważnie myślałam o tym, żeby zamknąć atelier.

– W żadnym razie! – krzyknęła Kitty wzburzona. – Nie po tym wszystkim, co osiągnęłaś, Marie. Twoje piękne projekty. Twoje rysunki.

Marie smutno potrząsnęła głową. Te rysunki. I tak nie jest artystką, jaką była jej matka. I ma rodzinę. Dwoje wspaniałych dzieci. I Paula.

– Kocham go, Kitty. Boli mnie, że go ranię.

Kitty była odmiennego zdania. Marie coś sobie wmówiła. To Paul ją ranił. A Marie miała problem z tym, by przyznać, że jej ukochany mąż nie jest aniołem. Paul był niezwykle serdecznym człowiekiem, ale potrafił też zachowywać się jak okropny egoista.

– Jesteś przepracowana, Marie – powiedziała cicho Kitty. – Za kilka dni zaczynają się wakacje. Dlaczego nie zamkniesz atelier na kilka tygodni i nie pojedziesz zaznać letniej pogody? Paul mógłby was odwiedzać w weekendy.

– Nie, nie. Ale będę pracować krócej. Trzy popołudnia w tygodniu będę zostawać w domu.

Kitty wzruszyła ramionami. Nie podobało się jej to, bo brzmiało tak, jakby Marie chciała zamknąć swój interes, tyle że na raty. Marie kazała jej przyrzec, że Leo nie będzie już nigdy potajemnie pobierał lekcji gry na pianinie.

– Nie chcę tego, Kitty! Proszę, zrozum mnie!

– Któregoś dnia twój syn będzie miał ci to za złe.

Uśmiechnęła się, jej kochana, głupia Marie. Nie wierzyła w talent swojego syna. A kiedyś zmusi tego biednego chłopca, żeby przejął fabrykę. Co za marnotrawstwo tak niewiarygodnego talentu! Mimo to obiecała. Choć było to dla niej bardzo trudne. I pozostała łagodna jak baranek, gdy Marie oświadczyła, że chce już wracać z bliźniakami do domu.

– Jeśli masz jeszcze pół godziny, to Klippi obiecał, że odwiezie dzieci do willi.

– W żadnym razie. Paul i Ernst są teraz poróżnieni, a ja nie chcę urazić Paula.

Znowu się podporządkowywała. Umniejszała swoją rolę. Robiła jakieś niedorzeczności, żeby tylko nie zrazić do siebie Paula. Kitty nie wytrzymała:

– Ach, chciałam jeszcze powiedzieć, że stowarzyszenie artystów jesienią organizuje wielką wystawę prac twojej matki. Cały Augsburg je zobaczy. Czy to nie wspaniale?

Marie zrobiła się blada i nic nie odpowiedziała.

Lipiec 1924

Otilie Lüders miała na sobie jedną z tych nowoczesnych sukien, które przypominały worek luźno zwisający z ciała. Paulowi nie podobała się ta współczesna moda, uważał, że przed wojną kobiety ładniej się prezentowały. Przede wszystkim nosiły długie włosy, miały mocno zaznaczone talie i eleganckie stroje wieczorowe – spódnice sięgające do ziemi. Cóż, pewnie było to już okropnie staromodne.

– O co chodzi, panno Lüders? – uśmiechnął się, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo nie podoba mu się ta sukienka. Musiała jednak to wyczuć, kobiety miały szósty zmysł w tych kwestiach.

– Przyszła kobieta i chce z panem rozmawiać. Osobiście.

Zmarszczył czoło. Znowu jakaś kwestarka. Zbierały na jakieś szczytne cele, błagały go, żeby szepnął dobre słowo o ich bezrobotnym mężu do innego przedsiębiorcy, przynosiły plakaty reklamujące jakieś uroczystości i liczyły na darowizny.

– Jest ładna? – zażartował.

Lüders zrobiła się czerwona, tak jak przypuszczał.

– Kwestia gustu. Tu jest jej wizytówka.

Rzucił okiem na poźólkłą karteczkę z nazwiskiem zapisanym staroświeckimi zawijasami. Adres już od dawna się nie zgadzał. Westchnął – nie podobało mu się to. Po co ona tutaj przyszła?

– Niech ją pani do mnie przyśle.

– Oczywiście, panie dyrektorze.

Serafina von Dobern poruszała się nieco sztywno, ale mimo to wciąż ze swobodą, charakteryzującą młode kobiety z wyższych sfer. Ładna nigdy nie była, przynajmniej według niego. Niewyróżniająca się. Szara myszka, jak to się mówi. Dziewczyzna, która zawsze podpira ścianę. Ale miała zasady. Dzieci co prawda jej nie lubiły, natomiast mama uważała, że jest doskonałą nauczycielką.

– Proszę mi wybaczyć, że przychodzę do pana tutaj, do fabryki. Robię to niechętnie, bo wiem, że jest pan zajęтым człowiekiem.

Stała przed biurkiem i poczuł się zmuszony do zaproponowania jej, żeby usiadła na jednym z małych, skórzanych krzeseł w gabinecie.

– Och, zajmę panu tylko chwilę. Chodzi o sprawę, którą lepiej będzie omówić w cztery oczy. Z powodu dzieci. Rozumie pan.

Zupełnie nie rozumiał, ale podejrzewał, że znowu chodzi o jakieś problemy rodzinne. Dlaczego Marie się tym nie zajmuje? Cóż, nietrudno było znaleźć odpowiedź na to pytanie. Bo jego żona poświęcała się atelier. Niestety ostrzeżenie mamy, które wyraziła tak dosadnie, okazało się prawdą. „Studio Mody Marie” wniosło sporo problemów do ich małżeństwa. Począł, aż zajmie miejsce, sam pozostał za biurkiem.

– Cóż, proszę mówić, pani Dobern. Słucham.

Próbował nadać swojemu głosowi wesoły ton, ale mu się to nie udało. Możliwe, że wpłynął na to wyraz jej twarzy albo to, że zapomniała się gdzieś jego beztroska, która swego czasu tak przyjemnie odróżniała go od jego ojca. Czyżby w wieku trzydziestu sześciu lat był już starym ponurakiem? Skrzywiła się i było widać, że ta wizyta nie była dla niej miła. Nagle zrobiło mu się jej żal. Wcześniej ci z towarzystwa starali się spotykać tu i tam z okazji jakiejś uroczystości czy w operze. Wojna i krocząca za nią inflacja sprawiły, że wielu dobrze sytuowanym i szanowanym ludziom odebrano te możliwości.

– Dotyczy to pana siostry Kathariny. Przychodzę z tą skargą niechętnie, panie Melzer. Ale w wielu sprawach czuję się osobiście wobec pana zobowiązana. Wczoraj po południu pańska siostra mimo mojego sprzeciwu zabrała dzieci na Frauentorstraße, gdzie pani Ginsberg uczyła Lea gry na pianinie.

Kitty! Ta samowolna dziewczyna! Czuł, jak narasta w nim gniew. Za jego plecami troszczyła się o to, żeby Leo oddawał się tej nieszczęsnej pasji. Serafina przyglądała mu się uważnie, starając się ocenić działanie jej słów. Prawdopodobnie biedaczka miała wyrzuty sumienia.

– Niech pan mnie źle nie zrozumie, drogi panie Melzer. Wiem, jak bardzo szanuje pan siostrę. Ale postawiła mnie tym samym w bardzo trudnej sytuacji.

Dobrze to rozumiał. Kitty w istocie była niemożliwa.

– To jest jak najbardziej słuszne, droga pani Dobern, że mnie pani o tym informuje. Jestem pani za to bardzo wdzięczny.

Widać było, że poczuła ulgę, i nawet się uśmiechnęła. Gdy nabierała

kolorów, stawała się niemal ładna. Przynajmniej lepiej się na nią patrzyło.

– Stanowczo odmawiałam oddania jej dzieci. Ale pana siostra nie zważała na mój sprzeciw.

Oczywiście, że nie. Tylko walec drogowy mógłby skłonić Kitty, żeby zmieniła raz podjętą decyzję.

– Miałam nadzieję, że znajdę wsparcie u pana żony. Ale niestety nie było jej w willi w czasie tego zdarzenia.

Nie skomentował tego. Marie była w studiu. Chociaż niedawno mu powiedziała, że chce skrócić czas pracy i trzy popołudnia w tygodniu spędzać w domu.

– Pańska żona przywiozła dzieci wieczorem. Niestety były już tak zmęczone, że nie skończyły odrabiać zadań domowych.

Chciał nie mieszać w to Marie. Ale musiał zapytać:

– Mówi pani, że moja żona przywiozła dzieci wieczorem?

Serafina wydawała się szczerze przerażona. Nie, chyba musiało się jej przywidzieć. Pani Melzer z pewnością nic nie wiedziała o tej intrydze.

– Pańska żona spędziła popołudnie u pana siostry. Bywa tam od czasu do czasu. W weekendy też jest często na Frauentorstraße. To wspaniale, że pana żona i siostra utrzymują tak serdeczne stosunki. Obie są przecież artystkami.

– Oczywiście – odparł krótko.

W ciągu ostatnich tygodni kilka razy pokłócił się z Marie o te nieszczęsne obrazy. Żał mu było Marie, ale były brzydkie. Przynajmniej według niego. Nie chciał ich widzieć ani na ścianach w jadalni, ani w czerwonym salonie. Ani w gabinecie dla panów, choć tam i tak nie było miejsca na ścianach, bo zajmowały je regały z książkami. I nawet nie w holu wejściowym. Co ich goście by sobie pomyśleli? Zgodził się wprawdzie na trzy obrazy i chciał dotrzymać słowa. Ale ani sztuki więcej! Poza tym nie podobało mu się, że Marie ciągle zagląda na Frauentorstraße. I zabiera tam ze sobą dzieci.

– Dowiedziałam się od pana matki, że pan von Klippstein chciał odebrać dzieci z Frauentorstraße. Ta wiadomość mnie uspokoiła, bo bałam się, jak nasza dwójka dotrze do domu. Zabroniono mu jednak po nie jechać.

Nazwisko „von Klippstein” zadziało na Paula jak ukłucie żądłem. W ciągu ostatnich miesięcy jego przyjaciel Ernst zachowywał się jak zacietrzewiony dusigrosz. Jak oni się potwornie kłócili o konieczność zainwestowania pieniędzy w drukowanie wzorów na materiałach! O czas

pracy personelu! O wypłaty! To on, Paul Melzer, postępował właściwie, gdy po cichu przyjął kolejne zamówienia, ubiegając konkurencję. A dostał je, bo oferował dobrą jakość za korzystną cenę. Ale Ernst, ten małostkowy człowieczek, bardzo się bał o swoje pieniądze. Paul postanowił bardzo stanowczo, że tak szybko jak to tylko możliwe spłaci partnera i się od niego uwolni. Oczywiście zaproponuje mu pokaźną sumę, nie był przecież oszustem. Było coś jeszcze, co mu przeszkadzało w jego starym przyjacielu. Sposób, w jaki wnikał w życie rodzinne Melzerów. Co przede wszystkim było wątpliwą zasługą mamy. Marie również się do tego przyczyniała. Pozwalała mu się odbierać z atelier. I jeździć na Frauentorstraße. Dobrze rozumiał, że wczoraj Ernst przywiózł stamtąd Marie i dzieci? I prawdopodobnie wszedł też do środka i pił z paniami kawę, podczas gdy Leo uczył się grać na pianinie. Czegoś takiego nie robi się za plecami starego przyjaciela. Mój Boże, von Klippstein naprawdę miał w życiu pecha. Ale nie dawało mu to prawa do wkraczania na trzeciego w czyjeś małżeństwo. Marie też powinna to rozumieć. Zwłaszcza Marie. Bo mama kierowała się przede wszystkim jakimś rodzajem matczynej troski.

– Cóż, dziękuję, panie Melzer, że mogłam tak bezpośrednio przekazać panu swoje troski. Proszę mnie zrozumieć, musiałam to zrobić. Nie potrafiłabym trzymać czegoś przed panem w tajemnicy czy pana okłamywać. Wolałabym raczej zrezygnować z tej pracy, choć jestem niebywale mocno przywiązana do dzieci.

Zapewnił ją raz jeszcze, że słusznie postąpiła, że jest jej wdzięczny za okazane zaufanie i że zachowa tę rozmowę dla siebie. Uśmiechnęła się z ulgą, jakby uwolniła się od dużego ciężaru, podniosła się z siedzenia i życzyła mu miłego dnia oraz Bożego błogosławieństwa.

Paul podziękował i był szczęśliwy, gdy wreszcie wyszła.

– Proszę mi przynieść kawę, panno Lüders.

Trudno mu teraz było skoncentrować się na pracy, zastanawiać się, jakie podjąć decyzje, przewidywać koszty produkcji. W głowie kłębiły się myśli, które go rozpraszały. Marie. Przecież ją kochał. Miał jednak wrażenie, że go od siebie odsunęła. Zmieniła się. Uciekała, a jego skazywała na stanie w miejscu. Leo też wydawał się od niego dystansować. Kilka razy zabrał chłopca do fabryki, oprowadzał go po halach, opowiadał o maszynach. Ale Leo zatykał sobie uszy, bo nie był w stanie znieść tego hałasu. Tylko gdy poszli do jadalni i zamówił dla nich posiłek, który jedli wspólnie przy stole, był zadowolony. Przede wszystkim dlatego, że pracownicy zerkali na nich z zaciekawieniem. Pan dyrektor zawsze jadł w willi, a teraz siedział tutaj

z nimi. Z ośmioletnim synem, który kiedyś będzie młodym panem dyrektorem. Paul zauważył też, że Leo z zaciekawieniem przygląda się młodym pracownikom. W wieku ośmiu lat. Niewiarygodne! A przecież był jeszcze niewinnym dzieckiem.

Później, gdy jechał na obiad do posiadłości, myślał o tym, jak ojcu udało się zafascynować go sprawami fabryki. O tym, że gdy był dzieckiem, nikt nie oprowadzał go po fabryce, zobaczył hale i budynki administracyjne dopiero jako student. Poznał wtedy wszystkie działy fabryki. Nie mógł jedynie ich oglądać, od razu musiał podjąć pracę u ojca. Robił to z wielką ekscytacją i był dumny, że dzięki swojemu wykształceniu on, syn dyrektora, potrafi więcej niż inni. Przeżył też rozczarowanie, kiedy ojciec upokorzył go przed pracownikami. Było to bolesne przeżycie i spowodowało ochłodzenie stosunków między ojcem i synem. Mimo to jego głównym celem i dążeniem było kontynuowanie dzieła ojca. Czy dlatego, że tak mu to utrudnił? Dlatego, że musiał o to walczyć? Czy chodziło właśnie o to? Czy powinien więc zostawić Lea w spokoju i obserwować jego wychowanie z dystansu? Możliwe. Musiał jednak bacznie obserwować jego rozwój. Nie potrzebował muzyka jako swojego następcy.

Nieustępliwy sierpniowy upał nagle wydał się bardzo męczący, a jazda do willi w samochodzie z otwartym dachem wcale nie przyniosła oczekiwanej ulgi. Nad brukowanymi ulicami i drózkami przecinającymi łąki unosiły się kłęby kurzu. Naciągnął czapkę na czoło, ale i tak miał wrażenie, że oddycha kurzem i ulicznym brudem. Dopiero gdy wszedł do holu w posiadłości, poczuł się lepiej. Gertie wyszła mu naprzeciw i wzięła od niego kaszkiet i marynarkę.

– Przygotowałam już wszystko na górze, panie Melzer. Co za upał! Ledwie można oddychać!

– Dziękuję, Gertie. Czy moja matka wciąż jest u siebie na górze?

Mama dzisiaj rano znów miała okropny ból głowy.

– Nie, panie Melzer, bo zrobiło się jej lepiej. Wydaje mi się, że była w gabinecie i telefonowała.

To była dobra wiadomość. Ruszył pośpiesznie na górę, żeby jeszcze przed obiadem wskoczyć do wanny i zmienić ubranie, które Gertie przygotowywała każdego popołudnia. Prawdziwe błogosławieństwo, gdy przychodził z fabryki cały spocony i zakurzony.

Gdy wyszedł z łazienki umyty i w czystym ubraniu, poczuł się jak nowo narodzony. Jak mało potrzeba, żeby zapomnieć o kiepskim nastroju. Nagle

problemy, które jeszcze niedawno tak bardzo go dręczyły, teraz wydały mu się zupełnie nieważne. Na co miał się złościć? W fabryce wszystko układało się obiecująco, miał kochającą żonę i dwoje zdrowych dzieci, jego matka czuła się lepiej, a jeszcze do tego do jego nosa dotarł zapach knedli wątrobianych z serową zacierką i prażoną cebulą. Nie, nie miał powodów do narzekania. Problemy zdarzały się w każdej rodzinie, były one tutaj, spakowane i gotowe do rozwiązania.

W jadalni Julius miotał się z dużym bukietem kwiatów w dłoniach, dla którego – mimo licznych prób – nie potrafił znaleźć miejsca na kredensie. Ogromna kompozycja z białych i czerwonych roślin, głównie róż, jeśli dobrze rozpoznał.

– Skąd się wzięło to monstrum, Juliusie?

– Dostała je pani Melzer, szanowny panie. Zostały przekazane łaskawej pani.

– Mojej matce?

– Nie, panie Melzer, pana żonie.

– Tak? A kto przesłał Marie ten wielki bukiet?

Czekał, aż Julius opuści pokój, i zrobił coś, co zawsze uważał za nieeleganckie. Ale dopadła go zazdrość i gdy przeczytał małą, ozdobioną kwiatami kartkę, to, co zobaczył, wywołało w nim uczucie wzburzenia.

W głębokim uwielbieniu i z wyrazami wdzięczności

Ernst von Klippstein

Postanowił, że włoży bilecik do koperty i wsunie ją między kwiaty, zanim Serafina wejdzie do pokoju z dziećmi. I tak zrobił.

– Kupiłeś kwiaty dla mamy, tato? – zapytała Dodo z promiennym uśmiechem.

– Nie, Dodo. Przysłał je znajomy mamy.

Zirytowało go rozczarowanie malujące się na buzi córki, a po chwili musiał odchrząknąć, bo poczuł, że uliczny kurz utkwiał mu jednak w gardle. Serafina przejęła kontrolę nad sytuacją i przykazała dzieciom, by stanęły przy swoich krzesłach i poczekały, aż przyjdzie babcia. Dzieciom wolno było usiąść przy stole dopiero wtedy, gdy pozwolili na to dorośli. Alicia pojawiła się kilka minut później. Była wyjątkowo zdystansowana, uśmiechała się chłodno do wszystkich, usiadła na swoim miejscu i odmówiła modlitwę. Potem poleciła Juliusowi, żeby podał zupę.

– A gdzie jest Marie? – zapytał Paul.

Wzrok, którym obdarzyła go matka, mówił wszystko. Ach, ty głupcze, pomyślał o sobie Paul i znów ogarnęło go poczucie bezradności wobec niekończących się problemów rodzinnych.

– Twoja żona dzwoniła wcześniej. Kazała wszystkim przeprosić, ale ma wyjątkowo wymagającą klientkę i wróci najpewniej dopiero wieczorem.

Gdy mama mówiła „twoja żona”, a nie „Marie”, to nie był to dobry znak. Dzieci też rozumiały tę oznakę irytacji, może były wyczulone na tego typu sygnały znacznie bardziej niż on sam.

– Mama obiecała, że zabierze mnie na lotnisko – oznajmiła Dodo.

Guwernantka wyjaśniła jej z ciepłą serdecznością w głosie, że dzisiaj jest na to zbyt gorąco i wszędzie unoszą się kłęby pyłu.

– A co ty chciałaś robić na lotnisku, Dodo? – zapytał poirytowany Paul.

Pasje jego dzieci niepokoiły go coraz bardziej. Dodo była dziewczynką i powinna się bawić lalkami. Czyż nie dostała na Boże Narodzenie wspaniałej kuchni dla lalek z prawdziwym piecykiem, na którym faktycznie można było gotować?

– Chciałabym zobaczyć samoloty. Tak z bliska.

Czyli interesowały ją odkrycia nowoczesnej techniki. Szkoda, że właśnie Dodo.

– A ty, Leo, też byś chciał zobaczyć samoloty?

Leo energicznie żuł kawałek wątróbki i po chwili go przełknął. Potem potrząsnął głową.

– Nie, tato. Nie lubię hałasu. One strasznie trzeszczą i grzechoczą.

Mama dzisiaj nie włączała się zbyt często do rozmowy, wydawała się zajęta własnymi myślami. Serafina natomiast, która zazwyczaj milczała przy stole, starała się rozluźnić atmosferę. Zachęcała Dodo, żeby wyrecytowała wierszyk, którego niedawno się nauczyła – o wiośnie machającej niebieską wstążką. Leo natomiast mógł opowiedzieć o dzielnicy Fuggerei⁸, którą odwiedzili razem z klasą w zeszłym tygodniu. Paul słuchał dzieci cierpliwie, chwalił, zachęcał i wymieniał ciepłe spojrzenia z Serafiną, która była wyraźnie zadowolona z poświęcanej jej uwagi.

Po deserze Alicia pozwoliła dzieciom wstać od stołu, a guwernantka też opuściła jadalnię. Paul został sam z matką.

– Chcesz jeszcze jedną mokkę, mamó?

– Dziękuję, Paul, ale moja krew chyba wtedy zawrzała.

Postanowił zachować spokój, nalał sobie kolejną filiżankę kawy, dodał cukier i zamieszał zawiesinę.

– Rozmawiałam z żoną dyrektora Wieslera.

Aha, stara plotkara znów otworzyła puszkę Pandory. Musiała ich mieć pełną szafę.

– Mamó, proszę, byle szybko. Wiesz dobrze, że muszę zaraz wracać do fabryki.

Uwaga nie była najmądrzejsza, bo wkrótce potem usłyszał, że zachowuje się jak jego ojciec. Nigdy nie ma czasu dla rodziny, zawsze najważniejsza jest fabryka.

– Proszę cię, mamó. Powiedz po prostu, co cię tak przygnębiło.

Nabrała głęboko powietrza i spojrzała na kredens, na którym stał nieszczęsny bukiet.

– Pani dyrektorowa Wieslerowa poinformowała mnie, że stowarzyszenie artystów urządzi jesienią publiczną wystawę obrazów Luise Hofgartner. Retrospektywę jej prac. Pani dyrektorowa sama chce wygłosić laudację, zamówiła już nawet odpowiednie materiały z Francji.

Mama na chwilę zamilkła, bo zabrakło jej oddechu. Jej policzki zrobiły się czerwone, wręcz bordowe, co Paul odczytał jako niezbyt pozytywną oznakę stanu jej zdrowia. Dobry Boże, co za wiadomość! Nic dziwnego, że mama się zdenerwowała.

– Mam nadzieję, że powiedziałaś jej o naszym sprzeciwie wobec publicznego pokazywania tych obrazów.

– Oczywiście, że tak. – Alicia odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się nieco histerycznie. – Ale ta kobieta jest taka uparta, stwierdziła, że nie ma ku temu żadnego powodu. Luise Hofgartner mieszkała i pracowała w Augsburgu, pewnie można by i tutaj odnaleźć jakieś jej prace. Miasto powinno być dumne, że gościło w swoich murach tak niesamowitą artystkę.

A to heca! I to z powodu tych paskudnych obrazów! Artystka! Paul uważał, że – z całym szacunkiem dla Marie – ta kobieta była raczej szalona.

– Nie denerwuj się, mamó. Zajmę się tą sprawą. W końcu my Melzerowie mamy jeszcze coś do powiedzenia w tym mieście.

Alicia przytaknęła i widać było, że trochę jej ulżyło. Z pewnością wszyscy musieli się liczyć z tym, że nie można tak traktować Melzerów. Nie mówiąc już o ojcu, którego pamięć przez tę całą historię zostałaby najpewniej zniesławiona.

– Wszędzie panuje zazdrość i zawiść, nawet tutaj w Augsburgu. Jestem pewna, że przy tej okazji wyciągnęliby cały szereg nonsensów, dotyczących przede wszystkim relacji twojego ojca z tą kobietą.

– Czy poinformowano o tym Marie? – zapytał Paul.

– Tak sędzę. Kitty z całą pewnością pała entuzjazmem w tej kwestii. A jak wiesz, one zawsze trzymają się razem.

Paul wstał i zaczął chodzić niespokojnie po pokoju z rękami w kieszeni. Czy to możliwe, że Marie wiedziała o tej wystawie? Że sama maczała w tym palce? Nie, nie mógł w to uwierzyć. Najpewniej prowodyrką była jednak Kitty.

– Porozmawiam o tym z Kitty.

– Nie tylko z nią będziesz musiał porozmawiać, Paul.

Sam o tym wiedział. Przede wszystkim należało pomówić z Marie. Oczywiście bardzo delikatnie. Nie chciał jej zranić. Ale będzie musiała zrozumieć, że...

– Kitty posiada jedynie niewielką część kolekcji, większość należy do Ernsta von Klippsteina.

– Co?

Paul przerwał swoją bezcelową wędrówkę po pokoju i wpatrywał się w matkę. Czy dobrze usłyszał? To Ernst sfinansował ten podejrzany zakup obrazów? To było nie do uwierzenia. W fabryce skąpił mu każdego feniga, a swoje pieniądze wyrzucał na takie bzdury? Dlaczego? Ale czy to nie było już wcześniej oczywiste? Chciał zaimponować Marie. Wreszcie prawda wyszła na jaw: jego nieskazitelnego przyjaciela Ernst miał chrapkę na jego żonę. A co na to Marie? Powstrzymała go jakoś? Spojrzał na ogromny bukiet, którego słodki zapach zdominował nawet intensywną woń kawy. „W głębokim uwielbieniu i z wyrazami wdzięczności” – napisano na kartce.

– Powiem Juliusowi, żeby przestawił kwiaty na taras – powiedziała mama, widząc, jak niechętnie wpatruje się w kwiaty. – Głowa mnie boli od tego zapachu!

Wiedziała, kto przysłał bukiet? Pewnie tak. Mama była ciekawska, choć

nigdy by się do tego nie przyznała.

– Widzimy się dziś wieczorem – powiedział, całując ją w czoło.

Przez chwilę przytrzymała jego dłonie i zamknęła oczy.

– Tak, Paul. Bardzo ci współczuję.

To nie był dobry dzień, to już zdążył zauważyć. A całe to nieszczęście, które zawisło nad posiadłością niczym złowieszcze chmury, będzie wciąż zbierało swoje żniwo. Był zdenerwowany i rozgniewany, czuł się zdradzony przez człowieka, którego uważał za swojego najlepszego przyjaciela. Przede wszystkim jednak wyprowadzało go z równowagi współsprawstwo Marie. Było jasne jak słońce, że była w zмовie z Ernstem. Wystawę zaplanowała potajemnie z Kitty i von Klippsteinem za plecami męża, nie myśląc zupełnie o tym, ile zła wyrządzi przez to swojej rodzinie.

Zszedł pośpiesznie na dolny korytarz, chwycił kapelusz ze stojaka, nie zwracając uwagi na Gertie, która do niego przybiegła. Już wyciągał z kieszeni marynarki kluczyki od samochodu, gdy otworzyły się drzwi wejściowe. Marie weszła do środka.

– Ach, Paul – powiedziała. – Tak mi przykro, że mnie zatrzymano.

Ależ była śliczna, gdy podeszła do niego, próbując złapać oddech. Uśmiechnęła się, a jej oczy prosiły o wybaczenie. Nieco szelmowsko, ale też z czułością. Nie był w nastroju, żeby reagować na te podchody.

– Wspaniale, że w ogóle się pojawiłaś! W międzyczasie zdążyłem się dowiedzieć o twoich intrygach!

Stała przerażona. Patrzyła na niego wielkimi ciemnymi oczami. Tymi, które tak bardzo kochał. I które tak perfidnie potrafiły kłamać.

– O czym ty mówisz? Jakie intrygi?

– Dobrze wiesz. Ale przyrzekam ci, że nie dopuszczę do tej wystawy. Te obrazy powinny zostać spalone, a nie wystawiane na widok publiczny!

Widział, że sparaliżowały ją te słowa, że patrzy na niego, nie mogąc uwierzyć, że powiedział coś takiego. Jego też zawstydziły, lecz jakiś zły duch spowodował, że wypuścił kolejny strzał.

– Możesz powiedzieć swojemu kochankowi, swojemu „kwiatowemu kawalerowi”, że nie chcę go więcej widzieć w swoim domu. Resztę sam mu wygarnę.

Gniew, którym pałał, teraz nieco zelżał. W otępieniu, które go ogarnęło,

zdał sobie sprawę, że powiedział to, czego nie będzie się już dało cofnąć. Przeszedł obok Marie do drzwi i nie odważył się spojrzeć jej w oczy. Naciągnął czapkę na twarz i zbiegł schodami na dziedziniec.

[8](#) Pierwsza na świecie dzielnica dla ubogich, zamknięta murami. Została utworzona przez Jakuba Fuggera zwanego Bogatym w Augsburgu w XVI wieku.

Marie czuła dotkliwy ból. Dobrze знаła to uczucie, gorącą gwałtowną falę, która wypływała z żołądka, podchodziła do gardła i rozlewała się na całe ciało. Pojawiała się często, gdy była jeszcze dzieckiem i czuła się bezradna albo traktowana niesprawiedliwie. Czuła ją także, gdy się dowiedziała, że Paul jest rosyjskim jeńcem, i bała się, że więcej go nie zobaczy.

To były tylko słowa, pomyślała. Nie powinna przykładać do nich tak wielkiej wagi. Był zdenerwowany. Ach, ten głupi pomysł z wystawą! Ból stawał się jednak coraz bardziej dojmujący i przepęniał ją. Jeszcze nigdy nie był aż tak silny.

Co on powiedział? Należy je spalić? Jak mógł powiedzieć coś takiego? Nie wiedział, że słowa mogą mocno ranić? Mogą nawet zabijać... Jak wielka musi być miłość, żeby przetrwać taki cios?

– Mamo!

Nagle zdała sobie sprawę, że wciąż stoi w korytarzu, dokładnie w miejscu, w którym uderzył ją tymi okropnymi słowami. On wybiegł, a ona stała nieruchomo. Paul, mężczyzna, którego kochała.

– Mamo!

Dodo zbiegła do niej po schodach. Palce miała ubrudzone atramentem, na kołnierzyku też widniała ciemnogrnatowa plama.

– Mamo, obiecałaś, że pojedziesz ze mną na lotnisko!

Stała przed nią, łapiąc oddech, a jej oczy były pełne oczekiwań.

– Dzisiaj? Dzisiaj jest zbyt gorąco na takie wyprawy, Dodo.

Na twarzy córki malowało się głębokie rozczarowanie, niemalże wybuchnęła płaczem. Marie wiedziała przecież, jak długo Dodo walczyła, żeby złożyć jej tę obietnicę, jak długo prosiła i błagała. Serce jej się kroilo, że tak mocno rozczarowała swoją córkę.

– Ale przecież obiecałaś!

Mało brakowało, a zaczęłyby tupać. Marie czuła, że nogi się pod nią uginają. Oczywiście sama była zraniona, czuła się nieszczęśliwa i chciała być teraz sama, ale Dodo nie powinna cierpieć z tego powodu.

– Zostaw mamę w spokoju – podbiegł do nich Leo i chwytając siostrę za

rękę, próbował ją odciągnąć od Marie.

Dodo się broniła.

– Dlaczego? Puść mnie!

Marie miała dobry słuch i słyszała doskonale, nawet gdy ktoś szeptał, zwłaszcza tak głośno jak teraz Leo:

– Tata był dla niej bardzo niedobry.

– No to co? Zawsze krzyczy.

– Ale dzisiaj był naprawdę wściekły.

– No i?

Oczywiście oboje to słyszeli. Paul mówił przecież wystarczająco głośno. Zapomniał, że głosy z parteru było doskonale słychać również na drugim piętrze? Oczywiście, że nie, przecież się tutaj wychował. Zdała sobie teraz sprawę, że te krzyki dotarły także do pracowników, którzy byli w kuchni. Do teściowej. I do...

– Oboje wracajcie szybko do mnie na górę. Nie skończyliście jeszcze prac domowych!

Serafina von Dobern stała na szczycie schodów i Marie wydawało się, że na jej twarzy wyraźnie maluje się wielka radość. Możliwe jednak, że tylko to sobie wyobraziła. Guwernantka zachowywała się wobec niej poprawnie, choć dobrze wiedziała, że Marie podważa jej metody wychowawcze, a nawet żąda jej zwolnienia. Było jasne, że Serafina von Dobern uważa ją za swojego wroga i oskarżenia Paula musiały ją ucieszyć.

– Niech je pani tutaj zostawi, pani Dobern, zabieram je zaraz do miasta.

Serafina wyprostowała swoją chudą sylwetkę, uniosła podbródek i spojrzała na Marie zza okularów.

– Przykro mi, pani Melzer, ale nie mogę na to pozwolić. Dodo ma karną pracę domową do zrobienia, a Leo musi nadrobić zaległości z wczoraj. Ponadto pani teściowa domaga się, żeby dzieci żyły w ustalonym rytmie i uczyły się dzięki temu porządku oraz samodyscypliny.

Mówiła cicho, ale pod woalem uprzejmości Marie czuła pewność siebie osoby, która okazywała właśnie swoją władzę. Pan domu poniżył żonę, więc sądziła, że może się jej przeciwstawić. Czy słowo Marie znaczyło jeszcze cokolwiek w tym domu? A może od teraz będą ją traktować jak jedną z pracowników? Czuła, że drży na całym ciele.

– Daję pani pół godziny, to musi wystarczyć! – rzuciła Serafinie z wymuszonym opanowaniem.

Zdjęła kapelusz i rzuciła go na komodę, skinęła głową w stronę Dodo i Lea, a potem przeszła obok guwernantki i skierowała się na pierwsze piętro. Pośpiesznie ruszyła przez korytarz i resztką sił weszła do gabinetu. Tam opadła na sofę, oddychała głęboko i zamknęła oczy. Co się ze mną dzieje?, zastanawiała się nieszczęśliwa. To przecież nie jest pierwsza kłótnia, która się zdarzyła między nią i Paulem. Będzie jeszcze długo żałował swoich słów. A dziś wieczorem z pewnością mnie przeprosi.

Ból był jednak tak głęboki, że czuła się sparaliżowana. Granica została przekroczona. Dzisiaj Paul okazał wprost, jak bardzo gardzi nią i jej pochodzeniem. On, Paul Melzer, przygarnął do siebie sierotkę Marie i okazał jej niesłychaną dobroć, biorąc ją za żonę. Dlatego miała być mu posłuszna. Musiała zerwać ze swoją przeszłością, odciąć się od prac swojej matki, które uznał za „paskudne” i które jego zdaniem należało spalić.

Nie rozumiał, że jej matka była częścią niej samej? Niezależnie od tego, co Luise Hofgartner robiła w czasie swojego szalonego życia, ona i tak ją kochała. Obrazy, które tak wiele o niej mówiły, były dla Marie skarbem – wiadomością, którą matka zostawiła dla niej po śmierci. Jak mogła znieść to, że Paul tak pogardliwie wyrażał się o tych pracach?

Z rozgoryczeniem pomyślała o tym, że to ojciec Paula przyczynił się do przedwczesnej śmierci Luise Hofgartner. Więcej nawet: Johann Melzer przywłaszczył sobie dzieło życia jej ojca, wykorzystał genialne projekty Jakoba Burkarda i w zdradziecki sposób odebrał mu jego udziały. Ona, Marie, zrobiła bardzo wiele, żeby wybaczyć Melzerom ich winę. Zrobiła to, bo kochała Paula i była przekonana, że miłość jest silniejsza niż cienie przeszłości.

Westchnęła i usiadła. Jak wąski i duszny był ten pokój. Wypełniony po brzegi szafkami i regałami z dokumentami. Wspomnieniami. Brakowało tu powietrza. Odsunęła ręce od policzków i poczuła, że jest rozpalona. Nie, nie pozwoli, żeby te cienie zniszczyły jej życie. Nie powinny też rujnować Paula, ale przede wszystkim musiała chronić przed tymi złowrogimi duchami swoje dzieci.

Musiała w tych okolicznościach odnaleźć samą siebie, uspokoić się. Nie pozwolić, żeby gniew zapanował nad jej życiem. Wstała i przysunęła do siebie aparat telefoniczny. Podniosła słuchawkę i czekała na połączenie. Wybrała numer Kitty.

– Marie? Ale miałaś szczęście, właśnie wychodziłam z domu. Wiesz już? Pani dyrektorowa Wieslerowa opracowała życiorys twojej matki – na podstawie zbiorów Samuela d’Oré, wyobraź sobie.

Co za wiadomość! W innej sytuacji Marie umarłaby z ekscytacji. Teraz słuchała jednym uchem szczebiotu Kitty.

– Kitty, proszę. Nie czuję się dobrze. Czy mogłabyś przyjechać i zabrać dzieci na lotnisko przy Haunstetter StraÙe? Dodo tak bardzo chciała zobaczyć samoloty.

Po drugiej stronie linii zapanowała cisza nabrzmiała zdziwieniem.

– Cooo? W taki upał? Na brudne, zakurzone lotnisko? A czy w ogóle da się to zrobić, bo przecież oni zdaje się splajtowali... Niedawno o tym rozmawiałam z trzema kolegami w cukierni Zeilera.

– Proszę, Kitty.

Brzmiało to tak poważnie i błagalnie, że Kitty się zdenerwowała.

– Ale ja... To jest... Dobry BoÙe, jest aÙ tak ðle, Marie? Co się dzieje? Letnia grypa? Odra? Wyobraź sobie, że wybuchło to ðwiństwo w szkole imienia Anny...

Marie znowu musiała przerwać tyradę Kitty. Kosztowało ją to wiele wysiłku, bo czuła się bardzo chora.

– Muszę pomyśleć, Kitty. Sama. Proszę, zrozum mnie.

– Pomyśleć?

WyobraÙała już sobie, że Kitty zakłada sobie włosy za ucho i wodzi oczami po pokoju, starając się zrozumieć, o co chodzi. I niemalÙe natychmiast złapała dobry trop.

– Paul znowu zachował się nieodpowiednio?

– Porozmawiamy o tym później. Proszę.

– Za dziesięć minut będę u ciebie. Poczekaj, nie, muszę jeszcze zatankować benzynę. Za dwadzieÙcia minut. Jeśli samochód da radę. Wytrzymasz tyle?

– Chodzi tylko o dzieci, Kitty.

– Na lotnisko? Koniecznie? Nie możemy pójÙ do cukierni na ciastka? Ech, pewno nie. Przygarnę kurczaczki. Henny! Gdzie jesteÙ? Henny, jedziemy na lotnisko!

– Dziękuję ci, Kitty.

Odłożyła czarną słuchawkę na widełki i poczuła ulgę. Teraz miała wolną przestrzeń, której tak potrzebowała. Musiała odzyskać jasność umysłu. Znaleźć drogę, by jednocześnie żyć w zgodzie ze sobą i odzyskać miłość. Inaczej człowiek nie może żyć. Gdy wychodziła z gabinetu, zadzwonił telefon stojący na biurku. Wzdrygnęła się. Przez chwilę zastanawiała się, czy podnieść słuchawkę, w końcu tego nie zrobiła. Pobiegnęła przez korytarz do schodów, zatykając uszy, żeby nie słyszeć tego uporczywego dzwonka. Na dole w holu czekały już Else i Gertie. Gdy pojawiła się Marie, odskoczyły od siebie jak przyłapani spiskowcy.

– Pani Brunnenmayer kazała zapytać, czy ma podgrzewać obiad. – W głosie Gertie Marie wyczuła pewne współczucie, a Else cofnęła się kilka kroków i zachowywała się tak, jakby była zajęta wycieraniem kurzu.

– Dziękuję, Gertie, powiedz pani Brunnenmayer, że nie będę jeść obiadu.

– Oczywiście, pani Melzer.

– Za dwadzieścia minut pani Bräuer przyjedzie po dzieci. Powiedz pannie von Dobern, że zostało to ze mną ustalone.

Gertie przytaknęła posłusznie i pomyślała, że guwernantka pewnie znowu się na nią rozzłości i jak już kilkakrotnie się zdarzyło, poskarży się Alicji Melzer na domniemaną impertynencję pomocy kuchennej.

– Przynieś, proszę, mój kapelusz.

Marie nie miała pojęcia, dokąd mogłaby pójść, wiedziała jedynie, że w willi nie ma teraz takiego miejsca, w którym mogłaby sobie wszystko przemyśleć. Ten dom wręcz oddycha pychą Melzerów, przekonaniem tej dynastii, że są więcej warci niż inni ludzie. Jak właściwie doszło do tego, że stali się tak potężnymi magnatami w branży włókienniczej? Skąd pochodziło to, co posiadali, ich wpływy? Oczywiście z genialnych wynalazków jej ojca. Bez Jacoba Burkarda fabryka tekstyliów by nie istniała.

Włożyła kapelusz, zerknęła w lustro i zauważyła, że jest bardzo blada. Czuła też, że jej nogi i ręce wciąż drżały. Nie zważała na to. Gdy Gertie otworzyła drzwi wejściowe, do holu wpadło południowe słońce i rzuciło na marmurową podłogę cień w kształcie niemalże idealnego kwadratu. Wyszła na słońce, zmrużyła oczy, zbiegła po schodach i poczuła upał. Droga w parku była zakurzona, a samochody i furmanki wryły w ziemi dwie głębokie koleiny na całej długości drogi, w których w czasie deszczowej pogody stała woda. Teraz były wyschnięte i pełne pyłu i brudu. Wcześniej ogrodnik dbał o drogę wjazdową, ale odkąd Gustav Bliefert pracował w willi jedynie sporadycznie, park i droga były zaniedbane.

Dlaczego mnie to martwi?, pomyślała Marie. Moja teściowa i mąż decydują o losie posiadłości i parku, mnie nikt o to nie pyta. Szła przez łąkę, żeby uniknąć spotkania z Kitty, i tą określną drogą dotarła do bramy parkowej. Ależ irytujące wspomnienia jej umysł wyciągał teraz z otchłani pamięci. To właśnie w tym miejscu wtedy stała i dostrzegła jakąś postać wyłaniającą się z mgły, postać, której początkowo się wystraszyła. Po chwili rozpoznała Paula. Wrócił właśnie z niewoli – nie mogła wówczas uwierzyć we własne szczęście. Odsunęła od siebie to bolesne w tej chwili wspomnienie, wyszła na ulicę i postanowiła pójść do miasta drogą między dwoma remizami, opuszczonymi budynkami i nowymi fabrykami. Czuła się już lepiej, jej oddech się wyrównał, dreszcze minęły – prawdopodobnie dlatego, że opuściła teren posiadłości.

Czy to już koniec?, zastanawiała się z przerażeniem. Nie, nie, znajdę jakieś rozwiązanie. Pogodzimy się, choćby dla dobra dzieci. Szara myszka przebiegła między jej stopami, a po niebie krążyły dwa ogromne jastrzębie – słyszała wysoki, przeciągły krzyk, jaki wydawały. Przeszła obok gazowni, wpatrując się w okrągły zbiornik wystający z ziemi, a potem minęła przedalnię bawełny przy Fichtelbach. Wszędzie wrzała praca, powstawały nowe budynki. Rynek papierów wartościowych sprawdził się, odzyskiwano zaufanie do państwowej gospodarki. Jakie to dziwne, że właśnie teraz, gdy można było znów z nadzieją patrzeć w przyszłość, jej szczęście osobiste się rozpadało.

Strumyki wciąż niosły niewiele wody, odważyła się nawet dwukrotnie je przekroczyć, stąpając z kamienia na kamień. Czy Paul nie opowiadał jej, że gdy był chłopcem, właśnie tutaj łowili z przyjaciółmi ryby? A swojemu własnemu synowi nie pozwalał na taką swobodę. Szła wzdłuż Milchbergu, poruszając się pomiędzy niewielkimi domami starej części miasta, żeby unikać mocno prażącego słońca. Rozpoznawała zapadające się dachy i tynk sypiący się ze ścian, zapach starego miasta też zachowała w pamięci jeszcze z czasów dzieciństwa. Zawsze pachniało tutaj wilgocią i błotem, zmurszałym drewnem drzwi prowadzących do środka i moczem. Psy biegały wokoło, bezpańskie koty wyglądały z piwnicznych okien, przerywając polowanie na szczury i myszy. Odkąd była dzieckiem, niewiele się tutaj zmieniło, niewiele domów było w lepszym stanie. Na przykład dwa budynki, które należały teraz do Marii Jordan. Przed jednym z nich, z dużą szybą wystawową, ustawiono stół z najróżniejszymi produktami, chaotyczną, pstrokatą układankę z owoców, warzyw, malowanych drewnianych pudełek, wazonów, blaszanych łyżek i naszyjników z fałszywych pereł. Gdy przechodziła obok, dostrzegła młodego pracownika z odstającymi uszami, który gorliwie obsługiwał

klientów. Marie pomyślała, że naprawdę można było zazdrościć Jordan. We właściwym momencie zamknęła pewien rozdział życia i zaczęła tworzyć swoją przyszłość. Była sama, więc mogła prowadzić działalność na własny rachunek i nie musiała nikogo prosić o zgodę. W istocie, Marie Jordan nie była osobą serdeczną, ale z pewnością miała duże zdolności.

Przeszła jeszcze trzy uliczki i znalazła się w miejscu, do którego skierowała się raczej nieświadomie niż dlatego, że taki miała zamiar. Dach domu został odnowiony, ale poza tym nic się nie zmieniło. Pod nim wisiała wciąż pomalowana tabliczka z drewna, na której widniał napis „Pod Zielonym Drzewem”, w jednej z brudnych szyb odbijały się promienie słoneczne, które przenikały tam przez szczelinę znajdującą się między domami. Marie oparła się o ścianę jednego z domów i spoglądała na budynek. Na samej górze w tym domu przyszła na świat i mieszkała tam z matką przez pierwsze dwa lata życia.

Luise Hofgartner starała się przeżyć, biorąc małe zlecenia, popadając w długi i prawdopodobnie również głodując, ale postanowiła, że nie sprzeda planów, które zostawił jej Jakob. A już na pewno nie mężczyźnie, który podstępnie zdobył jego udziały w fabryce. Ależ była uparta! Jaka surowa dla samej siebie. Kobieta, która przebijała głową mur. Również za cenę ryzyka, które w związku z tym musiała ponieść jej mała córeczka.

Serce Marie biło mocno i niespokojnie, nogi drżały, ogarnął ją strach, że za chwilę zemdleje w tej ponurej uliczce. Albo gorzej. Przypomniała sobie ze zgrozą noc w sierocińcu, gdy obudziła się w swoim łóżku cała zalana krwią i dopiero po chwili zrozumiała, że ta cała krew z niej wypłynęła. Krwotok. Omal wtedy nie umarła.

Nie, pomyślała i zaczęła głęboko oddychać, żeby opanować to głupie bicie serca. Nigdy nie pozwoli, żeby jej dzieci dorastały bez matki. Wolałaby raczej... No właśnie, co? Okłamywać samą siebie? Potrafiłaby to robić? Czy tego by chciała dla swoich dzieci? Miała być kobietą, która się poświęciła, która zrezygnowała z siebie na rzecz szczęścia rodzinnego. Było wiele powieści i historii, które powinny nakłonić młode kobiety do wybrania tego wzniosłego przeznaczenia. Niektóre z nich stały na pułkach w sierocińcu, kilka było także w biblioteczce w posiadłości. Luise Hofgartner z pewnością by je wyśmiała.

Odsunęła się od ściany i stwierdziła z ulgą, że chodzenie nie sprawia jej już kłopotu. Prawdopodobnie jej się wydawało, że bije jej mocno serce i drżą nogi, bo gdy zaczęła się ruszać, szło jej to bardzo dobrze. Najpierw skierowała się na Hallstraße, a stamtąd w stronę dworca kolejowego.

Niedaleko miejsca, gdzie przejeżdżały pociągi i gwizdały lokomotywy, na cmentarzu Hermana, martwi spoczywali w pokoju.

Jestem szalona, pomyślała. Dlaczego chcę tam jechać? Cuda zdarzają się tylko raz, a wielebny Leutwien, który mnie wtedy pocieszał i zabrał pod swój dach, dawno już nie sprawuje swojej posługi. Ale jej nogi wciąż prowadziły ją na to miejsce, coś ją tam przyciągało. Z pewnością nie był to grobowiec Melzerów i na pewno nie miejsce ostatniego spoczynku Edgara Bräuera, który po bankructwie jego banku targnął się na własne życie. Jej celem był kamień niewielkich rozmiarów, przylegający do murów cmentarza, ledwie wystający ponad ziemię. Wryto na nim imię jej matki – Luise Hofgartner. Marie od czasu do czasu kładła bukiet kwiatów przy tym kamieniu, tego gorącego lata przynosiła jedynie wieniec z bluszczu, bo wszystkie kwiaty natychmiast by zwiędły w słońcu.

Cmentarz był o tej porze niemalże zupełnie pusty. Dwie kobiety ubrane na czarno przechodziły między grobami, plewiąc i podlewając begonie, a obok kościoła przykucnęło dwoje dzieci i bawiło się szklanymi kuleczkami. Marie usiadła na trawie i delikatnie gładziła kamień zastępujący nagrobek, przesuwając palcami po jego krawędziach, a potem po inskrypcji. Co powinnam zrobić?, myślała. Daj mi jakąś radę, powiedz, co byś zrobiła na moim miejscu.

Promienie słoneczne padały prosto na nią, za murami, gdzie nie docierał wiatr, upał był jeszcze trudniejszy do zniesienia. Ptaki nawet zamilkły, jedynie stadko małych mrówek ciągnęło entuzjastycznie po trawie swoje zdobycze. Marie zrozumiała, że nikt nie może jej doradzić, nawet matka. Przywołała z pamięci zarzuty, które postawił jej Paul, i zastanawiała się, co powinna mu odpowiedzieć. Słowo „intrygi” zagrzmiało znów w jej głowie. Mój Boże, on naprawdę sądził, że zaplanowała z Kitty tę wystawę. Za jego plecami. Jak on mógł tak pomyśleć!

A o co mu chodziło z tym „kochankiem” i „kwiatowym kawalerem”? Dopiero teraz zaczęła analizować to zdanie, które wcześniej umknęło jej uwadze, bo poruszył ją przede wszystkim pogardliwy komentarz Paula na temat jej matki. Powiedział to ironicznie? Chyba nie mógł uważać, że naprawdę ma kochanka. A może? Czy miał na myśli Klippiego? Ernst wysyłał jej od czasu do czasu kwiaty, ale wręczał je też Kitty, a Tilly dostała od niego okazały bukiet na Wielkanoc. Paul musiał przecież wiedzieć, że Ernst von Klippstein nie odważyłby się do niej zbliżyć w nieprzyzwoity sposób.

Wyczerpana zaczęła się rozglądać za kawałkiem zacienionego miejsca

i znalazła je pod starym bukiem. Wiewiórka przeskoczyła po pniu i wspięła się między gałęzie. Tam kręciła się i szeleściła liśćmi – możliwe, że trafiła na jakiegoś rywala. Marie ściągnęła kapelusz i zaczęła się nim wachlować. Paul z pewnością pójdzie po rozum do głowy. A ona odpowie na jego zarzuty, wyjaśni mu, że do wczorajszego wieczoru nic nie wiedziała o planach Kitty, a Ernst von Klippstein zawsze zachowywał się jak dżentelmen. Powie mu też, że obrazy jej matki nie są dla niej „paskudztwem”. Oparła się tyłem głowy o pień buka i patrzyła na gęsto splecione gałęzie. Jedynie w kilku miejscach promienie słoneczne, niczym świetlne strzały, przebijały zielone listowie. Zamknęła oczy.

Nie, mówiło coś w środku niej. To się już nie uda. Granica została przekroczona. Nikt nie może ciągle się bronić przed nieuzasadnionymi zarzutami. Tam gdzie jest miłość, powinno być też zaufanie. Jeśli brakuje zaufania, miłość umiera.

On już mnie nie kocha, szeptała, nie rozglądając się wokół siebie. Gdzieś w pobliżu szumiała woda, może kobiety pompowały wodę ze studni. A może był to dźwięk strumienia czy rzeki. Jej serce nagle znów zaczęło pulsować, zrobiło się jej słabo. Oby tylko nie stracić przytomności. Pod żadnym pozorem nie tracić przytomności.

– Ach, Marie, ty moja przerażona Marie. Wiedziałam przecież. Marie! Co z tobą? Marie, moja słodka, moja kochana Marie.

Niczym przez lśniąca, migoczącą mgłę ujrzała pochylającą się nad nią twarz. Wielkie, przerażone, niebieskie oczy, krótkie włosy opadające na czoło i policzki.

– Kitty? Jest mi trochę... słabo.

– Słabo? To Bogu dzięki. Już myślałam, że nie żyjesz.

Mgła opadała, a Marie zauważyła, że leży na ziemi, pod bukiem, o który się oparła.

– Tak sobie pomyślałam, że przyjdiesz właśnie tutaj. Możesz wstać? Nie, czekaj, pomogę ci. A może powinnam wezwać doktora? Tam na dole jest jakieś małżeństwo, mogą nam pomóc.

– Nie, nie, już przechodzi. To tylko ten upał. A gdzie są dzieci?

Teraz, gdy Marie usiadła, poczuła znowu lekkie zawroty głowy. Kitty pogłaskała ją ze zmartwioną miną.

– Nasza banda urwisów jest u Gertrude. I ja też zaraz tam jadę.

Marie wstała z trudem, położyła dłoń na czole i poczuła, że Kitty otoczyła ją ramieniem.

– Na Frauentorstraße? – wyszeptała. – Kitty... Ja...

– Na Frauentorstraße – powiedziała Kitty energicznie. – I możecie zostać tak długo, jak długo chcecie. Jeśli chodzi o mnie, to nawet do końca świata. Albo nawet dłużej.

Zasunięcie zasłon niewiele pomogło, w biurze było tak duszno, że musiał zdjąć marynarkę i kamizelkę. Na szczęście nikt się nie zapowiedział, więc nikomu nie będzie przeszkadzało, że dyrektor firmy siedzi przy biurku w koszuli z podwiniętymi rękawami. Paul pracował jak w transie, nie robił przerwy, pił już szóstą filiżankę kawy i czuł, że jest coraz bardziej zdenerwowany. Zdał sobie sprawę, że stracił panowanie nad sobą. I tego właśnie najbardziej żałował. Nie panował już nawet nad tym, co mówił. I oczywiście sformułował swoje żale w sposób wyolbrzymiony, by ją głęboko dotknąć. To było zupełnie niepotrzebne, bo niesłusznie zrzucił na nią winę. Teraz musiał to odwołać i przeprosić ją. Sam siebie postawił w bardzo trudnej sytuacji. Ależ był z niego idiota. Trzykrotnie dzwonił do posiadłości i tego też teraz żałował. Najpierw nikt nie podniósł słuchawki. I powinien na tym poprzestać. Ale nie, chciał koniecznie uspokoić swoje sumienie i powiedzieć Marie, że jest mu bardzo przykro. Jej jednak nie było w willi i dowiedział się o tym, gdy zadzwonił po raz drugi.

– Dom Melzerów. Przy telefonie pani von Dobern.

Guwernantka! Co ona robiła w jego gabinecie? I dlaczego ona odebrała telefon?

– Tutaj Melzer – powiedział krótko i niezbyt uprzejmie. – Czy może pani poprosić moją żonę do telefonu?

– Przykro mi, panie Melzer, ale pana żony nie ma.

Przez chwilę pomyślał, że jego żona właśnie jedzie do niego do fabryki. Był poruszony, bo to nie ona powinna przecież prosić o przebaczenie.

– Poza tym pana dzieci, za pozwoleniem pańskiej żony, znowu zostały zabrane na Frauentorstraße. Zapewniam pana, że byłam temu przeciwna.

Nie miał ochoty słuchać jej gderania.

– A czy moja żona powiedziała, gdzie się wybiera?

– Niestety nie, panie Melzer. Widziałam, że idzie przez park, i wydawało mi się, że na kogoś czeka.

Stało się jasne, że jego wspaniała nadzieja zobaczenia Marie w biurze była jedynie próżną mrzonką. Poszła do parku. Po co?

– Wydawało się pani – powtórzył jej słowa. – Co pani ma na myśli, pani

von Dobern?

– Och, widziałam przypadkiem przez okno i uznałam, że musi być jakiś powód tego, że chowa się za krzakami.

Niemalże natychmiast wyobraził sobie, że czekał tam na Marie Ernst von Klippstein i brał ją w ramiona. Potem odzyskał częściową kontrolę nad swoimi wizjami i uznał, że nie ma podstaw do takich przypuszczeń. Ernst siedział w biurze obok i robił skrupulatne obliczenia dotyczące kilku transakcji.

– Bardzo poważnie pani nakazuję, pani von Dobern, żeby nie rozpuszczała pani tego rodzaju plotek na temat mojej żony – powiedział ostrym tonem.

– Przepraszam, panie Melzer, to nie było moim zamiarem. Naprawdę nie. Ja tylko się martwię.

Ta kobieta była wyjątkowo perfidną intrygantką. Dlaczego nie zauważył tego do tej pory? Przecież nie znosił jej już wtedy, gdy należała do grona zmanierowanych przyjaciółek Elisabeth.

– Proszę się raczej martwić o wychowanie moich dzieci. I niech pani nie zbliża się do aparatu. Odbieranie telefonów w willi nie należy do pani obowiązków.

Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę na widełki. Tak więc Marie sobie poszła. Przez park. Cóż, może poszła na spacer, żeby się uspokoić. Przy trzecim połączeniu to mama odebrała telefon.

– Marie? Nie, jeszcze nie wróciła. Dzieci też nie.

Było już po piątej. Co, u diabła, Marie robiła tak długo w parku? Czy w końcu ktoś ją stamtąd zabrał?

– A czy dzwoniłaś może na Frauentorstraße?

– Tak, dzwoniłam, nikt nie odebrał. Uważam to za skrajnie nieodpowiedzialne ze strony Kitty, pani von Dobern jest głęboko urażona. Nie może tak dalej być, musisz porozmawiać z Kitty.

– Może w niedzielę – odburknął. – Teraz jestem zajęty.

– Oczywiście, masz dużo pracy. Jak to dobrze, że możesz się z tego wszystkiego wykręcić.

– Do wieczora, mammo!

Ta rozmowa była z pewnością zupełnie niepotrzebna. Pracował do wpół do siódmej, a potem włożył marynarkę, kamizelkę i kapelusz słomkowy, kazał

przekazać von Klippsteinowi, że jedzie do domu, i wyszedł. Był w stanie skrajnego zdenerwowania i niemal przeoczył furmankę, jadącą ulicą, gdy wyjeżdżał z terenu fabryki w stronę Lechhauser Straße. Tak dalej nie mogło być. Te ciągle kłótnie dawały mu się we znaki, nie był sobą, odkrywał w sobie wszystkie te cechy, których nienawidził w swoim ojcu. Niecierpliwość. Porywczość. niesprawiedliwość. Arogancję. Bezwzględność. Tak, to właśnie było najgorsze. Co się stało z ich miłością? Nie mógł pozwolić, żeby zniszczyły ją te wszystkie nieporozumienia. Czyż nie pamiętał, jak małżeństwo jego rodziców przeżywało kryzys i Alicia i Johann oddalili się od siebie? Gdy jedynie się mijali, prowadzili oddzielne życie i mieli osobne sypialnie? Szczególnie mama cierpiała z tego powodu. Nie, nie chciał tego zrobić ani Marie, ani samemu sobie.

Zaparkował samochód tuż przy wejściu do willi, Julius później wstawił go do garażu. Z bijącym sercem wszedł po schodach na górę i znalazł się w korytarzu, gdy Else otworzyła mu drzwi. Było tutaj przyjemnie chłodno. Zostawiono otwarte drzwi na taras znajdujący się z tyłu domu, więc w korytarzu czuło się orzeźwiający, delikatny przepływ powietrza. Oddał Else kapelusz. Wahała się, czy nie zapytać o to, czym się tak martwi. Jego wzrok podążył w stronę wieszaków na ubrania – jeden z kapeluszy, jasny, słomkowy z szerokim rondem, z pewnością należał do mamy. Drugi, szary, w kształcie doniczki, prawdopodobnie był własnością guwernantki, a przynajmniej do niej pasował.

– Pańska matka prosi pana do czerwonego salonu.

Uśmiech Else po operacji szczęki zrobił się jeszcze węższy, zapewne nie chciała pokazywać luki w uzębieniu. Była teraz dużo cieplejszą osobą. Sprawiała wrażenie bardzo życzliwej.

Marie nie ma w domu, pomyślał, starając się jednocześnie opanować ogarniającą go panikę. Wypadek? O Boże, tylko nie pozwól, żeby coś się jej stało. A dzieci?

Alicia Melzer odpoczywała w czerwonym salonie. Leżała na sofie, jej głowę podparła duża poduszka, a na czole miała zimny okład. Obok sofy na fotelu siedziała Serafina, której zadaniem było co jakiś czas moczyć bawełnianą szmatkę w zimnej wodzie i położyć z powrotem na czole Alicii.

Wszedł po cichu i zamknął za sobą drzwi, tak żeby nie wywołać najmniejszego hałasu, i podszedł do sofy. Mama powoli przekręciła głowę w jego stronę, uniosła kompres nieco wyżej i otworzyła oczy.

– Pani von Dobern, może pani już iść.

– Dziękuję, pani Melzer... Życzę szybkiej poprawy. Będę w pobliżu, gdyby mnie pani potrzebowała.

Serafina skinęła głowę Paulowi, zauważył, że jest urażona – pewnie miała mu za złe ich rozmowę telefoniczną. Alicia czekała, aż guwernantka zamknie za sobą drzwi, wrzuciła kompres do miski i usiadła.

– Dobrze, że wreszcie jesteś, Paul – jęknęła. – Dzieją się straszne rzeczy. Ziemia rozpada się pod naszymi stopami. Niebo się wali.

– Mamo, proszę cię!

Przesunęła dłonią po wilgotnym czole i westchnęła.

– Kitty dzwoniła pół godziny temu. Marie i dzieci są u niej na Frauentorstraße.

– Bogu niech będą dzięki! – wykrzyknął ze szczerą ulgą. – Już się bałem, że coś im się stało.

Alicia spojrzała na niego przenikliwie.

– Pozwól mi dokończyć, Paul. Moja córka przekazała mi sucho, że Marie ani myśli wracać do posiadłości. Zostanie u Kitty razem z dziećmi.

Paul poczuł, jak traci oddech. Dobrze usłyszał? To przecież niemożliwe, Marie przynależy do tego domu. Jest jego żoną. Co za nedorzeczne pomysły przedstawia Kitty?

– Przecież nie myślisz, że to prawda, mamo?

Alicia machnęła ręką w geście wyczerpania i bezradności.

– Oczywiście, że nie. Ale sędzę, że mówiła poważnie. Wyobraź sobie. – Musiała użyć chusteczki, bo łzy napływały jej do oczu. – Hanna, ta perfidna dziewczyna, wślizgnęła się niezauważalnie do domu, zapakowała szkolne rzeczy dzieci i ich ubrania do walizek i zniosła tam. – Teraz przytłoczyła ją prawdziwa rozpacz. Z synowej mogłaby zrezygnować. Ale nie z wnuków. Z jej ukochanych wnuków. – Paul, ona nas opuściła i zabrała dzieci. Nigdy nie spodziewałabym się tego po Marie. Ale tak się dzieje, gdy poślubia się kobietę, która nie odebrała właściwego wychowania. Matko Boska Maryjo, doświadczyłam niełatwych chwil w swoim małżeństwie, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby zostawić męża.

– To wszystko jakieś brednie! – wykrzyknął Paul. – Kitty to wymyśliła, żeby mnie wystraszyć. Wiesz przecież, jaka ona jest.

Alicia westchnęła, wycisnęła kompres z lodowatej wody i położyła na

swoim czole.

– Znam moją córkę Kitty, oczywiście. Ale Marie to dla mnie zamknięta księga. Ona bywa taka wyrozumiała. Tak niesamowicie cierpliwa. Tak nieskończenie pomocna. Tak, ona ma wiele dobrych cech, ta twoja żona. Ale potem znów, zupełnie nagle, robi rzeczy, których nikt by się nie spodziewał. Chłodno i bezlitośnie.

Paul wstał, żeby delikatnie matkę objąć i nieco uspokoić. Znajdzie odpowiednią okazję, obiecał jej. Jeszcze dzisiaj. Nie powinna się tak denerwować.

– Wszystko będzie dobrze, mamo. Jadę teraz na Frauentorstraße i porozmawiam z Marie. Najpóźniej za dwie godziny będziemy tutaj wszyscy razem.

– Oby było tak, jak mówisz.

Kiedy otworzył drzwi, dostrzegł Gertie i Juliusa stojących przed drzwiami do jadalni i bez skrępowania wymieniających się usłyszczanymi nowinkami. Gdy go zobaczyli, Julius przyjął właściwą postawę, a Gertie odsunęła się na bok zakłopotana, bo powinna być teraz w kuchni.

– Mam wjechać samochodem do garażu, panie Melzer?

– Nie, będę go jeszcze potrzebował.

Julius uklonił się lekko, inne pytania nie przychodziły mu już do głowy. Kilka miesięcy temu Paul odbył ze swoim pracownikiem poważną rozmowę i obiecał mu ograniczyć uprawnienia guwernantki. Zrobił to. Niestety jego matka nieustannie torpedowała jego zalecenia i wobec tego pozostawał bezradny.

– Gertie, jeśli już tu jesteś: powiedz w kuchni, że później zjemy obiad. I dowiedz się, może moja matka czegoś potrzebuje.

– Oczywiście, panie Melzer.

Już po chwili poderwała się z miejsca, zwinnie niczym łasica. Sprytna dziewczyna, ta Gertie. Szkoda, że nie zostanie dłużej w domu – pewnie będzie chciała być kimś więcej. A może należałoby ją wręcz zachęcać, żeby kształciła się na kucharkę. Albo na pokojówkę. Zdziwiło go, że w tych okolicznościach zastanawiał się nad przyszłością Gertie.

Znacznie ważniejsze w tej chwili było ustalenie, jak przeprowadzić rozmowę z Marie, choć nie chciał wymyślać nic szczególnego. Po prostu z nią porozmawia. W dobrej wierze. Bez wyrzutów. Należało zachować

spokój i pod żadnym pozorem nie wpadać w gniew. Wysłuchać jej. Tak, to była najpewniej najlepsza taktyka. Pozwoli jej mówić, będzie słuchał bez żadnego sprzeciwu – to będzie piekielnie trudne – jej żalów i poczeka, aż minie jej złość. Jeśli ona wyrzuci wszystko z siebie, to potem już będzie łatwiej. Przede wszystkim musiał sprowadzić ją i dzieci z powrotem do willi. To było najważniejsze. Później mogą szukać rozwiązania. Nawet trochę się kłócić, jeśli to było konieczne. Lepiej jednak nie. Początkowo ustąpi we wszystkich kwestiach, a potem raz jeszcze powróci do poszczególnych problemów – na przykład wychowania Lea – i zacznie forsować swoją wizję.

Wciąż było gorąco, choć słońce wisiało już nisko nad horyzontem i jego promienie nie wydawały się teraz męczące. W centrum miasta mury domów i chodniki kumulowały upał przez cały dzień, teraz go z siebie wyrzucając. W niektórych restauracjach stoliki wystawiono na zewnątrz – młodzi ludzie siedzieli przy nich, pijąc kawę lub piwo. Gdy tamtędy przejeżdżał, zauważył, że niektóre kobiety przyszły tam same bez towarzystwa mężczyzn, co przed wojną byłoby wręcz nie do pomyślenia. Niektóre z nich nawet paliły publicznie. Od czasu do czasu pomachał do niego ktoś znajomy, kto rozpoznał go za kierownicą kabrioletu. Paul radośnie odpowiadał na pozdrowienie, a gdy była to kobieta, dotykał kapelusza z uprzejmym uśmiechem. Gdy dojeżdżał na Frauentorstraße, był pełen nadziei i zastanawiał się, skąd ci ludzie mają czas i pieniądze, żeby siedzieć wieczorem w restauracji w powszedni dzień tygodnia. Wciąż było tylu bezrobotnych, którzy nie wiedzieli, jak wykarmić swoje rodziny, a inni przepuszczali pieniądze przy winie, kawie i bezsensownych plotkach.

Ustawił samochód przed wejściem do ogrodowej chatki, której Kitty używała jako garażu. Usłyszał dźwięki fortepianu. Brzmiały tak, jakby Leo starał się grać o wiele dla siebie za trudny utwór. Jeśli się nie mylił, była to *Appassionata* Beethovena. Początek udał się dość dobrze, ale później przypominało to tylko wymuszone jękanie. Gdyby chłopak wykazywał podobną determinację w innych dziedzinach, mógłby wiele osiągnąć.

Wyglądził kurtkę i odchrząknął, zanim zadzwonił do drzwi. Nie otworzono od razu – w domu nie było pokojówki – więc zdążył jeszcze zdjąć kapelusz. Pod żadnym pozorem nie chciał się wydawać despotyczny i arogancki.

Kazano mu czekać. Prawdopodobnie zobaczyli jego samochód przez okno, może widzieli także, jak wysiada i staje przed drzwiami. Słyszał jakieś głosy dochodzące z wnętrza domu, rozpoznawał głównie paplaninę Kitty. Gra na pianinie ustała. Potem wreszcie uchylono drzwi. Gertrude zrobiła jedynie wąską szparę, przez którą podejrzliwie spoglądała na Paula. Bała się, że

skoczy jej z pazurami do oczu?

– Dobry wieczór, Gertrude – powiedział przyjaźnie. – Mogę wejść?

– Lepiej nie.

Czyli ustawiły przed drzwiami swojego cerbera. Ale tak łatwo się go nie pozbędą.

– Chciałbym zobaczyć żonę i dzieci – powiedział już nieco energiczniej. – Sądzę, że mam do tego prawo.

– Ja tak nie myślę.

Niewiarygodne! Gertrude Bräuer była osobą nietuzinkową. Gdy żył jej mąż, wszyscy się bali jej ciętego języka podczas wieczornych spotkań znajomych z towarzystwa, bo zawsze mówiła to, co miała na myśli.

– Przykro mi, Gertrude – powiedział i włożył stopę w szparę w drzwiach. – Nie jestem gotowy na takie gierki. Jeśli nie chcesz, żebym wrócił z policją, to się odsuń!

Pchnął drzwi ramieniem i wszedł do środka. Gertrude nie miała dość siły, żeby odeprzeć jego atak, więc się wycofała. W tym samym momencie w korytarzu pojawiła się Kitty. Jego siostra była blada i wyjątkowo poważna.

– Będzie lepiej, jeśli sobie pójdiesz, Paul – powiedziała cicho. – Marie jest chora. Doktor Greiner powiedział, że nie wolno jej się denerwować.

– Chora? – zapytał z niedowierzaniem. – A co jej jest?

– Zemdląca. Wiesz przecież, że kiedyś miała krwotok.

Nie chciał wierzyć, prosił więc, żeby go do niej wpuściła. Tylko na nią spojrzysz, jest przecież jej mężem.

– Dobrze, ale nie budź jej. Doktor Greiner dał jej tabletki na sen.

Marie leżała w łóżku Kitty, delikatna i bardzo blada, z zamkniętymi oczami. Wyglądała jak Królowa Śnieżka w trumnie. Ze strachu zrobiło mu się słabo.

– Jutro – powiedziała Kitty, zamykając drzwi. – Może jutro.

Odjechał z kwitkiem. Nie nastawał nawet na to, żeby zabrać ze sobą dzieci, nie chciał robić zamieszania, które mogłoby zaszkodzić Marie.

Sierpień 1924

Eleonore Schmalzler nie zmieniała się niemal wcale, będąc na emeryturze. Elisabeth wydawało się nawet, że ich była gospodyni wręcz odmłodziła o kilka lat. Być może stało się tak dzięki dobremu wiejskiemu powietrzu, dużej ilości jedzenia oraz dlatego, że nie musiała już brać odpowiedzialności za prowadzenie domu w posiadłości Melzerów. Tutaj w małym saloniku, pomiędzy staromodnymi meblami i przywiezionymi z Augsburga kolorowymi zasłonami, wydawała się Elisabeth, czego można jej było zazdrościć, szczęśliwa i zadowolona z życia.

– Bardzo się cieszę, że mnie odwiedzasz, droga Liso. Czy mogę wciąż mówić Lisa, gdy jesteśmy tylko we dwie?

– Oczywiście. Jak najbardziej – zapewniła ją Elisabeth gorliwie.

Gospodarstwo rolne rodziny Maslow znajdowało się na wschód od posiadłości Maydornów, niedaleko od Ramlewa. Cztery niewielkie dwory pretendowały do bycia niezależnymi gospodarstwami rolnymi. Trzy z nich wciąż musiały sobie wzajemnie pomagać, czwarte, Maslowów, miało się natomiast nadzwyczaj dobrze. Elisabeth zdawała sobie sprawę, że nowy dach i piękna dobudówka przy salonie powstały dzięki oszczędnościom byłej gospodyni. Chyba dobrze zainwestowała kapitał, gdyż „ciocia Jella”, jak ją tutaj nazywano, odgrywała znaczącą rolę w życiu rodziny.

Rodzina Maslowów miała swoje korzenie w Rosji, w emigrowali stamtąd w czasach napoleońskich i dorobili się majątku dzięki pracowitości i wytrwałości. Ciotka Elvira opowiadała kiedyś Elisabeth, że Eleonore Schmalzler nazywała się kiedyś Jelena Masłowa i to nazwisko widniało też w jej dokumentach. To Alicia zrobiła z Jeleny – Eleonore, a z nazwiska Masłowa – Schmalzler. Nie chciała mieć w Augsburgu pokojówki z rosyjskim nazwiskiem.

– Praca w dużym gospodarstwie była wówczas czymś niezwykłym – opowiadała Schmalzler, nalewając Elisabeth kawę. – Gdy nadchodziły żniwa, też się tam przyjeżdżało, ale jedynie na kilka tygodni w lecie i trzeba było spać w stodole. Zatrudniano także dziewczyny do pracy w stajni, rzadko jednak zdarzało się, żeby te mieszkaly w domu razem z rodziną właściciela ziemskiego, a więc tymi „najświętszymi”. I takie zatrudnienie też najczęściej

trwało jedynie kilka miesięcy, bo twoja babka wprowadziła bardzo surowe rządy.

Elisabeth przytaknęła i przypomniała sobie, co ciotka Elvira mówiła o „fizycznym wzmacnianiu”. Dziewczęta ze wsi nie miały lekko w pańskich domach. Ale unikała tego tematu, żeby nie sprowokować Schmalzler do dalszych wynurzeń.

– A jak się pani udało zostać pokojówką?

Eleonore Schmalzler uśmiechnęła się nie bez poczucia dumy i położyła na talerzu Elisabeth kawałek śmietanowego ciasta.

– Cóż, tak wyszło. Gdy znalazłam się w gospodarstwie, miałam trzynaście lat. Razem z twoją matką od początku byłyśmy jak siostry. Oczywiście z zachowaniem dystansu właściwego dla naszego statusu. Ale świetnie się rozumialiśmy jako nastoletnie dziewczęta. Wiesz na pewno, że twoja matka miała poważny wypadek, gdy jechała konno. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, zaraz po tym, jak jej ukochany brat zginął na wojnie z Francuzami. Siedziałam wtedy przy niej całe dni i noce. Pocięzałam ją w smutku, choć ona i tak była coraz bardziej zrozpaczona.

Elisabeth napiła się kawy, w której na szczęście było również mleko. Mama bardzo rzadko wspominała o swoim starszym bracie Ottonie, ale Elisabeth wiedziała, że zginął we Francji. Z tego też względu Alicia nienawidziła wszystkiego, co francuskie.

– Był przystojnym, młodym mężczyzną – opowiadała Eleonore Schmalzler, wyglądając z rozmarzeniem przez okno. – Wysoki, ciemne włosy i lekki zarost na brodzie. Często się śmiał, kochał życie. I odszedł tak młodo.

Patrzcie, patrzcie, pomyślała Elisabeth. Czyżby mała Jella była zakochana w poruczniku Ottonie von Maydornie? W tej wizji Schmalzler było coś niezwykle rozcudzającego. Po tylu latach, gdy on już tak długo leżał w ziemi, a tamta dziewczynka była starszą panią.

– Nic nie jesz, Liso! Częstuj się śmiało, wydaje mi się, że schudłaś ostatnio. Nie czujesz się dobrze? Nie lubisz życia na wsi? Byłoby szkoda, bo miałam nadzieję, że kiedyś przejmiesz to piękne gospodarstwo.

Lisa wzięła się w garść i zjadła trochę tłustego ciasta. Wiejskie smakołyki. Dużo masła i smalcu, mnóstwo śmietany i mąki, jajek, wędzonej kiełbasy, pieczeni wieprzowych i kartofli. Nie wspominając o pieczonej gęsi, którą podawano nie tylko w Boże Narodzenie. Zrobiło się jej niedobrze i szybko odstawiła talerz na stół. Na szczęście uwagę Schmalzler przyciągnął wielki,

załadowany po brzegi wóz, ciągnięty przez dwa konie, który wjechał na podwórze, a troje wnuków, którzy na nim siedzieli, machało do niej z dumą. Były to już drugie sianokosy w tym roku, jeśli pogoda się utrzyma i spadnie trochę deszczu, będzie trzeba ścinać trawę po raz trzeci.

– Popatrz tylko na nich, Liso – powiedziała Schmalzler, klaszcząc w dłonie.
– Gottlieb i Krischan już się umawiają, a Martin też niedługo będzie się rozglądał za kobietami. Ależ oni rosną, ci malcy.

– Tak, to się dzieje bardzo szybko – odpowiedziała Elisabeth, starając się uspokoić żołądek.

Niewiele to pomagało, musiała szybko stąd wyjść. A właściwie w jakim wieku byli ci chłopcy? Gottlieb miał dziewięć lat, gdy tutaj przyjechała, a Krischan, który tak naprawdę miał na imię Christian, jest dwa lata młodszy. Martin nie chodził jeszcze do szkoły. Dlaczego więc w fabryce robiono taką szopkę, gdy pracownica nie miała jeszcze czternastu lat? Tutaj, na wsi, dzieci zaczynały pracować, gdy tylko mogły utrzymać w rękach grabie. Niektóre już w wieku pięciu lat, inne, gdy kończyły sześć lub siedem. A praca na wsi to nie bajka, oj, na pewno nie. Na zewnątrz chłopcy energicznie uderzali pięściami w szyby okienne.

– Ciociu Jello, ciociu Jello! Umiem już jeździć na koniu, Gottlieb mi pokazał – krzyczał Martin, zanim jeszcze weszli.

– Ciociu Jello, zrobisz nam dzisiaj wieczorem słodki pudding ze śliwkami?

Eleonora otworzyła okno i wyjaśniła przyjaźnie, ale stanowczo, że w tej chwili ma u siebie gościa i nie można jej przeszkadzać. Słodki pudding wchodzi natomiast w grę dopiero w niedzielę, ale jeśli się teraz porządnie umyją i uczeszą, będzie dla nich miała trochę ciasta śmietanowego. Trzej chłopcy pobiegli potem do stodoły, gdzie ich ojciec zaczął już ściągać siano z wozu. Gottlieb i Krischan mieli za zadanie odprząc konia i zaprowadzić go do stajni, a Martin mógł trochę poskakać na stercie siana. Lisa postanowiła powiedzieć Schmalzler o swoich problemach. Gdy chłopcy przyjdą tutaj na ciasto, będzie za późno.

– Mam pytanie, panno Schmalzler.

Nie wydawała się zaskoczona, najwyraźniej się tego spodziewała. Ostrożnie zamknęła okno i usiadła przy stole obok Lisy.

– To jest sprawa, która powinna zostać między nami.

Siedząca obok niej przytaknęła, a Elisabeth wiedziała, że może polegać na Eleonore Schmalzler. Dyskrecja zawsze była jedną z jej najlepszych cech.

– Chodzi o... o pana Winklera.

Elisabeth przerwała i miała nadzieję, że panna Schmalzler sama podejmie temat. Była gospodyni domu Melzerów spojrzała na nią z uwagą, ale milczała.

– Dowiedziałam się od cioci, że spędził on tutaj jedną noc w maju, zanim... pojechał dalej.

– To prawda.

Dlaczego musiała od niej wyciągać każde słowo? Schmalzler przecież już dobrze wiedziała, do czego zmierza.

– Czy on mówił... czy opowiadał może...

Utknęła. Jak trudno znaleźć właściwe słowa! Sebastian nie był plotkarzem, na pewno nie zdradził nic o łączącej ich relacji. A może...

– A co miałyby mówić?

– O tym, co zamierza. O swoich planach. Gdzie chce się udać.

Schmalzler położyła ręce na brzuchu. Na tle ciemnej wełny jej dłonie wyglądały na bardzo blade, gładkie, bez żadnych rys czy przebarwień, ręce kobiety, która nigdy nie musiała pracować na polu.

– Cóż – powiedziała przeciągle. – Już cztery lata temu, gdy jechaliśmy razem na Pomorze, długo rozmawiałam z panem Winklerem. To człowiek z zasadami.

Zrobiła przerwę i popatrzyła badawczo na Elisabeth.

– To także moje wrażenie – pośpiesznie dodała Lisa.

– On był wtedy w fatalnej sytuacji – ciągnęła Schmalzler. – Wszyscy wiemy o jego uczestnictwie w powstaniu Republiki Rad i jego pobycie w więzieniu. Podczas podróży dużo rozmawialiśmy na ten temat i doszłam do wniosku, że pan Winkler jest idealistą, który chce dla ludzi wszystkiego, co najlepsze.

Elisabeth pokiwała przytakująco głową. Co on mógł jej powiedzieć?

– Był nieskończenie wdzięczny za otrzymaną posadę w posiadłości Maydornów – powiedziała Schmalzler z uśmiechem. – Tym bardziej że, jak się później dowiedział, ty też przyjedziesz z mężem na Pomorze.

Elisabeth poczuła, że robi się czerwona. Oczywiście, że Schmalzler przejrzała jej gierkę. Czy oczekiwała czegoś innego? Nie powinna była tutaj przychodzić. Ale niestety tylko tu mogła dowiedzieć się czegoś więcej

o Sebastianie.

– Tak... tak to wyszło – powiedziała. – Poważne rany mojego męża wymagały przedsięwzięcia szczególnych środków. Tutaj na wsi było mu łatwiej zacząć nowe życie.

– Oczywiście – odparła Eleonore Schmalzler, wypła łyk kawy i odstawiła filiżankę ostrożnie na spodek.

Elisabeth drżała z niecierpliwości. Czy nie słyhać już było głosów głodnych chłopców?

– Cóż – zaczęła panna Schmalzler. – W maju pan Winkler przybył do nas późną nocą. Byliśmy wszyscy bardzo zaskoczeni, bo szedł na piechotę i niósł torbę podróżną. Prosił o nocleg, którego oczywiście mu udzieliliśmy. Nie zdradził nam powodów swojego nagłego wyjazdu, ale chciał jechać do Norymbergi. Mój syn następnego ranka odwiózł go wozem do Kolbergu.

Tego Elisabeth domyśliła się wcześniej sama. Uciekał w nocy, ten uparciuch. Powodowany okropnym gniewem, że „stał się słaby” i zrobił to, czego od niego oczekiwała. I że miał z tego tak samo wiele przyjemności jak ona. Ale pan Winkler był przecież „człowiekiem z zasadami”.

– Do Norymbergi. A podał może jakiś adres?

– Powiedział, że nie jest pewien, czy go tam przyjmą.

Elisabeth poczuła znowu nadchodzącą falę mdłości, wychodzącą z żołądka, i oddychała głęboko, żeby ją zwalczyć. To było takie upokarzające, że bawiła się tutaj w szpiega. Dlaczego aż do dzisiaj się do niej nie odezwał? Ale tak było zawsze: gdy się zaangażowała, czekało ją niepowodzenie. W miłości zawsze miała pecha.

Jakby na potwierdzenie tych myśli dało się słyszeć pukanie.

– Ciociu Jello!

Najmłodszy z trojga wnuków zaglądał właśnie przez uchylone drzwi i ucieszył się, gdy zobaczył ciasto na stole.

– Wejść do środka, Martinie. Powiedz dzień dobry pani von Hageman i ukłoń się. Tak jest dobrze. Pokaż ręce. No, pięknie. Usiądź tam.

Elisabeth z takim samym trudem jak ten sześćioletni chłopiec starała się dopełnić wszystkich zasad ceremonii przywitania. Był ładnym chłopcem, miał brązowe loki, jasne oczy i zawadiacki uśmiech. Patrzyła, jak rzuca się na ciasto śmietanowe, i myślała, że cudownie jest mieć takiego chłopca. Dlaczego przyszło jej to teraz do głowy?

– Bardzo się cieszę, że mogłam z panią porozmawiać, panno Schmalzler. Mam nadzieję, że spotkamy się niebawem w gospodarstwie.

Eleonore Schmalzler wstała, żeby odprowadzić gościa do drzwi. Zawahała się, a potem chwyciła Elisabeth za rękę.

– Zaczekaj – powiedziała cicho. – Nie wiem, czy to, co robię, jest słuszne. Ale myślę, że jestem do tego zobowiązana.

Otworzyła drzwiczki szafki i wyciągnęła list, który ukryła między wazonem a wazą.

– Napisał do mnie w czerwcu i poprosił mnie, żebym mu opowiedziała o tym, co się dzieje w gospodarstwie. Co pokrótce zrobiłam. Kolejnych listów nie chciałam pisać i żadnego też nie otrzymałam.

List został nadany w Günzburgu i był też adres zwrotny. Sebastian Winkler – u rodziny Josepha Winklera, Pfluggasse 2. Czyli zatrzymał się u swojego brata. Ach ta Schmalzler, ależ ją przetrzymała!

– Będę się za ciebie modlić, Liso – powiedziała panna Schmalzler z wielką powagą. – Życie nie zawsze obchodziło się z tobą miłosiernie, dziewczyno. Ale jesteś silna i pewnego dnia znajdziesz szczęście. Wiem to na pewno.

Objęła Elisabeth na pożegnanie i przycisnęła mocno do siebie, czego wcześniej nie ośmieliłaby się zrobić. Elisabeth poczuła się bardzo wzruszona, prawie tak, jakby Eleonore była jej matką, która ją czule trzyma w ramionach.

– Dziękuję pani, dziękuję z całego serca.

Na koźle powozu poczuła się lepiej, nawet podskakujący wóz i zapach kłaczy dobrze na nią działały. Przede wszystkim jednak jej samopoczucie poprawił list, który trzymała w kieszeni. Oczywiście było możliwe, że Sebastian już zmienił miejsce pobytu, ale jego brat z pewnością przekazuje mu pocztę. Chciał wiedzieć, co się dzieje w gospodarstwie Maydornów. A czy martwił się o nią? Ach, tak! Pewnie chciał wiedzieć, czy zrobiła to, czego od niej oczekiwał – czy się rozwiodła? A gdy przeczytał, że nie ma o tym mowy, nigdy się do niej nie odezwał. Och, ten głupiec.

Mocno się pokłócili w tamtą majową noc. Nie od razu, najpierw oboje byli niewymownie szczęśliwi. Czuła się tak, jakby gwałtowne upojenie zawładnęło całym jej ciałem, jakby eksplodowała ich długo skrywana namietność, pożądanie, które sprawiło, że ledwie wiedzieli, co się z nimi dzieje. A potem przyszło zmęczenie. I wreszcie – świadomość. Tak właśnie kiedyś musiało być w raju. Zakazany owoc został strawiony i wtedy już tylko anioł czekał z karzącym mieczem. W ich przypadku to Sebastian przejął jego

rolę.

– Jest tylko jedno jedyne rozwiązanie – powiedział. – Chcę, żebyś została moją żoną. Żebyś przyznała się do mnie otwarcie przed całym światem. A przysięgam ci, że będę cię nosił na rękach.

Znalazłby pracę. Małe mieszkanie obok wiejskiej szkoły. Skromne życie, uczciwe i szczęśliwe. Nie, nie jest gotowy, żeby z nią wrócić do Willi Melzerów. Nie chce też żadnych protekcji od jej rodziny. Bo jest bardzo staroświecki. A jeśli ona nie jest gotowa, żeby dzielić z nim ten los, to znaczy, że go nie kocha.

Och, jak ona mu wtedy skoczyła do oczu! Powiedziała, że nie przywykła do życia w biedzie i że to głupota rezygnować z pomocy jej rodziny. I to wątpliwe, że dostanie pracę, bo przez pięć lat był aktywnym członkiem Republiki Rad. A on nie pozostał jej dłużny. Już dość długo prowadziła go na krótkiej smyczy. Czy nie rozumie, jak go tym krzywdziła? Potem zaatakował jej małżeństwo, uświęcony związek między kobietą i mężczyzną, którzy powinni założyć rodzinę. Przez cały czas miał nadzieję, że ona to pojmie i zdecyduje się na rozwód. Oczywiście rozumiał, że współczuje mężowi z powodu jego obrażeń wojennych, które okropnie go zeszpeciły. Ale tymczasem jej mężowi wiodło się znakomicie, a on, Sebastian, każdego dnia był rozpaczony i pragnął umrzeć. Czy odpowiedziała mu coś w rodzaju „nie zachowuj się w ten sposób”? Nie potrafiła sobie wyraźnie tego przypomnieć, byli w końcu oboje zdenerwowani i rozgniewani.

Ale on nagle wyskoczył z łóżka, ubrał się i wybiegł. A ona, z powodu tej przeklętej kontuzji stopy, nie mogła pobiec za nim. Za chwilę się uspokoi, pomyślała wtedy. Przecież spał ze mną, musi więc zostać. Tymczasem wydarzyło się coś zupełnie odwrotnego. Następnego ranka dziewczyna pomagająca w kuchni powiedziała jej, że pan Winkler opuścił dom późno w nocy. Uciekał jak oparzony i zostawił nawet swoją dużą walizkę, którą wcześniej spakował.

Bez listu pożegnalnego. Bez adresu. Nie dał jej żadnej szansy. Pierwsze tygodnie były dla niej straszne. Lekarz tak jej naciągnął stopę, że zrobiło się jej niedobrze, a potem powiedział, że to było gładkie pęknięcie, więc miała szczęście. Przez sześć tygodni nie mogła obciążać stopy i musiała trzymać ją w zabandażowanej szynie. Leżała więc dzień i noc w swoim pokoju, szamocząc się między gniewem, rozpaczą i tęsknotą, pisząc niezliczone listy, które dziewczyna z kuchni codziennie musiała palić na jej oczach.

Starła się czytać, dziergała jakieś nedorzeczne wzory i bawiła się z szarym

kotem, który zakwaterował się na jej łóżku i jadł z nią posiłki. Od czasu do czasu pytała, czy przyszła do niej poczta. Kitty do niej napisała. I Serafina. Mama pisała czułe listy, Marie także ją pozdrawiała i życzyła powrotu do zdrowia. Tylko ten, na którego list czekała tak rozpaczliwie, nie wysłał żadnej wiadomości. Gdy wreszcie wstała i zaczęła kuśtykać, musiała jeszcze wiele popracować nad swoją kostką. Była też tak zajęta innymi sprawami, że początkowo nie zauważyła zmian zachodzących w jej ciele. Oczywiście, że trochę przytyła od długiego leżenia. Ale dlaczego jej piersi prawie rozerwały gorset? I dlaczego ciągle musiała chodzić do toalety – przeziębila sobie pęcherz? No dobrze, miesiączka się nie pojawiła już drugi raz, ale zawsze dostawała ją nieregularnie. Dopiero gdy zaczęła miewać okropne poranne mdłości, wpadła w konsternację. Te poranne mdłości wkrótce zaczęły jej towarzyszyć w ciągu całego dnia i przeszkadzały jej nawet w czasie snu. To było straszne – prawie nic nie mogła jeść, jedzenie zawsze znajdowało sobie drogę powrotną z jej żołądka. Brrr!

Udało się jej teraz wytrzymać kilkadziesiąt metrów jazdy powozem, ale potem jej żołądek wygrał i musiał zwrócić te kilka kęsów ciasta. Pojękując, szukała chusteczki, żeby sobie wytrzeć usta. Były tylko dwie możliwości. Albo jej ciotka Elvira miała rację, że Lisa złapała tasiemca. Albo była w ciąży. Ale to było niemalże niemożliwe. Przez dziewięć lat była żoną Klause i przynajmniej na początku gorliwie wypełniał on swoje małżeńskie obowiązki. Tak rozpaczliwie czekała na ciążę... i nic się nie działo. A teraz wystarczyłaby jedna noc? Ale co to była za noc, myślała z tęsknotą. I jak ogromnie go pragnęła. Zwłaszcza w ostatnim czasie tak często leżała w łóżku z otwartymi oczami i marzyła o nim. Robiła też inne rzeczy, których bardzo się wstydziła. Ale nie potrafiła się powstrzymać, nakazywało jej to ciało. Jedno przynajmniej było pewne. Jeśli nosiła w sobie dziecko, na pewno było to dziecko Sebastiana, bo od Bożego Narodzenia Klaus nawet jej nie dotknął. Byłaby to odpowiednia zemsta za jego niewierność, gdyby teraz przypisała mu dziecko innego mężczyzny. Chciałaby tego? Ech, Klaus po tysiącokroć zasłużył sobie na takie kukułcze jajo. Ale prawdopodobnie nie chodziło o dziecko. Miała w sobie tasiemca. Były na to na szczęście odpowiednie środki, połykało się je i pozbywało się bestii. A może to strajkował jej pęcherzyk żółciowy? Jedzenie tutaj na wsi było bardzo tłuste, trzeba było być do niego przyzwyczajonym od dzieciństwa. Trzeba będzie unikać tłustych smakołyków, a także masła i słodkich ciast. Wtedy zobaczy, czy jej żołądek się uspokoi.

Usiadła na koźle i popędziła klacz. Majowy powiew – delikatny wiatr, który przewietrzył głowę, ale nie niszczył fryzury. Zamyślona patrzyła na łąki, na

których świeżo skoszona, ciemnozielona trawa wysychała w słońcu. Gdyby była żoną Sebastiana, musiałyby nosić staromodne stroje i buty. Nigdy nie pozwoliłyby jej ściąć włosów. Musiałyby codziennie dla niego gotować. Pocięszać go, gdyby życie dało mu się we znaki. Przygotowywać mu sobotnią kąpiel. Rozpieszczać go. Dzielić z nim los. Podobnie jak wannę i łóżko. Przede wszystkim łóżko. Każdej nocy. A w niedzielę nawet...

Przestań, pomyślała. To by tak nie działało. Kilka miesięcy i dostałaby klaustrofobii w jakimś wąskim pokoiku. No i wiecznie kopący piec w kuchni, od którego miałyby czerwone oczy. I byłaby znów tylko zupa z kaszy na obiad. Zamarzanie w zimie. Żona biednego nauczyciela. A jeśli będzie bezrobotny? Miała z nim żyć w piwnicy? Na ulicy? Tego od niej oczekiwał? Czy to jest miłość, o której mówił? Nie widziała w tym miłości, tylko egoizm. O nie, Sebastianie Winklerze. To tak nie działa. Po prostu uciec i liczyć na to, że pójdę za tobą. Postawić ultimatum i zniknąć. Szantażować mnie. Możesz sobie czekać: na święty nigdy! A w ciąży też absolutnie nie była. Ani trochę. Czowała się świetnie. Miała zaburzenia żołądkowe i to wszystko.

Dlaczego się ośmieszyłam przed Eleonore Schmalzler, myślała zdenerwowana. Kto wie, co ona sobie teraz o mnie myśli. I nie potrzebowała też tego głupiego adresu. Ale, no cóż, może jednak nie tak źle go mieć.

Pośród liści buku i dębu zaczęło się ukazywać gospodarstwo, tylko czerwone dachy domów lśniły między drzewami. Na łąkach biegały białe gęsi i brązowe kaczki, kąpiąc się w pobliskim stawie, który zasilał strumień płynący nieopodal. Kilka krów pasło się na łące ze swoimi cielętami. Pastwiska dla koni znajdowały się po drugiej stronie domostwa. Brykały po nich liczne źrebięta, które urodziły się wiosną. Jesienią trzeba będzie pewnie sprzedać wiele koni i klaczy, które skończyły już trzy lata. Elisabeth nie chciała o tym nawet myśleć, bo widziała, jak te konie dorastały w gospodarstwie. Ciotka Elvira, mimo swojej miłości do koni, była znacznie twardsza. Nie udałoby się wykarmić tych wszystkich zwierząt zimą, część z nich trzeba więc było sprzedać. Konie były dla niej jak sadzonki roślin – należało wybrać najlepsze, żeby je dalej pielęgnować, a resztę należało oddać. Nikt się tym nie przejmował, a sprzedaż przynosiła duże pieniądze.

Elisabeth musiała teraz powściągnąć klacz, która z zachwytu, że dociera właśnie na znane jej pastwisko, zaczęła biec galopem. W stodole rozładowywano właśnie siano i już z oddali słyszała wysoki, energiczny głos swojego męża.

– Rozrzucić na klepisku! I następnym razem sprawdzić, czy na pewno już

wyschło. Moje konie nie będą żreć stęchłego siana! – Gdy zobaczył Elisabeth, zszedł do niej ze strychu po drabinie. – Gdzie byłeś tak długo? – zapytał, chwytając klacz za uzdę. – Czekałem na ciebie.

Na głowie miał ciemnoniebieski, nieco ubrudzony kaszkiet, który zawsze naciągał na czoło. Uśmiechał się? Możliwe. Niełatwo było to rozpoznać, bo policzki i usta były w bliznach.

– Czekales na mnie?

– Tak, Liso, chciałem coś z tobą omówić.

Znowu zrobiło się jej słabo i niedobrze i musiała chwycić się jego ramienia, gdy zsiadała z kozła. Nietrudno było zgadnąć, co chce z nią omówić. Najpewniej chciał uznać dziecko, które Pauline urodziła osiem tygodni temu. To był chłopiec.

– Co ci jest? – zapytał, gdy oddychała ciężko, stojąc przed nim.

– Nic. Poczekaj na mnie w salonie.

Poszła jeszcze na kompostownik, znajdujący się przy małym ogródku, i stała tam przez chwilę, wymiotując tak długo, aż wreszcie poczuła się lepiej.

– To będzie chłopak – powiedziała stara służąca Berta, wychylając się spośród krzewów malin. – Jeśli ciągle zwracasz, to będzie chłopiec, łaskawa pani. Możesz mi wierzyć.

Elisabeth przytaknęła i pozdrowiła ją krótko, a potem poszła do domu. Już nigdy więcej tłuszczu. Żadnych słodkich ciast. Koniec z tym. Na zawsze!

W salonie siedział Klaus i machnął do niej ręką, prosząc, żeby usiadła na sofie.

– Tylko szybko – powiedziała. – Nie czuję się dobrze. A poza tym wiem, co chcesz mi powiedzieć. To jest zbędne, bo cały świat przecież wie, kto jest ojcem.

– Ach tak? – zapytał z lekką ironią. – Niech zgadnę. Sebastian Winkler?

Podskoczyła i wpatrywała się w niego z przerażeniem.

– Co? – wyszeptała. – O czym ty mówisz?

Nie odpowiedział. Zamiast tego zdjął czapkę i teraz widziała, że faktycznie się uśmiechał.

– Chcę rozwodu, Liso. I myślę, że leży to też w twoim interesie.

– Ty? – wyjąkała. – Ty chcesz rozwodu?

Nie wierzyła. To on jednym posunięciem rozwiązał ten węzeł, podjął decyzję. Rozwód. Koniec. A może również nowy początek.

– Nie rozstawajmy się w gniewie, Elisabeth – powiedział łagodnie. – Zawdzięczam ci nieskończenie wiele, nigdy o tym nie zapomnę.

Ta niedziela po prostu nie chciała minąć. Może winny był temu upał, który wywoływał w mieszkańcach willi rodzaj ołowianego zmęczenia. Jeszcze bardziej we znaki dawała się jednak cisza, smutne milczenie, od którego dawno się odzwyczajono, a która panowała w posiadłości od kilku dni.

– Herbata dla trzech osób. Trochę ciastek, ale bez makaroników, bo te są za twarde dla łaskawej pani.

Julius wyciągnął chustkę z kieszeni i wytarł pot z czoła. Ciemny uniform lokaja uszyty z grubej wełny przy tej temperaturze był sam w sobie prawdziwą torturą. Zwłaszcza gdy w kuchni palił się jak zwykle ogień w piecyku.

– Za twarde? – mruknęła kucharka. – Nie włożyłaś jabłek do blaszanej puszki, Gertie?

Gertie, która siedziała przy stole i nieco się rozmarzyła, podskoczyła jak na komendę.

– Oczywiście, że je tam włożyłam, ale one są już takie małe i pomarszczone.

– To weź po prostu ciasteczka maślane i połów między nimi kilka makaroników. Leo je chętnie zje.

Brunnenmayer zamilkła i westchnęła. Znowu zapomniała, że dzieci nie było teraz w willi, przebywały na Frauentorstraße. Już prawie od trzech tygodni.

– To nie potrwa długo – powiedziała Else i uśmiechnęła się nieśmiało. – Nasz pan to dostrzeże i zjednoczy rodzinę. Wiem, że tak będzie.

Fanny Brunnenmayer spojrzała na nią z ukosa i wstała, żeby przygotować herbatę. Od jakiegoś czasu państwo woleli pić wieczorem herbatę niż kawę. Zalecenie to wyszło od guwernantki, która uwielbiała pić herbatę i wmówiła łaskawej pani, że kawa wywołuje skurcze żołądka i kolki wątrobowe.

– To niesprawiedliwe, że ta kobieta przesiaduje z łaskawą panią i młodym panem w czerwonym salonie – powiedziała Gertie wzburzona. – Ona jest pracownicą tak samo jak my, nie powinna pić herbatki razem z państwem.

Julius przytaknął, dziewczyna wyjęła mu to z ust. Teraz, gdy w willi nie było młodej pani Melzer, stosunki z guwernantką się zaogniły. Ciągłe kręciła się koło pani Alicii, dogadzała jej, mówiła za nią i dawała Juliusowi mnóstwo

poleceń. Robiła to niezwykle chętnie i szyderczo, prawdopodobnie ktoś jej doniósł, że lokaj się na nią skarżył.

– Gdyby młody pan nie był taki przygnębiony, na pewno pokazałby tej chudej paskudzie, gdzie raki zimują – powiedziała Gertie, która nie miała w zwyczaju przebierać w słowach. – Ale biedny łaskawy pan nie jest teraz sobą. Jest taki smutny i ponury. Kiedy wraca z fabryki, pół nocy jeszcze siedzi w gabinecie, czyta dokumenty i pali cygara.

– To nie wszystko – dodała zatroskana Else. – Pije jeszcze czerwone wino. Wczoraj całą butelkę beaujolais.

Kucharka napełniła srebrny zaparzaczk do herbaty i włożyła go do biało-niebieskiego czajniczka. Porcelana miśnieńska, kształt cebulowy. Ulubiony serwis do herbaty łaskawej pani. Prezent ślubny od jej brata Rudolfa von Maydorna, który zmarł wiele lat temu. Od tego czasu łaskawa pani szczególnie go sobie ceniła.

– Zamiast oddawać się pijaństwu, powinien natychmiast przegonić stąd guwernantkę i jechać na Frauentorstraße, żeby zabrać stamtąd swoją żonę – powiedziała Fanny Brunnenmayer.

Julius się z nią zgodził.

– Ale mówi się, że ona jest chora – dodała Gertie.

– A skąd ty to wiesz?

Gertie wzruszyła ramionami. Wczoraj na targu spotkała Hannę i rozmawiała z nią chwilę. Hanna mieszka teraz na Frauentorstraße, bo musi się zajmować młodą panią.

– Przeszła załamanie nerwowe. Całe dni leżała w łóżku, bo była zbyt słaba, żeby wstać. Hanna dbała o nią przez cały czas, myła ją, przygotowywała jej jedzenie i ją pocieszała. Zajmowała się też dziećmi.

– Taka jest ta nasza Hanna – powiedziała Else, potrząsając głową. – Zamiast trzymać się wiernie willi, to sobie ucieka i zostawia nas wszystkich na lodzie.

– Powiedziała, że bardzo się boi o panią Melzer. Dlatego, że kiedyś w młodości miała ona poważny krwotok. Wtedy omal nie umarła.

– Jezus Maria! – krzyknęła Else i złożyła razem ręce. – Przecież ona nam chyba nie chce umierać.

Brunnenmayer uderzyła pięścią tak mocno w stół, że Else aż podskoczyła ze strachu.

– Zamilcz i nie wywołuj wilka z lasu! Marie Melzer musi wrócić do willi i wtedy znów będzie zdrowa. – Potem odwróciła się do pieca, chwyciła czajnik i nalała gorącą wodę do czajniczka z herbatą. – Sprawdziłaś, czy śmietana nie jest kwaśna, Gertie?

Pomoc kuchenna ustawiała właśnie filiżanki i spodeczki na tacy, do tego dzbanuszek ze śmietaną i cukiernicę. Ciasteczka też już leżały, tworząc ładny wzór na półmisku. Gertie włożyła mały palec do dzbanuszka i spróbowała śmietany. Podczas upału mogła szybko skwaśnieć, kucharka miała rację.

– Ta jest dobra.

– W takim razie na górę z nią – powiedziała Brunnenmayer i postawiła na tacy czajnik z herbatą.

Julius chwycił tacę pewnym ruchem ręki i skierował się do tylnego wyjścia z kuchni, gdzie winda na jedzenie oraz klatka schodowa dla służby prowadziły do pokoi państwa.

– Jak przy tym upale można pić gorącą herbatę – zastanawiała się Gertie, potrząsając głową i chwytając czajnik z gorącą wodą. Po chwili musiała go jednak odstawić i biec do drzwi, bo ktoś pukał.

– Dzień dobry wam wszystkim.

Auguste była nieco zmachana szybkim marszem przez park do posiadłości. Słońce nie obchodziło się zbyt ładnie z jej jasną cerą, z nosa schodziła jej skóra, a na policzkach widniały czerwone plamy.

– Nudzi ci się? – zapytała Fanny Brunnenmayer, która teraz usiadła i sięgnęła po okulary, żeby przeczytać gazetę.

– Nudzi się? Pewnie, przy czwórce dzieci nie ma nic do roboty – odparła kwaśno Auguste. – Mam tutaj włoszczyznę i seler. A w ogródku piękne astry i dalie. Do udekorowania stołu. Łaskawa ma przecież niedługo urodziny.

Postawiła pełny kosz na stole i opadła na krzesło. Od styczniowego porodu, mimo skąpej diety, prawie nie schudła. Przede wszystkim brzuch nie chciał wrócić do poprzedniego stanu. Auguste miała dopiero nieco ponad trzydzieści lat, ale po czterech porodach i wiecznych zmartwieniach o byt rodziny wyglądała, jakby już miała najlepsze lata za sobą.

– Włoszczyzna? – zapytała kucharka, kręcąc głową. – Posadziliśmy już trzy wielkie kamienne donice na zimę. A o astry musisz pytać łaskawą.

– Ugotujesz na jutro rano zupę na cielęciny z pierożkami i wątróbką – odpowiedziała Auguste. – Tak świeżej włoszczyzny nigdy nie będziesz mieć.

Ona jest taka, tylko gdy się ją wyrwie prosto z gruntu.

– No może, zostaw ją tutaj. – Brunnenmayer wyciągnęła żółtą portmonetkę z szuflady i położyła na stole jedną markę i dwadzieścia fenigów.

Auguste nie narzekała. To była uczciwa cena za trzy wiązki przywiędłej włoszczyzny, której Liesl wczoraj nie sprzedała na targu. Szybko schowała pieniądze do kieszeni spódnicy.

– To nowiotka marka – powiedziała niemalże czule. – Ludzie mówią, że mają złoty rdzeń. Tylko fenigi są wciąż stare.

Gertie wyciągnęła z kosza Auguste trzy najbardziej jędrne wiązki włoszczyzny i zaniósła je do spiżarni. Brunnenmayer miała dobre serce. Ona sama nie kupiłaby od Auguste nawet jednej łodygi, bo ta kobieta potrafiła być naprawdę wredna. Ale nie powodziło im się zbyt dobrze, a czwórka ich dzieci nie była winna temu, że ich matka bywa okropną jędzą.

– Haruje się od rana do nocy – narzekała Auguste i wzięła duży łyk kawy z kubka, który postawiła przed nią Else. – A pieniądze rozchodzą się szybciej, niż przychodzą. Podatki, wypłaty, opłaty za szkołę, za stoisko na targu. Liesl potrzebuje nowej spódnicy, Maxl nie ma kurtki zimowej, a dla żadnego z dzieci nie mamy butów na zimę. A teraz do tego jeszcze Gustl zaczął chlać. Chodzi wieczorami do miasta i siedzi z trzema kompanami z wojny przy piwie.

Wypiła kubek kawy i sięgnęła łapczywie po ciastka, które leżały na talerzu na środku stołu. Były mniej udane, dlatego trafiły na stół pracowników. Jedne zostały nieco pokruszone przy wyjmowaniu z pieca, inne upiekły się trochę za ciemne. Oczywiście służba mogła jeść także to, co zostało na talerzu państwa.

– Nie pomyślałabym, że Gustl zacznie pić – zdziwiła się Else, potrząsając głową. – To zawsze był taki dobry człowiek.

Auguste przeżuwała ciastko i nie odpowiedziała. Z pewnością nie było zbyt mądrze opowiadać o tym w willi, ale musiała to z siebie wyrzucić, bo inaczej chybaby wybuchła. Zima była już blisko, pieniędzy wtedy zabraknie, a ona nie zdołała nic odłożyć. Gdyby nie pracowała dorywczo w willi, pewnie umarliby z głodu.

Na klatce schodowej dla służby było teraz słyhać kroki. Julius wracał z czerwonego salonu z tacą w ręce.

– Wiedziałem, że tak będzie – powiedział łamiącym się głosem. – Moja intuicja nigdy mnie nie zawodzi. Wiedziałem, że ona planuje mnie

upokorzyć. Ta wściekła, podstępna pajęczycą!

Wszyscy odwrócili się w jego stronę, zaskoczeni takim wybuchem.

– Co ona zrobiła? – zapytała Gertie.

Wszyscy oczywiście, z Auguste włącznie, wiedzieli, o kim mowa. Julius postawił tacę, na której stała cukiernica. Ręce mu drżały.

– Najpierw stwierdziła, że ten cukier nie nadaje się do herbaty. Potrzebny jest cukier kandyzowany – taki widziała w Londynie, a Anglicy to wyrafinowani wielbiciele herbaty.

– To powinna tam się wynieść, suka – powiedziała ostro Auguste. – Do Anglii. A jak dla mnie, to nawet do samego Londynu.

– To wszystko? – zapytała rozczarowana Gertie. – Dlatego tak się zdenerwowałaś?

Julius musiał się uspokoić, tak bardzo zbladł, że aż zaczęły się o niego martwić. Nie, to był dopiero początek.

– Gdy nalewałem herbatę – mówił ściszym głosem – stałem dobry metr od niej. I wtedy ona powiedziała... Była tak niewiarygodnie bezczelna... – Pociągał rozpaczliwie nosem, przesuwając drżącymi palcami po czole. Wydawało się, że biedak zaraz się rozplącze. – Powiedziała do mnie: „Pan się w ogóle nie myje, Julius? Nie pachnie pan dobrze”.

Zapadła martwa cisza. To było straszne. Nawet gdyby to była prawda, nie wolno mówić czegoś takiego w salonie, w obecności państwa. W willi było od dawien dawna ustalone, że takie tematy poruszało się z gospodynią w cztery oczy.

– A łaskawa pani? – wykrztusiła Gertie. – Nie zwróciła uwagi pani von Dobern?

Julius nie był w stanie mówić. Potrząsał tylko głową i zakrywał twarz rękami.

– Czysta złośliwość – stwierdziła kucharka dosadnie. – Nadepnąłeś żmii na ogon, Julius, i teraz ona cię kąsa w akcie zemsty.

Ktoś zapukał do drzwi, ale wszyscy byli tak przejęci opowieścią Juliusa, że nikt nie wstał, żeby otworzyć.

– Z czymś takim to tylko do klatki!

– Wypchać i do muzeum!

– I jeszcze zęby jadowe trzeba wyrwać!

Znów rozległo się pukanie. Gertie zerwała się w końcu z miejsca i podbiegła niechętnie do drzwi.

– Jezu, tylko nie to! – zawołała. – Maria Jordan. Trafiła jak śliwka w kompot.

– Co? Co ty mówisz, Gertie?

Maria Jordan weszła do kuchni z dużą pewnością siebie, uśmiechnęła się do wszystkich i przywitała protekcjonalnie. Teraz wreszcie była kobietą biznesu, a nie pracownicą, którą można było rządzić. Jej ubiór także był dopasowany do tego nowego statusu, miała na sobie jasną jedwabną bluzkę i kremową spódnicę do łydek oraz jasne letnie buty z cienkim rzemykiem na podbiciu stopy. Dwa górne guziki bluzki zostawiła rozpięte, żeby było widać złoty, błyszczący naszyjnik, który założyła na chudą szyję.

– Nic, nic – wyjąkała Gertie. – My rozmawialiśmy właśnie o... o zębach.

– A co to ma wspólnego ze mną? – zapytała Maria Jordan nieco wzburzona.

– Bo kazała sobie pani wprawić taki piękny złoty ząb – brnęła niezmordowanie Gertie.

Rzeczywiście od kilku miesięcy w szczęce Marii Jordan, na górze po lewej stronie, widoczny był złoty ząb. Oznaka, że jej sklep dobrze prosperował.

– O to tyle zamieszania? – zapytała, wzruszając ramionami, i uśmiechnęła się jeszcze raz, żeby pokazać wszystkim swój drogi nabytek. – Cóż, często goszczę u siebie klientów z wyższych sfer, muszą być zadbana.

– Oczywiście, oczywiście – powiedziała Else z podziwem. – Urządziła się pani nadzwyczaj mądrze, panno Jordan. Nie chce pani z nami usiąść?

Odkąd Jordan nabyła dwa domy i do tego jeszcze sklep, Else postanowiła znów mówić jej „pani”.

Ze względu na gościa Julius wziął się w garść i pozbył się grobowej miny, a Auguste patrzyła na Jordan z zawiścią. Ta sprytna żmija poszła na swoje, tak samo jak ona. Ale podczas gdy oni ledwie wiązali koniec z końcem i nie wiedziała, jak przetrwają zimę, interes Jordan wydawał się kwitnąć. Wszyscy wiedzieli, skąd naprawdę brała pieniądze, ta oszustka stawiająca karty. Przepowiadała przyszłość naiwnym klientom. Zainstalowała się w ciemnym pokoju wypełnionym obrazami duchów i wypchanymi sowami, a oprócz kart używała też kuli z wodą. Dom odkupiła od szewca, który z powodu starości musiał zamknąć warsztat.

– Zawsze się cieszę, gdy mogę sobie trochę poplotkować z moimi dawnymi przyjaciółmi i znajomymi – powiedziała Maria Jordan. – Jesteśmy wciąż zjednoczoną wspólnotą, nawet jeśli niektórzy z nas opuścili willę. Jak się miewa nasz drogi Humbert? Píše do ciebie regularnie, Fanny?

– Od czasu do czasu – mruknęła kucharka, zagłębiając się znów w swoją gazetę.

– Jaki ogromny talent ma ten chłopak! Jak potrafi naśladować ludzi! Do złudzenia. Czy w tamtym dzbanku jest woda z lodem?

– Woda z lodem z odrobiną mięty.

Julius zebrał się w sobie i pośpiesznie zaczął obsługiwać gościa. Po tym jak Hanna okazała się niezdożytą twierdzą, a Gertie była zbyt przekorna, zaczął nadskakiwać Marii Jordan. Co ona przyjmowała z zadowoleniem.

– Dziękuję, Julius, bardzo miło z pana strony. Wygląda pan na przepracowanego, mój drogi. A może to późne lato dało się panu we znaki?

Julius stwierdził, że źle spał. Na górze w pomieszczeniach dla personelu bywało nieznośnie gorąco.

– Komu pan to mówi! – westchnęła Jordan. – Pamiętam dobrze te długie noce, kiedy nie mogłam usnąć i rozpinałam nawet koszulę na piersiach, żeby się nie udusić.

Gertie roześmiała się i zaczęła udawać nagły atak kaszlu, żeby to ukryć. Auguste przewróciła oczami. Else uśmiechnęła się łagodnie. Julius także zareagował uszczypliwym uśmiechem. Tylko Brunnenmayer czytała dalej gazetę i zachowywała się tak, jakby nic nie usłyszała.

– A gdy nie możesz spać w nocy – kontynuowała Jordan niezrażona – wtedy dopadają cię troski i koszmary. Prawda, że tak to właśnie jest?

Julius odchrząknął i przyznał jej rację. Auguste dodała natomiast, że w tym roku jest wiele złośliwych komarów. Po chwili znów zapadła cisza, było słyhać jedynie Else jedzącą ciastko. Niezadowolona Jordan oparła się na krześle. Miała nadzieję, że niewiele trzeba, żeby rozwiązać im języki. Ale okazało się, że musi wytoczyć cięższe działa.

– Tak, nie wszystko tak się dzieje w życiu, jak by człowiek sobie tego życzył – zauważyła i westchnęła. – Atelier pani Melzer też jest zamknięte już od dobrych dwóch tygodni. Czy ona nie jest chora?

Wszyscy wiedzieli, że Maria Jordan nienawidziła Marie Melzer. Niechęć wynikała z tego, że Marie awansowała z pomocy kuchennej na pokojówkę

i pozbawiła Jordan jej ówczesnej pozycji. Nigdy jej tego nie wybaczyła.

– Łaskawa pani faktycznie jest chora – powiedziała krótko Brunnenmayer. – Nic poważnego, ale musi wydobrzeć w łóżku.

Jordan udała zmartwioną i życzyła młodej pani szybkiego powrotu do zdrowia.

– A co jej jest? Mam nadzieję, że nie dostała krwotoku? Już wcześniej była bardzo chora.

Nawet Auguste, która lubiła obmawiać Marie Melzer, nie miała ochoty rzucać kolejnych kąsków wścibskiej kobiecie.

– Niedługo już stanie na nogi – powiedziała Gertie od niechcienia.

– To dobrze, dobrze. Cieszy mnie to. Naprawdę. Widziałam niedawno panią Kitty Bräuer z bliźniętami w samochodzie. Jechali na Frauentorstraße.

Julius już otwierał usta, żeby coś wtrącić, ale lodowate spojrzenie kucharki ostudziło jego zapał.

– Jeśli przysłaś, żeby nas wypytywać, Jordan, to masz pecha – powiedziała Fanny Brunnenmayer. – Nikt z nas nie będzie rozpowiadał plotek o Melzerach, te czasy już minęły. Kiedy tutaj pracowałam, należałam do naszego kręgu i rozmawialiśmy ze sobą o wszystkim. Teraz jesteś bogatą właścicielką sklepu, nosisz drogie buty oraz funty złota na szyi i w ustach. Nie ma więc powodu, by siedzieć tutaj z nami przy stole i słuchać plotek!

– A więc to tak! Dobrze, że wreszcie to wiem! – powiedziała Jordan dobitnie. – Z dawnych przyjaźni nic tutaj nie zostało. Mogę tylko stwierdzić, że to przykre. Bardzo szkoda. Ale tak właśnie poznaje się ludzi.

Julius uniósł ręce w geście uspokojenia. Maria Jordan nie powinna się denerwować, kucharka miała dzisiaj gorszy nastrój. To przez upał.

– Raczej przez zawiść – burknęła Jordan i podniosła się energicznie ze swojego krzesła. – Zazdrość wylewa się wam wszystkim uszami! Bo do czegoś doszłam, a wy wciąż siedzicie tutaj w kuchni i musicie się kłaniać państwu w pas za głodowe pensje. Nie możecie mi tego wybaczyć, co?

Jedyną odpowiedzią Brunnenmayer był wyraźny gest ręki wskazujący drzwi.

– Myślicie, że nie wiem, co się dzieje w posiadłości? – ciągnęła Jordan szyderczo. – Burza z piorunami się dzieje! Oddzielne stoły i łóżka. A wróbelki ćwierkają na dachu, że zapowiada się rozwód. Wtedy to przejrzy na oczy dumna Marie. Kto wysoko mierzy, ten nisko upada.

– Tak więc uważaj, żebyś sama nie wylądowała w gnoju – burknęła Auguste, którą bardzo ubodło oskarżenie o bycie zazdrosną. Zwłaszcza że było ono prawdziwe.

Maria Jordan była już przy drzwiach, gdzie odepchnęła Juliusa, który chciał uspokajająco ją objąć ramieniem, i zwróciła się do Auguste:

– Ty masz najmniej powodów, żeby mnie wyzywać, Auguste – powiedziała wzburzona. – Jeszcze wczoraj byłaś u mnie w sklepie i prosiłaś o przysługę. Wysłałabym do ciebie, ale zbyt szybko sobie poszłaś.

Auguste zrobiła się czerwona, bo wszyscy teraz na nią patrzyli. Ale gdy trzeba było, zawsze potrafiła się wyłgać.

– A co się dziwisz? – zapytała, wzruszając ramionami. – Jesteś za droga, Jordan. Kto może sobie pozwolić, żeby zapłacić dwie marki za ćwierć funta kawy?

Jej kłamstwo nie było zbyt przekonujące, wszyscy przecież wiedzieli, że rodzina ogrodnika Blieferta nigdy nie mogła sobie pozwolić na kupno prawdziwych ziaren kawy.

– Przyjdź jeszcze raz jutro, dogadamy się – powiedziała do Auguste, a potem zwróciła się z fałszywym uśmiechem do Brunnenmayer: – A wszystkim innym życzę miłej niedzieli. Nie pracujcie za dużo, moi przyjaciele, przy takiej pogodzie to niewskazane.

Julius otworzył drzwi i czekał cierpliwie, gdy rozmyślnie bardzo wolno wychodziła z kuchni.

– Pięknej niedzieli i bez urazy. Do zobaczenia!

Gdy wrócił do stołu, kucharka zmierzyła go nieprzyjaznym spojrzeniem, na które odpowiedział jedynie wzruszeniem ramion.

– To mnie dziwi – odezwała się Gertie.

– Co cię dziwi?

– To, że nie możesz znieść pani von Dobern, Julius – mówiła Gertie pozornie przyjaznym tonem. – A taki jesteś zakochany w żmii ze sklepu.

Julius sapnął i zrobił pogardliwy gest w kierunku Gertie. Auguste zaśmiała się hałaśliwie i sięgnęła po swój kosz.

– Czas na mnie – powiedziała i wstała. – Rano przyjdę na dwie godziny. Trzepanie dywanów.

– Auguste.

Niechętnie odwróciła się do Brunnenmayer.

– No co jeszcze?

Fanny Brunnenmayer zdjęła okulary i spojrzała na nią przenikliwie.

– Nie wyrzucisz pieniędzy na taką bzdurę, prawda? Stawianie kart. Szklana kula czy co tam jeszcze.

Auguste zaśmiała się kucharce w twarz. Czy ona myśli, że Auguste straciła rozum? Znała lepsze sposoby na wydanie pieniędzy. Jeśli jakieś by miała.

– To dobrze.

Potrząsając głową, Auguste podeszła do drzwi i pomachała jeszcze do Else, żeby utrzymać z nią dobre stosunki, bo rano miała ona powiedzieć państwu, że na czas wielkiego sprzątnia w październiku koniecznie będzie potrzebować pomocy Auguste. Nie, o wróżbach Jordan myślała tak samo pogardliwie jak Brunnenmayer. Chodziło jej o coś zupełnie innego.

W czasie gorączkowych majaczeń widziała rzeczy, które pozostawały głęboko ukryte w jej podświadomości, jak zwiędłe liście zanurzone w stawie. Wizje były niejasne i wydawały się rozmazywać jak obrazy na falującej tafli wodnej. Czasami był to tylko pojedynczy kadr, wspomnienie, które mocno ją poruszało lub na widok którego zaczynała płakać. Bywały też jednak przerażające sceny, wirujące w niej jak krajobrazy zza szyby jadącego pociągu, i dyszała wtedy w poduszkę, żeby odpędzić te majaki wywołane przez gorączkę.

Najpierw widziała matkę. Niewyraźne kształty, szkice robione ołówkiem, pozbawione barw. Młoda kobieta przed sztalugami, wehniata chusta zarzucona na ramiona, a na niej długie, rozpuszczone włosy. Jej twarz była kanciasta, miała wystający nos i podbródek, mocno zaciśnięte usta. Zdecydowanymi, gwałtownymi ruchami prawej ręki malowała na płótnie wiszącym na sztalugach. Czarne linie i plamy. Malowała węglem.

Potem znów jej twarz widziała z bliska, matka pochylała się nad nią, była odmieniona. Czuła. Uśmiechała się do niej. Kiwała głową. I znów się pochylała, odrzucając długie ciemne włosy.

– Marie... *Ma fille*. Mariechen... Córeczka Marie. Moja mała Marie. *Que je t'aime*⁹. Moja cudowna. *Ma petite, mon trésor*...¹⁰.

Usłyszała te pieśczośliwe określenia i wiedziała, że pamięta je wszystkie bardzo dobrze. Jej rączki były bardzo małe, machała nimi przed twarzą swojej matki, łapała ją za nos. Słyszała, jak matka się śmieje i broni przed nią: „Zostaw, mała dzikusko! To mnie boli”. Czuła w swojej piąstce grube, połyskujące czerwono-pasmo jej włosów, wkładała je do buzi i nie chciała puścić.

Gdy budziła się na chwilę ze swoich gorączkowych snów, widziała, że siedzi przy niej Hanna. Trzymała w ręce kubek rumianku i bardzo chciała, żeby Marie wypila choć trochę. Piła łapczywie, musiała odkasłać i potem znów, wyczerpana, opadała na poduszki.

– Musi pani coś zjeść, pani Melzer. Jeszcze łyżeczkę. Gertrude ugotowała dla pani specjalny bulion na wołowinie z jajkiem. Tak dobrze. Jeszcze łyżeczkę. I jeszcze kawałek białego chleba.

Jedzenie wydawało się jej obrzydliwe. Chciała tylko pić, nawilżyć suche usta i język, przyjąć trochę orzeźwiającej wody do ciała ogarniętego

gorączką. Każdy ruch był wyczerpujący, ledwie miała siłę, żeby unieść głowę. Jej puls był bardzo szybki, oddech również, czasami miała wrażenie, że płynie w powietrzu.

Słyszała dźwięk fortepianu. To grał Leo. Jej mały Leo. Dodo też była w pobliżu, słyszała, jak szepcze o czymś z Hanną. Dzieci były razem z nią. Dodo podawała Hannie wilgotne ręczniki i mówiła do niej cicho. Gdy Hanna owijała mokre kawałki materiału wokół jej stóp i nadgarstków, gorączka na chwilę spadała. Często słyszała też inny dobrze znany jej głos – jej szwagierki Kitty.

– Nie, mamó. To jest nie do pomyślenia. Gorączka jest okropnie wysoka. Doktor Greiner przychodzi codziennie, żeby sprawdzić, co z nią. Dzieci? W żadnym razie. Nie, dopóki ta sekutnica wprowadza w posiadłość swoje rządy. Wiesz dobrze, co o tym myślę...

Marie zrozumiała, że leży chora w domu Kitty. Daleko od willi Melzerów. Daleko od Paula, z którym się pokłóciła. Otaczała ją przepaść, która chciała ją wchłonąć. Rozstanie. Może rozwód. Dzieci zostaną zabrane, a ona odrzucona. Będzie musiała zostawić wszystko, co kocha. Pójść w ciemność. Sama.

Gorączka wybuchła gwałtownymi płomieniami i zamknęła ją w środku. Widziała przed sobą dobrze znaną, obskurną salę, łóżko przy łóżku, od ścian odchodził płatami tynk, pod łóżkami stały nieopróżnione nocniki. Ciągłe któreś z dzieci było chore, głównie te najmłodsze. Najczęściej też wzajemnie się od siebie zarażały. Gdy któreś umarło, po prostu je wynoszono, owinięte w prześcieradło. Dokąd – tego nigdy się nie dowiedziała. Widziała swoją przyjaciółkę Dodo, tak nazwała również swoją córkę. Jej małą bladą twarz, cienkie włosy, długą, podartą koszulę nocną. Słyszała jej szepc, jej delikatny śmiech, czuła przez chwilę jej drobne ciało, leżące obok niej w łóżku. Dodo została zabrana do szpitala i nigdy już jej nie zobaczyła. Gdy było się zdrowym, trzeba było pracować na dole w kuchni albo przerzucać ziemniaki w piwnicy.

– Z tobą są tylko same problemy. Myślisz, że jesteś zbyt dobra jak na pracę w fabryce? Chcesz zajść wysoko, co? Czytać książki, malować obrazy?

Tak mówiła pani Pappert, kierowniczką Sierocińca Siedmiu Męczennic. Marie nigdy nie zapomni tej kobiety, która ją dręczyła przez wiele lat. Miała ona na sumieniu niezliczone biedne istoty. Oszczędzała na jedzeniu i ubraniach, także na ogrzewaniu, a pieniądze z datków trafiały na jej konto. Co panią Pappert obchodziło, że jakieś dziecko zmarło? Zaraz przybędzie jakieś nowe i Kościół będzie na nie płacił.

– Ale tylko kilka minut – usłyszała głos Kitty. – Nie możesz z nią rozmawiać. Ma wciąż wysoką gorączkę. Uważaj, żebyś nie wylał herbaty.

Poczuła rękę na swoim czole, chłodną i ciężką. Ktoś głaskał niezręcznymi palcami jej policzki i usta.

– Marie? Słyszysz mnie? Marie?

Poczuła ogromną tęsknotę. Otworzyła oczy i zobaczyła twarz – niewyraźną, jakby za mgłą. To był Paul. Przyjechał do niej. Wszystko było już dobrze. Kochała go przecież. Kochała bardziej niż wszystko inne na świecie.

– Musisz wyzdrowieć, Marie. Obiecuj mi. Nie będziemy się już nigdy więcej kłócić. Tylko bądź znów z nami. Nie ma przecież powodów do głupich kłótni. Życie może być takie proste.

Tak – słyszała jego szept. – Życie jest takie proste.

Pocałował ją? Wdychała przez chwilę zapach jego kurtki, dobrze jej znaną mieszaninę woni tytoniu, fabryki, samochodu i mydła kwiatowego. Poczuła jego kanciasty, nieogolony podbródek na swoim policzku. Potem zniknął i gdzieś w korytarzu słychać było rozgniewane głosy.

– A gdzie mają być? W szkole oczywiście!

– Chcę je tam zabrać. One mają przecież swój dom!

– Chcesz, żeby Marie wyzdrowiała?

– Co to za pytanie?

– To zostaw dzieci tutaj na Frauentorstraße, Paul.

– To takie głupie! Za dwa albo trzy dni możemy zabrać Marie do posiadłości. Rozmawiałem o tym z doktorem Greinerem. Zatrudnię pielęgniarkę, będzie się nią opiekować.

– Nie możesz zabrać Marie do willi wbrew jej woli, Paul. Nie pozwalam ci. To byłoby jak porwanie!

– Co ty za bzdury opowiadasz, Kitty? Porwanie? Marie jest moją żoną!

– A co to ma z tym wspólnego?

– Jesteś zupełnie szalona, Kitty! Czy takie są właśnie nowoczesne poglądy dzisiejszych kobiet? Należysz teraz do tych kobiet, które palą publicznie papierosy, popierają wolną miłość i uważają małżeństwo mężczyzny i kobiety za coś zbędnego?

– Marie nie opuści mojego domu, chyba że zrobi to z własnej woli i gdy

będzie tego naprawdę chciała. Zrozum to, Paul!

Potem było słycać potężny huk, jakby ktoś wyrwał drzwi z futryną. Marie poczuła łyzy. Spływały spod jej powiek, kapały na poduszkę, na której spała, a wilgoć ta wydawała się jej już nie gorąca jak wcześniej, lecz nieprzyjemnie chłodna. To, co było jej drogic, co dawało jej wielką, radosną nadzieję, zostało zniszczone, a odłamki wbijały się w nią niczym ostre igły.

– Mamo, musisz przestać płakać. Chcę, żebyś już wyzdrowiała, dobrze?

– Dodo? Ale masz zimne palce.

– Mamo, ciocia Kitty zabrała nas na lotnisko. Leo się strasznie nudził, a dla mnie było to cudowne! Widzieliśmy hale. I miły pan wpuścił nas do środka, gdy ciocia Kitty go o to poprosiła. W środku był samolot i mogłam do niego wejść. I leciałam w nim. Nie naprawdę, tylko udawałam. Szybciej, jeszcze szybciej, bardzo, bardzo szybko! I już... w powietrze! Mamo? Mamo, chcę być pilotem!

Marie spojrzała na córkę. Dodo poruszała podekscytowana ramionami, naśladowując samolot wznoszący się w powietrze. Jak bardzo błyszczały jej jasne oczy! Oczy Paula. Ile to dziecko miało siły i energii!

– Daj mi proszę chusteczkę, Dodo.

– Henny! Przynieś świeże chusteczki!

Henny zajrzała przez szparę w drzwiach i nie wydawała się zbyt zadowolona, że musi spełnić tę prośbę.

– Ale tylko ten jeden raz. Dlatego że to dla twojej mamy.

Przyniosła delikatną, batystową chusteczkę obszywaną koronką, która pachniała drogimi perfumami. Henny wzięła ją prawdopodobnie z komody Kitty.

Gorączka wciąż się utrzymywała – i od czasu do czasu przesywały Marie jeszcze dreszcze – ale jej siła malała. Marie słyszała wokół siebie dźwięki, szepty i chichoty, spośród których była w stanie rozpoznać głosik Henny. Było także słycać trzaśnięcie garnkiem w kuchni oraz głosy dwóch chłopców dochodzące z pokoju muzycznego. Słyszała ich grę, podążała w myślach za tą melodią, cierpiała, gdy ją przerywali, i robiło się jej błogo, gdy udało im się zagrać całą frazę.

– Mamo? Wyglądasz dzisiaj lepiej, mamu. Zagraliśmy dla ciebie Mozarta. Pani Ginsberg powiedziała, że działa lepiej niż Beethoven, gdy ktoś jest chory. Beethoven powoduje zdenerwowanie, a Schubert jest smutny i się przy

nim płacze. Za to Mozart, powiedziała, Mozart odpędza wszystkie troski i sprawia, że jest się szczęśliwym. To prawda, mamó? Jesteś teraz szczęśliwa?

Jej syn wydawał się wręcz pławić w szczęściu. Mówił o akordach i kadencjach, o C-dur i a-moll, o piano i pianissimo, o moderato i allegro. Przez chwilę pomyślała, że jego twarz rozpromieniona entuzjazmem przypominała kogoś, kto wracał do niej z przeszłości. Jak jasne były jego włosy, wydawało się, że lśnią czerwono i złoto, gdy padają na nie promienie słońca.

– Wspaniale graliście, Walter i ty. Ale trzeba obciąć włosy, bo niedługo będziesz wyglądał jak dziewczyna.

Przeciągnął palcami po grzywie, która urosła mu nad czołem.

– Ciocia Gertrude powiedziała, że skróci je dzisiaj wieczorem.

Do wieczoru, gdy zazwyczaj gorączka wzrastała, czuła się lepiej. Śmiała się razem z Hanną z różowego kubraczka, który pożyczyła jej Kitty, żeby mogła siedzieć z Marie na łóżku i czesać jej włosy.

– Nie da rady, pani Melzer – narzekała Hanna, starając się rozczesać matowe, posklejane włosy Marie. – Nie przebiję się przez nie.

Kitty też próbowała, choć nie była tak delikatna jak Hanna.

– Teraz widzisz, jakie to niepraktyczne – powiedziała i odłożyła szczotkę z rezygnacją. – Kto dzisiaj nosi jeszcze długie włosy? Może ostatnie z wieśniaczek, które mieszkają w gospodarstwach na wzgórzach Alp.

– Ach, Kitty.

– Obciąć – powiedziała kategorycznie Kitty.

Marie od dawna to rozważała. Nie zrobiła tego dotąd, bo Paul protestował. I dzieci też.

– Chcesz chodzić z takim kołtunem na głowie? Ludzie pomyślą, że hodujesz tam myszy!

Marie pociągnęła za włosy – rzeczywiście, nie dawały się rozplątać.

– No cóż... w takim razie...

Gertrude przygotowała narzędzia i oddała się temu zadaniu z wielką pasją. Powiedziała też, że jako dziewczynka chciała zostać fryzjerką, ale później poślubiła bankiera. Marie miała zamknięte oczy w czasie obcinania. Potem zobaczyła się w srebrnym lusterku Kitty i stwierdziła, że bob został wykonany profesjonalnie.

– Zostało tutaj jeszcze parę kosmyków, Gertrude – wtrąciła się Kitty. – Musisz uważać, bo Marie ma grube włosy. Ale wygląda wspaniale! Zupełnie nowa Marie! Och, podobasz mi się w nich bardzo, moja słodka Marie! A teraz zrobimy sobie piknik.

– Na zewnątrz w ogrodzie? – zapytała Gertrude. – O tak późnej porze?

– Nie, nie w ogrodzie. Tutaj, u Marie.

– U... u mnie?

Życie wróciło do Marie z wielką siłą, przyczłapało jako ogromny, kolorowy chaos do pokoju, w którym panowała choroba, wypędziło z niego gorączkę i słabość i uczepliło się jej mocno. Na jej kołdrę położono obrus w biało-niebieską kratę, Hanna podłożyła jej trzy poduszki pod plecy, a Gertrude postawiła na łóżku duży garnek z sałatką ziemniaczaną i pierogami. Talerze, sztucce, kosz ze świeżym chlebem, masło i do tego kwintesencja dzisiejszej oferty kulinarnej: blacha z ciastem z pierwszymi w tym roku śliwkami! Wszyscy zgromadzili się koło niej, dzieci nawet siedziały na łóżku. Gertrude narzekała, że nie powinno się kłaść ogryzków z jabłek na białym obrusie, ale wesoły nastrój sprawił, że nikt nie słuchał jej narzekań.

– Mamo, wyglądasz okropnie z tymi krótkimi włosami!

– Leo, jesteś głupi jak but. Ciocia Marie wygląda pięknie w bobie!

– Mnie też się podoba ten bob. Gdy pierwszy raz polecę samolotem, też sobie obetnę te głupie warkoczki.

Hanna podała Marie pełny talerz. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu nie tylko mogła już jeść, ale była naprawdę głodna. Ledwie usłyszeli dzwonek do drzwi, Leo, który miał najlepszy słuch, poszedł sprawdzić, kto przyszedł. Zaraz potem zjawił się w drzwiach niczym herold i uklonił się teatralnie:

– Pan von Klippstein!

– Klippi? Jak to miło z jego strony – powiedziała Kitty. – Powinien przynieść sobie krzesło. Czy mamy jeszcze choć kawałek ciasta ze śliwkami? Hanno, daj jakieś poduszki, biedny Klippi przyniesie pewnie twarde krzeselko z kuchni.

Na komodzie postawiono wielki bukiet róż. Kitty powiedziała później, że Klippi był do bólu zabawny. Był tak okropnie zakłopotany, gdy wchodził do sypialni Marie, siedział sztywno na kuchennym taborecie i nie wiedział, gdzie postawić kubek z sokiem jabłkowym, trzymając na kolanach talerz z ciastem ze śliwkami.

– Wiecie państwo, że Tilly zapowiedziała swój przyjazd na następny tydzień? Przed rozpoczęciem semestru postanowiła odwiedzić swoją matkę. Biedna Tilly, nie ma łatwo z tymi zawziętymi, starymi profesorami.

– Bardzo współczuję paniencie Bräuer. Ona jest taką mądrą, utalentowaną młodą kobietą, żywie dla niej wielki podziw. Kiedy tutaj przybędzie?

– Czy ciasto ze śliwkami już się skończyło, Gertrude?

– Hanno, poplamiłaś obrus!

– Mamo, mogę spać z tobą dzisiaj w nocy?

Marie czuła się najedzona i zmęczona. Słyszała rozmowy, ale nie była w stanie w nich brać udziału, cieszyła ją ta głośna wesołość, odpowiadała od czasu do czasu na pytania i uśmiechała się radośnie. Jej powieki coraz częściej jednak same się przymykały, senne wizje mieszały się z rzeczywistością, sen chciał ją ukołysać w swoich ramionach.

– Jeśli Dodo będzie dzisiaj spała ze swoją mamą, ja chcę spać razem z Leo!
– warknęła Henny.

– Nigdy w życiu – bronił się przerażony Leo.

– Czy mógłbym dostać jeszcze jedną porcję sałatki ziemniaczanej? Jest bardzo smaczna, łaskawa pani.

– Ależ, panie von Klippstein. Zawstydzam pan. To zwykła sałatka ziemniaczana. Gotuje pan kartofle, kroci pan cebulę i ogórki, dodaje trochę octu i oleju...

– Tak dokładnie to Klippi nie musi tego wiedzieć, Gertrude.

– Dlaczego nie? Żadnemu mężczyźnie nie zaszkodzi, jeśli dowie się czegoś o gotowaniu. Nawet krzyżowcy sami gotowali sobie zupy.

– Sądzę, że Marie chciałaby się teraz przespać, pani Bräuer.

– Masz rację, Hanno. Jesteś mądrą dziewczyną. Co byśmy bez ciebie zrobili? Dobrze, moi drodzy. Piknik się skończył. Każdy zabiera coś ze sobą do kuchni. Dzieci też. Bądźcie cicho, Marie teraz się prześpi. Dobry Boże, ona chyba już śpi. Henny, ten duży garnek jest dla ciebie za ciężki. Leo, sypiesz okruchy na dywan. Klippi, niech pan przeniesie kwiaty na dół.

Marie nie widziała, jak z jej małego pokoiku zniknęły naczynia, sztućce i krzesła. Wpadła do głębokiej, chłodnej studni, a tam Morfeusz wziął ją w ramiona. Tylko aksamitna ciemność i uspokajająca cisza. Żadnych snów. Żadnych obrazów. Wrota pamięci znów się zamknęły.

Następnego dnia obudziła się wraz ze śpiewem ptaków i czuła się zdrowa. Wstała powoli i poszła do łazienki, umyła się zimną wodą, uczesała się i nałożyła szlafrok Kitty.

– Życie do mnie wróciło – powiedziała z uśmiechem do Gertrude, gdy zeszła na dół do kuchni.

– Najwyższy czas – odpowiedziała Gertrude, pijąc kawę. – Twój mąż zapowiedział się na dzisiejsze popołudnie.

Marie poczuła lekkie ukłucie w sercu, ale się tym nie przejęła.

– To dobrze – powiedziała cicho i sięgnęła po kawę. – W końcu porozmawiamy i się pogodzimy.

Gertrude nie odpowiedziała. Za oknem kos śpiewał poranną piosenkę. Po kilku minutach zupełnej ciszy w kuchni pojawiła się Hanna, posłała Marie wesoły uśmiech i powiedziała, że zaraz będzie budzić dzieci do szkoły. Chwilę później dom wypełniły wysokie głosy dzieci, Henny i Dodo szturmowały łazienkę, a Lea, największego śpiocha, Hanna musiała budzić trzykrotnie, żeby wreszcie podniósł się z poduszki. Szybkie śniadanie przy kuchennym stole, radosne rozmowy, śmiech, Hanna smarująca masłem chleb i Gertrude pakująca kromki do pudełek. Henny pobiegła na górę, bo zapomniała o zeszycie, Dodo chwyciła szklankę mleka, Leo znowu pobiegł do pianina.

– Śniłem o tej muzyce całą noc, Gertrude, muszę spróbować.

– Cicho! – ofuknęła go Henny. – Mama jeszcze śpi.

Cała trójka uściskała Marie na pożegnanie, a ich palce, klejące się od miodu, ubrudziły jej policzki.

– Teraz, gdy jesteś zdrowa, mamu, jest tutaj naprawdę wspaniale. Gdyby jeszcze tata i babcia się wprowadzili, a pani von Dobern niech zostanie sama w posiadłości.

Hanna czekała już, żeby odprowadzić dzieci do szkół, i po chwili już ich nie było. W jednym momencie w domu znów zrobiło się cicho. Gertrude sprzątnęła naczynia, a Marie poszła na górę, żeby się ubrać. Hanna, ta dobra istota, uprała i wyprasowała jej ubrania. Marie westchnęła. Nie, dziewczyna nie miała zadatków na krawcową, była po prostu za mało zręczna. Tutaj, na Frauentorstraße, wydawała się bardzo szczęśliwa. Pomagała w kuchni, sprzątała pokoje, chętnie opiekowała się dziećmi, a nią zajmowała się z wielkim poświęceniem. Była dobrym duchem tego domu. Jaka szkoda, że zadawała się wtedy z tym Rosjaninem i straciła dziecko. Teraz każdego

mężczyznę, który się do niej zbliżał, omijała z przerażeniem. A jako żona i matka byłaby bardzo szczęśliwa. Żona i matka, pomyślała Marie. Też nią przecież jestem. Czy nie jest to przeznaczenie kobiety? Po co mam prowadzić to głupie studio mody, skoro przez to zaniedbuję męża i dzieci? Ale nie, nie mogę tak łatwo zrezygnować z atelier.

Paul przyjechał około dziesiątej. Kitty jeszcze nie wstała, więc Gertrude otworzyła mu drzwi. Marie stała w salonie przy oknie, patrzyła na dziki ogród, rozciągający się wokół domu, a jej serce biło tak mocno, że aż robiło się jej słabo.

– Jest jej lepiej? Wstała? – usłyszała podekscytowany głos Paula.

– Jest jeszcze słaba, Paul. Pod żadnym pozorem nie możesz jej denerwować.

– Mój Boże, ale mi ulżyło.

Usłyszała, jak cicho się zaśmiał, i ogarnęła ją ogromna tęsknota. Paul. Jej ukochany. Uwielbiała ten jego śmiały, młodzieńczy śmiech. Jego prowokacyjne żarty. Szybko rzucane spojrzenia, gdy chciał zwrócić jej uwagę. Zapukał. Nie bardzo cicho, ale też nie nachalnie.

– Wejdz, Paul.

Otworzył i trzymając jeszcze rękę na klamce, uśmiechnął się do niej. Czują, jak oblewa ją fala gorąca, jej policzki były rozpalone. Tak bardzo za nim tęskniła. Przez chwilę stali bez ruchu, czuli oboje przyciąganie swoich ciał, tęsknotę za tym, by stać się jednością. Marie przeszło przez myśl, że jest to niepowtarzalny moment. Nigdy w życiu nikogo nie kochała i nie pragnęła bardziej niż jego w tej chwili. To Paul przełamał to napięcie. Zamknął drzwi i podszedł do Marie, zatrzymując się na chwilę tuż przed nią, a potem przyciskając ją z całych sił do siebie.

– Odzyskałem cię – sapnął. – Tak się o ciebie bałem, mój skarbie!

Marie poczuła obezwładniające szczęście, gdy ją przytulał, był to powrót do sfery bezpieczeństwa. Jego mocny uścisk odbierał jej oddech.

– Bądź delikatny, kochanie. Jestem jeszcze bardzo słaba.

Pocałował ją lekko, zaprowadził do sofy, żeby mogła usiąść, i objął ją delikatnie.

– To, co powiedziałem o twojej matce, jest niedopuszczalne, Marie. Przebacz mi. Żałuję tego po tysiąckroć. Ona była artystką, odważną kobietą, ale przede wszystkim twoją matką. Za to, że ciebie, moją ukochaną Marie,

wydała na świat, będę wdzięczny Luise Hofgartner do końca swoich dni.

To, co mówił, brzmiało tak przejmująco. Był pełen poczucia winy i miłości. Błagał ją o wybaczenie. To było więcej, niż oczekiwała. I chciała mu dorównać. Nie, nie była kobietą, która nie potrafi pójść na ustępstwa dla miłości.

– Przemyslałam to sobie, Paul. Nie potrzebuję atelier, żeby być kobietą szczęśliwą i spełnioną. Przeciwnie – ono przyniosło nam same zamartwienia. Dlatego zrezygnuję z niego i będę poświęcać czas tobie i naszej rodzinie.

Pocałował ją i oddali się przez chwilę temu cudownemu uczuciu, że znów odnaleźli siebie.

– To bardzo mądrze, kochanie, że sama tak zdecydowałaś. Chociaż bardzo żałuję, że zamkniesz atelier. Sam cię przecież zachęcałem, żebyś je otworzyła. Ale masz całkowitą rację, Marie, lepiej będzie, jeśli z niego zrezygnujesz.

Przytaknęła i słyszała jeszcze, jak on dalej rozwija swoją myśl. Ulży przede wszystkim mamie, bo nie będzie już musiała brać na siebie całego ciężaru prowadzenia domu. Dzieciom też to dobrze zrobi, bo prawie jej nie widywały. I oczywiście on sam też na tym skorzysta.

Przyjął moje poświęcenie jako coś zupełnie oczywistego, pomyślała Marie rozczarowana. Czy on w ogóle rozumie, co to dla mnie znaczy? Wie, że robię to tylko z miłości do niego?

– Jeśli będziesz mieć na to czas, to oczywiście będziesz mogła malować i projektować. Dziećmi będziesz się zajmować wyłącznie ty, a Hanna będzie ci pomagać.

– Zwolniłeś panią von Dobern?

Uśmiechnął się z młodzieńczym zapałem i wyjaśnił, że znalazł wspaniałe rozwiązanie.

– Pani von Dobern przejmie od zaraz obowiązki gospodyni w posiadłości. To była propozycja mamy, którą przyjąłem bardzo chętnie...

– Gospodyni? – przerwała mu Marie z przerażeniem. – Paul, to w żadnym razie nie skończy się dobrze.

Przytulił ją mocniej do siebie i głaskał ją po włosach. Mówił szeptem, że ta nowa fryzura jest jakby stworzona dla niej, że nigdy nie wyglądała piękniej niż z krótkimi włosami.

– To nie będzie dobre rozwiązanie, Paul. Pracownicy jej nienawidzą.

Dojdzie do spotęgowania niechęci, a nawet do zwolnień.

– Zobaczmy, Marie. Pozwól nam po prostu spróbować. Nie chcę pogorszyć stanu mamy. Ona bardzo polega na pani von Dobern.

Marie milczała i słuchała. Chodzi o to, żeby się ze sobą porozumieć, żeby się pogodzić. Wyjść sobie naprzeciw. Na pewno nie pomoże, jeśli nie pójdą na wzajemne ustępstwa. Tyle tylko, że do tej pory on nie nagradzał w żaden sposób jej uległości. Pani von Dobern zostanie, co prawda nie jako guwernantka, ale wciąż będzie trzeba znosić jej obecność. Paul, ty spryciarzu.

– Przede wszystkim ogromnie się cieszę, że do nas wrócisz, moja ukochana Marie. To był dla mnie straszny czas, gdy zostałem całkiem sam, opuszczony. Jesteś tak ważną częścią mojego życia, że czułem się, jakby ktoś wyrwał jakiś kawał mojego ciała...

Była poruszona i przytuliła go pocieszająco. Tak, zaraz spakuje swoje rzeczy. Hanna zajmie się bagażami dzieci i razem pojedą do posiadłości. Chciała wrócić do ich wspólnego domu i do wspólnej sypialni. Pieścił ją tak namiętnie, że obawiała się, iż za moment spełnią na sofie swój małżeński obowiązek, co ze względu na Hannę, Gertrude i Kitty było oczywiście niemożliwe. Paul też to wiedział, więc przytulał ją tylko i mówił do niej cicho i czule.

– Obiecuję ci, Marie, że od teraz bardziej się będę troszczył o dzieci. Przede wszystkim o syna. Koniec z grą na pianinie. Będę oprowadzał Lea po fabryce, dawał mu drobne zadania do wykonania, żeby poznawał działanie maszyn. A Dodo powinna się uczyć grać na fortepianie, w końcu jest dziewczynką, więc niech się uczy muzyki.

– Ale Paul, to Dodo interesuje się maszynami i techniką.

– Cóż, ona też to może robić. Ale przede wszystkim trzeba Leo wskazać słuszną drogę. Wkrótce sama zobaczysz, Marie, jakim stanę się roztroprnym ojcem.

Wszystko więc zostanie tak, jak było. Niesłychane, że Paul nie zauważa, jak robi się podobny do swojego ojca. Uparcie trwał w przekonaniu, które było pozbawione sensu. Leo będzie bardzo nieszczęśliwy, jeśli ojciec każe mu zająć się fabryką.

– I myślałem też o tych obrazach – mówił. – Kupię je niezależnie od ceny. Nie mogę pozwolić, żeby Klippstein posiadał obrazy twojej matki. Starannie spakujemy te wszystkie prace i ułożymy na górze, na strychu.

Paul chciał w ten sposób wycofać je z obiegu i zapobiec ewentualnej

wystawie tych prac. Paul był sprytny, ale tym razem posunął się za daleko.

– Nie chcę tego, Paul – powiedziała. – Miejsce tych obrazów nie jest na strychu. Namalowała je moja matka i chciałabym, żeby pewnego dnia zostały pokazane ludziom. Jestem to jej winna.

Wziął głęboki oddech i udało mu się opanować zdenerwowanie. Marie wyrwała się z uścisku i położyła z powrotem na sofie. Dlaczego tak zareagowała? Nie mogła po prostu powiedzieć, że nie chce kupić tych obrazów?

– A wiesz, Marie, że taka wystawa może okryć hańbą członków naszej rodziny i fabrykę?

– Ale dlaczego? Chodzi przecież o malarkę Luise Hofgartner, o jej artystyczne osiągnięcia, o jej przynależność do takiego czy innego nurtu w sztuce.

– Sama wiesz, że to tylko takie gadanie. Zaraz wszyscy zaczną mówić o Jakobie Burkardzie i moim ojcu.

A więc to był punkt zapalny. Dumny ród Melzerów pod żadnym pozorem nie chciał, żeby wyszło na światło dzienne, że swój dobrobyt zawdzięcza projektom biednego, ale genialnego alkoholika Jakoba Burkarda. Tak, pogodziła się z tym. Poproszono ją o wybaczenie. Paul wziął ją za żonę. Nie z powodu wyrzutów sumienia, ale dlatego, że ją kochał. Ale los jej rodziców wciąż ją bolał. Czy teraz ta historia się nie powtarza? Czy znów jeden z Melzerów nie próbował wywrzeć nacisku na córkę Burkarda? Uczynić ją uległą?

– Przykro mi, Paul, ale nie pozwolę, żeby Ernst von Klippstein sprzedał ci swoją część kolekcji.

Czuła, jak jego ciało sztywnieje, a mięśnie szczęki się napinają, nadając jego twarzy zacięty wyraz.

– Chcesz organizować tę wystawę wbrew mojej woli?

Jego ton ją przeraził, to zdanie zabrzmiało jak groźba. Ale ona nie była jedynie łagodną Marie, miała w sobie część Luise Hofgartner, kobiety, która stawiała czoła bogatemu przedsiębiorcy Melzerowi.

– To nie jest temat do dyskusji, Paul. Ważniejsze jest to, żeby pani von Dobern opuściła posiadłość. Na to niestety będę nalegać.

– Powiedziałem przed chwilą, że nie zrobię tego mamie.

– Ale mnie możesz to zrobić?

Żachnął się i podniósł, żeby podejść do okna. Widziała, jak zaciska pięści, słyszała jego szybki oddech.

– Nie mogę tak po prostu zwolnić jej od zaraz!

– Nie musisz tego robić, Paul. Mogę poczekać. Ale wrócę do willi dopiero wtedy, gdy pani von Dobern opuści dom.

Teraz był wściekły. A może była to rozpacz? Bezradność? Uderzył nogą w fotel bujany. Poruszające się bieżuny skojarzyły się nagle Marie z półokrągłym nożem, którego Gertrude używała w kuchni do krojenia ziół.

– To twoje ostatnie słowo?

– Przykro mi, Paul, nie mogę postąpić inaczej.

Oparł się prawą ręką o okienną futrynę, jakby musiał się czegoś przytrzymać.

– Wiesz, że mogę cię zmusić, Marie... w skrajnej sytuacji. A dzieci wracają do posiadłości. Jeszcze dzisiaj. Na to nalegam!

Milczała. Mógł zażądać rozwodu i zabrać dzieci. Mógł zamknąć atelier, bo było zarejestrowane na jego nazwisko. Wtedy nie zostałoby jej nic.

– Jak długo mieszkam u Kitty, dzieci będą ze mną.

Odwrócił się do niej i zobaczyła, że jego szare oczy błyszczały z gniewu. Och, jak przypominał teraz swojego ojca. Uparty i gwałtowny. Melzer. Ten, który zawsze zwyciężał. Gdzie się podziała ich miłość? Nie widziała jej teraz. Czy ten mężczyzna mógł ją kochać?

– Zmuszasz mnie do podjęcia innych środków, Marie! – Podbiegł do drzwi i otworzył je, a potem się odwrócił, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Zacisnął jednak tylko wargi i milczał.

– Paul – powiedziała cicho. – Paul.

Ona też poczuła, że w tej chwili nie mieli już sobie nic więcej do powiedzenia. Potem usłyszała trzaśnięcie drzwi i warkot uruchamianego silnika samochodu.

[9](#) Franc. Kocham cię.

[10](#) Franc. Moja mała, mój skarbie.

Październik 1924

Jasny gwint, w białej kapuście są robaki!

Gustav kuśtykał powoli między grządkami, w każdej ręce trzymając kosz pełen główek kapusty. Były małe, bo trzeba było poobcinać zewnętrzne liście, żeby uratować chociaż środek. Z wielu obiecująco dużych główek kapusty zostało niewiele. Do tego zaczęło padać. Zbyt późno – gdyby deszcz padał kilka tygodni temu, wtedy te przekłete robaki by się wyniosły. A tak w spokoju złożyły jaja w kapuście.

– To, czego nie sprzedamy, to ukwasimy – pocieszała go Auguste. – Pożyczę z willi szatkownicę i kilka dużych garów.

Gustav przytaknął. Nic innego i tak im nie pozostało. Przywołał do siebie Liesl i Maxla, którzy pakowali w szopie włoszczyznę do małych worków.

– Włóżcie na przyczepę. Tylko ostrożnie. I przykryjcie plandeką, żeby nie zamokło.

– Tak, tato.

Padało, a duże krople bez trudu dostawały się przez ubrania na skórę. Zrobiło się zimno, wcześniej rano na grządkach pojawiał się szron. A był październik, więc do zimy było jeszcze daleko.

– Jak twoja noga? – zapytała Auguste, przyglądając się, jak kuleje.

– Całkiem dobrze – odparł. – Jeszcze trochę zaogniona, ale już się goi. Daj tutaj kosze. Chcę zebrać marchew i selery. Kalafiory jeszcze zostawimy, zbierzemy je dopiero po pierwszych przymrozkach.

Auguste przytaknęła i poszła do szopy, gdzie przynajmniej było sucho. Trzyletni Hansl przykucnął na podłodze i uderzał obiema rączkami w bure błoto. Będzie musiała uprać jego spodnie, ale dobrze, że się czymś zajął. Fritz skończył dziewięć miesięcy, był pulchny, silny i chciał się koniecznie wspinać na wszystko, co się dało. Jeszcze tydzień albo dwa i chłopiec zacznie stawiać pierwsze kroki.

Auguste związywała włoszczyznę i patrzyła na astry i dalie, które Liesl pościła i powkładała do blaszanych wiader z wodą. Kwiaty też zabiorą na targ. Jaka szkoda, że nie wiedziała, jak wiązać je w bukiety tak, jak robiły to

kwiaciarki. One każą sobie płacić za te same kwiaty dwa razy więcej. Patrzyła na rozległy park, należący do Melzerów. Co za marnotrawstwo, myślała. To była dobra ziemia pod uprawy, mogliby sadzić ziemniaki i siać rzepę, uprawiać zioła oraz kalafiory. Ale bogaci Melzerowie nie musieli tego robić. Mieli duże zyski z fabryki i nie musieli dbać o park. Drzewa, łąki i kwiaty – tylko dla dekoracji. Było ich na to stać.

Nie miała żadnego powodu, żeby narzekać na Melzerów, bo wciąż za darmo mieszkała w domu w ogrodzie ze swoją rodziną. Było ciasno, a dwa pokoiki na poddaszu nie miały ogrzewania. Ale to nic. Gdyby musieli płacić czynsz, dawno by umarli z głodu. Pochyliła się, żeby zobaczyć, gdzie jest Gustav z dwójką starszych dzieci. Jeszcze nie zebrali kilku marchewek i selerów? Powinni już jechać, żeby rozłożyć się na targu, zanim inni sprzedający będą się bili o ich miejsce. A gdy skończą, musiała jeszcze koniecznie wytrzeć mokrą szmatką ręce Liesl i Hansla, żeby nie dostali w szkole bury za brudne palce. Co ten nauczyciel sobie myślał? Czyste ręce – na to mogli sobie pozwolić tylko bogaci ludzie. U nich starsze dzieci musiały pracować, w przeciwnym razie cała ich szóstka już by nie żyła. Tak właśnie to wygląda, panie nauczycielu. A jeśli pan nie wierzy, to niech pan przyjdzie i wykopie kilka marchwi. Wtedy zobaczymy, jak będą wyglądać pana palce.

– Gustav! Kończ już, musimy jechać! – krzyknęła i sięgnęła po zioła, żeby je ułożyć w małych koszykach. Pietruszkę, koperek i szczypiorek mieli na swoich straganach prawie wszyscy handlarze, oni natomiast hodowali też majeranek, estragon, rozmaryn i tymianek. Kupowały je kucharki z bogatych domów i dodawały do pieczeni i sosów. Na tych ziołach mogli więc zarobić. Gustaw i dzieci podeszli teraz do przyczepy, która, nakryta plandeką, stała w deszczu. Gdyby chociaż mieli konia. A jeszcze lepiej samochód! Ale o tym nie mogli nawet marzyć. Za kilka tygodni zarobki tak bardzo się zmniejszą, że pieniędzy wystarczy jedynie na opłatę postojowego na targu. Pod koniec listopada nie będzie już kwiatów, zostanie tylko czerwona kapusta, cebula i marchew. Marchew przechowywali w piwnicy w szopie w ogrodzie, wkładali ją do skrzynek wypełnionych piaskiem i dzięki temu całą zimę była soczysta i świeża. Ciepłarnia, to było to. Duża szklarnia, w której jest mnóstwo światła i ogrzewa się ją zimą. Przez cały rok można tam uprawiać kwiaty i zioła.

– Dobrze się spisaliście, wy dwoje – powiedział Gustav do dzieci. – Bądźcie zawsze tacy pracowici. A teraz biegnijcie do mamy po śniadanie.

Poklepał Liesl po czapeczce, którą nosiła, a Maxlowi dał pełnego miłości lekkiego klapsa. Auguste przyniosła chleb i nalała mleko do kubków. Masła

nie mieli, jedynie marmoladę, która była zbyt ciekła i nie mogli jej sprzedawać.

– Mamo, bolą mnie stopy – żaliła się Liesl. – To dlatego, że ciągle muszę kurczyć palce.

Buty były od dawna na nią za małe, a Maxl miał tak duże stopy, że zniszczone buty Liesl były na niego za małe. Będzie musiała kupić buty dla obojga, bo Maxl też już wypychał palcami czuby swoich butów. Wcześniej dostawali jakieś ubrania i obuwie od Melzerów, ale odkąd Marie Melzer wyniosła się z posiadłości, nie można było o to prosić. Pani Alicia Melzer wybuchała płaczem, gdy tylko ktoś wspomniał o jej wnukach.

Nagle usłyszała wrzask Fritza, którego delikatnie przywiązała do drzwi szopy. W przeciwnym razie mógłby się wybrać na wędrowkę i musiałyby go całego upaćkanego wyciągać spomiędzy grządek niczym brukiew.

– Gotowe? – zapytał Gustav, stawiając koszyki z przyprawami i włoszczyzną na przyczepę.

– Tak, bierz. Będzie też jeszcze coś dzisiaj wieczorem.

Podsunęła mu kromkę z marmoladą, bez ochoty ugryzł ją kilka razy. Potem połamał ją na kawałki i dał Hanslowi, który patrzył na nią łakomie. Można mówić, co się chce, ale trzech chłopcy nie wyglądali na zagłodzonych. Przeciwnie. Tylko Liesl była chuda, bo miała jedenaście lat i ciągle rosła.

Auguste wsadziła najmłodszego syna do starego wózka, który podarowali im Melzerowie, a w którym najpierw wożono Paula, a potem Kitty i Lisę. Hansl siadł na krawędzi wózka przed Fritzem i jechało się tak całkiem dobrze. Gustav ciągnął z przodu przyczepę z warzywami, a Liesl i Maxl pchali z tyłu, żeby wprowadzić koła w ruch. Co za okropna harówka. Zwłaszcza gdy całą noc padało i ścieżka aż do ulicy tonęła w błocie.

Tak dalej być nie może, myślała Auguste. Gustav jest dzielnym i pracowitym mężczyzną. Przyzwoitym człowiekiem, który nikogo nigdy nie oszukał. Ale właśnie dlatego do niczego w życiu nie dojdzie. Tak to jest w życiu, że pokorni przepadają. Tylko ci, którzy się chełpią i są zdolni do wszystkiego, coś osiągają.

Droga wiodła przez Jakoberstraße i Perlach. Potem trzeba było wejść na Karolinenstraße, gdzie znajdował się targ. Niekończąca się podróż po ścieżkach i mokrych chodnikach. Stary dziecięcy wózek trzeszczał, aż się bali, że zaraz się zarwie. Oczywiście ich ulubione miejsce było już zajęte, musieli więc zadowolić się niezbyt korzystnym kątem obok mleczarni. Tutaj

przynajmniej mogli się schować przed deszczem, bo Gustav przymocował plandekę do haka, wystającego ze ściany budynku.

– Dzisiaj jest mało klientów – powiedział stojący po sąsiedzku handlarz, który sprzedawał ziemniaki, śliwki i jabłka. – Gdy pada, ludzie zostają w domu.

– Dzisiaj po południu się wypogodzi – stwierdziła Auguste.

Nie miała pojęcia, skąd czerpała tę wiedzę, ale w końcu człowiek musiał sobie radzić z tą przygnębiającą aurą. Sprzedała dwa pęki włoszczyzny zmokniętej pomocy kuchennej, a potem kilka kobiet oglądało kapustę, ale kupiły ją gdzie indziej. Auguste marzła, dzieci dygotały, Maxl miał sine usta.

– Umyjcie palce.

Nauka się wprawdzie jeszcze nie zaczęła, ale mogli już pójść do szkoły. Gdy woźny ich zobaczy, wpuści do środka. Auguste zostawiła Hansla przy Gustavie i włożyła zioła oraz kwiaty na wózek Fritza.

– Idę do Jordan – powiedziała do Gustava. – Wybierze sobie, co będzie chciała.

Usiadł na skrzynce i wziął małego na kolana.

– Idź już. I tak się tutaj nic nie dzieje.

Gustav zawsze wyglądał na zadowolonego. Rzadko się skarżył, nigdy nie przeklinał. Tylko wieczorem musiał wypić to swoje piwo. Wypłukać z siebie troski, jak mówił. Czasami może byłoby lepiej, gdyby miał własne zdanie, uderzył pięścią w stół i powiedział, co sądzi. Gustav taki nie był. Zawsze czekał, by to ona podjęła decyzję.

Deszcz rzeczywiście prawie ustał, mgła, która leżała na dachach budynków, zaczynała się przerzedzać i miasto zyskało nieco przyjaźniejszy wygląd. Na ulice wróciło życie, wyjechały furmanki, obładowane wszelkiego rodzaju beczkami i skrzyniami. Gdzieś tam przemykały także samochody i powozy konne. W tramwajach tłoczyli się ludzie, którzy byli właśnie w drodze do swoich biur i sklepów. Wielu z nich zazwyczaj chodziło na piechotę, żeby oszczędzić pieniądze, ale przy takiej pogodzie woleli jechać tramwajem i dotrzeć do pracy w suchych ubraniach. Auguste patrzyła z zazdrością na dobrze ubrane kobiety, które wysiadały na przystankach, rozkładały szybko parasole. One nie musiały wykopywać brudnych główek kapusty i męczyć się z czworgiem małych dzieci. Siedziały w ładnych, suchych biurach, pisały na maszynie, pracowały na poczcie jako „panie z okienka” albo sprzedawały towar w eleganckich sklepach. Po drugiej

stronie ulicy widać teraz było atelier Marie Melzer. Od jakichś trzech tygodni znów było otwarte i dobrze sytuowane klientki często tam zaglądały, mówiono nawet, że żona albo córka burmistrza coś u niej zamawiała.

Auguste wzięła na ręce Fritza, który zaczął ryczeć, i zmrużyła oczy, żeby zobaczyć, co się działo w atelier za dużą witryną. Czy to nie Hanna trzymała teraz na ręce materiał? Nie, to była ta pani, która przyjechała kiedyś z synem do willi. Z tym kolegą Lea ze szkoły, Żydem. Guwernantka odesłała wtedy oboje. A teraz ta Żydówka pracowała u pani Melzer? Ech, ta nie cofnie się przed niczym.

Auguste pobawiła się chwilę z Fritzem, żeby zachować dobry humor, po czym włożyła go do wózka i szła dalej. Od Perlach aż do Milchbergu ciągnęła się Maximilianstraße, tam Jordan miała swój sklep. Ta okolica nie cieszyła się najlepszą sławą i była dość odległa od centrum, ale dla celów Jordan nie była zła. Kto przychodził do niej, żeby przepowiedziała mu przyszłość, niekoniecznie chciał być widziany. Auguste musiała stanąć, bo mały znowu zaczął płakać i przebierać nóżkami i bała się, że zrzuci kapustę. Kupiła od handlarki dwa precele, jeden dała chłopcu, drugi zjadła sama. W ten sposób wydała pieniądze, które zarobiła na włoszczyźnie.

Pocieszała się myślą, że u Melzerów, mimo iż nie brakowało im pieniędzy, też nie było najlepiej. Młoda pani Melzer mieszkała z dziećmi na Frauentorstraße, mówiło się o rozwodzie i o sprawie sądowej, która miała sprowadzić dzieci do posiadłości, ale pan Melzer nie podjął chyba żadnych działań w tym celu. Nawet jeśli jego matka była bardzo nieszczęśliwa, bo tęskniła za wnukami. Najgorsza była jednak ta jędza. Nowa gospodyni, pani Serafina von Dobern. Czysta podłość na chudych nogach. Tak wrednej baby willa Melzerów jeszcze nie widziała, biła ona na głowę nawet Jordan. Przejęła biuro Schmalzler i tam się zakwaterowała. Gertie musiała jej rano przynosić śniadanie, bo tylko kolację jadła z pracownikami. Po śniadaniu przychodziła do kuchni i przekazywała polecenia, zrędziła, upominała, żądała i obrażała wszystkich, tak że cieszyli się, gdy wreszcie sobie poszła. Szczególnie uwzięła się na Gertie, bo ta często się jej przeciwstawiała. Naskarżyła na nią pani Alicii, aż Gertie cała drżała w jadalni, bo mocno zmyto jej za to głowę. To, co von Dobern o niej naopowiadała, to były wierutne kłamstwa. Zbiła szklankę i ukradła talerz z cennej zastawy. W rzeczywistości talerz stał w biurze gospodyni i ładowała sobie na niego bez pytania ciastka upieczone przez Brunnenmayer. Else zawsze bratała się z silniejszymi i w tym momencie niestety była to von Dobern. Julius rozglądał się już za inną posadą, ale na razie nic nie znalazł. Starał się ze wszystkich sił ignorować gospodynię i nie zwracać uwagi na jej kąśliwe

uwagi, ale widać było, że z trudem je znosi. Często biedny chłopak był aż żółty na twarzy ze złości.

Tylko Brunnenmayer stawiała jej czoła. Z nią von Dobern nie miała łatwo. Gdy wydawała jej polecenia, kucharka nic sobie z tego nie robiła. Wykonywała swoją pracę jak zawsze i nie poświęcała gospodyni więcej uwagi niż musze siedzącej na ścianie. Najwyżej stroiła sobie z niej żarty. Gdy von Dobern domagała się kandyzowanego cukru do porannej herbaty, Brunnenmayer wkładała szklaną kulkę do cukiernicy. Gertie przyniosła ją z pokoju dziecinnego. Jezus Maria – ależ się gospodyni zdenerwowała! To był zamach na jej życie! Chciała wołać policję, żeby zamknęli kucharkę w więzieniu. A za czasów cesarza takie jak Brunnenmayer wieszano na szubienicy! Auguste nagle przystanęła, bo kosz z estragonem prawie wypadł z wózka.

A czy to nie Gertie stała przed słupem z ogłoszeniami? Tak, to ona. Trzymała koszyk w ręce i była szczelnie owinięta chustą dla ochrony przed deszczem, ale Auguste poznała ją po ciemnoczerwonej spódnicy we wzory. Należała do panienci Elisabeth, która wyszła za porucznika von Hagemanna i teraz razem z nim mieszkała na Pomorzu. Biedny ten von Hagemann. Był kiedyś takim przystojnym porucznikiem. Naprawdę przystojnym. Auguste zmusiła się, żeby nie myśleć o przeszłości, i podeszła do niczego niespodziewającej się Gertie.

– No patrzcie na Gertie. Całkiem zatonęła!

Ku jej rozczarowaniu dziewczyna się nie przestraszyła, odwróciła się powoli i uśmiechnęła do Auguste z zadowoloną miną.

– Dzień dobry, Auguste. Słyszałam was z daleka. Ten wózek kwiczy jak cały chlew z prosiętami. Idziesz na targ warzywny z ziołami?

– Nie, te są dla Jordan.

– Ach tak.

Auguste rzuciła okiem na ogłoszenie, które Gertie miała przed nosem, ale mogła odczytać tylko „stowarzyszenie pań chrześcijanek”, reszta liter była zbyt mała.

– Chcesz wstąpić do klasztoru?

Gertie się uśmiechnęła. Co prawda z nową gospodynią codziennie dochodziło do spięć, ale z tego powodu nie chciała żegnać się ze światem.

– Oferują kursy. No zobacz. Dla młodszych pokojówek trwa dwa i pół

miesiąca. Dla starszych trzy miesiące.

Patrzcie no tylko, Gertie chciała awansować. Od razu na pokojówkę. Cóż, żeby się tylko nie przeliczyła.

– A czego tam uczą? Napisali?

Pokazywała palcem wskazującym na linijki, które właśnie czytała.

– Tak, tutaj: nauka uprzejmego i skromnego zachowania, dobrych manier, serwowania posiłków i nakrywania do stołu, a poza tym fryzjerstwo, prasowanie, krawiectwo. Pranie i czyszczenie lamp.

– Większość z tego już potrafisz.

Dziewczyna zrobiła krok do tyłu i wzruszyła ramionami.

– To prawda, większość już umiem. Oprócz tych uprzejmości i dobrych manier. Ale gdy się ukończy taki kurs, otrzyma się dyplom. I możesz go dołączyć do dokumentów, gdy się będziesz starać o posadę. Rozumiesz?

Auguste rozumiała. Gertie już nie będzie długo dziewczyną pomagającą w kuchni. Chciała awansować i miała taką możliwość. Czemu ona sama poprzestała na posadzie młodszej pokojówki? Ach, no bo wdała się w romanse. Z lokajem Robertem. Z porucznikiem von Hagemannem. Potem urodziło się dziecko, dla którego potrzebowała mężczyzny. Ślub z Gustavem. I później chłopcy jeden po drugim przychodzili na świat. Gertie była jednak zbyt sprytna, by oddać się jakiemuś typkowi.

– Będzie szkoda, gdy odejdziesz z willi, Gertie – powiedziała szczerze.

Gertie westchnęła i odparła, że jej też nie będzie łatwo. Ale odkąd ta podła baba wszędzie wtyka nos, w posiadłości wiele zmieniło się na gorsze.

– Ty masz ogrodnictwo i swoją rodzinę – mówiła. – My musimy dzień i noc walczyć z tym insektem. A to jest trudne.

Auguste pokiwała głową. Ta dziewczyna nic jeszcze nie wiedziała o życiu. Myślała pewnie, że rodzina i ogrodnictwo to prawdziwa bajka, żadnych zmartwień o codzienny byt i sama zabawa. Podniosła połowę precla, który wypadł Fritzowi z wózka, wytarła o spódnicę i włożyła do torby.

– No, to zbierajmy się – powiedziała, patrząc na wieżę ratuszową, na którą padały promienie słoneczne. Miała rację, faktycznie się wypogodziło.

– Tak, ja też muszę iść, Brunnenmayer dała mi długą listę zakupów.

– Z Bogiem, Auguste.

Oba domy należące do Jordan widać było już z daleka, bo były to jedyne nowo otynkowane i pomalowane na jasny kolor budynki w okolicy. Były niewielkie, ale jednak. I znacznie lepsze niż domek w ogrodzie, w którym tylko się cierpiało. Młody pracownik Christian wystawił stolik na zewnątrz i zaczął na nim ustawiać różnego rodzaju produkty. Pojemniczki z jakąś cudowną pastą, małe słoiczki z orientalnymi przyprawami, artystycznie upleciony wianek z kwiatów, ramkę na obraz ze srebra, jedwabny szal, figurkę nagiej tancerki, wykonaną z brązu.

– Dzień dobry, Christianie, czy panna Jordan jest w środku?

Zrobił się cały czerwony, gdy się do niego odezwała. Prawdopodobnie dlatego, że gładził opuszkami palców figurkę z brązu. Miły chłopak. Jakie wielkie niebieskie oczy. Oby tylko Jordan go nie uwiodła, żmija.

– Tak, tak. Niech pani poczeka, pomogę pani z wózkiem.

Zostawił stolik i pchnął wózek do przodu, żeby łatwiej przejechał przez próg. Ucieszył się, bo Fritz się do niego uśmiechnął i zaczął łapać rączkami za jego szary fartuch.

– Ja też miałem takiego małego brata – powiedział do Auguste. – Zmarł na szkarlatynę. To było pięć lat temu.

– Ach – odparła Auguste. – Biedny robaczek.

Właściwie powinna się cieszyć, bo jej czwórka prawie w ogóle nie chorowała. W dzielnicach, w których mieszkała biedota, wiele dzieci umierało. To było straszne, gdy trzeba było pochować taką małą istotkę. Ale do tego u nich nie doszło. Ona zresztą potrafiła walczyć. Tak jak Gertie chciała iść do przodu.

Drzwi prowadzące do tylnego pokoju się otworzyły i Maria Jordan weszła do sklepu. Ładnie się wystroiła – mogła sobie na to pozwolić. Długa ciemna suknia z białym koronkowym kołnierzykiem – z daleka wyglądała jak młoda dziewczyna. Była chuda i stąd to wrażenie. Z bliska było widać zmarszczki na twarzy, musiała mieć około pięćdziesiątki.

– Dzień dobry, Auguste. Co cię sprowadza?

Spojrzała na zioła i kwiaty, uniosła brwi i powiedziała, że chciałaby jedynie trochę estragonu i majeranku. No może jeszcze tymianek. A czy ma rozmaryn?

Sprytna była, ta Jordan. Większość ziół suszyła i mieszała je, żeby zrobić preparat do skrapiania poduszek. Albo napełniała nimi butelki z płynem do

kąpieli. O działaniu leczniczym, oczywiście. Bez tego rodzaju zapewnień nikt nie kupiłby tych śmierdzących substancji za spore pieniądze.

– A kwiaty?

Jordan uniosła głowę. W tej chwili nie było żadnego klienta.

– Przemyślałaś to? – zapytała ściszym głosem.

– Tak, ale nie na trzydzieści procent! To jest prawie jedna trzecia!

– Dobrze – odpowiedziała Jordan. – Wejź do środka, to się dogadamy.

Przykazała pracownikowi, żeby zajął się sklepem oraz wózkiem, i zabrała Auguste na tyły pomieszczenia. Po raz pierwszy Auguste weszła do pokoju, o którym tyle plotkowano. Nic tam takiego nie było! Ściany były wytapetowane, stała komoda, mały stolik oraz lampa z zielonym kloszem, która dawała spokojne światło. Na podłodze leżał dywan w orientalne wzory, a na nim jedwabne poduszki. Ale nie było w tym nic niepokojącego. Co najwyżej obrazy wiszące na ścianach wydawały się nieco osobliwe w tym pokoju bez okien. Sułtan w zielonym turbanie, który patrzy na liczne nagie, kąpiące się kobiety. Była jeszcze dziwna twarz dziewczyny, zasłonięta ciemną woalką. I krajobraz z ostrymi skałami w świetle księżyca. Wyglądało to rzeczywiście dość złowieszczo.

– Usiądź.

Zajęła miejsce naprzeciwko Jordan i zauważyła, że stół był naprawdę piękny. Podobny znajdował się w gabinecie dla panów w posiadłości Melzerów. Musiała zarabiać naprawdę duże pieniądze, żeby sobie pozwolić na kupno takich mebli.

– No więc skoro tu jesteś, Auguste, i znamy się od tak dawna. Dwadzieścia osiem...

– To wciąż za dużo. Tyle moglibyśmy zarobić, gdybyśmy postawili szklarnię. I musiałyby najpierw wyrosnąć rośliny, a to by potrwało do marca.

Jordan przytaknęła – też to wiedziała.

– To nie zażądam spłaty od razu. Każdego miesiąca zapłacisz najpierw mniej, a gdy już zarobicie, wtedy zapłacisz więcej. To wszystko tutaj dokładnie zapiszę, a ty złożysz podpis.

– Dwadzieścia pięć!

– To mogłabym ci to od razu podarować.

– Dwadzieścia pięć procent i najpóźniej po roku oddam pieniądze.

Z odsetkami.

– Dwadzieścia sześć procent, to moja ostateczna oferta. I jeszcze do tego dołożę. Pomyśl przecież o inflacji.

– Ach to. Nie, to już minęło. Mamy teraz nowe papiery wartościowe i nie ma już żadnej inflacji.

Z ciężkim westchnieniem Maria Jordan powiedziała, że zgadza się na taką ofertę. Dwadzieścia pięć procent odsetek, pieniądze na rok. Pięć tysięcy marek na rękę.

– Niech tak będzie – odparła Auguste, a jej serce biło tak gwałtownie, że aż poczuła suchość w gardle.

Patrzyła, jak Jordan wyciąga z szuflady komody skórzaną teczkę z dokumentami, stawia na stole pojemnik z atramentem i macza w nim pióro. Potem zaczęła nim machać po kartce papieru, notując warunki, terminy, liczby. Do stycznia nie muszą myśleć o pożyczce, potem będą płacić miesięczne raty. Jeśli spóźnią się z ratą dwa miesiące, Jordan miała prawo zażądać zwrotu całej sumy lub zająć dobytek Bliefertów.

– Przeczytaj sobie wszystko na spokojnie. Potem złóż podpis na dole strony.

Jordan popchnęła kartkę w jej stronę i Auguste starała się ją przeczytać. Nie była zbyt dobra w czytaniu, a drobne pismo Jordan tego nie ułatwiało. W sklepie byli już teraz klienci i Auguste usłyszała kwilenie Fritza. Bała się, że mógł wypaść z wózka.

– Jest w porządku. Święta Maryja mnie wspiera.

Napisała „Auguste Bliefert” sztywną ręką i podsunęła pismo Jordan.

– No widzisz. Nie było to trudne. A teraz dam ci pieniądze.

Jordan wstała i ze ściany zdjęła obraz z głową dziewczyny. Auguste nie wierzyła własnym oczom. Za obrazem znajdowały się niewielkie drzwiczki z metalu, w których dostrzegła dziurkę od klucza, ale posiadały także jakąś okrągłą rzecz, jakby śrubę. Jordan sięgnęła pod bluzkę i wyciągnęła spod niej niewielki kluczyk, wiszący na łańcuszku na jej szyi. Auguste widziała, jak wkłada kluczyk w otwór w drzwiczkach, a potem przekręca tę wielką śrubę. Metalowe drzwiczki się otworzyły, ale Jordan stała w taki sposób, że Auguste, mimo wielu prób, nie była w stanie zobaczyć, co się za nimi kryje.

– Przelicz – powiedziała Jordan i położyła przed Auguste pakunek zawinięty w brązowy papier.

Wszystko już przygotowała, ta przebiegła kobieta. Ręce Auguste drżały,

gdy rozwiązała sznurek i rozwijała papier. Nigdy w życiu nie widziała tylu pieniędzy, więc niemalże bała się dotknąć tych banknotów.

– To są wszystko nowe banknoty. Dobre, mocne marki niemieckie – powiedziała Jordan, patrząc jej przez ramię. – Dzisiaj przyniosłam je z banku.

Były to banknoty o nominale dziesięciu, dwudziestu i pięćdziesięciu marek. Także kilka setek. Auguste zdobyła się na odwagę i zaczęła je przeliczać. Rozłożyła banknoty według nominałów, a potem policzyła je i zrobiła to jeszcze raz – wszystko się zgadzało.

– Uważaj, jak będziesz szła ulicą – ostrzegła ją Jordan. – Wszędzie kręcą się łajdaki, które nie boją się niczego.

Auguste wzięła swój skarb, zawinęła w papier i obwiązała sznurkiem.

– Nie martw się, włożę je do wózka pod materac.

Maria Jordan uznała, że to świetny pomysł.

– Tylko uważaj, żeby ich nie zamoczyć, Auguste!

– Nawet jeśli. Pieniądze nie śmierdzą.

23

Bardzo mi przykro, że musiałeś czekać, stary przyjacielu – powiedział Grünling, gdy z uśmiechem na twarzy wyciągał rękę do Paula. – Znasz to, niespodziewana sytuacja kryzysowa. Klientka, której nie mogłem odmówić.

– Oczywiście, oczywiście.

Paul uściskał wyciągniętą dłoń i robił dobrą minę do złej gry. Co innego miał zrobić? Gdy czekał w poczekalni na fotelu pokrytym aksamitem, słyszał część rozmowy telefonicznej prowadzonej przez adwokata. Klientka – było to możliwe. Faktycznie jej nie spławił. Ale ta „nagła sytuacja” była bez wątpienia natury osobistej. Grünling, ten krętacz, umawiał się na spotkanie.

– Usiądź, mój drogi. Czy panna Cordula podała ci kawę? Nie? To karygodne!

Paul powstrzymał go przed daniem nagany ślicznej sekretarce. Powiedział, że zaproponowano mu, ale odmówił.

– Wypiłem już dwie w willi, a potem jeszcze jedną w fabryce, więc myślę, że już wystarczy.

Grünling przytaknął z uśmiechem i usiadł za biurkiem. Był to niesłychanie wytworny mebel, subtelny gdański barok, ciemnozielona skóra, blat pokryty orientальnymi wzorami. Grünling wyglądał za nim jak mała mała w okularach. Szczególnie teraz, gdy złożył ręce na brzuchu.

– Czym mogę ci służyć, Paul?

Paul starał się zachować spokój. Grünling od wielu lat był radcą prawnym w fabryce Melzerów. Wybrał go dawno temu jego ojciec, gdyż Grünling, jak twierdził Johann, był cwany lisem. I był dyskretny, co oczywiście było szczególnie ważne.

– Potrzebuję rady, Alois. Chodzi o prywatne sprawy.

– Rozumiem – odpowiedział Grünling bez najmniejszej oznaki zaskoczenia.

To oczywiste, że nie był zaskoczony. Ptaszki ćwierkały po całym Augsburgu, że z małżeństwem Melzerów nie było najlepiej.

– Chciałbym poznać szczegóły dotyczące... spraw rozwodowych. Jedynie dla celów informacyjnych, żeby być przygotowanym na różne ewentualne sytuacje.

Twarz Grünlinga wciąż nie wyrażała żadnych emocji, wyprostował się na krześle i położył ręce na blacie biurka.

– Cóż – zaczął – w zasadzie Reichstag zmienił w tym roku procedurę rozwodową. Obowiązywać ma podejście, zgodnie z którym małżeństwo należy utrzymywać tak długo, jak to tylko możliwe. Rozwód ma być ostatecznością.

– Oczywiście.

– Nowy jest przede wszystkim fakt przyznania kobietom takich samych praw, jakie mają mężczyźni. Ostatnie lata dowiodły, że coraz więcej kobiet korzysta z możliwości wzięcia rozwodu. Smutna konsekwencja faktu, że kobiety są coraz bardziej czynne zawodowo.

Grünling poprawił okulary i wstał, żeby przynieść teczkę z dokumentami, w której trzymał treść nowej ustawy.

– Rozwiązanie małżeństwa odbywa się, tak jak wcześniej, w sądzie okręgowym. Pozywający potrzebuje niepodważalnego powodu, żeby wystąpić o rozwód. Rozwód za porozumieniem stron, jak domagają się lewicowi urzędnicy, w przyszłości nie będzie dozwolony.

– A co jest rozumiane jako „niepodważalny powód”? Cudzołóstwo?

Adwokat zaczął kartkować dokument, przesuwając palcem po linijkach, bezgłośnie poruszał ustami i przerzucał strony.

– Co? A! Oczywiście, że cudzołóstwo. Musi być udowodnione i poświadczone przez świadków. Najpierw jednak w uzgodnionym w urzędzie terminie musi dojść do spotkania obydwu stron. Wtedy się orzeka, czy małżeństwo można jeszcze uratować, czy też przeszkody są tak silne, że nie ma już żadnej nadziei. Dopiero wtedy dochodzi do negocjacji dotyczących rozwodu.

– A jak długo zazwyczaj trwa taka procedura?

Grünling wzruszył ramionami.

– Tak dokładnie to trudno powiedzieć, ale na pewno potrwa to kilka miesięcy. Jeśli się na to zdecydujesz, Paul – powiedział i usiadł na brzegu biurka. – Jest też kilka drobiazgów, na które wtedy będziesz musiał uważać, żeby uniknąć komplikacji. Jeśli wiesz, o czym mówię.

Paul nie lubił tego rodzaju poufałości, którą wytwarzał adwokat. W ogóle nie znosił Grünlinga. Wstrętny karzeł, który po wojnie wzbogacił się dzięki podejrzanym transakcjom finansowym. Przypuszczalnie jednak to sam temat

rozvodu psuł nastrój Paulowi i stawiał Grünlinga w jeszcze gorszym świetle, niż na to zasługiwał.

– Nie myślałem o tym poważnie, Alois. Mimo to byłbym wdzięczny za wszelkie informacje.

– Zawsze, mój drogi. W końcu już twojemu ojcu pomagałem w niejednym kłopotcie. Chodzi też o atelier, które prowadzi twoja żona na Karolinenstraße. Wykazałeś się wielką hojnością. I wiesz dobrze, że może ono zakończyć swoją działalność tylko za sprawą twojej decyzji. W sytuacji krytycznej można zamknąć sklep i usunąć go z rejestru przedsiębiorstw.

Paul milczał. Adwokat nie mówił mu nic nowego, ale do tej pory Paul bał się zrobić ten krok. Z pewnością pozbawiłby w ten sposób Marie środków do życia, ale co by na tym zyskał? Czy wróciłaby wtedy do willi? Prawdopodobnie nie. To by jeszcze bardziej ich rozdzieliło i skłóciło.

– A czy są jakieś podstawy prawne, żebym mógł zabrać dzieci do willi?

Grünling się zastanowił.

– Cóż, tylko jeśli odniesiemy się do zasad z zeszłego roku. Gdyby twojej małżonce brakowało pieniędzy na utrzymanie i zostało udowodnione, że dzieci w obecnym miejscu zamieszkania są zaniedbywane albo demoralizowane...

– To pan jesteś zdemoralizowany – rozgniewany Paul wpadł mu w słowo. – Wykorzystujesz pan swoje umiejętności do złych celów. Cenisz jedynie pragmatyzm.

Paul zamilkł, bo właśnie powiedział na głos to, co dręczyło go w samym sobie. Grünling podniósł się z biurka, na którym siedział, i wrócił na fotel. Uśmiechnął się łagodnie i kontynuował z bezpiecznej odległości:

– Przede wszystkim ważne jest, żeby zebrać dowody. Pisemne oświadczenia świadków z datą i podpisem, aby można je było podsunąć sędziemu pod nos. Takie, które dotyczą zarówno sytuacji bytowej twoich dzieci, jak i wierności żony.

Paul musiał się opanować, żeby znowu nie wpaść w gniew. Nawet jeśli wciąż podejrzewał Ernsta von Klippsteina, że zaleca się do jego żony, nie chciał rozmawiać na ten temat z Grünlingiem.

– To nie będzie łatwe – odpowiedział niepewnie.

– Są specjaliści od takich spraw. Co prawda trzeba im słono zapłacić, ale solidnie wykonują swoją pracę.

Paul zmrużył oczy i zrozumiał, że adwokat mówi o wynajęciu detektywa. Cóż to za pomysł! Coś takiego mogło przyjść do głowy wyłącznie prawnikowi pozbawionemu skrupułów. Czy Grünling naprawdę uważał, że Paul chciałby, żeby jego dzieci i żonę śledził taki podglądacz?

– Bardzo dziękuję za te przyjacielskie rady, pewnie tu jeszcze wrócę. Teraz nie chcę zabierać więcej twojego czasu.

Szczwany lis – jak nazwał go ojciec – nie wydawał się nawet w najmniejszym stopniu zakłopotany. Przeciwnie, uśmiechał się do Paula wyrozumiale, podał mu rękę zza biurka i oświadczył, że zawsze jest do jego dyspozycji.

– Nie jest łatwo radzić sobie z płcią piękną – powiedział. – A już szczególnie trudno jest z kobietami, które zdobyły nasze serca. Wierz mi, Paul, masz przed sobą mężczyznę, który zna to z własnego doświadczenia.

– Z pewnością – odpowiedział sucho Paul.

Był szczęśliwy, gdy opuścił kabotyńsko urządzonej kancelarię i zszedł schodami na ulicę. „Mężczyzna, który zna to z własnego doświadczenia”. Co za bezmyślny ignorant! Paul był pewien, że adwokat Grünling nie oddał jeszcze serca żadnej kobiecie. Jak mógłby zresztą to zrobić? Tam, gdzie inni ludzie mają serce, on trzymał pełny portfel.

Dopiero później, gdy w swoim biurze Paul pił kawę i oddał się pracy, spojrzął na tę sytuację inaczej. Zebrał trochę informacji na temat procedury rozwodowej, które mogłyby mu pomóc w rozmowie z Marie. Niestety, w ciągu minionych tygodni nie zbliżyli się do siebie ani o krok – umacniał się jedynie podział. Zastanawiał się po raz setny, czy nie napisać listu. Dobrze przemyślanego, wyważonego listu, w którym przedstawi swoją propozycję pojednania. Oczywiście, był też gotowy ulec Marie. Gdyby faktycznie chciała do niego wrócić, powiedziałaby mamie, że pani von Dobern musi niezwłocznie opuścić ich dom. Może to jednak zrobić jedynie wtedy, gdy Marie wyrazi chęć pojednania i powrotu. Nie jako krok, który ma to poprzedzić. O tym nie było mowy. Nie chciał się jej podporządkować. Jeśli pragnęła męża pantoflarza, trafiła pod zły adres. Wtedy powinna wyjść za Ernsta von Klippsteina. Kitty, która zupełnie beztrąsko rozmawiała sobie z mamą, powiedziała, że von Klippstein był mile widzianym gościem na Frauentorstraße, chociaż mama nie zapraszała go już do Willi Melzerów.

– Ten człowiek, który nazywał się twoim przyjacielem, już wcześniej czarował Marie. W lazarecie czynił jej wyznania miłosne, jak zdradziła mi Kitty.

Niesłychane, jak zmienne były kobiety. Nawet mama. Czyż nie nazywała von Klippsteina „wartościowym, biednym człowiekiem” i nie zapraszała go przy każdej okazji do posiadłości? Usilnie odrzucał od siebie myśl, która dręczyła go od jakiegoś czasu. Nie, Marie była mu wierna. Nie oszukiwała go. Nie wtedy, gdy był rosyjskim jeńcem, a Ernst von Klippstein czynił jej wyznania miłosne, później też nie. Takie sytuacje jak zdrada, podwójne życie czy rozwód nie zdarzały się w jego rodzinie i ona również ich do niej nie wniosła. On i Marie przechodzą poważny kryzys małżeński, który jednak zostanie zażegnany niebawem. To było wszystko.

Zdecydował, że dzisiaj pójdzie na obiad do willi na piechotę. Nie padało i świeciło słońce, jedynie wiatr był trochę dokuczliwy, ale świeże powietrze i ruch na pewno dobrze mu zrobią. Nie bez powodu ojciec zawsze – poza ostatnimi kilkoma miesiącami życia – pokonywał tę trasę na własnych nogach.

Z poczekalni, w której obie sekretarki jadły teraz przyniesioną kiełbasę, rzucił szybko wzrokiem na gabinet von Klippsteina.

– Pan von Klippstein jest na obiedzie – powiedziała Hoffmann z pełnymi ustami i natychmiast się zaczerwieniła. – Przepraszam.

– Już dobrze – odpowiedział i dodał nieco ironicznie, w wojskowym tonie: – Spocząć, uspokoić się i jeść dalej.

Ucieszyły się z żartu i zachichotały. A więc jednak.

Nieco zmęczony i w rozpiętym płaszczu wszedł do willi. Taki spacer miał swoje liczne zalety – zauważył na przykład, że wiatr połamał wiele gałęzi w parku i był najwyższy czas, żeby zająć się drzewami. Ponieważ jedynie od czasu do czasu przyjmował kogoś do prac w parku, roślinność stworzyła tam chaotyczny busz. Trzeba koniecznie zatrudnić ogrodnika. Najpierw musiał porozmawiać o tym z mamą.

Else otworzyła drzwi, dygnęła i wzięła od niego płaszcz i kapelusz.

– Czy moja mama ma się dobrze?

Pytanie to stało się normą, bo Alicia Melzer od dłuższego czasu niedomagala z powodu migreny lub innych dolegliwości. Mimo to zazwyczaj pojawiała się na obiedzie.

– Niestety nie, łaskawy panie... Jest u siebie w pokoju.

Else uśmiechnęła się w charakterystyczny dla siebie sposób, nie otwierając ust. Było to cokolwiek dziwne, ale zdążył się przyzwyczaić.

– Pani von Dobern chce z panem mówić.

Nie odpowiadało mu to, ale wiedział, że nie da się tego uniknąć. Odkąd Serafina von Dobern stanowiła centralny punkt jego małżeństwa i rodziny, jej obecność działała mu na nerwy. To oczywiście nie była jej wina. Biedaczka była bardzo surowa w nowej roli, Marie niestety miała rację w tym względzie.

– Oczekuje pana w czerwonym salonie.

A więc jeszcze przed obiadem. Cóż, może tak właśnie było lepiej – mieć to za sobą jak najszybciej. Z pewnością znowu chciała poskarżyć się na pracowników, a mama czuła się na tyle źle, że wysłała ją do niego. Nie podobało mu się jednak, że wkroczyła bez pozwolenia do czerwonego salonu. Panna Schmalzler nigdy by sobie na to nie pozwoliła.

– Niech pani jej powie, żeby przyszła do mojego gabinetu.

Kazała mu na siebie czekać, co trochę go zirytowało, bo był już głodny. W końcu usłyszał, jak otwierają się drzwi czerwonego salonu. Aha, dama była urażona, bo nie przyjął jej zaproszenia do pokoju, w którym spotykali się wyłącznie właściciele tego domu. Dobrze, że dał jej nauczkę za tę arogancję.

– Bardzo przepraszam, że musiał pan czekać – powiedziała, wchodząc do jego domowego gabinetu. – Musiałam napisać list, który pana matka kazała mi skończyć jak najszybciej.

Kiwnął głową i bezgłośnie uderzał ręką w oparcie krzesła. Starym zwyczajem siedział za biurkiem, meblem, w którym niegdyś Jacob Burkard ukrył swoje plany konstrukcyjne. Dziesięć lat minęło, odkąd znalazła je tam Marie. Marie – jak bardzo ją wtedy kochał. Jak był szczęśliwy, że przyjęła jego oświadczenia. Czyżby cienie przeszłości były silniejsze niż ich miłość? Czy wina jego ojca mogła znowu zagrozić ich szczęściu?

– Pana mama przykazała mi, abym koniecznie powiedziała panu o nieoczekiwanym rozwoju sytuacji – powiedziała Serafina von Dobern, uśmiechając się do niego uprzejmie.

Natychmiast otrzeźwiało. Nie było teraz sensu poddawać się mrocznym rozmyśleniom.

– Dlaczego sama mi o tym nie powie?

Uśmiech Serafiny wyrażał teraz żal.

– Pana matka odebrała dziś rano telefon i wiadomość, którą usłyszała, nadwerżyła jej słaby system nerwowy. Dałam jej środki uspokajające.

Zejdzie oczywiście na obiad, ale nie ma siły na dłuższe dyskusje.

W porozumieniu z doktorem Greinerem Serafina dawała mamie od czasu do czasu trochę waleriany. Lekarz twierdził, że w żadnym razie nie było to niebezpieczne. Zwłaszcza że dawka, którą jej przepisał, była niewielka. Paul uzbrajał się teraz na to, co usłyszy. Czyżby chodziło o telefon od Marie? Wpadła na szalony pomysł, żeby złożyć wniosek o rozwód? Czy Grünling nie twierdził, że kobiety robią to coraz częściej? Konsekwencja faktu, że kobiety stały się czynne zawodowo.

– Niestety będzie rozwód – powiedziała Serafina, jak gdyby czytała w jego myślach.

A więc jednak! Czuł, że spada w otchłań. Stracił Marie. Nie kochała go już.

– Rozwód?... – powtórzył cicho.

Serafina obserwowała bacznie jego reakcję na wypowiedziane przez nią słowa i zawahała się nieco, udzielając odpowiedzi.

– Tak, niestety. Pana siostra Elisabeth dzwoniła z Kolbergu i powiedziała, że złożyła pozew o rozwód z Klausem von Hagemannem. Sprawa zostanie przeprowadzona w sądzie okręgowym w Augsburgu na wniosek jej męża.

Lisa! To Lisa chciała się rozwieść. Nie wiadomo dlaczego. To Lisa, a nie Marie zażądała rozwodu. Odczuł niewysłowioną ulgę, ale był też zdenerwowany, bo tak jednoznacznie ujawnił swoje uczucia Serafinie.

– A więc tak – mruknął. – A czy powiedziała, co zamierza zrobić potem?

– Najpierw przyjedzie tutaj, do posiadłości. A co poza tym planuje, tego nie wiemy.

Mógł sobie wyobrazić, że ta wiadomość, którą Lisa przekazała krótko i bez emocji, jak to miała w zwyczaju, dla mamy oznaczała niewyobrażalną katastrofę. Co za skandal. Towarzystwo z Augsburga plotkuje wciąż o tym, że żona odeszła od Paula Melzera, a teraz jeszcze jego siostra rozwodzi się z mężem i wraca do rodzinnego domu. Do tego dochodziło oczywiście nieprzemijające zainteresowanie ponoć rozwiązłym życiem młodej wdowy Kitty Bräuer, która zupełnie otwarcie prowadziła się z kilkoma artystami. Zrujnowane życie rodzinne Melzerów stanie się wkrótce ulubionym tematem wszystkich augsburskich szyderców.

– Czy mogę sobie pozwolić na pewną uwagę?

– Proszę!

Serafina wydawała się zakłopotana, co było znacznie lepsze od jej

wyuczonego uśmiechu. Cóż, w końcu pochodziła z dobrej rodziny, a tam jedynie w wyjątkowych sytuacjach okazywano uczucia. Wiedział to od mamy.

– Bardzo się cieszę, że Lisa tutaj przyjedzie. Może pan pamięta, że jesteśmy przyjaciółkami. Myślę, że Lisa podjęła trudną, ale właściwą decyzję.

– To możliwe – odpowiedział. – Lisa jest oczywiście zawsze mile widziana w posiadłości i otrzyma ode mnie wszelkie możliwe wsparcie.

Serafina wydawała się szczerze poruszona. Miała też dobre strony, ta surowa kobieta, ale nic przecież nie mogła poradzić na swój odstręczający wygląd.

– To wielkie szczęście mieć takiego brata. Kogoś, kto tak bezwarunkowo wspiera swoją siostrę – powiedziała cicho.

– Och, dziękuję – odpowiedział, starając się obrócić w żart całą tę sytuację. – W trudnych chwilach my, Melzerowie, trzymamy się razem.

Pokiwała głową i spojrzała na niego. Tęsknie. No tak, zawsze tak na niego patrzyła, gdy spotykali się dawniej w towarzystwie czy na balach.

– Chodźmy więc teraz zjeść obiad – powiedział krótko. – Czekają na mnie w fabryce.

Mama siedziała już przy stole z wyprostowanymi plecami, jak ją nauczono. Była blada i miała minę, jakby zawalił się jej świat. Paul objął ją ramieniem i pocałował w czoło.

– Paul? Wiesz już? O Boże, wygląda na to, że nic już nas Melzerów nie oszczędzi.

Starał się ją pocieszyć, co udało mu się jedynie połowicznie. Mama nie zapomniwała jednak o codziennej modlitwie. Julius podawał zupę w milczeniu i z ponurą miną, a na pytanie Paula, czy dobrze się czuje, odpowiedział, że rzadko bywało lepiej. Spojrzał przy tym na panią von Dobern tak, jakby chciał ją natychmiast zdzielić chochlą.

– Ten pan Winkler – mówiła Alicia w zamyśleniu, gdy Julius nalewał jej zupę do talerza. – Jestem trochę zaskoczona, że Lisa nie wspomniwała o nim przez telefon.

– Cóż – odpowiedziała Serafina z uśmiechem. – Musi to więc nie mieć znaczenia. Poczekajmy po prostu. Dopiero gdy tutaj przyjedzie, otworzy przed nami serce.

Wydawało się, że Alicia poczuła ulgę, co zdziwiło Paula. Lisa nigdy nie

ufała innym ludziom. Załatwiała swoje sprawy sama i przekazywała jedynie swoje zaskakujące decyzje. Co mama oczywiście wiedziała najlepiej. Wyglądało jednak na to, że mama jest ostatnio nieco zdezorientowana i woli polegać na tym, co mówiła pani von Dobern.

– Sądzę, że kapusta jest przesolona – oświadczyła gospodyni i wytarła usta serwetką.

– Ma pani rację, pani von Dobern – potwierdziła mama. – Zdecydowanie zbyt dużo soli.

– Naprawdę? – zdziwił się Paul, marszcząc brwi. – Uważam, że jest wyśmienita!

Pani von Dobern zignorowała jego ocenę i nakazała Juliusowi, żeby przekazał kucharce, że przesoliła potrawę. Julius kiwnął głową na znak, że słyszał, ale nie odezwał się ani słowem.

– To ważne, żeby personel czuł twardą rękę tego, kto nim kieruje – powiedziała pani von Dobern. – Pobłażliwość zawsze będzie postrzegana jako słabość. Przede wszystkim, wybac mi, proszę, droga Alicio, przede wszystkim ze strony kobiet. Ten, kto je traktuje pobłażliwie, zostanie wzgardzony, bo kobieta zawsze szuka mężczyzny, który będzie jej imponował.

Paul był zupełnie zaskoczony, że słyszy takie słowa z damskich ust, ale Serafina była w końcu córką oficera. A poza tym to, co mówiła, niezupełnie mijало się z prawdą. Było tylko nieco przesadzone. Alicia gorliwie przytaknęła słowom pani von Dobern i dodała, że ona zawsze szanowała swojego świętej pamięci Johanna, ale bardzo go też kochała.

– On miał zawsze własne zdanie – stwierdziła, patrząc na Paula. – I to było dobre.

Najwyraźniej długie i męczące małżeńskie kłótnie wymazała zupełnie z pamięci. Paul pamiętał natomiast bardzo dobrze, że mama zupełnie nie doceniała tego, że tata „miał zawsze własne zdanie”. Ale może to wymazanie niektórych sytuacji było formą jej miłości? Ci dwoje kochali się na swój własny sposób.

– Johann Melzer pewnie nie pozwoliłby swojej żonie prowadzić własnego interesu, prawda? – powiedziała Serafina.

– Johann? O nie. On uważał, że miejsce żony jest w domu. Prowadzenie tak wielkiego domu jak nasza willa to zajęcie wystarczające dla kobiety.

– Cóż, jego synowa pokazała, że kobieta może prowadzić dom i rozwijać własny biznes. Czy tak? A może się mylę?

– Mylisz się bardzo, droga Serafino. Marie niestety zaniedbywała i gospodarstwo domowe, i swoje dzieci. Moim zdaniem to studio mody bardzo zaszkodziło twojemu małżeństwu, Paul.

Paul jadł gulasz i udawał, że niczego nie słyszy. Czuł się zakłopotany, ale nie chciał się odzywać, żeby nie denerwować mamy. Nie podobało mu się jednak, że jego problemy małżeńskie są omawiane przy stole przy byłej guwernantce. Czy mama tego nie widziała?

– Och, myślę, że pan Melzer zachowuje się bardzo wielkodusznie w stosunku do swojej żony – ciągnęła Serafina. – Co by się stało, gdyby postanowił być surowy i zdecydował, że trzeba zamknąć studio? Z czego mogłaby wtedy żyć jego żona i dzieci?

Alicia czekała z odpowiedzią, aż Julius przyniesie deser, który składał się z puddingu z grysiku i sosu malinowego. Potem spojrzała na Serafinę z uśmiechem.

– Trafiaś w sedno, droga Serafino. Słyszałeś, Paul? Ostrzegałam cię od początku, ale za nic miałeś moje słowa. To atelier uderzyło Marie do głowy i dlatego powinieneś jej jak najszybciej wyjaśnić, jak powinna się zachowywać. Poblążliwością niczego nie osiągniesz, przeciwnie, ona przestanie cię szanować.

Paul wiedział, że mama już wcześniej tak uważała, ale do tej pory nie odważyła się powiedzieć mu tego prosto w twarz.

– Dziękuję za radę, mamó. Muszę wracać do fabryki.

Odsunął pudding, choć było to jedno z jego ulubionych dań. Gdy nie miał ochoty słuchać skarg matki, uciekał do fabryki. Czy się mylił, czy Serafina rzeczywiście starała się przekonać mamę do tego, co ona uważała za właściwe? Musi mieć tę kobietę na oku. Zostawił samochód w fabryce, więc musiał znów pójść pieszo. Tym razem spacer nie wydał mu się przyjemny. Był zamyślony, wzbierał w nim gniew. Zastanawiał się, czy rady mamy nie rozwiązałyby problemu. Gdyby Marie brakowało pieniędzy na jedzenie i ubranie dla dzieci, miałyby powód, żeby sprowadzić Lea i Dodo do domu. Wtedy Marie też by zrozumiała, że on, jako mężczyzna, znajduje się na silniejszej pozycji. Czy wszystkie jego troski nie wynikały z tego, że był zbyt poblążliwy?

Przez resztę dnia w pracy był w bardzo dobrym nastroju, omawiał nawet

jeden z przygotowywanych projektów ze współnikiem, którego ignorował od wielu dni. Nie było mu łatwo nie okazywać niezadowolenia, bo von Klippstein dał mu wyraźnie do zrozumienia, że pod żadnym pozorem nie sprzeda swoich udziałów w firmie. Dla dobra fabryki trzeba się było jednak dogadać.

Dopiero wieczorem, gdy znów siedział samotnie w swoim gabinecie w willi i topił smutki w czerwonym winie, uznał, że był w błędzie. Nie może zmuszać Marie. Musi wrócić do niego z własnej woli. Inaczej wszystko będzie bez sensu. Ale czego ona chce?, zastanawiał się rozpaczliwie. Poprosił o przebaczenie. Jestem gotowy zwolnić panią von Dobern. Pod pewnymi warunkami przystałbym również na to, by Leo uczył się grać na pianinie. Tylko ta wystawa... mogłaby mi jej oszczędzić.

Wiele razy próbował napisać list do Marie, ale za każdym razem przerywał i rzucał zmiętą kartkę do kosza.

Kitty, pomyślał. Ona musi mi pomóc. Dlaczego wcześniej nie pomyślałem o Kitty? Rano zadzwoni do niej z biura. Ta decyzja dała mu odwagę, żeby pójść wreszcie do łóżka. Nienawidził teraz wspólnej sypialni, bo spał w niej sam. Łóżko, którego jedna strona była nienaruszona, milczenie, chłód, wykrochmalona poduszka leżąca obok jego głowy. Tak bardzo brakowało mu Marie, że zastanawiał się, jak w ogóle może żyć dalej bez niej.

Mogłam to przewidzieć, myślała Marie. Wstydziła się, bo wiedziała przecież, że wystawi się na pośmiewisko wszystkich, którzy ją zobaczą. Co ludzie sobie o niej pomyślą, gdy pojawi się sama wcześniej rano na mszy w kościele Świętego Maksymiliana? Nie usiadła w ławce Melzerów, która stała po prawej stronie w drugim rzędzie. Nie czuła się do tego uprawniona, więc przycupnęła w jednej z tylnych ławek po lewej stronie nawy. Ze swojego ukrytego miejsca spoglądała, pomijając ludzi zgromadzonych w kościele, prosto na rodzinną ławkę, na której siedziały tylko trzy osoby: Alicia, Paul i Serafina von Dobern.

Dlaczego tak bardzo ją dotknęła ta kolejność? Guwernantka chodziła już wcześniej z nimi na mszę i siedziała w ławce razem z Dodo i Leo. Dzisiaj jednak bliźniąt z nimi nie było, poszły razem z Hanną do kościoła Świętych Ulryka i Afry. Zaproponowała to Kitty, by uniknąć niepotrzebnych komplikacji. Serafina w międzyczasie została gospodynią w domu Melzerów i siedziała obok Paula. Zajęła miejsce Marie.

Gdy zaczęto grać preludium na organach i kościelny zamknął drzwi, Marie musiała mocno walczyć z samą sobą, żeby natychmiast nie wybiec z kościoła. Po co w ogóle tutaj przyszła? Na pewno nie z nadmiernej pobożności, tę wytrzebiono z niej jeszcze wtedy, gdy była w sierocińcu. Wpadła po prostu na szalony pomysł, żeby po mszy zamienić kilka słów z Pauliem. Wyjaśnić nieporozumienia. Wy tłumaczyć wszystko, sprawić, żeby zrozumiał. Albo tylko go zobaczyć. Spojrzeć mu w oczy. Dać mu odczuć, że jej miłość nie umarła. Przeciwnie. Ale to było złe miejsce i niewłaściwy czas. Gdy ksiądz i ministranci wyszli do ołtarza i zaczęła się msza, czuła ciekawskie spojrzenia znajomych z Augsburga skierowane wyłącznie na nią. To właśnie była ona, Marie Melzer. Pomoc kuchenna, która stała się panią w willi. Jej szczęście trwało zaledwie kilka lat i już minęło. Szkoda jej, ale tak musiało się stać. Paul Melzer zasługiwał na lepszą żonę niż dziewczyna z sierocińca.

Tak, pomyślała gorzko. Serafina jest wprawdzie biedna, ale jej rodzina ma szlacheckie pochodzenie. Pułkownik von Sontheim, jej ojciec, w czasie wojny poległ w obronie ojczyzny. Zubożała szlachta i bogaci przedsiębiorcy – to do siebie pasowało. Spojrzała znów przed siebie i zobaczyła, jak Paul przysuwa się do Serafiny i z uśmiechem szepcze jej coś do ucha. A Serafina się zaczerwieniła, odpowiadając mu.

Ogarnęła ją zazdrość połączona z bezradnością – niczym trucizna

powodująca paraliż. Straciła go, tak jak miejsce w ławce. Sama była sobie winna, że go opuściła, że odeszła. Sądziła, że Paul Melzer będzie miał problem ze znalezieniem sobie innej? Jest bogaty, przystojny, potrafi być niesłychanie szarmancki... Gdy się rozwiedzie, niezamężne kobiety będą się o niego biły. Myślał o rozwodzie? Czy zaszło to tak daleko?

Potrzebowała siły, żeby dotrzeć do końca mszy. Starodawne łacińskie zdania pomagały jej w tym, kołysły duszę, chroniły przed narastającym chaosem uczuć. Zaledwie organy przestały grać, wstała szybko, minęła siedzących obok niej i doszła do wyjścia jako jedna z pierwszych. Miała nadzieję, że ani Paul, ani jego dwie towarzyszki nie zauważyli jej obecności. Byłoby to dla niej zbyt bolesne. Wzięła dorożkę, żeby jak najszybciej zniknąć sprzed kościoła Świętego Maksymiliana, pojechać na Frauentorstraße i przemknąć się obok pracującej w kuchni Gertrude na górę, ściągnąć płaszcz oraz buty i usiąść za biurkiem.

Trudno, myślała zdeterminowana, rozcierając zmarznięte ręce. Mam swoją pracę, nie może mi jej odebrać. I mam dzieci. A do tego Kitty i Gertrude. Mogę mieszkać w tym małym ślicznym domu i pracować. Nawet jeśli straciłam Paula, i tak mam bardzo dużo... Niech więc będzie szczęśliwy z kimś innym... Życzę mu tego... Tak, naprawdę życzę mu szczęścia. Przecież go kocham. Kocham go.

Patrzyła w okno i obserwowała zabawę jesiennego wiatru, który obdzierał gałęzie buku z ostatnich liści. Musi pracować, pomyślała. Praca pomoże jej zapomnieć. Odwróciła się i spojrzała na rysunek, pierwszy szkic obszernego płaszcza z futrzanym obszyciem, jaki projektowała dla klientki. Kołnierz prosty, bez futra, dlatego obszycie przy ramionach i brzegach ma być bogate. Do tego mały kapelusik z aksamitu. Może w kształcie rury; ten fason był aktualnie najbardziej modny? Ach, nie, nie lubiła tej formy, która wyglądała jak pocięty robak. Może podwyższone rondo i obszycie z futra? Narysowała przykładowy model, wyrzuciła go, zmieniła, przemyślała i stworzyła nowy.

– Ale mamo, omawialiśmy już ten temat bardzo dokładnie – usłyszała Marie.

Wczoraj wieczorem z Monachium przyjechała Tilly i miała spędzić kilka dni na Frauentorstraße. Była bardzo zmęczona, zjadła niewiele i poszła do swojego pokoju na poddaszu. Biedna Tilly. Wydawało się, że nie czuła się najlepiej, a teraz Gertrude jeszcze jej nie oszczędzała.

– Moje drogie dziecko, prawdy nigdy nie powtarza się zbyt często. Tak bardzo miałam nadzieję, że wreszcie pójdziesz po rozum do głowy.

Matka i córka najpewniej rozmawiały w salonie. Dom niestety był niezbyt dźwiękoszczelny. Zwłaszcza donośny głos Gertrude słychać było na wszystkich piętrach.

– Proszę, mamó, nie chcę o tym rozmawiać.

– Jestem twoją matką, Tilly! I będę mówić bez ogródek. Patrzyłaś ostatnio w lustro? Wyglądasz jak zdjęta z krzyża. Cienie pod oczami, wystający nos, zapadnięte policzki. Aż boli, gdy się na ciebie patrzy.

– To nie patrz.

Marie wyobraziła sobie, że wzburzona Gertrude wydycha ciężko powietrze i łapie się pod boki. Ach, Tilly przecież znała swoją mamę. Nigdy nie daje za wygraną.

– Mam sobie dać spokój? Nie patrzeć, jak moje jedyne dziecko na moich oczach rujnuje swoje zdrowie? Studiować? Zostać lekarką? To są przecież jakieś urojenia. Lepiej skup się na tym, żeby znaleźć sobie męża, który będzie cię utrzymywał. Ale żeby tak było, musisz o siebie zadbać, dziewczyno! Nikt sobie nie weźmie stracha na wróble!

Marie postanowiła, że odłoży ołówek i pójdzie pomóc Tilly. Oczywiście, Gertrude się martwiła i chciała jak najlepiej dla Tilly. Na swój sposób.

– Powtórzę już po raz setny: nie wyjdę za mąż! Przyjmij to wreszcie do wiadomości, mamó!

Marie ruszyła szybko w kierunku schodów. Była poważnie zaniepokojona, bo głos Tilly drżał. Za chwilę mogła wybuchnąć płaczem.

– Gertrude! – zawołała Marie, otwierając drzwi do salonu. – Hanna chyba wraca z dziećmi z kościoła.

To było sprytne posunięcie, bo Gertrude momentalnie spojrzała na zegarek i podbiegła do okna.

– Dobry Boże, zobaczyłaś ich z góry? Są trochę za wcześnie. Zaraz zrobię gorącą czekoladę, jest taki chłodny wiatr. A w kościele też pewnie nie było za ciepło.

– Dobry pomysł – pochwaliła Marie. – Gorąca czekolada jest idealna na tę pogodę.

Zachęcona w ten sposób Gertrude pobiegła do kuchni, żeby pomieszać w garnku pastę, którą robiła z ziaren kakao, cukru oraz śmietany i dolewała do niej gorące mleko. Zapał Gertrude do gotowania i pieczenia nie słabł, a Hanna była dla niej pomocnym i gorliwym wsparciem.

Tilly przerzuciła długie, rozpuszczone włosy na lewe ramię i spojrzała z wdzięcznością na Marie. Teraz, w przedpołudniowym świetle, wydawała się Marie jeszcze mizerniejsza niż wczoraj wieczorem. Jej sukienka też była mocno znoszona, nosiła ślady cerowania na prawym ramieniu.

– Przyszłaś w dobrym momencie, Marie, jeszcze zdanie i skoczyłabym mamie do gardła!

– Wiem...

– Czyli zeszłaś tutaj celowo?

Marie uśmiechnęła się delikatnie i przytaknęła. Wtedy Tilly również odwzajemniła uśmiech. Z kuchni dał się słyszeć brzdęk żelaznego garnka, który właśnie upadł na podłogę. Gertrude była nieco niezręczna w kuchni.

– Jezus Maria! – wrzasnęła Kitty w korytarzu. – Dlaczego robisz taki hałas w środku nocy, Gertrude? Czy w tym domu nie można już nawet zmrużyć oka?

– Już prawie południe, młoda damo! – odparła Gertrude spokojnym tonem. – Ale ludzie, którzy prowadzą intensywne nocne życie, chcą spać w dzień!

W odpowiedzi usłyszała jedynie gniewne mruknięcie, a potem otworzyły się drzwi do salonu. Kitty była w koszuli nocnej, miała rozczochrane włosy i wyglądała na zaspaną.

– Doprowadza mnie do szaleństwa. Rzuca garnkami. Ach, Tilly. A ty dobrze spałaś, kochana? Wyglądasz jak zwiędły tulipan. Musimy cię podkarmić, prawda, Marie? Zrobimy to, możesz na nas liczyć. Och, jestem jeszcze zupełnie oszołomiona. Czy już jest niedziela?

Przygładziła włosy, przeciągnęła nadgarstkiem po czole, zrobiła zdumioną minę, a potem znowu się uśmiechnęła.

– Niedziela, zgadza się jak najbardziej. Usiądź, Kitty. Chyba jest jeszcze kawa w dzbanku.

Marie wiedziała, że Gertrude zawsze zostawia trochę kawy dla Kitty, bo przyzwyczała się, że synowa rzadko wstaje przed dziesiątą.

– O tak! Ciepła kawa to właśnie to, czego teraz najbardziej potrzebuję! – zażartowała Kitty.

Odgrywała swój zwyczajowy teatrzyk. Położyła się z lekkim westchnieniem na sofie, wzięła filiżankę do ręki i obracając ją w dłoni, mówiła:

– Yhhh, smakuje okropnie, ale trochę mnie ożywia. Wracam już do siebie.

Ależ było wczoraj cudowne spotkanie w stowarzyszeniu artystów! Wyobraź sobie, Tilly, że był bardzo podekscytowany, że jesteś właśnie w Augsburgu. Chce przyjść dziś wieczorem. Marc i Roberto też zajrzą. I chyba Nele. Muszę jeszcze powiedzieć Hannie i Gertrude, że Roberto uwielbia ich ciasto migdałowe.

Marie było trudno zrozumieć, o kim mówi Kitty, i gdy Tilly bezradnie zmarszczyła czoło, postanowiła przerwać ten słowotok.

– O kim mówisz, Kitty? – zapytała Marie.

– Oczywiście o Roberto, moja kochana Marie. Roberto Kroll, który jest takim pięknym młodzieńcem, ale niestety upiera się, żeby nosić brodę, bo uważa się za genialnego arty...

– Roberto był podekscytowany, że Tilly jest w mieście?

Kitty spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Co ty mówisz, Marie? Oczywiście, że nie Roberto, tylko Klippi. Dzielny, wierny Klippi.

Tilly zarumieniła się i opuściła wzrok. Kitty dopiła kawę, przesunęła się w róg sofy i uniosła wysoko nogi.

– Wszyscy oczywiście wiemy, że biedny Klippi jest po uszy zakochany w naszej Marie – powiedziała bez ogródek. – Ale moja ukochana Marie go nie chce, z czego się cieszę, bo Marie należy do mojego drogiego Paula, i dlatego Klippi musi zmienić obiekt zainteresowania. To jest złoty mężczyzna, możesz mi wierzyć, Tilly.

Tilly jęknęła i zakryła dłońmi uszy.

– Proszę cię, Kitty, tylko znowu nie zaczynaj. Już i tak mama wygłosiła niedawno swój wykład!

Kitty nie dała się tak łatwo zbyć.

– Ja tylko mówię, że pan von Klippstein będzie dzisiaj wieczorem naszym gościem i że jest szczęśliwy, bo będzie mógł się z tobą spotkać. Nic więcej. To jest niewypowiedzianie wartościowy i wspaniałomyślny mężczyzna, jak sama wiesz. Nigdy by nie wpadł na pomysł, żeby hamować rozwój swojej żony. Mogłabyś bez obaw uczyć się na lekarza... Klippi na pewno byłby ogromnie pomocny...

– Mimo to usilnie próbujesz, Kitty. – Tilly weszła jej w słowo. – Nigdy nie wyjdę za mąż. I właśnie ty powinnaś mnie najlepiej rozumieć.

Kitty zamilkła i objęła ramionami uniesione kolana. Spojrzała błagalnie na Marie.

– Z powodu... doktora Moebiusa? – zapytała cicho Marie.

Tilly skinęła głową. Przełknęła ślinę i założyła swoje długie włosy za uszy. Dziwne, że właśnie ona, która tak dzielnie uczyła się zawodu zdominowanego przez mężczyzn, miała taką staromodną fryzurę.

– Nadal masz nadzieję, że wróci z niewoli?

Tilly potrząsnęła głową. Przez chwilę w salonie panowała cisza i słychać było jedynie regularne tykanie zegara i dźwięk naczyń z kuchni. Potem Tilly zaczęła mówić bardzo wolno i lekko się jękając:

– Wiem na pewno, że Ulrich nie żyje. Zmarł gdzieś na Ukrainie. Zbudowali lazaret tuż za linią frontu, jak mieli w zwyczaju. Żeby rannym można było pomóc najszybciej, jak się da. W wiosce ukrywali się jednak partyzanci, którzy strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Ulrich zginął, próbując ratować życie młodego żołnierza.

Marie nie wiedziała, co powiedzieć, a Kitty wyglądała wciąż jak małe, skulone dziecko.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała w końcu.

– Jeden z jego towarzyszy przekazał tę wiadomość jego rodzicom. A oni napisali do mnie... Ulrich prosił, żeby mnie poinformowali, jeśli polegnie...

Los taki jak tysiąca innych, pomyślała Marie smutno. Ale wydaje się taki okrutny, gdy doświadcza akurat naszego ukochanego. To dziwne, że tak bardzo unikamy wspomnień o wojnie. Zbudowaliśmy sobie nowe, nowoczesne życie i udajemy, że nie widzimy kalek żyjących na ulicach. Tak jakbyśmy chcieli przez to zapomnieć i o naszych ranach i bliznach.

– Oczywiście – powiedziała Tilly zmienionym głosem – nie byliśmy zaręczeni. Nie było na to dość czasu. Wielokrotnie sobie wyrzucałam, że byłam tak niedostępna. Powinnam go była jakoś zachęcić, ale my kobiety jesteśmy tak wychowywane, że nie możemy zrobić pierwszego kroku. I dlatego ja i Ulrich byliśmy ze sobą blisko jedynie przez kilka minut, nic więcej. Pocałunek, objęcie, obietnice.

Wybuchnęła płaczem, bo te wspomnienia ją obezwładniły. Kitty zeskoczyła z sofy i objęła Tilly.

– Rozumiem cię – powiedziała z troską. – Rozumiem cię, ale ty przynajmniej wiesz, jak umarł. A ja nigdy się nie dowiem, co się stało z moim

biednym Alfonsem. Ach, Tilly, wciąż śnią mi się straszne rzeczy, widzę, jak leży gdzieś zupełnie bezradny i się wykrwawia. Daleko ode mnie i zupełnie sam. Wojna. Kto jej w ogóle chciał... Znasz kogokolwiek takiego? Przyprawdź mi go, a rozerwę go na strzępy!

Marie milczała. Czuła się niewdzięczna i samolubna. Jej mężczyzna wrócił do niej – tak wiele kobiet jej tego zazdrościło. A mimo to opuściła go, nie mogła mu wybaczyć tego, co jej zrobił. Szczęście wywołane jego powrotem i wspólne, codzienne życie okazały się dwiema odrębnymi kwestiami.

– Szanuję Ernsta von Klippsteina – kontynuowała Tilly. – Masz całkowitą rację, Kitty. To wspaniały człowiek. I wiele przeszedł. Jego życie dosłownie było wówczas na ostrzu noża.

– Prawda – powiedziała Kitty, wciąż obejmując ramieniem Tilly. – Opiekowałaś się nimi wtedy w lazarecie. Powiedz no, kochana Tilly. Nie mówi się o tym, ale zostanie to wyłącznie między nami, dobrze?... Tak zupełnie w zaufaniu, czy Klippi w ogóle... czy, no wiesz, będzie mógł założyć rodzinę?

Tilly wyjrzała przez okno i dostrzegła rozbawione twarze wracających dzieci. Podskakiwały wysoko, żeby zajrzeć do salonu, i machały do trzech kobiet. Potem, chichocząc, pobiegły do drzwi wejściowych, przy których czekała już na nich Hanna.

– Proszę – powiedziała Tilly stanowczo – nie chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Wiem zresztą o tym dopiero od niedawna. Mieliśmy podobny przypadek na praktyce. Wtedy nie miałam jeszcze pojęcia o funkcjonowaniu organizmu.

– A więc nie może! – przerwała jej Kitty. – Biedny człowiek!

Marie już to podejrzewała, ale teraz miała pewność. Jakie to tragiczne. Miał już syna, ale ten mieszkał u jego byłej żony. Nie miał już natomiast możliwości posiadania kolejnych dzieci. Jaka głupia była ta zazdrość Paula. Jak on nazywał von Klippsteina? „Kwiatowym kawalerem”. Jakie to podłe i niesprawiedliwe!

Smutną atmosferę przerwał wesoły szczebiot dzieci, które wpadły właśnie do korytarza. Kitty podskoczyła, założyła ręce na karku i rozciągnęła się.

– Co zrobić? Życie toczy się dalej. Nadeszły nowe czasy i my trzy jesteśmy w samym ich centrum. Ja ze swoimi obrazami. Marie z atelier. A ty, Tilly, będziesz wspaniałą lekarką.

Stała na palcach z rękami wciąż zaplecionymi na karku i patrzyła

wyzywająco na przyjaciółki. Czekala, by to potwierdziły. Marie się uśmiechnęła. Tilly również starała się zrobić radosną minę, ale niezbyt jej to wyszło.

– Dobrze, dziewczęta – powiedziała Kitty beztrąsko. – Teraz pójdę się ubrać. Jeśli tego nie zrobię, Henny będzie znowu opowiadać w szkole, że jej mama siedzi całymi dniami w koszuli nocnej.

Tilly także wyszła, żeby się uczesać, posprzątać w swoim pokoju i posłać łóżko. Czasy, gdy krzątały się koło niej pokojówki, dawno minęły i przywykła do tego, że teraz sama się o siebie troszczy. Hanna miała dość pracy, nie chciała dokładać jej obowiązków.

– Ciociu Tilly! – Marie usłyszała w korytarzu przenikliwy głos swojej córki.
– Ciociu Tilly! Zaczekaj! Idę z tobą na górę.

– To chodź, Dodo. Ale muszę posprzątać.

– To ci pomogę. Umiem dobrze sprzątać, pani von Dobern nas tego nauczyła. Mogę cię uczesać? Prooooooszę! Będę bardzo delikatna.

Dlaczego dziewczynka tak się upierała, żeby towarzyszyć Tilly?, zastanawiała się Marie. Może chciała zostać lekarką? To i tak lepiej niż pilotem. Zaśmiała się z siebie samej. Dzieci miały na to jeszcze wiele czasu, nie było sensu teraz się o to martwić. Chociaż mówiono, że czego Jaś się nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał.

Wszedł Leo i wziął sobie kubek gorącej czekolady. Gdy się napił, zostały mu czekoladowe wąsy nad górną wargą.

– Mamo, mam dla ciebie cudowne wieści!

Potrząsnął przy tym kubkiem tak mocno, że o mały włos jego zawartość wylądowałaby na dywanie.

– Wspaniale, kochanie, ale lepiej odstaw kubek, bo za chwilę będziemy mieć tutaj czekoladową powódź.

– Mam słuch absolutny, mamo!

Patrzył na nią i mówił o tym tak, jakby pasowano go dzisiaj na rycerza. Marie zaczęła grzebać w pamięci. Co to był ten „słuch absolutny”?

– To cudownie. A kto to stwierdził?

– Ja i Walter byliśmy podczas mszy na górze przy organach. Bo bardzo chcielibyśmy na nich zagrać. I organista zauważył, że zawsze wiem, jaki gra dźwięk. I półtony też rozpoznawałem. Wszystko wiedziałem. Wszystkie

wysokie, aż do dyszkantów. I niskie basy. Wszystkie rejestry organowe. Ja słyszę każdy dźwięk, mam. Walter tego nie potrafi. I był bardzo smutny z tego powodu. Organista nazywa się Klingelbiel i mówi, że to bardzo rzadkie. Mam Boży dar, powiedział.

– To wspaniale, Leo!

Nikogo nie było w pokoju, więc przytuliła go do siebie i pogłaskała po włosach. Gdy otworzyły się drzwi i Henny zajrzała przez szparę, Leo natychmiast odskoczył od Marie i pobiegł do pokoju muzycznego.

– Ciociu Marie? – Henny wypowiedziała jej imię dobitnie, a jej uśmiech był co najmniej tak uroczy jak jej matki.

Aha, coś sobie zaplanowała.

– O co chodzi, Henny?

Mała chwyciła jeden ze swoich warkoczyków w kolorze blond i obracała go w palcach. Zerknęła przy tym wymownie na Marie.

– Mogłabym ci pomóc w atelier? Po południu, gdy odrobię już lekcje?

Dobrowolna praca nie była czymś, co by pociągało Henny. Ale Marie potraktowała poważnie tę propozycję.

– Jeśli bardzo chcesz, to dlaczego nie? Przydasz mi się. Do sortowania guzików. Obracania rolek z przędzą. Podlewanie kwiatków.

Henny przytaknęła zadowolona.

– A czy dostanę wypłatę?

A więc o to chodzi. Tak jak Marie myślała. Uśmiechnęła się nieco przekornie i wyjaśniła małej, że ma dopiero osiem lat i nie może pracować za pieniądze.

– Ale ja przecież nie będę pracować. Tylko ci trochę pomogę. A ty możesz mi za to podarować dziesięć fenigów, bo jesteś moją ulubioną ciocią.

A to mała spryciara! Zarabianie pieniędzy w elegancki sposób. Wyświadczę ci przysługę, a ty się odwdzięczysz.

– A na co potrzebujesz dziesięciu fenigów?

Henny zarzuciła warkocze za ramiona i zacisnęła usta. Na jej twarzy malowała się wyraźnie myśl „co za głupie pytanie?”.

– O tak tylko. Żeby zaoszczędzić. Bo niedługo jest Boże Narodzenie.

Cóż za czułe dziecko. Będzie pracować, żeby kupić prezenty na Gwiazdkę. Ten zmysł do pieniędzy i ich wartości odziedziczyła po swoim ojcu.

– Omówimy to z twoją mamą, dobrze?

Twarz Henny spochmurniała, kiwnęła jednak dzielnie głową i uciekła. Coś kombinowała ta mała, pomyślała Marie z niepokojem. Lepiej będzie nie spełniać jej prośby i porozmawiać o tym z Kitty.

Po południu zaczęło mocno padać, wiał chłodny jesienny wiatr, który szarpał krzewami i drzewami w ogrodzie. Gałęzie uderzały o ściany domu, żółte i brązowe liście żeglowały z wiatrem, a na górze, jak zameldowała Hanna, przeciekały dwa okna.

– Podłóż stare ręczniki pod parapety – zasugerowała Tilly. – Inaczej drewno się wypaczy.

– Dom to prawdziwa beczka bez dna – narzekała Kitty. – Tego lata musiałam kazać naprawić dach, co prawie mnie zrujnowało. Zostanę dekarzem, jeśli jeszcze raz przyjdę na świat.

Ernst von Klippstein przyszedł w mokrym płaszczu, bo wiatr tyle razy wytrącał mu parasol z rąk, że w końcu z niego zrezygnował i tylko naciągnął mocniej kapelusz na głowę. Zamiast kwiatów przyniósł paniom pudełko czekoladek i był bardzo wdzięczny, gdy Hanna przyniosła mu ciepłe kapcie.

– Wybaczcie mi panie mój strój – powiedział, witając się z Tilly i przyglądając ręką mokre włosy.

– Ale dlaczego? Wygląda pan dobrze, drogi Ernście. Tak zdrowo i ma pan zaróżowione policzki. Jak świeżo umyty!

– Tak właśnie jest – potwierdziła Kitty z uśmiechem. – Od teraz będzie pan stał w deszczu, zanim pana wpuścimy, drogi Klippi. Niech pan wchodzi, bo dzisiaj to już się stało.

Marie zauważyła z ulgą, że dzisiaj Ernst von Klippstein poświęca uwagę głównie Tilly. Na samym początku jej separacji z Paulem bywał niemalże codziennie na Frauentorstraße jako gość i ze wszystkich sił starał się ją pocieszyć. Cóż, chociaż miłe, stanowiło to raczej dodatkowe obciążenie niż pomoc.

– Widzisz, Marie? – szeptała Kitty złośliwie. – Ci dwoje czują się ze sobą bardzo swobodnie. Niedługo będą się trzymać za ręce i oddadzą sobie serca.

Kitty miała na sobie jedną ze swoich w ekstrawagancki sposób skrojonych sukienek z lekkiego jedwabiu, które ledwie zakrywały kolana i podkreślały

wciąż dziewczęcą figurę. Na wpół kobieta, na wpół dziewczynka, promienna, zaczepna, kokieteryjna istota, obok której żaden mężczyzna nie przechodził obojętnie. Wywoływała u mężczyzn zawrót głowy, gdy patrzyła na nich swoimi niebieskimi oczami. Marie zauważyła jednak, że Kitty od dawna już była zmęczona tymi gierkami i robiła to czasami tylko po to, żeby przekonać się o swojej sile. Testowała ją teraz na Roberto, malarzu z ciemnym zarostem, i Marco, właścicielu galerii. Jak dużą przychylność Kitty okazywała obu panom, Marie nie wiedziała. Jeśli jednak jej piękna szwagierka decydowała się na uprawianie miłości, na pewno nie robiła tego na Frauentorstraße.

– Nele, moja słodka! Że też zdecydowałaś się wyjść z domu przy tej pogodzie!

Nele Bromberg została powitana entuzjastycznie. Miała już ponad sześćdziesiąt lat, była chudziutka jak koźlątko, a krótko ścięte włosy farbowała na czarno. Przed wojną zrobiła furorę jako malarka i sprzedała mnóstwo obrazów, później jej sława przygasła, ale nie przeszkadzało jej to poświęcić się wyłącznie sztuce. Marie lubiła tę dziwną staruszkę. Często myślała, że gdyby jej matka wciąż żyła, byłaby do niej podobna.

– Ach, deszcz i grzmoty to przecież idealna pogoda dla nas, czarownic – powiedziała Nele. – Z przyjemnością tak sobie przyleciałam do ciebie na miotle, mój mały roztrzepany elfie.

Zazwyczaj mówiła nieco zbyt głośno, co wynikało najpewniej z tego, że z upływem lat miała coraz gorszy słuch. Nie przeszkadzało to jednak nikomu, nawet dzieciom, które chciały spędzić z nią choćby jeszcze jedną chwilę i uważały „ciocię Brummborg” za bardzo miłą osobę. Kłóciły się nawet, które będzie siedzieć obok niej przy stole.

Ach, te spotkania towarzyskie na Frauentorstraße! Jak tu było beztrudno i wesoło! Żadnych sztywnych konwenansów jak w willi Melzerów, nikt nie powstrzymywał dzieci przed siadaniem na krzesła i bałaganieniem. Nie było podziału na państwo i służbę, gdyż Gertrude wszystkim równo przydzielała zadania i każdy wykonywał je z ochotą. Nakryć stół. Ułożyć kwiaty. Przynieść potrawy. Zadbać o napoje. Przede wszystkim von Klippstein zawsze starał się być pomocny, ale także Marc wnosił dzielnie półmisek z ziemniaczanymi kluseczkami, a malarz Roberto rozkładał sztuki w idealnej odległości od talerzy.

Później, gdy wszystko było już gotowe, goście siadali obok siebie, a ponieważ było dość ciasno, trzeba było uważać, żeby nie dźgnąć sąsiada widelcem. Hanna, która początkowo bardzo się broniła, również musiała

z nimi usiąść i zawsze okropnie się wstydziła, gdy przyjaciele Kitty mówili do niej „panienka Johanna”.

Wszyscy razem się posilali, chwalili kucharkę, opowiadali dowcipy, bawili się z dziećmi, stukali się kieliszkami. Rozmowy zazwyczaj schodziły na temat sztuki, przede wszystkim właściciel galerii, Marc Boettger, nadawał ton, oceniał i chwalił tego i tamtego twórcę, mówił o artystach, którzy stali się słynni na jedną noc, i o geniuszach, którzy zawsze będą znani. Nele domagała się, żeby mówił głośniej, bo nie rozumie, o czym mówią, ale Dodo podjęła się zadania powtarzania starszycie do ucha najważniejszych sformułowań.

– Urodziłaś mądrą dziewczynkę, Marie. Bardzo wyjątkową. Ona jeszcze wszystkich zaskoczy.

Nele zwracała się per ty do wszystkich swoich przyjaciół, ale od początku szczególnie Marie przypadła jej do gustu. Chwaliła obrazy jej matki, chociaż, czego niepomniernie żałowała, nie poznała nigdy Luise Hofgartner. Gdy wszyscy byli już najedzeni i rozmowy stawały się coraz spokojniejsze, wybijała godzina Lea. Szedł do pokoju muzycznego, żeby zagrać na pianinie, i oczywiście robił to bardzo chętnie. Na znak Marie słuchacze nagradzali małego muzyka gromkimi oklaskami i tak kończył się wieczorny koncert. Hanna szła z marudzącymi dziećmi na górę, żeby położyć je spać, a dorośli dzielili się na grupki w salonie, siadali na sofie i fotelach. Roberto najbardziej lubił siedzieć na dywanie ze skrzyżowanymi nogami. Był utalentowanym gimnastykiem i kiedyś pokazywał swój skomplikowany układ, ale, jako że została wówczas potłuczona kryształowa waza i uszkodzony fotel z wikliny, Kitty musiała go poprosić, żeby więcej tego nie robił.

– Lubię ten fotel! Urodziłam na nim swoją córkę!

– Na tym fotelu? – dopytywał się Marc.

– Nie, właściwie to na sofie. Tu, gdzie właśnie siedzisz, mój przyjacielu.

Marie parsknęła śmiechem. Czuła się dzisiaj nieco zmęczona i trudno jej było koncentrować się na rozmowie. Możliwe, że była to sprawa wina, mocnego reńskiego wina. Lepiej, żeby nie piła drugiego kieliszka. Słuchała uprzejmie, co miał do powiedzenia właściciel galerii, uśmiechała się, gdy należało, i ucieszyła się na wieść, gdy Hanna powiedziała, że dzieci są w łózkach. Marc zwrócił się teraz do „panienki Johanny”, zapraszając ją kolejny raz do swojej galerii na Annastraße, więc Marie przez chwilę przysłuchiwała się innej rozmowie.

Tilly znów siedziała razem z Ernstem von Klippsteinem i wydawało się, że rzeczywiście otwiera przed nim swoje serce. Na twarzy von Klippsteina

Marie na pewno widziała duże zainteresowanie młodą studentką medycyny.

– Co za podłość. Z czystej zawiści, jak się domyślam.

– To możliwe – odpowiedziała przygnębiona Tilly. – Lubię się uczyć i jestem zawsze jedną z najlepszych. To ważne dla studentki, żeby pokazać swoje dokonania i być docenioną przez profesora. Ale niektórzy koledzy mają mi to za złe.

– I ci koledzy stali przed mieszkaniem pani gospodyni i żądali, żeby ich wpuściła?

– Tak. I co gorsza twierdzili, że już kilka razy u mnie nocowali. Wypowiedziała mi więc mieszkanie.

Klippstein westchnął ze współczuciem. Prawdopodobnie teraz chętnie uściskałby dłoń Tilly, ale się nie odważył.

– I co? Znalazła pani nową kwaterę?

– Jeszcze nie. Zostawiłam swoje rzeczy u znajomej, to są tylko torby i kufry z moimi książkami.

– Jeśli mógłbym jakoś pomóc, panienko Bräuer. Mam przyjaciół w Monachium.

Marie nie słyszała już, czy Tilly przyjęła tę ofertę, bo teraz przysiadła się do niej Nele.

– Moja kochana Marie, masz dwoje wspaniałych dzieci – bardzo ci tego zazdroszczę. Chłopiec to mały Mozart. Jaki jest śliczny z tą blond grzywą. Jak anioł. Jak archanioł.

– Jestem bardzo dumna z obojga.

Marie rozmawiała, śmiała się, słuchała i odpowiadała. Było przyjemnie siedzieć w tym pokoju, tak ciepło i bezpiecznie, w otoczeniu tych wesołych ludzi, podczas gdy na zewnątrz wiatr łamał gałęzie, a krople deszczu uderzały o szyby. Jak to więc możliwe, że mimo to czuła się tak bardzo samotna? Dlaczego tylko się kłócimy, pomyślała. Czy to wszystko, o co go obwiniam, to jest takie nic? Czyste urojenie? Karygodny egoizm?

Dlaczego nie pójdzie jutro rano do fabryki, by powiedzieć mu, że go kocha, że cała reszta jest nieważna? Że liczy się tylko miłość.

Wtedy jednak przypomniała sobie ławkę. Ławkę Melzerów w kościele Świętego Maksymiliana. Paul siedzący między swoją matką i panią von Dobern. Jego uśmiechnięta twarz odwrócona profilem i Serafina zwrócona do

niego, żeby lepiej usłyszeć jego żart. Nie, miłość nie może zastąpić wszystkiego w życiu. A na pewno nie miłość zbudowana na kłamstwie.

Grudzień 1924

O Boże, nie! Niech mnie pani zabije, łaskawa pani, ale nie wejdę do tej skrzynki!

Rozgniewana Elisabeth westchnęła. Powinna była zostawić tę dziewczynę w gospodarstwie, były z nią same problemy. Rudowłosa, gibka, wiejska dziewczyna z Pomorza, której w pociągu ciągle było niedobrze i do niczego się nie nadawała, a teraz w dodatku bała się wsiąść do samochodu.

– Weź się w garść, Dörthe! Jest już ciemno i nie mam ochoty trząść się w jakiejś starej dorożce.

Stały przed dworcem w Augsburgu pośród toreb i kufrów, które tragarze bardzo uprzejmie postawili prosto w kałużę. W rodzinnym mieście było zimno, w świetle ulicznych lamp wirowały maleńkie płatki śniegu, które unosił wiatr. Przy murach wokół dworca siedzieli weterani wojenni, by wyżebrać jeszcze coś od ostatnich podróży.

– Przecież ja na miejscu padnę trupem, łaskawa pani – jęczała Dörthe. – W Kolbergu taki samochód wyleciał w powietrze. Walnęło, że szyby z okien powypadały.

Lisa była tak zmęczona dwudniową podróżą, że nie miała siły walczyć z bezmyślnym uporem dziewczyny. Ale gdy tylko będą w posiadłości, weźmie się za tę małą. Tak nie może być. Niech sobie jedzie z powrotem na Pomorze. Albo idzie, jeśli jej to bardziej odpowiadało. Nie skorzystała jednak z czekającego na nie samochodu i zatrzymała dorożkę. Woźnica szybko zapakował ich bagaże i pomógł jej wsiąść do środka. Była już w siódmym miesiącu, czuła się ciężka i spowolniona, jej nogi były spuchnięte od długiego siedzenia w pociągu.

– Jakie to duże miasto, łaskawa pani. I tyle świateł. I domów, sięgających aż do nieba.

– Przesuń się, muszę położyć tutaj swoje stopy.

– Oczywiście, łaskawa pani. Och, zrobiły się grube jak beczki. Trzeba im będzie zrobić zimny okład z octem.

Elisabeth nie odpowiedziała. Słysząc było, jak dorożkarz cmoknął na konia, a potem kopyta zaczęły uderzać o bruk i pojazd ruszył w stronę bramy

Jakoba. Elisabeth oparła głowę o drewniane plecy dorożki i zamknęła oczy. Znowu w domu, w Augsburgu. Znała tutaj każdy dom, każdy zaułek, mogłaby trafić z dworca do posiadłości, nie otwierając oczu. To było dobre uczucie i ta błogość ją zaskoczyła. To chyba była wina ciąży, że problemy widziała w różowych barwach. Zadziwiająca rzecz. Od czasu do czasu miała wrażenie, że żyje pod szklanym kloszem, który chroni przed zmartwieniami i kłopotami, dając jej ciepłe poczucie bezpieczeństwa. Ten piękny stan trwał jednak zazwyczaj krótko, a potem wracała zwykła rzeczywistość. W czasie ostatnich tygodni odkryła też – co mocno nią wstrząsnęło – że nikt z gospodarstwa nie był smutny z powodu jej wyjazdu. Nawet ciotka Elvira, która zawsze była dla niej miła.

– Ach, dziewczyno! To oczywiste, że stworzona jesteś do życia w mieście. Idź z Bogiem i bądź szczęśliwa, Liso!

Z lekkim sercem pozwoliła jej odejść. Christian von Hagemann przyjął do wiadomości jej decyzję wzruszeniem ramion. Tylko Riccarda von Hagemann, której nigdy nie znosiła, wydawała się zaniepokojona.

– A co będzie z nami?

Lisa ją uspokoiła. Klaus miał zachować posadę zarządcy. Domagała się tego ciotka Elvira, która była bardzo zadowolona z jego pracy i nie miała najmniejszej ochoty szukać kogoś na jego miejsce. Pauline z nieślubnym dzieckiem wprowadzi się do dworu, bo Klaus chciał uznać chłopca. Możliwe, że będą mieć kolejnych synów i córki, ale tym Elisabeth się nie przejmowała. Rozstanie z mężem było nawet całkiem życzliwe – objął ją mocno i jej podziękował.

– Zawsze cię lubiłem, Liso. Jako dobrą przyjaciółkę, wierną towarzyszkę.

Sytuacja była zabawna, bo dziecko w jej brzuchu poruszało się bardzo gwałtownie, jakby chciało zwrócić na siebie uwagę.

– Mam za złe temu nudnemu typowi, że to on oddał celny strzał – mówił Klaus ze złośliwym uśmiechem. – Ale nikt nie może mi zarzucić, że nie próbowałem, prawda?

Nie skomentowała jego żartu, zapewniła go, że nie ma do niego żadnych pretensji i chce się rozstać w pokoju. Skinął głową, ale gdy się odwróciła, złapał ją jeszcze za rękę.

– Posłuchaj, Liso, jeśli trzeba będzie, jestem gotowy uznać to dziecko za swoje.

– Dziękuję, Klausie. To nie będzie konieczne.

Elisabeth otworzyła oczy i wyprostowała plecy. Rozbolała ją głowa od wstrząsów, spowodowanych jazdą po nierównym bruku. Dörthe, która całymi dniami błagała Elisabeth, żeby zabrała ją ze sobą do Augsburga, siedziała teraz sztywno i wyglądała przez okna dorożki. Gdy mijali uliczne latarnie, domy i przechodnie wyłaniali się z szarego światła, a potem znów zapadała ciemność. Tylko kolorowe witryny sklepowe były oświetlone i można było zobaczyć całkiem dokładnie ekspozycje.

Wiele się zmieniło w Augsburgu, odkąd się stąd wyprowadziła. Wydawało się, że trudne czasy wzmożonej inflacji dobiegły końca, sklepy i firmy się rozwijały i w fabryce też musiało dziać się nie najgorzej. Dziwne, że mama tak niewiele pisała na ten temat. Jej listy były w ostatnim czasie wręcz lakoniczne, a Kitty nie pisała właściwie wcale. Prawdopodobnie mieli Elisabeth za złe, że zdecydowała się na rozwód i jako rozwódka chce wrócić do rodzinnego domu. To, że mama się tym martwiła, było zrozumiałe. Ale dla Kitty takie zachowanie było raczej nietypowe. Jej młodsza siostra prowadziła – z tego, co pisała jej wyczerpująco Serafina – niezbyt moralne życie, spotykała się beztrudno z mężczyznami i wdawała w romanse. No cóż, Kitty zawsze miała skłonność do bohemy, widać to już było wtedy, gdy uciekła do Paryża z tym Francuzem. W każdym razie Kitty nie miała żadnego powodu, żeby ją oceniać. Może jedynie Marie miała do tego prawo. Ale ani w listach od mamy, ani w tych pisanych przez Serafinę nie było słowa o Marie.

Przejechali właśnie przez bramę Jakoba i kierowali się do dzielnicy przemysłowej.

– Teraz robi się już strasznie ciemno, łaskawa pani. Ciemno jak w piekle. Och, Bożuniu, co to jest za światło, tam z tyłu? Migocze i błyszczący jak tysiące światełek.

– To nie żadne światełki, Dörthe – wyjaśniła niechętnie Lisa. – To okna jednej z fabryk. Czekać no, to musi być mechaniczna przędzalnia. Wprowadzili więc znowu nocne zmiany, musi być sporo zamówień.

Gdy wyjeżdżała z Augsburga, fabryka ledwie dyszała, niewiele było wełny i bawełny, które można było przetwarzać. Wytężyła wzrok i próbowała rozpoznać w oddali światła fabryki Melzerów, ale się nie udało. Wydawało się jej, że powstały jakieś nowe budynki, które przesłaniały widok.

– Jest mi niedobrze, łaskawa pani. Daleko jeszcze? Jeśli tak, muszę powiedzieć dorożkarzowi, żeby się zatrzymał.

– Jeszcze kilka minut. Tyle musisz wytrzymać.

Dörthe kiwnęła kilkakrotnie głową z wielką determinacją i znów patrzyła

przez okno. Rzeczywiście, biedna dziewczyna była blada jak płótno – cóż, z pewnością przez całe swoje życie nie doświadczyła niczego tak ekscytującego jak ta podróż i nocny, miejski krajobraz, który widziała z okien dorożki.

Stara brama parkowa wciąż wisiała krzywo na zawiasach. Dörthe wbiła mocno palce w skórzane siedzenie, gdy przekraczali wjazd, a daleko przed nimi, na końcu alei parkowej, było już widać światła posiadłości. Zostawili zapalone lampy na dziedzińcu, oczekiwali jej. Dzisiaj rano dzwoniła z Berlina i prosiła mamę, żeby nic nie przygotowywała. Nie, Paul nie musi ich odbierać z dworca, wezmą jakąś taksówkę.

– To tam. Widzisz światła?

Dorożkarz zatrzymał się tuż przed schodami prowadzącymi do głównego wejścia, a Dörthe wybiegła na zewnątrz, żeby sobie ulżyć przy klombie, na którym rosły jodły. Po chwili otworzyły się drzwi wejściowe i Elisabeth, ku swojej radości, zobaczyła Gertie, która kiedyś była jej pokojówką. Kamerdynera, który schodził teraz, żeby zabrać jej bagaż, pamiętała jedynie mgliście. Jak on się nazywał? Johann? Nie. Jonathan. Też nie. Robił wrażenie nieco zarozumiałego, ale mogła się mylić.

– Witamy w domu, pani von Hagemann! – powiedział i uklonił się. – Mam na imię Julius i cieszę się, że mogę pani pomóc.

Podtrzymał ją, gdy wysiadała z dorożki. Był silny, to trzeba było mu przyznać. I nie tak niestabilny psychicznie jak Humbert. Ten drżał na samą myśl o tym, że ma kogoś dotknąć. Zarządziła, gdzie należy zanieść bagaże, i już zastanawiała się, jak dokładnie je potem rozlokować. Czy Kitty nie pisała, że Marie urządziła sobie miejsce do pracy w jej dawnym pokoju? Miała nadzieję, że nie upchną jej do dawnej sypialni Johanna Melzera. Było tam zdecydowanie za ciasno, no i ciągle przypominałaby sobie biednego tatę.

– Liso! Niech ci się przyjrzę, siostrzyczko! Dobrze wyglądasz. Jesteś tylko trochę blada, ale to pewnie z powodu długiej podróży.

Paul zszedł po schodach, żeby serdecznie ją przywitać, a jego radość wydawała się szczerą. Dobrze jej to zrobiło. Ale gdy ją objął, nawet płaszcz nie mógł już dłużej skrywać pewnych rzeczy.

– Powiedz mi. Czy ty jesteś może... – zapytał cicho.

– W siódmym miesiącu. Urodzi się prawdopodobnie w lutym.

Był zdumiony, bo nie napisała im nic o swojej ciąży. Przesunął ręką po włosach, odetchnął głęboko, a potem się uśmiechnął. Uroczy i o wyglądzie

młodego chłopaka – tak jak wcześniej.

– Gratuluję. Nowe życie znów zagości w domu. Mama już wie?

– Dowie się dzisiaj.

Gwizdnął przez zęby, tak jak robił to kiedyś.

– Ale bądź delikatna, Liso. A przynajmniej spróbuj. Nerwy mamy są mocno nadwerężone.

– Ach tak?

– Leży w łóżku. Wstanie na kolację.

Lisa nie przyjęła ręki, którą jej podał, i weszła po schodach bez jego pomocy. Tego by jeszcze brakowało, żeby zajmowano się nią, jakby była chora. Wystarczy, że mama podupała na zdrowiu. To wyjaśniało, dlaczego tak rzadko ostatnio pisała.

W holu czekała na nią Else, a przy wejściu do kuchni stała Brunnenmayer. Gertie i Julius zabrali walizki na górę. Elisabeth była poruszona. Else miała łzy w oczach, gdy ją zobaczyła, a Brunnenmayer cała się rozpromieniła.

– Dobrze, że znów jest pani w domu, pani von Hagemann. Przyprowadziłam nawet małą Elisabeth.

Uścisnęła dłoń kucharce i mało brakowało, a rzuciłaby się jej na szyję. Do Else też wyciągnęła dłoń. Była związana z tymi dwoma kobietami, wiernymi Melzerom, niezależnie od tego, co się działo. Takie to było miłe po chłodnym pożegnaniu w posiadłości von Maydornów. Serafina von Dobern czekała na nią przy schodach prowadzących na pierwsze piętro. Lisa dyszała, wchodząc po kolejnych stopniach, a gdy Else wzięła od niej kapelusz i płaszcz, nie dało się już ukryć jej stanu. Serafina jednakże udawała, że niczego nie zauważyła.

– Liso, moja kochana przyjaciółko! Cieszę się ogromnie, że cię widzę! Miałaś dobrą podróż?

Ich uścisk był krótki i chłodny, a pocałunki, które wymieniły, nie dotykały policzków. Serafina była wychowana w konserwatywnym domu i musiała najpierw pogodzić się z tym, że jej przyjaciółka się rozwiodła i do tego jeszcze nosiła w sobie dziecko. Elisabeth nie miała o to pretensji.

– Dziękuję, moja droga. Było znośnie. Zwykle niedogodności związane z jazdą pociągiem, sama wiesz... Okno otwarte – okno zamknięte. Nie można rozprostować nóg i zawsze jest ktoś, kto szeleści gazetą. A co u ciebie, Finko? Jesteś szczęśliwa w willi? Czyżbyś schudła?

W istocie Serafina wyglądała na szczuplejszą niż wcześniej. Miała lepszą cerę niż kiedyś, ale wydawało się, że malowała policzki delikatnym różem.

– Czy schudłam? Całkiem możliwe. Jedzenie w tym domu mi nie odpowiada.

Lisa zorientowała się, że popełniła gafę, bo Serafina już wcześniej cierpiała z tego powodu, że była taka chuda.

– Faktycznie, masz taki wrażliwy żołądek. Ale nasza Brunnenmayer gotuje naprawdę wyśmienicie.

Dziwne, ale nie cieszyła się z obecności Serafiny. Od czasów szkolnych były dobrymi przyjaciółkami i później miały ze sobą często do czynienia. Chwilami wyczuwała jednak osobliwy dystans. Aż tak bardzo miała jej za złe tę ciążę?

– Pokażę ci teraz pokój, który poleciłam dla ciebie przygotować.

Znowu schody. Człapała za przyjaciółką na drugie piętro i zastanawiała się, co Serafina chciała przez to powiedzieć. Poleciła przygotować pokój. To nie należało do zadań guwernantki. Przygotowano dla niej dawny pokój Kitty, z czego właściwie mogła się cieszyć, bo przynajmniej była tam szafa na ubrania. Nieco przytłaczające wydało się jej co prawda spanie w łóżku Kitty, ale większość mebli została zastąpiona przez inne. Serafina powiedziała, że wszystko przygotowywała i urzędowała z wielką troską o dobre samopoczucie przyjaciółki, otwierała drzwiczki komody i szuflady, układała poduszki na zielonej sofie, która została zniesiona z poddasza. Lisa przypomniała sobie, że kiedyś ten mebel stał w gabinecie dla panów, ale zastąpiono go dwoma tapicerowanymi fotelami.

– Powiedz, jesteś wciąż zatrudniona jako guwernantka?

– Ach, więc ty nic nie wiesz, Liso? Od jakiegoś czasu pełnię funkcję gospodyni.

Lisa usiadła na kanapie i popatrzyła z dołu na koleżankę.

– Powiedziałaś – gospodyni?

Serafina uśmiechnęła się z dumą. Zdumienie Lisy musiało ją bawić.

– Zgadza się. Twoja szwagierka już z nami nie mieszka...

Lisa nic nie rozumiała. Wydawało się, że podczas jej nieobecności w willi wydarzyło się jakieś trzęsienie ziemi, które przed nią ukryto.

– Marie... Marie już tutaj nie ma? – Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że

Marie nie przywitała się z nią w holu. – Czyżby była chora?

Serafina uniosła brwi i zacisnęła usta. Wyglądała, jakby sprawiało jej przyjemność, że może przekazać przyjaciółce te przygnębiające wieści.

– Młoda pani Melzer przeniosła się z dziećmi na Frauentorstraße. Traktowaliśmy tę sprawę z wielką dyskrecją i z tego powodu nie mówiliśmy o niej. Przede wszystkim z uwagi na ciotkę Elvirę. Czasami bywa zbyt bezpośrednia i nie dba o reputację rodziny.

Lisa siedziała w milczeniu na kanapie, ta wiadomość nadeszła tak niespodziewanie, że musiała najpierw uporządkować swoje myśli i uczucia. Marie zostawiła jej brata. Coś podobnego. I zabrała ze sobą dzieci. Niesłychane. Kitty, jej młodsza siostra, musiała być z Marie w zмовie, bo Marie mieszkała u niej. O Boże, biedny Paul! I mama, jak ona musiała tęsknić za tymi dziećmi. Stąd więc jej niedyspozycje.

– Muszę cię prosić, droga Liso, żebyś była w stosunku do matki bardzo delikatna. Mam na myśli twój stan. Ona tak wiele musiała znieść!

– Oczywiście, to się rozumie samo przez się.

Lisa odpowiadała automatycznie, tak była zajęta własnymi myślami. Przeszkadzało jej jednak to, że już drugi raz dzisiaj nakazano jej, żeby była taktowna wobec mamy. Czy uważali ją naprawdę za idiotkę? Bezmyślną babę, która nie liczy się z drugą osobą? Teraz była nieco zdenerwowana na przyjaciółkę, nawet jeśli wiedziała, że Serafina nic nie zawiniła.

– Przyślij mi Gertie na górę, Finko – powiedziała tonem chłodniejszym niż zwykle. – I powiedz kucharce, że Dörthe, ta dziewczyna, która ze mną przyjechała, może pomagać w kuchni.

– Odpocznij sobie, moja droga – powiedziała Serafina ze współczuciem. – Masz za sobą stresujący czas. Możesz na mnie liczyć, Liso. Zawsze jestem przy tobie.

– Miło z twojej strony, Finko.

Serafina zamknęła za sobą drzwi tak cicho, jakby w pokoju leżał ktoś poważnie chory. Jej kroków na korytarzu prawie nie było słychać, musiała się chyba unosić nad dywanem, nie stawiać na nim stóp. To też drażniło Elisabeth, bo ona stąpała ciężko jak słoń i z powodu swojej wagi szybko traciła oddech, aż było słychać jej dyszenie. No tak, znowu musiała być tą, na której skupiło się wszystko, co złe. U Kitty – pamiętała dobrze – prawie nie było widać ciąży. Marie, mimo bliźniaków, też nie urosła tak wszerek jak ona. Wszędzie przybrała na wadze: w biodrach, ramionach, nogach, na plecach

i przede wszystkim w biuście. Już wcześniej był okazały, teraz przekraczał wszelkie granice. Dobry Boże, niech tylko to dziecko przyjdzie na świat, to będzie się żywić duszonymi warzywami i suchym chlebem. Nie miała ochoty spędzić reszty życia jako tocząca się beczka.

Gdy przyszła Gertie, nastrój Elisabeth od razu się poprawił. Jaka miła była z niej dziewczyna. Ani słowa o ciąży, żadnych głupich pytań o spuchnięte kostki czy inne przypadłości. Napaliła w piecu w łazience, przyniosła szlafrok i przez cały czas, gdy pomagała się jej ubierać, opowiadała, co nowego wydarzyło się w posiadłości.

– Auguste już prawie nie przychodzi. Wcześniej musiała zarabiać pieniądze, bo nie szło im dobrze w tym ich ogrodnictwie. Dobra Bruni często coś jej dawała dla dzieci. Żeby nie musiały głodować. Teraz sytuacja Auguste bardzo się poprawiła. Jak to się stało, o tym nie mówi. Ale budują szklarnię. Wielką jak hala targowa. Ja tam dobrze nie wiem, łaskawa pani, ale pieniądze chyba musiały spaść im z nieba.

Elisabeth zastanawiała się, czy jej mąż Klaus von Hagemann nie przyczynił się do tego, bo przecież był ojcem Liesl. Ale skąd mógłby mieć tyle pieniędzy? Wyciągnęła się z przyjemnością w wannie pełnej ciepłej wody. Sięgnęła po mydło różane. Och, ten zapach dzieciństwa. Mama kupowała tę samą markę od lat. Obracała je w dłoniach, by się spieniło, umyła szyję i ręce, a potem podała je Gertie, żeby umyła jej plecy. Mała Gertie robiła to cudownie, masowała napięte miejsca i polewała ciepłą wodą jej ramiona. Elisabeth dowiedziała się, że Humbert, ich dawny lokaj, mieszka wciąż w Berlinie i występuje na scenie, ale ostatnio rzadziej pisze i Brunnenmayer trochę się o niego martwi.

– Ona tego nie powie, ale ja to przecież widzę. Myślę, że Brunnenmayer i Humberta łączy głęboka przyjaźń. A Hanna, ta zdradziecka istota, poszła na Frauentorstraße. A Maria Jordan to dopiero! Ona jest teraz bogatą właścicielką dwóch domów. I ma też chłopca.

– Maria Jordan ma dziecko?

Gertie zaśmiała się tak zaraźliwie, że udzieliło się to Elisabeth.

– Nie ma dziecka. Ma młodego kochanka, który jest prawie jak chłopiec. Jeśli to prawda, co ludzie mówią.

Pomogła jej wyjść z wanny, okryła jej ramiona dużym ręcznikiem pachnącym lilią i bergamotką i wycierała jej plecy.

– Jezus Maria, ta dziewczyna, którą pani przywiozła z Pomorza. Ta to

dopiero jest! Usiadła przy stole kuchennym i nie przestaje jeść! Kartofle obiera na grubość palca. I nie mogła znaleźć na zewnątrz składziku drewna, choć Brunnenmayer tłumaczyła jej trzy razy. Później ma pozmywać, więc pewnie kilka naczyń potłucze. Kucharka powiedziała, że jeszcze tak niezręcznej dziewczyny w kuchni nie miała.

– Nauczy się.

Gertie uszykowała jej świeżą bieliznę i wygodną sukienkę, które znalazła w kufrze.

– Mam panią uczesać? I upiąć włosy? Chętnie to zrobię, bo uczęszczam na kurs dla pokojówek i wiele już umiem.

Włosy Elisabeth urosły i nosiła je upięte jak kiedyś. Nie dlatego, że Sebastianowi nie podobały się krótkie fryzury. Naprawdę nie. Co ją obchodził Sebastian? Po prostu do jej twarzy nie pasował ten nowoczesny bob.

Po kąpieli czuła się przyjemnie zrelaksowana i senna. Patrzyła w lustro, gdy Gertie rozplątywała i rozczesywała jej mokre włosy. Ta mała potrafiła ułożyć jej włosy w naprawdę korzystny sposób, tak że jej twarz, przypominająca księżyc w pełni, wydawała się nieco szczuplejsza. Bardzo zręczna dziewczyna z tej Gertie. Podobna trochę do Marie. Ach, minęło już dziesięć lat od czasu, gdy śliczna pokojówka Marie upinała jej włosy i szyła dla niej zachwycające suknie. Niepojęte, że ta dziewczyna, która doświadczyła wówczas tak niezwykłego awansu społecznego, teraz była na zagrożonej pozycji.

Else zapukała do drzwi. Kolacja jest gotowa.

– Pan Melzer prosił przekazać, że chciałby, aby od razu zeszła pani na dół.

Dlaczego tak się śpieszył? Cóż, może faktycznie lepiej było nie zwlekać, w przeciwnym razie zaśnie na krześle.

– Bardzo ładnie to zrobiłaś, Gertie – powiedziała, wstając z westchnieniem.

Dziewczyna dygnęła i wyraźnie ucieszyła się z pochwały.

– Bardzo chętnie bym pani usługiwała, pani von Hagemann. Potrafię szyć i prasować... A w kuchni pomaga teraz Dörthe.

Ach, pomyślała z rozbawieniem Elisabeth. O to chodzi. Niestety nie ona decydowała o tym w posiadłości. Co nie zmienia faktu, że byłoby dla niej bardzo pomocne, gdyby przez najbliższe miesiące miała w swoim otoczeniu kogoś tak bystrego i sprytnego jak Gertie.

Na dole w jadalni stół został nakryty zgodnie z najlepszymi zasadami tej

sztuki, widać było, że Julius znał się na rzeczy. W dokładnej co do milimetra odległości od talerzy leżały sztucce, po prawej stronie we właściwej kolejności naczynia na napoje, a po lewej doskonale wyczyszczona srebrna solniczka z małą łyżeczką oraz wykrochmalona serweta ułożona w kształt motyla.

– Najlepiej będzie, jak usiądziesz obok mnie – powiedział Paul, który wszedł do jadalni razem z nią. – Pani von Dobern zajmuje miejsce obok mamy.

Odstawił jej krzesło, poczekał, aż usiądzie, i sam zajął miejsce obok. Lisa była poirytowana.

– Serafina, to znaczy pani von Dobern, je z nami?

Zauważyła, że to pytanie było dla niego kłopotliwe.

– Mama tego chciała...

Cóż, no tak, odkąd w willi nie ma Marie i dzieci, a brakowało również Kitty, przy stole musieliby siedzieć tylko mama i Paul. Możliwe, że mama czuje się nieco samotna. Ale i tak było to dość niezwykle, że gospodyni siadała z nimi przy stole. Panna Schmalzler nigdy by nie wpadła na podobny pomysł.

– Chciałabyś może zarzucić na siebie szal, Liso? Jest trochę zimno.

Paul podał jej ciemnoczerwony, szeroki szal, który należał do mamy.

– Nie, dziękuję – odparła. – Jak dla mnie jest wystarczająco ciepło.

– Cóż, może lepiej i tak się nim okryj? Mama nie musi od razu wiedzieć, jak się rzeczy mają.

Ten cały teatrzyk powoli zaczynał ją męczyć. Dlaczego miała się ukrywać? W końcu i tak mama się dowie, więc dlaczego nie teraz?

– Pozwól mamie najpierw coś zjeść. Przez te częste migreny strasznie schudła.

Elisabeth parsknęła gniewnie, ale uległa. Co to za straszny kawałek materiału jej przyniósł? A poza tym gdyby z mamą było naprawdę źle, na pewno by zauważyła. Rzeczywiście, Alicia wydała się bardzo skurczona, gdy weszła prowadzona przez Serafinę. Jej twarz zrobiła się pomarszczona, włosy całkiem posiwiały i już ich nie farbowała, ręce miała tak wychudzone, że można było policzyć na nich każdą kostkę.

– Liso! Ale się zaokrągliłaś! Wiejskie powietrze dobrze ci zrobiło.

Elisabeth chciała wstać, żeby objąć mamę, ale poczuła rękę Paula na swoim ramieniu i zrozumiała, że lepiej będzie zostać na miejscu. Mama wykonała ruch, jakby chciała się do niej pochylić, ale Serafina delikatnie złapała ją za ramiona i posadziła na jej krześle.

– Niech pani usiądzie, droga Alicio. Wszyscy się cieszymy, że Lisa znów jest wśród nas. Odmówmy naszą modlitwę przed jedzeniem.

Chwilę później wszedł Julius i przyniósł zupę. Bulion wołowy z pierożkami. Ach, jak dawno go nie jadła! I była w nim świeża pietruszka, teraz, w grudniu!

Wszyscy rozwinęli serwety i zajęli się jedzeniem. Przez dłuższy moment było słycać jedynie ciche stukanie łyżek o talerze.

– I jak to dalej z tobą będzie, Liso? – zapytała w końcu mama. – Wciąż jesteś zdecydowana na rozwód?

– Tak, mamó. Sprawa jest w toku. To nie potrwa długo.

Serafina się wtrąciła i oświadczyła, że rozwód nie jest już dzisiaj niczym niezwykłym.

– Zamiast pozostawać na zawsze w nieszczęśliwym małżeństwie, znacznie mądrzej jest się rozstać. Ma się wtedy możliwość zawrzeć drugi, szczęśliwy związek.

Mówiąc to, spojrzała na Lisę, a światło kinkietu odbiło się w jej okularach. Może się myliła, ale czy Serafina nie patrzyła jednak na Paula, a nie na nią?

Alicia odsunęła pusty talerz i wytarła usta serwetką.

– W moich czasach nie było w zwyczaju się rozwodzić. A gdy tak się działo, wywoływało to skandal.

Spojrzała badawczo na Lisę, ale Paul szybko wmieszał się do rozmowy:

– A jak zaplanowałaś swoje życie po rozwodzie, Liso?

Już miała powiedzieć, że najpierw musi sprowadzić swoje dziecko na świat, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Och, myślę, że najpierw muszę nabrać do wszystkiego trochę dystansu. Będę pomagać tutaj, w posiadłości. Jeśli pozwolisz, mamó, chętnie przejmę obowiązki związane z prowadzeniem domu.

Serafina uśmiechnęła się entuzjastycznie i stwierdziła, że to dobry pomysł. Przy czym dom w tym momencie prowadzony jest niezwykle sprawnie i nie wymaga dodatkowej pomocy.

– Prawda, droga Alicio? Radzimy sobie bardzo dobrze.

Mama się z nią zgodziła, ale przerwano rozmowę, bo właśnie wszedł Julius, żeby zebrać talerze i wnieść kolejne danie. Pieczeń cielęcą z groszkiem i marchewką, a do tego kluseczki z bułki i sos śmietanowy. Elisabeth natychmiast zapomniała o tym, że rozgniewały ją słowa Serafiny, i pozwoliła, żeby Julius nałożył jej aż trzy kawałki pieczeni. Jak ten sos był przyprawiony – poezja. Kluseczki z bułki – niezrównane. A pieczeń delikatna i krucha.

– Jak to właściwie jest z tym panem Winklerem? – Paul przerwał jedzenie.
– Czy nie łączyła was pewna... sympatia?

– Proszę cię, Paul – wtrąciła się mama. – Nauczyciel? A do tego siedział w więzieniu!

– No i jak zwykle! – zirytował się Paul. – Wydawał się mądrym i uczciwym człowiekiem.

– Komunista, prawda? – zapytała łagodnie Serafina. – Czy nie był jednym z przywódców tak zwanej Republiki Rad? Gdy motłoch sądził, że sięgnie po władzę w Augsburgu?

Paul zignorował zarzuty Serafiny i zupełnie niewinnie pytał dalej:

– Czy on jest wciąż zatrudniony jako bibliotekarz w gospodarstwie von Maydornów?

Elisabeth czuła, jak jej twarz zaczyna płonąć. Paul, ten spryciarz, już dawno ją przejrzał. Domyślił się też pewnie, kto jest ojcem jej dziecka.

– Już od dawna nie – zaczęła gorliwie tłumaczyć. – Pan Winkler zwolnił się w maju i opuścił gospodarstwo. O ile mi wiadomo, starał się o posadę nauczyciela w szkole podstawowej.

– O mój Boże – jęknęła mama. – Rewolucjonista zostanie dopuszczony do niewinnych dzieci. Miejmy nadzieję, że żadnej takiej posady nie dostanie, prawda?

Elisabeth była zdania, że raz na zawsze trzeba coś wyjaśnić. Położyła sztućce na brzegu talerza i wzięła głęboki oddech.

– Mamo, powiem to wprost: nie wiem, co w tej chwili robi pan Winkler i gdzie jest. I nie interesuje mnie to ani trochę.

Nastąpił krótki moment ciszy. Lisa chwyciła sztućce tak gwałtownie, że wypadł jej z ręki widelec i na białym adamaszkowym obrusie pojawiła się tłusta plama. Serafina uśmiechnęła się do Lisy współczująco i odwróciła się do mamy.

– Nasza Lisa jest zmęczona po podróży, więc nic dziwnego, że trochę puszcza jej nerwy. Wrócimy do tego jutro, kochana Alicio.

Elisabeth spojrzała na Paula, ale ten był zajęty wbijaniem widelca w groszek i wydawał się niczego nie słyszeć. Niesłychane, że ta osoba, którą miała za swoją przyjaciółkę, powiedziała „nasza Lisa” i „trochę puszcza jej nerwy”. Czyżby mama pozwalała gospodyni na takie poufałości?

– Moja mała Lisa – powiedziała Alicja i spojrzała na nią z uśmiechem. – W ogóle się nie zmieniłaś, dziecko. Zawsze uważasz, że jesteś pokrzywdzona.

– Mamo... – upomniał ją Paul.

Alicja machnęła ręką, żeby jej nie przeszkadzał.

– Nadszedł czas, by powiedzieć, jak bardzo się cieszę z twojego powrotu. Zwłaszcza teraz, gdy jest u nas tak pusto.

Spojrzała oskarżycielsko na Paula, który zwiesił głowę w poczuciu winy.

– Jesteś moim dzieckiem, Liso, i jest tutaj dla ciebie miejsce, jak długo będę żyła. A już szczególnie cieszy mnie fakt, że niebawem pojawi się w tym domu nowe życie. Kiedy to będzie, Liso?

Paul zrobił minę, jakby ktoś wylał na niego wiadro zimnej wody. Elisabeth potrzebowała chwili, żeby to wszystko pojąć. A więc mama wiedziała o jej ciąży!

– W... w lutym – wyjąkała Elisabeth. – Skąd o tym wiesz, mamo?

Alicja potrząsnęła głową, jakby to było naprawdę głupie pytanie.

– Moja droga Serafina mi zdradziła – powiedziała, kładąc poufale rękę na ramieniu pani von Dobern.

Śnieg padał tak intensywnie przez całą noc, że Paul postanowił zostawić samochód i pójść do fabryki pieszko. Ostatnio robił to często, ale nie dlatego, żeby naśladować ojca, który używał samochodu tylko w szczególnych sytuacjach – szybki marsz pozwalał mu oczyścić głowę. Ponure myśli, które towarzyszyły mu wczesnym rankiem, rozplywały się dzięki wysiłkowi fizycznemu, zimny wiatr owiewał mu uszy i policzki, a poranna ciemność zmuszała do skupienia się na drodze. Jak zwykle zatrzymywał się potem przy budce portiera, ścigał rękawiczki i witał się z pracownikiem.

– Dobry, Gruber. No i co pan myśli o wyborach do Reichstagu?

Stary portier miał na stole rozłożoną gazetę i podświetlał ją lampą elektryczną. Wytłuszczony nagłówek *Komuniści dostają nauczkę* aż bił po oczach. Paul przeczytał już ten artykuł przy śniadaniu.

– Właściwie to nic, panie dyrektorze – odparł Gruber, unosząc wełnianą czapkę, naciągniętą na czoło. – Nic znowu z tego nie będzie. Mówi się, że gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść. A wiele partii, które walczą przeciwko sobie, zepsuje ten kraj.

Paul popierał Republikę, ale w wielu względach zgadzał się ze zdaniem swojego portiera. Przed dwoma tygodniami prezydent Ebert rozwiązał Reichstag. Dlaczego? Bo posłowie nie potrafili się ze sobą porozumieć. Chodziło o włączenie Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej do struktur rządu, a teraz kłócono się o to, czy kanclerzowi – jak on się nazywał? Ach, tak, Marx – czy podać Marxowi pomocną dłoń. A przy nowych wyborach, jak się zdaje, też się nie uda zebrać kworum.

– Kto właściwie nami rządzi? – lamentował Gruber. – Nie mają na to czasu, bo skaczą sobie tylko do oczu. A gdy już się człowiek przyzwyczai do któregoś rządu, to zaraz przychodzi następny.

– Aż tak źle nie jest, Gruber – uspokajał go Paul. – Przeworsowali plan Dawesa¹¹, negocjują z Londynem, a kilka landów w Zagłębiu Ruhry wyzwoliło się spod francuskiego nadzoru. I od października mamy nowe marki, które do tej pory wydają się walutą stabilną.

Gruber przytaknął, ale Paulowi wydawało się, że robi to tylko z grzeczności. W rzeczywistości stary portier tęsknił za czasami cesarstwa. Tak jak wielu ludzi.

– Zobaczymy, Gruber. Dobrego dnia!

– Dobrego, panie dyrektorze!

Kiwnął głową do dwóch chłopaków, którzy odśnieżali podwórze, i rozpoczął tradycyjny obchód po halach. Produkcja szła pełną parą, a książka zamówień wypełniała się szybko, co odpowiadało dewizie „jakość za rozsądną cenę”. Cieszył się, że Ernst von Klippstein wreszcie zrozumiał jego sposób myślenia o biznesie i wspierał go także w innych kwestiach. Panował między nimi pokój, bo był potrzebny dla dobra fabryki, ale ich dawna przyjaźń została zniszczona. Nie dało się zmienić tego stanu rzeczy, choć Paul żałował, że tak się stało. Czy w ogóle miał bliskich przyjaciół? Na wojnie, gdy żołnierze koczowali wspólnie w okopach, gdy żaden z nich nie wiedział, czy dożyje rana, mężczyźni stawali się swoimi kompanami i przyjaciółmi. Nikt nie chciał, żeby wróciła ta nieszczęsna wojna, ale prawdziwa przyjaźń zdarzała się już coraz rzadziej. Pewnie dlatego, że każdy był zajęty sobą.

Spojrzał na jeden z pierścieni przedziałniczych, który znowu zaczął kaprysić, i zdecydował, że należy go wyłączyć i dać do przejrzenia mechanikowi. Potem oglądał nowy materiał bawełniany, sprawdzał jego wytrzymałość, nadruki i wyraził swoją aprobatę. Wzory, wciąż te stare, sprzedawały się wprawdzie całkiem dobrze, ale nadszedł czas, żeby zaprojektować i wygrawerować bardziej nowoczesne. Nieoczekiwanie przyszła mu do głowy Marie, która wówczas, gdy on był w jenieckim obozie, stworzyła te wszystkie desenie: splątane gałązki i ptaszki. Poczł gwałtowne ukłucie w klatce piersiowej, gdy pomyślał o żonie, a jego twarz wykrzywiła się z bólu. Regularnie zamawiała materiał w fabryce i regulowała należność, co wzbudziło jego złość. Płaciła przecież jego pieniędzmi, bo to on był właścicielem atelier. Zwlekał z dostawami, ale nie odważył się ignorować jej zamówień. Tego by jeszcze brakowało, żeby kupowała u konkurencji.

Powoli robiło się jaśniej, więc elektryczne oświetlenie w halach można było wyłączać. Zimą lampy zużywały wiele energii elektrycznej, a hale musiały być ogrzewane; te koszty zjadały uzyskiwane przychody i straty trzeba było odzyskiwać latem. Pochwalił kierownika działu druku Alfonsa Dintera, skinął wesoło w stronę pracownic przedziałni i poklepał po ramieniu starego Huntzingera. Potem przeszedł przez odśnieżony już dziedziniec i skierował się do budynku administracyjnego. Zajrzał tylko do biura – prowadzenie ksiąg i rachunki należały do obowiązków von Klippsteina – i poszedł szybko na górę. Już w poczekalni wyczuł zapach kawy – taca z filiżanką i ciastkami oczywiście była już dla niego przygotowana.

– Dzień dobry, panno Lüders. Dzisiaj pani sama?

Hoffmann leżała w łóżku z grypą i kazała przeprosić dyrektora. Również pan von Klippstein jest dzisiaj niedysponowany i dzwonił, że przyjdzie dopiero wieczorem. Paul starał się nie okazać gniewu, ale uważał, że „niedyspozycja” to niedostateczny powód, żeby nie pracować całe przedpołudnie. Ale trudno, Ernst musiał się mierzyć z obrażeniami z czasów wojny i należało to zrozumieć.

– A więc dzisiaj my dwoje pełnimy wartość, prawda? – Mrugnął do Lüders, która poczuła się mile połączona i zachichotała głupio.

– Może pan na mnie polegać, panie dyrektorze!

– Wiem to przecież. Poproszę najpierw o moją kawę.

– Oczywiście, panie dyrektorze. Ach, dzwoniła pana siostra.

Zatrzymał się na progu i odwrócił zaskoczony.

– Moja siostra? Pani von Hagemann?

– Nie, nie. Pani Bräuer. Przyjdzie dzisiaj do pana.

Kitty! Wreszcie jakaś dobra wiadomość. Dzwonił kilka razy na Frauentorstraße, ale udało mu się tylko złapać Gertrude. A ta pomstowała, że telefon to wynalazek diabła i tylko jej przeszkadza przy pieczeniu ciasta, ale oczywiście przekaże Kitty jego wiadomość.

– Czy pani Bräuer powiedziała dokładnie, kiedy przyjdzie?

Lüders uniosła ramiona. To pytanie zresztą było zbędne, bo Kitty nie żyła według godzin na zegarze, tylko zgodnie z własnym poczuciem czasu. „Dzisiaj” mogło oznaczać porę obiadu, ale także późne popołudnie.

Zdążył wypić pierwszy łyk kawy, gdy usłyszał z poczekalni wysoki głos swojej młodszej siostry.

– Ach, panna Lüders. Zupełnie się pani nie zmieniła, odkąd odwiedzałam tatę w jego biurze, a wtedy miałam jedenaście czy dwanaście lat. Mój Boże, ale ten czas leci. Paul siedzi za lewymi czy prawymi drzwiami? Ach, już wiem, za prawymi, tam gdzie zwykle siedział tata. Dobrze wykombinowałam?

– Tak, pani Bräuer. Zapowiem panią.

– Nie ma potrzeby. Sama to zrobię. Proszę sobie nie przerywać. Podziwiam panią, że potrafi pani obsługiwać rzędy tych liter, to z pewnością nie jest proste.

Zdążył odstawić filiżankę i wstać z krzesła, a ona już była w biurze. Jak

egzotyczny ptak poruszała się w swoim czerwonym płaszczu z białym futrzanym obszyciem, do tego włożyła buciki z futerkiem i czapkę w dziwnym kształcie, przypominającym ściętego robaka. Te kolory w ogóle mu nie przypominały, że za kilka tygodni będzie Boże Narodzenie.

– Siedź sobie spokojnie, Paul, przyszedłam tylko na chwilę, bo potem idę zaraz do Marca, który sprzedał trzy moje obrazy. Myślisz, że mogłabym dostać kawę? Z cukrem. Bez mleka.

Wziął od niej płaszcz i podsunął jedno ze skórzanych krzeseł, poprosił dla niej o kawę z cukrem i do tego ciastka.

– Bardzo się cieszę, że przyszedłaś, Kitty. Naprawdę, pokładałam w tobie duże nadzieje.

Zrobiła się nagle spokojniejsza, mieszała kawę i spojrzała na niego ze współczuciem.

– Wiem, Paul. Jesteś blady i wyglądasz na niewyspanego. Naprawdę bym chciała pomóc wam obojgu. I spróbuję to zrobić. Ale najpierw muszę ci zmyć głowę, Paul. Bo mam wrażenie, że zupełnie wyłączyłeś swój mózg i w ogóle nie zauważasz, co robisz biednej Marie.

Zaczął się. Przełknął jej słowa w milczeniu i postanowił odłożyć na bok wszystkie osobiste żale. Możliwe, że rzeczywiście było kilka drobiazgów, które zrobił źle. Nie celowo, nigdy nie miał zamiaru urazić Marie. Głupie nieporozumienia, które można wyjaśnić. Ci, którzy stoją z boku, zawsze widzą więcej niż ci, którzy są stronami konfliktu.

– Powiedz mi więc, co Marie ma mi za złe? Czego ona chce? Przeprosiłem. Zostawiłem jej atelier. Do tej pory nie przedsięwziąłem niczego, żeby sprowadzić moje dzieci do willi. Chociażbym mógł.

Kitty upiła duży łyk, odstawiła filiżankę i wytarła usta.

– Powiedziałaś „moje dzieci”?

Wpatrywał się w nią i po chwili zrozumiał.

– Nasze dzieci, jeśli przykładasz taką wagę do słów. Zrobiłem nawet z guwernantki gospodynię, żeby pani von Dobern nie zajmowała się już dziećmi.

Kitty wydawała się nieco zdziwiona.

– Zrobiłeś to z powodu Marie czy po prostu dlatego, że trzymanie guwernantki jest bez sensu, jeśli nie ma dzieci?

– Co to ma do rzeczy? Spełniłem życzenie Marie.

Kitty westchnęła i zdjęła czerwoną czapkę, która naprawdę wyglądała jak odwłok insekta. Potrząsnęła włosami i ułożyła je dłonią. Niewiarygodne, jak wspaniale jej pasowała ta nowoczesna fryzura na boba. Nie znosił takiego uczesania, ale Kitty była do niego wprost stworzona.

– Wiesz co, Paul, dopóki ta kobieta będzie grasowała po naszym domu, ja do niego nie wejść. I jestem prawie pewna, że Marie myśli podobnie.

Zdenerwował się. Dlaczego kobiety są tak uparte? Nie był żadnym entuzjastą tej damy, ale bywała dla mamy ważnym wsparciem. Co Kitty i Marie oczywiście nie interesowało.

– Ale zostawmy na razie kwestię Finki, jak ją miała w zwyczaju nazywać Lisa – kontynuowała Kitty. – Jeżeli jeszcze nie zrozumiałeś, jak bardzo uraziłeś Marie, pozwól, że ja ci powiem: obraziłeś jej matkę. Więcej nawet: znieważyłeś ją i robiłeś sobie z niej żarty. Właśnie tym tak bardzo, bardzo zraniłeś Marie, mój kochany Paulu.

A więc to nazywała „pomocą”. Równie dobrze mógłby się po prostu kłócić z Marie. Ale pod pełnym potępienia wzrokiem siostry nie czuł się dobrze.

– Za to właśnie ją przeprosiłem. Mój Boże, dlaczego nie przyjęła tego do wiadomości?

Kitty potrząsnęła powoli głową, jak to robiła, gdy była dzieckiem.

– Nie rozumiesz, Paul. Czegoś takiego nie załatwia się zdaniem „Ach, ale przecież mi przykro”. Potrzeba czegoś więcej. Marie musiała naprawdę wyrzucić z pamięci sporo z tego, co nasz tata zrobił jej matce i ojcu.

– Cholera, po raz kolejny! – wrzasnął Paul, chwytając rękami głowę. – To już się stało. I to nie była moja wina. Jestem zmęczony tym, że muszę odpowiadać za coś, czego nie zrobiłem!

Zamilkł, bo zdał sobie sprawę, że panna Lüders mogła słyszeć jego podniesiony głos.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziała Kitty łagodnie. – Okropnie kochałam tatę i wiem, że zrobił to wszystko dla fabryki. I przecież nie mógł wiedzieć, że ona umrze. Ale Marie straciła matkę i trafiła do tego wrednego, obrzydliwego sierocińca.

– Przecież o tym wiem – odburknął. – I włożyłem mnóstwo wysiłku, żeby uczynić ją szczęśliwą. Przyrzekam ci to, Kitty. Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko jej matce? Nawet jej nie znałem! Ale nie może być tak, że rodzina

Melzerów zostanie zmieszana z błotem przez tę wystawę. Tyle nie mogę poświęcić dla Luise Hofgartner! Pomyśl o mamie.

Kitty przewróciła oczami. Przecież wiedział, że będą teraz mówić o artystce Luise Hofgartner, musiał się z tym liczyć. Byli w końcu rodziną Melzerów. Kitty jednak niespodziewanie zmieniła temat.

– Nie zauważyłeś, Paul, że od jakiegoś czasu w posiadłości liczy się tylko mama? Mama ma migrenę. Mama nie może się denerwować. Uważaj na słabe nerwy mamy.

A to co znowu? W istocie to nie był dobry pomysł, że chciał na temat swoich problemów rozmawiać z Kitty. Ona jak zawsze była zupełnie nieracjonalna.

– Zdrowie mamy niestety bardzo się pogorszyło, odkąd całe domostwo spoczywa na jej barkach.

– Zabawne – odpowiedziała niewzruszona Kitty. – Wcześniej mama nigdy nie miała problemu z prowadzeniem domu.

– Nie zapominaj, że ona nie jest coraz młodsza.

– I nie zauważyłeś, że mama od początku była przeciwko studiu Marie? Wykorzystywała każdą okazję, żeby sabotować tę sprawę.

– Proszę, zostaw w spokoju te podejrzenia, Kitty. W przeciwnym razie musimy zakończyć tę rozmowę.

– Proszę bardzo – powiedziała chłodno, wymachując stopą. – Przyszłam tylko na twoją prośbę i nie mam za dużo czasu.

Zamilkł i patrzył ponuro przed siebie. Jakby rzucać grochem o ścianę. Do niczego nie doszli. Gdzie w ogóle była droga? On nie chciał żadnej innej, tylko tej prowadzącej do Marie.

– Ach – powiedziała Kitty z lekkim westchnieniem. – Wiem, że Lisa jest znowu w willi. Obie przyjaciółki ze szkolnej ławy, Lisa i Finka, będą razem szczęśliwe i będą wspierać mamę.

Skąd właściwie wiedziała, że Lisa jest od kilku dni w Augsburgu? Lisa sama zadzwoniła na Frauentorstraße? Czy może pracownicy wygadali?

– Lisa ma własne zmartwienia.

– Rozwodzi się, wiem.

Był szczęśliwy, że rozmowa, mimo że niezbyt miła, nadal trwała. Na szczęście Kitty nie chowała urazy tak długo jak Lisa. Łatwo się

denerwowała, ale też szybko jej przechodziło.

– Nie tylko to – powiedział cicho i spojrzał na nią wymownie. – Lisa w lutym urodzi dziecko.

Kitty zrobiła wielkie oczy i wpatrywała się w niego. Tak samo patrzyła wcześniej, gdy podsuwał jej pod nos małego pająka, którego znalazł w krzakach w ogrodzie.

– Nie – szepnęła i mrugnęła powiekami. – To jest... Powiedz to jeszcze raz, Paul, bo wydaje mi się, że się przesłyszałam.

– Lisa jest w ciąży. I to bardzo w ciąży. Jest dwa razy większa, niż była.

Kitty zachichotała, odrzuciła głowę do tyłu, wierzgnęła nogą, jęknęła, westchnęła, niemalże się zakrztusiła i złapała jego rękę tak mocno, że aż go zabolalo.

– Lisa jest w ciąży! – krzyknęła Kitty. – To wspaniale. Och, kochane Dzieciatko Jezus. Jest w ciąży. Będę ciocią. Ale się cieszę!

Musiała złapać oddech, znalazła lusterko i chusteczkę w torebce, wytarła kąciki oczu, a potem rozmazany tusz do rzęs. Gdy malowała się wiśniową szminką, już była opanowana.

– A czyje jest to dziecko?

– Czyje? Jej męża oczywiście.

Poczuł się okropnie naiwny, gdy Kitty spojrzała na niego wymownie. Cóż, on też miał pewne wątpliwości.

– Wiesz, Paulu – mówiła, malując górną wargę. – Gdyby Lisa była w ciąży z Klausem, dlaczego by się z nim rozwodziła?

Milczał, czekając na to, co dalej powie. Pociągnęła szminką dolną wargę, przycisnęła wargę do wargi i obserwowała efekty w lusterku.

– Skoro tak koniecznie chce wziąć z nim rozwód – ciągnęła, zamykając lusterko – to może znaczyć, że nie z nim jest w ciąży.

Oboje milczeli przez chwilę. Zza drzwi dobiegł stukot maszyny, który przerwał dźwięk telefonu. Maszyna ucichła, bo Lüders podniosła słuchawkę.

– A co się dzieje z tym... z tym Sebastianem?

– Masz na myśli pana Winklera?

– Właśnie. Tego, którego zabrała ze sobą do gospodarstwa. Jako bibliotekarza czy kogoś tam. To z pewnością rozegrało się między nimi

dwojgiem.

On też tak przypuszczał. Ale wstrzymywał się z wypowiedzianiem takich podejrzeń. Lisa była zamężną kobietą, musiała wiedzieć, co robi.

– Pan Winkler zwolnił się z posady i wyjechał.

Kitty zrobiła teraz minę przebiegłej lisicy.

– Kiedy?

Spojrzał na nią zirytowany.

– Co?

– Kiedy wyjechał?

– Kiedy? Chyba w maju. Tak, mówiła, że w maju.

Jego młodsza siostra wyprostowała palce i zaczęła liczyć. Policzyła nawet dwukrotnie i pokiwała głową.

– To się zgadza – powiedziała zadowolona. – Ledwie, ledwie, ale się zgadza.

Rozbawił go przebiegły wyraz jej twarzy. Ona sama miała się czasami za bardzo sprytną. I może miała rację.

– Ach, Kitty.

Zachichotała i powiedziała, że mężczyźni zazwyczaj nie są zbyt pojętni w tych sprawach.

– A czy nasz dobry Sebastian wie, co zmajstrował? – zastanawiała się.

– W każdym razie ona nie chce mieć z nim nic wspólnego.

– Ach tak! – zawołała Kitty i pochyliła się, żeby poprawić prawą pończochę. – Lisa potrafi być tak bardzo uparta, Paul. Świat w ogóle byłby lepszy, gdyby niektórzy ludzie nie byli tak strasznymi uparciuchami.

Ku jego największemu zaskoczeniu Kitty zmieniła temat.

– Ja oczywiście przeprowadziłam długą rozmowę z moją kochaną Marie i powiedziałam, co o tym myślę.

Spojrzała na niego ze znaczącym uśmiechem i ledwie się powstrzymała, by nie odpowiedzieć jej złośliwością. Które więc z nich było takie twarde? To Marie była tym uparciuchem.

A jednak. Ale niestety zbyt wiele z tego najwyraźniej nie wyszło. Liczą się jednak dobre chęci.

– Mogę – przede wszystkim dla dobra dzieci – wymusić na niej pewne ustępstwa, Paul. Dlatego, że wkrótce będzie Boże Narodzenie i źle byłoby je spędzać, jakbyście nie byli rodziną.

Nie był tym zachwycony. Co mu po udawanej rodzinnej idylli, jeśli podstawowe kwestie nie ulegną zmianie? Milczał jednak i czekał.

– Dlatego proponuję, żebyśmy w pierwszy dzień świąt wszyscy przyjechali do posiadłości i spędzili ten czas wspólnie.

Co za pomysł! Typowa Kitty!

– A potem z powrotem pojedziecie na Frauentorstraße – odparł ponuro. – Nie, nie będę się bawił w taki teatrzyk. Albo Marie wróci na stałe z dziećmi do willi, albo niech nie wraca wcale. Wyraziłem się jasno?

Kitty odchyliła się na krześle, wzdychając z irytacją, i skierowała wzrok na sufit. Jej nieustające machanie stopą okropnie działało mu na nerwy. Poza tym nie znosił, gdy kobieta siedziała przed nim z założonymi nogami.

– Nie martwisz się o zdrowie mamy? – zapytała go perfidnie. – Nie umożliwisz jej spotkania z wnukami? A fuj, to bardzo niemiłe z twojej strony.

Chciał jej powiedzieć, że pragnie, żeby mama miała wnuki na stałe, a nie na jeden wieczór. To i tak nie miałyby sensu, bo Kitty go nie słuchała.

– Czyli nie interesuje cię też to, co jeszcze powiedziałam Marie.

– Jeśli to jest coś podobnego...

– Wiesz co? – mruknęła. – Czasami mam ochotę oboje was wpakować do skrzyni i potrząsać godzinami.

Domyślił się, że Marie też nie zaakceptowała tego pomysłu na wspólne spędzenie świąt. Ale w końcu musiała się zgodzić. Czy nie byłoby mądrze zrobić krok w jej stronę, zamiast wygłaszać żądania typu „wszystko albo nic”? Ale już to powiedział.

Wzrok Kitty był pełen pretensji i wywoływało to w nim wyrzuty sumienia. Starła się, jego mała Kitty. Na swój własny sposób. Nie miał prawa tym gardzić.

– Powiedziałam jej, że nie ma prawa odbierać dzieci ojcu. Wiem to najlepiej, bo widzę, jak mojej małej Henny brakuje taty. Ale mojego Alfonsa nie ma już na tym świecie. Ty natomiast, mój drogi Paulu, jesteś w pobliżu i możesz się zatroszczyć o Dodo i Lea.

Co ona mówi? Patrzył na nią z powątpiewaniem. Oczywiście, że miała

rację, nawet bardzo. Ale obawiał się, że te przekonania nie doprowadziły jej do wniosków, które on wysnuł: że Marie musi wrócić z bliźniakami do posiadłości.

– Dlatego przedstawiłam Marie pewną propozycję. Hanna będzie przyprowadzać bliźniaki co drugą niedzielę do posiadłości, a wieczorem je odbierać. Będziesz miał wtedy czas, żeby się nimi zająć, zrobić z nimi coś przyjemnego albo po prostu zostawić je przy mamie. Jak wolisz?

Potrzebował chwili, żeby zrozumieć, że jego własne dzieci będą mu wypożyczane dwa razy w miesiącu. To przecież kpiny.

– Och, cóż za zaufanie! – zadrwił. – A co będzie, jeśli je zatrzymam w posiadłości?

Spojrzała na niego z taką wściekłością, że aż wydało mu się to zabawne. Przeszedł jednak nad tym do porządku, bo sytuacja była zbyt złożona.

– Dojdzie do tego oczywiście tylko wtedy, gdy dasz słowo honoru, Paul – powiedziała z wyrzutem.

– Komu? Marie?

– Nie! Mnie!

Prawie się wzruszył. Kitty mu ufała. Wierzyła w jego słowo honoru tak jak wtedy, gdy była dziewczynką i darzyła zaufaniem swojego starszego brata.

– Obietnica to obietnica, nie może zostać złamana.

– Nie podoba mi się to zbyt, Kitty – stwierdził. – Muszę o tym pomyśleć. Ale mimo wszystko ci dziękuję. Wiem, że naprawdę się starałaś.

– I to jak!

Podniosła się zgrabnym ruchem, poprawiła sukienkę i włożyła rękę w rękawy płaszcza, który jej przytrzymał. Potem patrzył, jak nakłada czapkę w kształcie owada, poprawia ją na głowie i chwytą torebkę.

– Ach, Paul – powiedziała i rzuciła mu się w ramiona. – Wszystko się ułoży. Na pewno. Jestem o tym przekonana!

Nie brzmiało to według niego zbyt przekonująco, ale przytulił ją i nie bronił się, gdy całowała go czule w oba policzka.

– Do zobaczenia. Zadzwoń do nas. Porozmawiam z mamą i pozdrów ode mnie Lisę!

Zamknęły się za nią drzwi i już jej nie było. W pokoju został zapach jej

perfum i filizanka po wypitej kawie, na której odcisnęła ślad swojej szminki. Paul wyciągnął chustkę z kieszeni i poszedł do łazienki, żeby wytrzeć ślady pocałunków z policzków. Jest samotna, pomyślał. Odkąd Alfons nie żyje, brakuje jej poczucia bezpieczeństwa. Możliwe, że bywała od czasu do czasu kimś zauroczona, ale to były przelotne historie. A biorąc pod uwagę jej tryb życia, nie pozna raczej nikogo, przy kim będzie się czuła szczęśliwa i bezpieczna. Powinien się o nią zatroszczyć...

Musiał też zadbać o Lisę. O swoją matkę. O fabrykę. O pracownice i pracowników. O willę. O personel.

Jak Marie udawało się godzić to wszystko samej?, zastanawiał się. Musiała być przecież obciążona do granic, a ja to przyjąłem z lekkim sercem, gdy wróciłem z wojny. Postanowił, że rozważy później osobliwą propozycję Kitty, a teraz poświęci się pracy.

Szło mu niespodziewanie dobrze. Około południa pojechał do willi i zjadł obiad z mamą, panią von Dobern i Lisą. O wizycie Kitty nie powiedział ani słowa. Zauważył też, że serdeczna niegdyś przyjaźń między Lisą i Serafiną von Dobern przechodzi teraz kryzys. Miał wrażenie, że konkurują o względy mamy, ale mogło mu się wydawać.

Po południu w fabryce pojawił się von Klippstein, co właściwie nie było dobrym pomysłem. Nabawił się znowu ciężkiego przeziębienia i dokuczał mu uciążliwy kaszel.

– Czasami otwierają się przy tym stare blizny – powiedział Paulowi, krzywiąc twarz w wymuszonym uśmiechu. – Jestem kaleką, Paul. Wrakiem. Nie ma co się czarować.

Paul utrzymywał swoje współczucie w pewnych granicach, bo przypuszczał, że żale Klippsteina są związane również z tym, że nie poszczęściło mu się zbyt na Frauentorstraße. Nie wykazał się natomiast zbyt dużą mądrością, będąc zazdrosnym o tego biednego człowieka. Jeśli ktoś mógł zauroczyć Marie, na pewno nie był to Ernst von Klippstein. Ale on mimo to ciągle robił sobie nadzieję i wyłożył ogromne pieniądze na zakup tych przeklętych obrazów. Co Paul miał mu za złe.

– Ach, co ty mówisz! – powiedział Paul, kładąc mu rękę na ramieniu. – Ja się cieszę, że mogę ci zrzucić na głowę całą tę papierkową robotę, partnerze!

Ernst pokiwał głową, wydawał się nieco pocieszony i podreptał do swojego biura. Rozejm biznesowy. Może nawet wyniknie z tego prawdziwy pokój. Jeśli nie przyjaźń. Paul rzucił się znowu w wir pracy i tuż przed końcem dniówki pozwolił sobie na przemyślenie rozmowy z Kitty. Nie dało mu to

poczucia, że Marie zdecyduje się na szybkie pojednanie. Raczej zanosilo się na rozstanie. A to nie podobało mu się ani trochę. Sytuacja się przeciągała, a oni coraz bardziej się od siebie oddalali. Przerazała go myśl, że Marie mogłaby faktycznie planować rozwód. Wówczas straciłaby jednakże atelier oraz dzieci. A może nie? Czy mogłaby jako rozwiedziona kobieta prowadzić studio? A może razem z Kitty? Jeśli staną przed sądem, nie będzie już żadnej możliwości, żeby do siebie wrócili. To by oznaczało wojnę, a wojna to zawsze najgorszy z wariantów.

Pod wieczór znów zaczął sypać śnieg. Paul poszedł do Ernsta i powiedział, że dzisiaj wcześniej wychodzi do domu. Zabrał płaszcz i wyszedł z fabryki. Tak jak się spodziewał, zimno gryzło w twarz i ręce, ale mimo to ominął bramę prowadzącą do parku otaczającego willę i skierował się do miasta. Dobrze było pokonywać wiatr i zimno, iść dzięki sile własnych mięśni i nie dawać się wyprowadzić z równowagi ani przez zdziwiony wzrok przejeżdżających obok niego kierowców samochodów, ani przez zmarznięte stopy.

Szedł przez Barfüßerstraße, a potem skręcił na Karolinenstraße. Tam zatrzymał się przed witryną sklepową i zdjął kapelusz, żeby zrzucić z niego śnieg. Za nim przemykały pośpiesznie opatulone postacie, większość z nich to byli pracownicy, którzy wracali do domów, żeby cieszyć się wolnym wieczorem. Kobiety miały na głowach wełniane chusty, żeby chronić przed śniegiem kapelusze i fryzury, a mężczyźni bronili się przed śnieżycą, naciągając mocno na głowy kapelusze i czapki.

Paul zrobił kilka kroków do przodu, żeby, stojąc po drugiej stronie ulicy, mieć widok bezpośrednio na Studio Mody Marie. Było jasno oświetlone, ale gęsto padający śnieg i przechodzący ludzie sprawiali, że mógł jedynie niewyraźnie widzieć, co się tam działo. Stał, mrużąc oczy i wpatrując się w migające cienie, nie planował robić niczego więcej. Potem postanowił podejść bliżej. Na drodze było ślisko, o mało nie upadł, w ostatniej chwili przytrzymał się słupa latarni. Stał w miejscu, trzymając się kurczowo zimnego metalu i oddychając gwałtownie. Starał się uspokoić po tym mało znaczącym przecież incydencie. Patrzył na jeden z cieni widoczny w oknie wystawowym i początkowo sądził, że to manekin, ale potem zdał sobie sprawę, że to człowiek. Kobieta. Drobna. Ciemne włosy obcięte krótko. Błada twarz. Oczy wielkie i prawie czarne. Wpatrywała się w niego przez szybę witryny, jakby był istotą z innej planety. Kilka dobrych minut. Klienci przechodzili obok niej, słychać było wysoki śmiech młodej damy i żart wypowiedziany przez jakiegoś mężczyznę. Głosy się oddalały, zanikały, pojawiały się inne. Patrzył jak zaczarowany na Marie, która stała tam –

kobieta z krwi i kości, ale jednocześnie nieosiągalna, oddzielona od niego tą przepływającą ludzką masą i grubą szybą.

Dopiero gdy uczynił mimowolny ruch, puścił latarnię i zrobił kilka kroków do przodu, czar przysł. Marie się odwróciła i poszła na tyły atelier. Nie miał odwagi iść za nią.

[11](#) Powojenny plan gospodarczy, zgodnie z którym niemieckie reparacje wojenne po I wojnie światowej miały być rozłożone na wiele lat, a Niemcom ponadto miano udzielić pożyczek w wysokości 200 milionów dolarów na ich spłatę.

Dlaczego musimy jechać do willi?

– Dlatego że chcemy wspólnie świętować Boże Narodzenie, Leo. Usiądź teraz grzecznie. Nie tam. Przesuń się, żeby zrobić miejsce dla Dodo. Henny, przestań się pchać.

Padał śnieg, a samochód ciotki Kitty miał dach z materiału, w którym były dwie małe dziurki. Leo wgramolił się na lewą stronę tylnego siedzenia i schował zmarznięte dłonie do kieszeni kurtki. Ta okropna futrzana czapka, którą włożyła mu mama, strasznie drapała go w czoło. W ogóle wyglądał w niej głupio, jak syberyjski szop pracz – tak powiedziała babcia Gertrude.

Mama usiadła na tylnym siedzeniu, miała na sobie biały wełniany płaszcz i naciągnęła czapkę na głowę. Widział, że była blada i przygnębiona. Ale głupio. Oprócz ciotki Kitty, która ciągle mówiła, że trzeba, nikt nie chciał jechać do willi. Babcia Gertrude na pewno nie. Co najwyżej Dodo, która przyznała się wczoraj, że bardzo tęskni za tatą. Henny chciała tylko dostać prezenty i ścisnąć się z babcią, a on najchętniej zostałby na Frauentorstraße. Myśl o tym, że znowu spotka panią von Dobern, była mało kusząca. Bardziej jednak bał się ponownego spotkania z tatą. Dlaczego, nie potrafił dokładnie powiedzieć. Może dlatego, że tata znów będzie nim rozczarowany. Tego się nie dało zmienić, mógł robić, co tylko tata chciał, ale on i tak nie był zadowolony. Po prostu mu nie wychodziło. Był jakby fałszywym synem. Może bocian się pomylił i syn taty mieszkał w innej rodzinie? Tamten chciałby tylko oglądać maszyny i bawić się metalowymi klockami, a jego rodzice marzą o synu, który potrafi grać na pianinie i ma głowę pełną dźwięków.

– Nie bądź taki poważny, Leo – powiedziała mama. – Pomyśl, jak piękna musi być ta wielka jodła, która zawsze stoi w holu.

– Tak, mamo.

Zaraz mu powiedzą, że babcia Melzer ogromnie się ucieszy z ich odwiedzin. Leo w to nie wierzył. Gdyby tak bardzo za nimi tęskniła, już dawno przyszłyby z wizytą do nich, na Frauentorstraße. Dużo milej im było z babcią Gertrude. Ona co prawda często przeklinała i przeganiała ich ścierką, gdy podkradali ciasto z kuchni, ale to nie na serio. Tak naprawdę bardzo lubiła, gdy przychodzili do kuchni. Walter też. Lubiła go tak samo jak ich. Przede wszystkim to Leo lubił w babci Gertrude.

– Dostanę też prezent od wujka Paula? – upewniała się Henny. – Czy tylko Dodo i Leo?

Ciocia Kitty nie słuchała, bo samochód znowu nie robił tego, co chciała. Szarpał i syczał, z przodu wylatywała biała para. Jeśli Leo dopisze szczęście, samochód zaraz się zepsuje i nie będą musieli jechać do willi.

– Zawsze to samo z tym moim auteczkiem – westchnęła ciocia Kitty. – Muszę do niego ładnie mówić, trochę go głaskać i przede wszystkim chwalić. Jesteś najlepszy. Potrafisz to zrobić. Jestem pewna, że potrafisz, mój mały.

Leo słuchał z zainteresowaniem. Tata wiedział dużo o maszynach, ale nie miał pojęcia, że one mają duszę. Musiało tak być, bo samochód dał się przekonać cioci Kitty, że musi być dzielny. Zaczął teraz jechać płynnie, w ogóle już nie szarpał. Szkoda! Poza tym przecież wczoraj wieczorem obchodzili Boże Narodzenie. Wigilia była najważniejszym świętem chrześcijan, bo wtedy urodziło się Dzieciątko Jezus. I pasterze przyszli wtedy do stajni, bo wysłał ich anioł. Zabrali ze sobą owcze skóry. I pewnie butelkę mleka. I kilka pierników. Bo Maryja i Józef na pewno byli głodni. W nocy przybyli też królowie. To było oczywiste. Jechali przecież za gwiazdą, której w dzień nie widać.

Wczoraj na Frauentorstraße było bardzo pięknie. Mieli co prawda bardzo małą choinkę, za to mogli ją przystroić gwiazdkami i łańcuchami z papieru, które sami zrobili. Babcia Gertrude miała też srebrne bombki w pudełkach, musieli być bardzo ostrożni, bo były one zrobione ze szkła. Były też kolorowe szklane ptaszki, które można było powiesić na gałązkach. I lameta! Cienkie srebrne nici, zebrane w małe pęki, które mama rozwieszała i mówiła, że teraz jodła wygląda jak zaczarowane, świąteczne drzewko.

Zaprosili Waltera i jego mamę, kilku przyjaciół cioci Kitty i przyszedł też w gości Klippi. On naprawdę nazywa się Ernst von Klippstein, ale wszyscy nazywają go Klippim. Jest trochę śmieszny, zawsze taki sztywny i czasami wygląda tak smutno. Ale przyniósł im cudowne prezenty. Dodo dostała lalkę z prawdziwymi włosami i metalowy samolot. On otrzymał gramofon i trzy płyty szelakowe. Dwie z symfoniami Beethovena i jedną z koncertem fortepianowym Mozarta.

Brzmiało to zabawnie, nie tak jak naprawdę, trochę trzeszcząco. Jakby z oddali. Ale i tak było wspaniale. Puścili te płyty bardzo głośno i ciocia Kitty powiedziała w końcu, że jeśli jeszcze raz usłyszy tę melodię, to chyba wyleci w powietrze. Ciocia Kitty miała przez cały wieczór atak paplaniny. Mięwała je często. Nie mogła przestać mówić i śmiać się. Wszystkim działało to na

nerwy, tylko panowie, którzy przyszli w gości, uważali to za „przeurocze”. Jeden z nich, Marc z blond włosami, odwiózł potem Waltera i jego mamę do domu.

Hanna koło jedenastej odprowadziła ich do łóżek, ale gdy tylko zamknęła drzwi od dzieciennego pokoju i wyszła, Dodo znowu zapaliła światło. Dostała w prezencie książkę *Nesthäkchen*¹², którą bardzo chciała mieć i nie potrafiła się powstrzymać przed jej przeczytaniem. On najchętniej po prostu poleżałby w ciszy, żeby raz jeszcze posłuchać symfonii, tym razem w swojej głowie, ale ponieważ Henny wstała i po cichu zeszła schodami na dół, on też nie chciał leżeć w łóżku.

Na dole w korytarzu słychać było mieszaninę głosów i dźwięków, pachniało pieczeniem i czerwoną kapustą, a także gwiazdkami z cynamonem, które upiekła babcia Gertrude. Henny stała przed drzwiami do salonu i zaglądała przez dziurkę od klucza. Gdy do niej podszedł, też pozwoliła mu zerkać. Widać było gałązkę choinki, na której wisiała srebrna bombka. Świeca była wypalona, pozostał jedynie nikły, niebieskawy ognek. Od czasu do czasu przez salon przechodziła mama i coś sprzątała. Teraz wyglądała na zmartwioną, a wcześniej grała przecież z innymi w „Człowieku, nie irytuj się”¹³. Paplanina cioci Kitty była teraz wyjątkowo głośna, do tego się śmiała i piła szampana z wysokiego, wąskiego kieliszka. Pan Marc i ten malarz z czarną brodą też mówili głośno i wszystko wydawało im się śmieszne.

– Wracaj już do łóżka – powiedział do Henny.

– Nie jestem w ogóle zmęczona. To dlatego, że mama pozwoliła mi się napić troszkę szampana. Smakuje niebiańsko i tak łaskocze, jakby się miało w buzi tysiąc komarów.

Fuj, diabelstwo. Z takich smaków on chętnie zrezygnuje. Potem oboje musieli wycofać się na schody i przycupnąć na górze, bo Hanna wyszła z kuchni na korytarz. Trzymała w ręce karteczkę i szła z nią w stronę telefonu, który stał na małej komodzie. Henny przewróciła oczami.

– Hanna nie może dzwonić. To jest telefon mamy!

– Pssst!

Hanna podniosła słuchawkę i pokręciła korbką. Mówiła półgłosem:

– Panienko? Proszę o połączenie z Berlinem. Numer...

To zabawne, że Hanna dzwoniła do Berlina. Nawet ciocia Kitty tego nie robiła. Czasami rozmawiała tylko z kimś z Monachium. Z innej galerii. Albo z ciocią Tilly. Ale bardzo rzadko. Bo rozmowa przez telefon dużo kosztowała.

Dzieci i personel nie mogli w ogóle telefonować. Przynajmniej tak było w willi. Tylko pani von Dobern, ta stara wiedźma, dzwoniła mimo zakazu.

– Humbert? – mówiła Hanna, stojąc na dole w korytarzu. – Humbert, jesteś tam? Cieszę się bardzo... To ja, Hanna...

– Kto to jest Humbert? – szepnęła do niego Henny.

Nie wiedział dokładnie. Słyszał to imię, ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie i od kogo.

– Hanna ma pewnie przyjaciela – szeptała dalej Henny. – Jakie śmieszne imię!

– Pssst!

Hanna miała dobry słuch. Mimo hałasu, który panował w salonie, i krzątania babci Gertrude w kuchni, usłyszała szept Henny. Odwróciła się i spojrzała w stronę schodów, ale światło było zgaszone i nikogo nie zobaczyła.

– Nie wolno ci tego robić, Humbercie. Do tego nikt nie ma prawa poza samym Bogiem. Musisz być cierpliwy.

Niczego konkretnego nie można było wyłowić z tej rozmowy. Henny była rozczarowana. Prawdopodobnie miała nadzieję, że Hanna będzie mówić o miłości i pocałunkach. Dziewczyny takie już były.

– Nie, nie. Jeśli jest tak źle, zapytam Fanny. Tak, zrobię to. I wyślemy ci pieniądze, Humbercie. Nawet jeśli tego nie chcesz.

Robiło się coraz bardziej tajemniczo. Leo poczuł wyrzuty sumienia, że potajemnie podsłuchiwał Hannę. Była teraz okropnie zdenerwowana i przyciskała słuchawkę do ucha tak mocno, aż jej policzek posiniał. Henny niespecjalnie przejmowała się swoim sumieniem, skonsternowana potrząsnęła głową.

– To jest przecież głupie. Dlaczego nie chce pieniędzy, jeśli one mają zamiar mu je wysłać?

Chętnie by już wrócił do pokoju, ale się bał, że podłoga może trzeszczeć i Hanna odkryje ich oboje. Stał więc obok Henny, przyczajony na schodach, i czekał, aż Hanna skończy mówić. Włosy Henny w kolorze jasnego blondu były zmierzwiłone, bo Hanna nie włożyła jej na noc czepka. Miała na sobie koszulę nocną, którą uszyła jej mama i która pachniała jak świeżo wyprana rzecz. Usłyszał w swojej głowie melodię C-dur, delikatną, ale bardzo wyraźną. Henny była zdecydowanie osobą typu C-dur. Jasna i energiczna,

niebieska, twarda i nieco zabawna. Gdy wreszcie mogli wrócić do pokoju dzieciennego, szybko wskoczył pod kołdrę i natychmiast zasnął.

– No to jesteście! – zawołała ciotka Kitty. – Patrzcie no, Else stoi przy drzwiach, a Julius już po nas wychodzi. Ho, ho!

Samochód lekko szarpnął, potem puknął i silnik zgasł.

– Znowu go przyduś! – powiedziała Dodo. – Musisz wyłączyć bieg, zanim zdejmiesz nogę ze sprzęgła.

Leo był zdumiony wiedzą Dodo. On sam nie miał najmniejszego pojęcia, jak i dlaczego samochód jedzie do przodu, i było mu to zresztą obojętne. Ciocia Kitty odwróciła się do tyłu i powiedziała nieuprzejmie, że następnym razem to Dorothea Melzer, słynna pani pilot, przejmie kierownicę.

– Naprawdę? – rozpromieniła się Dodo. – Mogę jechać autem?

W niektórych sprawach jego siostra była dość naiwna. Ciocia Kitty przewróciła oczami, a mama wytłumaczyła spokojnie, że Dodo uzyska pozwolenie na jeżdżenie samochodem, dopiero gdy skończy trzynaście lat.

Julius otworzył drzwiczki pasażera z przodu i pomógł babci Gertrude przy wysiadaniu, a potem razem z Else i Gertie zanieśli na górę wszystkie prezenty. Szli kolejno – mama zamykała pochód.

A więc to była ta wielka choinka. Stała potężna w holu wejściowym, ozdobiona czerwonymi bombkami oraz brązowymi piernikami, i pachniała Bożym Narodzeniem. W zeszłym roku tata i Gustav ścięli jodłę w parku i wszyscy pomagali przy jej wnoszeniu. Leo pamięta to jeszcze dokładnie, bo pobrudził przy tym palce lepłą żywicą o silnym zapachu – nie dało się jej zmyć wodą z mydłem. Przeszkadzało mu to w graniu, bo palce lepiły się do klawiszy.

– No co? Podoba ci się nasza jodła?

Prawie podskoczył, bo był tak zamyślony, że nie zauważył zbliżającego się do niego ojca.

– T... tak. Ona jest... jest bardzo duża.

– Nie większa niż zazwyczaj. W tym roku kazaliśmy ją przywieźć. Pochodzi z królestwa drzew w Derching.

– Tak.

Nie przychodziło mu do głowy nic więcej, co mógłby powiedzieć. Badawczy wzrok ojca go paraliżował. Tak było często. Tata go o coś pytał,

a on nagle miał pustkę w głowie.

– Wujek Paul! – pisnęła Henny. – Mama powiedziała, że dostanę od ciebie prezent.

Tata odwrócił się do niej z uśmiechem i Leo poczuł ulgę. Z jaką łatwością Henny wywoływała uśmiech na ustach taty. Ona po prostu coś mówiła i to wystarczało. On natomiast...

– Będziemy spędzać święta tutaj na korytarzu czy może pójdziemy w cieplejsze miejsce? – zapytała babcia Gertrude, od której Gertie wzięła płaszcz i kapelusz.

– Ależ droga pani Bräuer, czy mogę wziąć panią pod rękę? – zabrzmiał znajomy głos.

Leo rozpoznał go od razu, a Dodo i Henny momentalnie podskoczyły. To była pani von Dobern. Leo zeszywniał, Dodo zmarszczyła brwi i wydawała się nastawiona bojowo, a Henny wydeła usta, które przypominały teraz czerwone, lekko pęknięte wiśnie.

– To bardzo miłe, pani von Dobern – odpowiedziała głośno babcia Gertrude. – Ale nie jestem jeszcze tak niedołązna, żebym musiała być prowadzona po schodach.

Babcia Gertrude nie przebierała w słowach. Leo uwielbiał ją teraz jeszcze bardziej. Gdy szedł obok Dodo na pierwsze piętro, słyszał za sobą głos taty. Brzmiał teraz inaczej. Jakby się bał powiedzieć coś niewłaściwego.

– Dzień dobry, Marie. Cieszę się, że cię widzę.

Odpowiedź mamy też brzmiała dziwnie. Tak sztywno i obco.

– Dzień dobry, Paul.

Nic więcej nie powiedziała, widocznie nie cieszyła się, że widzi tatę. Leo wyczuwał panujące między nimi napięcie. Jakby ciemną zasłonę. Albo ciężką, szarą chmurę. Trochę, ale tylko trochę, było mu żal taty.

Na górze w jadalni czekała na nich babcia Melzer. Musieli się ustawić w rzędzie, żeby ją pocałować na przywitanie. Leo i tak uważał to za mało przyjemne, ale najgorsze było, że babcia płakała. Wytarł niezauważenie swój wilgotny od jej łez policzek i cieszył się, że może wreszcie usiąść na swoim miejscu. Gdy spostrzegł, że musi siedzieć między tatą i panią von Dobern, nie cieszył się już ani trochę. Wiedział, że będzie to straszny dzień, ale nie przypuszczał, że będzie aż tak okropnie. Dodo też nie była zachwycona, bo usadzono ją pomiędzy babcią Melzer i panią von Dobern. Tylko Henny jak

zawsze miała szczęście, bo siedziała obok mamy i babci Gertrude. Gdyby chociaż Hanna była z nimi, ale ona została na Frauentorstraße. Julius, który przynosił jedzenie, miał minę, jakby nic mu się nie podobało, i tylko Gertie, która pomagała przy sprzątaniu naczyń, puszczała do nich oko. Było przerażająco sztywno. Tylko ciocia Kitty miała jeden atak paplaniny za drugim i czasami mówiła też pani von Dobern. Mama i tata siedzieli naprzeciwko siebie na końcu długiego stołu, oboje milczeli i nie patrzyli na siebie. Szkoda, że nikt przy stole nie cieszył się, tak jak powinien, wspianiałym jedzeniem, które przyrządziła Brunnenmayer.

– Ależ wyrosliście! – powiedziała gruba pani, która siedziała obok cioci Kitty. – Poznajecie mnie? Jestem waszą ciocią Lisą. Siostrą waszego taty i cioci Kitty.

Dodo odpowiedziała uprzejmie, że sobie przypomina. On natomiast był pewien, że nigdy w życiu jej nie spotkał. To miała być siostra cioci Kitty?

– W ogóle nie jest pani podobna do mojej mamy – powiedziała Henny z rozbrajającym uśmiechem. – Bo jest pani bardzo gruba.

– Henriette! – upomniała ją pani von Dobern. – Tak nie mówią dobrze wychowane dziewczęta.

– Ciocię Lisę niedługo odwiedzi bocian – rzuciła szybko Kitty. – I będziecie mieć kuzyna albo kuzynkę.

– Ach – odparła Henny niezbyt zachwycona. – Jeśli to będzie kuzynka, będzie mogła spać w moim samochodzie dla lalek.

– To wspianiałomyślne z twojej strony, Henny – powiedziała poważnie ciocia Lisa.

Leo miał nadzieję, że to będzie kuzyn. W tej rodzinie było za dużo kobiet. Dlaczego bocian zawsze przychodził do grubych pań? Tak jak do Auguste.

Kiedy ciocia Lisa weszła do jadalni, wyglądała jak wielka filiżanka do kawy. Nie była jednak zła, spoglądała na niego i kiwała głową. Zapytała nawet, czy nie zagrałby później czegoś na pianinie, ale jego cicha odpowiedź zniknęła zupełnie pośród gadaniny cioci Kitty.

Po jedzeniu wszyscy poszli do czerwonego salonu, w którym stała na stole ozdobiona mniejsza choinka. Pod nią leżało wiele zapakowanych pudełek – prezenty. Dodo dostała lalkę, która zamykała oczy i miała porcelanowe ręce i nogi. Gdy się nimi poruszało, bardzo trzeszczały. Do tego szafę dla lalek z różnymi ubraniami w środku i tornister dla tej biednej lalki. Henny została obdarowana przyrządami do malowania oraz wieloma książkami

o malarstwie. On natomiast dostał przerażające czarne urządzenie z metalu, które miało wysoki komin i wyglądało jak duża skrzynia z deklek z miedzi. Wszędzie były korby, drzwiczki i szybry, dwie grube szyny prowadziły od dużego metalowego koła, poprzez mniejsze, aż do małego młotka, który był przymocowany do stolika z metalu.

– Maszyna parowa! – krzyknęła Dodo z zazdrością. – Tutaj musisz puścić wodę, a tu się robi ogień. Wtedy zaczniesz wrzeć, a para wypchnie tłok w górę. A gdy wlejesz zimną wodę, tłok znów opadnie.

Leo stał bezradnie przy tym czarnym tworze i czuł na sobie rozczarowany wzrok ojca. Nie, nie potrafił niczego zrobić z tą rzeczą. Nawet gdy próbował zrozumieć, jak to działa, nie wychodziło. Gdyby to było pianino, to owszem. Wtedy mógłby tacie wytłumaczyć, jak muszą się poruszać małe młoteczki, żeby uderzały w struny.

– Tato – zawołała Dodo. – Możemy włączyć tę maszynę?

– Nie, Dodo, ona należy do Lea.

– Ale Leo jej nie chce. Ja ją chcę, tato. Wiem, jak ona działa.

Leo już widział, jak tata się krzywi. Był wściekły, dobrze to znał.

– Ty dostałaś lalkę, Dodo – powiedział tata ostrym tonem. – Bardzo drogą lalkę, którą babcia kupiła specjalnie dla ciebie.

Dodo chciała odpowiedzieć, ale pani von Dobern była szybsza.

– Niewdzięczność jest grzechem, Dorotheo! Przede wszystkim dzisiaj, w dniu, w którym nasz Pan, Jezus, urodził się biedny i goły w stajence. Powinnaś się cieszyć, że masz rodziców i dziadków, którzy cię tak wspierałomyślnie obdarowują.

– Amen! – krzyknęła babcia Gertrude z sofy.

Przez chwilę było cicho i Leo czuł, że nastrój zepsuł się na dobre. Tata patrzył rozgniewany przed siebie, mama, zupełnie nieobecna, spoglądała na zaśniewany park. Ciocia Kitty zaczerpnęła powietrza, żeby przełamać tę ponurą ciszę, ale najpierw usłyszeli głos cioci Lisy:

– Mój Boże, Paul. Dziewczynka wie, jak funkcjonuje maszyna parowa, a ty ją za to ganisz?

– Liso – upomniała ją babcia Melzer. – *Pas devant les enfants!*¹⁴.

– Powinniśmy po prostu zamienić prezenty – zaśmiała się ciocia Kitty. – Dodo dostanie maszynę parową, a Leo damy lalkę!

Leo był szczęśliwy, że nikt nie śmiał się z tego głupiego żartu. Tata patrzył i musiał się zastanawiać, jak uratować sytuację. W stronę mamy spojrzął bardzo szybko, ale tym razem znalazł moment, gdy ona też na niego zerknęła. Oboje patrzyli na siebie, jakby ich przyłapano na gorącym uczynku, na jakiś czas zawiesili na sobie wzrok, a potem mama odwróciła oczy, a tata spojrzął w inną stronę.

– No dobrze – powiedział. – Jeśli będziemy mieli potem czas, uruchomię maszynę, a kto będzie chciał mi pomóc, tego bardzo zapraszam.

Spojrzął przy tym na Lea, jakby chciał powiedzieć: to jest twoja ostatnia szansa, synu. Dodo przycisnęła lalkę do siebie i zaczęła szarpać jej bluzkę z koronki, a Henny wykorzystała okazję, żeby dorwać się niezauważenie do marcepanowych ziemniaczków.

Żeby już znowu byli na Frauentorstraße! Tutaj w willi było po prostu strasznie! Ale zapowiadało się, że czekały na nich jeszcze kolejne okropności.

– Dość siedzenia w pokoju – powiedział tata z przesadną wesołością. – Idziemy teraz do parku.

Spacer po parku. Przypuszczalnie z panią von Dobern. Leo spojrzął z niepokojem na Dodo, a Henny z buzią pełną marcepanu oświadczyła, że jej w parku marzną stopy i ona woli zostać tutaj.

– Jak sobie życzysz, moja panienko – powiedział tata.

Dodo i on oczywiście musieli iść. Mama chciała porozmawiać z ciocią Lisą, a ciocia Kitty nie miała ciepłych butów, więc obie zostały na górze w czerwonym salonie. Obie babcie siedziały obok siebie i oglądały album ze zdjęciami. Tylko pani von Dobern chciała pójść z nimi. Jakżeby inaczej!

Na dole przy drzwiach do kuchni stała pani Brunnenmayer. Gdy Leo zobaczył jej uśmiechniętą twarz, od razu zrobiło mu się lepiej. Dodo pobiegła do Brunni i rzuciła się jej na szyję.

– Dorothea! – krzyknęła zdenerwowana pani von Dobern.

Tata jednak się ucieszył i uśmiechał, więc musiała zamilknąć.

– Tak, chłopcze – powiedziała Brunni. – Ale urosłeś. I wyładniałeś. Jesteś coraz ładniejszy. Grasz jeszcze na pianinie? Ach, brakuje nam tego, że nie możemy już słuchać twojej gry.

Pogłaskała go swoją pulchną ręką po włosach. Było to bardzo miłe, mimo że jej ręce pachniały cebulą i selerem. Ze względu na Brunni żałował, że tutaj nie mieszka. Tata zaczął naciskać, żeby już szli.

Zbiegł po schodach tak szybko, że pani von Dobern ledwie mogła nadążyć. Na dole, na dziedzińcu było niewiele śniegu, bo Julius go odgarnął, ale park był cały pokryty białym puchem, dróżki też były całkiem zaśnieżone.

– No już! Biegniemy aż do domku ogrodnika!

Co ten tata wymyślał! Skakał przez śnieg, który sięgał im prawie do kolan, i od czasu do czasu się do nich odwracał. Wydawało się, że zupełnie mu nie przeszkadza, że pani von Dobern ciągle pozostawała z tyłu. Dodo dobrze się bawiła, wskakiwała w ślady taty i chichotała, bo nie mogła go dogonić. Leo natomiast włożył ręce do kieszeni i szedł przed siebie zobojętniały.

– Dalej! Nie poddawać się! Tutaj pod jałowcem czeka niespodzianka.

Oby tylko nie kolejna maszyna parowa, pomyślał Leo, spoglądając na rozległy, zielony jałowiec. Czy to nie są ślady stóp? Tak, tędy szli ludzie.

Wtedy na nich wyskoczyli. Ich kurtki były całe w śniegu, Liesl miała na głowie czerwoną czapkę robioną na drutach, a Maxl zgrabne nakrycie głowy z klapkami na uszy. Też chciałby takie mieć. A Hansl był tak grubo opatulony, że od razu upadł w śnieg.

– HUUURA! Niespodzianka! Radosnych świąt!

Cała trójka podskakiwała i machała, dopadła do nich, a potem wszyscy stali obok siebie, śmiali się, chichotali, ciesząc się, że się widzą.

– Pokaż mi swoje włosy – Dodo rozkazała Liesl. – Oj, są całkiem krótkie. A mama chce, żebym ja nosiła te głupie warkocze.

Maxl mówił, że na Boże Narodzenie dostał dwa blaszane auta i stację do tankowania, a Hansl wspomniał coś o sklepie. Leo bąknął, że podarowano mu maszynę parową, bo było dla niego oczywiste, że ani Maxl, ani Hansl nie będą pod wrażeniem gramofonu i płyt szelakowych. Liesl miała już dwanaście lat, a więc była cztery lata starsza od niego. Wyglądała zupełnie inaczej niż jej mama, Auguste. Była szczupła, a jej włosy w kolorze ciemnego blondu mocno się kręciły. Miała podłużną twarz i małe usta, które układały się w serduszko. Podobało mu się, że jest zawsze taka urocza i łagodna, dlatego denerwowało go, gdy bracia jej dokuczali.

– A co tobie przyniosło Dzieciątko Jezus? – zapytał Liesl.

– Sukienkę i kurtkę. Nowe buty. I dwie haftowane chusteczki.

Chciał jeszcze zapytać, czy nie dostała jakiejś zabawki, ale śnieżna kula trafiła w jego czapkę i zerwała mu ją z głowy.

– Hej! – krzyknęła Dodo. – Czekaj, Maxl, zaraz ty oberwiesz!

Teraz wszyscy się pochylili, lepiąc śnieg i formując go w kule. Dodo złapała Maxla za ramię, Liesl trafiła Dodo w rękę, Leo wykonał idealny rzut prosto w brzuch Maxla. Śnieżki fruwały tu i tam, a oni krzyczeli, złościli się, Dodo wrzeszczała, bo śnieżna kula wpadła jej za kołnierz, a Liesl śmiała się z Lea, który nie trafił w cel. Hansl był najlepszy z nich wszystkich w unikaniu uderzeń śnieżnymi kulkami, po prostu padał na śnieg.

– Ależ dzieci! – słychać było głos pani von Dobern. Nikt się tym nie przejął. Pac! – Leo dostał śnieżką w policzek. Zabolało. Wytarł śnieg i zobaczył, że to tata w niego rzucił. Śmiał się, ale nie złośliwie. Nie był zły. Uśmiechał się łobuzersko. Tak jak kiedyś do mamy. Leo pochylił się i ulepił kulę. Jego ręce były zimne i poruszał nimi jak soplami lodu. Spojrzał na tatę, który go obserwował. Wciąż się uśmiechał. No dobrze, dawaj. Sprawdźmy, czy we mnie trafisz. Stoję tutaj i nie ruszam się z miejsca. Pierwszy rzut był nietrafiony. Przy drugiej próbie trafił Hansla w szyję, więc znów ominął cel. Potem wreszcie trafił tatę w klatkę piersiową. Schylił się, żeby zrobić nową śnieżkę, i wtedy zaatakowali go we troje, z Dodo i Maxlem.

– Łobuzy! – śmiał się tata. – Wszyscy na jednego? Czekać!

Latały białe kule, a oni krzyczeli, śmiali się, jęczeli i w końcu stanęli zmęczeni z czerwonymi policzkami i lodowatymi palcami. Wtedy Leo to usłyszał. Cichy dźwięk. Dzwony. Co najmniej cztery. W regularnym metrum, kołyszące, drżące, radosne D-dur. Słychać też było śnieg, skrzywienie, skrzywienie, cichy syk i ślizganie się czegoś po śniegu.

– Dzieciatko Jezus – powiedziała Dodo z przejęciem.

Maxl zaczął się śmiać, a Liesl odwróciła się w stronę willi, gdzie było teraz dobrze widać osobliwy pojazd. Koń ciągnął wóz. Nie – sanie!

– To jest nasz tata! – krzyknęła Liesl. – Naprawił stare sanie. I możemy wszyscy na nich jechać!

Stare sanie! Widzieli je wielokrotnie w szopie, stały tam i rdzewiały. Były czerwone, siedzenia miały ze skóry, ale mocno podniszczone, a długie płozy były brązowe od rdzy.

– No i? Pozytywnie zaskoczeni? – zapytał tata.

I to jak! Gustav Bliefert stanął przy nich i widać było, że jest ogromnie dumny, że naprawił sanie. Wszyscy wsiedli, tata też, a na końcu pani von Dobern, która uśmiechała się w wymuszony sposób. Prawdopodobnie było jej zimno, jej płaszcz nie był zbyt gruby, a buty nieocieplone futrem.

– Jaki cudowny pomysł miał wasz tata! – powiedziała. – Henny na pewno

będzie smutno, że jej tutaj nie było.

Właściwie Leo całkiem podobała się wizja, że Henny stoi teraz na górze przy oknie w willi i patrzy na nich z zazdrością. Zrobili dużą trasę. Koło domku w ogrodzie, z którego komina leciał dym, a Auguste stała z małym Fritzem na rękach w oknie i im machała. Mijali świerki i jałowce, które pod białym obciążeniem wyglądały jak grubiutkie krasnale. Potem wokół willi, przez łąki, prawie do bramy i przez długi podjazd, między nagimi ośnieżonymi drzewami, aż do klombu na dziedzińcu. Leo wsłuchiwał się cały czas w dźwięki dzwonek i rytm uderzeń końskich kopyt. W jego głowie znów gościła muzyka: wiele akordów, brzmiących jednocześnie, jakieś hałasy, czasami także całe melodie. Na podwórku płozy zaczęły trzeszczeć i skrzypieć, bo było tu zbyt mało śniegu. Widać było tryskające spod nich kolorowe iskry. Na schodach czekały na nich babcia Gertrude i babcia Melzer opatulone w futra. Ciocia Kitty też chciała się przejechać saniami.

– Ach, Paul! – zawołała zachwycona. – Pamiętasz, jak jechaliśmy tymi saniami przez las? Zawołałam do nas na sanie Marie. Ty i mój biedny Alfons powoziliście razem.

Tata zszedł, żeby zrobić miejsce, a oni we troje się ścisnęli. Hansl musiał usiąść na kolanach babci Gertrude. Henny nie przyszła, zjadła za dużo marcepanu i zrobiło się jej niedobrze. Leo wcale się nie zdziwił, że nie jechała z nimi ciocia Lisa, biedny koń chyba nie wytrzymał jej ciężaru. Było mu jednak przykro, że nie przyszła mama.

Później, gdy już się pożegnali i znowu siedzieli w samochodzie cioci Kitty, Henny znów była w dobrym nastroju.

– Mogę zabrać swoje prezenty – chwaliła się. – Ale wujek Paul powiedział, że wasze zostają w willi. Możecie się nimi bawić tylko wtedy, gdy go odwiedzicie!

Dodo było przykro, bo maszyna parowa bardzo jej przypadła do gustu. Tata zaniósł ją do pokoju dziecinnego i wprawił w ruch, ale zaraz musieli iść, bo zrobiło się późno. Lalka nie była ważna dla Dodo. Leo pragnął tylko jak najszybciej usiąść do pianina, bo musiał zagrać dźwięki, które wirowały mu w głowie. Przynajmniej chciał spróbować to zrobić. Chociaż dla większości z tych dźwięków brakowało odpowiednich klawiszy.

¹² Jedna z części dziesięciotomowej serii książek Else Ury. W Polsce *Nesthäkchen* funkcjonuje pod oryginalnym tytułem, można go przetłumaczyć jako „Beniaminek”.

¹³ Niem. „Mensch ärgere dich nicht”, popularna w Niemczech gra planszowa.

¹⁴ Franc. Nie przy dzieciach!

Styczeń 1925

Szanowny Panie Winkler,

wyniósł się Pan bez pożegnania, dlatego w ostatnich miesiącach zadałam sobie trochę trudu, by ustalić Pana aktualne miejsce pobytu. W jakim celu? Pański brak zainteresowania gospodarstwem von Maydornów i moją osobą jest jasny – nie jestem kobietą, która ugania się za mężczyzną. Bez wątpienia znalazł Pan sobie miejsce w życiu, które Panu odpowiada. Jestem pewna, że jest Pan znakomitym nauczycielem i wychowawcą młodzieży, wynika to z Pana talentu oraz badań, które prowadził Pan nad minionymi epokami i historią naszej ojczyzny.

Lisa odchyliła się na krzesło i włożyła pióro do kałamarza. Nie była zadowolona z tego, co przeczytała, potrząsnęła głową i zaczęła wprowadzać poprawki: „wyniósł się” było zbyt ostre, pisała przecież o swojej konsternacji, a nie o gniewie. Nie powinien odnieść wrażenia, że ten list jest rodzajem rozrachunku. Chciała się wydać uprzejma i opanowana. Nie ściagała go. Nie pisała też nawet po to, żeby robić mu wyrzuty. Była już ponad to. Teraz chodziło tylko jeszcze o...

Po co ja właściwie wspominam o jego talencie?, pomyślała i mocno przekreśliła ostatnie zdanie. Przecież nie miała zamiaru mu schlebiać. Tego by jeszcze brakowało. Po wszystkim, co jej zrobił ten tchórz!

Wstała i gdy zaczęła wkładać spódnicę, zauważyła, że ledwie ją dopięła. Jakie to straszne. Czuła się ciężka jak z ołowiu i nieruchoma niczym królowa pszczoł. Była połowa stycznia, ta męka miała się już niebawem skończyć. Co prawda bardzo bała się porodu, ale powtarzała sobie, że jakoś przez to przejdzie, w końcu porody towarzyszyły ludzkości od zawsze. Najważniejsze było zdrowe dziecko, nieważne, chłopiec czy dziewczynka. A potem zrobi wszystko, żeby odzyskać figurę. Przede wszystkim to. Przecież nie ma w co się ubrać, a buty też na nią nie pasują, tak ma spuchnięte stopy.

Mimo że była już szósta po południu i na zewnątrz panowała ciemność, odsunęła zasłony i otworzyła okno. Natychmiast poczuła nocne, chłodne powietrze i wdychała je głęboko. Maleńkie płatki śniegu osiadały na jej rozpalonej twarzy i wraz z oddechem wlatywały do nosa, łaskocząc ją. Ach, ale było mroźno na zewnątrz. W fabryce MAN jeszcze pracowano, a odległe

światła przedsiębiorstwa rzucały blask na drzewa i pokryty śniegiem plac parkowy, tak że można było rozpoznać niektóre kształty. Po śniegu skakał zając, potem kolejny. Robiły stójki, wpatrywały się w siebie, potem podskakiwały i dawały drapaka pod pobliskie świerki. Inne przykucały i kopały w śniegu.

Zawiązała mocniej szlafrok i pochyliła się lekko. Na pokrywie śnieżnej, w której tonął teraz taras, zaczęło tańczyć żółte światło. Aha, zaświecono lampę w holu. Prawdopodobnie to Brunnenmayer już przygotowywała na jutro śniadanie, a Julius czyścił zimowe buty państwa. Westchnęła. Serafina już nieraz jej mówiła, że Dörthe jest strasznie niezdarna i do niczego się nie nadaje. Najlepiej byłoby odesłać ją na Pomorze.

Prawdopodobnie miała rację, ale Lisa mimo to uważała, że należy dać dziewczynie szansę. Uparcie broniła tego przekonania, bo przeciwstawianie się Serafinie sprawiało jej przyjemność.

Zrobiło jej się zimno, więc zamknęła okno i przeniosła się pod piec kaflowy, w którym Gertie napaliła wieczorem rozżarzonymi brykietami. Jak przyjemnie było oprzeć obolałe plecy o ciepły piec i poczuć cudowne bezpieczeństwo. A w willi, Bóg jej świadkiem, nie doświadczało się go często. Wręcz przeciwnie – czuła się samotna i zostawiona sama sobie. Paul był zajęty swoimi problemami małżeńskimi, mama wiecznie cierpiała z powodu migreny i większość czasu spędzała w łóżku, a Serafina, jej serdeczna przyjaciółka, na której obecność tak się cieszyła, realizowała tutaj własne cele.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, droga Liso, jak niewdzięczna jest nasza ojczyzna wobec swoich wojennych bohaterów. Gorliwie się stara, żeby ofiarę tych żołnierzy, którzy w obronie narodowego honoru przelali krew i poświęcili życie na polach bitew, zakopać w błocie i zapomnieć.

Cóż, w tym względzie mogła Serafinę zrozumieć. Jej ojciec pułkownik von Sontheim poległ w Rosji, jej młodszy brat i mąż też zginęli. Armin von Dobern był porucznikiem – bohaterskiej śmierci doświadczył we Flandrii. Świadczenia dla wdów po żołnierzach nie były wysokie, a Serafina musiała pomagać nie tylko matce, ale też teściom, którzy stracili majątek w czasie inflacji. Nikogo więc nie mogło dziwić, że była rozgoryczona. Ale czystą bezczelnością było to, jak stawała między nią i mamą. „Twoja mama potrzebuje teraz spokoju, Liso. Jeśli coś ci leży na sercu, możesz to powiedzieć mnie”. „Twoja kochana mama ma teraz przedobiednią drzemkę. Nie możesz jej pod żadnym pozorem przeszkadzać”. „Dałam twojej mamie środki uspokajające, wiesz przecież, że nie może się denerwować”. Lisa

chciała wiedzieć, co tak naprawdę Serafina ciągle podawała jej matce. Tutaj szklaneczka, tam kilka kropli na kostkę cukru, „napój nasenny”, żeby spokojnie przespła noc.

– To jest waleriana, Liso, zupełnie nieszkodliwa. Znali ją już starożytni Rzymianie.

Lisa sama często używała waleriany w lazarecie, wpływała uspokajająco na żołnierzy, gdy cierpieli lęki i bóle. Zapach był trudny do pomylenia. Od początku ciąży Lisa miała jednak spuchnięty nos i może dlatego nie potrafiła rozpoznać zapachu waleriany w „napoju nasennym” Serafiny.

– Dlaczego mama nie może się denerwować? Dolega jej serce?

Przenikliwy i „wszystkowiedzący” uśmiech Serafiny sprawił, że włoski na rękach Elisabeth stanęły dęba.

– No wiesz, Liso, twoja mama nie jest już najmłodsza, więc i serca nie ma jak za młodych lat.

– Mama ma sześćdziesiąt siedem lat, a nie osiemdziesiąt siedem.

Serafina nie przyjmowała sprzeciwu. Sześćdziesiąt siedem lat to słuszny wiek w dzisiejszych czasach.

– Twój biedny tata zmarł właśnie w takim wieku. Nie zapominaj o tym, Liso.

– Z pewnością o tym nie zapomnę, Serafino!

W istocie nie dało się jej przegadać, ale poczekaj, jeszcze się okaże, kto kogo przetrzyma.

– Moim zdaniem mama jest znacznie zdrowsza, niż uważasz.

– Proszę cię, Liso. Takie ciężkie ataki migreny...

– No i? Mama przez całe życie ma migreny.

– Bardzo mnie smuci, jak niewielką wagę przykładasz do słabego zdrowia swojej mamy, Liso. Życzę ci, żebyś nigdy nie musiała tego żałować.

Opanowała się. W końcu mogłaby zaszkodzić dziecku, gdyby teraz się zdenerwowała i spoliczkowała Serafinę. Ale ten czas nadejdzie.

Biedna Marie! W ciągu ostatnich kilku dni stało się to dla Lisy zupełnie jasne. W święta Bożego Narodzenia znalazła chwilę, żeby z nią porozmawiać w cztery oczy. Początkowo Marie mówiła w sposób lakoniczny, ale gdy zrozumiała, że Lisa nie zamierza czynić jej wyrzutów, ich rozmowa stała się

ożywiona i serdeczna. O tak, brakowało jej Marie w posiadłości. Nagle zrozumiała, że Marie była duszą tego domu. Była tą, która zawsze rozumiała. Która starała się łagodzić wszelkie nieporozumienia i kłótnie. O wszystkich się troszczyła, zawsze była wesoła, zadowolona, miała mnóstwo dobrych pomysłów. Marie była ciepłym, ożywym wiatrem, który owiewał ten dom i który wszyscy wdychali, czując się dobrze. A teraz od rana do wieczora było tutaj jak w ciemnej, zatęchłej piwnicy i taką aurę roztaczała Serafina. Byle tylko nie zaszkodziła dziecku!

– Musicie porozmawiać, ty i Paul – zasugerowała Marie. – Wiem przecież, że on cię kocha. Każdego wieczoru siedzi sam w gabinecie nad jakimiś dokumentami z butelką wina. To nie jest normalne.

Marie powiedziała jej, że to nie jest takie proste.

– To z pewnością moja wina, Liso, ale czuję, że w tym domu nie ma już dla mnie miejsca. Znowu stałam się tym biednym dzieckiem z sierocińca, które zostało przygarnięte z litości. Nieślubną córką kobiety, która malowała skandaliczne obrazy i która sprzeciwiła się stanowczo woli Johanna Melzera. Mam nawet poczucie, że nieszczęsna śmierć mojej biednej matki kładzie się cieniem na mojej hipotece.

– Teraz to opowiadasz bzdury, Marie!

– Nie jestem pogodzona ze sobą, Liso. A niestety Paul nie jest tym, który by mi pomógł w tej sytuacji. Przeciwnie, stoi po stronie matki, a ona niestety bardzo się ostatnio zmieniła.

– Też to zauważyłam, Marie. A wiesz, co sędzę?

Teorii Marie, że zmianę zachowania mamy można przypisać wpływowi Serafiny, nie można było ani zaprzeczyć, ani jej potwierdzić. To było możliwe, ale nie było na to dowodów. W każdym razie dzieci na pewno cierpiały z jej powodu i Marie wyrzucała sobie, że nie zabrała ich stąd wcześniej. Kitty rozwiązała tę sprawę na swój własny sposób. Przeprowadziła się z Henny na Frauentorstraße i koniec!

– Jak długo utrzymuje się taki stan rzeczy?

– Nie wiem, Liso.

Właściwie trochę zazdrościła Marie. Na Frauentorstraße było weselej niż w willi. Po domu kręciła się trójka dzieci, Gertrude stała przy kuchni, Kitty cieszyła się z obecności Marie, przyjmowali często gości. Żyli jak bohema – niewymuszenie, niekonwencjonalnie, wspaniałomyślnie. Tam z pewnością nikt nie miałby niczego za złe kobiecie, która się rozwodziła, będąc w ciąży.

W posiadłości goście pojawiali się rzadko, a jeśli już, byli to partnerzy biznesowi Melzerów. Nigdy nie zaproszono Lisy na takie spotkanie, natomiast mama zabierała Serafinę. Niewiarygodne. Ta kobieta siedziała wówczas na miejscu Marie. Opowiadała jej o tym Gertie, tak samo oburzona tym faktem jak reszta pracowników. To Marie namówiła ją, żeby napisała list do Sebastiana.

– W każdym razie, Liso, on ma prawo dowiedzieć się, że będzie ojcem. Co z tym zrobi, to jego sprawa.

Taka właśnie była Marie. Ani przez chwilę nie uwierzyła, że dziecko, które nosi, jest jej męża. Oceniała sytuację zgodnie z własną intuicją i uznała to za oczywistość.

– Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że może mu to być obojętne, Liso.

Lisa nie była tego pewna. Żyła z nim w jednym domu przez cztery lata i jego głupie poczucie honoru działało jej na nerwy.

– To jedno spotkanie było w mniejszym lub większym stopniu... tragicznym wypadkiem. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Sama czuła, jak niewiarygodnie brzmiały te wyjaśnienia, i oczywiście nie były one prawdziwe. Marie przytaknęła ze współczuciem. Obie wstały i przez chwilę wyglądały przez okno. Paul najwyraźniej kazał naprawić sanie i teraz urządzili sobie sanne z dziećmi po parku.

– To jest wspaniała inicjatywa Paula, nie sądzisz?

Marie uśmiechnęła się smutno. Przypomniała sobie jazdę saniami sprzed dwunastu lat, gdy była jeszcze pomocą kuchenną. Wtedy Paul i ona byli w sobie szaleńczo zakochani.

– Może prawdziwa jest stara zasada, że nie powinno się wychodzić za mąż za kogoś o znacznie wyższym statusie społecznym – powiedziała cicho Marie.

– Co za bzdura – mruknęła Lisa. – Mama i tata wywodzili się z różnych sfer. Mama pochodzi ze szlachty, ojciec był mieszczaninem.

Zamilkła, bo zaczęła się zastanawiać, czy małżeństwo jej rodziców rzeczywiście było szczęśliwe. Potem przyszło jej na myśl, że Sebastian pochodzi wszak z bardzo prostych kręgów społecznych i ona, jako córka bogatego właściciela fabryki, również byłaby dla niego właściwie nieosiągalna. Tak byłoby kiedyś. Dzisiaj, po wojnie, wiele się zmieniło!

– A co zrobisz, gdy Sebastian nagle pojawi się w willi?

– Na miłość boską! – krzyknęła przerażona. – Takiej spuchniętej i brzydkiej jak teraz absolutnie nie może mnie zobaczyć!

Marie nie odpowiedziała i patrzyła, jak Alicia i Gertrude razem z Kitty wspinają się na sanie. Twarz Lisy pokazała jej, że wciąż kochała Sebastiana. Kochała go bardziej niż dawniej.

– Spójrz – powiedziała Marie i wskazała na dziedziniec. – Jak mama zwinnie sadowi się między poduszkami. I jak się śmieje – zupełnie jej nie przeszkadza, że jest ciasno i dzieci się na nią pchają.

Wieczorem w dzień Bożego Narodzenia, gdy Kitty wyjechała ze swoją wesołą gromadką na Frauentorstraße, mama dostała okropnej migreny.

Serafina powiedziała wówczas z wyrzutem do Paula:

– Dopiero co oddano jej wnuki, a znów musiała się z nimi rozstać. To doprawdy okrutne, co pana żona robi pana mamie!

– Nie pani to oceniać, pani von Dobern – odparował Paul ostrym tonem i zamknął za sobą drzwi gabinetu.

Lisa cieszyła się skamieniałym wyrazem twarzy Serafiny. Miną dobre dwa tygodnie, zanim bliźniaki przyjdą w niedzielę w odwiedziny. Lisa skrzywiła się, bo dziecko w jej brzuchu gwałtownie się poruszyło. Wczoraj przekręciło się tak niefortunnie, że przez chwilę nie mogła zrobić nawet kroku. Ból przeszył ją od bioder aż po prawą kostkę u nogi. Ta ciąża to istne tortury! Odsunęła się od ciepłych kafli i znów podeszła do starego biurka, które zostało zniesione z poddasza. Krytycznie popatrzyła na zapisaną kartkę, poprawiła „wyniósł się” na „niespodziewanie wyjechał” i zastanawiała się dalej, jak mu przekazać tę najważniejszą wiadomość.

Nie chcąc wpływać na Pana dalsze życie, z pomocą tego pisma pragnę jedynie poinformować, że nasze krótkie zbliżenie nie pozostało bez konsekwencji...

Przerwała, bo usłyszała niecodzienny hałas. Kobięcy wrzask. Głośny krzyk. Wręcz histeryczny. Czy to wrzeszczała Else? W każdym razie dochodził z parteru. Dörthe? O Boże, tylko nie Dörthe, ta nieszczęsna dziewczyna.

Drzwi trzasnęły i ktoś pośpiesznie biegł na górę. Musiał biec po klatce schodowej dla służby, bo schody, których używali państwo, były pokryte dywanikami.

– Na pomoc! – słychać było przerażony kobięcy głos. – Policja! Napad! Włamywacz!

To nie krzyczała Dörthe, stwierdziła Lisa z ulgą. Wrzeszczała Serafina. Dobry Boże, ale z niej histeryczka.

– Mężczyzna... mężczyzna wpadł do mojego pokoju.

Teraz wmieszały się inne głosy. Lisa rozpoznała Brunnenmayer, potem Juliusa. Najwyraźniej starali się uspokoić gospodynię. Mężczyzna? W pokoju Serafiny?

Lisa poczuła niepokój. Liczba męskich mieszkańców posiadłości nie była w tym momencie zbyt duża. A jeśli nie chodziło o Juliusa, zostawał jedynie Paul. Przez jedną straszną chwilę wyobraziła sobie, że jej brat mógł pójść do pokoju Serafiny. Bądź co bądź mężczyzna to tylko mężczyzna. Ale nie, wówczas Serafina na pewno by nie krzyczała. Przeciwnie, bardzo by się jej to podobało. A więc jednak włamywacz. I wydawało się, że biegł teraz na poddasze, gdzie znajdowały się pokoje personelu i suszarnia.

Zawinęła się w szlafrok i wyturlała się na korytarz. Stał tam Paul, kompletnie już ubrany, i rozmawiał z mamą.

– Połóż się, mamó. Proszę cię. To z pewnością jakiś głupi żart.

– Zadzwoń na policję, Paul.

– Dopiero gdy będę wiedział, co naprawdę się dzieje.

Lisa podeszła do nich. Dziecko kopało teraz naprawdę mocno, pewnie poczuło jej zdenerwowanie.

– Ktoś pobiegł na górę schodami dla służby, Paul.

– Kiedy? – zapytał.

– Niedawno. Po tym, jak krzyknęła.

– Aha! No więc zaraz się dowiemy.

– Paul! – jęknęła mama. – Na miłość boską, bądź ostrożny. On może czatować na ciebie tam na górze.

– Ktokolwiek to jest – wtrąciła Lisa chłodno – na widok gospodyni w koszuli nocnej rzucił się do ucieczki.

Mama była myślami gdzie indziej i nie zrozumiała tej ironicznej uwagi dotyczącej Serafiny. Pozwoliła Lisie zaprowadzić się do pokoju i usiadła na łóżku.

– Daj mi proszę krople, Liso. Stoją obok karafki z wodą.

– Nie potrzebujesz żadnych kropli, mamó. Napij się po prostu wody.

Mama przycisnęła dzwonek. Po chwili rozległy się ciężkie kroki Else na korytarzu.

– Łaskawa pani. – Dygnęła, stojąc w drzwiach.

– Co się dzieje, Else?

– Och, nie musi się pani niepokoić, łaskawa pani.

Else nie była dobrym kłamcą, widać było od razu, że coś ukrywa.

– Dlaczego gospodyni krzyczała? – dopytywała się mama.

Else zaczęła kiwać się w miejscu, zrobiła dziwny ruch stopą i zdjęła kilka paprochów ze swojego fartucha.

– Pani von Dobern miała zły sen, łaskawa pani.

Naprawdę dopiero o tej godzinie wstawała ich gospodyni? Było wpół do siódmej. Panna Schmalzler o tej porze już dawno była na nogach.

– A więc nic się nie stało? – upewniła się zatroskana Alicia.

Else potrząsnęła gwałtownie głową i zacisnęła usta.

– Nie, nie, wszystko z nią dobrze. Ubiera się. Trochę się wystraszyła.

Więcej nie dało się z niej wyciągnąć. Mama kazała posłać na górę Juliusa, żeby w razie potrzeby pomógł Paulowi. Zaraz potem pojawiła się Serafina, wciąż śmiertelnie blada ze strachu, ale już opanowana.

– Bardzo mi przykro, droga Alicio.

Jej głos trochę drżał, miała też problem z uregulowaniem oddechu. Lisa prawie jej współczuła, pewnie niemal stanęło jej serce.

– Niech pani usiądzie, moja droga – powiedziała mama. – Niech pani sobie weźmie kilka kropel waleriany, bo na pewno ich pani potrzebuje.

Serafina odmówiła, już była spokojna. Miała znów powód, żeby ponarzekać na personel.

– Prosiłam Juliusa, żeby zadzwonił na policję. Bez skutku. Gdy sama chciałam pójść do gabinetu, żeby zatelefonować, pani Brunnenmayer zastąpiła mi drogę.

– To niewiarygodne – oburzyła się mama.

– Ona była nawet agresywna.

– Pani Brunnenmayer? Mówi pani o naszej kucharce Fanny Brunnenmayer?
– zapytała Alicia z przerażeniem i spojrzała bezradnie na Lisę.

– W rzeczy samej! Wykręciła mi nadgarstek!

Serafina odpięła guziki przy mankiecie rękawa i pokazała zaczerwienienie, ale nikt już nie zwracał na nią uwagi. Otworzyły się drzwi prowadzące na klatkę schodową dla służby i słychać było zbliżające się kroki.

– No chodź już – powiedział Paul. – Nie zjemy cię.

Ktoś potknął się i oparł o drzwi.

– Stój tu. Proszę wejść, trzymam cię.

– Dziękuję – odpowiedział anemiczny głos. – Jest mi... jest mi słabo.

Serafina wyprostowała się, a potem wyszła odważnie z sypialni Alicii na korytarz. Lisa zawahała się, bo była niekompletnie ubrana, ale poszła za nią.

– To jest... to jest Humbert!

Prawie nie poznała ich byłego kamerdynera, tak był wynędzniały i mizerny, gdy Paul podtrzymywał go ramieniem. Czyż nie mówiono, że Humbert robi wielką karierę sceniczną w stolicy? Cóż, musiała to być fałszywa informacja. Wyglądał tak, jakby przez te wszystkie lata przymierał głodem w najgorszych dzielnicach miasta.

– To on – powiedziała Serafina pewnym, choć jeszcze nieco drżącym głosem. – To mężczyzna, który włamał się do mojej sypialni. Jak dobrze, że pan go schwytał, panie Melzer!

Humbert uniósł głowę, żeby przyjrzeć się Serafinie, ale jej nie rozpoznał.

– Powiedz no nam, Humbercie – zaczął Paul, który był tą sytuacją wyraźnie rozbawiony – czego ty tam właściwie szukałeś? Dlaczego zakradłeś się do willi wczesnym rankiem?

Humbert odchrząknął i zakasłał. Miejmy nadzieję, że nie przyniesie nam tutaj gruźlicy, pomyślała Lisa. Przede wszystkim myślała o swoim dziecku!

– Proszę po tyśiąckroć o wybaczenie – zwrócił się Humbert do Serafiny. – Nie miałem pojęcia, że ktoś śpi w tym pokoju. Ja chciałem tylko na chwilę... Byłem śmiertelnie zmęczony po długiej podróży pociągiem.

Jego wyjaśnienie nie było przekonujące. Paul zmarszczył brwi. Serafina wrzasnęła z oburzeniem:

– Zakrada się pan tutaj bez wiedzy państwa! – Jej głos brzmiał stanowczo. – Kto otworzył panu drzwi?

Humbert patrzył teraz apatycznie przed siebie, a gdy mówił, wydawało się,

że przemawia do nich jakby z innego świata.

– O wpół do siódmej zdejmowany jest rygiel z drzwi kuchennych, bo przychodzi mleczarz. Wtedy wślizgnąłem się niezauważenie.

– Niech pan nie opowiada bajek – zawołała Serafina, której policzki były teraz niezdrowo zaczerwienione. – Miał pan pomocnika. Otworzono panu drzwi kuchenne, żeby mógł się pan zakraść do posiadłości.

Humbert był tak wyczerpany, że nie miał siły odpowiedzieć. Wisiał bezwładnie na ramieniu Paula i prawdopodobnie upadłby na podłogę, gdyby Paul go puścił.

– Wiem już doskonale, kto jest za to odpowiedzialny – powiedziała triumfująco Serafina. – Droga Alicio, przez lata otaczałaś swoją życzliwością tę zdrajczynię. Ta kucharka jest podstępna kłamczuchą. Tyranem, który podjudza pracowników przeciwko mnie i nieustannie ignoruje moje polecenia. Pani Brunnenmayer bez wątpienia maczała palce w tym włamaniu.

Paul zrobił zniecierpliwiony ruch ręką, nie miał ochoty włączać się w takie głupie kłótnie.

– Julius! Zaprowadź, proszę, tego młodego człowieka do któregoś z wolnych pokoi dla służby. I daj mu moje śniadanie.

Julius, który czekał na schodach, przeszedł pośpiesznie obok Serafiny, nawet na nią nie spoglądając. Za nim stały Gertie i Dörthe, które chciały oczywiście sprawdzić, co się dzieje na górze. Dla Lisy było oczywiste, że cały personel będzie stał murem za Brunnenmayer, i podobało się jej to. Serafina sama zasłużyła na nauczkę, bo z jakiego powodu spała w biurze gospodyni na dole? Pani Schmalzler nigdy tego nie robiła, nocowała na górze w swoim pokoju, a pomieszczenie na dole traktowała jedynie jako miejsce służące do pracy. Ale oczywiście zimą w pokojach służby było lodowato, dlatego Serafina zakwaterowała się na dole, w pobliżu ciepłej kuchni. I, rzecz jasna, nie sprawiła tym radości innym pracownikom.

– Droga Serafino – powiedziała mama z oburzeniem. – Z pewnością mylisz się co do pani Brunnenmayer.

Była przyjaciółka Lisy nie była głupia, stało się dla niej jasne, że posunęła się za daleko, zrobiła więc krok w tył.

– Ma pani rację, droga Alicio. Ach, ten cały niepotrzebny niepokój. Musi pani odpocząć.

Napełniła szklanekę wodą i odkręciła nakrętkę brązowej, pękatej buteleczki.

Ale mama potrząsnęła tylko głową.

– Nie, dziękuję, żadnych kropli... Else, pomóż mi się ubrać. A przed śniadaniem chcę porozmawiać z kucharką. Liso, połóż się jeszcze, zjemy razem śniadanie około wpół do dziewiątej.

Lisa była wdzięczna za ten przejaw zrozumienia ze strony mamy, bo nagle zrobiła się taka zmęczona, że ledwie stała na nogach. Myliła się czy też ten nieoczekiwany incydent obudził w mamie na nowo chęć do życia? Gdy godzinę później zeszła na śniadanie, Alicia siedziała w jadalni z gazetą rozłożoną na kolanach. Uśmiechnęła się do córki i zapytała, jak się czuje.

– Gorliwie się teraz gimnastykuje w moim brzuchu.

– Tak to już musi być, Liso. Kazałam przygotować dla ciebie herbatę, kawa mogłaby zbyt pobudzić dziecko.

A gdzie była Serafina? Gospodyni przenosiła się teraz pewnie do swojego pokoju na poddaszu.

– Pani Brunnenmayer wszystko mi wyjaśniła. Biedny Humbert miał nawrót choroby w Berlinie. Przypominasz sobie? Cierpiał na napady lęku.

Hanna i Brunnenmayer błagały go, żeby wrócił do Augsburga, ale o tym, że przyjedzie właśnie tego ranka, nikt nie miał pojęcia.

– W przeciwnym razie pani Brunnenmayer oczywiście zapytałaby o pozwolenie. Ale to nasz chrześcijański obowiązek, żebyśmy przyjmowali u siebie takich biednych ludzi, prawda?

– Wyglądasz świeżo i rześko, mamo.

– Tak, Liso. Od dawna nie czułam się tak dobrze.

– Nie powinnaś już nigdy brać tego specyfiku. Dostajesz po nim bólu głowy.

– Ach, Liso! Waleriana jest przecież zupełnie nieszkodliwa!

Luty był w tym roku wyjątkowo łagodny, obawiano się, że krokusy nawet o tej porze mogą wykiełkować w parku. Zwykle jednak, gdy pogoda robi się wyraźnie wiosenna, w ciągu następnych dni zaczyna się lodowaty wiatr i wraca mróz. Już dwukrotnie w tym miesiącu zdarzyło się, że śliski lód położył się na ulicach Augsburga i doprowadził do skręceń i złamań kości, a wśród poszkodowanych, jak mówiono, był także adwokat Grünling. Auguste, która od kilku dni znów przychodziła do pracy do willi, wiedziała, że pan Grünling złamał sobie obie ręce.

– Jezus Maria! – powiedziała Gertie, popijając poranną kawę. – To on już nawet nie może pójść do sądu.

– Dlaczego nie? – zdziwiła się Auguste. – Przecież mówić może.

– Ale machać rękami, gdy mówi, to już nie może.

Auguste wzruszyła ramionami i sięgnęła po pokrojony biały chleb. Posmarowała kromkę dużą ilością masła i nie żałowała sobie marmolady z truskawek.

– A jak on wkłada kurtkę? – zastanawiała się Dörthe. – A co robi, gdy musi wciągnąć spodnie?

Przy stole w kuchni zapanowało złośliwe rozbawienie. Nawet Brunnenmayer się uśmiechnęła. Cóż, nawet bogaci ludzie miewali pecha. Dobry Bóg był najwyraźniej sprawiedliwy.

– Zawsze znajdzie się ktoś, kto mu wciągnie te spodnie – stwierdziła Auguste ironicznie. – Taki kawaler ma z pewnością jakąś kochającą narzeczoną. A może nawet wiele, które ściągają i wciągają mu spodnie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, Gertie nawet podrzuciła w powietrze kawałek białego chleba, który miała w ręce, i zaczęła kaszleć, ale Julius poklepał ją po plecach. Else zrobiła się czerwona. Obcięła skórki z chleba, zanim posmarowała kromki masłem, i żuła długo i nieporadnie. Czasami maczała chleb w kawie, żeby był miękki. Zamówienie sztucznej szczęki było zdecydowanie zbyt drogie dla starzejącej się pracownicy. A poza tym Else piekielnie się bała dentysty.

– To nieładnie śmiać się z chorego – powiedziała i popiła kęs łykiem kawy.

– Wyciągnął od ludzi tyle pieniędzy – powiedziała Auguste bez cienia współczucia – że dobrze mu tak.

Nikt nie zaprzeczył. Doskonale wiadano, że niektórzy przebiegli ludzie zbili po wojnie niesamowite bogactwa, żerując na potrzebach tych, którzy z powodu inflacji byli zmuszeni sprzedać wszystko, co mieli. Ale bogacili się oczywiście jedynie ci, którzy już wcześniej mieli pieniądze. Kto był biedny, ten biedny pozostał, choćby stawał na głowie – tak to już było.

– A co z twoim spadkiem, Auguste? – zapytała bez ogródek Brunnenmayer.
– Wszystko już wydane?

Auguste postanowiła wyjaśnić ich nagły dobrobyt nieoczekiwanie otrzymanym spadkiem. Daleka ciocia, która nie miała bliskich krewnych, pomyślała o swojej ukochanej siostrzenicy z Augsburga. Nie, nie spodziewała się, bo rzadko się widywały. Ani tego, że dobra Lotti tak wiele pieniędzy uzbierała w pończosze... Tak, tak, ci starzy ludzie.

– A co pani myśli? – odpowiedziała sucho kucharce. – Zbudowaliśmy szklarnię z tych pieniędzy. A z tego, co zostało, kupiłam dzieciom ubrania i buty.

Oczywiście nie przyznała się, że nabyła też nowe meble i inne piękne rzeczy, które znała z posiadłości: srebra i porcelanowe wazy. Talerze i sztuce, które do siebie pasowały. A także ubranie robocze dla Gustava, nową bieliznę i dobry garnitur. Drogą pościel. Sobie także sprawiła nowe rzeczy. Nie wspomniała również o samochodzie, który stał w szopie. Powie o nim dopiero wiosną, żeby uniknąć plotek. Dörthe sięgnęła po trzecią kromkę chleba i przewróciła dzbanek z mlekiem, gdy sięgała po masło.

– Czy ty mogłabyś uważać? – zdenerwował się Julius, wyciągając rękaw z mleka. – Teraz muszę wyprać koszulę i rękaw kurtki.

– To tylko trochę mleka.

– Dzisiaj mleko. Wczoraj garnek ze smalcem. Przedtem butelka czerwonego wina, którą niosłem dla łaskawego pana. Cokolwiek ci wpadnie w ręce, zaraz to niszczysz.

Julius uratował swoją filizankę z kawą przed szmatką, którą Dörthe przesuwiała po stole, żeby zmyć mleko. Auguste potrząsnęła karcąco głową, inni odpuścili. Już od dawna wszyscy wiedzieli, że dziewczyna nie robiła tego specjalnie, miała po prostu pecha. Była uczciwą istotą, ale niezbyt bystrą. Chętnie przynosiła drewno do pieca, obierała ziemniaki albo odśnieżała podwórko, bo wtedy nie mogła niczego zepsuć. Wiosną chciała się troszczyć o leżaki ogrodowe na tarasie i o kwiaty na rabatkach na dziedzińcu. Może faktycznie bardziej jej odpowiadały prace w ogrodzie.

– Czy Humbert jeszcze śpi? – zapytała Auguste. – Sądziłam, że już z nim lepiej.

Kucharka kroїła szynkę w cienkie plasterki, położyła do tego kawałek wątrobianki i wędzonej kiełbasy. Wszyscy wiedzieli, że przygotowuje talerz ze smakołykami przede wszystkim na śniadanie dla Humberta. Inni też oczywiście mogli po nie sięgać.

– Zaraz zejdzie na dół – powiedziała. – Chłopak potrzebuje dużo snu i musi jeść, żeby nabrać trochę ciała.

Auguste przytaknęła i szybko ukroiła sobie kawałek wątrobianki. Przychodziła znowu do pracy w willi trzy razy w tygodniu, rzekomo ze starego przyzwyczajenia.

– Jak też pani broniła Humberta, pani Brunnenmayer – powiedziała Gertie, żując chleb. – To było niesamowite. Prawie uwierzyłam w to, co usłyszałam.

Ten temat nie był zbyt przyjemny dla Fanny Brunnenmayer, więc rzuciła Gertie niechętnie spojrzenie i powiedziała:

– A czy ty musisz podsłuchiwać pod drzwiami? To, co mówiłam łaskawej, nie było przeznaczone dla twoich uszu.

Gertie nie dała się zbić z tropu. Spojrzała szybko na wejście na schody dla służby, żeby sprawdzić, czy nie idzie Humbert, a potem zaczęła naśladować głos Brunnenmayer:

– Jeśli nie znajdzie się miejsce dla Humberta w posiadłości, ja też tutaj nie zostanę. Trzydzieści sześć lat pełnię tutaj służbę i nigdy nie narzekałam. Ale jeśli tak będzie, spakuję swój dobytek i pójdę do pierwszych lepszych.

– Naprawdę tak pani powiedziała do łaskawej pani, pani Brunnenmayer? – jęknął Julius zdumiony.

Chociaż Gertie przytaczała tę wypowiedź już kilka razy, Julius wciąż był pod jej wrażeniem. Nigdy w życiu nie pozwoliłby sobie na takie wystąpienie przed państwem. Nawet gdyby chodziło o jego własnego brata. Choć nie miał brata, w ogóle nie miał rodzeństwa.

– Przysięgam – powiedziała Gertie i kiwnęła głową trzykrotnie. – A łaskawa pani była zszokowana. Bo nigdy w życiu by nie pomyślała o tym, żeby odesłać Humberta. Wolałaby po prostu wiedzieć, że przyjedzie.

– Wystarczy już! – zawołała Fanny Brunnenmayer i uderzyła pięścią w stół. – Łaskawa pani to dobra kobieta. A ty przestań paplać, co ci ślina na język przyniesie. Zapomnijmy o tym!

Zgodzono się, że Humbert musi trochę odpocząć i nabrać sił. Potem będzie pomagał tyle, ile będzie w stanie. Co będzie do zrobienia. Dbanie o samochód. Przycinanie krzewów w parku. Pomaganie w kuchni. Załatwianie sprawunków. Najpierw za wikt i opierunek. A później się zobaczy.

– Byleby wyzdrowiał – powiedziała kucharka i westchnęła. – Ta nieszczęsna wojna wciąż nie daje o sobie zapomnieć. I będzie tak prawdopodobnie jeszcze długo.

Podniosła głowę, gdy na korytarzu rozległo się dobrze znane stuk-stuk-stuk. Buty gospodyni, wprowadzie nowe, były zrobione z bardzo twardej skóry.

– Uwaga! – krzyknął Julius i sapnął, bo gdy się denerwował, nie potrafił swobodnie oddychać nosem.

– No to nasz spokój właśnie minął – mruknęła Gertie, szybko dopijając kawę z mlekiem.

Fanny Brunnenmayer schowała talerz z szynką i kiełbasą do szuflady. Lepiej było się nie narażać na przykrości. Pani von Dobern miała taką minę, jakby musiała walczyć z całą podłością i niesprawiedliwością tego świata. Jej oczy schowane za szklami okularów objęły wzrokiem najpierw całe pomieszczenie, potem siedzących przy stole i ich posiłek, garnki i blaszany dzbanek z kawą na kuchni, a potem zatrzymały się na stosie nieumytych naczyń z wczorajszego wieczoru.

– Dzień dobry wszystkim!

Odpowiedzieli na powitanie bez entuzjazmu, a Gertie pozwoliła sobie zadać pytanie, czy gospodyni dobrze spała.

– Dziękuję, dobrze. Możesz sprzątnąć tacę z mojego pokoju, Gertie.

Chociaż w końcu zdecydowała się przenieść do pokoju na górze, śniadanie wciąż uparcie jadała na dole.

– Chciałabym dostać na śniadanie trochę szynki i wędzoną kiełbasę – powiedziała do kucharki.

– Kiełbasę na śniadanie? – zdziwiła się Brunnenmayer. – Dzisiaj jest piątek.

– Nie mamy jeszcze postu – odpowiedziała ostro gospodyni. – Myśli pani, że nie jestem w stanie wyczuć, że była tutaj jedzona wątrobianka i wędzona kiełbasa?

– Oczywiście, przygotowałam ją dla pani von Hagemann. Oczekuje narodzin dziecka, więc może jeść mięso w piątek.

Pani von Dobern prychnęła z pogardą, dając do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno słowo. I była na dobrym tropie. Co jednak na niewiele się jej zdało, bo Brunnenmayer jak zawsze sabotowała jej uwagi.

– Dzisiaj wieczorem łaskawy pan spodziewa się gości, jak wszyscy wiecie – zaczęła omawiać plan dnia. – Będą trzy małżeństwa i dwóch samotnych panów, a więc siedem osób, do tego łaskawy pan, pani matka i ja. Menu łaskawa pani omówiła już z kucharką. Najpierw będzie aperitif, to się tyczy ciebie, Julius. Else i Gertie posprzątają dzisiaj wcześniej czerwony salon i pokój dla panów oraz doprowadzą oba pomieszczenia do stanu reprezentacyjnego, Dörthe zajmie się butami naszych gości.

Wszyscy słuchali znudzeni. Naprawdę sądziła, że nie wiedzieli, jak zorganizować w willi małe wieczorne spotkanie? To nie było trudne, a to głupie gadanie gospodyni wprowadzało jedynie większe zamieszanie w przebieg przygotowań. Panna Schmalzler starała się w takich sytuacjach zrobić wszystko, co najlepsze dla reputacji Melzerów, i z sercem się wtedy podchodziło do takiej pracy. Ale to wiedziały tylko Else i kucharka, pozostali nie poznali wspaniałej starszej damy. Humbert owszem, ten ją jeszcze miał okazję poznać, ale wciąż nie wstawał z łóżka.

– Będziesz pomagać przy praniu i trzepać dywany – powiedziała do Auguste.

– Dywany były trzepane w poniedziałek – przypomniała Auguste. – Mądrzej by więc chyba było wyczyścić tapicerki.

Zauważyła natychmiast, że popełniła błąd. Nozdrza gospodyni rozszerzały się i kurczyły, a to nie oznaczało nic dobrego.

– Chcesz mi mówić, jak należy prowadzić gospodarstwo domowe? Dlaczego właściwie siedzisz tutaj przy stole? Nie jesteśmy jadłodajnią, możesz jeść u siebie!

Twarz Auguste napęczniała, jakby kobieta zjadła drożdże, ale nie odważyła się niczego powiedzieć. Słysząc natomiast było głębokie westchnienie kucharki.

– Kto pracuje w tym domu, może też jeść przy tym stole. Tak było zawsze i nic się w tym względzie nie zmieni!

– Jak pani uważa – odpowiedziała gospodyni. – Wezmę pod uwagę to marnotrawstwo podczas sprawdzania pani zeszytów z planowanym budżetem.

Zamilkła, bo przy piecu przewrócił się blaszany pojemnik na węgiel i kilka

kawałków przeturlało się po podłodze. Dörthe nie straciła formy.

– Tak mi przykro... Przepraszam... Proszę o wybaczenie... – jąkała się dziewczyna i pośpiesznie zaczęła zbierać węgiel do swojego fartucha.

– Głupszej od ciebie nie znajdzie się na całej kuli ziemskiej! – wrzasnęła pani von Dobern i kopnęła kawałek węgla w stronę Dörthe.

– O nie, pani von Dobern. Mam siostrę w Klein Dobritz, która jest jeszcze głupsza niż ja – odpowiedziała Dörthe z powagą.

Gertie wydała z siebie nieokreślony dźwięk i zatuszowała go, udając kaszel. Kucharka spojrzała ponuro przed siebie, Julius do niczego nie miał zamiaru się zmuszać i uśmiechnął się szeroko. Tylko Auguste była wściekła, jakby niczego nie słyszała.

– Musisz wkładać ten węgiel do fartucha? Weź wiadro.

– Tak, pani von Dobern.

Pełen pogardy głos gospodyni sprawił, że biedna Dörthe jeszcze bardziej się rozkojarzyła. Wszyscy widzieli, co się szykuje, Gertie krzyknęła nawet „Uważaj!”, ale już się stało. Zbierając węgle, Dörthe zaczęła przesuwać się tyłem w stronę umywalki i w końcu uderzyła w nią sporą tylną częścią ciała z całej siły. Stos zaczął się chybotać, momentalnie przechylił się na zewnątrz i wszystkie nieumyte naczynia spadły na posadzkę. Talerz za talerzem, filiżanka za filiżanką – Gertie i Auguste udało się uratować jedynie dzbanek na mleko i patere, reszta potłukła się w drobny mak.

– Boziuniu, co to dzisiaj za pechowy dzień! – jęknęła Dörthe, która zszokowana nie była w stanie ruszyć się z miejsca. – Bo ja przecież nie mam oczu z tyłu głowy, pani von Dobern.

– Niesłychane! – wycedziła przez zęby gospodyni, blada z wściekłości. – Postaram się, żebyś zniknęła stąd na dobre!

Dörthe zaczęła wyć na głos i wszystkie kawałki węgla, które miała w fartuchu, upadły znów na podłogę, bo zakryła sobie rękami twarz. Julius powiedział głośno, że o tym zdecyduje pani von Hagemann, bo Dörthe jest jej pracownicą. Gertie, Else i Auguste zbierały węgiel i szkło. W tej chwili w kuchni pojawił się Humbert. W tym zupełnym chaosie początkowo nikt go nie zauważył. Stał przy wejściu, oparł się plecami o futrynę i skrzyżował ręce na piersi.

– Są też plusy tej sytuacji – powiedział z uśmiechem. – Jeśli coś jest rozbite, nie trzeba tego myć.

Twarz Dörthe nieco się rozjaśniła, ale pani von Dobern odwróciła się rozgniewana i naskoczyła na mówiącego:

– Uważa pan za zabawne, że dobro i własność państwa tej posiadłości uległy zniszczeniu?

– W żadnym razie – odparł przyjaźnie Humbert. Opuścił ręce i zrobił mały, ale wyraźny ukłon w stronę gospodyni. Trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy kryła się za tym uprzejmość, osobisty szacunek czy raczej ironia. – Ale wszystko w życiu można czymś zastąpić, droga pani von Dobern. Tylko zdrowia i życia nie.

Był przerażająco chudy i mizerny, ale działał na kobiety w sposób, którego wcześniej nigdy nie wykorzystywał. Gospodyni również nie była wyjątkiem, sprawił, że się uśmiechnęła oraz przyznała, że w tej kwestii ma niezaprzeczną rację.

– Jak się pan dzisiaj czuje, Humbercie?

Podziękował za zainteresowanie i stwierdził, że z dnia na dzień jest lepiej.

– Spokój, dobre jedzenie, a do tego przyjazne przyjęcie i wspaniali ludzie, którzy z takim oddaniem się o mnie troszczą. – Puścił oko do gospodyni i stwierdził, że jest niezmiernie za wszystko wdzięczny. – Jeśli tylko mógłbym w jakiś sposób pomóc, droga pani von Dobern, proszę mi to zlecić. Serdecznie panią o to proszę. Wykańcza mnie bezczynne siedzenie, gdy jest tyle pracy do wykonania.

Jeśli miała zamiar mu wyrzucać, że do tej pory nie kiwnął nawet palcem, to wytrącił jej teraz oręż z ręki.

– Cóż, jeśli pan sądzi, że ma już dość siły. Mógłby pan pomóc Juliusowi umyć samochód. W środku i z zewnątrz. W niedzielę pan Melzer jedzie z dziećmi na wycieczkę.

– Oczywiście, jak najbardziej.

Pani von Dobern kiwnęła głową zadowolona, rzuciła okiem na trzy kobiety, które zbierały z podłogi węgiel i szkło w dwa osobne wiadra, i skierowała się do wyjścia.

– Śniadanie dla pani Melzer, pani von Hagemann i dla mnie niech będzie na ósmą w jadalni. Jak zawsze! – rzuciła jeszcze przez ramię.

Kucharka poczekała, aż powietrze się oczyści, i wyjęła z szuflady talerz z szynką i kiełbasami, a następnie podsunęła Humbertowi.

– Chcę wiedzieć, gdzie to wszystko przepada – mruknęła. – Śniadanie

o siódmej w jej pokoju, a o ósmej w jadalni z państwem. O pierwszej obiad z państwem, potem kawa i tort śmietanowy. Kolacja z państwem. A potem jeszcze przyłazi tutaj, żeby przy naszym stole napełnić sobie talerz przed nocą. A przy tym pozostaje chuda jak wiór.

– Niektórzy mają szczęście – westchnęła Auguste, która po ostatniej ciąży wciąż była okrągła jak beczka i pewnie tyła nawet od samego patrzenia na pieczywo.

– Nieee, tak jak ona to nie chciałabym wyglądać – wtrąciła Gertie. – Taki chudy szkielet. A do tego sucha jak czereśnia.

W kuchni zapanowała wesoła atmosfera, nawet spuchnięta od zawrota głowy twarz Dörthe, którą ubrudziła sobie węglem, się rozjaśniła.

– Znowu się będzie działo w niedzielę – powiedziała kucharka, gdy Humbert pił kawę. – Ostatnim razem tych dwoje było tutaj u mnie w kuchni tylko pięć minut. Potem musieli iść zobaczyć nową maszynę drukarską w fabryce. A potem łaskawa pani piła z dziećmi kawę i jadła tort śmietanowy.

Else, która dotychczas nie pozwalała sobie krytykować zwyczajów państwa, dodała z zatroskaną miną, że chłopcu nie wolno było nawet dotknąć fortepianu.

– Oczywiście – powiedziała Gertie. – Bo już w fabryce było jakieś spięcie. Zauważyłam, gdy wrócili. Łaskawy pan wyglądał na rozgniewanego i przez resztę wieczoru nie zajmował się dziećmi.

Humbert czekał cierpliwie, aż Brunnenmayer położy ogórki na jego kanapkę z szynką, które najpierw musiała odpowiednio pokroić. A robiła to z taką troską, jakby chodziło o trzyletnie dziecko. On natomiast czuł się wyraźnie lepiej, tylko noce wciąż były trudne. Wszyscy słyszeli, jak kręcił się po korytarzu, a czasami zbiegał na dół do kuchni i chował się pod stołem. Tam czuł się bezpieczniej, jak kiedyś powiedział. Granaty nie mogłyby zniszczyć tego starego stołu. Ani samoloty, które ostrzeliwały z góry.

– Biedny robaczek – powiedziała i żuła w zamyśleniu. – Dlaczego łaskawy pan jest tak ślepy? Chłopiec w ogóle nie lubi maszyn. Ale jeśli gra na pianinie tak dobrze, jak mówią...

– Mógłby występować w Berlinie jako cudowne dziecko – powiedziała Gertie z przekonaniem.

– W Berlinie? Lepiej nie – mruknął Humbert.

– Ale dlaczego nie? – dopytywała się zaciekawiona Gertie.

Humbert zajął się kanapką z szynką i nie odpowiedział. Co prawda opowiadał od czasu do czasu o wielkim Berlinie, o sklepach, kinoteatrach, o licznych jeziorach, w których można było się kąpać. O metrze, Reichstagu, Kolumnie Zwycięstwa, o pokoju w tylnej części kamienicy. Mówił o kabarecie przy Kurfürstendamm, który był mały – mogło się tam zmieścić najwyżej pięćdziesiąt osób – ale ludzie stali w długich kolejkach, żeby dostać bilet. Chyba z jego powodu, ale o tym nie pisał słowa. Brunnenmayer tak przypuszczała. W którymś momencie stało się jednak coś, co go przerosło. Co, to pozostanie jego tajemnicą. Historia miłosna? Intrygi kolegów? Wypadek? Nikt tego nie wiedział. Napady, które wróciły razem z nim z wojny, stawały się coraz częstsze, aż w końcu niemożliwe do zwalczenia.

– Gdyby Hanna wtedy ze mną nie porozmawiała, nie wiem, co by się stało.

Hanna była jedyną osobą, która cokolwiek wiedziała. Przychodziła codziennie do willi, zazwyczaj potajemnie, żeby gospodyni jej nie nakryła. Rzadko bywała w kuchni, najczęściej wchodziła na górę do dawnego pokoju Humberta i tam rozmawiali.

– Oni i rozmawiali? Chyba w to nie wierzysz, Gertie – parsknęła Auguste.

Była pewna, że działo się tam znacznie więcej. W końcu ona nie była głupia, a Humbert bardzo lubił Hannę. Ale zarówno Gertie, Else, jak i Julius przekonywali ją, że jest w błędzie. Brunnenmayer też tak uważała.

– Bierzmy się do pracy – powiedziała kucharka i wstała z miejsca. – Dörthe umyje kuchnię. Else i Gertie wysprzątają czerwony salon i pokój dla panów. Auguste, ty pomożesz przy warzywach. Julius – śniadanie dla von Dobern. I możesz od razu nakryć na górze.

Powiedziała to szybko, bez kropek i przecinków, ale każdy wiedział, co ma robić. W ich sercach zagościło uczucie bezpiecznej pewności. Jak długo Brunnenmayer trzymała w kuchni ster, posiadłość nie upadnie. Auguste usiadła obok Humberta przy stole, obierała marchewkę i patrzyła, jak on powoli, w zamyśleniu, je kanapkę z szynką.

– Powiedz no, Humbercie, ty tam dobrze zarabiałeś, prawda? To znaczy, gdy się jest artystą, też można być bogatym, tak?

Humbert zmarszczył czoło, bo wydawał się zaskoczony pytaniem.

– Masz. Lubisz marchewkę? Świeżutka.

Wyciągnęła w jego stronę obraną marchewkę, ale odmówił. Nie był zającym.

– Pieniądze jakieś tam zarabiałem. Raz większe, raz mniejsze – przyznał z wahaniem. – Dlaczego chcesz wiedzieć?

Auguste cięła nożem marchewkę tak gorliwie, że można się było obawiać, czy cokolwiek z niej zostanie.

– Tak sobie pomyślałam... Gustav i ja wybudowaliśmy szklarnię i jesteśmy zupełnie bez pieniędzy.

– Ach tak – powiedział i wetknął nos do filiżanki. – I myślałaś, że mógłbym ci coś pożyczyć?

– Właśnie tak – szepnęła Auguste z nadzieją w oczach.

Humbert pokręcił tylko głową.

– Dawno wszystko wydałem. Przeciekły mi przez palce. I już ich nie ma.

Nie znosiła tego masywnego budynku przy Alten Einlaß, dom numer jeden. Klasycystyczny. Pretensjonalny. Brzydki. Ale cóż, budynek sądu mógł być nieładny. Zwłaszcza wewnątrz. O Boże – co za labirynt! Niekończące się przejścia. Schody. Korytarze. Niech pani pójdzie prosto, potem w prawo, potem znów w lewo, a przy schodach proszę zapytać raz jeszcze. Gdyby nie było z nią Marie, odwróciłaby się na pięcie i wróciła do willi. Ale Marie trzymała ją delikatnie pod rękę i dodawała jej nieustannie odwagi.

– Jeszcze kilka kroków, Liso. Dasz radę. Mamy czas – i tak jesteśmy za wcześnie. Idź powoli.

Z tego, co mówiła Marie, rozumiała może połowę, bo była tak podenerwowana, a napięcie, którego doświadczała, sprawiało, że dyszała jak maszyna parowa. Gdy odnalazły wreszcie właściwą salę, woźny sądowy był tak miły, że wpuścił je do środka, zanim pojawił się sędzia.

– Niech sobie panie usiądą w środku, żeby pani nie urodziła dziecka na korytarzu. Nie trzeba się denerwować.

– Bardzo dziękuję.

Marie ofiarowała przyjaznemu brodaczkowi kilka monet, za co podziękował z głębokim ukłonem i otworzył skrzypiące drzwi.

– Proszę tam na ławie dla powodów, proszę bardzo. Nie z przodu, tam siedzą oskarżeni.

– To jest obrzydliwe – powiedziała Lisa, siadając na twardej jak kamień drewnianej ławce.

Ponure ściany obłożone boazerią, ciemne drewniane meble, strasznie wąskie i wysokie okna z zasłonami. Sędzia i jego pomocnik będą siedzieć wyżej na podeście jak na jakimś tronie, pewnie dlatego, że chcieli mieć pełny widok na obecnych.

– Niezbyt przytulnie, masz rację – powiedziała Marie.

– A co to za zapach. Jest mi niedobrze.

– To pasta do podłogi, Liso. I chyba olej, którym przecierają drewniane ławki.

Marie z pewnością miała rację. Ale Lisie wydawało się, że wdycha zapach kurzu ulatniający się z niezliczonych dokumentów. I więcej jeszcze.

W powietrzu czuła nienawiść. Rozpacz. Zemstę. Triumf. Wściekłość. Smutek. Niezliczone tragedie ukryte w zatechłych zasłonach. Przesiąkły też nimi drewniane podłogi.

– Trzymaj się, Liso, jestem przy tobie.

Poczuła rękę Marie na swoim ramieniu. Mój Boże – tak. Chciała tego i teraz musiała przez to przejść. Co było z nią nie tak? Prawdopodobnie ciąży sprawiła, że była tak przewrażliwiona. To dziecko w jej brzuchu ani na chwilę nie chciało jej dać spokoju. Jeszcze kilka dni. Jeśli oczywiście dobrze policzyła...

Zaraz pojawił się sędzia, postawny mężczyzna, może nawet przy kości, z wysokim czołem i kwadratowym podbródkiem, który w długiej, czarnej todze wyglądał jak poruszający się wieszak na ubrania. Podszedł do woźnego i zapytał, dlaczego już wpuścił obie panie, a potem pozdrowił je niezbyt przyjaznym skinieniem głowy i położył stos nieco wytartych teczek na sędziowskim biurku. Po chwili zjawili się kolejni dwaj panowie ubrani na czarno i wszedł Klaus. Przywitał się, skłonił szybko i usiadł na ławie oskarżonych. Boże, ależ teatrzyk! Tak jak w szkole, gdzie zajmowali miejsca według pewnego klucza. Najlepsi uczniowie z tyłu, najślabi tuż przed nauczycielem. Spojrzała przelotnie na Klause, który pod niewielkim kapeluszem nie był w stanie ukryć zniekształconej twarzy i blizn. Wciąż wyglądał źle, chociaż włosy pokryły już niemalże rany na głowie. Sędzia też patrzył na Klause i można było odczytać w jego wzroku współczucie i jednocześnie obrzydzenie. Natomiast Klaus rozglądał się z zaciekawieniem, a potem siedział spokojnie na swoim miejscu i czekał na rozpoczęcie sprawy. Przyszedł również – ku największemu zaskoczeniu Lisy – adwokat Grünling. Prawą rękę miał lekko zgiętą i włożoną w szynę, lewą jedynie zawiniętą wokół nadgarstka.

– Moje panie, chciałbym łaskawe panie serdecznie powitać. Pan Melzer poprosił mnie, żebym poprowadził pani sprawę. Moje uszanowanie, pani Melzer. Pani von Hagemann.

Lisa początkowo nie rozumiała. Paul wynajął dla niej adwokata? Dlaczego nic o tym nie powiedział? Dlaczego ona miałaby potrzebować tego Grünlinga? Nie mogła przecież znieść tego typu...

– Nie ma już sensu tego zmieniać, Liso. Może Paul ma rację.

Spektakl się rozpoczął. Niekończące się pytania, na które trzeba było odpowiadać „tak” albo „nie”. Klaus został zapytany o okoliczności swojego cudzołóstwa i zeznał wprost, że ma syna z młodą służącą.

– Czy uznaje się pan za winnego cudzołóstwa?

W pytaniu sędziego pojawiło się coś więcej niż niedowierzenie. Wybrzmiewało w nim przekonanie, że owo „potknięcie” z pracownicą trudno uznać za zdradę. To jedynie maleńkie potknięcie, które trzeba wybaczyć mężowi.

– Tak, panie sędzio.

Sędzia patrzył na niego i powiedział, że darzy ogromnym szacunkiem wszystkich, którzy swoje życie i zdrowie poświęcili na polu walki za ojczyznę.

Lisa musiała potem wstać do przesłuchania i podejść do ławy sędziowskiej. Było jej nieco słabo, gdy tam stała. Czuła też dziwne prądy w okolicach pleców.

– Czy nie sądzi pani, że to nie jest najlepszy czas na rozwód, pani von Hagemann? Myślę o tym, że niebawem urodzi pani dziecko. Jak sądzę, dziecko pani męża.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwał się adwokat Grünling. To pytanie nie ma związku z udowodnionym cudzołóstwem. Jego klientka nie musi więc na nie odpowiadać. Sędzia, który najwyraźniej znał Grünlinga, zachował spokój.

– Wspominam tylko o tym. Niestety, jest coraz więcej rozwodów, o które wnoszą żony. A dzieje się to dlatego, że wiele kobiet nie chce pozostać u boku swoich mężów, którzy zostali ranni w czasie wojny i wymagają opieki. A jest to obowiązek wiernej żony.

Lisa milczała. Mogłaby wspomnieć, że dała swojemu mężowi wiele, dała mu miejsce i pracę, które pozwoliły mu dalej żyć. Ale było jej tak słabo i niedobrze, że nie była w stanie wydusić słowa. Dalszy ciąg sprawy przebiegł niejako obok niej, nie poświęcała jej większej uwagi. Jej serce biło niewiarygodnie mocno, jakby zbyt szybko biegła. A siedziała przecież na ławce. To dziwne ciągnięcie w plecach stawało się coraz dotkliwsze. Trwało już od dłuższego czasu. Skupiała się na tym, żeby regularnie oddychać i powtarzać sobie co trzy minuty, że zaraz wszystko minie.

– Co ci jest, Liso? Masz bóle? – spytała ją cicho Marie.

– Nie, nie. Wszystko dobrze. Bardzo się cieszę, że jesteś ze mną, Marie.

Znowu rozpoczęły się te niekończące się przemowy, Klaus na coś tam przystał, ona się na coś zgodziła. Było to obojętne, przytaknęłaby nawet, gdyby ją zapytano, czy chciałaby skoczyć w przepaść. Sędzia spoglądał w jej

stronę z wyraźną pogardą, a potem założył okulary w złotych oprawkach i przeglądał leżące przed nim dokumenty. Z niewiadomego powodu Klaus wpatrywał się w Marie. Dwaj panowie ubrani na czarno pisali coś szybko, jakby się ścigali. Po sali latała mucha, jedna z tych najbardziej zaciekłych, która wleciała tutaj mimo przykrego zapachu pasty do podłóg. Lisa czuła skurcze w okolicy pleców, jej żołądek stał się ciężki jak kamień i miała problemy z oddychaniem.

– ...że z dniem piętnastego marca tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku jesteście państwo rozwiedzeni. Należne opłaty dla sądu...

– Nareszcie – mruknęła Marie, chwytając Lisę za rękę. – To już koniec. W połowie marca będziesz wolna.

Niezbyt wylewnie okazywała swoją radość, bo czuła się fatalnie. Coś się działo w jej brzuchu, coś, czego do tej pory nigdy jeszcze nie doświadczyła i w żaden sposób nie mogła temu przeciwdziałać. Marie ją podtrzymała, gdy wstawała. Klaus do niej podszedł i uścisnął jej rękę.

– Gratuluję ci, Liso – powiedział przewrotnie. – Pozbyłaś się mnie. Nie, moja droga, nie to miałem na myśli. Wiem, co dla mnie zrobiłaś. Nigdy już nie będę miał przy sobie lepszej towarzyszki niż ty.

Wychodząc z sali sądowej, odwrócił się zaciekawiony w stronę Marie. Słyszał o jej atelier, najwyraźniej świetnie sobie radziła w roli kobiety prowadzącej własny biznes.

– Podziwiam panią nieskończenie, łaskawa pani. Jakiż talent skrywała pani w sobie przez tyle lat, a teraz tak pięknie się ujawnił.

Na korytarzu czekał Paul. Uścisnął jej dłoń, nie wyglądał przy tym na szczególnie szczęśliwego, a potem odwołał na bok Grünlinga. Lisa słyszała jedynie urywki tego, o czym obaj rozmawiali. Nagle poczuła się bardzo zmęczona i usiadła na ławce.

– Wychodzi teraz z ciebie całe zdenerwowanie – powiedziała Marie i podała Lisie chusteczkę, bo jej twarz była złana potem. – Dobrze, że Paul przyjechał, zabierze cię do willi. Ty i twoje dziecko potrzebujecie teraz wygodnego łóżka i długiej drzemki.

– Nie, Marie. Chciałabym, żebyś pojechała z nami.

– Ale... Liso... ty wiesz przecież...

Marie była między młotem i kowadłem. Cieszyła się, że mogła towarzyszyć Lisie w procesie. Planowała, że zamówi samochód dla Lisy, a sama chciała

wrócić do atelier. Na popołudnie miała umówione dwa spotkania z klientkami i chciała się wcześniej załatwić. A poza tym nie miała ochoty przekraczać progu posiadłości. Zwłaszcza bez wcześniejszej zapowiedzi.

– Bardzo cię proszę, Marie – upierała się Lisa. – Bardzo cię potrzebuję, jesteś jedyną osobą, której ufam.

Paul podszedł i oświadczył, że sądowy korytarz nie jest dobrym miejscem na takie rozmowy. Wziął Lisę pod rękę i poprowadził ją w kierunku schodów.

– Po co ten teatrzyk, Liso – powiedział cicho, gdy podchodzili do klatki schodowej. – W willi czeka mama i pani von Dobern.

Lisa początkowo nie odpowiedziała, bo straszne skurcze przeszywały jej brzuch. Co się z nią działo? Czy to były bóle porodowe? Ogarnęła ją panika.

– Pani von Dobern? Kobieta, która zatrąła mamę swoimi kroplami? Niech się do mnie nie zbliża. Zacznę krzyczeć i rzucać wszystkim, co będę mieć pod ręką, gdy wejdzie do mojego pokoju.

– Weź się w garść! – syknął Paul.

Za nimi podążała Marie, a obok niej Klaus von Hagemann. Adwokat Grünling został w sądzie, bo musiał jeszcze oddać czarną togę.

– Zachowajmy spokój – powiedział Klaus. – Ciężarne kobiety są czasami nieco... podenerwowane. I w żadnym razie nie należy się im sprzeciwiać.

Paul odwrócił się, żeby spojrzeć na Marie. Jej mina wyrażała niechęć.

– Myślę, że możemy jechać bez ciebie – powiedział do niej Paul.

– Też tak uważam – odparła Marie.

– Zamówię dla ciebie taksówkę.

– Nie ma takiej potrzeby, pójde pieszo.

Lisę przytłoczył najpierw ból, a teraz fala goryczy. Wszyscy skoncentrowali się na swoich sprawach. Nikt nie zwrócił uwagi na to, co się z nią dzieje. Nawet Marie.

– Możecie chociaż raz, ten jedyny raz zrobić to, czego ja chcę? – zaczęła krzyczeć. – Będę rodzić dziecko, do jasnej cholery. I potrzebuję Marie. Chcę, żeby Marie była przy mnie. Słyszeliście. Marie. Marie!

Stali w korytarzu i jej głos rozbrzmiewał na wszystkich piętrach. Portier, stojący nieopodal, wpatrywał się w nią z przerażeniem. Dwaj mężczyźni z akordeonami pod ręką stanęli jak wryci, a adwokat Grünling, który wreszcie

ich dogonił, przystanął na ostatnim stopniu schodów i oparł się o poręcz.

– Nie denerwuj się, Liso – powiedziała uspokajająco Marie. – Pojadę z tobą.

Kolejne minuty Lisa poświęciła na to, żeby uspokoić oddech. Potem ktoś – Paul? – wyprowadził ją schodami na ulicę i wsadził do auta. Klaus stał na trotuarze i machał im na pożegnanie. Niech mu się wiedzie jak najlepiej. Marie siedziała obok Lisy, trzymała rękę na jej brzuchu i uśmiechała się.

– Czuję to. To są bóle porodowe. Będzie bardzo ciężko, prawda? Czy ja urodzę dziecko w samochodzie, Marie?

– Ależ nie. Masz jeszcze bardzo dużo czasu.

– Ale to tak bardzo... tak bardzo boli...

– Kochana, to przejdzie. A za to dostaniesz najpiękniejszy prezent, jaki można otrzymać.

Marie znalazła odpowiednie słowa – sama to już przecież wiedziała. Lisa od zawsze chciała sprowadzić dziecko na świat, dlaczego więc teraz tak narzekała? Czy przez całe lata nie oskarżała Boga i świata o to, że nie może zająć w ciążę?

– Ach, Marie, masz rację.

Wszystko nagle zobaczyła w lepszym świetle. Czy to Humbert kierował autem? Jak to dobrze, że chłopak doszedł do siebie i znowu będzie mógł pracować w posiadłości! A w willi jest przecież Gertie, ta mała, śliczna, bystra dziewczyna. Ona zaraz pójdzie po położną. I oczywiście będzie przy niej mama. I zawołają Kitty. Oczywiście, jej młodsza siostra też będzie w pobliżu, w końcu, gdy na świat przychodziła Henny, Lisa była przy niej. Tak, wszystko pójdzie dobrze. Jeszcze tylko małe bóle porodowe. One miną. Po prostu położy się w łóżku i przeczeka. W ciągu godziny dziecko już będzie na świecie. No... najwyżej w ciągu półtorej godziny. A może jednak szybciej. Myślała o drewnianej kołysce, którą mama kazała przynieść z poddasza i która czekała w pokoju mamy razem ze świeżo powleczonymi poduszkami i białym becikiem obszytym koronką.

– Podobała ci się ceremonia? – ktoś zapytał z ironią w głosie.

Paul siedział koło Humberta na miejscu pasażera i odwrócił się do Marie.

– Nie! – odpowiedziała krótko.

Zabrzmiało to odpychająco. Było oczywiste, że chciała, by zostawiono ją w spokoju. Ale Paul nie zamierzał milczeć. Naciągnął kapelusz na czoło, a jego oczy aż błyszczały z wściekłości.

– Nie? Zaskakujesz mnie. Sądziłem, że ty też jesteś zainteresowana „szczęśliwym rozwodem”.

Lisa czuła, jak Marie zaciska palce.

– W takim razie jesteś w błędzie.

Humbert musiał zatrzymać samochód, bo nauczyciel z grupą uczniów przechodził przez ulicę. Byli to gimnazjaliści ze Świętego Stefana, szli posłusznie dwójkami, przytrzymując dłońmi szkolne czapki, żeby wiatr nie zerwał im ich z głów.

– A co ty sobie w takim razie wyobrażasz? – zapytał rozgniewany Paul, gdy auto ruszyło dalej. – Tak dalej nie może być!

– Oczekuję, że zaakceptujesz mnie taką, jaka jestem!

Z jaką stanowczością Marie to powiedziała! Lisa była zaskoczona. Paul najwyraźniej też, bo zamilkł na chwilę.

– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Czy cię ignorowałem? Czy traktowałem cię źle? Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Obroż zaciśnęła się wokół brzucha Lisy i ścisnęła tak gwałtownie, że z trudem złapała oddech. Jęknęła cicho. Tego już było za wiele. To naprawdę strasznie bolało!

– Chcę, żebyś mnie akceptował jako córkę moich rodziców. Jacob Burkard to mój ojciec. A Luise Hofgartner była moją matką. I oboje nie są mniej warci niż Alicia i Johann Melzerowie.

– A czy ja twierdzę inaczej?

– Tak. Potępiłeś prace mojej matki, chciałeś je ukryć na poddaszu.

– To jakiś nonsens! – wrzasnął Paul i uderzył z całej siły pięścią w wyłożone skórą oparcie fotela.

– Jeśli naprawdę uważasz, że to bzdury, to nie mamy o czym rozmawiać.

– Dobrze! – krzyknął. – Wyciągnę z tego konsekwencje!

– Zrób to! – krzyknęła oburzona Marie. – Tylko czekam, byś wykorzystał swoją władzę!

Lisa jęknęła. To auto podskakujące na kostce brukowej na pewno ją zabije. I ciągle musiała się czegoś przytrzymać. Piesi. Tramwaj. Dorożka ze skrzynkami. A potem drogę zajechała im taksówka, zdążająca w przeciwną stronę.

– Czy możecie wreszcie przestać się kłócić? – wydusiła z trudem. – Nie chcę, żeby moje dziecko przychodziło na świat w takiej atmosferze. Weźcie to pod uwagę!

Paul spojrział na nią bezradnie i usiadł spokojniej.

– Jedź, Humbercie! No już. Wyprzedź tego powolnego osła! – kierował nim.

Humbert nacisnął mocniej pedał gazu i niebezpiecznym manewrem wyprzedził konną dorożkę. Stado gołębi poderwało się niespokojnie do góry, jechali co najmniej sześćdziesiąt na godzinę przez bramę Jakoba, samochód się trząsał, a dłonie Lisy zaciskały się na płaszczu Marie. Budynki i łąki przy Haagstraße mijaly ich niczym rozmyte cienie, a ona słyszała uspokajający głos:

– Nie denerwuj się. To tylko mała kłótnia. Twoje dziecko ma życiowe zadanie przed sobą. Musi przyjść na świat, a to bardzo wymagające zajęcie. Zaraz będziemy na miejscu. Liso? Liso, słyszysz mnie?

Przez chwilę faktycznie była zawieszona gdzieś między ziemią i niebem, pływając w szarych, mglistych chmurach, a teraz musiała wrócić do tego męczącego, wrogiego świata. Humbert wziął ostry zakręt w bramie wjazdowej do parku, jechał niczym szalenciec przez aleje, rozpryskiwał brązową wodę z kałuży i wreszcie stanął na dziedzińcu.

– Julius! Gertie! Else!

Paul wbiegł podenerwowany schodami pod drzwi wejściowe, wydał chaotyczne polecenia, czym mocno wystraszył pracowników. Pani von Dobern stała przy wejściu jak wrośnięta w podłogę i patrzyła na samochód, z którego wysiadała teraz Marie.

– Humbercie! – zawołała Marie. – Potrzebujemy fotela wiklinowego z holu. I powiedz Juliusowi, że musi nam pomóc ją wnieść.

Lisa była pewna, że nie przeżyje tego porodu. Takiego bólu nie jest przecież w stanie znieść żaden człowiek. Trzymała się zrozpaczona oparcie przednich siedzeń i dopiero po chwili zorientowała się, że powinna wysiąść, żeby usiąść w fotelu.

– Nie mogę... nie mogę... schody...

– Przecież o tym wiemy, Liso. Wniesiemy cię po schodach do łóżka.

Marie była spokojna i opanowana jak zawsze. Julius chwycił za jeden z podłokietników fotela, Paul stanął po drugiej stronie. Kucharka też przyszła

i złapała za fotel, i nawet Humbert starał się dać z siebie wszystko podczas dźwigania Lisy.

– Kolos Rodyjski jest chyba lżejszy – jęknął Paul.

– Miejmy nadzieję, że fotel wytrzyma – powiedziała z poważną miną Else, która stanęła obok.

– Jeśli upadnie na tych schodach, to będzie koniec – krzyknęła Serafina. – Dlaczego nie zostawimy jej na dole?

– W kuchni jest ciepło, więc tam może urodzić dziecko – rzuciła Dörthe. – Albo w jadalni.

Marie dyrygowała tym „transportem”, nie przejmując się żadnymi uwagami.

– Tutaj, na górę. Powoli. Otwórz drzwi, Else. Gdzie jest Gertie? Niech rozłoży szybko kilka prześcieradeł na łóżku. A być może to nie wystarczy...

– Już dobrze, mama zaraz wezwie położną.

Fotel zaskrzypiał niepokojąco, twarz Juliusa wykrzywiła się z wysiłku, Paul jęknął cicho, a Brunnenmayer, która podpierała fotel z tyłu, nie wydała z siebie żadnego dźwięku, słychać było tylko jej sapanie. Na progu pokoju ułamała się lewa poręcz i po chwili fotel przewrócił się na bok, ale Lisa stanęła już na podłodze.

– Chodź już, nasza nowa rodzino. Szybko na łóżko!

Lisa rozejrzała się, zrobiła kilka kroków i runęła na chłodne, białe prześcieradła, poczuła poduszkę pod głową, a ktoś zdjął jej buty i położył nogi na łóżku, żeby mogła się wyprostować. Wtedy poczuła kolejne skurcze i nagle łóżko, prześcieradła i poduszki stały się zupełnie nieważne. Chwycił ją piekielny ból, który przechodził od jej pleców, przez brzuch i powodował okropny ucisk.

– Marie... Marie, jesteś tu?

Nagle poczuła małą, ale silną dłoń masującą jej brzuch.

– Jestem tutaj, Liso. Jestem przez cały czas przy tobie. Rozluźnij się. Idzie ci bardzo dobrze.

– Chyba teraz jestem tutaj zupełnie zbędny – usłyszała głos Paula.

– W rzeczy samej – odpowiedziała Marie.

– Macie się nie kłócić! – wysapała Lisa.

Minęła godzina. Dwie godziny. Jak długo jeszcze? Była u kresu sił. Przyszła położna i zaglądała do niej co jakiś czas, wkładała jej palec między nogi, naciskała na brzuch i mówiła:

– Już idzie... już idzie!

– Już nie mogę!

– Odwagi!

Marie chłodziła jej rozpalone czoło, dodawała otuchy, trzymała za rękę. Gertie przyniosła kanapki, kawę i słodycze, ale ani Marie, ani Lisa niczego nie tknęły. Położna natomiast rzuciła się na kanapki, piła kawę i zażądała dla siebie porządnego kufła piwa.

– To może potrwać jeszcze całą noc.

Kitty pojawiła się w pokoju, roztargniona i gadatliwa jak zwykle, pogłaskała Lisę po policzku i pocałowała w czoło. A potem opowiedziała o narodzinach Henny i o tym, jak mała słodko wyglądała w swoim beciku.

Trzy godziny, cztery, pięć. Zrobił się wieczór, a potem noc. Czasami skurcze na chwilę ustawały, Lisa leżała wtedy na plecach z zamkniętymi oczami i zaczynała zasypiać. Wtedy jednak przychodziła ta przeklęta położna, robiła coś z jej brzuchem i ból wracał, gorszy niż wcześniej, tak okropny, że wołałaby raczej umrzeć niż znosić to cierpienie.

Gdy nadszedł ranek i blade promienie słońca zaczęły wpadać przez szczeliny w zasłonach, dziecko postanowiło podjąć swoją ostatnią, desperacką próbę.

– Mocno! Niech pani prze! Z całej siły. Mocniej! Mocniej! Nie jest przecież pani słabowitą kobietką. No już! Z całej siły! Niech wychodzi na świat. Niech się pani nie poddaje!

Nie czuła już, co się dzieje. Jej ciało działało bez jej udziału. Ból powoli ustępował i w końcu minął. Usłyszała szepty wokół siebie. Była zbyt zmęczona, by je zrozumieć.

– Co z nim?

– ...złapać za nogi. Połknęło za dużo wód płodowych.

Położna trzymała w górze niebieskawe, okrwawione „coś”, kołysała to, poklepywała, kładła jej na brzuch, poruszała pępowiną i znowu unosiła do góry. Wisiało na swoich drobnych stópkach.

– Dobry Boże w niebie – wyszeptał ktoś koło łóżka.

– Maryjo, Matko Boża, pomóż nam w potrzebie.

To mówiła Else. Lisa patrzyła na tę obcą istotę, która wisiała w powietrzu i najwyraźniej wyszła z jej brzucha. Poruszała się powoli i stękała. Zadrzała mała rączka. Na jej brzuchu wciąż wisiał jeszcze kawałek sznura pępowinowego i wyglądał jak czerwony robak.

– No wreszcie! Silny chłopak. Tylko leniwy jesteś, mój mały. Przez ciebie musiałam zarwać całą noc!

Lisę zupełnie nie obchodziło, co robiła z nią dalej ta kobieta. Pozwoliła po prostu, żeby się to działo. Ledwie zauważyła, że ją umyło, pościelono na nowo łóżko i włożono jej koszulę nocną.

– Ach, Lisa, moja mała Lisa.

To mówiła mama. Siedziała przy jej łóżku i obejmowała ją ramieniem.

– Co za wspaniały chłopiec! Jestem z ciebie taka dumna! Wiesz, co sobie pomyślałam? Możemy go nazwać Johann, co ty na to?

– Tak, mammo.

Jakie to dziwne. Nigdy w życiu tak bardzo nie cierpiała. Ale nigdy wcześniej nie była też tak szczęśliwa.

Z powodu ostatnich radosnych wydarzeń Julius wiele wysiłku włożył w przygotowanie stołu do niedzielnego śniadania. Na białym adamszkowym obrusie leżał śnieżnobiały woal, zdobiony koronkowymi haftami. Trzy jasnoczerwone amarylisy w otoczeniu zielonych sosnowych gałęzi zdobiły środek stołu, do tego wybrał pasującą zastawę marki Riess Streublumen i serwety z materiału, które Alicia przywiozła w posagu do willi. Miały monogram: „A”, potem małe „v” i na końcu „M”. Alicia von Maydorn.

– To bardzo miłe, Juliusie – zauważył Paul. – Niech pan poczeka z kawą, aż przyjdą nasze panie.

– Oczywiście, panie Melzer.

Julius postawił czajniczek na podgrzewaczu i wyszedł. Był nieco staromodnym, dobrym chłopakiem. Zupełnie sztywny i twarz jak maska, jakby nic nie było w stanie go poruszyć. Cóż, manier uczył się w szlacheckiej posiadłości.

Paul usiadł na swoim miejscu i patrzył na zegar. Już dziesięć minut po ósmej – dlaczego mama ostatnio przychodziła na śniadanie zawsze w ostatniej chwili? Wcześniej to ona narzekała na niepunktualność rodziny, a teraz sama nie trzymała się ustalonych pór posiłku. Odwrócił się i zaczął uderzać palcami w blat stołu. Co się ze mną dzieje?, pomyślał. Dlaczego od rana mam taki pieski humor? Przecież jest niedziela, a msza zaczyna się o jedenastej. Jest jeszcze mnóstwo czasu, żeby zjeść w spokoju śniadanie. Ale mimo to czuł dyskomfort i zdawał sobie sprawę, że ma to związek z wydarzeniami, które będą miały miejsce po południu. Koło drugiej Kitty przywiezie dzieci do posiadłości, więc musi pomyśleć, jak spędzić z nimi czas. Myślał o tym pół nocy, snuł różne plany, wszystkie jednak okazały się kiepskie. Rozczarowanie ostatnim byciem razem ciągle psuło mu humor. Wiedział, że tylko wtedy zechcą częściej się z nim spotykać, jeśli wymyśli ciekawsze zajęcia i sprawi obojgu radość.

Ale Leo stał z zamkniętymi oczami przed maszyną parową i zatykał uszy. A Dodo, ta mała wścibska dziewczynka, cała się ubrudziła czarnym smarem, bo podeszła za blisko do walca. Musiał ją odciągnąć od maszyny, bo mogłaby jej obciąć palce. Później, gdy siedzieli w samochodzie, próbował im wytłumaczyć, że wszystkie urządzenia w przyszłości będą zasilane elektrycznie i maszyna parowa będzie stała w fabryce zupełnie bezużyteczna. Ale to zupełnie nie obchodziło młodych paniczek. A byli już przecież dość

duzi, żeby zrozumieć takie kwestie. On sam był bardzo zadowolony, gdy ojciec regularnie zapoznawał go z pracą wykonywaną w fabryce.

– Dlaczego nigdy nie proponujesz im czegoś przyjemnego? – zapytała Kitty, gdy odbierała dzieci. – Idź z nimi do cyrku. Albo do kina. Albo pokaż im, jak się łowi ryby. Czy ty nie biegałeś z przyjaciółmi po łąkach i nie łowiłeś ryb w strumieniu?

Poprosił, żeby zostawiła swoje rady dla siebie. Cyrk! Kino! Czy on ma być dostawcą rozrywki? Nie miał zamiaru w tak naiwny sposób zaskarbiać sobie miłości swoich dzieci. Był odpowiedzialny za ich rozwój, miał obowiązek je wychowywać, wyznaczać drogę ich przyszłości. A poza tym w strumieniu od dawna nie było ryb.

No wreszcie! Mama w końcu zeszła, a u jej boku była oczywiście niestrudzona Serafina. Obie przywitały go serdecznie, pochwałyły Juliusa za piękne udekorowanie stołu i zajęły swoje miejsca.

– Byłyśmy u Lisy i małego – powiedziała mama, rozkładając serwetkę. – Mój Boże, zobacz, Serafino, te hafty były robione dobre czterdzieści lat temu. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że będę panią Melzer i że los zaprowadzi mnie do Augsburga.

– Och, jakie piękne – zachwycała się Serafina, oglądając uważnie hafty. – Tak doskonałą pracę rzadko się dzisiaj widuje.

Julius nalał kawę i sięgnęli po koszyk z niedzielnymi bułeczkami, które kucharka dopiero co wyciągnęła z pieca. Mama opowiadała z błyszczącymi oczami o małym Johannie, że jest taki różowutki, że tak grzecznie leży w kołysce i ma piąstki grube jak przyszły bokser.

– Gdy się urodził, ważył prawie osiem funtów, wyobraźcie sobie tylko. Ty ważyłeś jedynie sześć, Paul.

– Ach, tak? Jakoś sobie niestety nie przypominam.

Nikt się nie zaśmiał z jego żartu. Serafina przekroiła jego bułki i posmarowała masłem, a mama dalej mówiła, że Lisa ważyła siedem funtów, a Kitty niecałe sześć. Przytaknął i stwierdził, że to dość osobliwe, gdy kobiety klasyfikują niemowlęta według wagi w funtach i gramach. No i w związku z tym powinien być zły, że jego siostra Lisa ważyła o cały funt więcej od niego.

– Jaka jestem szczęśliwa, że poród dobrze przebiegł – powiedziała mama i westchnęła. – Nie chciałam o tym nikomu mówić, ale nie przespałam z nerwów wiele nocy. Lisa w tym roku kończy trzydzieści dwa lata – jak na

pierwsze dziecko jest już bardzo stara.

Serafina się nie zgodziła. To nie zależy od wieku, tylko od organizmu. Lisa zawsze była silna i oczywiście cieszyła się „łaskawą młodością”. Piła, rzecz jasna, do młodych kobiet z dzielnic robotniczych, które często już w wieku trzynastu lat zadają się z mężczyznami.

– Narzekają, że muszą świętować chrzest dziecka bez ojców – powiedziała złośliwie.

Paul poczuł na sobie szukający wsparcia wzrok mamy, ale nie miał ochoty poruszać tych delikatnych kwestii przy gospodyni. Wczoraj rozmawiał krótko z Kitty na ten temat i powiedziała, że Lisa najpewniej zwierzyła się Marie. O ironio! Nic się nie zmieniło – musiał porozmawiać z Marie! Lisa, ta zamknięta w sobie kobieta, milczała uparcie na temat ojca swojego dziecka.

– Cóż, jako rozwiedziona kobieta Lisa powinna wycofać się z życia publicznego – powiedziała Serafina. – Przede wszystkim dlatego, że rodzina Melzerów odgrywa w Augsburgu ważną rolę i byłoby to niezwykle krępujące.

– Czy jest pani uprzejma jak bułka? – przerwał jej.

– Co proszę?

– Ach, chciałem zapytać, czy jest pani tak uprzejma i może podać mi bułkę, pani von Dobern?

– Z przyjemnością, drogi Paulu.

Ależ jej słowa działały mu na nerwy! Czy nie zauważyła, że zwracał się do niej po nazwisku? W żadnym razie nie życzył sobie, żeby go nazywała „drogim Paulem”.

– Jestem taka ciekawa, co Leo i Dodo powiedzą o swoim nowym kuzynie – powiedziała mama. – Kitty przywiezie oboje na obiad, prawda?

– Zgadza się.

Odchrząknął, bo jakiś okruszek utkwiał mu w gardle, i podstawił Juliusowi filiżankę, żeby mu dolał kawy. Denerwujące. Wciąż nie miał żadnego pomysłu. Może jednak powinien pójść z nimi do kina? Ci amerykańscy komicy wydają się rzeczywiście zabawni. Buster Keaton. Charlie Chaplin. Ale czy to nie strata czasu, gdy będzie z nimi tam siedział? Porzucił dalsze rozmyślenia, bo Julius ruszył szybko do drzwi. Na śniadanie przyszła bowiem Lisa. Wciąż pulchna, za to z zaróżowionymi policzkami i uśmiechem wyrażającym zadowolenie. Gdy weszła, pozdrowiła wszystkich i zajęła swoje miejsce.

Julius, który nie przygotował dla niej nakrycia, uwijał się teraz pośpiesznie, żeby postawić przed nią filiżankę, talerz, serwetę i sztucce.

– Jest mi nieskończenie przykro, pani von Hagemann, nie sądziłem, że zejdzie pani tutaj na śniadanie.

– W porządku, Julius, spokojnie. Dziękuję za kawę. Czy jest może herbata?
– Alicia pogłaskała jej rękę i zapytała, czy maluch śpi. Czy jadł? Czy zgadza się, żeby przyszła do willi Rosa Knickbein, bo to sprawdzona opiekunka?

– Opiekunka, jak najbardziej. Ale mamki nie potrzebuję, mammo. Mleko aż się ze mnie wylewa.

Serafina siedziała wciąż ze sztywną miną, nawet Paul nie uważał za stosowne poruszanie tego tematu przy śniadaniu. Cieszył się z macierzyńskiego szczęścia Lisy. Z mężem czy bez – po raz pierwszy wydawała się naprawdę zadowolona z życia. Z triumfalnym wyrazem twarzy tronowała na swoim miejscu i pozwalała, żeby mama posmarowała jej bułkę masłem i włożyła cukier do herbaty.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, w porze obiadowej Dodo i Leo przyjadą w odwiedziny? Wiesz już, co będziecie robić, Paul?

Dlaczego właściwie miał rozmawiać na ten drażliwy temat z członkami swojej rodziny?

– Jeszcze nie do końca – odburknął ponuro.

– Dodo z pewnością będzie chciała oglądać samoloty, a Leo ma tylko jedno w głowie – grę na pianinie – powiedziała Lisa z lekko kpiącym uśmiechem.

– Dzieci już bardzo wcześnie powinny się nauczyć szanować życzenia rodziców – odezwała się Serafina. – To nie zawsze się im podoba, ale jest konieczne. Nie chcemy przecież wychowywać rewolucjonistów, prawda? Punktualność, pilność i przede wszystkim poczucie obowiązku to gwarancja udanego życia.

– Ma pani rację, droga Serafino – powiedziała mama, zanim Lisa zdążyła się odezwać. – Uważam też, że powinno się włączyć w wychowanie naszych dzieci szacunek dla pruskich cnót.

Lisa rozbijała głośno skorupkę jajka, a Paul milczał. Zasadniczo nie miał nic przeciwko tym słowom, chociaż...

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, drogi Paulu, pójdę sobie z naszą dwójką na miły spacer – zaproponowała Serafina.

– Cudownie – uznała mama. – A potem wypijemy razem kawę i zagramy

w „Człowieku, nie irytuj się”.

– O tak, bliźniaki będą zachwycone – skomentowała ironicznie Lisa.

– Moja droga Liso – powiedziała Serafina z łagodnym uśmiechem. – W kwestii wychowywania dzieci musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Lisa gryzła w milczeniu kawałek bułki z masłem i patrzyła na Serafinę. Zapanowała krótka cisza, słychać było nawet delikatne popłakiwanie z drugiego piętra, które zamieniło się w kwilenie. Lisa chciała wstać, Serafina zatrzymała ją łagodnym, ale stanowczym ruchem ręki.

– Nie, nie, to tak nie działa. Musisz nauczyć syna jedzenia w ściśle określonych porach. Inaczej zrobisz z niego małego tyrana.

– Ale on jest głodny!

Pani von Dobern złożyła ostrożnie serwetę i położyła obok talerza.

– On nie umrze, jeśli trochę popłacze i pokrzyczy, Liso. To wzmacnia płuca.

Paul to przeczuwał, zresztą dobrze znał swoją siostrę. Lisa kumulowała swój gniew i najczęściej wybuchwała wtedy, gdy nikt się tego nie spodziewał. Naczynia zadrżały, a czajniczek z kawą niemalże spadł z podgrzewacza, gdy Lisa obiema pięściami uderzyła w stół.

– Miarka się przebrała! – krzyknęła z wściekłością.

– Liso! – mama westchnęła z przerażeniem. – Proszę cię!

Ale Lisa nie zwracała na nią uwagi.

– Możesz sobie grać na nosie mamie i Paulowi, Serafino. Mnie nie będziesz mówić, jak mam zajmować się własnym dzieckiem!

Serafina oddychała tak szybko, że wydawało się, iż zaraz spadnie z krzesła.

– Ależ Liso, opanuj się. Nie denerwuj się, droga Alicio, kobiety w połogu mają skłonności do hysterii.

To były niewłaściwe słowa wypowiedziane w złym czasie i doprowadziły do prawdziwej eksplozji gniewu Lisy.

– Przestań chować się za mamą, ty fałszywa żmijo! – krzyczała Lisa. – Marie ma całkowitą rację, jesteś podłą intrygantką. Odkąd się wprowadziłaś do tego domu, są tylko wieczne nieszczęścia i kłótnie.

Lisa przypominała teraz starożytną boginię zemsty. Dobrze odkarmioną boginię zemsty. Serafina spojrzała bezradnie na Alicię, a potem na Paula. Poczul się zmuszony do uspokojenia Lisy, ale nie udało mu się dojść do

słowa.

– Chcę ci coś powiedzieć, mamó – ciągnęła Lisa, rzucając gniewne spojrzenia w stronę Serafiny. – Nie mam zamiaru jeść posiłków w obecności naszej gospodyni. Jeśli dalej będziesz mnie do tego zmuszać, zabiorę dziecko i pojedę prosto na Frauentorstraße do Kitty.

Paul dostrzegł, że mama zamarła. Marmolada truskawkowa spływała z bułki po jej ręce, robiąc czerwony kleks na talerzu. Paul postanowił podjąć ostrożną próbę.

– Proszę, Liso. Nie chcemy tutaj dramatów.

– Mówię to z pełną powagą, Paul – zwróciła się do niego siostra. – Dzisiaj jeszcze spakuję moje torby.

– Nie – odpowiedziała mama stanowczo. – Nie zrobisz tego, Liso. Nie pozwolę ci na to. Serafino, przykro mi.

Stało się coś niewiarygodnego. Pod napominającym wzrokiem mamy pani von Dobern podniosła się z krzesła, spojrzała pytająco na Paula, który uniósł ramiona, co oznaczało, że nie chce się mieszać. Julius stał przy drzwiach z niewzruszoną miną, tylko jego oczy zrobiły się tak wielkie, jakby za chwilę miały wypaść z oczodołów. Gdy otworzył drzwi Serafinie, żeby wypuścić ją na korytarz, jego ukłon był zamaszysty jak zawsze.

– Właśnie! – powiedziała Lisa i napiła się herbaty. – Teraz czuję się znacznie lepiej!

– Czy ta scena była konieczna? – zapytał zirytowany Paul. – Rozumiem twoje odczucia, ale czy nie można było tego zrobić bardziej dyskretnie?

Lisa spojrzała na niego w dziwny sposób. Przekornie i triumfująco. Nie odpowiadając mu, zwróciła się do Alicii:

– Bądź tak miła, mamó. Musisz mi pomóc przy przewijaniu. Gertie jest jeszcze na dole w kuchni.

– Znowu okropnie rozboleła mnie głowa, Liso. Else niech ci pomoże.

Lisa wstała, ewidentnie rozpieła ją energia.

– Else? Dobry Boże. Ona przecież zemdleje, gdy otworzy pieluchę i zobaczy, co jest w środku. No chodź, mamó. Twój wnuk cię potrzebuje. Ból głowy możesz mieć później.

Alicia uśmiechnęła się słabo i stwierdziła, że już od bardzo dawna nie przewijała dziecka, a i wtedy robiły to głównie opiekunki. Mimo to się

podniosła i poszła za Lisą. Gdy Julius otworzył im drzwi, słyhać było głośne krzyki małego Johanna.

Co to były za sceny! Prawdziwe trzęsienie ziemi! Paul, który został w jadalni, poczuł nagle ogarniające go przygnębienie. Wstał, podszedł do okna i rozsunął zasłony, a potem wpatrzył się w zimowy krajobraz. Tutaj wtedy stał. Tata nalał mu whisky, żeby go uspokoić, gdy Marie na górze rodziła ich dzieci. Jak dawno to było? Minęło dziewięć lat. Teraz tata nie żył, a Marie odeszła. Swoje dzieci widywał sporadycznie. Jak to się mogło stać? Kochał przecież Marie bardziej niż kogokolwiek. I kochał swoje dzieci. Cholera! Nawet jeśli nie były takie, jak oczekiwał, pochodziły wszak z jego krwi i ciała. Kochał je. Coś trzeba było zrobić. Mur musi zostać zburzony. Kamień po kamieniu. Nieważne, ile go to będzie kosztowało. Nieważne, ile będzie musiał poświęcić. Nie odpuści, dopóki znów nie będzie ich miał przy sobie. Bo bez nich nie widział powodu, by żyć.

Po obiedzie, który odbył się bez Serafiny, stał w oknie swojego gabinetu i czekał. Wrony przykucnęły na gałęziach, ziemia była mocno zamrznięta, drobne płatki śniegu, jak małe lodowe igiełki, wirowały w powietrzu. Gdy zobaczył samochód Kitty, który nieco nieporadnie jechał przez park, wciąż nie miał żadnego planu. Wiedział tylko jedno: chciał spędzić to popołudnie ze swoimi dziećmi, być blisko nich.

Zobaczył, jak Kitty dwukrotnie okrąży klomb na dziedzińcu, co z pewnością robiła, żeby sprawić przyjemność bliźniakom. Gdy wreszcie się zatrzymała, najpierw z samochodu wygramoliła się Dodo, a potem Leo. Wysiadł, ociągając się, niemalże niechętnie. Trzymał w ręce futrzaną czapkę, a Dodo próbowała ślizgać się po oblodzonej kostce, ale natychmiast przestała. Ślizgawka!, pomyślał. Taką właśnie my chłopcy zrobiliśmy sobie na polnej drodze. Jeden za drugim ślizgaliśmy się, aż zrobiła się gładka jak lód. I gdy sprawiało nam to już tak wielką radość, rolnicy nas przepędzili...

Zszedł schodami do holu, gdzie Gertie zabierała od dzieci płaszcze i zmusiła oboje do zdjęcia butów. Dodo zachichotała, bo razem z butem zdjęła lewą skarpetkę, a Leo próbował tak rzucić futrzaną czapkę, żeby zawisła sama na wieszaku. Gdy zobaczyli Paula, zrobili poważne miny.

– Dobrze się macie?

Dodo położyła skarpetkę i dygnęła, a Leo natychmiast odpowiedział posłusznie:

– Tak, tato.

– Dzień dobry, tato.

Ależ byli oficjalni. Czy on od nich tego kiedykolwiek wymagał? Zaboląo go to. Nie chciał, żeby jego dzieci witały go tak, jakby był ich nauczycielem. Kitty wyłoniła się nagle z tylnej części holu, gdzie przed lustrem poprawiała fryzurę.

– Jak się mają, Paul? Dobrze, oczywiście. Wspieramy naszą bandę urwisów i dbamy o nich, karmimy je i cerujemy ich rzeczy. Dzień dobry, braciszku. Pozwól, że cię uściskam. Wyglądasz dzisiaj tak ponuro. Masz jakieś zmartwienie?

– Ach, Kitty.

Zaśmiała się i chwyciła dzieci za ręce.

– Musicie być dzisiaj bardzo cicho. Jak myszki, tak? Bo obudzicie dziecko. Gertie? Co tam słychać na górze? Bliźniaki chcą zobaczyć swojego kuzyna.

– Myślę, że właśnie jest karmiony piersią.

– Ach, mój Boże – powiedziała Kitty. – Nic nie szkodzi, to jest właśnie życie, dzieci. Niemowlę przecież pije mleko z piersi matki.

Paul po raz kolejny miał wrażenie, że wszystko się dzieje obok niego. Poszedł za Kitty, która prowadziła dzieci na drugie piętro i zniknęła wraz z nimi w pokoju Lisy. On sam był nieco bezradny, stojąc sam w korytarzu, i uważał, że w takiej sytuacji nie musi tu czekać.

– Else, niech pani powie dzieciom, że czekam na dole w gabinecie.

Trwało to dłużej, niż przypuszczał, zaczął więc przeglądać katalog maszyn sprzedalniczych, ale nie mógł się skupić. Wreszcie usłyszał głos Kitty na korytarzu:

– Bądźcie pięknie grzeczni, wy dwoje. Do wieczora.

– A kiedy przyjedziesz, ciociu Kitty? – zapytał Leo.

– Nie za późno, prawda? – prosiła Dodo.

– Myślę, że tak koło szóstej.

Usłyszał westchnienie na dwa głosy, a potem pukanie do drzwi.

– Idę – rzucił. – Ubierajcie się, idziemy do parku.

Szepty pod drzwiami. Gdy wyszedł na korytarz, oboje podskoczyli i zrobili pogodne miny.

– Czy pani von Dobern pójdzie z nami? – zapytała Dodo.

– Nie.

Wydawało się, że to ich uradowało. Prawie się uśmiechał, gdy widział, jak biegną przez hol, wkładają buty i ściągają płaszcze z wieszaka. Podbiegła do nich Gertie, zawiązała im wełniane szaliki, a Paulowi przyniosła płaszczyk i kapelusz.

– Idziemy na spacer? – dopytywał się Leo podejrzliwie.

– Zobaczymy. Dlaczego nie wkładasz czapki? Jest zimno.

Leo obracał futrzaną czapkę w rękach, marszczył brwi i w końcu wsunął ją niechętnie na głowę.

– Co jest z nią nie tak? – chciał wiedzieć Paul.

– Nic, tato.

Zaczął się niecierpliwić. Dlaczego kłamał? Nie ufał mu?

– Leo, zapytałem cię o coś!

Zamilkł, bo sam słyszał, jak gniewnie zabrzmiał jego głos. Dodo przyszła bratu z pomocą.

– On nie cierpi tej czapki, tato, bo ona łaskocze. I dlatego, że chłopcy z klasy się z niego śmieją.

Aha, przynajmniej dostał jakiegokolwiek wyjaśnienie. Mógł nawet coś z tym zrobić.

– Czy to prawda, Leo?

– Tak, tato.

Zawahał się. Marie mogła to oczywiście źle odebrać, bo podarowała mu tę czapkę na Gwiazdkę. Ale z drugiej strony...

– A jaką czapkę chciałbyś mieć?

Syn spojrzał na niego z niedowierzaniem. W jego wzroku Paul dostrzegł znowu cień podejrzliwości i poczuł przeszywający ból. Leo nie miał do niego zaufania.

– Taką jak inni.

W nadchodzącym roku Leo zmieni szkołę na gimnazjum dla chłopców, więc temat czapki powinien zniknąć, ale do tego czasu...

– W takim razie pojedziemy najpierw do miasta, a ty mi pokażesz na wystawie, jaką czapkę byś chciał.

– I... i ty mi wtedy taką kupisz? – zdziwił się Leo.

– Jeśli tylko będzie mnie na nią stać!

Uśmiechnął się, włożył kapelusz i poszedł przodem, żeby wyprowadzić samochód z garażu. Na tylnym siedzeniu słychać było szeptanie. Ta dwójka faktycznie trzymała sztamę. Wyizolowany front brata i siostry.

– Tata jest przecież bogaty! – usłyszał głos Dodo.

– Tak – odpowiedział Leo. – Ale nie kupił mi nigdy czapki. A poza tym dzisiaj jest niedziela i dzisiaj sklepy są zamknięte.

– Sam zobaczysz.

Paul zrozumiał nagle, że znacznie łatwiej mu będzie odzyskać serce córki. Dodo była otwarta, wychodziła mu naprzeciw. I wydawało się, że mu ufała.

– Tato?

Jechał powoli i ostrożnie wzdłuż alei parkowej aż do bramy i zaczął się zastanawiać, gdzie zaparkować samochód w mieście.

– O co chodzi, Dodo?

– A czy ja też mogę kiedyś poprowadzić?

Teraz pozwoliła sobie na zbyt wiele. Usłyszał nagle napominający głos pani von Dobern i to go zdenerwowało.

– Nie, Dodo. Dzieci nie mogą jeździć samochodami.

– Chciałabym tylko trochę pokierować, tato.

Hm, właściwie dlaczego nie. To był jego park, jego alejka. Nikt nie mógł mu zarzucić łamania przepisów na własnym terenie.

Zatrzymał auto.

– Chodź do przodu. Uważaj, żebyś nie ubrudziła foteli brudnymi butami. No... Usiądź teraz na moich kolanach.

Było w niej tyle entuzjazmu! Jak ścisnęła kierownicę. Z jaką powagą podchodziła do sprawy. Oczy miała zmrużone, zdecydowaną minę, usta zaciśnięte. Jechał tak wolno, jak tylko się dało, pomagając jej, gdy brakowało jej siły, a potem ją pochwalił i powiedział, że na dzisiaj wystarczy.

– Szkoda! Gdy będę duża, ciągle będę jeździć samochodem! Albo będę latać awionetką. Szybowiec też mógłby być.

Poczekał, aż przejdzie na tylne siedzenie, spojrzał pytająco do tyłu, ale Leo

milczał. Wydawało się, że nie ma ochoty usiąść za kierownicą.

O tej porze w niedzielę w handlowej części miasta był niewielki ruch, gdyż chłód zatrzymał większość mieszkańców Augsburga w ciepłych domach. Jedynie kilku spacerowiczów oglądało sklepowe witryny, głównie damy w futrach i panowie z laskami i w sztywnych kapeluszach. Paul zatrzymał się z dziećmi przed głównym domem towarowym, ale żadna z wystawionych czapek dziecięcych nie przypadła Leo do gustu.

– To jak powinna wyglądać?

– Tak jak ta, którą ma Walter. Brązowa z klapkami na uszy, które można wyłożyć na zewnątrz. I jest dłuższa z przodu, z takim jakby daszkiem.

– Rozumiem.

Znalazł specjalny sklep z modą sportową i tam rzeczywiście była pożądana czapka. Nie miała jedynie kłapek na uszy, ale i tak nie była zła.

– Taka, prawda?

– Tak, właśnie taka, tato!

Wreszcie dostrzegł promień szczęścia w niebieskich oczach syna. Postali przez chwilę przed „domem kapeluszy”, gdzie Dodo nie mogła się napatrzeć na różne eleganckie damskie modele, a gdy dostrzegli po drugiej stronie ulicy cukiernię Zeilera i postanowili tam pójść, Dodo nagle stanęła jak wryta przy księgarni. „Eisele. Sztuka i druk książek. Gazety, książki ilustrowane, literatura”.

– Książka, tato!

Wskazała na pracę oprawioną w brązowy len, ze złotym tłoczeniem: Otto Lilienthal *Lot ptaków jako podstawa dla sztuki lotniczej*.

– To jest książka specjalistyczna, Dodo. Napisana trudnym językiem. Nie zrozumiesz z niej ani słowa.

– Ależ tak!

– To nie ma sensu, Dodo. Nie da ci żadnej przyjemności.

Ale była uparta. Dręczyła go myśl, czy przypadkiem nie odziedziczyła tego uporu po swojej babce. Nie po mamie oczywiście, tylko po Luise Hofgartner.

– To jest bardzo proste, tato. Samolot lata jak ptak. Bo przecież ma dwa skrzydła.

W tej sytuacji na szczęście miał asa w rękawie. I nie zawahał się go użyć.

– Mamy tę książkę u nas w bibliotece, Dodo. Tam możesz ją obejrzeć.

– Naprawdę? Czyli jedziemy natychmiast do willi!

Co za szalona dziewczyna! Lalka, którą kupiła jej mama, siedziała porzucona na sofie. Zamiast tego panienka chciała koniecznie czytać książkę o sztuce latania, która zdecydowanie przekraczała jej możliwości.

– Moglibyśmy pójść do kina. Chcecie zobaczyć, co pokazują w Kapitole?

Zainteresowanie było umiarkowane. Dodo chciała natychmiast jechać do posiadłości, a Leo wzruszył ramionami.

– Jeśli chcesz – powiedział znudzony.

Paul musiał znów się opanować, żeby nie wybuchnąć gniewem. W końcu sam był sobie winien, że zapytał. Stanęli przed sklepem muzycznym Dolgesa i patrzyli na wypolerowane czarne skrzydło fortepianu, który ustawiono obok dwóch instrumentów z wysuwanymi świecznikami i rzeźbionymi nogami.

– Te są mało warte – powiedział Leo odważnie.

– Dlaczego?

– Bo to musi być prawdziwy duży fortepian. Od Bechsteina. A nie taki tani rupieć.

Niewiarygodne. Skąd w jego synu tyle arogancji? W końcu cena za ten fortepian wcale nie była taka niska.

– Dlaczego właśnie bechstein?

– Są najlepsze, tato. Ferenc Liszt grał tylko na bechsteinach. Pani Ginsberg zawsze mówi...

Zatknął się i spojrzał niepewnie na Paula.

– Co zawsze powtarza pani Ginsberg?

Leo się zawahał. Wiedział przecież, że tata nie był zadowolony z lekcji fortepianu u pani Ginsberg.

– Mówi, że bechsteiny mają klarowne i do tego dynamiczne brzmienie. Żadne inne im nie dorównują.

– Ach tak.

Pojechali do willi i pokazał im miejsce na dziedzińcu, idealne, by zrobić ślizgawkę. Dodo była zachwycona, a Leo początkowo się wstydził, ale potem udowodnił, że bardzo dobrze wie, o co chodzi w tej zabawie.

– Ślizgamy się też na Pausenhof, ale tylko wtedy, gdy pan Urban nie patrzy.

Wszyscy troje mieli świetną zabawę, gdy ślizgawka naprawdę została uruchomiona. Chwilę później przyszedł Humbert, który okazał się bardzo wprawny w ślizganiu się po lodzie, a spróbować też chciał nawet Julius. Udało się także namówić Gertie. Else i Brunnenmayer stały przy oknie kuchennym, kibicując im, a mama krzyczała do nich z góry, że już wystarczy. Mieli przestać, bo zachowywali się jak dzieci i narażali swoje zdrowe kości. Gdy Kitty przyjechała po nich o wpół do siódmej, Dodo siedziała obok Paula w bibliotece i pozwalała sobie tłumaczyć, na czym polega przepływ energii elektrycznej, a Leo grał na pianinie Debussy'ego.

– To już? – zapytał Leo rozczarowany.

Marzec 1925

Ebert nie żyje.

Auguste trzymała na kolanach małego Fritza i próbowała wmusić w niego kolejną łyżkę potrawy z marchewki. Fritz trząsał energicznie głową, a jego policzki robiły się niebezpiecznie pękate.

– Kto nie żyje?

Gustav spojrział znad gazety, którą rozłożył na stole. Było ich teraz stać na „Augsburger Neueste Nachrichten”. Krzesła i stół były nowe. Podobnie jak bufet, na którym stała brązowa skrzynka z okrągłą wstawką z materiału oraz dwoma przyciskami do kręcenia. Radiodbiornik – duma Gustava.

– Prezydent Rzeszy, Friedrich Ebert. Zmarł na zapalenie wyrostka robaczkowego.

– Tak?

Fritz wypluł marchewkę, która rozprysnęła się po stole, gazecie, dywanie i kurtce Auguste. Na Gustava też trochę poleciało.

– Ale się chłopak musiał napchać – mruknął i wytarł ręką marchewkę z twarzy.

Auguste postawiła wierzgającego Fritza na podłodze, a mały pośpiesznie na własnych, choć jeszcze nieco chwiejnych nogach pobiegł dalej. Hansl, który czekał cierpliwie, mógł teraz zjeść zostawioną breję. Hansl nie był wybredny, pochłaniał wszystko, co mu dano. Czasami nawet rzeczy, których nie powinien jeść, jak niedopałki papierosów czy korki od butelek. Auguste wróciła ze szmatką, żeby wytrzeć z nowych mebli pomarańczowe plamy.

– Idziesz dzisiaj na budowę? – zapytała Gustava.

Milczał ponuro. Za zimno. Zaprawa nie będzie twardnieć. Trzeba poczekać, aż zrobi się ciepło. Mury, na których będzie leżał dach, musiały być mocne. Żelazne słupy i podpory zostały postawione, zrobił je ślusarz Muckelbauer, a Auguste zapłaciła mu gotówką. Dostarczono też duże szyby.

– Żeby tylko udało się wstawić okna, zanim znów zacznie padać.

Nowa szklarnia dawno powinna być gotowa, ale Gustav nie był mistrzem budownictwa, a ludzie, których wziął do pomocy, też nie byli fachowcami.

Wykopali ziemię, postawili kilka niewielkich murków, a mimo ich wysiłku i trudu podłoga wciąż nie była gotowa. Potem zaczęło padać, budynek w stanie surowym jeszcze nie miał dachu i wszystko pływało w wodzie. Liesl powiedziała, że szklarnia jest wspaniała, bo mają w niej teraz własny basen. Potem w grudniu woda zamarzała, więc przychodził tam Maxl ze swoimi kolegami ze szkoły i ślizgali się po całej powierzchni, mając przy tym wiele frajdy.

Teraz, w marcu, powinni sadzić pierwsze sadzonki. Gustav już je właściwie posadził i porozstawiał donice w każdym oknie w domu. Ale była to kropla w morzu – szklarni, która powinna w tym czasie wyglądać już zupełnie inaczej.

– Zobacz, jak to szybko może się zmienić – mruknęła Auguste, ścierając marchwiową papkę z polerowanego drewna radioodbiornika. – Ten pan Ebert wcale nie był przecież stary.

– Jeśli taka wola Pana Boga – mruknął Gustav, przewracając gazetę, żeby spojrzeć na ogłoszenia.

Auguste złapała Fritza, który wymyślał w salonie jakieś swoje dziecięce zabawy, i przyniosła go do kuchni. Miała więc powód, żeby zamknąć drzwi kuchenne, nie wzbudzając podejrzeń Gustava. Martwiła się, że siedział tutaj beczynnienie, bo zawsze wtedy przychodziły mu do głowy jakieś dziwne myśli. Kiedy wreszcie się ociepli, będzie mógł pracować na zewnątrz. Był jednym z tych, którzy muszą grzebać w ziemi, tylko wtedy był szczęśliwy. Auguste postawiła Fritza na podłodze i dała mu do ręki łyżkę kuchenną, miał dzięki niej więcej frajdy, niż gdy bawił się tą drogą zabawką, którą podarowała mu na Boże Narodzenie. Klocki służyły mu jedynie do rzucania, a blaszana zabawka Maxla już dawno została zniszczona. Tylko piękna lalka w różowej sukience z falbankami była wciąż cała, Liesl pilnowała jej jak oka w głowie i postawiła wysoko na szafie, żeby bracia nie mieli do niej dostępu.

Gdy mały raczkował po kuchni i uderzał łyżką w kuchenkę, a potem w drewnianą skrzynkę i krzesło, Auguste podwinęła obrus i wyciągnęła spod stołu zeszyt z wydatkami domowymi. Otworzyła go z westchnieniem, przekartkowała, uporządkowała rachunki, które do niego włożyła. Większość z nich na szczęście już była zapłacona, należało zapłacić za nasiona, które kupił Gustav, oraz za dwie łopaty i szpadel. I szklarzowi byli winni sto marek. Rachunek włożyła z powrotem do zeszytu. Ale ponieważ jedna z szyb potłukła się podczas wyładunku, zapłacą dopiero wtedy, gdy zepsuta zostanie wymieniona.

Ta wielka fura pieniędzy, którą pożyczyła od Jordan, rozeszła się szybciej, niż sądziła. Pod swoim materacem trzymała jeszcze sześćset marek, ale to była żelazna rezerwa, z której musieli zapłacić za szyby i robotnika, który będzie zakładał dach na szklarni i dopasowywał okna. Mocniej wysunęła szufladę i sięgnęła po skórzaną portmonetkę. Dobra brązowa skóra, dostała tę portmonetkę lata temu na Boże Narodzenie od Melzerów. Było to wtedy, gdy wyszła za Gustava, a więc jeszcze przed wojną. Pani Melzer dała jej też wtedy dwadzieścia marek, za co kupiła ubranka dla Maxla i dobre spodnie dla Gustava. Skóra była już co prawda nieco zniszczona, ale wciąż bardzo trwała, niestety jej zawartość stanowiły jedynie drobne fenigi. Wyciągnęła z niej trzy marki, ale to nie wystarczy na dzisiejsze zakupy. Zerwała się nagle na równe nogi, bo Fritz prawie zrzucił z pieca pełny garnek wody, więc dała mu blaszaną miskę, żeby mógł w nią walić łyżką kuchenną. Potem usiadła znowu i zastanawiała się, co trzeba było jeszcze zrobić.

Ta przeklęta, podstępna Jordan! Auguste podejrzewała, że w jej wspaniałomyślnej ofercie było coś podłego. Przez pierwsze miesiące będziesz płacić bardzo mało, prawie nic. Dokładnie przez dwa miesiące ta żmija zostawiła ją w spokoju. A potem napisała list, w którym zażądała, że od teraz mają jej spłacać pięćdziesiąt marek miesięcznie. W styczniu podniosła ratę do siedemdziesięciu i zagroziła, że wezwie komornika, jeśli Auguste Bliefert będzie zalegała ze spłatą dłużej niż miesiąc.

Auguste wsadziła Fritza do wózka, wzięła za rękę Hansla i, niewiele myśląc, poszła do Milchbergu, żeby porozmawiać z tą chciwą kobietą. Ale Jordan uśmiechnęła się chłodno, pomachała jej podpisaną umową przed nosem i oznajmiła, że w nadchodzącym roku Auguste będzie musiała zapłacić jej wiele pieniędzy i że to dopiero początek.

– Tak to właśnie jest, gdy się coś buduje. Pożyczyłam ci pieniądze, więc też chcę mieć coś z tego, że właśnie dzięki nim robisz interes. Bo robisz, prawda?

– Oczywiście. Ale szklarnia jeszcze nie stoi, a zimą nie mieliśmy towaru na sprzedaż. Nie mogę więc teraz spłacić odsetek.

To jednak nie obchodziło Jordan. Czy Auguste sądziła, że te pieniądze to prezent? Za jej piękne oczy albo tych dwóch smarkaczy, których ze sobą przyprowadziła?

– Muszę ciężko pracować na pieniądze, które zarabiam – stwierdziła Jordan.
– Nikt mi nie dał niczego za darmo, Auguste. I dlatego ja też niczego nie daję. Więc albo zapłacisz, albo pójdę do sądu i zajmę twoją własność.

Auguste wróciła do domu rozgniewana. Ta złośliwa wiedźma dobrze

wiedziała, co robi. Chciała zabrać im ziemię, na której tak ciężko pracowali, na którą oszczędzali, a Jordan chciała im ją wydrzeć swoimi krogulczymi pazurami. Była niczym szakal, ohydna pluskwa, szczur, który czai się w kanale i gryzie ludzi w stopy. Ciężko pracowała na swoje pieniądze? Koń by się uśmieł. Siedziała sobie wygodnie w swojej norze i przepowiadała przyszłość zamożnym klientkom z fałszywej kuli. Tak to ona też sobie by mogła zarabiać. Ale ona, Auguste, nie miałyby tyle tupetu, żeby za te worki pełne kłamstw brać tyle pieniędzy. Trzeba być oszustką bez wyrzutów sumienia, żeby robić coś takiego.

Po co samotnej, już niemłodej kobiecie tyle pieniędzy? Ktoś w piekarni mówił, że pani Jordan chce kupić gospodę Pod Zielonym Drzewem i przerobić ją na jakiś luksusowy lokal. Z różowymi, pluszowymi krzeselkami i sofami, nad którymi będą wisały wielkie lustra. I pomyśleć, że jeszcze niedawno Jordan była kierowniczką kościelnego sierocińca. Ale nadeszły właśnie nowe czasy, w których kobiety chodziły bez gorsetów i w spódnicach do kolan, tak żeby było widać łydki, a nawet więcej. Nic więc dziwnego, że nawet posłuszni mężowie schodzili przez to na złą drogę.

Auguste trochę się bała nawet o Gustava, który był przecież bardzo oddanym i wiernym mężem. Gustav zawsze robił to, co mu kazała. Wierzył jej bezgranicznie i nigdy nie pytał, czy powiedziała mu prawdę. Zazwyczaj zresztą go nie okłamywała, tylko z tymi pieniędzmi wprowadziła go w błąd. Spadek. Po ciotce. Nie powiedziała mu nawet, jaka to była suma, tylko stwierdziła, że teraz wreszcie będą mogli zbudować szklarnię. Gustav był z tego powodu niewymownie szczęśliwy i cieszył się, że Auguste zarządzała tak dobrze ich pieniędzmi. Rachunki nigdy nie były jego mocną stroną.

Za styczeń i luty zapłaciła Jordan raty z jej pieniędzy i pomyślała, że po prostu oddaje Jordan pieniądze, które pożyczyła. Był jednak już marzec i trzeba było przygotować kolejną ratę. Jeśli tak dalej pójdzie, nie będzie miała z czego zapłacić szklarzowi i robotnikom. Żyli tylko z tego, co zarobiła w willi. Nic nie poradzi, musiała raz jeszcze porozmawiać z Jordan. W razie konieczności zgodzi się na wyższe odsetki, byleby zechciała poczekać do kwietnia. Później, kiedy interes ruszy, będzie jej mogła normalnie płacić, ale teraz nie ma jeszcze żadnego dochodu.

Westchnęła i włożyła zeszyt z powrotem do szuflady. Wsunęła do niej także portmonetkę, wzięła Fritza na ręce i zaniósła do dużego pokoju.

– Idę na zakupy, Gustl. Popilnuj Fritza i Hansla. Później Liesl i Maxl przyjdą ze szkoły i oni będą się wtedy zajmować małymi.

– Nie ma sprawy.

Włożyła ciemnoniebieski płaszcz i kapelusz. Jak dobrze, że kupiła sobie ciepłe buty – prawdziwe dobrodziejstwo przy tej mroźnej pogodzie. Oczywiście jej nowa garderoba też kosztowała sporo pieniędzy. Wcześniej nie byłoby jej na to stać. Inne kupują sobie perły i złote łańcuszki, gdy mają pieniądze. Ją kusilo tylko raz – gdy na wystawie zobaczyła złotą bransoletkę z zawieszka w kształcie serca. Mały, osadzony w złocie rubin – ach, taka właśnie marzyła się jej od dawna. Okazja, ale jednak trzydzieści marek. Była twarda i odeszła spod sklepu.

Skróciła sobie drogę do bramy Jakoba, idąc przez łąki, które były teraz zupełnie zamrożone, więc na szczęście nie mogła sobie pobrudzić butów. Za bramą Jakoba przeszła kilka wąskich drózek do Świętej Urszuli, a potem przez Predigerberg aż do Bäckergasse i wreszcie znalazła się na Milchbergu. Dobrze, że nie zabrała dzieci, z nimi nie szłaby tak szybko. Widziała już nowo wyremontowane domy Jordan i stolik, który Christian z odstającymi uszami zawsze wystawiał przed sklep. Dzisiaj rzucały się w oczy dwa wypolerowane świeczniki, które z pewnością nie były ze srebra, bo gdyby tak było, Jordan na pewno nie pozwoliłaby ich wystawić na zewnątrz. Stała tam też piękna miska z mosiądzu oraz leżały dwa czerwone jabłka i zielone, lśniące winogrona. Wszystko z porcelany, artystycznie uformowane i zdobione. Winogrona miały nawet małe, ciemnozielone listki.

Auguste zatrzymała się w pewnej odległości od sklepu, żeby uspokoić oddech. Poruszała się zbyt szybko, stąd to uciążliwe kołatanie serca. Nie bała się, była gotowa do walki. Chodziło przecież o jej własność, ziemię kupioną za alimenty, które – niestety wciąż za mało – zapłacił jej porucznik von Hagemann. To było mądre z jej strony, że nie schowała ich do skarpety, bo dawno by je zjadła inflacja. I dlatego właśnie nie mogła oddać ziemi tej chciwej na pieniądze diablicy. Raczej skoczy jej do tego chudego gardła...

W sklepie stała kobieta z ustami pomalowanymi szminką, w czarnym kapelusiku skrojonym według najnowszej mody i z włosami ściętymi krótko. Kupowała różne smakołyki, które stały na górnym regale, małe słoiczki z egzotycznymi kisielami, czekoladę z pieprzem oraz zupę z krabów w puszkach. Auguste nie przyjęłaby nawet w prezencie takiego obrzydliwego żarcia, ale byli ludzie, którzy nie wiedzieli, co robić z pieniędzmi. Dama bez wątpienia zapłaciła tutaj niewiarygodnie dużą sumę i kazała służącej, która jej towarzyszyła, zapakować te wszystkie obrzydlistwa do koszyka. Christian zawsze się do niej uśmiechał, teraz rozpromienił się, gdy ją zobaczył, i zapytał, dlaczego nie przyprowadziła Fritza i Hansla.

– Dzisiaj zostali w domu. Czy mogę pomówić z panią Jordan?

– Oczywiście. Jest tam. Niech pani zapuka. Myślę, że poszła tam przejrzeć jakieś rachunki.

Skinął głową i zabrał się do otwierania kartonu, żeby znajdujące się w nim konserwy rozłożyć na regałach. Na papierze, w który zapakowane były puszki, widniał, o ile Auguste mogła rozpoznać, rysunek żółwia. Nie chciała wiedzieć, co było w środku. Właściwie było jej szkoda Christiana, potrzebowaliby kogoś takiego do swoich upraw. Taki miły chłopak. Pewnie też bez narzekania opiekowałby się maluchami.

Wzięła głęboki oddech, zebrała wszystkie siły i zapukała do drzwi tylnego pokoju. Nie było odpowiedzi.

– Niech pani zapuka jeszcze raz. Pani Jordan jest pewnie zatopiona w tych swoich cyferkach.

Prawdopodobnie już ogłuchła od tego swojego wiecznego skąpstwa, pomyślała Auguste i zapukała mocniej. Nikt nie odpowiadał.

– Jest pan pewny, że ona tam jest?

– Oczywiście. Przed chwilą zaniósłem jej filiżankę kawy.

Auguste nie miała zamiaru być szczególnie miła czy uprzejma, a tym bardziej nie chciała zostać odprawiona z kwitkiem. Nacisnęła więc klamkę i otworzyła lekko drzwi.

– Maria? To ja, Augu...

Słowa utknęły jej w gardle, bo zamiast Jordan zobaczyła przed sobą lokaja Juliusa. Stał obok pięknego stołu, patrzył na Auguste rozszerzonymi ze strachu oczami i trzymał coś w uniesionej prawej dłoni. Nóż! Oboje stracili mowę z przerażenia i dopiero po chwili Auguste dostrzegła kobietę, która siedziała przed Juliušem na krześle.

– Maria... – wybełkotała Auguste. – Pani Jordan... Co się stało?

Ogarnął ją ogromny lęk. Coś tutaj było nie tak. Coś strasznego działo się w tym pokoju, zło czaiło się niczym zły duch, który rzuci się na nią, gdy tylko spróbuje stąd wyjść. Zaczęła drżeć.

– O mój Boże! – krzyknął ktoś.

To był Christian, który spoglądał przez szparę w drzwiach i teraz też drżał z przerażenia. Auguste stała jak wrośnięta w ziemię, ale jej wzrok wędrował teraz po pokoju i dostrzegał rzeczy, których wolałaby nie widzieć. Jordan

wciąż leżała odchyłona na krześle, głowę miała schowaną w ramionach, a nogi wyciągnięte. Jej ręce wisały po bokach, dłoń, którą Auguste widziała, była jasnoczerwona i miała wykrzywione palce z wysuniętymi paznokciami, jakby chciała komuś wydrapać oczy. Pod tą zwisającą dłonią, na dywanie, utworzyła się szeroka, jasnoczerwona plama. Czy to była krew?

– Ja nic nie zrobiłem – wymamrotał Julius. Wtedy spojrzął na nóż, który wciąż trzymał w ręce, i wyszeptał: – O Boże.

– Lekarza – jęknął Christian. – Potrzebujemy lekarza. Pani Jordan jest ranna.

Julius patrzył na niego, jakby mówił po chińsku, ale nie zrobił żadnego ruchu, żeby powstrzymać młodego pracownika. Christian powiedział kilka słów do Auguste, które dotarły do niej dopiero później. Prosił ją, żeby przypilnowała sklepu, a on pobiegnie po doktora Assauera, który ma praktykę lekarską trzy ulice dalej.

– Auguste – powiedział Julius i drżał już teraz na całym ciele. – Proszę, uwierz mi. Wszedłem do środka i zobaczyłem ją siedzącą na krześle z nożem wbitym w brzuch. Wyciągnąłem go.

Auguste przytaknęła machinalnie i zrobiła dwa kroki do przodu. Drzwiczki, które znajdowały się za obrazem, były otwarte. Wszędzie leżały rozrzucone dokumenty. Listy długów. Obliczenia. Upomnienia. Wszystko. Zobaczyła potem, że jedwabna poduszka na sofie miała czerwone plamy, na podłodze było pełno krwi, na dywanie też. Czerwone ślady były nawet na tapecie. Włamanie, pomyślała Auguste. Ktoś ją zaatakował nożem. Nie widział innego wyjścia, bo chciała mu wszystko odebrać. Była już teraz spokojna i zebrała się na odwagę, żeby spojrzeć na bladą twarz Jordan. Jej oczy były na wpół otwarte, usta nieco uchylone, nos ostry jak zawsze. Wyglądała całkiem spokojnie, nie jakby była wściekła czy przerażona, lecz pogodna.

– Czy ona nie żyje?

Julius przytaknął. Dreszcze przejęły kontrolę nad jego ciałem i nie mógł przestać kiwać głową. Nóż leżał na podłodze. Julius odsunął się do tyłu i oparł się o komodę. Bardziej tam wisiął, niż stał, i Auguste bała się, że zaraz upadnie i za chwilę on też wyzionie ducha. Straszny krzyk wyrwał ich oboje z otępienia. Za Auguste stała starsza kobieta, klientka, która przyszła na zakupy. Przerażona trzymała dłonie przy ustach, a mimo to krzyczała tak głośno, że Auguste wydawało się, iż słyszy puszki na półkach drgające od tego dźwięku.

– Morderstwo! Włamanie! Krew! Tam jest morderca. Na pomoc! Policja!

Wszędzie krew. Morderca! Morderca!

– Niechże się pani uspokoi – powiedziała Auguste. – Wypadek. Lekarz jest w drodze.

To, co powiedziała, nie było szczególnie mądre i nie uspokoiło kobiety. W niepohamowanej panice odsunęła się dwa kroki do tyłu i wpadła na dwóch młodych mężczyzn, najwyraźniej handlarzy piwem, którzy usłyszeli jej wrzaski w czasie przerwy obiadowej.

– Gdzie jest ten typ?

– Tam – krzyknęła szybko i wyciągnęła rękę. – Tam wciąż stoi. Obok swojej ofiary.

Odsunęli ją na bok, a Auguste ustąpiła im miejsca. Ale ci dwaj krzepcy mężczyźni musieli się przytrzymać futryny, gdy zobaczyli zamordowaną. Przy ladzie sklepowej stanęły już teraz kolejne osoby – sąsiedzi, ciekawscy przechodnie, a także mundurowy.

– Jezus, tam jest. Pchnięta.

– Prawdziwa rzeź. Wszędzie pełno krwi.

– Niczego nie dotykać – warknął mundurowy. – Pan tam! Niech pan zostanie! Zatrzymać tego mężczyznę. Mocno trzymać!

To, co działo się później, wydawało się Auguste złym snem. Ludzie tłoczyli się w małym sklepie, puszki i słoiki spadały na podłogę, regały opróżniały się w niewyjaśniony sposób. Kobiety krzyczały, wielu przepychało się przez stojących gapiów, żeby rzucić okiem na ukryty pokój. Mundurowy wydawał rozkazy, kilku mężczyzn wyciągnęło Juliusa z pokoju do sklepu, ściągnęli mu marynarkę, wyciągnęli koszulę ze spodni, jego włosy, dotychczas elegancko ułożone pomadą, teraz zwisały pasmami na twarz. Pojękiwał, że jest niewinny, ale im bardziej rozpaczliwie i desperacko się zachowywał, tym chętniej uznawano go za mordercę. Christian pojawił się wraz z – jak się okazało – dentystą Assauerem i przepychali się między ludźmi do tylnego pokoju, a Auguste słyszała potem, że Assauer mówił, iż nie można już tutaj nic zrobić.

Później przed sklep podjechał czarny samochód, a po chwili przyjechał też drugi – panowie z policji kryminalnej. Znowu zrobił się rozgardiasz – policjanci wyrzucili wszystkich, którzy nie mieli nic wspólnego ze zbrodnią, obejrzeliby zabiłą, zabrali na przechowanie corpus delicti – narzędzie zbrodni. Christian był przesłuchiwany, płakał i powtarzał, że pani Jordan zawsze była dla niego dobra. Zaniósł jej tam kawę – było to około dziesiątej – i wtedy

jeszcze żyła. Potem obsługiwał klientów, a później przyszła pani Bliefert, żeby coś omówić z Marią. Ale przecież musiał widzieć, jak morderca wchodzi do tylnego pokoju. Christian zaprzeczył. Najwyraźniej wszedł drugim wejściem. Wejściem dla „szczególnych klientów”. Auguste też wiedziała, że dobrze sytuowane damy, którym Jordan przepowiadała przyszłość, nigdy nie wchodziły przez sklep. Wchodziły przez bramę ogrodową i tylne drzwi. Auguste też przepytywano. O czym chciała porozmawiać z panią Jordan? Czy zna mordercę? Czy może widziała, jak dźga nożem ofiarę? Z jakiego powodu mógł to zrobić? Marię Jordan zawinięto w kilim z kanapy, a dwóch mężczyzn wyniosło ją przez sklep i ulokowało w policyjnym samochodzie. Auguste słyszała, jak drzwi do samochodu się zamknęły, i musiała usiąść na taborecie.

– Żle się pani czuje? – zapytał młody policjant.

Miał gładką bladą twarz i brązowe oczy. Jego zarost był tak samo ciemny jak jego włosy.

– Tak bardzo się przeraziłam. Znam ją od lat. Wcześniej była pokojówką w posiadłości.

– W jakiej posiadłości?

– Fabryka i willa Melzerów, na Proviantbach.

– Czy tam nie jest zatrudniony także pan Julius Kronberger?

Auguste przytaknęła.

– Aha. A pani personalia?

Zanotował sobie wszystko małymi literkami w notatniku, zamknął go i włożył ołówek w pętelkę na boku.

– Może już pani iść, pani Bliefert. Jeśli będziemy mieć jakieś pytania, przyjdziemy do pani.

Gdy wyszła na ulicę, spostrzegła, że mały stolik został przewrócony. Rozbite porcelanowe jabłko leżało na ziemi, ładne rzeczy zniknęły. Ale była głupia. Sama mogła przecież szybko coś wziąć – świeczniki albo jeszcze lepiej jedną z tych pięknych srebrnych bransoletek. Inni tak zrobili. Teraz było za późno, w sklepie siedzieli dwaj policjanci i wciąż przesłuchiwali biednego Christiana. Szła ulicami oszołomiona. Było już około południa, musiała kupić mleko i chleb, żeby chociaż zrobić zupę mleczną. Dopiero gdy stała w sklepie i czekała na swoją kolejkę, zrozumiała, jak była beznamiętnie głupia. Listy dłużników i weksle. Na pewno leżały gdzieś w pokoju z innymi

papierami. Musiałaby tylko wyteńczyć wzrok. Chwycić je i wyrzucić. Do pieca. Na popiół. Teraz było już za późno!

Marie podskoczyła, gdy rozpoznała jego głos. Jakie to głupie, pomyślała. Ale nie mogła powstrzymać przerażenia i radości. Przeżyła też coś w rodzaju ulgi, bo sądziła, że już koniec między nimi.

– Marie, przepraszam, że dzwonię do atelier, ale mam po temu powody. Przeszkadzam ci? Mogę zatelefonować później.

Dwie szwaczki czekały w gotowości na jej polecenia, trzeba było wyliczyć długość rozcięcia w wieczorowej sukni, a poza tym za dziesięć minut pani Überlinger przyjdzie na przymiarke.

– Nie, nie. Mów, o co chodzi. Mam teraz kilka minut.

Odchrząknął. Zawsze tak robił, gdy miał coś nieprzyjemnego do przekazania. Nagle zaczęła się bać, że zamierza poinformować ją o rozwodzie. Ale dlaczego telefonicznie? Czy takich spraw nie załatwia się pisemnie, przez adwokata?

– Chodzi o Lisę. Mam wrażenie, że sama boryka się z jakimś problemem. I chciałbym jej pomóc.

Aha, pomyślała Marie. Zaraz zapyta, co ja o tym wiem. Ale mimo wszystko ulżyło jej, że najwyraźniej dzwonił w pokojowych zamiarach.

– A co ja mam z tym zrobić?

Sama się przestraszyła, słysząc odpychający ton swojego głosu, ale bała się, że za bardzo mu ulegnie.

– Rozmawiałaś z nią, prawda? Powiedziała ci, kto jest ojcem dziecka?

– Powiedziała mi w zaufaniu, Paul... Nie sądzę, bym miała prawo...

– Dobrze, dobrze – odparł zniecierpliwiony. – Nie chcę, żebyś przeze mnie była niedyskretna. Ale czy mylę się, sądząc, że jest to niejaki pan Sebastian Winkler?

– Dlaczego sam jej nie zapytasz?

Słyszała, jak jęknął zirytowany.

– Zrobiłem to. Niestety bez rezultatu. Słuchaj, Marie. Nie pytam z ciekawości. Jestem bratem Lisy i czuję się zobowiązany wyjaśnić tę sprawę. Przecież chodzi o dziecko.

– Sądzę, że Lisa jest w stanie sama to wyjaśnić.

Milczał przez chwilę i zaczęła się obawiać, że się rozłączy. Słysząc było dzwonek przy wejściu do sklepu. Tego jeszcze brakowało: pani Überlinger już była w atelier. Pięć minut przed czasem.

– O ile mi wiadomo – powiedziała do swojego rozmówcy – napisała do niego list.

– Aha! I dostała odpowiedzieć.

– Obawiam się, że do tej pory nie.

– A kiedy to było?

Marie się zawahała. Ale skoro już tyle mu zdradziła, byłoby niezręcznie nie udzielić mu tej informacji. Sprawy potoczyły się tak niefortunnie, że Lisa rzeczywiście mogła potrzebować pomocy brata.

– W styczniu. Czyli jakieś osiem tygodni temu.

W słuchawce zabrzmiało coś jak „hm”, co oznaczało najczęściej, że musiał przemyśleć sytuację. W drzwiach biura pojawiła się pani Ginsberg, która od jakiegoś czasu u niej pracowała. Marie dała jej znać, że zaraz kończy. Pani Ginsberg kiwnęła głową w milczeniu i wyszła.

– Mam zamiar pojechać do niego, żeby to wyjaśnić. Może masz adres?

To była taktyka zaskakiwania, którą lubił stosować. Sprawdzała się idealnie z pracownikami, działała też czasem na mamę i Kitty. Z Lisą było to znacznie trudniejsze, a ona sama jeszcze nigdy nie dała się zaskoczyć.

– O jakim adresie mówisz?

Zignorował jej pytanie i tłumaczył dalej:

– Nie jest... nie jest mi łatwo, ale muszę cię o coś prosić, Marie. Nie chciałbym jechać sam. Wtedy mógłby podejrzewać, że chcę go pociągnąć do odpowiedzialności albo coś podobnego. Z tobą byłoby znacznie lepiej, bo ty z pewnością znajdziesz odpowiednie słowa.

Prawie odjęło jej mowę, tak była zaskoczona tą niespodziewaną prośbą. Miała mu towarzyszyć w drodze do Günzburga? Siedzieć obok niego w pociągu i wobec innych pasażerów udawać szczęśliwą żonę?

– Pojechalibyśmy wcześniej rano i wrócilibyśmy późnym popołudniem. Bez noclegu. Mam przyjaciela w Norymberdze, który pożyczy mi samochód.

– W Norymberdze?

– Nie w Norymberdze? Sądziłem, że tam właśnie wyjechał. Nie pochodzi

z okolic Norymbergi?

Jednak wpadła w pułapkę. Nieświadomie albo w sposób mniej lub bardziej przez niego wymuszony.

– On jest teraz w Günzburgu u swojego brata.

– Wspaniale! Czyli nie jest tak daleko, jak się obawiałem. Będę ci bardzo wdzięczny, Marie. Chodzi przecież o Lisę.

Milczał, czekając na odpowiedź. Wydawało się jej, że słyszy bicie jego serca. Ale pewnie to było jej własne. Siedzieć z Paulem w jednym przedziale w pociągu. Co robić, jeśli zostaną tam sami? Czy tego chciała? A może raczej odczuwała strach?

– Słuchaj, Paul. Jeśli Lisie naprawdę trzeba pomóc, jestem gotowa na tę podróż.

Słyszała, jak odetchnął. Wyobraziła sobie teraz jego twarz, zwycięski uśmiech, błyszczące szare oczy.

– Stawiam jednak warunek.

– Oczywiście. Cokolwiek to jest.

Słyszała w tonie jego głosu, że naprawdę był szczęśliwy. Teraz zrobiło się jej nawet trochę przykro, ale nie można było inaczej.

– Nie chciałbym tego w żadnym razie robić za plecami Lisy. Dlatego proszę cię, żebyś porozmawiał z nią o tym wyjeździe.

Mruknął coś niezrozumiałego, a potem dodał, że już coś próbował przeforsować w tej sprawie.

– Zadzwoń do ciebie, Marie. A tymczasem dziękuję ci za gotowość. Do usłyszenia!

– Do usłyszenia!

Słyszała dźwięk odkładanej słuchawki i stała jeszcze przez chwilę przy aparacie, jakby na coś czekała. Nie, nic się nie zmieniło. Potrzebował jej, to było wszystko. Chociaż... Dzieci w ostatnią niedzielę wróciły z willi bardzo zadowolone. Bez porównania z poprzednimi odwiedzinami, gdy oboje błagali, żeby nie musieli już nigdy więcej spędzać popołudnia z tatą w posiadłości. Niewiele udało się jej wyciągnąć ze swojego synka na temat tego, skąd taka nagła zmiana, ale w poniedziałek rano posłaniec dostarczył jej paczkę, w której znajdowała się chłopięca czapka. Od tego czasu Leo prawie jej nie zdejmował. A Dodo mówiła nieustannie o ptakach i samolotach,

o startach i lądowaniach, o przepływie energii i wibrowaniu powietrza. Nie do końca pojmowała, o co chodziło, i tylko Gertrude miała tyle cierpliwości, by wysłuchiwać niekończących się wywodów Dodo. Czy coś się faktycznie zmieniło? Paul starał się zjednać sobie dzieci. Był to dobry czy zły znak?

– Pani Melzer?

Pani Ginsberg wyglądała na nieszczęśliwą. Była dobrą i pilną pracownicą, ale nieprzyjemne uwagi klientek odbierała bardzo osobiście. A pani doktorowa Überlinger zawsze była niepokieszona, gdy kazano jej czekać.

– Bardzo mi przykro, pani Ginsberg, to był ważny telefon. Już idę.

Reszta popołudnia była taka gorączkowa, że nie miała nawet czasu na filiżankę kawy. Właściwie powinna się cieszyć, że jej sklep tak dobrze prosperował. Denerwujące było natomiast to, że wiele klientek pozwalało kopiować swoje modele. Oczywiście tylko na potrzeby prywatne, dla najdroższych starych przyjaciółek, które były tak zachwycone sukniami Marie, że koniecznie chciały mieć takie same i pasujące do nich płaszcze. A gdy krawcowa skopiowała krój, oferowała ten piękny model innym swoim klientkom i go dla nich szyła. Oczywiście za niższą cenę niż atelier Marie.

To było irytujące, ale nijak nie można się było przed tym bronić. W takiej sytuacji pozostawało tylko ciągłe tworzenie nowych projektów, wyrafinowanych i eleganckich, pasujących do osoby, która miała je nosić. W tym też leżała siła Marie – umiała ukrywać niedoskonałości figury i podkreślać jej zalety. Ubiory były tak idealnie dopasowane do sylwetki, że leżały na kobietach jak ulał.

Gdy wysiadła z tramwaju na Frauentorstraße, czuła się znużona i zmęczona. Dlaczego nie nauczyła się jeździć samochodem? Byłoby ją stać na kupno samochodu i nie musiałaby w deszczu i śniegu czekać na tramwaj. Jak ludzie nazywają to małe auto, które coraz częściej się widuje na ulicach? Rzekotka drzewna – jak ładnie. Ma cztery konie mechaniczne – to jakby się jechało powozem z czterema końmi.

W drzwiach wejściowych natknęła się na Dodo, która wysoko w górze trzymała gazetę, żeby Henny nie mogła jej dosięgnąć. Henny podskakiwała wokół niej, starając się złapać arkusze, i robiła przy tym najróżniejsze miny, machając gwałtownie rękami.

– Ja chcę... To jest gazeta mamy! Daj mi ją wreszcie, Dodo, ty głupia krowo!

– Przestań już podskakiwać, i tak jej nie dostaniesz – odpowiedziała

gniewnie Dodo. – A poza tym to jest mojej mamy!

Marie nie miała ochoty na kłótnie, zabrała gazetę z ręki Dodo i zwróciła uwagę Henny, że w czasie podskakiwania zgubiła gdzieś buty.

– Mm, pachnie kluskami ziemniaczanymi – stwierdziła z uśmiechem i podsunęła Henny jeden z jej różowych, domowych bucików. – Jest już Kitty?

– Mama wisi na telefonie. Dideldideldumm. Dideldideldumm – Henny naśladowała dźwięki dochodzące z pokoju muzycznego, w którym ćwiczył doprowadzony do rozpaczony Leo. *Złość o utracone grosze Beethovena*¹⁵. Zdecydowanie za trudne dla dziewięciolatka, zwłaszcza dla jego lewej ręki. Ale Leo był co najmniej tak uparty jak jego siostra, która w niedzielę koniecznie chciała przeczytać i zrozumieć książkę Otto Lilienthala.

– Powinnaś przeczytać gazetę, ciociu Marie.

Marie ściągnęła płaszcz i zdjęła kapelusz. Gazetę położyła na komodzie. Zerknęła na artykuł wstępny i stwierdziła, że nie trzeba się śpieszyć z lekturą. „Utworzenie rządu znowu się nie powiodło. Wilhelm Marx nie przyjął nominacji na premiera”.

– Nie to. – Dodo niecierpliwie odwróciła stronę. – Tutaj jest. Wiadomości z Augsburga. Sprawy kryminalne i przestępstwa. Tam jest coś o willi.

– Co?

Marie nie wierzyła własnym oczom. Artykuł o okrutnym morderstwie w starej dzielnicy Augsburga. Czterdziestodziewięcioletnia właścicielka nieruchomości Maria Jordan została poprzedniego dnia w brutalny sposób zabita w swoim sklepie.

– Maria Jordan – wyszeptała Marie. – To straszne. Biedaczka. A wszyscy wierzyliśmy, że ma przed sobą świetlaną przyszłość.

Napotkała błyszczące oczy Henny, które wpatrzyły się w nią z ogromnym zainteresowaniem.

– Przeczytałaś, ciociu Marie? Mordercą jest Julius.

– Jaki Julius?

– Na miłość boską, mamó! – krzyknęła Dodo. – Julius, który jest kamerdynerem w willi. Ten, co zadziera nosa i tak zabawnie sapie. To on zadźgał Marię Jordan.

– Proszę, Dodo, nie powinnaś używać takich słów, są okropne.

– Tak napisano w gazecie.

Marie przejrzała krótki artykuł. Julius siedział w areszcie podejrzany o dokonanie zbrodni. Podobno rzucił się z nożem na bezbronną kobietę.

– Pchnięta – jest tutaj napisane, nie zadźgana.

– Tak powiedziała ciocia Gertrude.

Z gazetą w ręce weszła do salonu, w którym Kitty tronowała na swoim meksykańskim fotelu, trzymając telefon na kolanach. Czarny kabel, który prowadził od łącza w ścianie, był napięty do granic.

– Dobry Boże, Liso, pozwól jej spać. Zadzwoń później. Biedna mama, co za okropna historia! Nie chcę być złośliwa, ale z nią zawsze wiązały się jakieś okropności. Nie, nie jestem bezduszna. Z pewnością miała też swoje dobre strony... Tak, wiem, była kiedyś zatrudniona u ciebie, ale nie mogła znieść Marie i tego jej nie wybaczę. A jak to przyjął Paul? Heh, mogę to sobie właściwie wyobrazić. Ach, mój biedny Paul, ma już dość zmartwień.

Zamilkła, gdy weszła Marie, machnęła jej na powitanie i zaraz zmieniła temat.

– A maluch pije ładnie? Jak dobrze. Masz pewnie w sobie całe litry mleka, prawda? Tyle, że mogłabyś jeszcze spokojnie wykarmić drugie dziecko? Tylko nie karm go za dużo, bo zrobisz z niego leniwego śpiocha. Muszę teraz kończyć, Liso, Marie przyjechała. Pozdrowienia. Tak, przekażę. I tak, przyjdę dzisiaj po południu. Tak, powiedz mamie, że będę ją pocieszać.

Z ciężkim westchnieniem położyła słuchawkę na widełkach i spojrzała na Marie znacząco.

– Czytałaś już? Czy to nie przerażające?

Marie przytaknęła, była zajęta czytaniem krótkiego artykułu po raz kolejny. Nazwisko „Melzer”, „posiadłość i firma tekstylna”, niczego nie oszczędzili. A Paul nic o tym nie wspomniał.

– Protestowali ze wszystkich sił przeciw wystawieniu obrazów Luise Hofgartner, bo bali się reakcji augsburskich plotkarzy – zadrwiła Kitty. – A teraz to. Kamerdyner z Willi jest bestialskim mordercą! Huh, zimny dreszcz przeszywa mi plecy, gdy pomyślę o tym, jak ten Julius przynosił mi ciastka i herbatę do pokoju.

Słysząc było pukanie do drzwi, a potem dzieci biegnące korytarzem, żeby otworzyć.

– Hanno! Czytałaś? Julius jest mordercą!

– Sto dwadzieścia dźgnięć czy jakoś tak!

Drzwi do kuchni się otworzyły i zaraz potem rozległ się nieprzyjazny głos Gertrude:

– Ach, Hanno. Gdzie byłaś całe przedpołudnie? Jesteś teraz tutaj czy w willi ze swoim Humbertem? Co? Pokoje są nieposprzątane, a kosz na pranie w pokoju dzieci zaraz pęknie. Tak! Zabieraj półmisek. Gorący! Uważaj, żebyś nie upuściła.

– Bardzo... bardzo mi przykro – bąknęła Hanna i zamknęła drzwi do kuchni.

Otoczona przez troje dzieci Hanna weszła do salonu z parującym półmiskiem w rękach.

Marie pośpiesznie postawiła na stole drewnianą podstawkę, żeby Hanna mogła szybko pozbyć się ciężaru, a potem obie nakrywały do stołu. Kitty też się włączyła, stawiając doniczkę z kwitnącym fiołkiem obok garnka z kluskami.

– Ach, to takie straszne – jęknęła Hanna, wyciągając serwety z szuflady. – Niech sobie pani tylko wyobrazi, pani Melzer, przez trzy godziny policjanci przesłuchiwali wszystkich z willi. Panią Alicję, panią von Hagemann i pana Melzera, gdy wrócił do domu na obiad. I wszystkich pracowników. A Else prawie umarła ze wstydu. Była przecież podejrzana, bo znała dobrze mordercę.

– A czy jest pewne, że to Julius ją zabił? – zapytała Marie.

– Stał koło niej i trzymał nóż w ręce – westchnęła Hanna. – Ach, pani Melzer, nikt z nas nie chce w to wierzyć. Może to jakaś pomyłka.

Weszła Gertrude z garnkiem, w którym niosła roztopione masło do polewania klusek.

– Koniec już z historiami o morderstwie! – zawołała i usiadła na swoim miejscu. – Dzieci już mają szklane oczy. Nie będą mogły spać dzisiaj w nocy.

– Na nas to nie działa – powiedział Leo, potrząsając mocno nadwerżoną lewą ręką. – Co najwyżej na Henny, bo jest mała.

Henny musiała poczekać chwilę ze swoim sprzeciwem, bo przełykała właśnie dwie kluski. Potem oświadczyła, że ona nie ma żadnych szklanych oczu.

– Ale w szkole widziałam Liesl. Opowiadała koleżankom, że policja przesłuchiwała jej mamę. I że jej mama była tam wtedy i wszystko widziała.

– Auguste? – zdziwiła się Kitty. – A co ona robiła u Jordan?

Gertrude wzruszyła ramionami i dołożyła Henny łyżkę kapusty.

– Zjedz przynajmniej trochę – mówiła energicznie. – Tylko kluseczki ziemniaczane z masłem, to ci pasuje, że hej!

– Kwaśna kapusta, zła kapusta, bagnista kapusta, chwast!

– A może coś kupowała w sklepie Jordan? – zastanawiała się Kitty. – Auguste odziedziczyła pieniądze i – jak słyszę – cieszy się teraz nową jakością życia.

– Możliwe – powiedziała zamyślona Marie.

Miała w tej kwestii własne przypuszczenia. Jedna ze stałych klientek powiedziała jej w zaufaniu, że pani Jordan stawia karty w sklepie. Wychwalała Jordan pod niebiosa, bo sprawdziło się wszystko, co jej przepowiedziała, a Marie gorąco polecała spróbować. Wszystkie jej przyjaciółki też już tam były – Maria naprawdę musiała mieć dużo pieniędzy, bo za swoje wróżby kazała sobie słono płacić. A inna klientka jej szepnęła, że pani Maria Jordan pożycza też pieniądze na procent.

– I wyobraźcie sobie, że jeszcze tego samego dnia przed drzwiami wejściowymi do posiadłości stali dwaj reporterzy z „Augsburger Neueste Nachrichten”, a nawet z „Münchner Kurier” – relacjonowała dalej Hanna. – Ale łaskawa pani nie chciała ich wpuścić. Podeszli więc do wejścia dla służby, ale w kuchni pani Brunnenmayer pogroziła im patelnią i musieli zmykać. Potem jeszcze szwendali się koło willi, bo sądzili, że będą się mogli dostać do środka przez taras. Drzwi były jednak dobrze zamknięte. Co za bezczelność! Humbert stwierdził, że dziennikarze to najgorsi ludzie. Żaden się z nimi nie równa. Ani polityk, ani żaden morderca. Oni potrafią dwoma zdaniem zniszczyć komuś życie.

– Chełpi się trochę, ten Humbert – skomentowała Gertrude. – Już się czuje dobrze?

Hanna przytaknęła i uśmiechnęła się. Humbert będzie musiał teraz zastąpić Juliusa, bo w willi każdy musi wypełniać solennie swoje obowiązki wobec państwa.

– Wszyscy musimy się trzymać razem w potrzebie – powiedziała pani Brunnenmayer. – Tak jak kiedyś.

Hanna zamilkła i spojrzała na swój jeszcze pusty talerz. Wszyscy wiedzieli oczywiście, że chodzi o dzień, w którym policjant przyszedł do kuchni

w posiadłości, żeby wypytywać o Grigorija. To był ten młody Rosjanin, któremu Hanna pomogła, bo się w nim zakochała. Wszyscy się wtedy wstawili za Hanną, a Humbert zapewnił jej alibi i wyostał ją z tarapatów. W przeciwnym razie mogłoby się to dla niej źle skończyć.

– A jak tam szanowna gospodyni? – zapytała Kitty z celowym przekąsem. – Trzyma z resztą?

– Ona? – Hanna nie kryła zdziwienia. – Absolutnie nie. Gertie podsłuchiwała, jak przepytawali panią von Dobern.

– Podsłuchiwanie pod drzwiami zawsze było specjalnością małej Gertie – rzuciła Kitty.

– Cicho! – nakazała jej Gertrude. – I co tam wyrzuciła z siebie nasza szlachcianka?

Hanna uderzyła widelcem w kluskę, ale jej nie jadła, tylko trzymała na widelcu.

– Na nikogo z państwa nie powiedziała niczego złego. Ale wszystkich nas w to wciągnęła. Powiedziała, że Julius od dawna wydawał się jej podejrzany. Ma charakter przestępcy i zawsze się go bała, bo patrzył na nią, jakby chciał ją zamordować. Wiedzieli to jej zdaniem wszyscy pracownicy, ale tworzą wspólny front i dlatego nikt nie pisał ani słowa. Powiedziała też, że Julius „chodził” za Marią Jordan, bo sądził najpewniej, że jak poślubi bogatą właścicielkę sklepu, to nie będzie musiał pracować. Jest pewna, że Julius był kochankiem Marii Jordan i że pchnął ją nożem z zazdrości. Z powodu Christiana, jej pracownika.

– Na świętą lufę armatnią! – zakrzyknęła nonsensownie Gertrude.

– Kto to jest kochanek, mamó? – zapytała Dodo.

– Przyjaciół.

– Tak jak pan Klippi?

Marie zmarszczyła czoło i zobaczyła, że Kitty się uśmiecha.

– Jesteś głupia – wtrąciła się Henny, która przerzucała na swoim talerzu garstkę kwaśnej kapusty z jednej strony na drugą.

– Dodo wcale nie jest głupia! – rozzłościł się Leo. – To ty jesteś głupia!

– Na pewno nie! – parsknęła Henny i wydeła usta, bo chciała powiedzieć coś ważnego. – Kochanek to taki przyjaciel, którego się całuje i obejmuje, prawda, mamó?

Uśmiech Kitty nagle zniknął.

– Dobra obserwacja – odpowiedziała sucho. – I zjedz już wreszcie kapustę! Ale nawet nie myśl o tym, że potajemnie przerzucisz ją na talerz Hanny.

– Muszę iść – powiedziała Marie i spojrzała na zegarek. – Mam dzisiaj po południu cztery przymiarki i jedną nową klientkę.

– Zapracujesz się na śmierć – ostrzegła ją Gertrude. – Na deser są gruszki. Prosto z pieca. Z cukrem i cynamonem.

– Wieczorem, Gertrude.

W tramwaju Marie wciąż była tak pogrążona w swoich niewesołych myślach, że niemal przegapiła przystanek na Karolinenstraße. Zupełnie zdezorientowana weszła do atelier i cieszyła się, że zaraz musiała się zająć klientkami. Odłożyła na bok troski i skoncentrowała się na pracy, ale gdy zadzwonił telefon, nagle poczuła się jak sparaliżowana i z bijącym sercem czekała, aż pani Ginsberg poprosi ją do biura. Dzwonili jednak wyłącznie w sprawach biznesowych: dostawcy, klienci oraz drukarnia, ta, w której zamawiali nowe katalogi. Dopiero gdy już była w płaszczu i raz jeszcze zajrzała do szwalni, żeby sprawdzić, czy wszystkie maszyny zostały przykryte, zadzwonił Paul.

– Bałem się, że już cię nie zastanę.

– Och, Paul, czytałam artykuł w dzisiejszej gazecie. Przykro mi strasznie, przede wszystkim ze względu na mamę.

Ucieszył się z jej spontanicznej wypowiedzi?

– Tak, bardzo nieprzyjemna sprawa.

Wiedziała, że nie miał zamiaru się jej wyzalać. Zrozumiałe. Mimo to jego milczenie ją zabolalo. Dlaczego ich relacje zrobiły się takie skomplikowane?

– Rozmawiałeś z Lisą? – zmieniła temat.

– Tak, nie jest zachwycona, ale nie zrobi nic, żeby nam przeszkodzić.

Nie brzmiało to dobrze, prawdopodobnie Lisa była wściekła.

– Kiedy jedziemy?

– A jak u ciebie wygląda najbliższy poniedziałek?

Musiałyby przełożyć kilka spotkań i przygotować pracę dla krawcowych. Ale u Paula pewnie nie było inaczej.

– W poniedziałek. Dobrze.

– Pociąg odjeżdża o siódmej dwadzieścia. Mam po ciebie przyjechać?

Oczywiście, już miał gotowy plan podróży. Być może nawet zarezerwował już przedział.

– Dziękuję. Pojadę tramwajem.

[15](#) Jedno z rond Beethovena, znane jako *Alla Ingharese quasi un Capriccio*.

Paul źle spał. Dziecko płakało i Lisa w środku nocy ściągała biedną Gertie, żeby przygotowała herbatę z kopru włoskiego na wzdęcia. Przede wszystkim jednak myślał o Marie. Przypomnił sobie to, co powiedziała przez telefon o artykule w gazecie. Nagle wszystko było tak jak dawniej. Jej wyrozumiałość i ciepło. Uczucie, że była obok niego, że stanowiła część jego samego. Zobaczył ją przed sobą, wielkie oczy, które nie dawały mu spokoju już wtedy, gdy pracowała u nich jako pomoc kuchenna. Ale oczywiście myślał też o czymś innym. O tęsknocie. O swoich potrzebach. W końcu był mężczyzną, życie przez wiele miesięcy niczym mnich nie było dla niego łatwe. Oczywiście, mógł pójść do jednego z nocnych lokali, o których nie wiedział nikt niepowołany i które odwiedzało regularnie wielu jego augsburskich znajomych. Solidnie, dyskretnie, profesjonalnie. Mógł też sobie poszukać jakiejś dziewczyny, wśród robotnic w fabryce było wiele, które z chęcią przystałyby na taką ofertę. Sprowadziłyby to jednak najpewniej jedynie kłopoty, a poza tym był pewien, że doznałyby przy tym niewiele przyjemności. On pragnął Marie, Marie i żadnej innej.

Polecił panie Hoffmann zająć się kupnem biletów i zarezerwować miejsca w pierwszej klasie, a ona aż kipiała z ciekawości, ale nie odważyła się zapytać, z kim to pan dyrektor w poniedziałek jedzie do Günzburga. A wyraźne polecenie, by był to bezwzględnie przedział dla niepalących, wywołało w niej kolejne podejrzenia.

Chociaż bilety miał już w kieszeni, był na dworcu pół godziny przed odjazdem. Marznąc, stał w hali dworcowej, podnosił kołnierz płaszcza, a mimo skórzanych rękawiczek miał lodowate ręce. Był trzydziesty marca, za dwa tygodnie Wielkanoc, a wiosna wciąż kazała na siebie czekać.

Wczoraj Rosa Knickbein, na nowo zatrudniona opiekunka, po raz pierwszy wyszła z małym Johannem na spacer do parku, ale niestety niespodziewanie przegoniła ich stamtąd śnieżyca. Wszyscy mieli jednak z tego powodu sporo radości, także mama i Lisa, które szły koło wózka, a przede wszystkim Dodo i Leo. Kiedy dziecko razem z matką, babcią i opiekunką bezpiecznie wróciło do willi, Paul i bliźniaki szaleli jeszcze trochę po parku. Odwiedzili Bliefertów, a podczas gdy dzieci się ze sobą bawiły, on poszedł z Gustavem do wciąż nieskończonej szklarni. Kiedy zobaczył krzywy budynek, obiecał przysłać mu dobrych fachowców. Paul rzadko widział taką fuszerkę, ale w końcu Gustav był ogrodnikiem, a nie budowniczym.

Dziesięć minut przed odjazdem Marie wciąż jeszcze nie było na dworcu i zaczęły nachodzić go niepokojące myśli, że może się rozmyśliła. Co wtedy zrobi? Cóż, bądź co bądź miał adres Josefa Winklera, z zawodu szewca i młodszego brata Sebastiana. Lisa dała mu go po długim wahaniu i kilku wybuchach gniewu.

– I powiedz mu, proszę, że ta wizyta nie jest moim pomysłem, że nie mam z tym nic wspólnego i chciałam, żeby o tym wiedział! – powiedziała mu jeszcze na drogę.

Bez Marie też pojedzie do Günzburga. Był to winien swojej rodzinie. Choć z Marie byłoby dużo łatwiej. Gdy już postanowił wsiąść do pociągu, pojawiła się na peronie. Miała na sobie ciemnoczerwony wcięty płaszcz z futrzanym obszyciem, a do tego modny kapelusz zakrywający czoło i oczy. Przystanęła i zaczęła się rozglądać, a gdy go dostrzegła, szybko do niego podbiegła.

– Dzień dobry, musimy się pośpieszyć, prawda?

– W rzeczy samej.

Szli obok siebie do pociągu i od czasu do czasu potracali lekko któregoś z przechodniów. Gdy wchodzili po schodkach, widać już było parę lokomotywy, która spowijała całą przednią część pociągu. Konduktor w mundurze stał na peronie i poprosił o okazanie biletów.

– Dwa wagony do przodu, proszę państwa. Niech państwo uważają przy wsiadaniu.

Sześć miejsc w ich przedziale było wolnych, tylko bezpańska gazeta poranna wskazywała, że pasażer, który podróż już ukończył, najpewniej wysiadł na stacji w Augsburgu.

– Wolisz siedzieć zgodnie z kierunkiem jazdy? – zapytał Paul uprzejmie.

– Jest mi to obojętne. Usiądź, gdzie chcesz.

Zdjęła płaszcz, zanim zdążył jej pomóc, a potem usiadła demonstracyjnie tyłem do kierunku jazdy, więc on usiadł naprzeciw niej. Drzwi pociągu zostały zamknięte od zewnątrz, maszynista gwizdnął przenikliwie, a biała para zamieniła się w szary dym, zasłaniając cały peron i przyległe budynki. Zaraz potem pociąg ruszył. Marie nie zdjęła kapelusza, tak że nie widział jej oczu, tylko usta i podbródek. Przede wszystkim widok jej ust wstrząsnął Paułem. Niepomalowane szminką, były miękkie, tylko na brzegach delikatnie spierzchnięte od mrozu, a górna warga miała kształt serduszka. Wiedział doskonale, jakie są w dotyku te usta, i przechodził tortury, nie mogąc ich całować.

– Lisa była zła?

Musiał oderwać się od swoich fantazji, zanim odpowiedział.

– Trochę. Muszę powiedzieć panu Winklerowi, że ta wizyta to nie był jej pomysł.

Uśmiechnął się, Marie pozostała poważna. Próbowwała dzwonić do Lisy, ale niestety bez rezultatu.

– Gospodyni nie anonsowała moich telefonów.

Był to wyrzut, który najpewniej nie był nieuzasadniony. Zdenerwował go jednak. Czy musieli znowu się kłócić? Czy nie mogli w czasie tej krótkiej podróży być dla siebie przyjaźni, a przynajmniej uprzejmi?

– Bardzo mi przykro. Upomnę ją za to.

Marie się uśmiechnęła. Miło, ale też nieco złośliwie – jak mu się wydawało.

– Nie ma potrzeby. Powiedziałam jej dobitnie, co o tym sędzę.

Kiwnął głową i postanowił pod żadnym pozorem nie drążyć tego tematu. Pani von Dobern walczyła w tej chwili rozpaczliwie o swoją pozycję w posiadłości, a mogła polegać tylko na Alicii. Lisa stała się jej zdeklarowanym wrogiem, a była bez wątpienia wspierana przez Kitty i oczywiście przez Marie. Pracownicy od początku byli przeciwko niej. Paul trochę współczuł Serafinie, bo prędzej czy później musiała przegrać tę walkę. Mimo to nie chciał jej zwolnić. Przede wszystkim dlatego, że spełniłby tym samym żądania Marie, a – mimo całej miłości i tęsknoty – nie był mężczyzną, który pozwoli się prowadzić na smyczy przez kobietę. Zaraz, kto to ciągle powtarzał? Ach, nieważne...

– Będzie ci przeszkadzać, jeśli utnę sobie małą drzemkę? Dzisiaj w nocy w ogóle nie mogłam spać.

Patrzcie no, ona też. Cóż, będzie pewnie lepiej, jeśli zaśnie. Przynajmniej nie będą się kłócić.

– Oczywiście, proszę. Nie męcz się niepotrzebnie. Ja też jestem zmęczony.

Zdjęła płaszcz i okryła się nim jak kołdrą. Nie widział już teraz jej podbródka, za to jej głowa przesunęła się nieco do tyłu i Paul był w stanie dostrzec pod rondem kapelusza jej nos i zamknięte oczy. Ciemny półksiężyc rzes. Drżały od czasu do czasu, co z pewnością powodował ruch pociągu. Wiecznie to samo monotonne dudnienie kół, które uderzały o tory w czasie jazdy. Ciekawe, czy rzeczywiście zasnęła, czy chciała jedynie uniknąć rozmowy z nim? Nieważne. Spoglądał teraz przez okno, w którym widział

mijane przez pociąg nagie krzaki, ostatnie domy Augsburga, a potem już tylko Dunaj, wzdłuż którego biegły tory kolejowe. Zielone łąki, laski z drzewami, na których pokazywały się bujnie brązowe pąki, a między nimi niskie domki i pojazdy, którymi przewożono ścięte drzewa. Faktycznie zasnęła. Jej prawa noga nie była już zgięta, wyciągnęła stopę w ciemnym, wiązonym bucie i prawie dotykała nią jego stopy. Gdy pociąg zatrzymał się w Diedorf, jej stopy się poruszyły, a ona spojrzała na niego wystraszona i z wciąż jeszcze zaspanymi oczami.

– Przepraszam.

– Nie ma powodu.

Wyprostowali się oboje, usiedli skrępowani naprzeciw siebie, a Marie poprawiła kapelusz i mocniej naciągnęła na siebie płaszcz. Poczul silne pragnienie, żeby ją przytulić. Tak jak to robił każdego ranka, gdy spoglądała na niego takimi samymi zmrużonymi i zaspanymi oczami. Dlaczego ciągle musieli omawiać jakieś problemy, kłócić się, dowodzić swoich racji? Czy nie łatwiej byłoby się po prostu objąć? I robić te wszystkie piękne, szalone rzeczy, które oboje tak lubili?

– Zastanawiałeś się już, co chcesz mu powiedzieć? – zapytała Marie.

– Chciałem zostawić to tobie.

– Ach, tak. Ale chodzi przede wszystkim o to, żeby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja, prawda?

– Oczywiście.

Nie potrafił już skupić się na problemach Lisy, bo zastanawiał się gorączkowo, czy nie powinien wyznać Marie miłości. Jeśli tak, musiał się śpieszyć. Było to możliwe, dopóki byli sami w przedziale. A to mogło się przecież szybko zmienić.

– Zasadnicze pytanie, moim zdaniem, jest takie, dlaczego nie odpowiedział na list Lisy – mówiła Marie. – Możliwie, że wcale już nie mieszka u brata w Günzburgu, tylko się wyprowadził.

– Ale jego brat przesłałby mu pocztę.

Marie wzruszyła ramionami.

– Tylko jeśli sam wie, gdzie jest Sebastian.

– Zobaczymy.

Właściwie on też miał wrażenie, że Sebastian Winkler wcale nie chciał być

znaleziony. Kim on był tak naprawdę? Zrobił dziecko jego siostrze i zniknął z pola widzenia. Nie spodziewał się takiego zachowania po tym przyzwoitym i honorowo postępującym mężczyźnie. Z drugiej strony w tym czasie Lisa nadal była żoną Klause von Hagemanna.

Marie wstała, żeby powiesić płaszcz na haczyku, bo nie zamierzała już spać. Spojrzył w stronę oślepiającego słońca, które zaglądało teraz do przedziału, i poczekał, aż usiądzie.

– Wiesz co, Marie, czasami sobie myślę, że te nasze rozmowy i kłótnie do niczego nie prowadzą.

Wyraz jej twarzy nie powiedział mu, co sądziła o wypowiedzianym przez niego zdaniu.

– Ja też tak sądzę.

– Bo prawie przez to zapomnieliśmy, co naprawdę nas łączy.

– A ty nie potrafisz pojąć, co naprawdę nas rozdzieliło.

Niech to! Nie było łatwo powiedzieć tak niechętnie nastawionej kobiecie, jak bardzo ją kocha. Przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz.

– Cokolwiek by stało między nami, jest to bez znaczenia, Marie. Znów będziemy jednością, obiecuję ci. Ważne jest to, że my razem...

Marie potrząsnęła głową i przerwała mu energicznie:

– Dla mnie, drogi Paulu, to nie jest bez znaczenia. Chciałbyś te problemy zetrzeć jednym ruchem ręki, jak się przeciera oszronioną szybę w oknie. Szronu już nie ma, widok jest przejrzysty, ale sam mróz wcale nie zniknął.

Zamknął na chwilę oczy i słyszał, jak dudni mu w uszach. Nie – nakazał sobie. Pozostaniesz spokojny.

– Co masz na myśli, mówiąc „mróz”?

Zrobiła ręką ruch, który miał oznaczać, że było to jedynie przypadkowe słowo, bez głębszego sensu. On jednak znał ją lepiej.

– Wiesz przecież, że szanuję twoją matkę, prawda? Mam włączyć się w organizowanie tej wystawy? Tego ode mnie oczekujesz?

– Nie!

Jęknął i potarł rękami kolana.

– Czego w takim razie?

– Niczego, Paul. Niczego nie oczekuję i do niczego cię nie będę zmuszać. Sam musisz wiedzieć, czego ty chcesz.

Patrzył na nią i starał się uchwycić sens tych słów. Niczego nie oczekiwała. Do niczego nie chciała zmuszać. Czego więc chciała? Znowu stał pod ścianą, która ich rozdzielała? Ten przeklęty mur, który nie miał ani okien, ani drzwi, był zbyt wysoki, żeby mógł go przeskoczyć.

– Wytłumacz mi to, proszę.

Drzwi przedziału się otworzyły i starszy mężczyzna zajrzał do środka.

– Numer czterdzieści osiem i czterdzieści dziewięć? Ach, już widzę. Dobrze trafiliśmy. Chodź, moja skarbuniu.

Przyciągnął za sobą skórzany kufer i starał się, bez powodzenia, włożyć ten spory bagaż do luku na walizki, a potem patrzył na Paula z niesmakiem, gdy ten jednym ruchem wepchnął kufer na właściwe miejsce.

– Piękne dzięki, młody człowieku. To bardzo miłe. Masz swoje pudełka z kapeluszami, skarbuniu?

Skarbunia była tak mocno zawinięta w płaszcz z norek, że początkowo było widać tylko jej włosy w kolorze blond i mocno pomalowane jasnoniebieskie oczy. Mimo że zdecydowanie przesadziła z tuszem do rzęs i kredką do oczu, wyglądały dziecinnie. Jeszcze dwie kolejne walizki, trzy pudła na kapelusze i torba podróżna z materiału w kwiaty z pomocą Paula zostały umieszczone w luku bagażowym. Potem młoda dama zdjęła płaszcz i usiadła obok Marie.

– Straszne te podróże pociągami – zauważył starszy pan i zajął miejsce obok Paula. – Moją żonę za każdym razem boli głowa.

Marie uśmiechnęła się do niego i przyznała, że ona też często musi brać tabletkę od bólu głowy.

– W dawnych czasach dyliżanse pocztowe jeździły przez lasy, zatapiały się na błotnistych terenach i nierzadko były napadane przez bandytów – stwierdził Paul, który był zły, że wsiedli nowi pasażerowie.

– Tak, tak, dawne czasy.

Chwilę później Marie i Skarbunia wdały się w rozmowę o najnowszej modzie na wiosnę, o kapeluszach z Paryża i angielskiej wełnie, a Paul po raz kolejny podziwiał niezwykłą umiejętność swojej żony, która potrafiła tak swobodnie się dostosowywać i nawiązać kontakt nawet z trudnymi ludźmi. Gdy musieli wysiąść w Günzburgu, Skarbunia była niepokieszona, zanotowała adres atelier Marie i obiecywała na wszystkie świętości, że zjawi

się tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Günzburg w wiosennym słońcu przedstawiał się całkiem ładnie, przede wszystkim imponująca była rezydencja na wzgórzu, która tronowała nad całym miasteczkiem. Był to budynek obronny z osiemnastego wieku, niczym twierdza otaczający wewnętrzny dziedziniec i podtrzymywany przez dwie wieże z cebulastymi dachami. Dworzec znajdował się poza miastem i – jak to często bywało – nie stały przed nim ani dorożki, ani taksówki, które mogłyby ich dowieźć do centrum.

– Idziemy na piechotę – zawyrokowała Marie bez żalu. – Na szczęście nie mam ze sobą ciężkich walizek i pudeł z kapeluszami.

Po raz pierwszy oboje się uśmiechnęli, rozbawieni dziwną parą z pociągu, i Paul zaoferował jej swoje ramię. Marie się zawahała, zerknęła na niego i w końcu się zgodziła. Nie powinien był tego robić, bo ten dotyk wywołał w nim niepożądane zmieszanie. To, co działo się z nim w czasie tego krótkiego spaceru, później wydało mu się niedorzeczne, ale Marie też czuła się głupio i gdy wyszli poza mury starego miasta, oboje przypisali ten stan nadciągającej wiośnie.

– Może moglibyśmy najpierw przekąsić coś w cukierni? – zapytał wesoło.

Marie była jednak przeciwna. Jadła śniadanie w domu i wybrali się w podróż z bardzo delikatną misją, której nie można było przełożyć. Co prawda Paul był głodny, bo w willi nie przełknął ani kęsa, ale przyznał jej rację. Pytali przechodniów o Josefa Winklera, mieszkającego na Pfluggasse, w domu numer dwa, zostali dwukrotnie błędnie pokierowani i błędzili o poranku przez stare miasto, aż ktoś wreszcie rozpoznał nazwisko – „Winkler, on ma przecież warsztat szewski tuż przy starej wieży”.

– Tam – powiedziała Marie i wskazała wyprostowaną ręką but zrobiony z kutego żelaza, który w pewnej odległości od nich wisiał na haku nad wejściem do warsztatu.

Warsztat szewski Josefa Winklera składał się z dwóch wąskich staromiejskich pomieszczeń połączonych korytarzem. Po lewej stronie znajdowała się witryna sklepowa, za którą można było dostrzec zakurzone damskie pantofle, buty do jazdy konnej i parę podeszew wykonanych z gumy. Wejście znajdowało się po prawej stronie – trzy schodki prowadziły w dół, do warsztatu. Paul oszczędził sobie pukania, bo i tak byłoby niesłyszalne przy silnych uderzeniach młotka, które było słyhać z tylnej części pomieszczenia. Brodaty szewc ledwie uniósł głowę, gdy weszli, a potem nadal przybijał podeszwę do naprawianego właśnie buta.

– Erika!

Jego wołanie brzmiało tak, jakby ktoś spiął mu usta co najmniej dziesięcioma szpilkami, ale został zrozumiany, bo z sąsiedniego pokoju wyszła wysoka, koścista kobieta i obrzuciła pełnym ciekawości, oceniającym wzrokiem parę ubraną w miejskim stylu.

– Czym mogę służyć, moi państwo?

– Chcielibyśmy rozmawiać z panem Sebastianem Winklerem – powiedział Paul, któremu koścista kobieta na pierwszy rzut oka wydała się mało sympatyczna.

Na jej twarzy malowała się podejrzliwość i narastająca wrogość. Porozumiała się wzrokiem z szewcem, który prawdopodobnie był jej mężem, i spuściła oczy. Aha, było jasne, kto w tym warsztacie nosił spodnie.

– Czego państwo od niego chcecie?

Brzmiało to bardziej niż odpychająco, ale potwierdziło, że poszukiwany znajdował się gdzieś niedaleko.

– Chcielibyśmy mu przekazać pewną wiadomość i z nim porozmawiać. Nie ma powodów do obaw, droga pani Winkler.

Paul uśmiechnął się szarmancko, co odniosło zamierzony skutek, bo jej twarz złagodniała.

– On jest przyzwoitym człowiekiem i nic złego nie zrobił – powiedziała i spojrzała na Paula ostrzegawczo.

– Jesteśmy o tym przekonani, pani Winkler. Czy przebywa tutaj, w Günzburgu?

Znowu wymieniła spojrzenie z mężem, który ponownie zaczął walić młotkiem. Cały warsztat składał się z jednego starego stołu zarzuconego wszelkimi rodzajami skóry, narzędziami i skrzynkami pełnymi gwoździków. Obok szewca leżały drewniane prawidła, a także podeszwa i w połowie skończony but z czarnej skóry. Na ścianie w pobliżu wisały obcęgi, szydła i nożyce różnej wielkości oraz jakieś narzędzia, których przeznaczenie było z pewnością znane jedynie szewcowi. W kącie stał żeliwny piec, z którego rura szła aż do sufitu i za którym ściana była zupełnie czarna. Żona szewca nie odpowiadała na pytanie, więc stali niezdecydowanie, aż Marie przejęła inicjatywę.

– Ma pani również sandały w ofercie, pani Winkler? – zapytała, okazując życzliwe zainteresowanie i biorąc z regału do ręki damski but, żeby obejrzeć

podeszwę.

– Sandały?

– Tak. – Marie uśmiechnęła się. – Z rzemykami i na małym obcasie. Takie do noszenia bez pończoch. Oczywiście latem.

– My czegoś takiego nie robimy.

– Och, dla pani męża to będzie łatwizna. Mogę pani narysować, o co mi chodzi?

Chwilę później zniknęła z kościstą panią Winklerową w sąsiednim pomieszczeniu, w którym najwyraźniej było biuro. W elektrycznym świetle lampy sufitowej widział stół i na nim stosy papierów. Słowa płynęły z ust Marie niczym wodospad, rysowała sandałki z rzemyków i na obcasie, które latem miały być bardzo modne. Prowadzi studio mody w Augsburgu i mogłaby – oczywiście po obejrzeniu pantofelków, które by się jej spodobały – zamówić całą partię. To było mądre posunięcie. Paul widział chciwość na twarzy żony szewca, pewnie myślała już o tym, jaką cenę podać wielkiemu państwu, którzy przyjechali aż z Augsburga.

– Czy pana brat mieszka w Günzburgu? – Paul zapytał szewca półgłosem.

– Nie ma go tutaj.

Teraz, gdy szewc został chwilowo wyzwolony spod władzy małżonki, okazał się bardziej rozmowny.

– A gdzie jest? Znalazł posadę nauczyciela?

Szewc potrząsnął głową i zerknął w stronę pokoju, w którym Marie pokazywała pani Winklerowej już trzeci projekt. Kobieta wydawała się pod wrażeniem zdolności plastycznych Marie.

– Jako nauczyciel? Nie. To tutaj, u nas, zajmuje się papierkową robotą i roznosi gotowe buty. A w soboty opiekuje się naszymi chłopcami, uczy ich pisać i czytać. Są już w szkole, ale jeszcze się nie nauczyli. Są po prostu zbyt głupi.

Zamilkł przygnębiony i wrócił do pracy. Marie mówiła o czarnych, sznurowanych półbutach, które kazała kiedyś wykonać w Augsburgu. Paul zerknął na żonę szewca, która słuchała w skupieniu i oglądała rysunki, wystawiając je do światła. Nabrał pewnych podejrzeń.

– A więc on mieszka tutaj?

– Oczywiście. Na górze, na poddaszu.

- A czy w ostatnich tygodniach dostał jakiś list?
- Nie wiem, to Erika odbiera pocztę od listonosza.
- A więc to tak.

Szewc włożył między wargi kolejny drewniany sztyft i pracował dalej. Było więc możliwe, że ta chciwa kobieta wcale nie przekazała mu listu od Lisy. Dlaczego miałyby to zrobić? Szwagier pracował dla nich za wikt i opierunek, prowadził księgi, doglądał rachunków, wykonywał całą brudną robotę i do tego opiekował się dziećmi. Tańszego i lepszego pomocnika nigdzie by nie znalazła.

- A gdzie on teraz jest?

Szewc skinął głową w kierunku drzwi.

- Zaraz powinien przyjść.

Aha! Paul uśmiechnął się zadowolony i dał Marie znak, że szukany przez nich mężczyzna zaraz przyjdzie. Marie opuściła powieki – zrozumiała. Musieli czekać na Sebastiana Winklera następne dwadzieścia minut i Marie zdążyła narysować kolejne cztery projekty, zanim wreszcie pojawił się w warsztacie. Wydawał się Paulowi wycieńczony, kuśtykał, a o jego wyglądzie lepiej było nie mówić. Miał na sobie najpewniej wciąż to samo znoszone ubranie, w którym przed laty wyjechał na Pomorze. Bez wątplenia był przerażony, gdy rozpoznał Paula, ale starał się zachować fason.

– Panie Winkler – powiedziała serdecznie Marie i podała mu rękę. – Mam nadzieję, że pan sobie przypomina. Marie Melzer z willi w Augsburgu. A to mój mąż.

Paul też uścisnął mu dłoń i zaproponował, aby wyszli i nie przeszkadzali w pracy w warsztacie. Żona szewca, która myślała jedynie o swoich korzyściach, patrzyła z niezadowoloną miną, gdy wychodzili.

- Mogłeś trzymać gębę na kłódkę – syknęła do męża.

Ten jednak nieprzerwanie walił młotkiem w naprawiany but.

Wiosenne słońce prześwitywało między domami, było jeszcze zbyt nisko, aby oświetlać znad dachów całą ulicę. Stado szarych wróbli uniosło się z głośnym okrzykiem i rozpierzchnęło się na dachach i murach.

– Przypuszczam, że przychodzą państwo w związku z... panią von Hagemann – zaczął Sebastian, blady i zdenerwowany. – Wiem, że mam wobec niej dług.

– Absolutnie nie – przerwał mu Paul. – Ponieważ nie odpowiedział pan na jej list, moja siostra nie chce mieć nic wspólnego z naszą wizytą.

– Jej list? – zapytał zdezorientowany. – Elisabeth napisała do mnie list?

– Nie otrzymał go pan? – zapytała Marie łagodnie. – To niemożliwe. Nasza poczta jest przecież niezawodna...

Sebastian zamilkł i wydawał się teraz jeszcze bledszy. Jego usta były niemalże białe i drżały. Paulowi naprawdę było go żal. Tkwienie w szponach takiej szwagierki z pewnością nie było przyjemne.

– Chcieliśmy jedynie przekazać panu dwie informacje. Uważamy bowiem, że powinien pan o tym wiedzieć. Potem wrócimy do Augsburga i nie będziemy pana więcej niepokoić – powiedziała Marie.

Paul był innego zdania i najchętniej przemówiłby Sebastianowi do sumienia, ale ponieważ biedny człowiek naprawdę wyglądał na zagubionego, powstrzymał się. Cofnęli się, by zrobić miejsce dwóm kobietom, które ciągnęły wózek pełen worków z mąką i mówiły przy tym tak głośno, że słychać było na całej ulicy. Potem znowu zaczęły głośno świergotać wróble siedzące na murach. Marie podeszła bliżej do Sebastiana, mówiła cicho, ale dobitnie:

– Po pierwsze, moja szwagierka od kilku tygodni jest rozwiedziona z panem von Hagemannem. Od tego czasu mieszka w willi w Augsburgu.

Nawet jeśli Sebastian był zdumiony tą wiadomością, nie okazał tego. Wydawał się zupełnie sparaliżowany, tylko jego oczy, ledwie widoczne zza okularów, dziwnie błyszczały.

– Po drugie, w lutym Elisabeth wydała na świat zdrowego chłopca, którego ojcem – tak mi powiedziała – na pewno nie może być jej były mąż Klaus von Hagemann.

Ta wiadomość wywarła na nim piorunujące wrażenie. Zrobił kilka kroków do tyłu, opierając się o ścianę domu szewca, i próbował złapać oddech.

– Dziecko... Ona ma dziecko!

Paul przyjacielskim gestem położył mu rękę na ramieniu.

– Takie wiadomości mogą zwalić człowieka z nóg, prawda? Niech sobie pan da czas i podejmie decyzję w spokoju. W końcu chodzi przecież o... pana syna.

– Przysięgam państwu – jękał się Sebastian całkowicie zdezorientowany – nie miałem o tym pojęcia. O Boże, co ona musi o mnie myśleć. Jak ja jej będę

mógł spojrzeć w oczy?

– Jeśli naprawdę zależy panu na Elisabeth, panie Winkler – mówiła łagodnie Marie – będzie pan wiedział, co trzeba zrobić.

Pożegnali się z nim i zostawili go w stanie bezradnego oszołomienia na ulicy przed warsztatem szewskim.

– Czy to było właściwe? – zastanawiał się Paul, gdy szli w stronę dworca.

– Tak uważam – odpowiedziała Marie. – Uciekł pod osłoną nocy, niech teraz wie, jak się rzeczy mają. Myślę, że podejmiemy właściwą decyzję.

Paul spojrział na nią z uśmiechem. Kobieca intuicja czy czujna obserwacja? Był tego samego zdania i cieszył się, że się zgadzają.

– Naprawdę chcesz zamówić sandały?

Marie zachichotała i wzruszyła ramionami.

– Może. Dlaczego nie? Jeśli przyślą mi jakiś sensowny wzór...

Była naprawdę zaradną kobietą interesu, wykorzystywała każdą okazję, żeby tworzyć nowe pomysły i wprowadzać je w życie. Jego ojciec w którymś momencie musiał to dostrzec, bo pod koniec swojego życia ponoć bardzo cenił Marie. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby jeszcze żył, kiedy Paul wrócił z wojny.

Złapali po drodze taksówkę i pojechali na dworzec, zjedli w pobliskiej gospodzie wczesny obiad i rozmawiali o Sebastianie Winklerze. Również później, gdy siedzieli w pociągu, zastanawiali się, jak można by pomóc tym dwojgu.

– Jestem pewna, że Lisa go kocha – powiedziała Marie. – A ona też na pewno nie jest mu obojętna.

Wreszcie zdjęła kapelusz i poprawiła fryzurę. Obserwował ją i czuł, że nie chce się od niego dystansować.

– Musimy być bardzo taktowni, Paul. Sebastian jest bardzo czuły na punkcie swojego honoru. Nie będzie mu łatwo przyjąć twoją ofertę.

Ustalili po dyskusji w trakcie obiadu, że zaoferują mu posadę księgowego w fabryce. Paul westchnął i powiedział, że to doprawdy zbyt dużo, żeby żądać od niego, by z ogromną delikatnością proponował pracę temu człowiekowi. Inni stoją w kolejce po taką szansę.

– Masz rację, Paul. Ale to byłoby dla tej małej rodziny wspaniałe rozwiązanie. Nie sądzisz?

– Tak, Marie. Musimy spróbować.

Wydawało mu się, że w to jedno przedpołudnie pąki na drzewach rozwinęły się w drobne kwiaty, a między gałęziami widać jasnozielone liście. Ale mogło to być jedynie złudzenie. W małym przedziale było jasno i ciepło, na szczęście dla nich dwojga, i gdy tak rozmawiali o przyszłości Lisy, miał wrażenie, że znów jest w domu. Była jego drugą połową, przy niej świat wydawał się lepszy, wszystko było możliwe i nic nie mogło im zagrozić.

Gdy za oknem pociągu ukazały się pierwsze budynki Augsburga, nowe osiedla w Oberhausen, po drugiej stronie Pfersee, a w oddali widać już było zielone kopuły Perlachturm oraz kościół Świętych Ulryka i Afry, zrozumiał, że musi coś zrobić. Spróbować. Nawet jeśli w czasie konfrontacji zostawi na tym przeklętym murze, który ich dzielił, krwawe plamy.

– Marie, chcę powiedzieć, że jeśli chcesz zorganizować tę wystawę, nie będę ci w tym przeszkadzał.

Spojrzała na niego poważnymi oczami i wiedział już, że musi pójść jeszcze dalej.

– Zrozumiałem, że jest to właściwe. Ona była twoją matką. A ponadto świetną artystką. Zasłużyła na to, żeby pokazać światu jej prace.

Marie patrzyła przez okno, pociąg przejeżdżał przez most, a na wodzie było widać liczne łabędzie. Paul czekał z bijącym sercem. Dlaczego milczała?

– Miałam cię pozdrowić – powiedziała w końcu i uśmiechnęła się do niego.

– Pozdrowić? Od kogo?

– Od Lea i Dodo. Bardzo się cieszą na kolejną wizytę w willi.

Wreszcie dobra wiadomość. Ale nie ta, na którą czekał.

– A ty? – zapytał.

Wjeżdżali już na stację, wąskim korytarzem chodzili ludzie z torbami i walizkami. Niektórzy zaglądali z ciekawości do ich przedziału.

– Nie jestem jeszcze pewna, Paul. Daj mi czas.

To było to. Przełom. Wyrwa w twardym kamieniu. Mógłby teraz wrzeszczeć i skakać z radości. Ale jedynie wstał i podał jej płaszcz. Potem patrzył, jak wkłada kapelusz, i pomógł jej wysiąść na peron.

– Do zobaczenia – powiedział w dworcowym holu.

A ona odeszła szybko, żeby złapać tramwaj.

Kwiecień 1925

To nie może być prawda – mruknęła Auguste, tak żeby nikt jej nie usłyszał.

Na cmentarzu Hermana było aż czarno od niezliczonych żałobników. Wchodzili przez obie bramy, rozchodzili się po ścieżkach między grobami, stawali w grupach i plotkowali. Większość zgromadzonych zaglądała do otwartego grobu, który znajdował się niedaleko północnego muru, tuż za kaplicą cmentarną.

– Jak dobrze, że nie przyjechaliśmy samochodem – powiedział Gustav. – Nie znaleźlibyśmy miejsca do parkowania.

Ubrany był dzisiaj w porządny garnitur i wiązane buty z lakierowanej skóry. Auguste też się wystroiła – w końcu kupiła te wszystkie rzeczy za pieniądze Jordan. Chciała okazać zmarłej szacunek, przychodząc na pogrzeb dobrze ubrana.

– Popatrz no, Gustl – powiedziała, dotykając jego ramienia. – Tam stoi Brunnenmayer. Och, włożyła swój czarny płaszcz i prawie jej nie poznałam. A obok stoją Else i Gertie. Oraz Humbert z Hanną.

– Pani Bliefert! – zawołał ktoś za nią i Auguste odwróciła się.

To był Christian, pracownik Jordan. Uśmiechnął się, a jego odstające uszy wyglądały w wiosennym słońcu niczym dwa różowe skrzydełka.

– Ach, Christian! Jak się masz?

– Jakoś leci, pani Bliefert. A jak u pani? Dzieci zdrowe?

Gdy Auguste mówiła, że Liesl musiała zostać dzisiaj w domu, żeby zająć się małymi, okropnie się bała, że Christian może wspomnieć o pożyczonych pieniądzach. Nie był przecież głupi. Wiedział na pewno, czym się zajmowała Jordan za zamkniętymi drzwiami.

– Przyszło tak dużo osób – powiedział i rozglądał się zdziwiony. – Można by pomyśleć, że pani Jordan miała wielu oddanych przyjaciół.

– Tak, wszędzie ją znano – powiedziała Auguste bez przekonania.

Na pewno na cmentarzu jest wielu byłych dłużników Jordan, pomyślała. Może też ta czy inna zamożna pani, której przepowiadała przyszłość. A na pewno dużo ciekawskich, którzy przeczytali artykuł w gazecie. Sporej

wielkości nekrolog pojawił się w „Augsburger Neueste Nachrichten”, a także w „Münchner Merkur”.

Żegnamy Marię Jordan

02.05.1873 – 23.03.1925

Wszyscy, którzy ją znali, wiedzą, kogo straciliśmy.

Niech Bóg da jej wieczny spokój.

Christian zamieścił ten nekrolog. Julius nie mógł tego zrobić, bo wciąż siedział w więzieniu, biedny chłopak. A może zrobił to jakiś jej krewny?

– Sprawdźmy, czy uda nam się podejść bliżej – powiedział Gustav, któremu się nie podobało, że tak długo stoją w jednym miejscu.

Ma robaki w spodniach, ten jej Gustav. Nad szklarnią wreszcie stanął dach, a jutro rano przychodzi szklarz, żeby wstawić szyby. Mogliby już jutro przygotować grządki i wysadzić do ziemi sadzonki z doniczek. Ach, wszystko mogłoby być tak pięknie, wszystko się dobrze układało i wreszcie mogliby stanąć na nogi. Gdyby tylko nie ten ciągły strach... Nic się jeszcze nie stało, ale policja z pewnością znalazła weksel z jej podpisem. Ale co się działo z jej długiem teraz, gdy osoba, która pożyczyła jej pieniądze, nie żyła? Został umorzony? Czy znajdą w końcu jakichś spadkobierców, którym będzie musiała oddać pieniądze?

– Na bratkach nic nie zarobimy – powiedział Gustav, który przechodząc, oglądał kwiatki postawione na grobach. – Za szybko wzeszły, za dwa dni będzie po nich. I zobacz no, Auguste. Bukiety z narcyzów i hiacyntów, my też mamy ich mnóstwo do sprzedania.

Jaki był podekscytowany, gdy mówił o kwiatkach. Irytowało go nawet, że klomb przed willą Melzerów wciąż jest przykryty gałęziami jodły. Powinny zostać jak najszybciej usunięte, bo prymulki nie będą miały dość światła, żeby rosnąć. Tulipany i żonkile już zaczęły przebijać się między gałęziami – wstyd!

– Powinni zatrudnić ogrodnika – rzuciła Auguste. – Nie możesz się rozdziwić, Gustav. A pieniądze mają dość. W fabryce pracuje nocna zmiana, a wszystkie budynki zostały niedawno świeżo pomalowane.

Między grobami stało kilkoro sierot z nową kierowniczką placówki. Kościół pół roku temu ponownie otworzył Sierociniec Siedmiu Męczennic. Wydawało się, że dzieci pamiętały jeszcze swoją byłą dyrektorkę, Marię Jordan. Kto by pomyślał.

Auguste i jej mąż podeszli blisko do grobu i spojrzeli na kapłana, który stał nieopodal w czarnej sutannie i z poważną miną, czekając, aż wszyscy uczestnicy pogrzebu podejną.

– Jaki ma piękny grobowiec! – zauważyła Auguste, gdy ujrzała ciemnobrunatny kamień, zdobiony płaskorzeźbami.

Leżał na nim bukiet czerwonych róż i białych lilii. Pochodziły z całą pewnością z Monachium, w sklepach w Augsburgu nie było tak pięknych kwiatów. A na pewno nie o tej porze roku.

– Jesteś zazdrosna, co? – zapytała Gertie, która właśnie do niej podeszła. – Chciałabyś też mieć taki piękny nagrobek?

– Dziękuję bardzo – obruszyła się Auguste. – Mam inne marzenia.

Zupełnie z przodu, zaraz przy grobach stał pan Melzer ze swoją matką i Elisabeth von Hagemann. A więc oni też przyszli! Pani von Hagemann wydawała się rzeczywiście poruszona, bo cały czas wycierała oczy chusteczką. Po drugiej stronie grobu stanęły pani Marie Melzer oraz pani Kitty Bräuer, a przy nich pan von Klippstein. Marie Melzer miała smutną minę. Jakie to dziwne, przecież Maria Jordan od początku nie znosiła Marie i nigdy nie powiedziała o niej dobrego słowa. Ale młoda pani Melzer miała miękkie serce. Jaka szkoda, że małżeństwo Melzerów pewnie się rozpadnie. Auguste była pewna, że przyczyniła się do tego Serafina von Dobern. Każdy wiedział, że wszystkie nieszczęścia w willi zaczęły się, gdy ona się zjawiała. Tylko łaskawy pan i jego matka zdają się tego nie dostrzegać. Auguste pomyślała, że gdy teraz wreszcie zajmą się szklarnią i ogrodnictwem, nie będzie już musiała chodzić do willi i żebrać o pracę. Zarobią wystarczająco, żeby godnie żyć, i ta pełna jadu pajęczycyca nie mogła im tego zabrać.

– Niech pani spojrzy, pani Bliefert – szepnął jej Christian do ucha. – Tam między drzewami. Mężczyzna.

Wystraszyła się nieco, bo nie zauważyła, że Christian szedł za nią. Drzewo, na które wskazywał palcem, to był jeszcze bezlistny klon, opleciony bluszczem. Wiewiórka mignęła między gałęziami i zniknęła w pnączach bluszczu – prawdopodobnie z drugiej strony drzewa była dziupla.

– Co to za mężczyzna?

Christian nie mógł od razu odpowiedzieć, bo ksiądz donośnym głosem rozpoczął swoją mowę. Mówił o nieodgadnionej woli Bożej, o Boskich wyrokach, które czasami mogą się wydawać niezrozumiałe czy wręcz okrutne, i o Jego wszechmocy, która nas prowadzi i nami kieruje.

– Moja jest zemsta!, mówi Pan – wołał głośno ponad głowami zgromadzonych.

Else i Brunnenmayer przytakiwały tym słowom skwapliwie.

– Jeden z kryminalnych – Christian wycodził do ucha Auguste. – A tam stoi jeszcze jeden. Ten z wąsami. Widzi go pani?

Auguste spojrzała w stronę czarnowłosego mężczyzny, który – opierając się o pień buku – gorliwie robił jakieś notatki. Zgadza się, tego znała. To on ją przesłuchiwał, ten wąsacz o gładkiej twarzy.

– Tak, oczywiście. Tylko czego on tutaj szuka? – szepnęła Auguste do ucha Christianowi.

– Cisza tam z przodu! – warknął ktoś. – Nie umiecie się państwo zachować?

Rozgniewany Gustav odwrócił się do niego. Jego Auguste nikt nie ma prawa zwracać uwagi.

– Jeśli pan znowu obrazi moją żonę, ty... ty gburze!

Auguste złapała go za rękę i powiedziała, żeby odpuścić. Ten drugi też zamilkł, bo z przodu podeszli pracownicy zakładu pogrzebowego, żeby złożyć Marie Jordan w grobie na wieczny spoczynek. Trzy liny, na których opuszczano trumnę, zostały mocno naprężone przez silne ręce mężczyzn, pracownik cmentarza wyciągnął podpierającą deskę i spuszczone trumnę wolno i uroczyście na dół. Kapłan przytoczył fragment Biblii o życiu wiecznym i pokropił trumnę święconą wodą. Usłyszeli czyjś głośny i niepowstrzymany szloch.

Else, pomyślała Auguste. Boże, jakie to przykre. Ale ona taka już jest. Zaraz potem zorientowała się, że się pomyliła, bo Else stała prosto niczym posąg obok Brunnenmayer i trzymała chusteczkę przy ustach. Szlochał starszy mężczyzna, który trzymał w ręce modny kapelusz – homburg – a na czarnych, skórzanych butach miał nowe getry. Wydawał się pogrążony w żalu – podszedł do grobu tak blisko, że obawiano się, iż zaraz do niego wpadnie. Położył bukiet róż, zanim ksiądz okadził trumnę.

Auguste wydawało się, że już kiedyś widziała tego mężczyznę. Gdy odwróciła się do Brunnenmayer i innych pracowników willi, zauważyła, że oni też są nieco zmieszani. Czyżby Jordan miała krewnych? Och, tylko nie to, pomyślała Auguste. Dobry Boże, niech to będzie jakiś jej dawny kochanek. Nieszczęsny dłużnik. Klient, któremu przepowiadała złotą przyszłość. Byle nie ktoś, kto mógłby od niej żądać zwrotu długu.

Nieliczni ze zgromadzonych poszli za przykładem mężczyzny z hamburkiem i zaczęli rzucać garście ziemi i kwiaty do otwartego grobu. Zrobiła to Brunnenmayer, potem Else, Christian, dwie starsze kobiety i sąsiad Jordan oraz jego małżonka. Potem większość osób jeszcze stała na miejscu, witała się ze znajomymi, wymieniała się zasłyszonymi plotkami. I po raz kolejny zapewniali sobie nawzajem, że biedna Maria wreszcie odnalazła spokój. Mężczyzna z hamburkiem i w getrach wręczył księdzu zamkniętą kopertę, coś do niego powiedział i zniknął, powoli przechodząc między gapiami w kierunku bramy. Towarzyszyły mu zaciekawione spojrzenia, szepty, wzruszenia ramion. Gdy Auguste zerknęła na policjantów, dostrzegła, że ich też już nie było.

– Pójdziecie z nami do willi? – zapytała Brunnenmayer. – Chcielibyśmy przez chwilę wspólnie posiedzieć i zjeść ciasto. Możecie spokojnie zabrać dzieci. Nie będzie aż tak ponuro.

Gustav odmówił, chciał od razu wracać do szklarni. Może jeszcze dzisiaj mu się uda użyźnić i obsadzić dobrą matkę ziemię. Jeśli tylko okna będą gotowe!

– Chciałbyś pójść z nami, Christianie? – zapytała Gertie, patrząc ze współczuciem na chłopaka.

Wydawało się, że bardzo się ucieszył z zaproszenia, bo jego zaróżowione uszy przybrały kolor karminu.

– Jeśli mogę...

– Tak, oczywiście! – krzyknął Humbert. Auguste się nie odezwała. No cóż, polubiła Christiana, lecz bała się, że nieświadomie mógł uczynić jakąś uwagę i wtedy jej tajemnica się wyda. Wszyscy wsiedli do tramwaju i dojechali na Haagstraße. Tam Gustav skręcił w lewo, by pójść do swojej szklarni, a reszta udała się do bramy parkowej. Po drodze minęło ich auto Melzerów, które prowadził sam pan Melzer. Na tylnym siedzeniu obok pani von Hagemann siedziała Brunnenmayer. Jako najstarszemu pracownikowi w domostwie widać zaproponowano jej podwózkę, ku niezadowoleniu Else, która została zatrudniona w willi zaledwie rok później niż kucharka.

– Widzieliście, jak oficjalnie się pożegnała młoda pani Melzer ze swoim mężem? – powiedziała Gertie, gdy szli do willi.

– Ale uśmiechnęła się delikatnie – zauważył Humbert. – Może ci dwoje niedługo wróca do siebie.

– Mówisz poważnie? – zapytała Gertie kpiąco. – Koniec to koniec, nie ma

odwrotu.

– Maj zawsze przynosi wiele nowego – odpowiedział wesoło Humbert.

Spojrzał na Hannę i oboje uśmiechnęli się do siebie. Przez całą drogę trzymali się za ręce jak zakochana para. To zabawne, pomyślała Auguste. A była przekonana, że Humbert nie polubi nigdy żadnej dziewczyny. Najwyraźniej musiała się pomylić.

– Wy dwoje jesteście jak papużki nierozłączki, co? – zapytała ironicznie.

– Tak – odpowiedział poważnie Humbert. – Nie mógłbym już nigdzie wyjechać bez Hanny.

– Ach ty – powiedziała Hanna z uśmiechem i dała mu lekkiego kuksańca w żebra. – Zawsze tak pięknie mówisz.

– A może to nie jest prawda? – zapytał ją.

– Tak – potwierdziła i zrobiła się czerwona.

Przed willą przy dużej rabacie zobaczyli Dörthe w niebieskim fartuchu i chodakach. Wyciągała gałęzie jodły spomiędzy rozkwitających już kwiatów i odkładała na stosik, żeby potem je zebrać i wywieźć taczka do składziku drewna na opał. Spulchniała też motyczką ziemię wokół kwiatów, a na wolnych miejscach chciała posadzić bratki, które stały w dużych donicach w pralni.

– Jedną z donic oczywiście potłukła – powiedziała Gertie z grymasem. – Poza tym radzi sobie dobrze, pochodzi ze wsi i w ziemi potrafi ryc niczym robak.

Auguste wysłała Dörthe do domku w ogrodzie, żeby przyprowadziła dzieci. Liesl i Maxl, jak już napiją się kawy ze wszystkimi, mogą pomóc przy sadzeniu roślin, są przyzwyczajeni do tego rodzaju pracy.

– Chcesz, żeby twoja biedna córka ciągle tylko pracowała? – upomniała ją Gertie. – Ona jest bardzo bystra, ta twoja Liesl, powinna chodzić do szkoły i nauczyć się wielu ważnych rzeczy.

– Tak jak ty, co? – odpowiedziała rozzłoszczona Auguste.

Co Gertie miała właściwie do tego, czy Liesl będzie chodziła do szkoły? Czy Gertie faktycznie coś zyskała na tym, że ukończyła ten drogi kurs dla młodszych pokojówek? Dotychczas nikt w willi nie zaproponował jej odpowiedniej posady. Służąca dla wszystkich – tym była. I tak długo, jak pani von Dobern będzie w tym domu, to się nie zmieni. Ona była prawdziwym cierniem w oku.

Długi stół w kuchni był już nakryty. Brunnenmayer już była na miejscu i nalewała kawę. Oczywiście wcześniej napełniła dzbanek kawowy z miśnieńskiej porcelany dla pań Lisy von Hagemann i Alicji Melzer. A potem mały, nieco wyszczerbiony czajniczek dla pani von Dobern, która jadła posiłki w swoim biurze. I dopiero na końcu duży, niebieski blaszany dzban dla personelu. Jak ta kawa wybornie pachniała! Gertie i Hanna przyniosły świeże ciasto drożdżowe ze spiżarni, babkę z rodzynkami i kawałki czekolady, którą dzieci uwielbiały.

– Macie tyle wspaniałych ciast – jęknął Christian. – I do tego prawdziwą kawę z ziaren!

Ta chciwa Jordan najwyraźniej nie pozwalała biednemu chłopakowi pić kawy ani jeść czegokolwiek, co miała w sklepie, pomyślała z goryczą Auguste. Nie można było myśleć źle o zmarłych, ale dla Christiana to dobrze, że odeszła. I dla niej też!

Zajęto miejsca przy stole, podawano sobie wzdłuż stołu dzbanek z kawą i dzbanuszek z mlekiem oraz cukiernicę, a każdy poczęstował się też ciastem. Zaraz potem do kuchni weszła Dörthe z dziećmi Auguste, które najpierw musiały umyć brudne ręce. Wszyscy się śmiali, bo palce Dörthe były znacznie bardziej ubrudzone niż dłonie dzieci. Fritz i Hans pobiegli natychmiast do Christiana i wgramolili mu się na kolana, Maxl usadowił się u Auguste, a Liesl poszła do Gertie.

Aha, pomyślała Auguste podejrzliwie. Muszę uważać, żeby nie przekabaciła mi córki. Potrzebujemy każdej pary rąk do pracy w ogrodnictwie. Potem zapyta Dörthe, czy nie chciałyby u nich pracować. Wyglądało na to, że dobrze zna się na roślinach, a poza tym była silna. A ponieważ pochodziła ze wsi, pewnie nie zażąda dużego wynagrodzenia. Może pracowałyby za wikt i opierunek? Mogłyby spać na górze z dziećmi. Tak, Dörthe byłaby pewnie lepszym pracownikiem. Christian był co prawda przemity, ale gdy się teraz zastanowiła, był zbyt drobny, by harować w szklarni.

– Też wydawał mi się znajomy – powiedział ktoś przy stole, wyrywając Auguste z zamyślenia.

– Ten ze sztywnym kapeluszem? – zapytała. – Ten, który tak przeraźliwie szłochał?

Humbert przytaknął i ugryzł kawałek ciasta. Hanna nalewała mu mleko do filiżanki. Wiedziała doskonale, ile lubił, więc o nic nie zapytała.

– No nie wiem – włączyła się Else. – Trudno powiedzieć, bo był tak

elegancko ubrany, ale wydaje mi się, że już go widziałam.

Umoczyła kawałek ciasta w kawie i zrobiła głupią minę, gdy go wyciągnęła, bo część drożdżowca została w kubku.

– Ja go nie znam – stwierdziła zdecydowanie Hanna.

Gertie także wzruszyła ramionami, nigdy wcześniej nie widziała tego komicznego typu. Ale była pewna, że niedawno nosił brodę.

– I co z tego? – zapytała Else.

Gertie spojrzała na nią wyniośle.

– Miał takie śmieszne czerwone plamy, które wyglądały jak liszaj.

– Pffuu! Do diabła! – przeklęła Auguste. – Czy to jest zaraźliwe?

– Przy całowaniu na pewno, Auguste – odpowiedziała Gertie z kąśliwym uśmiechem.

Wszyscy zaczęli się śmiać, aż Brunnenmayer zakrztusiła się kawą i Humbert musiał ją poklepać po plecach.

Gertie ma niewyparzoną gębę, żeby kiedyś ktoś jej przez to nie skręcił karku, pomyślała wściekła Auguste.

– Z siwą brodą i takimi rzadkimi niechlujnymi włosami... – mruknął Humbert, a potem wykrzyknął głośno: – Tak, teraz sobie przypominam!

– Ja też! – zawołała kucharka i ze zdumienia odłożyła kawałek ciasta, które właśnie jadła, z powrotem na talerz.

– Wy też już powinniście wiedzieć, Else i Auguste!

Przez chwilę było cicho, tylko Fritz pojękiwał, bo nie mógł sięgnąć do kubka z mlekiem.

– Jezus! – wykrzyknęła Else. – To ten typ, który kiedyś tutaj przyszedł! Ten stary pijak. Jak on się nazywał?

– Sepp, wydaje mi się – mruknęła Brunnenmayer. – Mówiła, że kiedyś był jej mężem.

Auguste niemalże zakrztusiła się kawałkiem babki z rodzynekami. Faktycznie, taki jeden czasami prześlizgiwał się korytarzem dla służby. Ona spała zazwyczaj u Else, ale kiedyś, gdy musiała wstać w nocy, natknęła się na niego. Ach, co to był za facet! Niemal umarła ze strachu. Mąż. Straszne! Jeśli to prawda, to on dziedziczył po Jordan.

– Ja też go raz widziałem – powiedział Humbert. – Skradał się korytarzem dla personelu i wpadł prosto na mnie. To było obrzydliwe. Taki brudny i obdarty. I śmierdział. Brudem i sznapsem. Ech, lepiej nie mówić... Prawie zemdlałem z obrzydzenia.

Przypomnieli sobie, że to było jeszcze przed wojną. Fanny Brunnenmayer wiedziała też, że ten Sepp, czy jak on tam się nazywał, był wielką miłością Jordan, gdy tańczyła na scenie. Gertie zrobiła wielkie oczy. Co to była za kobieta z tej Marii Jordan! Tancerka. Pokojówka. Kierowniczka sierocińca. Właścicielka sklepu. Wróżka.

– Spróbujcie ją naśladować! – powiedziała Gertie i widać było, że jest pod dużym wrażeniem.

– Nie tylko to – wtrącił się Christian.

Obaj chłopcy właśnie zeszli z jego kolan, żeby poszaleć trochę po kuchni, więc mógł się włączyć do rozmowy. I zanim Auguste go zdołała powstrzymać, już się wygadał.

– Pożyczała też pieniądze na procent – oznajmił z dumą. – Pani Jordan była bogatą kobietą, każdego miesiąca dłużnicy płacili jej raty i odsetki.

– Patrzcie ją. – Brunnenmayer aż gwizdnęła.

Auguste najchętniej schowałaby się w mysiej dziurze, bo wszyscy patrzyli teraz na nią. Else była zbyt głupia, żeby zwąchać kłamstwo, ale Gertie zorientowała się od razu, a Humbert też powoli zaczynał się domyślać. Bo w ten wielki, odziedziczony majątek Auguste wszyscy powątpiewali.

– A czy ten... ten Sepp przychodził też do sklepu na Milchberg? – Auguste zapytała Christiana, żeby odwrócić od siebie uwagę.

– Kiedyś go widziałem, przynajmniej tak sędzę – odparł niepewnie. – To było zaraz w pierwszych dniach. Przyszedł wtedy do sklepu taki obdarty włóczęga. Śmierdziało od niego sznapsem. Chciałem go wyrzucić, ale on poszedł do tylnego pokoju. Gdy otworzyłem drzwi, żeby pomóc pani Jordan, ona mnie odesłała. Tak, myślę, że to był on.

– I był u niej ten jeden jedyny raz? – zapytał Humbert z niedowierzaniem.

Słysząc było głośny huk, bo Hansl popchnął Fritza.

– On chciał podejść do gorącego pieca, mamó.

Auguste wstała i złapała swojego najmłodszego, przytuliła go do piersi i już za chwilę znów było cicho.

– Nie wiem, jak często u niej bywał – powiedział zamyślony Christian. – Wchodził czasami tylnym wejściem.

Auguste była wciąż oszołomiona wiadomością, że Jordan miała męża. Inni snuli już dalsze przypuszczenia. Jak zwykle najszybsza była Gertie. Przynajmniej jeśli chodzi o słowa.

– A skąd ten śmierdzący typ miał ten piękny garnitur, kapelusz i getry?

– I dał kopertę księdzu – włączył się Humbert.

Auguste sięgnęła po kilka ciastek, które leżały na stole, i położyła je na swoim talerzu.

– On ją też pochował – powiedziała.

– Bo przecież jest jej mężem.

– A za co on ją mógł pochować? – ciągnął Christian. – Nic już nie ma. Wszystko skradzione. Zostały tylko weksle.

– Może miała pieniądze w banku.

– Możliwe – odpowiedział Christian. – Ale nie wiem tego dokładnie. Była bardzo dyskretna w kwestii pieniędzy.

– A teraz zamilkła na wieki. – Else pokiwała znacząco głową.

Zrobiło się cicho przy stole, było słyhać tylko szum wody, gotującej się w czajniku na kuchni. I na zewnątrz, na podwórzu głosy Liesl i Maxla, którzy pomagali Dörthe sadzić rośliny.

– A jeśli nie zabił Julius? – zapytała cicho Gertie. – Jeśli to był ten Sepp? Wszedł tylnymi drzwiami, pchnął ją nożem i zabrał pieniądze?

– Pffff – zadrwił Humbert, potrząsając głową. – Myślisz, że wtedy przyszedłby na pogrzeb? W tych nowych getrach?

Wszyscy się z nim zgodzili. Popełniłby morderstwo i tak bardzo by szlochał na grobie swojej ofiary? To się zupełnie nie mieściło w głowie. Gdyby to była prawda, dawno przepadłby z pieniędzmi jak kamień w wodę.

Potem porozmawiali jeszcze przez chwilę o Melzerach. Odkąd pani von Hagemann wróciła do domu, wszystko zmieniało się na lepsze. Przede wszystkim dlatego, że nawtykała pani von Dobern.

– Jeszcze kilka tygodni i się wyniesie – zawyrokowała Brunnenmayer. – I Bóg mi świadkiem, nie będzie mi jej żal!

Christian towarzyszył Auguste i dzieciom, gdy później wracali do domu.

Starał się bezskutecznie o pracę pomocnika w sklepie z porcelaną Müllera i w drukarni Eisele, w której sprzedawano też książki. Teraz chciał spróbować jeszcze poszukać zatrudnienia w kinoteatrach, chętnie by tam pracował, bo mógłby przy okazji oglądać filmy. Gdy Auguste skręcała z parkowej drogi w stronę domu, musieli się pożegnać.

– Jest coś, o czym raczej nie powinieneś mówić, Christianie – zaczęła Auguste ostrożnie i rozejrzała się, czy Liesl nie podsłuchuje. Była już całkiem bystra, ta jej Liesl, dużo już rozumiała.

Christian się uśmiechnął. Poruszyły się przy tym jego odstające uszy, co wyglądało zabawnie.

– O tych długach. Wiem. Mam też coś dla pani.

Wyciągnął z kieszeni spodni zmięty papier i podał go jej. Spojrzał na nią przy tym znacząco.

– Leżał przez cały czas na dywanie, tuż przed moim nosem. A gdy kryminalny musiał iść się wysikać, szybko go schowałem.

Weksel! Zmięty nie do poznania, ale był to bez wątpienia ten przekłety papier, który podpisała. Była też na nim data, piątek, 3 października. I podpis Jordan. Auguste najchętniej rzuciłaby się chłopakowi na szyję.

– Jesteś dobrym chłopakiem, Christianie. Jeśli chcesz, możesz pracować u nas.

– Jeśli mi się spodoba – zaśmiał się.

Elisabeth zmrużyła oczy i głęboko odetchnęła. Gdy mały zaczynał ssać, czuła piekielny ból w prawym sutku. Potem jakoś mijał i było wspaniale. Spoglądała na różowe niemowlę i ogarniała ją głęboka czułość. Jak łapczywie jadł. Aż się przy tym cały napręzał, jej mały. Był cały czerwony i spocony. Jeszcze niedawno, gdy Rosa go zabierała, podnosił straszne larum – o tak, miał silny głos. Mama ostatnio powiedziała z uśmiechem, że ten chłopiec wniósł do willi więcej życia niż cała poprzednia trójka razem wzięta. A Lisa była z tego dumna.

– O mój Boże – powiedziała Kitty, rozłożona na jasnoniebieskiej sofie z wyciągniętymi nogami, gdy patrzyła na swoją milczącą siostrę. – Cóż to za kwintesencja płodności i urodzaju. Mogę kiedyś namalować, jak karmisz małego Johanna?

– Nie pozwalaj sobie!

– A może mogę sfotografować? Lub chociaż... mały szkic?

Lisa posłała siostrze ostrzegawcze spojrzenie. Ach ta Kitty ze swoimi obscenicznymi pomysłami! Rysunek przedstawiający mnie i moje nagie piersi na jednej z wystaw Kitty i może jeszcze z podpisem „Siostra artystki, karmiąca swojego syna”. Jakby za mało plotek o rodzinie Melzerów krążyło po Augsburgu.

– Och, Liso – jęknęła Kitty. – Ale ty jesteś uprzedzona. Nie, naprawdę. Taki piękny widok. Taki... macierzyński. Wyglądasz na taką oddaną. Jak psia mama, przy której sutkach wisi dziesięcioro szczeniąt.

Lisa знаła swoją siostrę od urodzenia, ale zawsze się jej udawało ją zdenerwować. Uspokoiła się jednak, bo stwierdziła, że Kitty najwyraźniej jej zazdrościła. Mama powiedziała już wcześniej, że mały jest podobny do swojego dziadka. Tak, teraz to ona, która zawsze była piątym kołem u wozu, przebiła swoją siostrę. Wydała na świat chłopca. Kto wie, czy jej syn nie przejmie kiedyś fabryki? Leo, mówiąc delikatnie, nie nadawał się do tego, a czy Paul i Marie będą jeszcze mieli dzieci, to było zapisane w gwiazdach. Co się zaś tyczy tych dwojga:

– Czy z Paulem i Marie to naprawdę koniec? – zapytała nagle i sięgnęła po świeżą gazę, którą położyła Rosa, gdyby coś się pobrudziło mlekiem. – Ja wciąż tego nie pojmuję, Kitty. O co oni się kłócą? Przecież się kochają, prawda?

Kitty spojrzała na sufit i podłożyła sobie jeszcze jedną jedwabną poduszkę pod plecy.

– Dobry Boże, Liso! To jest oczywiste! Przecież już nieraz rozmawiałaś o tym z Marie.

Rzeczywiście, rozmawiała, he. Odkąd mały Johann był na świecie, tylko dwa razy telefonowała do Marie. I chodziło głównie o jej własne problemy. Marie była wspaniałą powierniczką i mądrą, pomocną przyjaciółką, ale o sobie mówiła niewiele.

– W każdym razie trudno patrzeć, jak Paul cierpi.

Kitty chciała udowodnić, że to przekonanie jest absurdalne i zupełnie wysrane z palca, ale Lisa знаła ją zbyt dobrze. Kitty za bardzo kochała swojego brata, żeby to było jej obojętne.

– Ach, Liso, Paul jest cwany jak wszyscy mężczyźni – stwierdziła Kitty, obracając w palcach jedną z poduszek. – Nie, nie wszyscy. Mój biedny Alfons taki nie był, ale to jedyny wyjątek.

Lisa wytarła spocone czoło zachłannie ssącemu Johannowi i rozluźniła lewe ramię. Wczoraj trzymała dziecko w takim napięciu, że zupełnie zdrętwiała jej ręka.

– Co masz na myśli, mówiąc „cwany”?

Kitty zrobiła minę nauczycielki, która wyjaśnia zupełnie nieświadomemu dziecku zasady rządzące życiem.

– Cóż, to jest tak. Słucha się skarg żony, przytakuje się w geście pełnym zrozumienia i mówi się, że od teraz wszystko będzie inaczej. Bo ona jest jego jedynym skarbem, kocha ją nieskończenie i nie może bez niej żyć. A gdy wzruszona pada w jego ramiona, już nie zauważa, że nic się nie zmieniło. Dlaczego miałby coś zmieniać? Przecież ją kocha i to powinno wystarczyć.

Lisa z powątpiewaniem pokręciła głową. Chociaż Kitty się nie myliła, Paul potrafił postępować bardzo sprytnie. No ale urządził dla Marie atelier. Który mąż by tak zrobił?

– Atelier! No pięknie! – krzyknęła Kitty, jakby chodziło o drobiazg, którego nie warto było dalej rozważać. – Ale tutaj, w willi, Marie nie miała już nic do gadania. Nawet z guwernantką bardziej się liczył!

Lisa była przewrażliwiona w tej kwestii, bo to ona poleciła Serafinę von Dobern.

– Cóż, potrzebny był ktoś, kto by się opiekował bliźniakami.

– Bezdyskusyjnie – odparła Kitty. – Ale o czymś takim nie decyduje się za plecami matki.

Poczuła chłodny powiew na sutku, a zaraz potem mały Johann zaczął żałośnie płakać, bo stracił źródło pożywienia. Lisa wepchnęła mu sutek do otwartej buzi i chłopczyk dalej pił cały naprężony. Ile siły kosztowało takie dziecko napełnienie swojego żołądka!

– Cóż, ja również dopiero teraz poznałam prawdziwą Serafinę – przyznała niechętnie Lisa. – Kiedyś była naprawdę dobrą przyjaciółką. Kto by pomyślał, że tak się zmieni?

– Ja – odpowiedziała ze złością Kitty. – Od początku nie mogłam jej znieść, tej twojej Finki. Zawsze była takim paskudnym, chudym insektem.

– Ona nie przykłada zbytnej wagi do wyglądu.

Kitty zaśmiała się złośliwie.

– Co ty nie powiesz? Ona jest jak z kamienia. W środku i na zewnątrz.

Lisa spojrzała podejrzliwie na siostrę, która właśnie malowała paznokcie. Typowa Kitty – musiała od razu wypróbować każdą modową bzdurę. Włosy też obcięła krócej niż zwykle i mocno tuszowała rzęsy.

– Najgorsze jest jednak to, że Paul obraził matkę Marie – mówiła dalej Kitty. – Jak on mógł! Wszyscy wiemy przecież, co nasza rodzina zrobiła jej rodzicom!

Lisa odstawiła głodnego Johanna od prawej piersi i przystawiła do lewej. Nie obyło się bez płaczu, bo mały wciąż jeszcze nie był syty. Jak to dobrze, że tak ładnie jadł. Po porodzie trochę schudł, ale szybko znacząco przybrał na wadze. Wyciągał teraz nóżki i walczył o jedzenie. Na początku leżał jedynie w pozycji embrionalnej, a ponieważ Rosa zawsze go zawijała w białą bawełnianą szmatkę, Lisa początkowo bała się, że jej dziecko jest bardzo małe i nie ma nóżek.

– Wiesz co, Kitty, dobrze rozumiem Paula. Ta cała Luise Hofgartner – tak się nazywała, prawda? – musiała być bardzo trudną osobą. Mogła po prostu oddać te projekty tacie i wszystko by się inaczej potoczyło. Ale nie, musiała się uprzeć.

– Po pierwsze, to matka Marie – fuknęła Kitty. – Po drugie, była niesamowitą artystką, po trzecie, umarła w tragicznych okolicznościach. Uważam, że Paul potraktował to zbyt lekko. Chciał ukryć jej dorobek na poddaszu. Od tego się przecież wszystko zaczęło.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego z tego powodu ma się rozpaść takie szczęśliwe małżeństwo.

– O matko! – krzyknęła wzburzona Kitty. – Kto mówi o czymś takim? Paul w końcu ustąpi, jestem pewna. Wiesz co, Liso, Paul zachowuje się teraz dokładnie tak jak nasz tata. Był uparty jak osioł, a gdy docierało do niego, że sprawa nie potoczy się po jego myśli, błyskawicznie zmieniał zdanie. Pamiętasz, jak początkowo był przeciwny założeniu lazaretu w posiadłości? A potem za nic nie chciał, żeby w jego fabryce produkowano materiał z papieru. I co nam pomogło przetrwać wojnę? Materiał z papieru!

Lisa nie była przekonana. Kto powiedział, że Paul będzie naśladował w tych kwestiach ojca? Tutaj chodziło o sytuację w małżeństwie, obowiązywały więc zupełnie inne zasady.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz, Kitty.

– Oczywiście, że nie, Liso – mówiła Kitty, machając stopami.

Miała na nogach zachwycające buty z rzemyków z jasnej skóry na małych obcasach. Wciąż jeszcze spuchnięte nogi Lisy wyglądałyby w nich jak kipiące ciasto drożdżowe.

– Byłoby po prostu miło, gdyby chociaż jedno z dzieci mamy żyło w normalnym małżeństwie, nie sądzisz? – kontynuowała, obserwując siostrę kątem oka. – U nas to już szkoda na to czasu i atłasu, prawda?

Lisa wzruszyła ramionami. Czy Kitty chciała ją teraz wypytywać? Marie po powrocie z Günzburga była tak samo tajemniczo milcząca jak Paul. Nie to, że Lisa spodziewała się jakichś spektakularnych wydarzeń. Oczekiwała jednak czegoś więcej niż „zobaczymy”. Czy oni spotkali się z Sebastianem? Paul nabrał wody w usta; dobrze, nie będzie zadawała żadnych pytań i będzie się zachowywała tak, jakby było jej to zupełnie obojętne. Po tym, co ten tchórz jej zrobił, nie mogło być inaczej. No tak, przez trzy lata sobie z nim nieco pogrywała, ale nie musiał uciekać jak zając, gdy raz okazał swoją słabość. Nie, koniec z nim. Niestety jej głupie serce tego nie rozumiało. Ale z czasem...

– Naprawdę? – powiedziała łagodnie. – A ja sądziłam, że masz całe szeregi adoratorów i któregoś dnia wybierzesz z nich przyszłego męża.

Kitty wydawało się to tak zabawne, że ze śmiechu zatoneła w jedwabnych poduszkach. Musiała się złapać poręczy, żeby znowu przybrać pozycję siedzącą.

– Nie, Liso. Uch, zaraz się uduszę ze śmiechu. Jesteś jeszcze bardziej

małomiasteczkowa, niż przypuszczałam. To dlatego, że tak długo inhalowałam się zdrowym powietrzem na Pomorzu?

– Ach, zapomniałam, jesteś artystką i prowadzisz swobodne życie. Pod każdym względem.

Kitty szukała w swojej torebeczce lusterka i chusteczki, żeby wytrzeć rozmazany tusz. Dlaczego ta dziwna rzecz spływa z każdą łzą.

– Całkowita prawda, Liso. Jestem artystką. Poza tym jestem kobietą czynną zawodowo i zarabiam własne pieniądze. I dlatego nie potrzebuję męża. Koniec kropka.

Dziękuję, pomyślała urażona Lisa. Dotarło do mnie. W twoich oczach jestem pasożytem, bo nie zarabiam pieniędzy, tylko czerpię z mojego dziedzictwa i siedzę w kieszeni u mamy i Paula. Bardzo ci dziękuję, siostrzyczko, że dajesz mi to do zrozumienia!

– Poza tym panowie z mojego otoczenia są bardzo mili, naprawdę dobrze się z nimi czuję – kontynuowała Kitty, która nie postawiła jeszcze kropki nad „i”. – To wyłącznie moja sprawa, że odrzuciłam kilka oświadczeń. Nie, nie potrafię po prostu akceptować półśrodków. Przeżyłam wielką namiętność, tę z Gérardem. I doświadczyłam jeszcze większej miłości – z moim Alfonsem. Żaden mężczyzna na świecie nie jest mi już w stanie niczego zaoferować.

Ach, jak patetycznie przemawiała jej młodsza siostra. Lisa była sceptyczna. Podczas gdy Kitty tak się ekscytowała, zazwyczaj chciała coś ukryć.

– Tak, rozumiem cię doskonale, Kitty. Moje doświadczenia z mężczyznami też były niestety rozczarowujące. A teraz kolejnego wydałam na ten świat. Myślałam jednak, że ty wciąż utrzymujesz kontakt z Gérardem. Mama mówiła, że pisze do ciebie.

Kitty zaśmiała się głośno, ale nieco sztucznie.

– Ależ nie. Od dawna już nie. On się ożenił.

– Ach! Nie podejrzewałam go o to!

Ale tak właśnie było. Kitty mówiła prawdę. Gérard, wielka miłość jej życia, namiętny młody Francuz, z którym uciekła kiedyś do Paryża, zdecydował się założyć rodzinę. Francuską rodzinę. Zupełnie zrozumiałe. Czyż nie dziedziczył handlu jedwabiem? Fabryki? Cóż, po prostu dobrze wiedział, co jest jego obowiązkiem.

– Wiesz co, Liso, ta historia już dawno się zakończyła. Drogi Gérard stał się w międzyczasie starym człowiekiem. Hi, hi, serdecznie mu pogratulowałam

i życzyłam całej gromady dzieci.

Głos Kitty stał się teraz piskliwy. Brzmiał tak, jakby samą siebie chciała przekonać.

– Dobrze mieć dzieci. Jestem bardzo szczęśliwa, że mam moją Henny. Jeśli chcesz, Liso, możesz się przeprowadzić do nas, na Frauentorstraße. Oczywiście z małym Johannem. Pewnie i Tilly do nas dołączy, gdy tylko zda końcowe egzaminy. Och, stworzymy razem zabawny, kobiecy dom! Po co nam mężczyźni? Tylko nam zawadzają.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła małe lusterko, żeby sprawdzić, jak wygląda, i przetrzała chusteczką rozpaloną twarz, bo krótkie włosy przylepiały się jej do policzków i czoła. Potem zeskoczyła z niesamowitą lekkością z sofy i poprawiła sukienkę.

– Idę jeszcze do Bliefertów. Marie prosiła mnie, żebym im zaniósła kilka ubrań po Leo. Tilly przyjeżdża dzisiaj i zostanie na Wielkanoc. Ach, słodki maluch, jak łapczywie pije. Jest nienasycony. Ale ma już chyba dość. Do zobaczenia, Liso. Bardzo się cieszę, że nie mieszkasz już na Pomorzu w tym paskudnym gospodarstwie. Do zobaczenia, moja kochana!

Lisie ulżyło, gdy Kitty zeszła z zupełnie rozkopanej sofy i zamknęła za sobą drzwi. W korytarzu pytała jeszcze o mamę.

– Co? Ma popołudniową drzemkę? Znowu? Nie mogę czekać tak długo. Powiedz jej, że Henny nie posiada się z radości na myśl o wielkanocnym szukaniu zajęczków.

– Oczywiście, pani Bräuer – słysząc było głos Else.

– Ach, i ten dzisiejszy artykuł. Czytaliście już? Biedny Julius okazał się niewinny.

– Tak, łaskawa pani... Wszyscy tutaj nie panujemy nad sobą ze szczęścia. Jej mąż jest mordercą. Złapali go, a on się przyznał.

– Ach, Else! – mówiła radośnie Kitty. – Wiedziałałam przecież, że mama nigdy nie zatrudniłaby mordercy. Julius jest trochę sztywny i ironiczny, ale to uczciwy człowiek. Prawda?

– Oczywiście, łaskawa pani.

Lisa zauważyła, że jej mały skarb zasnął najedzony i wyczerpany, więc mogła go położyć w kołysce. Przez chwilę stała nad nim jak zaczarowana i obserwowała spokojnie śpiące niemowlę, jego małe różowe usteczka, grubiotkie policzki, delikatną skórę na zamkniętych powiekach. To był jej

syn. Wreszcie została matką. Czasami, gdy budziła się rano, bała się, że to wszystko tylko się jej śni, i szukała nieprzytomnym wzrokiem kołyski, która na jej wyraźne życzenie stała tuż przy łóżku, żeby szybko mogła się uspokoić.

Weszła Rosa i wyjęła małego z kołyski, żeby go przewinąć. Była to czynność, przy której maluch prawdopodobnie nawet się nie obudzi.

– Mogę go zabrać na spacer? Wydaje mi się, że świeci ładne słońce.

Były już dzisiaj rano w parku i Lisa bardzo zmarzła. Pewnie dlatego, że lekkomyślnie włożyła tylko żakiet, a nie zabrała ciepłego płaszcza. Inna sprawa, że wciąż się nie dopinał u góry.

– Ale alejki parkowe są chyba zupełnie zacienione – powiedziała niepewnie i podeszła do okna.

Tak, rzeczywiście krzewy jałowca i jodły rzucały długi cień na alejki, co sprawiało, że drzewa liściaste prawie nie miały jeszcze liści i wszystko było doskonale widać pomiędzy ich gałęziami. Natomiast klomb na dziedzińcu był kolorowy niczym sztuczne ognie, co było niewątpliwie zasługą Dörthe. Lisa była teraz naprawdę dumna z dziewczyny przywiezionej z Pomorza. Na rabatkach rosły liliowe i białe hiacynty, czerwone i żółte tulipany, prymulki w różnych barwach, żółte żonki...

Lisa wyciągnęła mocniej szyję, bo przed klombem stało dwóch mężczyzn i żywo rozmawiało. Jednym z nich był Paul. Nie był dzisiaj w fabryce? Ach, tak, był Wielki Piątek, wtedy pracowała tylko jedna zmiana. O Boże, to musi być przywidzenie... Ten mężczyzna wyglądał jak... jak Sebastian!

Miał na sobie ten sam stary garnitur. I, no tak, trzymał w ręce ten ohydny kapelusz, który dobrze znała. Teraz obaj mężczyźni spojrzeli w górę w stronę jej okna, odskoczyła więc z przerażeniem. Jej serce zaczęło gwałtownie bić i cieszyła się, że w pobliżu była sofa, na której mogła się oprzeć. Nie pomyliła się. Sebastian przyjechał do Augsburga. O Boże! A ona wyglądała jak rozgotowana kluska. Ktoś zapukał do drzwi i zajrzał ostrożnie do pokoju, żeby nie obudzić dziecka.

– Jest tutaj pan, który chce się z panią zobaczyć, pani von Hagemann.

Lisa zareagowała spontanicznie, nie zastanawiając się nad tym, co robi. Wyraziła w ten sposób swoje najszczerze odczucia.

– Powiedz mu, że powinien zniknąć. Natychmiast. Nie chcę go widzieć. Słyszałaś, Gertie? Idź na dół i powiedz mu to.

– Tak, oczywiście, łaskawa pani – szepnęła Gertie z bezradną miną.

Drzwi się zamknęły, Gertie zbiegła do holu, a Lisa siedziała na błękitnej sofie, ciężko oddychając. O Boże, on był tam, na dole. Sebastian, myślała. Mężczyzna, którego kochała. Przez trzy lata jak szalona tęskniła za jego uściskiem. Przez trzy lata on powściągał swoją namiętność, a ona, choć tego nie chciała, wodziła go za nos. A potem, w pewien bożonarodzeniowy wieczór wspaniały pocałunek. Wstała z sofy i podeszła do okna. Na dole stała Gertie, obok niej Paul, który rozłożył ręce i coś mówił, co, trudno było się domyślić. Sebastian stał kawałek od nich i już po chwili pośpiesznie szedł aleją w stronę bramy parkowej. Widziała jego plecy, znoszoną marynarkę, pomięte spodnie z obszernymi mankietami. Wciąż trzymał kapelusz w ręce.

– Sebastianie! – szeptała. – Sebastianie, poczekaj! Czekażże!

Odsunęła zasłony i próbowała otworzyć okno, ale to przeklęte skrzydło znowu się zacięło. Już jest zbyt daleko, myślała zrozpaczona. Już jej nie usłyszy.

– Nie powinna pani otwierać okna – powiedziała Rosa. – Małego może zawiąć.

Lisa wybiegła z pokoju. W korytarzu stała Else ze stosem świeżo wyprasowanych koszul. Gdy Lisa pojawiła się tak nagle, cofnęła się przerażona. Lisa zbiegała na dół, do holu w skarpetach i trzepoczącej koszuli nocnej. Tam omal się nie przewróciła na świeżo wypolerowanych płytkach, przytrzymała się więc jednego z filarów, żeby zdjąć skarpetki i móc szybciej biec.

– Łaskawa pani, nie można tak bez butów... – mówiła Gertie, stojąc przy drzwiach wejściowych.

– Odsuń się!

Zobaczyła, że Sebastian wciąż idzie aleją, szybkimi krokami oddalając się od posiadłości. Paul chyba musiał ruszyć za nim i najpewniej nieskutecznie starał się go zatrzymać, bo teraz stał i patrzył w stronę odchodzącego mężczyzny. Lisa pośpiesznie zbiegła po schodach na dziedziniec, poczuła kamienie pod bosymi stopami, raniące ostrości, które powstały tutaj zimą z powodu mrozu.

– Sebastianie! – krzyczała. – Zostań. Sebastian!

Nie odwrócił się. Lisa poczuła, że opuszcza ją odwaga, ogarnęła ją rozpacz. Oczywiście, to było do przewidzenia. Znowu wszystko sknociła. Odrzuciła go, zamiast mu powiedzieć, że...

– Lisa! – usłyszała głos Paula. – Jak ty wyglądasz? Zapnij chociaż guziki.

Ledwie łapiąc oddech, przystanęła i dotknęła koszuli. Tak, prawda, po karmieniu nie zapięła jeszcze wszystkich. Czemu tak się tym zdenerwował? Czy komuś zrobiła tym coś złego?

– Zatrzymaj go, Paul – szlochała.

– On nie chce – warknął gniewnie. – Idź do środka, bo się przeziębisz. Znajdziemy jakieś rozwiązanie, Liso.

– Nie!

Znów zaczęła biec, ale po chwili usłyszała warkot silnika. Staroświeckie auto wyjeżdżało z jednej z bocznych alejek do parku. Kitty pomachała im wesoło znad kierownicy i skierowała się do bramy. Jej młodsza siostra wyrzuciła jej tyle krzywd. Odbiła jej Klause von Hagemanna, nieustannie żartowała z jej figury, zawsze przekabacała tatę na swoją stronę. Wielokrotnie Lisa miała ochotę skrócić kark tej zachwycającej zmi. Dzisiaj jednak Kitty wszystko naprawiła. Samochód, hamując, skręcił w lewo i wjechał między drzewa w pasie zieleni. Kitty otworzyła szybę i wystawiła głowę przez okno. Powiedziała coś do Sebastiana. Potem zrobiła zachęcający ruch ręką, wskazując drzwi z przodu od strony pasażera, i Sebastian o dziwo posłuchał. Otworzył drzwi i wszedł.

– Nie do pojęcia – mruknął Paul. – A teraz nie potrafi wyjechać z tego pasa zieleni.

W istocie Kitty potrzebowała kilku prób, silnik tłukł się jak rozjuszony szerszeń, blacha z prawej strony zyskała kolejne wgniecenia. A tylny zderzak wyglądał jak weteran godzien pożałowania. W końcu po szczęśliwym manewrze udało się jej zawrócić w kierunku willi i zatrzymać się tuż przed wejściem.

– Wysiadać! – rozkazała Kitty w uroczy, uwodzicielski sposób.

Minęła dobra chwila, gdyż zdenerwowany Sebastian nie był w stanie znaleźć klamki. Ledwie wysiadł, Kitty odjechała, zostawiając za sobą chmurę dymu. Resztę Lisa musiała zrobić sama. Stali naprzeciw siebie zupełnie bezradni. Ledwie mieli odwagę spojrzeć sobie w oczy i żadne z nich nie chciało odezwać się pierwsze.

– Twoje stopy – wyszeptał wreszcie Sebastian.

Lisa teraz zauważyła, że była boso, a palce lewej stopy był zakrwawione.

– Biegłam tak szybko – wyjąkała. – Przeraziłam się, nie chciałam, żebyś odszedł.

– To wszystko moja wina, Liso. Wybacz mi.

Miał łyzy w oczach. Fakt, że biegła za nim boso ze skaleczoną stopą, przechylił szalę. Wtedy się stało. Nie potrafiliby stwierdzić, kto wykonał pierwszy ruch, może wszystko działo się jednocześnie. Podbiegli do siebie pośpiesznie i objęli się. Ona szlochała i czuła jego pocałunki, najpierw ostrożne, jakby się bał, że go odrzuci, a potem coraz bardziej namiętne, niepoahamowane – nieprzeznaczone dla oczu personelu.

– Zostawiłeś mnie samą... Sama musiałam przez to wszystko przejść, ciężę, tę straszliwie długą podróż koleją, rozwód.

Lisa sama się przeraziła gderliwym tonem swojego głosu. Nigdy nie planowała, że mu się poskarży. Chciała być silna. Potraktować go niejako z góry, za nic mieć jego usprawiedliwienia. Tymczasem okazała się słaba i było jej tak dobrze w jego ramionach, gdzie mogła czuć jego ciepło i siłę. I wiedzieć, że do niego należy. Tylko ona. Bo on ją kochał.

– Nie mam niczego, Liso. Żadnej pracy, żadnych pieniędzy ani mieszkania. Jakże mógłbym się odważyć? Jak pokazać ci się na oczy?

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie – szepnęła. – Musisz przy mnie zostać, Sebastianie. I przy naszym synu. Tak bardzo cię potrzebujemy. Umrę, jeśli znów odejdziesz.

– Nie mógłbym odejść, Liso. Nie byłbym w stanie cię opuścić.

Pocałował ją w usta i było jej wszystko jedno, że na dziedziniec właśnie przyjechał dostawca i Paul syknął w ich stronę, że lepiej zachować sobie takie „rozrywki” na czas, gdy będą w domu.

– Nie możesz iść, kochana. Poczekaj.

Broniła się. Była zbyt ciężka. Ale tego nigdy by nie przyznał.

– Nie robię tego po raz pierwszy!

Wniósł ją po schodach na pierwsze piętro, a tam ją postawił. Ostatnią kondygnację, trasę do jej pokoju, przeszli, trzymając się za ręce.

Leo czuł się głupio z tym koszykiem. To był oczywiście znakomity pomysł babci. Każde dziecko dostało taki zabawny koszyk z zieloną trawą z papieru, nawet mały Fritz i oczywiście Walter, który razem ze swoją mamą został zaproszony dzisiaj w Niedzielę Wielkanocną do posiadłości.

– Oto przybywają do domu jajeczka, które wielkanocny zając ukrył w parku.

Dodo dała mu kuksańca w żebra, żeby tylko nie powiedział niczego złośliwego. Ale on i bez ostrzeżenia Dodo nie pozbawiłby radości babci Alicii. Dorośli byli zabawni, zwłaszcza starsi ludzie. Naprawdę wierzyli w zająca wielkanocnego?

On i Dodo już w tamtym roku widzieli, odsuwając zasłony w swoim pokoju, jak Gertie i Julius chowali w parku pomalowane jajka i cukrowe zające. Powiedzieli o tym mamie, a ona się zaśmiała i zażartowała, że może wielkanocny zajączek był przeciążony ogromną liczbą dzieci i potrzebował pomocy ludzi. Zauważyli jednak jej przewrotny uśmiech i z Dodo doszli do wniosku, że mama po prostu użyła „koniecznego kłamstwa”. „Konieczne kłamstwa” były dozwolone dla dorosłych, ale dla dzieci nie. Im w ogóle nie wolno było kłamać. I dlatego teraz stał z tym głupim koszykiem, podczas gdy inne dzieci rozbiegły się po parku niczym dzika horda, zaglądały pod każdy krzak i każdy kwiatek, strasząc biedne wiewiórki. Od czasu do czasu było słyhać głośny okrzyk: „Mam! Mam!”. Wtedy reszta rzucała się na to miejsce i zaczynały się kłótnie: „To jest moje, ja pierwszy zobaczyłem!”. „Każdy dostaje tylko jednego zająca z czekoladą, ty już masz jednego!”. „No i? Ja byłem szybszy!”. Najczęściej ingerował Gustav, który razem z Humbertem oraz tatą musiał rozdzielać i godzić dzieci.

– Oddaj zająca Henny, Hansl. Natychmiast!

– Ja go znalazłem.

– Natychmiast!

– Gustavie, niech pan go nie zmusza – powiedział tata.

Gustav jednak był stanowczy. Maxl i Hansl byli tacy szybcy, że dla innych nic by nie zostało. Fritz kolebał się po łące na swoich krótkich nóżkach, a Henny, ta mała diablica, miała już co najmniej trzy zajączki w swoim koszyczku. Jednego z nich ukradkiem zabrała jego przyjacielowi Walterowi, sam to widział.

– A ty, Leo? Nie chcesz szukać z nimi? – zapytała mama.

– Nie.

Nienawidził tej głupiej bieganiny, tego cudacznego teatrzyku, który robiono z powodu kilku jajek. I tak będą jutro na śniadanie, a zajączki z cukru mu nie smakowały. Miał jeszcze jednego z poprzedniego roku i tego jeszcze wcześniejszego; stały wysoko na szafie, bo nie miał ochoty odgryzać im główek czy łapek. Nikt nie powinien tego robić, nie chciał, żeby te zajączki cierpiały. Na szczęście mama przestała go namawiać, a tata w międzyczasie również odzwyczaił się od przekonywania go, że skoro jest chłopcem, to musi się wspinać po drzewach. Tylko ciotka Elvira, która przyjechała w odwiedziny na Wielkanoc, powtarzała, że musi być prawdziwym rozrabiaką, skoro jest tak podobny do swojego zmarłego wujka Rudolfa. Wujek Rudolf był bratem babci Alicii. Widział go na pożółkłej fotografii, miał na sobie mundur i siedział na koniu. Koń nazywał się Freya, ciotka Elvira wyjaśniła, że była to klacz, wspaniałe zwierzę. Wtedy nabrał nawet ochoty, żeby odwiedzić ciotkę na Pomorzu, bo bardzo lubił konie.

– Pssst, Leo.

Humbert stanął teraz koło Lea i wrzucił mu do koszyczka różne wielkanocne smakołyki. Były to trzy kolorowe jajka i dwa zajączki z cukru.

– Dziękuję, Humbercie – powiedział zakłopotany.

Humbert się uśmiechnął i zdradził mu, że zostały mu w kieszeni i nie wiedział, gdzie powinien je zostawić. Zaraz potem zniknął. Humbert był bardzo zwinny i był prawdziwym kolegą. Oby został w willi. Wskoczył na miejsce Juliusa, bo ten siedział przecież w więzieniu. Ale wczoraj Julius wrócił do posiadłości, przesiadywał w kuchni i pił kakao. Był szary na twarzy i zrobił się strasznie chudy. A gdy podnosił filiżankę z kawą do ust, drżały mu ręce. Brunni mówiła, że ci kryminalni mają go na sumieniu. To okropny wstyd, że wsadzili niewinnego człowieka do więzienia i tak tam zmarnowali.

Wreszcie zajączki zostały znalezione i wszyscy wracali ze swoimi koszyczkami. Dodo, Walter i Henny biegli przez łąki na taras, gdzie dorośli pili aperitif, czyli białe i czerwone wino podawane w małych kieliszkach. Pachniało lakierem z fortepianu i gotowanymi śliwkami, zupełnie nie rozumiał, jak komuś mogło się to podobać.

– No i co, Leo – zapytała pani von Dobern, która na srebrnej tacy przyniosła dla dzieci sok jabłkowy – znalazłeś jakieś pisanki?

Pani von Dobern była teraz miła jak kotek. Było mu to obojętne,

nienawidził jej, a gdy tylko ją widział, zaczynało boleć go ucho – och, które o mało mu zmiażdżyła, gdy była ich guwernantką.

– Tak, kilka – odparł ponuro i się odwrócił.

– To taki śliczny chłopiec – słyszał, jak pani von Dobern mówi do babci Alicii. – I ma taki wielki talent.

– Później coś dla nas zagra – odpowiedziała babcia i odgarnęła mu włosy. – Gdyby tylko pozwolił sobie wreszcie obciąć te swoje loczki, w szkole ciągle jest przez to wyśmiewany. Nazywają go „laluś”.

Kiedyś go przytrzymali i zawiązali mu na włosach kokardę, to był szczyt bezczelności. Walter chciał ich odciągnąć, ale nie był w stanie sam pomóc przyjacielowi. Wtedy Max Bliefert się wtrącił i wspólnie udało im się uwolnić Lea. Max był dwa lata starszy od nich i bardzo silny. Doszło do bójki i wszyscy dostali od pana Urbana karne prace domowe.

Dorośli usadzili się w grupach. Ciocia Kitty, mama i ciocia Tilly siedziały razem, a towarzyszył im pan Klippi, który znów mógł przychodzić do willi, oraz mama Waltera. To była pierwsza grupa. Babcia Alicia razem z ciotką Elvirą oraz babcią Gertrude usadowiły się w innej części tarasu i przywołały do siebie panią von Dobern. To była druga grupa. Tata natomiast chodził od jednej grupy do drugiej, zamienił kilka słów to tu, to tam, ale ciągle spoglądał na mamę. Ona jednak nie uśmiechnęła się do niego ani razu. A pomiędzy tymi grupami, na wiklinowym fotelu z nakrytymi kocem ramionami, siedziała ciocia Lisa. Koło niej stał pan Winkler. Trzymał na rękach małego Johanna i kołysał go. Leo lubił bardzo ciocię Lisę, pana Winklera jeszcze nie potrafił ocenić. Wyglądał na przygnębionego i prawie nic nie mówił, można było odnieść wrażenie, że wstydzi się ludzi, z którymi teraz przebywał. Pewnie dlatego, że nosił garnitur, który kiedyś należał do dziadka. Leo wiedział o tym od Else, która była z tego powodu zrozpaczona. Dodo powiedziała jednak, że dziadek nie żyje, nie potrzebuje więc już swojego garnituru.

Dorośli podziwiali teraz przyniesione koszyczki wypełnione jajkami, a potem zaczęli wygłaszać codziennie wskazówki: „Nie jeść wszystkiego na raz”. „Podzielić się uczciwie z rodzeństwem”. „Podziękować rodzicom”.

– Ale dlaczego? – zastanawiała się Henny. – Przecież przyniósł to zając wielkanocny.

Zaraz potem krzyknęła w stronę parku: „Dziękuję, kochany zajączku wielkanocny!”, co oczywiście dorośli uznali za niesłychanie urocze. Wszyscy głaskali ją po jej blond włosach. I nikt nawet nie zauważył, że zagarnęła dla siebie aż pięć zajączków z cukru. A niedawno miała dwie dziury w zębach

i straszliwie zawodziła u dentysty.

Dentysta powiedział jej, że nic się nie zmieni, jeśli będzie jadła tak dużo słodczy. Ciocia Tilly, która niedługo zostanie lekarką, potwierdziła to dzisiaj przy śniadaniu, więc Henny od tamtej pory z nią nie rozmawia.

Humbert włożył piękną liberię, którą podczas świąt nosił Julius, ciemnoniebieską kamizelkę ze złotymi guzikami, wąskie spodnie z jasnymi lampasami z boku i białą, wykrochmaloną koszulę. Szepnął coś na ucho do babci Alicii, a ta przytaknęła. Aha, wreszcie będzie obiad. W żołądku Lea od dawna głośno burczało, Walter mówił, że brzmi to jak ryczenie tygrysa, którego niedawno podziwiali w zoo przez kraty klatki. On faktycznie wydawał z siebie gniewny ryk!

– Moi drodzy goście, baranek wielkanocny czeka na nas w jadalni. Zapraszam do stołu.

Stół został nakryty pięknymi naczyniami, ale miały one tę wadę, że trzeba było bardzo uważać, żeby ich nie stłuc. Dodo dwa lata temu upuściła talerz i dlatego teraz babcia Alicia przy każdym posiłku przypominała, że należy być ostrożnym. Czworo dzieci Bliefertów poszło z ojcem do domu. Szkoda, pomyślał Leo. Chciałby, żeby chociaż Liesl siedziała z nimi przy stole. Walter też byłby zadowolony, ostatnio pytał ją nawet, czy nie chciałaby się uczyć grać na pianinie. Ale Bliefertowie nie mają pianina.

– Tutaj jest twoje miejsce, Leo – powiedziała mama. – Zobacz, babcia zrobiła specjalne wizytówki.

Faktycznie, na stole stały wizytówki, obramowane na złoto, na których widniały ich imiona. Walter nie posiadał się z radości, gdy zobaczył swoją, i zapytał, czy może ją potem wziąć. Siedział obok Lea, a po jego drugiej stronie było miejsce dla Dodo. To dobrze, bo za nic nie chciał mieć koło siebie Henny. Jego kuzynka siedziała koło Waltera, ale obok siebie miała ciocię Kitty, która jako jedyna z dorosłych nie dawała się nabrać na sztuczki Henny. Mała musiała być więc posłuszna. Dorosłych posadzono właściwie tak, jak sami się pogrupowali na tarasie. Z jednej strony stołu była babcia Alicia z ciocią Gertrude i ciocią Elvirą, obok tata, naprzeciwko niego mama, potem ciocia Kitty oraz Tilly. Pozostali goście siedzieli w rzędach za nimi, a pani von Dobern nie było przy stole. Co za szczęście!

Jedzenie jak zawsze było wspaniałe! Ciocia Gertrude musi jeszcze sporo poćwiczyć, ale i tak pewnie nigdy nie dorówna Brunni. Humbert podawał jedzenie bardziej elegancko niż Julius, wydawało się, że płynie, i zawsze podsuwał talerz w idealnym momencie. A poza tym nie wyglądał tak ponuro

jak Julius.

– Moje drogie dzieci i dzieci tych dzieci, drodzy goście i przyjaciele!

Babcia Alicia uniosła kieliszek i rozejrzała się wokoło. Ciocia Lisa kroila jeszcze niezgrabnie swoją pieczeń, a pan Winkler siedział wyprostowany i uśmiechał się z zakłopotaną miną, tata natomiast spoglądał na mamę, która była bardzo blada. Pewnie nie smakowała jej brukselka, bo rzeczywiście była gorzka.

– Cieszę się ogromnie, że w tym roku mogę świętować Wielkanoc w kręgu moich bliskich. I jaki tłum ludzi mamy przy stole! Przede wszystkim dziecięcy śmiech, który znowu słyhać w willi, cieszy mnie, starszą panią, niesłychanie.

Faktycznie miała dzisiaj przy sobie ośmioro swoich dzieci. Całkiem sporo. A do tego jeszcze niemowlę. Chociaż ono ciągle wrzeszczało, zwłaszcza gdy inne dzieci się śmiały. Taki dziecięcy wrzask mógłby zagłuszyć nawet najpiękniejszą muzykę. Miejmy nadzieję, że chociaż później będzie cicho, gdy Leo będzie grał.

– E tam – powiedział Walter. – My jesteśmy znacznie głośniejsi.

Dodo przewróciła szklankę z wodą i przestraszyła się, bo tata spojrzał na nią, marszcząc czoło. Ciotka Elvira postawiła szklankę i położyła jeden z bukietów na powstałej plamie z wody.

– Przede wszystkim cieszy mnie, że wszystkie moje dzieci spędzają ze mną Wielkanoc. Moja kochana Lisa i jej cudowny syn, którzy napełniają mnie szczęściem, mój drogi Paul i moja Kitty.

Ciotka Lisa uśmiechała się od ucha do ucha. Czy raczej od jednego do drugiego policzka. Kiwnęła głową babci i wzięła za rękę pana Winklera, który zrobił się czerwony i musiał poprawić sobie okulary.

– Są jednak również inne wesołe wieści, które chciałabym ogłosić wam wszystkim, moje kochane dzieci, krewni i przyjaciele, właśnie w czasie świąt Wielkiejnocy.

Leo nagle aż zapłonał. Czy mama chciała się znów wprowadzić do willi? Leo spojrzał na Dodo, która z podekscytowania aż otworzyła usta. Przez chwilę poczuł się bardzo szczęśliwy. U cioci Kitty było wspaniale. Ale to było takie jakieś niewłaściwe, zwłaszcza że tata został zupełnie sam.

– Moi drodzy, nie będę was dłużej skazywać na tortury. Możemy dzisiaj świętować zaręczyny. Nasza młoda studentka medycyny zaręczyła się

z panem Ernstem von Klippsteinem.

– Ach, to – westchnęła Dodo z głębokim rozczarowaniem.

Leo również czuł, że przepadły jego wielkie nadzieje. Ciocia Tilly wyjdzie za pana von Klippsteina. No i? Kogo to interesuje? Jego i Dodo na pewno nie.

– Tilly! – krzyknęła ciocia Lisa. – Co za cudowna niespodzianka! I pan von Klippstein, o nie, drogi Ernście, czy mogę być tak bezczelna i od tej pory traktować cię jak brata?

W tym momencie Humbert wniósł tacę pełną kieliszków z szampanem i postawił ją na stole.

– A wy dostajecie w kieliszkach sok jabłkowy – szepnął do Lea.

– Błę – powiedziała Henny. – Ja chcę prawdziwego szampana.

– A chcesz zaraz pojechać ze mną do domu? – zagroziła jej ciocia Kitty.

Nie była ani trochę zadowolona z tych zaręczyn, to było widać. Ciocia Gertrude wylała razem z ciocią Elvirą kilka łez, mama się uśmiechała, a tata wydawał się wręcz zachwycony, więc uniósł wysoko kieliszek i zawołał:

– Wypijmy za młodą parę! Niech Bóg obdarzy ich szczęściem małżeńskim i długim życiem!

– I gromadą dzieci! – dopowiedziała ciocia Kitty i zabrzmiało to naprawdę niemilo.

Potem wstał pan Klippi i wygłosił mowę, w której pojawiały się takie śmieszne słowa, jak „sympatia” i „rozsądek”, oraz zdania, że chcą się wzajemnie wspierać i sobie pomagać.

– Teraz musicie się pocałować! – krzyknęła na głos Henny.

Nikt jej nie posłuchał. Dodo stwierdziła wręcz, że to bzdura, bo pan Klippi jest tylko narzeczonym, a nie kochankiem. A tylko kochankowie i mężowie mogą całować.

– A co z pocałunkiem zaręczynowym? – Henny nie dawała za wygraną.

– Bądź już wreszcie cicho! – nakazała jej ciocia Kitty. – W małżeństwie z rozsądku nie trzeba się całować.

– Ale oni się dopiero zaręczyli.

– I też nie muszą.

– Pffiii! – prychnęła Henny rozczarowana. – Gdy ja się zaręczę, będę się

całować jak szalona!

Walter zrobił zakłopotaną minę, bo Henny spojrzała na niego triumfująco. Naprawdę się całować? Walter okropnie się tego bał. Leo też.

– Tylko nie wykręć sobie przy tym ust – powiedziała Dodo, wykrzywając się i robiąc brzydką minę.

– Dodo! – krzyknęła babcia Alicia przez stół. – A ty nie wiesz, że takie brzydkie grymasy zostaną ci na buzi, jeśli będziesz je robić w momencie, gdy zegar wybije godzinę?

– Ding-dong! – Henny zaczęła naśladować zegar ścienny z czerwonego salonu i zaśmiała się głośno ze swojego żartu.

To była prawdziwa męka, że musieli siedzieć z dziewczynami przy stole. Wreszcie podano deser – krem z malin z kawałkami czekolady i słodką bitą śmietaną. Bruni zawsze dodawała do niej trochę wanilii. On najchętniej zjadłby samą bitą śmietaną. Walter jęknął i stwierdził, że jest już tak pełny, że nie będzie mógł utrzymać skrzypiec.

– To był żart – powiedział, gdy Leo spojrzał na niego z wyrzutem.

Po deserze dorośli siedzieli jeszcze przy stole, a Humbert podawał mokkę w małych filiżankach. Ciocia Lisa i pan Winkler poszli natomiast na górę, bo musieli nakarmić dziecko.

– A co on tam będzie robił? – zastanawiała się Dodo.

– Pewnie się boi zostać tutaj bez żony – stwierdził Walter.

– Ona nie jest jego żoną – uściśliła Henny.

Walter znowu był zakłopotany, bo uśmiechnęła się do niego znacząco.

– Ja sądziłem... Przecież mają razem dziecko.

Pan Klippi powiedział, że wreszcie będzie można wybrać właściwego człowieka na prezydenta Rzeszy. Hindenburg zgłosił swoją kandydaturę.

– Hindenburg? – krzyknęła ciocia Kitty. – Przecież on wysłał tysiące biednych żołnierzy na bezsensowną śmierć, bo nie chciał podpisać traktatu pokojowego.

– Ależ mylisz się, moja droga – powiedział pan Klippi i uśmiechnął się, jakby wiedział, że kobiety nie znają się na wojnie. – Feldmarszałek Hindenburg poprowadziłby z pewnością naszych żołnierzy do jeszcze większych zwycięstw, gdyby w naszej ojczyźnie nie przestano go wspierać. Socjaliści podstępnie wpełchnęli sztylet w plecy niemieckiej armii.

– To są przecież brednie! – krzyknęła na głos ciocia Kitty. – Kto chciałby prowadzić wojnę, gdy już wszystko było stracone? A poza tym jest już za stary. Staruch jako prezydent Rzeszy – to pasuje do tej śmiechu wartej Republiki.

Babcia Alicia wyprostowała się jeszcze bardziej na krześle, na którym i tak już siedziała prosto, i spojrzała z dezaprobatą na ciocię Kitty.

– Moja droga Katharino, trochę więcej panowania nad sobą. Pomyśl o dzieciach. I proszę też, drogi panie von Klippstein, nie chcemy uprawiać polityki w kręgu rodziny.

– Proszę wybaczyć, łaskawa pani.

Walter się ucieszył, gdy Leo pociągnął go za rękaw. Babcia wreszcie skinęła do niego głową, co znaczyło, że mogą odejść od stołu. Musieli teraz pójść do pokoju dla panów, żeby przynieść skrzypce i nuty. Humbert i Julius już dzisiaj rano odsunęli pianino w czerwonym salonie nieco od ściany, aby ściana nie zaburzała czystości dźwięku. Pani Ginsberg również wstała, miała przewracać kartki z nutami. Właściwie nie miało to dużego znaczenia, bo sonatę e-moll Mozarta na skrzypce i fortepian już od dawna umiał grać z pamięci. Walter też grał bez nut. Ale pani Ginsberg mawiała zawsze: co pewne, to pewne.

Gdy weszli do czerwonego salonu, zebrała się tam już pokaźna grupa słuchaczy. Jedynie ciocia Lisa i pan Winkler byli jeszcze na górze, przy dziecku. Tylko dlaczego ono wciąż płakało, skoro już było nakarmione. Najwyraźniej więc to nie pomogło i musieli grać mimo tych wrzasków. Było to irytujące, bo Walter sam zaczynał piękną melodię w tonacji molowej, a potem następowała energiczna fraza w forte, przy której on włączał się z fortepianem. Tak, byli głośniejsi. Pani Ginsberg uśmiechała się zachęcająco – wszystko było w porządku. Zaczęli więc i dopóki byli całkowicie zanurzeni w muzyce, nic wokoło się nie liczyło. Istniały tylko dźwięki, rytmy, melodie.

Początkowo Leo nieszczególnie lubił Mozarta, bo przychodził mu zbyt łatwo. Teraz jednak zauważył, że Mozart był jednym z tych, którzy potrafią na cienkiej linie tańczyć nad przepaścią. Nad nimi niebiosa, pod nimi piekło, a w środku oni unoszeni na skrzydłach Mozarta. To było szalone. Ale też najpiękniejsze, co mogło być na świecie. Walter przerywał dwukrotnie, ale Leo po prostu grał dalej swoją partię i jego przyjaciel włączał się w odpowiednich miejscach. Pani Ginsberg siedziała niezwykle podekscytowana na swoim krześle. Gdy skończyli, brawa były tak głośne, że obaj się przestraszyli.

– Brawo! Brawo! – wołał Klippi.

– Wspaniale! – westchnęła ciocia Lisa, która już wróciła do pokoju z panem Winklerem.

– Moich dwóch Mozartów! – dodała ciocia Elvira.

Dodo krzyczała „Hip, hip, hurraaa!”, a Henny krzyczała razem z nią, dopóki ciocia Kitty nie nakazała jej, żeby wreszcie się uspokoiła. Ciocia Kitty była dzisiaj w naprawdę kiepskim nastroju, w przeciwnym razie nie mogłaby powstrzymać swojego zachwytu nad dwoma „cudownymi chłopcami”. Tata podszedł do nich, uścisnął rękę Waltera, a potem uroczyście dłoń jego matki i wręczył prezenty.

– Jestem dzisiaj kwiaciarką.

Wszyscy się śmiali, nawet mama uznała to za zabawne. Tylko pani Ginsberg dostała bukiet kwiatów, on i Walter otrzymali bilety na koncert w Ludwigsbau przy Stadtgarten. Będzie występował pianista Artur Schnabel. Pani Ginsberg powiedziała, że on nie tylko gra, ale też sam komponuje. Leo był podekscytowany, bo to właśnie chciałby robić za jakiś czas.

Była jeszcze dla każdego porcja lodów, które Brunni trzymała w lodówce – tym razem miały smak wiśni. Pozwolono im polać je kilkoma kroplami likieru jajecznego i Henny bezczelnie próbowała zagarnąć dla siebie porcję Waltera. Ale zauważyła to ciocia Lisa, ona miała sokoli wzrok. Gdy odłożyli szklane miseczki na tacę, którą podstawiła im pod nos pani Von Dobern, wzięli nuty i chcieli już pójść do pokoju dla panów, bo Walter zostawił tam futerał na skrzypce. W korytarzu stali jeszcze Brunni z Else oraz Gertie i Julius, którzy słuchali tam „koncertu”.

– Jakie to było piękne – powtórzyła Brunni kilkakrotnie. – Że też mogłam coś takiego przeżyć!

Chłopcy byli bardzo wzruszeni i cieszyli się, ponieważ pracownicy byli obiektywni i nie chwalili ich dlatego, że byli ich krewnymi. Gdy zeszli wszyscy razem na dół do kuchni, Leo chciał wracać od razu z Walterem do pokoju dla panów, ale przystanął, bo usłyszał wściekły głos cioci Kitty dochodzący z ogrodu zimowego. Naprawdę była zdenerwowana.

– Idź już – powiedział do Waltera. – Ja zaraz przyjdę.

Walter natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i poszedł do pokoju dla panów, a Leo zakradł się ostrożnie pod drzwi prowadzące do ogrodu zimowego.

– Nic mi nie powiedziałaś. Zupełnie nic. Och, jakim ty jesteś okropnym

tchórzem! – krzyczała wściekła ciocia Kitty.

– Próbowałam, Kitty, ale nie dopuszczałaś mnie do słowa.

Aha, to powiedziała ciocia Tilly. Prawdopodobnie miała rację, cioci Kitty trudno było się wbić w słowo.

– Po prostu postawiłaś mnie przed faktem dokonanym – szlochała teraz ciocia Kitty. – Po tym, jak uzgodniłyśmy, że po zdaniu egzaminu przeprowadzisz się do Augsburga.

Zapadła cisza. Prawdopodobnie ciocia Tilly próbowała objąć ciocię Kitty, bo ta krzyknęła:

– Nie dotykaj mnie, ty fałszywa żmijo! Niedługo sama zobaczysz, jakiego sobie wybrałaś typka za męża! No pięknie, dużo ci pomógł, załatwił ci mieszkanie i opiekował się tobą. A może jest też dobrym kochankiem, co?

– Proszę, Kitty. Zdecydowaliśmy się na małżeństwo z rozsądku. Nie będziemy mieć dzieci, wiesz przecież, że moje serce wciąż należy do innego.

Leo nie rozumiał już teraz zbyt wiele, ale stało się dla niego jasne, że takie kwestie jak „zaręczyny”, „małżeństwo”, „kochanek”, „serce” czy „rozum” miały bardzo złożoną i nieprzejrzywą strukturę. Były raczej dla dziewczyn i kobiet. Właściwie mógłby teraz opuścić swoje stanowisko podsłuchiacza, ale było mu żal cioci Kitty. Była najpiękniejszą ze wszystkich jego cioc i zawsze taką wesołą.

– Ale dlaczego do Monachium? – jęknęła. – Moglibyście przecież zostać tutaj. I chcecie jeszcze zabrać ze sobą moją kochaną Gertrude!

– Ach, Kitty! Ernst postanowił sprzedać swoją część udziałów w fabryce i zainwestować w browar w Monachium. Paul na pewno nie będzie z tego powodu smutny, były przecież między nimi pewne niesnaski, prawda?

– To jeszcze nie jest powód.

– Kupiliśmy piękny dom w dzielnicy Passing. Wszyscy jesteście tam zawsze mile widziani. A mama sama zadecyduje, czy chce się przeprowadzić.

– No tak, pięknie! – odpowiedziała ze złością ciocia Kitty. – Tylko że wszystko już od dawna jest ustalone. Mnie w każdym razie na pewno nie zobaczysz nigdy w swoim pięknym domu.

Słychać było ciężkie westchnienie cioci Tilly.

– Wiesz co, Kitty – powiedziała ciocia Tilly – powinnaś się najpierw uspokoić. Wtedy spojrzysz na to inaczej.

Leo na szczęście miał czas, żeby przycupnąć koło komody w holu, tak żeby ciocia Tilly go nie zobaczyła. Poszła szybko do czerwonego salonu, gdzie teraz prawdopodobnie podano likiery i migdałowe makaroniki. Leo wychylił się ostrożnie. Nieładnie jest podsłuchiwać i dobrze to wiedział. Najwyższy czas, żeby poszedł do Waltera, do pokoju dla panów, bo będą się zastanawiać, gdzie tak długo był. Już zamierzał biec, gdy usłyszał gwałtowny szloch cioci Kitty. Spontanicznie zawrócił i uchylił drzwi do ogrodu zimowego. Stała tam obok drzewka kauczukowego, a jej ramiona drżały.

– Ciociu Kitty! – zawołał i podbiegł do niej. – Nie płacz. My przecież zostajemy z tobą. Mama i Dodo, i ja. Nie zostawimy cię samej.

Odwróciła się, a on ją uścisnął. Przytuliła go mocniej i czuł, że wciąż płacze.

– Ach, Leo. Ty mój mały skarbie. Mój najdroższy Leo.

Paul włożył ogromny wysiłek w to, żeby zachować spokój, gdy chodził po halach z Sebastianem Winklerem. Gdyby nie zależało mu na szczęściu Lisy, już dawno pozbyłby się z fabryki tego męczącego człowieka. Sebastian przyszedł dzisiaj wczesnym przedpołudniem i natychmiast zwrócił uwagę na pewne niedociągnięcia. Całkiem przypadkiem, jak twierdził, spojrzął pannie Hoffmann przez ramię, gdy pisała na maszynie, i dostrzegł błąd ortograficzny. Napisała „maszina”, najpewniej przez przeoczenie, bo Hoffmann zawsze była niezawodna.

– Coś się nie zgadza, moja droga – powiedział Sebastian nauczycielskim tonem.

– Nie może być.

Ale oczywiście pan nauczyciel miał rację i Hoffmann poczuła się urażona. Dobrze się zaczęło, pomyślał Paul. Dalej było tak samo. Jak to możliwe, że właśnie Lisa, która sama była osobą tak drażliwą, znalazła sobie takiego „pana lepiej wiedzącego”? Paul wychodził już z siebie, gdy Winkler zaczął udowadniać, że maszyny liczące są już zupełnie przestarzałe, a lampy nie świecą dość jasno. W ten sposób pracownikom pogorszy się wzrok. Czy nie zauważył, że i tak większość z nich już nosi okulary? Piętro wyżej, w dziale księgowym, zajrzał do pieca i dostrzegł, że nie ma w nim ani węgla, ani drewna.

– Mamy koniec kwietnia, panie Winkler. Jest ciepło na zewnątrz, pracownicy musieliby otwierać okna.

Sebastian sprawdził okna i stwierdził, że większość futryn się wypaczyła w czasie zimy i dlatego skrzypią. Ponadto hałas dochodzący z zewnątrz jest niedopuszczalny, nikt nie powinien pracować w takich warunkach. A niech to! Gdy teraz oprowadzę go po halach, zażąda, żeby wszystkie maszyny pracowały bezgłośnie, bo pracownicy cierpią z powodu hałasu. A przy zakupie nowych zażąda, żeby były cichsze niż stare. Ale fabryka, u licha, to nie jest cementarz.

– Jak wielu pracowników jest zatrudnionych w zakładzie?

– Około dwóch tysięcy. Dokładny rejestr jest w biurze.

– A umysłowych?

Chciał mu wywiercić dziurę w brzuchu? Dlaczego chciał to wiedzieć, ten

bezrobotny belfer? Zachowywał się tak, jakby Paul oferował mu kupno tej fabryki. Może to jednak nie był dobry pomysł, żeby oprowadzać Winklera po halach, teraz oczywiście sobie wymyślił, że musi pomóc tym biednym, uciskanym i wyzyskiwanym ludziom walczyć o ich prawa.

– Około sześćdziesięciu.

– A jest rada zakładowa?

No tak, tylko czekał na to pytanie!

– Oczywiście. Tak jak nakazuje konstytucja.

W tkalni było zdecydowanie zbyt głośno na rozmowę, dlatego Paul przeszedł przez korytarz, witając się z niektórymi pracownikami i starając się jak najszybciej dojść do innej części hali. A co robił Sebastian Winkler? Po prostu sobie stanął, odwrócił się do jednej z pracownic i ucinał sobie z nią pogawędkę. Oczywiście przerwał im jeden z majstrów, w przeciwnym razie maszyna stanęłaby, bo dwie szpule były już puste i należało je natychmiast wymienić.

– Tutaj jest nieznośnie głośno! – wrzasnął Sebastian na całe podwórze, gdy znaleźli się na zewnątrz.

– Tutaj już pan może mówić normalnie – zauważył Paul.

– Przepraszam.

Postanowił pominąć halę, w której znajdowały się pierścieniowe maszyny przedziałnicze, i pokazać Sebastianowi kantynę. Stanowiła jego największą dumę, bo była tam kuchnia, dzięki której pracownicy dostawali codziennie ciepły posiłek, a nawet różnorodne – oczywiście bezalkoholowe – napoje oraz słodycze. Te jednak tylko trzy razy w tygodniu. W piątki podawano ryby, głównie śledzie, solone, lub marynowane z ziemniakami i czerwonymi burakami. W soboty gotowano gulasz z roślinami strączkowymi i wołowiną.

– Bardzo pięknie – pochwalił Sebastian. – A jak długo trwa przerwa obiadowa? Pół godziny? To bardzo krótko. Jak to możliwe, że tak wielu pracowników zostaje obsłużonych w tym czasie?

– Pracownicy jedzą o różnych godzinach. Żeby maszyny nie miały przestojów.

– Ach tak. Okna muszą zostać umyte. A latem nie jest tutaj zbyt gorąco? Można by założyć zasłony albo żaluzje.

Paul uparcie milczał i zastanawiał się, czy Winkler każe jeszcze wstawić do kantyny pluszowe fotele i łóżka z baldachimami.

– Uważam, że pracownicy wolą dostawać większe wynagrodzenie niż siedzieć w kantine z jedwabnymi zasłonami i kwiatkami doniczkowymi w oknach.

Sebastian uśmiechnął się smutno i powiedział, że może osiągalne są obie te rzeczy.

– Zdrowa i przyjazna atmosfera pracy jest nie tylko wkładem w tworzenie sprawiedliwego świata, ale też zwiększa radość z pracy i zaangażowanie pracowników.

– Oczywiście.

I właśnie jemu musiał ten lepiej wiedzący robić takie wykłady. Czy Paul nie kłócił się niegdyś ze swoim ojcem dokładnie o to samo? Czy nie sprzeciwił się Ernstowi von Klippsteinowi, gdy chciał płacić ludziom mniejsze wynagrodzenia, by móc konkurować z innymi przedsiębiorstwami tekstylnymi? Wyobraził sobie, jak jego zmarły ojciec potraktowałby Winklera, i mimowolnie się uśmiechnął. Tata zawsze był zdania, że nie należy psuć pracowników. Im więcej się im daje, tym więcej żądają i kończy się to tym, że domagają się wysokich zarobków bez konieczności przychodzenia do pracy.

– A czy pracownicy dostają bezpłatny urlop?

– Trzy dni w roku. Administracyjni sześć dni.

– Od tego można zacząć.

Teraz to przesadził. Naprawdę Paul chciał wyświadczyć Lisie przysługę, zwłaszcza że miał wrażenie, iż Sebastian Winkler to człowiek godzien zaufania. Możliwe, że tak było, ale miał swoje dziwactwa.

– Cóż, nie żyjemy już w Republice Rad, panie Winkler – powiedział z naciskiem.

To był bardzo jednoznaczny przekaz i Sebastian go zrozumiał. Zwiesił głowę i na jego twarzy malowało się rozgoryczenie. W swoim czasie zajmował wiodącą pozycję w Republice Rad w Augsburgu, za co został wsadzony do więzienia i narażony na wiekiiste bezrobocie. I tak miał szczęście, innym wiodło się znacznie gorzej.

– Jestem tego świadomy, panie Melzer – powiedział sztywno. – A jednak nie jestem gotowy zrezygnować z moich ideałów. Wolałbym raczej wykonywać mniej znaczącą pracę.

Paul zauważył, że jego i Marie misja jest w niebezpieczeństwie, i wyobraził

sobie Lisę wybuchającą płaczem. Postarał się więc pójść na pewne ustępstwa.

– Cóż, wiele z tych pomysłów nie było złych, chętnie to przyznam. A niektóre postanowienia Republiki włączono nawet do konstytucji.

Sebastian kiwnął głową w zamyśleniu, a Paul wiedział, że chciałby teraz dodać: „zdecydowanie za mało”, ale się nie odważył.

– Gdyby udaremnilo planowane wywłaszczenie wielkiego kapitału, tobym nie żałował – powiedział Paul z uśmiechem.

– Ja też nie – odpowiedział Sebastian, sam nieco zaskoczony. – To jest działanie, którego nie można przeprowadzić z dnia na dzień. Właśnie ci, którzy są w niekorzystnej sytuacji, najbardziej by ucierpieli z powodu wywołanego tym chaosu.

– W rzeczy samej. Czy mogę jeszcze prosić pana do mojego biura, panie Winkler? Sądzę, że panna Hoffmann już pokonała pierwsze przerażenie i będzie w stanie podać panu kawę.

Okazał szczere wyrzuty sumienia. Gdy wchodzili do budynku administracyjnego, wyjaśnił, że jest nieuleczalnym pedantem. Zwłaszcza jeśli chodzi o niemiecką ortografię i składnię.

– A jak u pana z naukami ścisłymi?

– Jako chłopiec chciałem studiować matematykę – żeby obliczyć drogę do gwiazd.

O Boże drogi. Lepiej, żeby go tak fascynowały reguła trzech proporcji, prowadzenie ksiąg oraz robienie bilansów. Ale wydaje się niegłupi, możliwe, że szybko się wdroży. Tylko najpierw musiał tego chcieć i to jest problem. Problem Lisy. A teraz i jego.

– Kawa dla mnie niezbyt mocna.

Henriette Hoffmann poszła po czajnik z gorącą wodą. Podziękował jej wylewnie, ale ona pozostała chłodna. Niestety, już na samym początku zepsuł ich stosunki.

Usiedli na skórzanych fotelach z filiżankami kawy w rękach i zamienili kilka zdań o drobnostkach. O tym, że wiosna wreszcie przełamała swój opór i że zazieleniły się buki. A mały Johann przytył pół funta i zaczyna się uśmiechać, gdy ktoś pochyla się nad kołyską. Niemiecka gospodarka powoli staje na nogi, a Zagłębie Ruhry w końcu opuszczą Francuzi. Wreszcie Paul stwierdził, że czas przejść do rzeczy, czekały go jeszcze inne obowiązki.

– Jak pan zapewne wie, mój partner, pan Ernst von Klippstein, wkrótce

opuści fabrykę.

Sebastian wiedział o tym. Albo więc sam się domyślił, albo Lisa już z nim o tym rozmawiała.

– Wycofał swój kapitał z fabryki, więc w nadchodzącym roku musimy ostrożnie postępować z wydatkami. Pod żadnym pozorem nie chciałbym zwalniać pracowników.

To „pan lepiej wiedzący” sam pewnie już pojął, pomyślał Paul. Tak jak i to, że nie siedział przed nim żaden kapitalista, który wyzyskuje ludzi, ale właściciel fabryki, który wziął odpowiedzialność za ponad dwa tysiące mężczyzn i kobiet.

– To szlachetne z pana strony.

Sebastian postawił filiżankę na stole i starał się wyprostować. Nie wychodziło mu to, fotel wymuszał swobodne ułożenie ciała, które nie odpowiadało Winklerowi.

– Panie Melzer, bardzo doceniam, że poświęcił mi pan tak wiele czasu dzisiejszego przedpołudnia. Jestem też świadomy, że to nie z powodu mojej osoby, ale raczej ma to związek z faktem, iż na skutek, by tak to ująć, nieoczekiwanych okoliczności nawiązaliśmy pewne stosunki powinowactwa.

– Nie do końca – przerwał mu Paul. – Zawsze miałem pana za uzdolnionego człowieka i żałuję bardzo szczerze, że w tym momencie nie może pan znaleźć zatrudnienia w wyuczonym zawodzie. Dlatego chciałbym panu zaproponować, żeby pan wykorzystał swoje umiejętności w mojej fabryce.

Zostało więc powiedziane. Paul poczuł ulgę, że zrealizował swój cel.

– To bardzo wspaniałomyślne z pana strony, panie Melzer. – Sebastian patrzył na niego z ogromną powagą. – Poświęcę tej pracy wszystkie moje siły. Jeśli mógłbym natomiast mieć prośbę, chciałbym pracować w przędzalni.

Paulowi nagle odebrało mowę. Czy dobrze usłyszał? Ten szaleniec chciał pracować jako niewykwalifikowana siła robocza w przędzalni? Pewnie żeby doświadczyć sytuacji pracowników na własnej skórze? Jeśli się na to zgodzi, Lisa dostanie ataku hysterii.

– Chciałbym dać panu inną posadę, panie Winkler. Brakuje mi zaufanych ludzi w dziale księgowości.

– Na tym niestety nie znam się za dobrze.

Czy nie prowadził ksiąg swojemu bratu, szewcowi? Musi mieć chociaż

podstawową wiedzę na ten temat.

– Szybko pan to nadrobi. Pan Klippstein będzie w fabryce do końca maja, chętnie wyjawi panu tajemnice pojedynczej i podwójnej księgowości.

Klippi był co najmniej tak pedantyczny jak Sebastian – ci dwaj albo świetnie się rozumieją, albo w ogóle nie będą w stanie nawiązać kontaktu. To się niebawem wyjaśni. Jedno było natomiast pewne – przy Sebastianie Winklerze trzeba się spodziewać częstych problemów.

– Jeśli mnie powierzy pan tę posadę, panie Melzer, oczywiście nie odmówię. I wtedy miałbym pytanie dotyczące rady zakładowej – ile osób ona sobie liczy? Czy jest przewodniczący? Jak często się spotykają? Nie muszą w tym czasie pracować? Bo oczywiście moja kandydatura musi być zaakceptowana przez radę zakładową, prawda?

– Oczywiście.

W rzeczywistości szacowne gremium spotyka się co najwyżej raz na dwa miesiące i właściwie nie ma nic do powiedzenia. Z tego też powodu nie ma zbyt wielu chętnych do udziału w radzie. Był szczęśliwy, gdy panna Hoffmann zameldowała mu, że przyszedł pan von Klippstein, gdyż to dawało mu możliwość pozbycia się Winklera na dłużej.

– Wspaniale! W takim razie może mu pan potowarzyszyć i otrzyma pan pierwsze wskazówki na temat przyszłych zadań.

Ernst von Klippstein był mu zdecydowanie winien taką przysługę. Jeszcze przed kilkoma miesiącami bronił się rękami i nogami przed propozycją wycofania swojego kapitału z fabryki, a teraz chciałby zrezygnować najlepiej od zaraz. Tia, miłość. Albo to, co nadeszło zamiast niej. Ale koniec końców był dobrym człowiekiem, okazał szczery żal za swoje zachowanie.

– Bardzo się cieszę, panie Winkler. Chciałbym pana lepiej poznać.

– Bardzo mi miło, serdecznie dziękuję, panie von Klippstein.

Paul z uczuciem ulgi wrócił do swojego biura, gdzie czekał na niego Alfons Dinter, żeby mu pokazać nowe wzory do drukowania na materiałach. Paul nie był zadowolony, wzory nie wydały mu się szczególnie interesujące.

– Pana żona rysowała takie piękne projekty, panie Melzer. Pan Dessauer, który graweruje walce, jeszcze do dziś o nich wspomina.

Paul spojrzał badawczo na twarz rozmówcy, ale nie wyrażała ona ani odrobiny złości. Wręcz przeciwnie – czystą serdeczność.

– Zaczynamy produkcję, Dinter – powiedział obojętnym tonem.

Reszta przedpołudnia upłynęła bardzo szybko, jedna sprawa goniła drugą, a w międzyczasie musiał zająć się telefonami, pocztą, skargami, zawyżonymi rachunkami, obliczeniami. Nie wzbudzało to zadowolenia Paula. Gdy szedł na obiad, panna Hoffmann poinformowała go, że pan von Klippstein i pan Winkler poszli zjeść obiad na mieście.

– W porządku.

– Obaj panowie chyba się zaprzyjaźnili – powiedziała z wyczuwalną dezaprobatą.

– Wspaniale!

Z ulgą wsiadł do samochodu i pojechał do willi. Park tworzył prawdziwą symfonię kolorów, obezwładniającą jedynie wiosną. Pomiedzy jasnozielonymi bukami rosły ciemniejsze jodły, jałowce w kolorze głębokiej zieleni i wręcz niebieskawe cedry. Kwitnące na biało krzewy przełamywały tę kondensację różnych odcieni zieloności, połyskiwały też na różowo drzewka migdałowców, a bratki na rabatkach wokół willi prezentowały całe spektrum najrozmaitszych barw. Jaka szkoda, że musiał spędzać całe dni w tej szarej fabryce i biurze – równie monotonnym kolorystycznie. Jak odległe wydawały mu się teraz czasy dzieciństwa, gdy popołudniami razem z siostrami dokazywał w parku, a z kolegami łowił ryby w strumyku na łąkach...

Jego dzieci, Leo i Dodo. Powinni być tak samo wolni i szczęśliwi w tym parku, jak on był kiedyś. I Marie, jego Marie.

Otrząsnął się ze wspomnień, zaparkował jak zawsze przed głównym wejściem i uśmiechnął się, gdy dwoje gorliwych pracowników wyszło mu naprzeciw.

– Kiedy to tak było w posiadłości? – zażartował. – Dwóch kamerdynerów to prawie tak jak w pałacach królewskich.

W rzeczywistości ani Humbert, ani Julius nie byli jeszcze gotowi do pełnowymiarowej pracy, więc pomagali sobie wzajemnie. Wbrew temu, czego się spodziewano, dogadywali się dobrze. Na górze, w korytarzu, wyszła do niego Lisa. Wciąż jeszcze była pulchna, ale jej ogólna aparycja mocno się zmieniła w ciągu ostatnich tygodni. Wydawała się teraz zadowolona z życia, a jej uśmiech był uśmiechem szczęśliwej kobiety.

– Wspaniale to załatwiłeś, Paul – powiedziała, ujmując jego dłoń. – Sebastian dzwonił, poszedł z von Klippsteinem na obiad, i natychmiast chciał mi przekazać wieści. Myślę, że się udało!

– Myślę, że „udało się” to właściwe słowa – zażartował i wywrócił oczy do

sufitu. – Ten twój Sebastian to twardy orzech do zgryzienia, na którym każdy pracodawca połamałby sobie zęby.

Ta uwaga tak się jej spodobała, że wybuchnęła śmiechem.

– Tak, on ma zasady.

Paul uznał, że nie było sensu kłócić się ze swoją siostrą o Sebastiana Winklera. Kochała go, więc jakoś musiał sobie z nim poradzić. Koniec tematu.

– Jak się czuje mama? – zadał swoje zwyczajowe pytanie.

Twarz Lisy wyraziła szczere zmartwienie.

– Źle, Paul. Zupełnie wychodzi z siebie. Przede wszystkim z powodu tego artykułu, a jeszcze Serafina...

– Co to znowu za artykuł? Nie zauważyłem dzisiaj niczego złego w gazecie.

Lisa uśmiechnęła się znacząco.

– Bo nie zajrzałeś do działu kulturalnego.

Coś mu się przypomniało. Czy Kitty ostatnio nie wspominała, że przygotowania do wystawy idą pełną parą? Z końcem maja chcieli ją otworzyć, a wcześniej jeszcze zacząć reklamować.

– Wystawa!

– Zgadłeś!

Wziął głęboki oddech, żeby się uzbroić w cierpliwość, zanim wejdzie do jadalni. To nie będzie wszak posiłek w rodzinnej miłej atmosferze. Mama siedziała na swoim miejscu, jak zwykle wyprostowana niczym świeca, a przed nią stała szklanka wody, w której łyżką do zupy mieszała właśnie proszek od bólu głowy. Lisa i Paul wymienili pełne niepokoju spojrzenia i usiedli na swoich krzesłach. Mama prawie ich nie zauważyła, koncentrowała się na tym, żeby rozpuścić proszek na łyżeczce, a potem dobrze go wymieszać z wodą. W końcu odchrząknęła, odmówiła modlitwę i powiedziała Humbertowi, żeby wnosił zupę, bo ona dzisiaj i tak niczego nie przełknie.

– Tylko troszkę, łaskawa pani, żeby ten preparat nie zalegał pani w żołądku.

– Dziękuję, Humbercie, później.

Humbert uklonił się z zatroskaną miną i nalał zupę Lisie oraz Paulowi. Ledwie wyszedł z pomieszczenia, a Paul już poczuł na sobie pełen wyrzutów

wzrok mamy.

– Zakładam, że czytałeś gazetę dzisiaj rano.

– Tylko dział polityczny i gospodarczy. Mamy znów kanclerza, co jest bardzo skompl...

– Odpuść sobie, Paul.

– Niestety, nie czytałem artykułu, o którym teraz najpewniej wspominasz, mamó. Chodzi o wystawę?

– W rzeczy samej. Och, Paul, obiecałeś mi, że zapobiegiesz zorganizowaniu tej okropności! A tymczasem właśnie ukazał się artykuł w „Augsburger Neueste Nachrichten”! Nie wierzę własnym oczom. Na pół strony. Ze zdjęciami. Wyczerpująca opowieść o tej rozpustnej kobiecie, która doprowadziła waszego ojca na skraj rozpacz.

Z pełnym zrozumieniem dla jej obaw nie mógł jednak pozwolić na to, by te słowa nie doczekały się właściwego sprzeciwu.

– Proszę cię, mamó. Matka Marie była artystką, która żyła według innych zasad niż reszta ludzi. Nie chcę, żebyś określała ją mianem „rozpustnej”!

Lisa wpatrywała się w bukiet kwiatów, które Dörthe postawiła na środku stołu. Mama westchnęła gwałtownie, ale jej usta nabrały koloru.

– Doszło więc do tego, że w moim własnym domu zakazuje mi się mówić pewnych rzeczy. Jak więc byś określił jej sposób prowadzenia się, Paul?

Dlaczego było tak trudno przemówić do rozumu rozgniewanej kobiecie? Prawdopodobnie było już po prostu tak, że mężczyzna zawsze stał wówczas na straconej pozycji.

– Przeczytałem ten artykuł – powiedział osiągniętym siłą woli łagodnym tonem. – Wydaje się z pewnością niepotrzebnie przesadzony i zbyt długi. Ale styl dziennikarski jest bardzo specyficzny.

Mama musiała to przyznać, bo sama miała przykre doświadczenia z prasą w związku z nieszczęśliwą historią biednej Marii Jordan.

– Poza tym mówiłem ci, że obiecałem Marie nie utrudniać jej organizacji tej wystawy. Wiesz przecież, że ja wciąż bardzo cenię Marie i nie chcę jej stracić. Przecież chodzi o jej matkę.

Mama zupełnie nie rozumiała jego postawy. Milczała, dopóki Humbert nie podał dania głównego – nadziewanej pieczeni wieprzowej z czerwoną kapustą i ziemniakami – a potem wybuchnęła prawdziwym gniewem.

– Jeśli naprawdę sądzisz, że odzyskasz żonę, spełniając jej zachciankę, to się mylisz, Paul. Osiągniesz tylko to, że przestanie cię szanować.

– Ależ mammo – wtrąciła się Lisa. – Nie żyjemy już w dziewiętnastym wieku, żona nie musi być już całkiem poddana mężowi.

Atakowana z dwóch stron, Alicia uparcie trwała przy swoim stanowisku. Zacisnęła usta i spoglądała w okno z miną kobiety, która została niesprawiedliwie potraktowana przez swoich bliskich.

– Miłość rodzi się z szacunku – powiedziała z naciskiem. – To sprawdzało się kiedyś i jest aktualne dzisiaj.

– Z wzajemnego szacunku, mammo – zauważyła Lisa, uśmiechając się przyjaźnie. – Też tak uważasz, prawda?

– Zmuszanie własnego męża do okrycia wstydem własnej rodziny to nie jest okazywanie szacunku. I miłości również nie.

Paul postanowił nie odzywać się, żeby zjeść posiłek w spokoju. Mama jednak wyciągnęła drugi drażliwy temat.

– I żebyś później nie był zaskoczony, Paul: Serafina złożyła wypowiedzenie. Opuszcza nas w piątek, żeby objąć nową posadę piętnastego maja.

Paul zauważył uśmiech zadowolenia na twarzy Lisy i rozgniewało go to. Jaką to tajemną sieć intryg uknuła jego siostra, żeby pozbyć się z domu swojej dawnej, ulubionej przyjaciółki? I oczywiście za jego plecami. Tym razem był nawet w stanie pojąć gniew mamy.

– Ach! Tak po prostu, nie zachowując nawet czasu wypowiedzenia? A co to za nowa posada?

Mama wypła łyk wody, po czym pozwoliła Humbertowi podać sobie deser. Była to ciepła szarlotka z kremem waniliowym, posypana delikatnym cukrem pudrem. Najwyraźniej wrócił jej apetyt, odkąd dała upust swojemu gniewowi.

– Będzie gospodynią u prawnika Grünlinga. Pani dyrektorowa Wieslerowa wystarała się dla niej o tę posadę.

Ach, pomyślał Paul. Czyli stała za tym Kitty. Z westchnieniem zadowolenia Lisa wbiła widelczyk w swoją szarlotkę, która składała się ze słodkiego, miękkiego ciasta i cienkiej skórki, pod którą ukrywał się kwaśny smak kawałków jabłek.

– Humbercie, dlaczego nie podajesz kawy?

– Przepraszam, łaskawa pani. Idę natychmiast.

Po obiedzie Paul poszedł z „Augsburger Neueste Nachrichten” do swojego gabinetu. Otworzył gazetę na dziale kulturalnym i z każdym zdaniem czuł coraz większy gniew.

„...wspaniała malarka, długo niedoceniony talent, która niegdyś mieszkała w naszym mieście. Jakże szczęśliwy powinien być nasz drogi Augsburg, że gościł tak niezwykłą i utalentowaną artystkę. Tym bardziej dręczące wydaje się pytanie, jak mogło dojść do tragicznej i przedwczesnej śmierci tej młodej kobiety. Dlaczego Luise Hofgartner, która miała przed sobą tak obiecującą karierę malarską, musiała umrzeć w biedzie? Można myśleć o artystach z Montmartre’u jako o ludziach, którzy wiodą bezkompromisowe życie dla sztuki, którzy głodują i marzną, żeby osiągnąć coś wielkiego. Również Luise Hofgartner podążała za swoim przeznaczeniem, poświęcając życie jedynie sztuce, a mimo to musiała odejść z tego świata. Dlaczego nie otrzymywała w Augsburgu żadnych zleceń? Jak mogło dojść do tego, że wegetowała ze swoją córką w skrajnym ubóstwie? Nie chcemy oskarżać. Ale należy postawić pytanie, w jakiej relacji pozostawała Luise Hofgartner z Johannem M., znanym właścicielem fabryki tekstylnej w Augsburgu”.

Paul z wściekłością złożył gazetę. Co za godna pogardy pisanina! Kto podał te szczegóły prasie? Cholera, wiedział oczywiście, że będą o tym mówić, ale nie sądził, że te okropne plotki zostaną opublikowane w prasie z taką szczegółowością tydzień przed otwarciem wystawy! Zadzwoił telefon. Machinalnie podniósł słuchawkę, przypuszczając, że to znów Sebastian Winkler chce zdać relację Lisie. Postanowił mu krótko i szybko wyjaśnić, że rozmowy telefoniczne między fabryką i willą sporo kosztują i powinno się dzwonić wyłącznie w ważnych sprawach.

– Paul? To ja, Marie.

Potrzebował chwili, żeby to do niego dotarło.

– Marie. Przepraszam, nie spodziewałem się.

– Dzwonię tylko na chwilę, bo wiesz, że moja przerwa obiadowa jest wymierzona niemalże co do minuty. Chodzi o artykuł w gazecie.

– Ach, tak? – odpowiedział gniewnie. – Może to ty zleciłaś to arcydzieło?

Nerwy brały nad nim górę, co pewnie wynikało ze wzrastającej w nim od rana irytacji. Marie najwyraźniej była przestraszona odpowiedzią, bo początkowo milczała.

– Nie, ja tego nie zrobiłam. Wręcz przeciwnie, chciałam powiedzieć, że

żadną miarą nie zgadzam się z tym...

– Dlaczego tego nie powstrzymałaś? – wrzasnął. – Naprawdę starałem się wyjść ci naprzeciw. Tak mi dziękujesz? Pośmiertna zemsta Luise Hofgartner na Melzerach?

– Rozumiem – powiedziała cicho. – Nic się nie zmieniło.

Czuł, jak opada w nim gniew. Dlaczego tak ją zbeształ? Czy nie zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że to nie ona zleciła ten artykuł? Powinien jej przecież powiedzieć, że cieszy go jej telefon, że przez cały czas czekał z tęsknotą na jakiś znak od niej. I przede wszystkim, że ta wystawa wcale nie jest dla niego taka ważna. Chodziło o nich dwoje, o ich miłość. O ich małżeństwo. Przychodziły mu do głowy te zdania, ale nie był pewien, jak powinien zacząć, więc milczał.

– Muszę wracać do pracy – powiedziała chłodno Marie. – *Adieu*.

Zanim zdążył odpowiedzieć, już się rozłączyła. Paul wpatrywał się w czarną słuchawkę jak w obrzydliwego gada i wydawało mu się, że słyszy walące się skały. Dom jego nadziei nie był zbudowany na zbyt mocnych fundamentach – jeden mocniejszy podmuch i się zawalił.

Herbata dla pani von Hagemann i dwie kawy – powiedział Humbert w kuchni.

Fanny Brunnenmayer podniosła się z krzesła, żeby wziąć czajnik z wodą z kuchni, dzbanki stały już przygotowane do zabrania na stół.

– Rosie to dobrze – powiedziała z zazdrością Gertie. – Pije sobie kawę na górze z państwem, a potem schodzi do nas na dół i jeszcze raz pochłania pełny kubek kawy z mlekiem.

– Jeśli tylko sprawia ci przyjemność spędzanie nocy z małym krzykaczem wrzeszczącym przy uchu... – powiedział Humbert, który nie był wielbicielem małych dzieci.

Gertie musiała to robić przez kilka dni, zanim Rosa Knickbein została zatrudniona w willi jako opiekunka do dziecka. W żadnym razie nie tęskniła za tamtym czasem.

– Nie, bardzo dziękuję – powiedziała i uśmiechnęła się. – Zdecydowanie wolę być pokojówką.

I to właśnie będzie robić. W ciągu najbliższych miesięcy będzie pokojówką pani von Hagemann. Na początek na próbę przez trzy miesiące, a jeśli się sprawdzi, otrzyma tę posadę. Co za triumf! Ten drogi kurs się opłacił. Koniec z byciem pomocą kuchenną, awansowała i zamierzała dalej pójść tą drogą.

– Jejku, jeśli będziesz jak Marie, za dwadzieścia lat może poślubisz Lea i staniesz się panią dyrektorową Melzer – zakpiła Else.

To, że Else była zazdrosna o Gertie, nikogo nie dziwiło. W końcu przez trzydzieści lat tkwiła na stanowisku młodszej pokojówki.

Dörthe krzątała się przed wejściem do kuchni, zmieniała tam drewniaki na pantofle filcowe. Kucharka już dwukrotnie zagroziła jej bowiem, że obije jej głowę wielką chochlą, jeśli raz jeszcze wejdzie do kuchni w brudnych chodakach.

– Wyczułaś zapach kawy? – zapytała kucharka dobrodusznie. – Umyj najpierw ręce, bo znowu cała się upaćkasz, od góry do dołu.

Dörthe się uśmiechnęła i podeszła do umywalki. Teraz, od początku maja, od rana do wieczora była w parku. Czasami wołała do pomocy Humberta czy Juliusa, ponieważ sama nie potrafiła kosić trawników. Najczęściej radziła

sobie jednak bez wsparcia, przycinała krzewy, dbała o ścieżki pokryte żwirem, sadziła kolejne grządki i walczyła z chwastami. Zaczęła nawet tworzyć duży kompostownik, żeby uzyskanym nawozem użyźnić ziemię na grządkach.

– Kilka owiec i nie trzeba by było kosić łąk. I od razu byłyby porządnie nawożone – powiedziała.

Chwyciła kubek obiema rękami i uniosła do ust. Pijąc, siorbała głośno, po posiłku się jej odbijało i drapała się w miejsca, o których nawet nie wypadało wspominać. Uważała to za zupełnie normalne. Była jednak bardzo miła, więc nawet gdy coś zepsuła, nikt nie miał jej tego za złe.

– Będziesz musiała długo czekać, aż pan Melzer dorobi się stada owiec – zachichotała Else.

Humbert chwycił tacę z filiżankami, dzbankami oraz wypiekami i ruszył na schody. Julius był wciąż zajęty myciem butów w pralni. Kwiecień zakończył się słoneczną pogodą, ale maj przyniósł ulewne deszcze, których domagały się na pewno rosnące rośliny.

– Znowu nad nami zawisło – powiedziała Dörthe i wskazała palcem na okno.

Rzeczywiście, pociemniało, Gertie, która chciała szybko umyć garnek, musiała się dobrze przyjrzeć, czy nie zostały w nim jakieś resztki przypalonego mleka.

– Z pewnością będzie burza – powiedziała wystraszona Else. – Tam! Już się błysnęło między chmurami.

– Majowy deszcz to błogosławieństwo – orzekła Gertie, wyglądając na zewnątrz. – Zaraz potem odstawiła garnek do umywalki i wytarła ręce w fartuch. – Patrzcie! – krzyknęła i podbiegła do kuchennego okna. – Biegnie! Z walizkami i torbą podróżną!

Zrozumieli wszyscy oprócz Dörthe. Humbert powtarzał im od kilku dni, że gospodyni wypowiedziała posadę.

– Niech Pan Bóg będzie pochwalony i wysławiany! – krzyknęła Brunni. – Jeśli to tylko jest prawda, Humbercie.

Wszyscy podbiegli do okna kuchennego, Dörthe ze swoim kubkiem kawy, Else, która właśnie smarowała biały chleb masłem i trzymała jeszcze nóż w ręce. Julius, który przyszedł do kuchni po zakończonej pracy, również do nich dołączył.

- Co się dzieje?
- Umyj się! Pachniesz pastą do butów, Julius!
- Odczep się, Dörthe! Zasłaniasz wszystkim. Co się tutaj dzieje, zapytałem.
- Von Dobern odchodzi!
- Naprawdę?
- Tak, w płaszczu i kapeluszu.

Przepychali się jeden przez drugiego, wreszcie Julius otworzył okno, bo była gospodyni właśnie szła aleją.

– Płaszcz dostała od łaskawej pani Alicii – stwierdziła gniewnie Else. – I kapelusz też. Tylko te znoszone buty miała już wtedy.

– Nie zazdrozczę jej tych staromodnych rzeczy – powiedziała Gertie. – Nie chciałabym, żeby mi podarowali taką pokrywkę na głowę!

Gwałtowny grzmot sprawił, że wszyscy podskoczyli. Zaraz potem silny podmuch wiatru przeszedł przez park, szarpał drzewami iglastymi, szalał między gałęziami buków i starych dębów. Gdzieś na podwórzu słyhać było mocne uderzenie pioruna.

– O Boziuniu! – jęknęła Dörthe. – Ale wali!

Błyskawice zdobiły ciemne niebo, wyglądały jak żarzące się zygzaki.

– Miejmy nadzieję, że nie uderzy.

– A może drzewo jej spadnie na głowę.

– Albo walnie ją piorun!

– Teraz, gdy odeszła, to już obojętne.

– Lepiej późno niż wcale – mruknął Julius.

Niebo miało jednak miłosierdzie dla pani von Dobern, bo błyskawice ją oszczędziły. Za to musiała walczyć z ulewnym deszczem i widzieli, że szukała schronienia pod parkowym klonem.

– Do suchej nitki. I dobrze. Zasłużyła sobie.

– A teraz zamknij okno, bo będziemy wszyscy mokrzy – dodał Julius.

– Jezuuus! Moje ciasto na chleb! – jęknęła kucharka. – Teraz już całkiem wyziębło i się do niczego nie nadaje. A wszystko przez tę czarownicę.

Julius zamykał okno, ale wychylił się jeszcze raz, żeby się rozejrzeć, jednak

w tej ścianie deszczu ledwie było widać na podwórzu obmurowane rabatki. Dörthe zaczęła narzekać, że ten przekłety deszcz zniszczy jej niezapominajki i klomby, a świeżo posadzone aksamitki na pewno się utopią. Nikt jej nie słuchał. Humbert wrócił z jadalni i wysłał Else na górę, bo był cały kosz dziecięcych ubranek, które trzeba było znieść do pralni.

– Von Dobern potajemnie posprzątała dzisiaj rano swój pokój i spakowała walizki – oznajmił Humbert. – Ale ja już o tym dawno wiedziałem.

– Nawet się z nami nie pożegnała. – Kucharka potrząsnęła głową.

– Mogę z tego chętnie zrezygnować – stwierdziła Gertie.

– Ale tak się po prostu nie robi.

Else wróciła do kuchni, lekko dysząc. Śpieszyła się bardzo, niosąc kosz z praniem, żeby niczego nie przegapić.

– Ten deszcz wygnałby duszę z ciała! A jak grzmi! – westchnęła i usiadła przy stole, sięgając po swoją filiżankę z kawą.

– Naprawdę niepokojąco – mruknął Julius.

Gertie wzruszyła ramionami i chwyciła kromkę chleba z masłem.

– Jest burza – powiedziała, smarując kromkę marmoladą z truskawek. – Tam pod tym drzewem z pewnością nie jest przytulnie. Ale dopiero gdy dotrze do swoich nowych państwa, będzie się mogła wysuszyć.

– Grünling – powiedziała kucharka z niedowierzaniem. – Czego on może od takiej chcieć? On przecież interesuje się tylko młodymi gąskami z dużym biustem i pełnymi udami.

Humbert wywrócił oczami i wetknął nos w filiżankę z kawą. Gertie zachichotała radośnie. Else zakryła dłonią usta, a Julius się uśmiechnął, uważając żart za bardzo udany.

– Przy von Dobern będzie więc stratny – powiedział, nie bez zazdrości.

Gertie przeżuła do końca i spojrzała wokoło z prowokacyjną miną.

– Z panami po pięćdziesiątce to jest koniec – wyjaśniła, pijąc duży łyk kawy. – Oni są już wtedy sztywni, owszem, ale w plecach i nigdzie indziej. A ponieważ nie chcą się wstydzić przed młodymi dziewczynami, szukają wyrozumiałej pani w podobnym wieku, z twardymi zasadami i pobożnym koczkiem na karku. Taki „owoc wiary”.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Brunnenmayer rozbawił przede wszystkim „owoc wiary”. Za oknem znowu mignęła błyskawica i przez kilka sekund

było widać oświetloną całą aleję parkową. Grzmot, który rozległ się po chwili, był tak donośny, że Else wypuściła nadgryziony chleb z ręki. Humbert zrobił się blady jak trup. Ześlizgnął się ze swojego krzeselka i cały drżący kucnął na podłodze.

– Uderzenie... Trafiony... Do broni... Atak...

– Humbercie! Wojna dawno się skończyła!

Fanny Brunnenmayer uklękła obok niego i starała się mówić uspokajająco, on jednak zatkał sobie uszy i nie przestawał wykrzykiwać różnych dziwnych rzeczy. Zagrzmiało jeszcze raz i nagle słychać było, że otwierają się drzwi wejściowe. W kuchni pojawiła się przemoczona postać w szarej pelerynie przeciwdeszczowej z kapturem mocno naciągniętym na twarz. Zjawa z innego świata, bo Marii Jordan, która nosiła wcześniej właśnie taką pelerynę, nie było już pośród żywych. Else krzyknęła histerycznie, Julius złapał się za gardło, Gertie zamarła. Tylko Dörthe, która nigdy nie widziała Marii Jordan, powiedziała przyjaźnie:

– Tobie też dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedziała Hanna i zdjęła kaptur. – Co za okropna pogoda!

Else się rozluźniła i wyczerpana oparła się o ścianę, a Julius wypuścił powietrze z płuc.

– Jezus Maria! – zawołała Gertie. – Ale nas wystraszyłaś! Skąd masz tę pelerynę?

– Kupiłam u handlarza, a dlaczego?

Gertie się zawahała, bo wstydziła się, że była taka głupia. Ale nie tylko ona.

– Pomyśleliśmy, że Maria Jordan zmartwychwstała.

– Na miłość boską! – krzyknęła przerażona Hanna.

Zrzuciła szybko mokrą pelerynę, podbiegła do Humberta, złapała go za ramiona i szepnęła coś do ucha. Widać było, jak się rozluźnia, unosi głowę i lekko się uśmiecha. Był wciąż jeszcze blady, ale się uspokajał. Hanna była czarodziejką. Przynajmniej gdy chodziło o Humberta. Julius wstał, żeby dokładniej przyjrzeć się pelerynie. Obracał ją, rozkładał, przyglądał się wewnętrznej stronie.

– To możliwe – mruknął.

Westchnął i powiesił pelerynę na haku.

– Możliwe, że ten łobuz oddał jej rzeczy handlarzowi – mruknęła Brunnenmayer, która obserwowała, co robi Julius. – Co za łajdak z tego Seppa. Wepchnął jej nóż w brzuch i pozwolił, żeby ktoś inny poszedł za to do więzienia.

Julius usiadł przy stole i patrzył przed siebie. Nigdy nie opowiadał o tym, odkąd był znów w willi. O tym, że policja schwyciła i skazała w międzyczasie właściwego mordercę, dowiedzieli się z gazet. Był to jej mąż, Josef Monzinger. Rozstała się z nim przed laty, ale nachodził ją i żądał od niej pieniędzy. W pokoju, który wynajmował, policja odnalazła kilka szkatulek z cenną biżuterią, które należały do Jordan, oraz sporo pieniędzy. Sepp był pijany w sztok w czasie zatrzymania, wył jak bity pies i krzyczał, że żałuje tego, co zrobił.

– Ciekawe, kto dostanie te wszystkie pieniądze – zastanawiała się Gertie. – Skoro Sepp spędzi resztę życia w więzieniu.

Nikt nie był w stanie na to odpowiedzieć. Może Jordan miała jakichś krewnych. Albo dziecko.

– Robiła ci nadzieję, że wyjdzie za ciebie za mąż, Julius? – zapytała niefrasobliwie Else. – Bo chodziłeś za nią, odkąd stała się bogata.

Julius wpatrywał się w nią ze złością, aż poczuła się nieswojo i zapewniła, że nie miała nic złego na myśli.

– Masz tyle wycucia, co pies rzeźnika, Else – naskoczyła na nią Brunnenmayer.

Nie rozmawiano dłużej na ten temat, bo wszyscy współczuli Juliusowi. Czas spędzony w więzieniu i śmiertelny strach, że zostanie skazany za to morderstwo, mocno się na nim odcisnęły. Nawet jeśli wszyscy byli przekonani, że robił piękne oczy do Jordan z czystej chciwości, taka kara była za wysoka. Ale fakt, że Julius dzisiaj tak dokładnie oglądał pelerynę przeciwdeszczową i wzdychał przy tym głęboko, był oznaką, że wkładał w tę relację również trochę serca.

– Tak nie powinno być – powiedział powoli, opierając brodę na ręce. – Życie jest grą, a los miesza w kartach. Nie możesz ich wymienić ani oszukiwać, musisz brać, co dostajesz.

– Jezuuus, zostałeś poetą, Julius?

Spojrzał na Gertie i powiedział, że to też jest możliwe.

– Któregoś dnia spiszę moje życiowe wspomnienia, a wówczas wszyscy się

zdziwicie!

Gertie wzięła ostatnią kromkę chleba i chciała nalać sobie kawy, ale dzbanek był już pusty.

– A o czym chcesz pisać? O romansach? Jej, to byłoby przecież niedopuszczalne!

Julius prychnął pogardliwie i uniósł brwi.

– Chcę opowiedzieć o moich doświadczeniach w kontaktach z arystokracją. I sądzę, że znajdą się czytelnicy zainteresowani tymi sprawami!

Nikt z siedzących przy stole nie okazał entuzjazmu, nawet Else, która – jak Gertie zauważyła dawno temu – w wolne dni czytała romanse, opowiadające wyłącznie o ludziach dobrze urodzonych.

– To byłoby nieprzyzwoite, gdybyś rozsiewał głupie plotki na temat naszego państwa – oceniła Fanny Brunnenmayer. – Już mi więc szkoda pana von Klippsteina, że wprowadzi takiego człowieka do swojego domu!

Julius zrobił lekceważący gest ręką, ale widać było, że był lekko zaniepokojony. Ernst von Klippstein zaproponował mu, żeby w jego domu w Pasing w Monachium objął posadę kamerdynera. Julius powiedział radosne „tak!”, bo obawiał się nie bez słuszności, że w Augsburgu nie znajdzie już odpowiedniego zajęcia.

– To był tylko żart – powiedział, patrząc po wszystkich. – Oczywiście nigdy bym nie wpadł na to, żeby popełnić jakieś niedyskrecje.

Oprócz Fanny Brunnenmayer i Humberta nikt nie zrozumiał ostatniego z wypowiedzianych przez Juliusa słów, więc tylko kiwnęli głowami. Był już czas, żeby wrócić do pracy. Należało przygotować kolację, ugotować na jutro świńskie nóżki, a potem je wystudzić, a czekało też zmywanie. Gertie miała jeszcze dzisiaj wyczyścić i nasmarować blachę na kuchni, a Else musiała wyprać i rozwiesić na sznurku rzeczy dziecka, bo praczka miała przyjść dopiero w poniedziałek.

– Pada jeszcze? – zapytała Else.

Deszcz znacznie osłabł, tu i tam między chmurami przebijały się nawet promienie słońca. Park wyglądał jak świeżo umyty. Liście i trawa lśniły, niebieskie i fioletowe bratki ożyły, a między nimi jaśniały żółte główki aksamitek.

– No to dobry Pan Bóg podlał mi rośliny – powiedziała zadowolona Dörthe.
– Posadzę jeszcze kolejne aksamitki i spulchnię ziemię tuż przy murze. Teraz

pójdzie jak po maśle.

Energicznie zrzuciła ze stóp filcowe pantofle przy wyjściu z kuchni. Zaraz potem rozległ się dzwonek z czerwonego salonu, można było sprzątnąć naczynia po kawie.

– Ja pójdę, Humbercie – powiedział Julius i wyszedł.

– No i zrobił się nawet miły – zauważyła Gertie z uśmiechem. – Będziemy za nim tęskn...

Nagle usłyszeli pukanie do drzwi. Wszystkich w kuchni ogarnął strach.

– Ona chyba nie wróciła? – zapytała przestraszona Gertie.

– Von Dobern? – syknęła Else. – Boże uchowaj.

Fanny Brunnenmayer szła właśnie do spiżarni. Zatrzymała się i potrząsnęła głową na takie głupie pomysły.

– To pewnie będzie Franzl Kummerer z fabryki mąki w Lechhausen. Otwórz, Dörthe. I powiedz mu, żeby uważał na schodach i nie zjechał po nich z workiem na ramieniu jak ostatnim razem.

– Panu też dzień dobry, łaskawy panie – słyhać było głos Dörthe, a Gertie, która wstawiła swój kubek po kawie do zlewu, musiała się uśmiechnąć. Powiedziała „łaskawy panie” do mężczyzny z workiem mąki. Prawdopodobnie nawet przed nim dygnęła.

– Dzień dobry pani – odpowiedział ktoś stojący w drzwiach. – Szukam Fanny Brunnenmayer. Czy pracuje tutaj nadal?

Kucharka tuż przed spiżarnią stanęła jak wryta, jakby ktoś ją zaczarował.

– Święta Panienko! – słyhać było krzyk Else. – To nie może być prawda. To jest... to jest duch! Albo to naprawdę ty?

– Robert! – zawołała Brunnenmayer i się odwróciła. Przesunęła ręką po czole, jakby chciała sobie coś uporządkować w głowie. – Tak, Robert! Nie sądziłam, że jeszcze cię zobaczę!

Do kuchni wszedł elegancko ubrany mężczyzna, zdjął kapelusz i zaśmiał się na widok zdziwienia rysującego się na twarzach obu kobiet. Gertie zakochała się momentalnie. Cóż za przystojny mężczyzna! Kilka srebrnych nici we włosach koloru ciemnego blondu, gładko ogolony, nos nie za duży, usta wąskie, ale zmysłowe. Bez wahania wziął w ramiona pulchną kucharkę, jakby była jego matką czy babcią, a potem zrobił to samo z Else, która niemalże zemdląła z zakłopotania.

– Przyjechałem na kilka dni do pięknego Augsburga – wyjaśnił. – I chciałem koniecznie raz jeszcze zobaczyć tę kuchnię.

Zwrócił się teraz do Humberta i Hanny, którzy patrzyli na niego ze zdziwieniem i pewną dozą podejrzliwości.

– Przed kilkoma laty byłem tutaj kamerdynerem – powiedział. – Pozwólcie: Robert Scherer.

Wyciągnął przez stół rękę w ich kierunku. A jak swobodnie się zachowywał. Przeszedł się po kuchni, oglądał szafki i regały, brał do ręki jeden talerz za drugim i odstawiał na miejsce.

– Niewiele się zmieniło – stwierdził. – Wszystko tak jak dawniej.

– Usiądź tutaj – poleciła Brunnenmayer. – Chyba że chciałbyś usiąść z nami przy stole?

Uśmiechnął się, rozpiął marynarkę, położył kapelusz na stole i zajął miejsce na ławie.

– Przyjechałem z kraju, w którym różnice w statusie społecznym już nie obowiązują. Co nie oznacza, że wszyscy ludzie są tam równi.

Zaczął opowiadać o Ameryce. Nowym, obcym świecie, do którego wyjechał pełen zapału i ze zranionym sercem.

– Nie, to nie jest kraj nieograniczonych możliwości, Else. Dla większości oznacza on przymieranie głodem, ciężką pracę i niewielkie wynagrodzenie. Ale kto ma odwagę podjąć ryzyko, dostaje szansę.

Napił się świeżo zaparzonej kawy i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Tak samo jak wtedy. Siedzimy razem przy stole i rozmawiamy.

Gertie słuchała zdziwiona tego, co wychodziło na światło dzienne. Oczywiście dowiedziała się już o niezwykłych zdolnościach Eleonore Schmalzler. Ale niespodziewany gość potrafił o niej opowiadać niezliczone historie. O pomocy kuchennej Marie wspomniał, że na początku wszystko robiła źle i Brunnenmayer ciągle ją upominała. Potem Marie awansowała na starszą pokojówkę w willi. Robert wiedział też, że teraz jest panią Melzer. O wielu innych zmianach w posiadłości również wiedział.

– Skąd? Cóż, od wielu lat piszemy do siebie z panną Schmalzler.

Jakie to dziwne, myślała Gertie, obserwując z boku Roberta Scherera. Wprawdzie często się uśmiechał, ale gdy tego nie robił, wydawał się smutny. Po co właściwie wrócił z Ameryki?

– Czy odnalazł pan swoje szczęście tam, w Ameryce?

Uśmiechnął się i mogła uspokoić swoje serce. Och, ależ ją dopadło. Znała to uczucie, które odbierało jej rozum i sprawiało, że zupełnie traciła rozsądek. Zawsze kończyło się to źle, gdy chwyciła ją takie zakochanie.

– Osiągnąłem sukces, Gertie. – Uśmiechał się, a ona rozpląnęła się z radości, że zapamiętał jej imię. – Tak, można powiedzieć, że dużo osiągnąłem. Jestem niezależny i nie muszę obracać w ręce każdego feniga. Jeśli chcesz to nazwać szczęściem, to faktycznie jestem szczęściarzem.

Znowu się uśmiechnął, ale tym razem uśmiech wydał się Gertie sztuczny. Czy to taki amerykański zwyczaj, że ludzie zawsze muszą się uśmiechać? Jakby całe życie było jedną wielką zabawą? Gdy jednak Else opowiedziała mu o strasznej śmierci Marii Jordan, już się nie śmiał. Znał ją dobrze i ze smutkiem kręcił głową.

– Zawsze była niezwykłą kobietą – powiedział. – Czasami stawiała nam karty. I miała swoje marzenia. Ach, jakie to straszne.

Wypił kawę i powiedział, że nie chce dłużej przeszkadzać im w pracy. Że było cudownie znów zobaczyć Brunnenmayer i Else, a teraz pragnie jeszcze zajrzeć do Bliefertów.

– Chciałbym koniecznie przywitać się z Auguste, zanim pojedę dalej.

Nie powiedział, dokąd chce jechać, ale Gertie przypuszczała, że z powrotem do Ameryki. Bo odnosił tam sukcesy i odnalazł swoje szczęście. Może tak jest lepiej, pomyślała. Tak czy owak mógł jej przynieść tylko same zmartwienia.

– Życzę wam wszystkiego dobrego, każdemu z was.

Uścisnął każdemu rękę, uśmiechnął się i włożył kapelusz, zanim wyszedł. Na zewnątrz stał samochód w nieprzyzwoicie mocnym czerwonym kolorze z czarnymi siedzeniami i białymi felgami.

– Ford tin lizzie – powiedział z zazdrością Humbert. – Diesel.

Maj 1925

Przez cały dzień Marie czuła się chora. Zamknęła atelier dwie godziny wcześniej niż zazwyczaj, wysłała pracowników na weekend i starała się zrobić jeszcze porządek w biurze, zanim pojedzie na Frauentorstraße. W skroniach jej pulsowało, przechodziły ją dreszcze, jej dłonie były lodowate. Układ krążenia. Nic dziwnego. Nic nie pomagało. Zgodziłam się, a teraz sprawy przybrały gorszy obrót, pomyślała. Jako współwinna musiała liczyć się z konsekwencjami i ponieść karę. Przełożyła dwukrotnie stos zamówień, opadła na krzesło i oparła głowę na dłoniach.

Dzisiaj wieczorem zostanie otwarta wystawa zatytułowana „Luise Hofgartner – artystka z Augsburga”. Dlaczego tak się denerwowała? Przecież decyzja zapadła wiele miesięcy temu i na początku bardzo się z tego cieszyła. A dzisiaj, w dniu otwarcia, puszczają jej nerwy. Pewnie dlatego, że wiele jej klientek rozprawiało o tym „wielkim wydarzeniu”. Mówiły, że na pewno dzisiaj przyjdą, że zabiorą swoich mężów, teściów, wujków, ciotki i dobrych przyjaciół. Dzięki wspaniałemu artykułowi wszyscy dowiedzieli się, kim była Luise Hofgartner i że Marie Melzer jest jej córką. Na mieście plotkowano, że „stary Melzer” chciał zmusić wdowę po swoim byłym partnerze Burkardzie do różnych niemoralnych rzeczy. Jej klientki nie wspominały o tym, gdyż chciały być dyskretne, ale w ich głowach krążyły takie przypuszczenia, dla Marie było to zupełnie jasne. Ach, wiele by dała za to, żeby móc po prostu odwołać wystawę.

Wzięła się w garść i zmusiła się do ponownych przemyśleń. Jak może być tak tchórzliwa! Odwołać wystawę? Ale Luise Hofgartner – malarka – zasługiwała, by jej twórczość wydobyć z zapomnienia! Jej matka była odważną kobietą, więc ona teraz też nie mogła stchórzyć. Wzięła proszek od bólu głowy, włożyła kapelusz i żakiet. Popołudniowe słońce świeciło mocno na szybę wystawową, więc musiała zmrużyć oczy, gdy zamykała drzwi. Chciała szybko dojść na przystanek autobusowy.

– Dzień dobry, pani Melzer! – zawołał ktoś z samochodu. – Mogę panią podwieźć?

Chciała odmówić, ale rozpoznała Gustava Bliefertę i nie chciała zrobić przykrości temu poczciwemu człowiekowi.

– To bardzo miłe z pana strony. Tak, na Frauentorstraße. Co słyhać? Jak idzie w ogrodnictwie?

Teraz wręcz się ucieszyła, że może z nim porozmawiać, bo jego spokój koł jej nerwy.

– Idzie bardzo dobrze – odpowiedział z dumą. – Najpierw sadzonki szły jak świeże bułeczki. A teraz jest pora na kwiaty. Liesl układa piękne bukiety, nikt nie wierzy, dopóki nie zobaczy. Dziewczyna robi to dużo lepiej niż Auguste. Na rynku ludzie prawie sobie wyrywają nasze wiązanki.

Liesl, pomyślała Marie. Czy jej kiedykolwiek powiedzą, że Gustav nie jest jej ojcem? I czy byłaby szczęśliwsza, gdyby się dowiedziała? Kto może to wiedzieć?

Gustav podwiózł ją pod sam dom i wstał, żeby jej otworzyć drzwi.

– I jeszcze raz bardzo dziękujemy za ubrania. Maxl i Hansl są doprawdy dumni, że mogą nosić rzeczy Lea.

– Bardzo mnie to cieszy – powiedziała, wysiadając z auta. – A ja dziękuję za podwiezienie tym pięknym samochodem.

Uśmiechnął się z dumą i zamknął drzwi.

– Zawsze z przyjemnością, pani Melzer. I dzisiaj wieczorem też chcemy przyjść na wystawę, Auguste i ja. W gazecie przecież napisano, że to będzie wydarzenie roku.

Marie się uśmiechnęła, ale pomyślała z niepokojem, że ta dwójka jej wiernych przyjaciół będzie przerażona obrazami jej matki. Cóż, nie będą w tym względzie odosobnieni.

Henny stała już niecierpliwie przed drzwiami wejściowymi i przestępowała z nogi na nogę. Pociągała też z obu stron swoją różową, szeroką sukienkę, bo chciała, żeby powiewała w tym miejscu niczym skrzydła.

– Ciociu Marie... ciociu Marie! Mama nie pozwala mi dzisiaj wieczorem zatańczyć. A ja w szkole pokazałam taniec rajskiego ptaka.

W Świętej Annie po świętach wielkanocnych uczniowie przygotowali szkolny spektakl i Henny bardzo mocno się w to zaangażowała. Miała nadzieję, że kiedyś zostanie słynną tancerką.

– Dzisiaj wieczorem nie będzie tańców, Henny. Ludzie przyjdą, by oglądać obrazy, rozmawiać o nich. Będzie bardzo nudno, nic ciekawego dla dzieci.

Ale Henny nie było łatwo przekonać, żeby zrezygnowała ze swoich planów.

Uniosła podbródek i spojrzała na Marie pełnymi energii, niebieskimi oczami.

– Ale Leo mógł grać na pianinie w willi u babci.

– W willi możesz tańczyć, Henny. Natomiast dzisiaj wieczorem będziemy w domu stowarzyszenia artystów na Hallstraße.

Nawet Henny nie mogła zbyt wiele wymyślić w tej sytuacji, ale aby nie wyglądało na to, że się poddaje, zapytała:

– Ale w willi mogę zatańczyć, tak? W czasie letniego święta?

– Lepiej porozmawiaj o tym z mamą.

Henny westchnęła i kręciła się przez chwilę w miejscu, robiąc skrzydła przy sukience.

– Mama jest dzisiaj nerwowa.

Nic dziwnego, pomyślała Marie. W końcu to ona to wydarzenie zainicjowała. Miała dobre intencje, droga Kitty. Zrobiła to dla niej. I oczywiście dla sztuki.

– Zajrzę do niej zaraz – powiedziała z uśmiechem do Henny. – Może uda mi się ją uspokoić.

Kitty siedziała w fotelu wiklinowym, z telefonem na kolanach i słuchawką przy uchu. Gdy weszła Marie, kiwnęła jej głową, machnęła wolną ręką i rozmawiała dalej.

– ...oczywiście, że pani Melzer udzieli wywiadu. Jak? „Nürnberger Anzeigen”? No to wspaniale, staramy się rozwijać kulturę na prowincji... Tak, otwieramy o dziewiątej. Oczywiście będzie coś do picia i bufet. Nie, prasy nie wpuszczamy wcześniej. Dziękuję również. Pańskie nazwisko? Zeisig? Bardzo miło. Do zobaczenia, panie Reisig.

Odłożyła słuchawkę na widełki, a aparat na chybotliwy mosiężny stolik.

– Dobry Boże, Marie! – krzyknęła, a jej oczy lśniły z ekscytacji. – Wyobraź sobie: przyjeżdżają z Norymbergi. I z Monachium. Z Bambergu przyjedzie rzeźbiarz ze swoim szwagrem, który jest dziennikarzem. I nie uwierzysz, na wystawę przyjedzie nawet Gérard ze swoją młodą żoną, bo są teraz w podróży poślubnej. Szczerze mówiąc, tych dwoje mam akurat w głębokim poważaniu, zwłaszcza Gérarda, tego drania i tchórza. Do jego żony nic nie mam, biednej dziewczyny należy raczej żałować.

Marie opadła wyczerpana na fotel i zakryła rękami uszy.

– Kitty, proszę, ucisz się choć na chwilę. Moje nerwy.

– A myślisz może, że moje nie? – jęknęła Kitty. – Co ja zrobię, gdy Gérard nagle stanie przede mną? Jak on mógł mi coś takiego zrobić? Przyciągnął tutaj swoją żonę. Powinam jej opowiedzieć o naszych namiętnych nocach w Paryżu? Och, może i tak zrobię.

Otworzyły się drzwi i weszła Gertrude z parującym garnkiem zupy.

– Teraz nadszedł czas, żeby coś zjeść, moje panie artystki. Bulion wołowy z pierożkami wzmacnia duszę i ciało.

Marie podniosła się mechanicznie, żeby położyć drewnianą podstawkę na stół i postawić na niej garnek z zupą. Kitty wyciągnęła przed siebie obie ręce i westchnęła:

– Nie wmuszę w siebie ani odrobiny, Gertrude. Weź, proszę, na miłość boską, ten garnek, bo robi mi się niedobrze od samego zapachu.

– Nic z tego! – krzyknęła Gertrude i wyciągnęła łyżki do zupy z szuflady szafki.

– Dzisiaj wieczorem będziecie pić szampana, potrzebujecie więc solidnej podstawy. W przeciwnym razie jeden kieliszek i będziecie pijane.

Kitty stwierdziła, że ona może pić szampana całymi butelkami i nie robi się pijana. Jedynie lekko oszołomiona. Tak czy inaczej pozostaje zawsze panią swojego rozumu.

– Ale dobrze, nalej mi, tylko nie będę niczego jadła. Co z dziećmi?

– Leo jest wciąż u Ginsbergów, a Dodo majsterkuje na poddaszu. Zjedzą, gdy wy dwie wyjdziecie z domu. Obiecałam im naleśniki z jabłkami.

– Uch – jęknęła Kitty i położyła rękę na brzuchu. – Sama myśl o tym...

Mimo to dała się jednak namówić na zjedzenie kilku łyżek bulionu. I kilku zabawnie małych pierożków, można powiedzieć, że pierożków-maluchów. Może jeszcze tylko połówkę, a gdy została jedna, to, żeby nie czuła się samotna, musiała ją wziąć do ust.

– Teraz jest mi lepiej – powiedziała z ulgą i odchyliła się na krześle. – Pracowaliśmy wczoraj do późnej nocy. Wystawa prezentuje się wspaniale, Marie. Będziesz zachwycona. Gdy się wchodzi, wzrok pada od razu na obraz z błękitnymi szczytami górskimi, akty powiesiliśmy w sąsiednim pokoju. Ech, wiem przecież, jak bardzo są pruderyjne mieszkanki Augsburga. A te nudne portrety umieściliśmy w pawilonie.

Marie milczała, aranżację wystawy zostawiła Kitty i jej znajomym, którzy bezinteresownie i oczywiście bezpłatnie zaangażowali się w organizację tego

wydarzenia. Sama jednak wolałaby najpierw zaprezentować tradycyjne w formie obrazu, a więc portrety i krajobrazy, które zostały wypożyczone z prywatnych kolekcji mieszkańców Augsburga. Jej matka namalowała je, gdy zmarł Jacob Burkard i potrzebowała pieniędzy.

– Zobaczysz, Marie, to będzie niebywały sukces! Monachium zblednie z zazdrości! Jestem ciekawa, czy Lisa przyjdzie. Jeszcze nie dała znać.

Tilly telefonowała wczoraj, że niestety nie będzie mogła przyjechać na wystawę, bo niedługo ma bardzo ważne egzaminy.

– Z przyszłej żony pana von Klippsteina mogę bez problemu zrezygnować, ale byłoby wspaniale, gdyby przyszła Lisa. Może jej ukochany Sebastian ją przekona. To odważny człowiek, uważam, że wcale nie jest taki zły. A jeśli przyjrzy się jego powierzchowności, to, no dobrze, adonidem nie jest. Jeśli jednak wyobrazić go sobie bez koszuli...

– Kitty! – upomniała ją Gertrude. – Nikt przy tym stole nie musi o tym wiedzieć!

Marie zmusiła się, żeby zjeść trochę bulionu z pierożkami, w przeciwnym razie Kitty zmusiłaby ją do rozmowy. Jej nastrój jeszcze się pogorszył, bo myślała o Paulu. Oczywiście nie przyjdzie, bo nie mógłby zrobić tego swojej matce. Zwłaszcza po tym okropnym artykule w gazecie. Był tak zdenerwowany w czasie rozmowy telefonicznej, że przerwał jej w pół słowa, co było dość nieuprzejme. Zachowywał się władczo i zdała sobie sprawę, że przepaść, która ich rozdzieliła, zrobiła się chyba nawet głębsza. Rozbiła ich miłość oraz ich małżeństwo i uniemożliwiła pojednanie. Jak mogła żyć z mężczyzną, który gardził jej matką, który wstydził się pochodzenia własnej żony?

– Wiesz co, Marie? Gdy to wszystko się skończy i wy dwoje się pogodzicie, wszyscy razem znów zamieszkamy w posiadłości...

To zdanie wyrwało Marie z zamyślenia, spojrzała poirytowana na Kitty. Co za bzdury ona opowiada? Ach, Kitty!

– Zaskoczyłam cię, co? – powiedziała Kitty z rozbawieniem. – Gruntownie to przemyślałam, Marie. Jeśli Tilly jest taka bezmyślna, że chce wyjść za mąż za Klippiego i przeprowadzić się z nim do Monachium, to nie chcę stwarzać mojej drogiej Gertrude dodatkowych problemów.

Złapała tak mocno zaskoczoną Gertrude za rękę, że prawie wypadł jej z łyżki na obrus kawałek pierożka.

– Powinnaś być z Tilly, Gertrude. Ona jest twoją córką i cię potrzebuje. A ja

mam matkę i chcę do niej wrócić z moją słodką Henny, chcę przeprowadzić się do willi. Teraz, gdy nie ma tam tego straszyciła Serafina, nic nie stoi na przeszkodzie.

– Co za piękne plany! – powiedziała Marie z pobłażliwym uśmiechem.

Znała Kitty na tyle, by wiedzieć, że jutro rano wpadnie na nowy pomysł. Nie miało więc sensu spieranie się o to. Gertrude też o tym wiedziała, więc jadła spokojnie i powiedziała tylko, że bardzo dobrze się czuje tutaj, na Frauentorstraße.

Zadźwięczał dzwonek i było słychać Henny zbiegającą po schodach, żeby otworzyć drzwi.

– Zgadza się, może mi to pan oddać.

Po chwili do salonu wszedł wielki bukiet z kolorowych kwiatów, a za nim ukazała się Henny.

– Mamo, on czeka na napiwek!

– O Boże! – krzyknęła Kitty i tanecznym krokiem poszła nagrodzić posłańca. – Przychodzą już do ciebie pierwsze gratulacje, Marie!

– Na taki okaz to my nie mamy odpowiedniego wazonu – mruknęła Gertrude, która przyjęła bukiet. – Jest w nim bilecik.

Marie, która wiązała z tym bukietem bezsensowne i zupełnie szalone nadzieje, była rozczarowana. Bukiet był dla Kitty, nie dla niej.

– Co? Dla mnie? Mam nadzieję, że nie od Gérarda. Bo wyrzucę te chwasty od razu przez okno.

Kitty sięgnęła zniecierpliwiona po kopertę, przeczytała kilka linijek i potrząsnęła głową bezradnie.

– Nie mam pojęcia, od kogo to jest. Ktoś musiał sobie ze mnie zażartować.

Marie nie była ciekawa. Podniosła się i oznajmiła, że chce się teraz ubrać i jechać na Hallstraße. Kitty włożyła bilecik do koperty.

– To nie wchodzi w grę, Marie. Jedziemy razem moim samochodem. Będę gotowa za dziesięć minut. Gertrude, bądź tak dobra i włóż te kwiaty do jakiegoś wazonu z wodą.

– Zawsze ten pośpiech – mruknęła Gertrude. – Jest już dziesięć po piątej.

Marie nie musiała się długo zastanawiać, postanowiła włożyć czarną suknię do łydek, dopasowaną do figury i z dekoltem w kształcie litery „V”, dość

odważnym. Do tego naszyjnik z białych pereł, podwójnie owinięty wokół szyi, tak jak było teraz modnie. Czarne lakierki. Lekki, krótki żakiet i mały kapelusik, zakładany na bok. Kitty oczywiście wybrała biel, jedwab z delikatnym haftem na mankietach rękawów, suknia również do połowy łydek, a do tego sandałki z paseczków i na niewielkich obcasach. Zmarszczyła czoło, widząc strój Marie.

– Wyglądasz, jakbyś szła na pogrzeb. Taka cała na czarno.

Marie rzeczywiście tak się czuła, ale nie musiała o tym mówić Kitty.

– A ty się wystroiłaś, jakbyś wychodziła za mąż – zażartowała.

Kitty uznała żart za zabawny, zachichotała i powiedziała, że brakuje jej tylko wianka z mirtu. Ale tego by nigdy nie włożyła.

Oczywiście „kochany samochodzik” Kitty znów syczał, szarpał, śmierdział paloną gumą i pluł wodą, aż Marie szczerze żałowała, że nie poszły pieszo. Kitty jednak była tak przejęta, tak słodko przemawiała do samochodu i czyniła małe sztuczki, że Marie nie miała serca wysiąść z wozu.

– Zobaczysz, zrobimy to! – zawołała Kitty triumfalnie, gdy zatrzymały się przy Hallstraße, przed domem stowarzyszenia artystów. – I mamy jeszcze pół godziny do otwarcia.

Nie było żadnych tłumów na Hallstraße, również ogród – dawna własność bankiera z Augsburga, niejakiego Euringera – jaśniał spokojnie w promieniach popołudniowego słońca. Stare drzewa otaczały gałęziami staromodny pawilon, w którym mogły się teraz odbywać wystawy.

– Może nikt nie przyjdzie – powiedziała Marie z nadzieją.

Gdy jednak przestąpiły próg głównego wejścia, od razu usłyszały szum głosów i brzęczenie kieliszków. Wszedł do nich Marc, jego blond włosy były dzisiaj zaczesane na czubek głowy i prawdopodobnie posmarowane pomadą.

– Sępy z prasy już tu są. Chcą Marie. Pani dyrektorowa Wieslerowa wisi na telefonie... A Roberto jest już pijany jak bela...

Najpierw objął Kitty, potem Marie, później obie zaciągnął do sąsiedniego pokoju, do tego, w którym wisały akty i w którym wiele młodych kobiet i liczni mężczyźni prowadzili gorące dyskusje. Fotograf z pomocą ogromnej lampy błyskowej fotografował wnętrza.

– Mogę przedstawić? Marie Melzer, córka artystki.

Marie została otoczona ze wszystkich stron, sypały się na nią pytania,

błyskały flesze, ołówki niemal fruwały nad notatnikami, a ciekawskie, przenikliwe, pożądlive spojrzenia były w nią wycelowane niczym strzały. Marie nagle się uspokoiła, to ona decydowała, na które pytania odpowie, a które pozostawi bez odpowiedzi, uśmiechała się i zapewniała, jak bardzo się cieszy, że jej matka wreszcie zdobyła uznanie, na jakie zasługiwała. Ktoś podał jej kieliszek szampana, który przez chwilę trzymała w ręce, zanim uniosła go do ust. Nagle w pokoju zrobiło się niemiłosiernie ciasno, ale gdy przecisnęła się między ludźmi do głównej sali, okazało się, że tam wcale nie jest lepiej.

– Pani Melzer! To jest wspaniałe!

– Marie, moja kochana! Witam! Co za cudowne obrazy!

– Moja droga pani Melzer! Jestem wstrząśnięta! Co za wielki talent!

Witała znajomych i przyjaciół, nawet tych, których znała jedynie z widzenia albo wcale nie znała. Ich twarze przesuwaly się przed nią: zszokowane oczy, wydęte usta. Słyszała też szept oburzenia, widziała zdeglustowane miny, niektóre damy trzymały dłonie przy wargach, a potem odwracały się, szukając wyjścia.

– Pani Melzer? Jestem z „Münchner Merkur”. Gdyby miała pani później chwilę na mały wywiad...

– Ach, to pani jest córką artystki! Cóż, takiego dziedzictwa nie ma co pani zazdrościć.

Prawnik Grünling rozmawiał z neurologiem, doktorem Schleicherem, obaj skłonili uprzejmie głowy, gdy przechodziła obok nich. Małżeństwo Manzingerów, którzy stali się w ostatnim czasie właścicielami wielu kin w okolicy, uniosło kieliszki, gdy na nich spojrziała. Herrmann Kochendorf, zięć Manzingerów, uśmiechnął się do niej nieśmiało, a jego żona Gerda skarciła go pośpiesznie.

– Okropne – mówił ktoś obok Marie. – Co za dziwaczne obrazy.

– To ma być sztuka? Straszne! Zupełnie do niczego!

– Czysta degeneracja.

– Bez smaku.

– Obsceniczne.

– Ale rysować umiała. Byliście już w pawilonie?

Marie opróżniła kieliszek i ucieszyła się, gdy dostrzegła w kącie Lisę

i Sebastiana Winklera.

– Marie, chodź do nas! Wysłuchamy razem mowy laudacyjnej – zawołała do niej Lisa.

Przecisnęła się pośród plotkującego tłumu i przywitała z obojgiem. Lisa wcisnęła się w błękitną suknię, którą przed laty uszyła dla niej Marie. Sebastian był w ubraniu po Johannie Melzerze.

– Czyż nie wygląda w nim dobrze? Pasuje jak ulał. Byłoby przecież okropnie szkoda, gdyby taki piękny garnitur zniknął na zawsze w zbiorach mamy, prawda?

– To prawda, sędzę, że tata by się ucieszył.

Sebastian uśmiechnął się w wymuszony sposób, bo czuł się w tym ubraniu mało swobodnie. Jakie to dziwne – w niektórych kwestiach był uparty i nieprzejednany, a teraz z miłości do Lisy godził się na wiele rzeczy, które nie były dla niego łatwe.

– Pani dyrektorowa Wieslerowa już tydzień temu wycisnęła mnie jak cytrynę – powiedziała Marie z uśmiechem. – Wykonała niesamowitą pracę, by przygotować tę mowę.

– Ach, czekam więc jak na szpilkach.

Marie dostrzegła Kitty, białą, jaśniejącą plamę pośród tłumu. Machała do kogoś, włosy opadały jej na czoło, gdy poruszała głową i wołała coś głośno ponad głowami zgromadzonych.

– Zaczyna się! Przejście! Powodzenia!

Przed ogromnym obrazem wiszącym na środku sali – abstrakcyjnym przedstawieniem ostrych, pokrytych śniegiem, górskich grani – zrobiono wolne miejsce dla dyrektorowej Wieslerowej. Była jeszcze pulchniejsza, włosy miała starannie ufarbowane, ale luźna suknia w kolorze jasnej zieleni uwydatniała niedostatki jej figury.

– Moi wielce szanowni, drodzy wielbiciel sztuki – słyhać było jej gromki głos. – Moi przyjaciele. Mam zaszczyt... – Wyciągnęła teatralnie rękę, żeby pośród tłumu mógł przejść mężczyzna w ciemnym garniturze i stanąć obok niej.

– Dziękuję – powiedział Paul Melzer i lekko się jej uklonił. Potem odwrócił się do zaskoczonej publiczności. – Moi drodzy przyjaciele, z pewnością będziecie zaskoczeni, słysząc *laudatio* o Luise Hofgartner z moich ust. Pozwólcie mi więc wyjaśnić.

Marie patrzyła z niedowierzaniem na to widowisko, które mogło być przecież jedynie wytworem jej wyobraźni. Czyżby jeden kieliszek szampana tak jej namieszał w głowie? To nie mógł być Paul, ten, który stał z taką swobodą przed tymi ludźmi i chciał wygłosić mowę pochwalną. *Laudatio* o...

– Związek między rodziną Melzerów i Luise Hofgartner został ustanowiony już wiele lat temu. Wydarzyło się w tym czasie wiele dobrego i trochę złego i chcę zaświadczyć teraz przed wami wszystkimi, że Luise Hofgartner jest członkiem naszej rodziny. Była ona matką mojej ukochanej żony Marie, a więc także moją teściową i babcią naszych dzieci.

To był on. Żadna zjawa i żaden wytwór szampana. Przed błękitnymi pasmami zaśnieżonych gór stał Paul i mówił tym wszystkim ludziom o Luise Hofgartner. Mówił rzeczy, których nie powiedział nawet jej w cztery oczy. Marie poczuła lekkie zawroty głowy, jej nogi stały się nagle dziwnie miękkie i ucieszyła się, gdy Sebastian Winkler podtrzymał ją, żeby nie upadła.

– A nie mówiłam? – szepnęła Lisa. – Jak dobrze, że ją tu ściągnęliśmy.

– Chciałaby pani usiąść? – zapytał cicho.

Marie wzięła się w garść. Niezliczeni goście odwrócili się w jej stronę, bombardowały ją zaciekawione spojrzenia.

– Już lepiej. Bardzo dziękuję.

To była uknuta intryga, pomyślała. Oni o tym wiedzieli. Kitty też. Jak on tak mógł?

– Urodzona w Inning nad Ammersee¹⁶, Luise Hofgartner wyjechała do Monachium i studiowała tam przez rok na Akademii Sztuk Pięknych, nie czuła się tam jednak dobrze. Dzięki niezliczonym podróżom u boku mecenasa zwiedziła całą Europę, a w Paryżu poznała Jacoba Burkarda, swojego późniejszego męża.

Paul pominął kłopotliwe szczegóły z życia Luise Hofgartner i zaczął mówić o jej spuściźnie artystycznej. Była bardzo zdolną malarką, artystką poszukującą, dobrze poruszającą się w wielu nurtach artystycznych, ale na każdym odciskała swój indywidualny ślad.

– To, co tutaj widzimy, jest jedynie wycinkiem jej wielkiej spuścizny. Dzieło to nigdy nie zostało ukończone, bo nie miała czasu, by stać się dojrzałą artystką. Ale nawet ten niewielki fragment jej działalności jest imponujący i nie powinien popaść w zapomnienie. Jej talent żyje dalej w jej córce i – o ile potrafię to ocenić – także w jej wnukach. Jesteśmy wszyscy dumni, że wiążą nas więzi pokrewieństwa i powinowactwa z tą niezwykłą

kobietą.

– Teraz to już przesadza – mruknęła Lisa.

Marie z trudem utrzymywała się w pozycji pionowej. Kłębiła się w niej mieszanina rozpaczy, szczęścia, gniewu, nadziei i zwątpienia. Nie była w stanie powiedzieć słowa, jej usta drżały.

– Wznoszę kieliszek w toaście za godną podziwu Luise Hofgartner i jej wielkie dzieło!

Dostrzegła połyskujący kieliszek w dłoni Paula, jego zwycięski uśmiech, który był jej tak drogi i który widziała teraz cała sala. Słysząc było brzęk szkła, oklaski, które stawały się coraz głośniejsze, i nawet kilka okrzyków „brawo!”. Fotograf przeciskał się przez tłum, wołając, by mu zrobili miejsce. Paul wciąż się uśmiechał, odpowiadał na pytania, ścisnął dłonie, a potem pośród napierających na niego ludzi dostrzegł wzrok Marie.

Nagle podeszła do niej Kitty, która rzuciła się na nią, ucałowała w oba policzki i zaczęła nią potrząsać.

– Czyż on nie zrobił tego nadzwyczajnie, nasz kochany Paul? Ach, on jest takim cudownym mówcą! Jak on tam stał. Tak swobodnie. Powiedz coś, Marie! No powiedz wreszcie! On to wszystko zrobił dla ciebie. Wczoraj okropnie się pokłócił z mamą.

– Proszę cię, Kitty... – jęknęła Marie. – Chciałabym szklanek wody.

– Na miłość boską! – krzyknęła Kitty i chwyciła ją za ramiona. – Chodź szybko do bufetu, tam możesz usiąść, a ja przyniosę ci wodę. To cię zaskoczyło, prawda?

– Trochę – szepnęła Marie.

Poszła za Kitty do tylnej części sali, gdzie ustawiono kilka krzeseł dla starszych państwa. Po kilku krokach się zatrzymała. Czy to nie Paul przeciskał się przez tłum? Szedł do niej? Stała bezradnie, bo jej oszołomienie okazało się zbyt obezwładniające. Paul jednak nie podszedł do niej, lecz przepychał się do wyjścia i po chwili zniknął z sali.

Muszę za nim pójść, pomyślała. Powiedzieć mu, że niczego od niego nie żądam, że ogromnie go podziwiam. Ale przy tych ludziach... Nagle ogarnął ją strach, że mogło już być za późno. Wyszedł. Dokąd? Do willi? Rozgniewany i rozczarowany jej zachowaniem? A może był jeszcze gdzieś w innej sali?

– Proszę, twoja woda, Marie. Usiądź obok mnie. Zaraz przyjdą te sępy

z prasy i...

– Dziękuję, Kitty. Prasa później, proszę.

Odwróciła się w stronę wyjścia. Znajomi mówili coś do niej, wołali ją, ale nie zwracała na to uwagi i szła przed siebie. Na zewnątrz było już ciemno, widać było światła lamp ulicznych, oświetlone okna domów, zarysy zaparkowanych samochodów. Gdzie on poszedł? Dlaczego tak się śpieszył? Spoglądała na oświetlony pawilon, który pośród ciemnego ogrodu wyglądał jak klatka pełna świetlików, zawieszona między gałęziami drzew. Może był tam? Przestraszyła się, bo z ciemnej ogrodowej uliczki wyszedł mężczyzna, który, gdy ją zobaczył, zwolnił kroku i w końcu zatrzymał się przed nią.

– Marie.

Była oszołomiona. Czy to był wieczór cudów i magicznych sztuczek?

– Bardzo przepraszam – powiedział i zdjął kapelusz. Wyglądał na tak samo zmieszanego jak ona. – Powinienem oczywiście powiedzieć – pani Melzer. Pamięta mnie pani jeszcze?

Podeszła nieco bliżej i spojrzała mu w twarz. Niesłychane. To był naprawdę on.

– Robert. To znaczy, chciałam powiedzieć – pan Scherer. Jest pan tutaj, w Augsburgu?

– Jak pani widzi.

Stali obok siebie i Marie czuła na sobie jego wzrok pełen podziwu. Zorientowała się, że on wciąż ma w pamięci ją z czasów, gdy była pomocą kuchenną.

– Ja... przyszedłem niestety zbyt późno. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, czy znajdę gdzieś tutaj panią Bräuer?

– Kitty? Tak, oczywiście. Powinna być przy bufecie.

Podziękował i chciał odejść, ale ona go zatrzymała.

– Widział pan może mojego męża? To znaczy Paula Melzera?

– Pan Melzer? Ja wiem, że on jest pani mężem. Jest teraz w pawilonie.

– Bardzo panu dziękuję.

Skinęli sobie głowami i poszli każde w swoją stronę. Co za zjawia, pomyślała Marie. Sen. Sen nocy letniej w połowie maja. Rozchyłała przed sobą gałęzie krzewów i szła po trawie w stronę pawilonu. Trawa była mokra,

zarośnięty ogród pachniał majowymi ziołami, koniczyną, ciepłą ziemią i żywicą, pokrywającą krzewy jałowca. Widać stąd było gości stojących za szybą, którzy przechodzili obok grafik na ścianie, zatrzymywali się, wskazywali na nie palcem i rozmawiali ze sobą. Jakiś mężczyzna podszedł do okna i wpatrywał się w słabo oświetlony ogród. To był on. Widziała jego jasne włosy, ręce, które położył na szybie, jakby chciał ją wypchnąć, i szare oczy, patrzące prosto na nią. Gdy się poruszyła, zniknął. Drzwi się otworzyły i usłyszała jego kroki, a jej serce zaczęło bić jak oszalałe. W tę zaczarowaną letnią noc nie będzie w stanie mu się oprzeć, nie tutaj, w tym ciemnym ogrodzie, który pachniał słodko owocami.

– Marie...

Stał obok niej, czekał na jej reakcję, jego oddech był szybki i urywany. Jeszcze zanim ułożyła sobie, co chce mu powiedzieć, jej usta zaczęły mówić za nią.

– Paul, to było niesamowite... Nie wiem, co mam powiedzieć. Jestem zupełnie oszołomiona.

Czuła, jak opada w nim napięcie. Czy się obawiał, że może się gniewać z powodu jego wystąpienia? Teraz w każdym razie wydawał się odczuwać ogromną ulgę.

– Dużo czasu mi zajęło, zanim zrozumiałem, Marie. Wybacz mi. Twoja matka należy do nas.

Nagle łzy zaczęły jej spływać po policzkach. To, co tak długo ją dręczyło, wreszcie zniknęło. Była wolna i gdy wziął ją w ramiona, wybuchnęła płaczem.

– Kocham cię – słyszała jego czuły głos. – Wróć do mnie. Proszę, wróć.

Nie odważył się jej pocałować. Przyciskał ją tylko mocno do siebie, jakby obawiał się, że w jednej chwili znów może mu uciec.

– Proszę, Marie.

– Tak zaraz?

Odsunął ją nieco od siebie i zobaczył, że się z nim droczy. Jego oczy aż promieniały ze szczęścia.

– A dlaczego nie? – zapytał i chwycił ją za rękę.

[16](#) Jezioro w Niemczech, niedaleko Monachium.

Ten niezwykły moment tuż przed przebudzeniem. Przesuwające się obrazy, uczucie nieważkości, unoszenia się, pastelowe niebo. Myśli, które rozpraszają się i unoszą niczym lekkie nici, śpiew ptaków witających nowy dzień. Marie chwyciła mocniej swoją poduszkę i przekreśliła się na drugi bok.

– Obudziłaś się?

Poczuła jego delikatną dłoń, głaszczącą jej ramiona i włosy. Potarł jej kark, łaskotał jej uszy i chwycił palcami podbródek, a potem musnął szyję.

– Co robisz? – zaśmiała się.

Zaczął sobie pomagać drugą ręką, a gdy przewrócił ją na plecy, był nie do powstrzymania. Paul, mężczyzna, którego kochała, którego pożądała, którego przyjęła wczoraj wieczorem tak namiętnie. Ona też nie panowała nad tym, co robi, zagryzła róg poduszki, bo zawstydzila się swojego pożądania. W pokoju obok spała teściowa, a po drugiej stronie byli Lisa i Sebastian. Teraz, wczesnym rankiem, kochał ją uważnie, pamiętał o wszystkich pieszczotach, które lubiła, i dawał jej rozkosz. Czuła, jak bardzo musi nad sobą panować, żeby gra wstępna przygotowała ją do największej rozkoszy.

– Ostrożnie, mój skarbie! Zostawiłaś mnie samego na zbyt długo, to niebezpieczne, Marie!

Gra wstępna zakończyła się szybciej, niż pragnął, ale upojenie, którego oboje doznali, było za to silniejsze niż wczoraj wieczorem i trwało dłużej. Przez chwilę leżeli w milczeniu, odurzeni uczuciem spełnienia, dwie istoty stopione razem, dwoje ludzi złączonych miłością. Po chwili usłyszeli pełne żądań głosy młodszych mieszkańców willi i oboje spojrzeli na siebie z uśmiechem.

– Są pewne plusy tego, że nasza dwójka jest już duża – powiedziała Marie.

– Och, nie miałbym nic przeciwko temu, by zacząć znów od nowa.

– Raz jeszcze bliźnięta? – zachichotała.

– Dlaczego nie trojaczki?

Szczęśliwi odwrócili się twarzami do siebie. Paul odgarnął jej włosy z czoła, szepcząc, że jest piękniejsza niż kiedykolwiek, całując ją w czubek nosa i usta. Słysząc teraz było Lisę, która rozgniewana napominała nianię. Sebastian próbował ją uspokoić i został niegrzecznie zrugany. Zamilkł więc.

– Słodkie rodzinne szczęście. – Marie uśmiechnęła się.

Pomyślała, że Paul zaledwie kilka dni po narodzinach ich dzieci musiał jechać na front. Nie widział, jak ich dwójka dorasta – gdy wrócił, miały już po cztery latka.

– Wiesz, że Lisa i Sebastian pobierają się jesienią? – zapytał.

Marie jeszcze nie wiedziała. Lisa powiedziała jej jedynie, że Sebastian wreszcie się oświadczył. Zrobił to, bo dostał dobrą posadę i zarabiał wystarczająco dobrze, żeby utrzymać rodzinę.

Paul uniósł głowę, żeby wyjrzeć na zewnątrz przez niewielką szparę w zasłonach. Słońce świeciło, promienie tworzyły jasne plamy na kremowych zasłonach i przecinały pokój niczym złociste wstęgi. Rzut oka na zegarek zaalarmował Marie, była już dziewiąta. Oboje jeszcze się poprzeciągali wesoło, napawali się jeszcze przez chwilę cudowną jednością, której tutaj, w swojej sypialni, mogli się oddawać tak beztrosko. Niestety było zbyt późno, żeby rozpalić w piecu i wziąć wspólnie kąpiel, ale to zupełnie nieprzyzwoitą kąpiel. Zresztą odkąd Lisa, Sebastian i dziecko korzystali z tej samej łazienki, nie mogli sobie pozwolić na dłuższe ablucje.

– Wrócimy do tego po południu – zapowiedział Paul. – Mama ucina sobie wtedy popołudniową drzemkę, a rodzina Winklerów z nianią uda się na spacer po parku.

– Ma pan wielkie plany, panie Melzer – rzuciła Marie zaczepnie.

– Mamy wiele do nadrobienia, pani Melzer – odpowiedział z uśmiechem.

Gdy się ubrali, on się ogolił, a ona ułożyła włosy i z niewinnymi minami zeszli do jadalni. Alicia spojrzała na Paula z wyrzutem i chłodnym tonem życzyła „dobrego dnia”, chociaż Marie nie wiedziała, czy została ujęta w tym przywitaniu. Alicia spoglądała na nią z chłodnym dystansem. Lisa natomiast wstała, żeby objąć Marie i swojego brata, Sebastian uśmiechnął się przyjaźnie, ale nie odważył się wyrazić swojego zdania na temat tej złożonej sytuacji rodzinnej. Co było całkiem mądre z jego strony.

– Wczoraj wieczór trochę się przeciągnął – powiedział Paul do Alicii. – Zrobiliśmy sobie trochę wolnego, żeby porządnie się wyspać. Mam nadzieję, że nie masz nam tego za złe, mam.

Alicia nie odpowiedziała i po prostu nałożyła sobie marmoladę na talerz. Paul odsunął Marie krzesło, żeby mogła wygodnie usiąść.

– Mam zatem rozumieć, że postanowiłaś wrócić do swojego męża? –

spytała wreszcie Alicia i spojrzała na Marie z urazą.

Marie poczuła rękę Paula, którą troskliwie położył na jej kolanie. Zachowała spokój, już wcześniej nauczyła się, żeby zbyt impulsywnie nie okazywać swoich uczuć.

– Dobrze zrozumiałaś, mam. I mam szczerą nadzieję, że cię to cieszy. Pojedziemy potem na Frauentorstraße, żeby przywieźć dzieci i bagaże.

Twarz Alicii nieco złagodniała – to było bardzo mądre zagranie, żeby wspomnieć o dzieciach. Ale Marie dobrze wiedziała, że nie będzie jej łatwo odzyskać sympatii teściowej.

– Mama z pewnością się cieszy – powiedział Paul, starając się między nimi pośredniczyć. – Potrzeba trochę czasu.

Alicia nie odpowiedziała, spojrzała tylko na syna matczynym, zatroskanym spojrzeniem, więc do rozmowy wtrąciła się Lisa.

– Wiecie, dlaczego Klippi nie przyszedł wczoraj wieczorem? Jest w Monachium i wspiera w nauce swoją przyszłą pannę młodą. Tilly musi znać na wylot anatomię człowieka. Zerknęłam kiedyś do jej książki – same obrazki z nagimi ludźmi.

Przerwała, bo właśnie wszedł Humbert z drugim dzbankiem kawy i dodatkową porcją świeżo pieczonych bułeczek. Rozpromienił się na widok Marie. Gdy podawał jej koszyk z pieczywem, szepnął:

– Cudownie, że znowu tutaj pani jest, łaskawa pani. To jest zdanie wszystkich pracowników. Pani Brunnenmayer kazała panią szczególnie pozdrowić.

– Dobrze, Humbercie – powiedziała Alicia. – Możesz już iść.

Uklonił się, postawił na stole koszyk z bułkami i wyszedł bez pośpiechu.

– Gdy wasz ojciec jeszcze żył, w niedziele jedliśmy śniadanie o ósmej rano, żeby się nie spóźnić na mszę świętą – przypomniała Alicia i rozejrzała się po wszystkich. – Te zwyczaje niestety już wyszły z mody. W dzisiejszych czasach młodzi ludzie spędzają niedzielę w szlafrokach i przychodzą na śniadanie, gdy jest już prawie południe.

Marie musiała powstrzymać śmiech, Paul i Lisa wymienili spojrzenia i tylko Sebastian odważył się zabrać głos.

– Ja też tego bardzo żałuję, droga Alicio. Regularny rozkład dnia, nawet w weekendy, jest bardzo ważny dla rodziny. Szczególnie dzieci potrzebują stałych pór...

Przerwał, bo na dole w holu rozległy się teraz piskliwe głosy i chaotyczne dźwięki. Po chwili pojawił się Julius i oznajmił, że przyjechały panie Bräuer i dzieci.

– Henny, przestań się pchać! – usłyszeli krzyk Dodo.

– Ja byłam pierwsza na schodach!

Głosy i tupot zbliżały się z dużą szybkością.

– Henny, zapomniałaś o swoich skrzydłach. – To powiedziała Kitty.

– Ciociu Kitty, ona pomięła moje nuty!

– Spokój! – wrzasnęła Gertrude. – Kto będzie krzyczał, ten pójdzie do piwnicy, do myszy i szczurów!

– A kto wierzy, ten będzie zbawiony! – powiedziała pogardliwie Henny.

Drzwi się otworzyły na oścież i siedzący przy stole nagle zostali zagarnięci przez gwałtowną falę. Najpierw Henny rzuciła się w ramiona Alicii, potem Dodo podbiegła do Lisy, Leo zastanawiał się chwilę, ale najpierw podszedł do Paula. Kitty mogła więc dopaść do Marie.

– Ach, Marie, moja kochana Marie, jak cudownie, że znów jesteście razem z Paulem! Jakiż to był wczoraj wieczór! Całe miasto tam było! Jutro będą o tym pisać wszystkie gazety! Od Norymbergi po Bamberg! I w Monachium też. Luise Hofgartner to odkrycie roku! Czy to nie wspaniale? Ach, jestem taka szczęśliwa... Dzień dobry, mamu. Dobrze spałaś? Wyglądasz na zmęczoną, mamusiu.

Alicia słuchała Henny, która opowiadała jej o swoim wspaniałym występie w szkole.

– Byłam aniołem i Marie zrobiła mi skrzydła z tektury i prawdziwych gęsich skrzydeł. Potem zatańczę dla ciebie, babciu, dobrze? A dostanę jakąś nagrodę, gdy pięknie zatańczę?

Humbert i Julius dołożyli pięć nakryć na stół, dostawili krzesła, przynieśli świeże bułeczki, mleko i czekoladę dla dzieci.

– Ona tańczy partię anioła z *Jasia i Małgosi* – oznajmił Leo. – Człowieka, który ma śmieszne nazwisko – Humperdink¹⁷. I muszę jej towarzyszyć, niestety, tato. Bo ona tylko narzeka. Robię to tylko ze względu na babcię.

– To bardzo miłe z twojej strony.

Wcześniejszy chłodny nastrój nagle się ulotnił, zapanował wesoły zgiełk, dzieci sięgały po kubki z mlekiem, rozcinały bułki, kruszyły, brudziły,

grzebały w marmoladzie.

– Henny, uważaj na sukienkę! – ostrzegała ją Kitty.

– Babciu, ja zostanę kiedyś prymulką. Prymulką baleriną. Co? A tak, primalaberiną.

Leo zapytał, czy Liesl może uczyć się grać na fortepianie. Kitty powiedziała, że pani dyrektorowa Wieslerowa uznała przemówienie Paula za „niezapomniane”, była głęboko nim poruszona i przez resztę wieczoru ledwie była w stanie mówić.

– Myślę, że to przesada – zauważyła Lisa.

Sebastian powiedział, że obrazy Luise Hofgartner z pewnością nie są dla osób o słabych nerwach. Tylko człowiek dojrzały i emocjonalnie stabilny może odebrać je we właściwy sposób.

Marie słuchała i spoglądała na Paula, który rozmawiał teraz z Leo o konkursie muzycznym dla dzieci. Jaki był podekscytowany. Och, miło było wiedzieć, że dostrzegł i nawet popierał wielki talent swojego syna.

– Szybowiec? – zapytała Lisa. – Budujesz szybowiec?

– Właśnie tak – odparła Dodo. – To całkiem proste. Dwa skrzydła, kadłub i ster wysokości na ogonie. Wycięłam z kartonu, który tata mi przyniósł z fabryki.

Sebastian zapytał, czy korzystała z jakiegoś projektu, i Dodo powiedziała z dumą, że zobaczyła wszystkie części w książce i je przerysowała.

– Całkiem sama?

– Tata pomógł. I mama też. Ponieważ potrafi rysować różne wzory. Ale wycięłam zupełnie sama.

Oczywiście planowała, że przyniesie swój samolot i postawi go na dziedzińcu przed willą, a stamtąd puści go, żeby przeleciał nad parkiem.

– Ale ktoś musiałby siedzieć w środku – powiedział zamyślony Leo. – Przy sterze.

– Włożymy do środka tę wielką lalkę, którą dostałam na Boże Narodzenie.

Marie nie była zbyt zachwycona wielkim planem Dodo. Teraz to dopiero Alicia straci zrozumienie dla ich żartów.

– Tę piękną lalkę? – krzyknęła przerażona Henny. – Zwariowałaś?

– Albo ty tam usiądziesz, Henny!

Henny przyłożyła palec wskazujący prawej ręki do skroni, by pokazać, co myśli o tej propozycji.

– Ach, dzieci – westchnęła Alicia i wygładziła suknię, nieco zmiętą po ataku Henny. – Zupełnie inaczej toczy się życie w willi, gdy jest tutaj tyle osób. Nie mówiłaś przypadkiem, droga Kitty, że chcesz tutaj znowu zamieszkać razem z Henny?

Kitty sięgnęła po bułeczkę świeżo wyjętą z pieca i położyła na niej wędzoną szynkę. Żuła, dając znać obiema rękami, że zaraz będzie gotowa, po czym napiła się kawy.

– Mam taki zamiar, mamo. Zwłaszcza że Henny jest tak związana z Dodo i Leo. No i chcę mieć blisko siebie moją ukochaną Marie.

Uśmiechnęła się i objęła delikatnie ramieniem Marie, co sprawiło, że nawet Alicia uśmiechnęła się do swojej synowej.

– Cieszę się, że odnalazłaś drogę powrotną do naszego domu, Marie – powiedziała poważnie. – To były ponure czasy dla nas wszystkich. I mam nadzieję, że mamy przed sobą jedynie lepszą przyszłość.

– Z pewnością się o to postaramy – potwierdził Paul wesoło i uśmiechnął się młodzieńczo. – Od teraz będziemy jedną, wielką, szczęśliwą rodziną.

Wszedł Humbert i szepnął coś na ucho Lisie.

– Mały głodomór wzywa – powiedziała. – Wybaczcie mi, proszę.

Potem skierował się do Kitty, która właśnie zakładała skrzydła swojej córce.

– Gość do pani, pani Bräuer. Mam go wprowadzić?

Kitty puściła jeden sznurek i drugie skrzydło zwisało teraz krzywo na plecach Henny.

– W żadnym razie, Humbercie. Zejdę na dół. Przepraszam was.

Nagle bardzo zaczęła się śpieszyć, pocałowała Marie w policzek, pomachała mamie, klepnęła Paula po ramieniu i zbiegła po schodach jak na skrzydłach.

– Kto to przyszedł, Humbercie?

– Dawny pracownik, łaskawa pani, Robert Scherer.

– O! – zdziwiła się Alicia.

Paul i Marie podnieśli się jednocześnie i przeprosili resztę. Poszli do biblioteki, otworzyli drzwi pomalowane białym lakierem i wyszli na balkon.

– Wczoraj krótko z nim rozmawiałem – powiedział Paul. – Bardzo się zmienił. *Selfmademan*¹⁸. W życiu osobistym miał znacznie mniej szczęścia.

Objął ramieniem Marie i przytulił, gdy oboje spoglądali nad barierką na dziedziniec. Stał tam czerwony kabriolet z otwieranym dachem i czarnymi skórzanymi siedzeniami. Robert podał rękę Kitty, a ona z wdziękiem siadła na fotelu pasażera. Z góry trudno było dokładnie dojrzeć wyraz ich twarzy, ale po ich ruchach można było sądzić, że ta wycieczka została wcześniej zaplanowana.

– On już wtedy ją kochał – powiedziała cicho Marie.

Paul pocałował ją delikatnie w kark i nie przeszkadzało mu, że właśnie Alicia i Sebastian wychodzili na balkon.

– Kitty zawsze była dobra w zaskakiwaniu innych – powiedział. – Życzymy jej szczęścia, zasługuje na nie.

¹⁷ Engelbert Humperdinck, XIX-wieczny niemiecki kompozytor.

¹⁸ Ang. Człowiek zawdzięczający wszystko własnej pracy.

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)